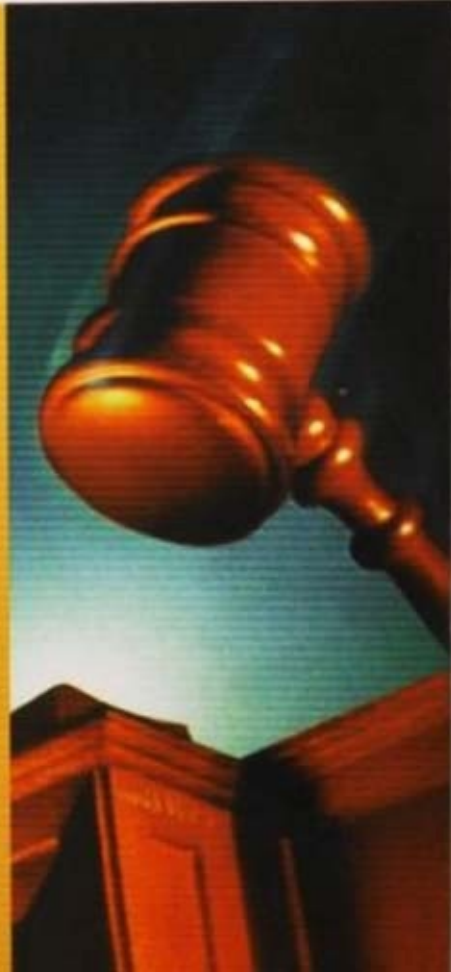


**RICHARD  
NORTH PATTERSON**

**MILCZĄCY ŚWIADEK**



**RICHARD NORTH PATTERSON**

# **MILCZĄCY ŚWIADEK**

**Przełożył: Tomasz Oljasz**

**Tytuł oryginału: *Silent Witness***

*Dla Lindy Grey i Clare Ferraro*

## PROLOG

# TONY LORD

### Terazniejszość

Gina Belfante zamordowała swojego męża we wtorek o pierwszej piętnaście po północy. Tego samego dnia po południu okłamała policję, a w czwartek policjanci i lekarz doszli do wniosku, że Donald Belfante, który został zastrzelony podczas snu we własnym łóżku, nie zginął z ręki intruza. Umowę przedmałżeńską, która w wypadku rozwodu dawała Ginie psie pieniądze, znaleziono dopiero w poniedziałek. Następnego dnia, kiedy oskarżono już Ginę Belfante o morderstwo, prawnik, z którym konsultowała się w sprawie rozwodu, przesłał jej rachunek i polecił skontaktować się z Anthonyem Lordem.

Choć San Francisco było niewielkim miastem, a społeczność ludzi zamożnych, w której obracali się Belfante, jeszcze mniejsza, Tony Lord nie znał tej kobiety. Jednakże Gina Belfante wiedziała, kim on jest. Widziała go w czasie uroczystości wręczania Oscarów - oświadczyła mu promiennie - tej nocy, kiedy jego wspaniała żona, Stacey Tarrant, otrzymała statuetkę za najlepszą drugoplanową rolę żeńską. Tony siedział za biurkiem i pozwalał Ginie trajkotać nerwowo, udając przy tym, że wcale tak uważnie się jej nie przygląda. W końcu zadał jej kilka pytań. Dopiero wiele godzin później - długo po tym, jak kobieta przyznała, że wpakowała kulkę w głowę męża - Tony dowiedział się, że Donald maltretował ją i że miała na to dowody w postaci raportów z obdukcji. Postanowił, że na tym właśnie oprze swoją obronę.

Nie było to łatwe. Biorąc pod uwagę, że Donald Belfante zmarł w trakcie snu, trudno byłoby dowodzić, iż Gina czuła się bezpośrednio zagrożona. Umowa przedmałżeńska jeszcze pogarszała sprawę: w języku pieniądza nagradzała morderstwo, a karała rozwód. Nie było też niemal żadnych świadków - jak wielu maltretujących żony mężów, Donald Belfante bił zazwyczaj Ginę po całym ciele, w tym również w miejscach intymnych, nie tykając jednak twarzy; jak większość maltretowanych żon, Gina Belfante okłamywała wszystkich z wyjątkiem swojego lekarza. Poza tym kobieta z towarzystwa, która miała odziedziczyć dwadzieścia pięć milionów dolarów, z trudem mogłaby w oczach większości przysięgłych grać rolę osoby tak bezradnej, by potrafiła, powodowana strachem i rozpaczą, zastrzelić śpiącego męża. Tony zdawał sobie sprawę, że jego jedyną szansą było postawienie przed sądem jej świętej pamięci męża.

Donald Belfante był człowiekiem wielkiego formatu. Jak wielu przedsiębiorców, którzy zachowywali absolutną władzę nad swoim dziełem - w tym wypadku firmą produkującą stacje

dysków - był osobą ujmującą, egotyczną, czułą na afronty i skłoną do terroryzowania słabszych od siebie. Jeśli wierzyć Ginie, bił ją często i na oślep. Pobił ją cztery godziny przed swoją śmiercią i gdyby go nie zabiła, po przebudzeniu zabrałby się do tego znowu. Nie trzeba było wiele, by rozżłościć Donalda Belfante, on zaś lubił swoją złość. Gina żyła więc w strachu, obawiając się zawsze następnego pobicia, a owego krytycznego dnia - wciąż żywo obecnego w jej wyobraźni - bała się, że tym razem posunie się za daleko i ją zabije. Umowa przedmałżeńska, jak zapewniała, tonąc we łzach, nie była motywem jej czynu: stanowiła symbol nieopanowanej wściekłości, która ogarniała Donalda Belfante na myśl o tym, że mogłaby go opuścić. Gdyby tylko spróbowała - obiecał żonie - znajdzie ją i zabije. Tak więc jej przeświadczenie, że do tego dojdzie, nie wydawało się bezpodstawne.

Tak właśnie zeznała przed ławą przysięgłych. To właśnie powiedział przysięgłym psycholog powołany przez obronę. A Tony Lord - z całą empatią, jaką tylko zdołał z siebie wykrzesać - starał się skłonić ich, by najlepiej jak tylko potrafili wyobrazili sobie, co musiała czuć Gina Belfante.

W wieku czterdziestu sześciu lat Tony wyglądał wciąż jak typowy Amerykanin, który potrafi zjednywać sobie zaufanie innych: średniej długości blond włosy, dość młoda twarz, która wyrażała siłę, lecz nie groźbę, szczerze niebieskie oczy - miał także swoich odpowiedników w składzie ławy przysięgłych. Nigdy nie zachowywał się arogancko, nigdy nie nadużywał daru ironicznego komentowania wydarzeń i nigdy nie oddawał się oczywistej przyjemności płynącej z wykorzystywania swoich uzdolnień, co mogłoby wywołać niechęć któregoś z ławników.

Przysięgli zaufali Tony'emu Lordowi. A przed kilkoma sekundami, ku jego ogromnej uldze, uniewinnili Ginę Belfante.

Na sali rozpraw zawrzało: widzowie zwracali się ku sobie, dziennikarze biegli do kamer i komputerów, przysięgli obejmowali się, szczerze wdzięczni, że było już po wszystkim, a starej matce Donalda Belfante wyrwał się pełen bólu okrzyk. Gina Belfante padła w ramiona Tony'ego.

Jej ciało było delikatne i drobne. Kiedy jakiś dziennikarz zawołał: „Panie Lord”, Tony nie odwrócił się.

- Dziękuję - powtarzała Gina bez końca półgłosem. - Boże, Tony, dziękuję.

Tony rozumiał, że napawała się darem wolności. Podniosła na niego podkrążone oczy.

- Myślę, że cię kocham - powiedziała.

- Żonatego, i to prawnika? - Tony się uśmiechnął. - Nie wiem, co z tego jest gorsze. A obiecałaś, że zaczniesz dokonywać lepszych wyborów.

- A więc będę. - Gina zaśmiała się niepewnie, jakby jej śmiech ją zaskoczył. - Boże, co mam teraz zrobić?

Tony przestał się uśmiechać.

- Po prostu usiądź i zastanów się nad tym, Gino. Za chwilę może się okazać, że potrzebujesz

pomocy.

- Ale ja już jej potrzebuję. - Uśmiechnęła się prostodusznie, aż zmarszczyły się kąciki jej rozpromienionych oczu. - Jestem bogata i mogę zrobić wszystko, czego dusza zapagnie.

Tony pokręcił głową.

- Możesz zrobić prawie wszystko, czego dusza zapagnie.

Gina rozejrzała się po pustej sali sądowej, której fluorescencyjne światło nadawało ponury wyraz. Znowu się zamyśliła.

- Teraz, Tony, chcę tylko opuścić to miejsce i już nigdy tu nie wracać.

Tony skinął ponad jej ramieniem na strażników.

Kilka minut później stali na stopniach Pałacu Sprawiedliwości. Wiał słaby, chłodny wiosenny wiatr, lecz słońce świeciło mocno, a jego promienie odbijały się w obiektywach kamer jak w kryształach miki. Tony zawsze wypowiadał się w imieniu swoich klientów. Teraz również podniósł rękę, a reporterzy podsunęli mikrofony. Przyznał, że po kliencie, którego niewinność zdaje się nie budzić wątpliwości, najlepszą rzeczą dla obrońcy jest wygranie sprawy, która wydaje się przegrana.

Pytania padały jedno po drugim. W taki czy inny sposób Tony odpowiadał już na nie przy okazji wielu poprzednich procesów. Kiedy reporter z CNN zapytał go, czy Gina Belfante wygrała sprawę, ponieważ mogła sobie na niego pozwolić, odparował:

- Czy wobec tego pani Belfante jest zbyt bogata, by ją maltretować? A może dlatego, że innych oskarżonych w gruncie rzeczy pozbawia się domniemania niewinności, to samo powinno spotkać i ją? Wtedy ten kraj rzeczywiście stałby się rajem dla prokuratorów...

- Skoro już mowa o prokuratorach, usłyszeliśmy właśnie oświadczenie pana Salinasa - wtrąciła się reporterka z Channel Five. - Powiedział nam, że werdykt jest „emocjonalny” i że „brak wiarygodnych dowodów na to, że pani Belfante czuła się bezpośrednio zagrożona”.

Tony przyciągnął Ginę bliżej i popatrzył na młodą Azjatkę, która zadała to pytanie. Powiedział łagodnie:

- To niezbyt wytworna wypowiedź, prawda? I bardziej niż trochę krzywdząca dla przysięgłych. Ale przecież, w przeciwieństwie do przysięgłych, pan Salinas w ciągu ostatnich trzech tygodni nawet nie zbliżył się do sali sądowej. Nie było go także na miejscu, kiedy pan Belfante bił swoją żonę...

Wystarczy, Tony raptownie przestrzegł sam siebie. Musiał nadal współpracować z Victorem Salinase. Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie będzie już odpowiadał na pytania, i dodał:

- Pani Belfante potrzebuje teraz spokoju i ufam, że możecie go jej zapewnić.

Pocałował przelotnie Ginę Belfante w policzek.

- Niech ci się życie ułoży - powiedział cicho.

Uśmiechnęła się do niego, a wtedy dwóch strażników pociągnęło ją do podstawionej limuzyny i czekającego na nią życia. Tymczasem Tony Lord - czując zarówno żal, jak i ulgę z powodu przecięcia skomplikowanych więzów, które ich połączyły - wrócił do swojego.

U podstawy schodów Tony zobaczył swojego czarnego lincolna, ale nie dostrzegł przy nim kierowcy. Przemknął obok ostatnich dziennikarzy i otworzył tylne drzwi.

Przez nieprzezroczystą szybę nie mógł wcześniej spostrzec, że za kierownicą siedzi Stacey. Było to do niej tak niepodobne, że -zgodnie z jej intencją - Tony roześmiał się głośno. Zamknął drzwi i wśliznął się na przednie siedzenie obok żony.

Stacey spojrzała na niego błękitno-zielonymi oczyma i pocałowała niespiesznie, po czym wyprostowała się, zadowolona z wywołanego efektu zaskoczenia.

- Często tu przychodzisz? - spytała.

Przez chwilę Tony po prostu sycił oczy jej widokiem.

Była szczupłą, jasnowłosą kobietą, a wyraźne rysy jej twarzy niosły kilka sprzeczności: promienny uśmiech, który nie tuszował jakiegoś zmęczenia w oczach; świeża skóra prostolinijnej panienci pobrużdżona zmarszczkami w kącikach ust, które - gdy się uśmiechała - przypominały Tony'emu, że żona miała czterdzieści jeden lat. Nakładała tylko delikatny makijaż - dla piosenkarki i aktorki, której twarz jest tak powszechnie znana, brak dbałości o to, jak na co dzień widzą ją inni, był luksusem i aktem samookreślenia. Ale jej obecność w Pałacu Sprawiedliwości była tak zaskakująca, ponieważ zazwyczaj unikała procesów Tony'ego -nie lubiła sal rozpraw, a z tym budynkiem wiązały się przykre wspomnienia.

Dwanaście lat wcześniej Stacey dała koncert, by zgromadzić pieniądze dla swojego kochanka, senatora Jamesa Kilcannona, kandydata Partii Demokratycznej na prezydenta w prawyborach w Kalifornii. Gdy Stacey stała przy nim, Kilcannon został śmiertelnie postrzelony przez weterana z Wietnamu, Harry'ego Carsona, który znajdował się pod wpływem posttraumatycznego zaburzenia stresowego. Tak przynajmniej utrzymywał Tony Lord, który został jego obrońcą.

Początkowo Stacey gardziła nimi jednakowo: nawet teraz nie potrafiła do końca wyjaśnić, jak udało się jej oddzielić Tony'ego od jego klienta, a potem go pokochać. Ale tak właśnie się stało.

- Gratuluję - powiedziała.

W jej spojrzeniu uczucie mieszało się z cichym pytaniem.

- A jednak wciąż się zastanawiasz, z czym mi się upiekło, prawda? - rzekł Tony.

Stacey uśmiechnęła się nieznacznie, lecz uśmiech nie rozbłysnął w jej oczach; choć nauczyła się akceptować, a czasem nawet rozumieć bezlitosne oddanie Tony'ego dla obrony jego klientów, nie potrafiła się zmusić, by je podzielać.

- Nie tobie - odparła w końcu. - Przecież Gina Belfante mimo wszystko go zabiła. Rozumiem, na czym polega syndrom maltretowanej kobiety, ale czy akurat t a kobieta rzeczywiście wierzyła, że nie może od niego odejść?

Tony wzruszył ramionami.

- W obronie opartej na akcentowaniu stanu emocjonalnego klienta wszystko, co może zrobić adwokat, to pozwolić przysięgłym podjąć decyzję. Mam nadzieję, że w tym wypadku przysięgli ujrzeni Ginę Belfante taką, jaka naprawdę jest. A może po prostu stwierdzili, że jej następny mąż będzie wystarczająco bezpieczny, podczas gdy poprzedniego nie trzeba specjalnie żałować. - Tony od razu spostrzegł, że nie powinien tego mówić. - Jeśli to cię pocieszy, Stacey, to nigdy nie miałem klienta, którego wybroniłem od zarzutu popełnienia morderstwa, a który potem raz jeszcze zrobiłby to samo. Przynajmniej dla mnie jest to jakaś pociecha.

Stacey przyglądała mu się w milczeniu.

- No cóż, po prostu cieszę się, że jest już po wszystkim. Stęskniłam się za tobą - powiedziała w końcu.

Tony przyciągnął ją do siebie i przytulił twarz do jej karku. Włosy i skóra Stacey pachniały świeżością.

- To za mało. Jedźmy do domu - wyszeptała.

Ich dom na Pacific Heights znajdował się w kwartale prywatnych rezydencji; z jego okien rozciągał się widok na zatokę. Podobnie jak samochód i kierowca, dawał poczucie bezpieczeństwa i prywatności. Dobrze, zauważył z ironią Tony, że Stacey mogła sobie na niego pozwolić. Jego żonę nękali czasem gapie, a część jego klientów była bardzo niepopularna. Nawet gdyby życie nie udzieliło im kilku lekcji, mieli wystarczające powody, by troszczyć się o bezpieczeństwo swoje i Christophera, syna Tony'ego.

Była to tylko część ceny, jaką płacili - w gruncie rzeczy wbrew swojej woli - za sławę: nieznajomi przyglądali się im w restauracjach; ludzie, którzy prawie ich nie znali, plotkowali beztrwosko na ich temat i podawali się za ich przyjaciół; inni z kolei zaprzyjaźniali się z nimi błyskawicznie, lecz wyłącznie z powodu sławy. Ostatecznie jednak Tony i Stacey odnosili się do tego wszystkiego niechętnie, podobnie jak niechętnie myśleli o założeniu, jakoby byli wolni od tego, co stresowałoby każdą inną zagonioną parę: od wątpliwości co do ich karier; dbałości o to, by nie słabły ich więzi małżeńskie; od świadomości, że pracują zbyt wiele; od uporczywego pytania, czy - skoro Stacey nie mogła mieć dzieci - powinni je adoptować; od nachodzących ich od czasu do czasu obaw związanych z taką czy inną zmianą w Christopherze. Przede wszystkim jednak podzielali przekonanie, które było obce większości ludzi: świadomość tego, że szczęście jest kruche, a powodzenie to dar.

Co prawda nie musieli się martwić o pieniądze i - dzięki sukcesowi, jaki odniosła Stacey - nigdy nie będzie im to zaprzętać głowy. Jeśli jednak byli szczęśliwi, a najczęściej rzeczywiście tak było, to mniejsza była w tym zasługa pieniędzy niż ich miłości do Christophera i do siebie nawzajem, miłości, w której potrafili szanować swoją odrębność. Być może właśnie dzięki temu byli sobie tak bliscy. Stacey nigdy nie prosiła Tony'ego, by nie przyjmował spraw, dla których musiałby wyjeżdżać z miasta - rezygnował z nich z własnej woli. Podobnie ona zaczęła rozważniej przyjmować role - od Oscara minęło już pięć lat i coraz rzadziej zgadzała się na grę w tych filmach, które - ze względu na



zdjęcia w plenerze - wymagały całkowitej ucieczki od rzeczywistości i od ich życia. Ostatnio wróciła do pisania i nagrywania piosenek, podtrzymując swoją popularność trochę tak jak Bonnie Raitt i Carly Simon, teraz jednak czytała niezwykle dobry scenariusz z rodzaju tych, które - jak zauważył ze szczyptą ironii Tony - pasowały do kobiety w jej wieku: bez rozbieranych scen, pościgów samochodowych, dinozaurów i dzieci na planie. Część z ich pospiesznych kolacji podczas sprawy Belfante pochłonęło analizowanie tego pomysłu. Tony i Christopher znaleźli się w samym centrum życia Stacey i niechętnie zgodziłyby się, by to zmienić.

Kiedy weszli do salonu, zastali w nim Christophera. Noga w bucie nike spoczywała na oparciu kanapy, chłopiec zaś wyglądał jak sterta ubrań: workowate jeansy, workowata bluza, baseballowa czapeczka. Pod daszkiem widać było twarz, która zadziwiająco przypominała twarz siedemnastoletniego Tony'ego Lorda. Chłopak przyglądał się im z uśmiechem.

- Cześć - powiedział, nie ruszając się z miejsca. - Jak leci?

Tony wiedział, że jego syn właśnie skończył grać w baseball i ta ociężałość w połączeniu z dostatkiem odpowiadały za to, jak wyglądał. Christopher uważał owe sprzyjające warunki za misterny dowcip, który może skończyć się o zachodzie słońca, a Tony zdawał sobie sprawę, że wynikało to z wrodzonej ostrożności chłopaka. Choć Christopher nigdy o tym nie mówił, z pewnością pamiętał konflikty, których był świadkiem przez pierwsze sześć lat swojego życia: kłótnie rodziców o pieniądze, ambicje ojca, niezadowolenie matki. Pamiętał również następne trzy lata, już po rozwodzie, kiedy matka upierała się, by mogła go wychowywać, co wynikało nie tyle z miłości, ile z chęci sprawienia bólu Tony'emu, prawdziwej opoce Christophera. Tony uwielbiał syna i nigdy nie potrafił zrozumieć, jak Marcia mogła się pozbawić przyjemności i odpowiedzialności wiążących się z wychowywaniem chłopca przez to, że wyniosła się do Los Angeles, by prowadzić tam płytkie - zdaniem Tony'ego - życie u boku swego płytkiego drugiego męża. Ale postąpiła tak i Tony był jej za to bardzo wdzięczny.

Stał obok Stacey z rękami na biodrach i przyglądał się synowi pogrążonemu w udawanym letargu.

- Leci po prostu superowo - poinformował Christophera.

- To świetnie - odparł chłopak. - Więc będę mógł dziś wieczorem pożyczyć samochód? Aaron i ja uczymy się do egzaminów.

Przyglądając się pasierbowi, Stacey przekrzywiła głowę.

- Czy to wszystko? Nie zamierzałeś spytać ojca, dlaczego tak wcześnie wrócił do domu?

Christopher spojrzał na nią ze zdziwieniem, a Tony zaraz zauważył, że syn zaczyna rozumieć.

- Ach, tak, proces. Przepraszam. - Zwrócił się do Tony'ego: - Wygrałeś?

- No.

- Fajnie. - Christopher usiadł prosto. - Czy ona to zrobiła?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała ironicznie Stacey. - Ale twój tata mówi, że nie w tym rzecz.

Christopher patrzył to na jedno, to na drugie z rozbawieniem w oczach. Potem wstał, zrobił trzy kroki przez salon i niezdarnie uścisnął ojca.

- W takim razie gratuluje, *padre*.

Tony skorzystał z okazji, by mocno przytulić syna. Odsuwając się, powiedział z uśmiechem:

- Dziękuję za to spontaniczne zainteresowanie moim życiem.

Chłopak uśmiechnął się.

- Nie ma sprawy - odparł, bawiąc się włosami ojca. - W każdym razie doskonale dajesz sobie radę beze mnie.

Co powiedziawszy, Christopher Lord poszedł poszukać kluczyków do samochodu ojca.

Tony przygotował dzbanek z martini, usiadł koło Stacey i nalał sobie i żonie po lampce. Zapatrzyli się na żaglówki, którymi upstrzona była zatoka.

- Co my zrobimy, kiedy Christopher wyjedzie do college'u? - rzucił.

Stacey spojrzała na zegarek.

- To samo, co, powiedziałabym, zrobimy za jakieś piętnaście minut. - Uśmiechając się do niego, dodała: - Dałam Marcelli wolny wieczór.

Tony natychmiast odstawił drinka.

- Ty pierwsza. Lubię na ciebie patrzeć.

Stacey szła przed nim na górę do wielkiej sypialni.

Po pięciu czy sześciu stopniach zaczęła zdejmować ubranie:

sweter, potem biustonosz, jeszcze później niebieskie jeansy. Tony patrzył, jak jej szczupłe ciało wspina się po schodach. Gdy doszła na górę, zatrzymała się, ale nie odwróciła. Jednym falującym ruchem, w którym zmysłowość mieszała się z żartem, Stacey opuściła majtki.

- Rewelacyjnie - stwierdził i teraz już żadne z nich nie żartowało.

- Kocham cię - powiedział do niej.

Oczy Stacey rozpromieniły się uśmiechem.

Leżeli w zacienionej sypialni, Stacey pod mężem, nasyceni sobą, a pot po kochaniu chłodził ich ciała. Tony wciąż czuł, że jest w niej i że jest mu ciepło, piersi Stacey przywierały do jego klatki. Jego członki opanowało przyjemne znużenie.

- Jak sądzisz, ile razy się kochaliśmy? - zapytała Stacey.

Tony uśmiechnął się.

- Ostatnio za mało.

Pocałowała go i powiedziała:

- W czasie procesu jest tak, jakbyś żył w innym miejscu. To chyba podobne do grania.

- Aktorzy przynajmniej wiedzą, co mają powiedzieć inni. I jak się kończy cała historia.

Tony wysunął się z niej i przesunął w dół łóżka, cały czas całując żonę. W końcu położył głowę na jej łonie. Widział, jak odwraca głowę w stronę okna i spogląda nieobecny wzrokiem na pastelowe niebo wczesnego wieczoru.

- Zastanawiałam się nad tym scenariuszem - powiedziała.

- I?

- Nie wiem.

Tony uniósł głowę.

- Nie mogę zdecydować za ciebie, Stace. Nawet nie chcę głosować.

Odwróciła się ku niemu i uniosła głowę nad poduszkę.

- Nawet ze względu na siebie?

Pokręcił głową, wciąż się jej przyglądając.

- Podoba ci się ta historia, a zazwyczaj tak nie jest.

- Wiem, a oni chcą znać odpowiedź. - Zmarszczyła czoło. - To nie jest najlepszy czas, by im jej udzielić. Wydaje mi się, że dopiero co wróciłeś.

Uśmiechnął się i odpowiedział:

- Wezmę kilka dni wolnego, a potem będziesz już gotowa.

- Jeśli to zrobisz, to może już nigdy nie będę gotowa. - Odwróciła się ku zamkniętym drzwiom sypialni. - Może zrobimy nalot na lodówkę i przyniesiemy tu coś... wino, ser, wszystko jedno. Co tylko chcesz.

- Wędzone ostrygi.

Stacey zrobiła minę i wtedy właśnie zadzwonił telefon.

To była ich prywatna linia, zarezerwowana dla bliskich przyjaciół i nagłych wypadków. Tony

poczuł, jak napinają mu się mięśnie.

- Zostaw, niech dzwoni - szepnęła.

- Nie mogę. Mamy przecież siedemnastolatka, który jeździ po mieście samochodem.

Stacey spojrzała na niego ze zrozumieniem i skinieniem głowy wskazała telefon. Odebrał po trzecim sygnale.

- Panie Lord, mówi pana serwis telefoniczny... - odezwał się męski głos.

- Jezu - Tony mruknął poirytowany.

- Otrzymaliśmy dwa połączenia międzymiastowe - kontynuował operator. - Od niejakiej Sue Robb. Twierdzi, że to pilne... - Tony usiadł na brzegu łóżka, instynktownie odwracając się od żony. - Mam ją na linii, panie Lord. Czy powie, że pan oddzwoni?

Tony zawahał się.

- Nie. Proszę ją połączyć.

Tony stał przy oknie, a Stacey leżała na łóżku i obserwowała go.

- Jeśli tam wrócisz, wszystko zacznie się od nowa - powiedziała.

Przez chwilę nie odpowiadał. Czuł, że to prawda.

- Wiem.

- Jeśli ja cię w ogóle rozumiem, Tony, to przez całe dorosłe życie starałeś się zostawić to za sobą. Lecz wciąż miewasz koszmary, nawet teraz. A czasami, kiedy na ciebie patrzę, wydaje mi się, jakbyś był tam, a nie tu.

Tony nie odpowiedział.

- Sam i Sue byli moimi najlepszymi przyjaciółmi - rzekł po chwili. - Czuję się po części winien, że tak ich zostawiłem.

- Jeśli dobrze pamiętam, jedno z nich było kimś więcej niż przyjacielem. - Głos Stacey złagodniał. - Odejdźcie stamtąd pozwoliło ci przetrwać, Tony. Czasami nie wiem, jak w ogóle udało ci się przez to przejść.

Tony odwrócił się i podszedł do łóżka.

- To, co się teraz dzieje, może zniszczyć ich oboje. Wtedy ja potrzebowałem adwokata, a teraz oni.

Stacey z zafrasowaniem pokręciła głową.

- Jest w tym coś niepokojącego. To za bardzo przypomina tamtą sytuację...

- A ta była dla mnie niesprawiedliwa. Może teraz to jego spotyka niesprawiedliwość. Wiem aż nazbyt dobrze, czym to miasto może być dla człowieka. - Umilkł, walcząc z niepokojem, który i jego ogarniał. - Muszę jechać, kochanie. Chociaż na kilka dni. Mimo że wcale tego nie chcę.

Stacey opuściła wzrok na łóżko i powoli skinęła głową.

Nie chciał, żeby tak to wyglądało.

- W ogóle nie potrafię tego wytłumaczyć...

Podniosła się z łóżka i otoczyła ramionami jego szyję.

- Naprawdę nie musisz, Tony. Scenariusz może poczekać kilka dni. - Stacey urwała na chwilę. - Jeśli do tego dojdzie, zaopiekuję się Christopherem. Wiem, że prawdziwe życie dopomina się o swoje. A to, które prowadziłeś, nim się zjawiłam, zawsze się dopominało.

Podczas lotu, którym Tony Lord po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat udawał się do Lake City w stanie Ohio, do domu swojej młodości, w jego pamięci zaczęły się pojawiać - niczym fragmenty filmu - sceny z nocy, której zginęła Alison Taylor.

Nie mógł się pozbyć tych obrazów. Pojawiała się w nich nie tylko dziewczyny, nie tylko Sam i Sue, których kryzys teraz właśnie nadszedł, ale także miesiące, które nastąpiły po śmierci dziewczyny. Nie miał wątpliwości, że wyrazistość tych wspomnień zawdzięczał temu, co znalazł na tyłach domu Taylorów, oraz że wszystko, co czuł od tamtej chwili, przepołowiło jego życie niczym rysa. Natomiast trudniej mu było odtworzyć to, kim był kilka godzin przed tym zdarzeniem, kiedy nie zbrukała go jeszcze świadomość, że tragedia, tak jak namiętność, może przytrafić się w najmniej oczekiwanym momencie.

Byli wtedy w wieku Christophera, mieli po siedemnaście lat.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **ALISON TAYLOR**

**Listopad 1967-sierpień 1968**

## JEDEN

Tony Lord stał w blasku światła.

Powietrze tej nocy było świeże i chłodne. Pachniało delikatnie palonymi liśćmi i bermudzką trawą, a zapach oleju, na którym smażono popcorn, unosił się nad otwartymi trybunami. Oświetlone reflektorami boisko futbolowe miało fluorescencyjną, żółto-zieloną barwę; otaczała je ciemność. Okrzyki i dudnienie nóg na drewnianych podestach dawały upust energii trzynastotysięcznego miasteczka, jedyne w swoim rodzaju miejsca leżące niespełna pięćdziesiąt kilometrów od pokrytego rdzą Steelton, w którym mogli pracować ojcowie, ale do którego rzadko jeździli ich rodziny.

Zebrało się tu pół miasta: rodzice, dziadkowie, inni dorośli oraz większość dzieciaków z liceum, a także ich młodsze rodzeństwo, które wykorzystywało okazję, żeby się trochę poprzepychać, pogadać i po prostu spotykać. Jednak dla pozostałych, okutanych w płaszcze, z wełnianymi czapkami na głowach i w skórzanych rękawiczkach, mistrzostwa konferencji Erie wiązały się ze szkolną dumą, z historią miasta i z przechwalaniem się swoimi prawami na spotkaniach rotarian, podczas służbowych rozmów telefonicznych i pogawędek palaczy w klubie Łosi. W ich wrzaskach pobrzmiwał niepokój: Lake City przegrywało dziesięć do siedmiu, a Riverwood miało piłkę na linii pięćdziesięciu jardów i minutę czterdzieści sekund do końca. Była trzecia runda, a przed nimi jeszcze pięć. Lakersi mieli tylko jedno wyjście - skończyć grę.

Riverwood rozbiło skupisko graczy, siedmiu chłopców w czerwonych bluzach z ochraniaczami i białych spodenkach podeszło do linii, ciągnąc za sobą cienie. Za nimi ustawili się obrońcy: jeden quarterback, jeden fullback i dwaj halfback. Quarterback Riverwood, Jack Parham, wsunął ręce między nogi centra, kiedy siedmiu graczy pochyliło się nad kręgiem z kredy, który oznaczał środek boiska. Naprzeciw nich stali czterej rośli zawodnicy w niebieskich strojach Lake City: linia defensywna, za nimi linebackerzy, a dalej - zagradzający drogę zawodnikowi, który mógłby spróbować wydrzeć się z piłką z kłębowiska - dwaj obrońcy halfback i dwaj safeties. Jednym z halfbacków był Tony Lord, drugim Sam Robb - jego najlepszy przyjaciel.

Jack Parham wyrzeszczał komendy. Kątem oka Tony zauważył, że Sam ostrożnie jak kot przepycha się do przodu.

Center złapał piłkę.

Parham wepchnął ją w brzuch swojego fullbacka. Gdy ten dopadł linii, Tony zobaczył, że Parham z powrotem zabrał piłkę i ukrył ją pod prawym ramieniem. Był to sweep, dzięki któremu quarterback chciał pokonać ostatnie pięć metrów i zdobyć kilka cennych sekund.

Sam przygotował się już, by zatrzymać Parhama, gdy Tony krzyknął:

- Sweep!

Parham biegł samotnie po prawej stronie swojej linii, ale Sam wystrzelił jak z procy. Kiedy tamten skręcił, zauważył, że Sam jest już tylko dziesięć metrów od niego.

Biegnąc za Samem, Tony dostrzegł, że Parham zawahał się, rozważając, czy wybiec na aut. Ale wtedy zatrzymano by zegar. W chwili niezdecydowania quarterback Riverwood zwolnił i wyprostował się.

Tony zbyt dobrze znał Sama Robba, by nie wiedzieć, że był to błąd.

Sam był trzy stopy od Parhama, kiedy skoczył. Jego ciało wyprężyło się, tworząc linię prostą. Uderzył kaskiem w okrytą ochroniaczem twarz przeciwnika.

Rozległ się złowrogi trzask, głowa Parhama poleciała do tyłu, a piłka wypadła mu z rąk. Tłum zawył, gdy potoczyła się na trawę, półtora metra przed Tonym.

Tony zanurkował. Gdy jego twarz uderzyła w ziemię, chwycił piłkę obiema rękami i przycisnął ją do piersi. Zebrał się w sobie, kiedy trzy ubrane na czerwono ciała rzuciły się na niego, uderzając w kręgosłup oraz klatkę piersiową i wczepiając się w ramiona i ręce, aby odebrać mu piłkę. Tony czuł zapach ich potu.

Rozległ się gwizdek.

Tony podniósł się powoli i stanął pośród odgłosów bliskich hysterii. Czuł świeże zadrapania na ramieniu. Podał piłkę sędziemu ze spokojem, którego nie czuł, lecz który uznał za stosowne udawać. Natomiast Sam stał przed trybuną zajęta przez kibiców Lake City. Wznosił ręce, trzymając w jednej z nich kask, tak że jego proste blond włosy lśniły w świetle reflektorów. Chyba nie wiedział, że Jack Parham jeszcze się nie poruszył.

Wydawało się, że tłum widział tylko Sama, wrzask ludzi rósł w ciemnościach. Krzyki ucichły dopiero wtedy, gdy do leżącego wciąż bez ruchu zawodnika podeszli trener i instruktor Riverwood.

Tony nie patrzył ani na trybuny, ani na Parhama, ale na zegar. Zobaczył, że do końca pozostała minuta i dziewiętnaście sekund, i zaczął się zastanawiać, jak wykorzystać swoją agresję fullbacka, jakie zagrania pozwolą im wygrać i jak zapanować nad Samem.

W ataku to Tony był quarterbackiem. Jednak następna minuta, ostatnia w ich karierze, należała do nich obu.

Czekali na tę chwilę od dziewiątej klasy. Wszystko zaczęło się dwa tygodnie po tym, jak Tony przeszedł do publicznego ogólniaka z Imienia Chrystusowego, szkoły parafialnej, do której jego rodzice, polscy katolicy, posyłali go tak długo, jak tylko mogli. Wówczas to trenerzy powierzyli Tony'emu zadanie, które Sam Robb uważał za swoje.

W wieku czternastu lat Sam był już wysoki i szybki, miał silną rękę i był pewny siebie, przez co większość dzieciaków schodziła mu z drogi. Jego porywczy temperament sprawiał, że wielu trochę się go nawet bało. Było oczywiste, że nie spodziewał się żadnej konkurencji, a już na pewno nie ze strony tego katolickiego intruza.



Przez kilka dni ćwiczyli obok siebie, prawie się do siebie nie odzywając. Tony zorientował się, że Sam był lepszym sportowcem. On sam miał jednak szybki refleks i to coś, czego nie potrafił nazwać, a co chyba bardzo odpowiadało trenerowi. W drużynie dało się wyczuć napięcie. W typowym małym miasteczku, którego największą atrakcją były chłopięce sporty, wszyscy wiedzieli, że trener Ellis wybiera nie tylko quarterbacka dziewiątej klasy, ale kogoś, kogo przysposobi na quarterbacka liceum w Lake City.

Podczas ostatniego treningu zza bocznej linii obserwował ich George Jackson, trener pierwszej drużyny uniwersyteckiej.

Sam przycisnął mocno całą drużynę, wybierając takie zagrania, w których mógł pokazać siłę ramion i prędkość. Pod koniec trener Ellis wziął Sama na bok.

To Tony był quarterbackiem.

W szatni przyjmował gratulacje od wielu kolegów, ale nie od Sama, którego jakby wcale tam nie było. Potem Tony poszedł na trybuny i siedział tam samotnie, dziwiąc się swojemu szczęściu. Usłyszał ciężkie kroki dudniące na deskach, a gdy podniósł wzrok, zobaczył, że wspina się ku niemu Sam Robb z tym swoim typowym, aroganckim wyrazem twarzy.

Sam usiadł obok bez słowa. Tony spodziewał się, że każe mu nie wchodzić sobie w paradę.

- Ci trenerzy gównem wiedzą - odezwał się wreszcie. - Wciąż za bardzo cofasz stopę.

Tony obrócił się ku niemu.

- Jak to?

Sam spojrział na niego uważnie.

- Mam duże podwórko. Pokażę ci.

Po chwili Tony skinął głową.

- W porządku.

Niosąc książki i segregatory, minęli w milczeniu kilka przecznic, które dzieliły szkołę od domu Sama.

Jeśli chodzi o wiadomości z pierwszej ręki, wiedza Tony'ego o życiu Sama była nikła. Z drugiej strony jednak w Lake City nie sposób było w ogóle nie mieć o kimś pojęcia. Choć Robbowie należeli do miejscowego klubu, do którego rodziców Tony'ego nigdy nie zaproszono, powszechnie uważano, że sklep żelazny ojca Sama podupada. Dlatego Tony nie zdziwił się, że biały drewniany dom Robbów, który stał pośrodku okazałego, otoczonego dębami podwórza, choć duży, był nieco obskurny. Nie zaskoczyło go również i to, że na gzymsie kominka w salonie widniały trofea zdobyte przez brata Sama. Joe zdobył tytuł sportowca roku liceum w Lake City w 1962, na dwanaście miesięcy przed swoim wyjazdem do Wietnamu, gdzie zginął. Tony wiedział też, że ojciec Sama - wysoki, choć z wydatnym brzuchem - był kiedyś bardzo wysportowany, a potem prezesował klubowi

kibica w Lake City. Natomiast bardzo zaskoczyła go matka kolegi.

Dottie Robb była blondynką, której miła twarz, zadarty nos i błękitne oczy przywodziły na myśl Sama, choć o tym, że jej młodość już minęła, przypominał podwójny podbródek i opuszczone ramiona. Leżała na kanapie w jasnej, niestosownej letniej sukience i zdawało się, że wzrok miała zamglony. Zignorowała Tony'ego i odezwała się do syna:

- Obiecałeś, że skosisz dzisiaj trawnik.

Ton jej głosu był zabawny, mówiła niewyraźnie i starała się być ostra, nieco wydymając przy tym wargi. Sam zeszywniał.

- Wychodzimy za dom, żeby poćwiczyć.

Dottie Robb uniosła brwi.

- Och - rzekła trochę drwiącym tonem - futbol.

Przestępując z nogi na nogę, Tony zauważył na stoliku przy kanapie na wpół opróżnioną szklaneczkę z czymś, co wyglądało jak whisky. Zrobił krok naprzód.

- Jestem Tony Lord.

Jakiś instynkt ostrzegł go, by nie dodawać „proszę pani”.

Przyjrzała mu się powoli od góry do dołu. Potem całkiem zwinnie wstała z kanapy i wdzięcznie podała mu dłoń. Skórę miała chłodną i suchą, ale błękitne oczy patrzyły odważnie i nieco drwiąco.

- Jestem Dottie, mama Sama.

Dottie Robb popatrzyła na niego jeszcze chwilę, a następnie podeszła do Sama i pocałowała go w policzek, przed czym się nie uchylał, ale też i do tego nie zachęcał. Gdy wzięła syna w ramiona, jego oczy pozostały bez wyrazu.

Sam bez słowa poprowadził Tony'ego na podwórko za domem.

Trawa była tam gęsta, a klombami najwyraźniej nikt się nie zajmował. Z gałęzi kasztanowca zwisała na linie stara opona od ciężarówki.

Sam powiedział bez wstępu: „Patrz na moje stopy”, po czym odszedł na pięć metrów od opony.

Zakołysał się na piętach, a kiedy rzucił, Tony zauważył, że cały ciężar ciała oparł na wysuniętej do przodu stopie. Piłka przeleciała przez otwór w oponie.

- Rękę masz całkiem w porządku - stwierdził. - Ale jak mówił Joe, mój brat, jeśli źle rozłożysz ciężar ciała, piłka poleci za blisko. Jak się nie przyłożysz, nic nie osiągniesz.

Wiedząc, że nie są to słowa czternastolatka, lecz jego nieżyjącego starszego brata, Tony zdziwił się, iż rodzina Sama tak wielką wagę przywiązywała do jego sukcesu. Po raz pierwszy odczuł

hojność kolegi: w tym domu utrata pozycji quarterbacka oznaczała o wiele więcej niż w domu Tony'ego.

- Teraz twoja kolej - powiedział Sam.

Tony złożył się do rzutu, a Sam stanął za nim, położył mu ręce na biodrach i udzielał lakonicznych wskazówek. Tony trafił siedem razy na dziesięć.

W końcu Sam skinął głową bez słowa i spod ramienia wypuścił piłkę Tony'emu.

- Aut - powiedział, podbiegł kilka stóp, a następnie rzucił się pędem lewą stroną podwórka w kierunku klombu.

Tony podał.

Piłka poszybowała leniwie nad głową Sama. Ten przyspieszył, żeby ją złapać. Wtem zgubił rytm, przeskoczył przez krzaki róż, a piłka upadła za nim.

Za ich plecami ze skrzypieniem otworzyły się drzwi z siatką. Dottie Robb zawołała głosem, który nieoczekiwanie stał się piskliwy:

- Uważajcie na róże, są moim oczkiem w głowie.

Odwrócili się ku niej. Przyglądała się im, opierając obiema dłońmi o futrynę. Sam stał tuż obok klombu róż i patrzył na matkę. Zaczerwienił się, lecz usłuchał. Tylko Tony usłyszał, jak mruknął pod nosem:

- Spieprzaj.

Zadowolona Dottie Robb zamknęła za sobą drzwi. Tony zastanawiał się, jak długo ich obserwowała. Albo jak długo piła.

- Jeszcze raz - zarządził Sam. - Tylko rzuć piłkę mniejszym łukiem, dobrze? I nie zniszcz jej kretyńskich róż.

Odpowiedział z poczuciem solidarności i dumy:

- Chwyty to moja najmocniejsza strona.

Następne cztery podania były niemal doskonałe.

- No dobrze - rzekł nagle Sam. - Musimy zagrać. Któregoś dnia w liceum będziemy grać ważny mecz, a jego wynik będzie zależał ode mnie i od ciebie. - Przerwał, spojrzał na Tony'ego i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Zostanę najlepszym chwytającym w historii liceum w Lake City. Będziesz takiego potrzebował.

Tony przyjrzał mu się uważnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Sam przestał się uśmiechać.

- Inni chłopcy cię lubią - stwierdził bez ogródek. - Oni będą grali dla ciebie. Ale ty będziesz

potrzebował mnie.

Tony zdał sobie sprawę, że w tym wyznaniu było coś przejmującego i że Sam starał się to ukryć pod przechwałkami.

- Biegnij wzdłuż linii bocznej - odezwał się po chwili Tony. - Tak jak do tej pory. Tylko zmyśl chłopaka, który cię będzie pilnował, i cofnij się ostro przez środek.

Sam odrzucił piłkę Tony'emu.

Ten zatrzymał się na chwilę, usiłując wyobrazić sobie to, co chciał osiągnąć. Dzień - miękkie światło późnego popołudnia i coraz głębsza zieleń traw i drzew - przechodził w noc. Widzialna była tylko ta chwila, którą chciał stworzyć.

Czuł, że Sam czeka cierpliwie, jakby go rozumiał.

- Już! - krzyknął Tony.

Sam pobiegł w lewo, w stronę róz, a Tony ruszył szybko do tyłu i odskakując w prawo, zrobił unik przed wyimaginowanym przeciwnikiem.

Nagle Sam skręcił na środek pola. Tony natychmiast się zatrzymał i rzucił piłkę na prawo, ponad głowę kolegi. Ten pobiegł za nią tak szybko, jak tylko potrafił, aż zobaczył, że opada. Zebrał się w sobie, rzucił naprzód i chwycił piłkę końcami palców.

Zatrzymał się i odwrócił, trzymając piłkę wysoko nad głową. Przez chwilę Tony'emu zdawało się, że Sama już tu nie ma, że słucha wyobrazonego tłumu, który skanduje jego imię. Oczy miał na wpół przymknięte.

Otworzył je nagle.

- Przyłożenie! - zawołał do Tony'ego. - O to chodzi w tej grze.

Nadszedł ich moment.

To, że z trybun obserwowała go Alison i jego rodzice, nic dla Tony'ego nie znaczyło; kontuzja Jacka Parhama dawała im tylko tę przewagę, jaką był „czas” dla drużyny. Kiedy Tony biegł do linii bocznej, nie zwracał niemal uwagi na zachęty Sue Cash, jej kręcone kasztanowe włosy, promienny uśmiech i słaby zapach perfum, gdy pod jej przewodnictwem cheerleaders śpiewały: „Jesteśmy Lakersami, jesteście wielkimi, wielkimi Lakersami...”

Za linią boczną trener Jackson chodził nerwowo w tę i z powrotem i spoglądał na zegarek, dosłownie umierając bez papierosa. W wieku czterdziestu pięciu lat miał już za sobą jeden zawał, a tylko papierosy pozwalały mu nie przybrać na wadze, do czego - świadczyła o tym choćby potężna klatka piersiowa - miał skłonności. Poczzerwieniał na twarzy i wpatrywał się w Tony'ego swoimi wąskimi oczami węża.

- Jak chcesz zagrać?

Tony wyjaśnił mu.

Oczy Jacksona rozszerzyły się jak zawsze, gdy chciał kogoś nastraszyć.

- Sam jest przez cały czas kryty.

Tony wzruszył ramionami.

- Więc nie będą się tego spodziewać.

Przez twarz Jacksona przemknęło coś na kształt rozbawienia. Była w tym głęboko zakorzeniona sympatia dla chłopca, który stał przed nim, i jego własna duma, że tak dobrze potrafił oceniać charaktery. Tony rozumiał, że trener żył dla takich właśnie chwil.

- Tylko, do cholery, wygraj tę grę - odpowiedział Jackson.

Gdy Tony wrócił na boisko na czele drużyny atakującej, jeden z graczy Riverwood oraz ich trener pomagali właśnie Jackowi Parhamowi opuścić plac gry. Sam odezwał się, truchtając ciągle obok Tony'ego:

- To było dobre: faul i czas.

W głosie Sama słychać było pierwotną radość, jego poziom adrenaliny wzrastał. Gdy zawodnicy się zbierali, Tony zatrzymał się na chwilę, by na nich popatrzeć. To był atak: Sam; muskularny fullback Johnny D'Abruzzi, przyjaciel Tony'ego ze szkoły Imienia Chrystusowego, i halfback Ernie Nixon - jedyny Murzyn w szkole. Na ich twarzach malowały się napięcie i złość. Tony starał się mówić rzeczowo.

- Rozegramy tę piłkę od razu. Żadnych przepychanek, żadnych fauli. Nie wolno tracić głowy ani zgrywać bohaterów. Robimy tylko to, co do nas należy, i gra jest nasza. Ja będę pilnował zegara.

Wyglądało na to, że drużyna się uspokaja. Tony dał sygnał do rozpoczęcia i wszyscy rozbiegli się, zajmując pewnie swoje pozycje. Stojąc za nimi, Tony rzucił okiem na obronę. Zegar wciąż pokazywał minutę i dziewiętnaście sekund; nie ruszy, dopóki center nie rzuci piłki. Tony zajął pozycję za centrem. Wrzaski tłumu docierały do niego tylko jako odległy hałas, czuł też, że Johnny D'Abruzzi stanął za nim, a Ernie Nixon po jego prawej stronie. Zaczął wykrzykiwać komendy.

Piłka trafiła do jego rąk. Po pierwszym zetknięciu z ochraniaczami na ramionach, liniowy krzyknął z bólu i ze złości, Tony zaś obrócił się i podał piłkę Erniemu Nixonowi.

Czarnoskóry halfback trafił w linię, skręcając nieco w lewo, pięć metrów dalej przedarł się przez wyrwę, aż w końcu linebacker Riverwood uderzył go w pierś swoim kaskiem i powalił na ziemię.

Następne zagranie - bieg Johnny'ego D'Abruzziego - niemal na nic się nie zdało.

- Czas - Tony zawołał do sędziego.

Dopiero wtedy spojrział na zegar.

Czterdzieści cztery sekundy. Właśnie wykorzystał ich ostatni „czas”.

Drużyna stłoczyła się wokół Tony’ego, a Johnny D’Abruzzi krzyczał:

- Dajcie mi jeszcze raz tę piłkę...

Sam wszedł między nich i chwycił Tony’ego za bluzę. Jego twarz wykrzywił grymas strachu i frustracji.

- Jestem wolny. Musisz zacząć rzucać, bo kończy nam się czas.

Tony spojrział na ręce Sama, tłumiąc swój gniew.

- Mamy mnóstwo czasu - powiedział, lecz ton jego głosu mówił coś więcej: „To nie jest jeszcze nasza chwila”.

Popatrzyli na siebie i Sam opuścił ręce. Tony zwrócił się ku pozostałym, jakby nic się nie stało. Serce waliło mu jak młotem.

- Dobra. - Spojrział w zawzięte oczy Johnny’ego D’Abruzziego i podjął decyzję. - Johnny znowu pobiegnie, tym razem lewą stroną. A potem ja spróbuję.

Zobaczył, że Sam się zdziwił, a Ernie Nixon rozczarował, lecz zignorował ich obu i wezwał drużynę, by przygotowała się do dwóch kolejnych zagrań. Ale kiedy się rozbiegli, chwycił Erniego za rękaw.

- Liczę, że odetniesz liniowego po lewej.

- Zrobi się.

Tony odwrócił się i udając bez troskę, przeszedł spokojnie obok centra. Wtem rzucił:

- Chata trzy.

I w tym momencie piłka znalazła się w jego rękach, by następnie trafić do Johnny’ego D’Abruzziego, który ruszył w lewo za Erniem Nixonem. Ernie przeciął drogę graczom nadbiegającym ku Johnny’emu, z zaciekłością graniczącą z pięknem spiął się w sobie i uderzył piersią prawego liniowego Riverwood, odrzucając go do tyłu. Tymczasem Johnny pomknął dalej, lecz nagle, zupełnie nieoczekiwanie i nieodwołalnie, przewrócił się, potknąwszy o nogi upadającego zawodnika.

- Cholera - mruknął pod nosem Tony.

Zegar pokazywał trzydzieści jeden sekund, trzydzieści, dwadzieścia dziewięć. Zostało jeszcze dwadzieścia metrów.

Niebieskie ciała błyskawicznie podniosły się z murawy, by ustawić się w linii, nim piłka zostanie

kopnięciem wprowadzona do gry. Dwadzieścia dwie sekundy...

Center zagrał piłkę do Tony'ego.

Tony pobiegł wzdłuż linii wraz z podążającym jego śladem Erniem. Mógł biec dalej sam albo podać do halfbacka.

Gdy tłum zaczął krzyczeć, przed Tonym utworzyła się linia obrońców.

Ernie biegł za nim, bliżej środka boiska, więc łatwo było przekazać mu piłkę. Tony zobaczył jednak, że i przed nim otwiera się szansa. Pokonał dziesięć metrów wzdłuż linii, zagrał nieczysto i raz jeszcze zatrzymał zegar. Wrzaski przybrały na sile, gdy przekroczył linię wprowadzania piłki do gry.

Znikąd pojawiła się czerwona bluza, którą Tony zauważył kątem oka: był to Rex Stallworth, ich najszybszy linebacker. Zanim całe ciało Tony'ego zatrzęśło się, a przed jego oczami pojawiła się ciemność, usłyszał chrzęst kasku przeciwnika, który trafił go w policzek.

Pierwszą rzeczą, którą później poczuł, był zapach kurzu i trawy. Podniósł się na kolana, lecz czas był dla niego stracony.

- Tony! - krzyknął Sam.

Tony instynktownie spojrział na zegar.

Szesnaście sekund, piętnaście, czternaście. Stał niepewnie i długimi susami dopadł środka boiska.

- Szpikulec! - krzyknął. - Na jeden.

Zawodnicy utworzyli nierówną linię.

- Dziesięć - zaczęli odliczać chórem kibice Riverwood. - Dziewięć...

- Jeden! - wrzasnął Tony.

Piłka tylko na sekundę znalazła się w jego rękach, po czym cisnął ją ukośnym ruchem na ziemię. Niecelne podanie, zegar znowu stanął.

Pozostało pięć sekund.

Tony wycofał się z linii wprowadzania piłki i oddychał głęboko. Czuł mdłości, miał zawroty. Cała głowa mu pulsowała.

Sam dopadł do niego jako pierwszy.

- Nic ci nie jest?

- Nie.

- Musisz mi podać, Tony. Błagam.

Drużyna znowu go otoczyła. Tony potrząsnął głową, żeby pozbyć się buczenia, po czym rzucił w przestrzeń:

- Spieprzyłem to zagranie, no nie? Skurwiel walnął we mnie za Parhama.

Poczuł, że się odprężyli. Tylko Sam był wciąż spięty.

- Dobra - rzekł Tony. - Mamy pięć sekund, dwadzieścia metrów i żadnego „czasu” do wzięcia. - Urwał i popatrzył na wszystkich z wyjątkiem Sama. - Podanie trzydzieści pięć wstecz.

Ich grupka rozpierzchła się. Tony mruknął do Sama:

- To nasze zagranie, koleś.

Sam skinął głową, był gotowy. Ostatni raz ustawili się w linii z pozostałymi.

Tony zatrzymał się i objął wzrokiem wszystko dokoła: tłum, światło i ciemność, niebieską linię swoich zawodników, czerwoną, drwiącą i obrażającą ich w głos gromadę naprzeciwko. A potem zapomniał o wszystkim i skupił się tylko na tym, co miał zrobić.

Zdawało mu się, że czas zwolnił swój bieg. Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z jakiegoś innego miejsca. Ale Tony chciał być tylko tu.

- Chata dwa...

Piłka trafiła do jego rąk.

Tony wcisnął ją w brzuch Erniego. Ten, zgięty wpół, wpadł z udawaną determinacją w linię obrońców, a Tony wyszarpnął z powrotem piłkę, obrócił się i trafił nią w pierś Johnny'ego D'Abruzziego.

Ale tylko na chwilę.

Johnny stanął prosto, po czym wyciągnął ręce i rzucił się na linebackera, który z całym impetem chciał zaatakować Tony'ego. Wtedy Tony został już sam i pędził z piłką prawą stroną boiska.

Zobaczył, że przed nim szamoczą się dwa ciała: dwaj linebackerzy biegli obok siebie, by przeciąć mu drogę, ponieważ uważali, że dobiegnie aż do strefy końcowej, a koledzy utworzą przed nim blokadę.

Pozornie Tony się nie rozglądał, zauważył jednak, że Sam przesuwa się ku lewej linii boiska. Wydawało się, iż Sam nie odgrywa większej roli, jest najwyżej przynętą, gdyż był bardzo daleko od miejsca, w którym wówczas toczyła się gra.

Nagle Sam rzucił się z powrotem na środek boiska, metr przed kryjącym go zawodnikiem.

Doskonale, pomyślał Tony.



W jednej chwili zatrzymał się i zamachnął, by rzucić. Tłum zawył ostrzegawczo.

Ze strony, z której Tony nie spodziewał się zagrożenia, zaatakował go Stallworth. Natarł z pochyloną głową i wyciągniętą ręką schwycił Tony'ego za kostkę.

Chłopak zachwiał się i stracił równowagę. Nie upadł jednak, lecz tylko lewą ręką zarył w trawę.

Od czoła ruszyli na niego dwaj kolejni liniowi. Nie miał już dokąd uciec. Nie widział Sama, a gdyby próbował podawać, byłby bezbronny wobec nacierających obrońców.

Staął prosto, wziął zamach i przeniósłszy ciężar na wysuniętą do przodu nogę, rzucił piłkę tam, gdzie - jak się spodziewał - dobiegnie Sam. Pozbył się jej na chwilę przed tym, jak pierwszy z obrońców uderzył w jego nie osłonięte żebra.

Tony poczuł, jak przesunęły mu się wnętrzności, a kiedy uderzył o ziemię, ból przeszył go na wskroś. Instynktownie przekręcił się na bok, po czym usiadł.

Piłka poszybowała łukiem nad zawodnikami, którzy zadarli głowy, by obserwować jej lot. Zdawało się, że leci coraz wolniej, wyglądała jak kula, która przecina światło i cień, by dotrzeć do końcowej strefy z towarzyszeniem pełnych nadziei i niepewności wrzasków.

Rzuciłem za mocno, pomyślał Tony i wtedy zobaczył Sama Robba.

Choć wydawało się, że nie ma żadnych szans, Sam popędził do piłki, która dotknęła już ziemi. Gdy znalazł się metr od niej i pół metra od strefy końcowej, wybrał odpowiedni moment na skok.

Poszybował równoległe z murawą, a jego stopy oderwały się od podłoża, kiedy wyciągnął się w powietrzu z rozcapierzonymi palcami. Chwycił piłkę opuszkami. Upadł już za strefą końcową, szorując nogami po ziemi, aby jednak pozostać na boisku. Tony nie mógł dostrzec, czy mu się to udało. Zobaczył tylko, jak Sam podniósł się i odwrócił w stronę sędziego, trzymając w ręku piłkę.

Tony stał, zapomniawszy o bólu, i wpatrywał się w sędziego, a w jego głowie brzmiała cicha modlitwa.

Sędzia powoli podniósł rękę.

Przyłożenie! Matko Boska, przyłożenie! Rzucił się w stronę Sama.

Ten stał w strefie końcowej z uniesionymi w górę rękami i ścisnął piłkę. Na tablicy wyników nad jego głową zmienił się rezultat: dodano sześć punktów dla Lake City. Sam zdjął kask i w świetle reflektorów Tony dostrzegł, że po twarzy jego przyjaciela płyną łzy.

Sam stał bez ruchu. Wtem zobaczył Tony'ego.

Odwrócił się, odrzucił piłkę i pobiegł ku niemu.

Spotkali się na linii bramkowej. Zatrzymali się na chwilę, a potem padli sobie w ramiona.

Nic nie mówiąc, Sam przycisnął do siebie Tony'ego. W tym momencie Tony Lord nikogo tak nie

kochał jak Sama.

- Przyłożenie - powiedział zduszonym głosem Tony. - O to chodzi w tej grze.

## DWA

Stali na linii bramkowej, a koledzy z drużyny rzucili się na nich, wrzeszcząc, obejmując się i wpadając jeden na drugiego. Trudno było zrozumieć, o czym mówią. Tę chwilę mogli dzielić wyłącznie ze sobą i nie potrzebowali do tego żadnych słów. Wtem, jakby na jakiś znak, rozproszyli się i pobiegli wyjściem do budynku z ciemnej wypalanej cegły, który Tony'emu zawsze wydawał się bardziej fabryką niż szkołą. Wiwatujące tłumy, które wysypały się z trybun, utworzyły szpaler od bramy stadionu do wejścia do szkoły.

Minąwszy drzwi, Tony zatrzymał się w wąskim korytarzu i ścisnął ręce kolegom, którzy w tym celu zwalniali kroku. Czekał na trenera Jacksona. Ten, jak to miał w zwyczaju, trzymał się z dala od drużyny i szedł za chłopcami, jakby nic takiego się nie wydarzyło. Zachowywał emocje dla swoich zawodników.

Gdy dotarł do drzwi, zobaczył, że Tony czeka na niego.

Spojrzał na chłopaka z udawaną irytacją jak człowiek, którego ktoś odrywa od zajęć.

- Czego chcesz, Lord?

- Niech pan da mu piłkę meczową, dobrze?

Nie uśmiechając się, Jackson położył rękę na ramieniu Tony'ego.

- Do cholery, zrobię, co zechcę - rzucił i poszedł do szatni.

Dlaczego, zastanawiał się Tony, trener odmawiał Samowi uznania, którego ten tak bardzo pragnął, nawet wtedy, kiedy tak niewiele by go to kosztowało. Chłopak starał się jak mógł dla Jacksona i pomimo swojej brawury bał się go równie mocno jak reszta zawodników. Coś tu było nie tak. Tony znowu pomyślał o plotce, którą z całych sił chciał ukryć przed przyjacielem, plotce mówiącej, że trener Jackson pieprzył matkę Sama. Tony miał nadzieję, że serce trenera skruszeje.

Odwrócił się i poszedł do szatni.

Członkowie drużyny - teraz już spokojni - siedzieli z pochylonymi głowami na drewnianych ławkach przed podniszczonymi szarymi szafkami, gdy trener Jackson - który, czego Tony był pewien, od wielu lat nie widział wnętrza kościoła - odmawiał zwięzłą modlitwę.

- Dzięki Ci, Panie - zakończył. Od razu podniósł głowę i stanął na ławce. Jego komunია z Wszechmocnym już się spełniła. - Dobra - rzekł szorstko. - Nie będę wam opowiadał tych bzdur, że jesteście najlepszą drużyną, jaką trenowałem, i że pomyślę o was na łożu śmierci, bo mam nadzieję, że będę żył wystarczająco długo, bym zdążył o was wszystkich zapomnieć. Ważne jest tylko to, co w

y zabierzecie ze sobą, kiedy stąd odejdziecie. Tutaj nikt nie rejestruje wyników. Te mistrzostwa mogą być w ogóle waszą ostatnią wygraną. Ale najważniejsze, co dziś zrobiliście, to nie zwycięstwo, lecz osiągnięcie. Daliście z siebie wszystko. Współpracowaliście. Mieliście dla siebie szacunek. Weźcie to ze sobą w życie, a może wszystko pójdzie po waszej myśli.

Spocone twarze wpatrywały się w trenera. Wbrew sobie Tony poczuł wzruszenie: Jackson nauczył go, jak nie tracić głowy i sprawiać, by wszystko szło po jego myśli. To było lepsze niż piłka meczowa, bo to właśnie Tony mógł wziąć ze sobą na przyszłość.

Jackson wziął piłkę od asystenta i trzymał ją przed sobą.

Tony rzucił okiem na Sama. Jego przyjaciel siedział, patrząc na trenera z nadzieją i pragnieniem tak oczywistym, że Tony odwrócił wzrok.

- A jednak mamy tę piłkę - kontynuował Jackson. - Mógłbym ją dać wielu z was, ale niektórzy mogliby ją wypuścić z rąk.

Rozległy się śmiechy. Tony zauważył jednak, że Sam wcale się nie roześmiał. Utkwił wzrok w Jacksonie.

Trener zwrócił się do Tony'ego.

- A więc daję ją Tony'emu Lordowi. Nie muszę wam mówić za co... graliście z nim przez cały sezon.

Tony wystąpił naprzód, a drużyna zaczęła klaskać i wiwatować. Kiedy podniósł się Johnny D'Abuzzi, a później Ernie Nixon, wstała cała reszta. Tony nie patrzył na Sama.

Co powiedzieć? Szybko odrzucił ckliwy pomysł, by podzielić się piłką z Samem. Byłby to afront dla pozostałych, a Sam - uznał - czułby się poniżony.

Tony stanął na ławce obok Jacksona, popatrzył na nich, zbierając myśli, po czym zaczął uroczyście:

- Zawdzięczam tę piłkę każdemu z was, chłopaki, więc chcę się nią z wami podzielić. - Przerwał i uśmiechnął się. - Godziny wizyt są od dziewiątej do piątej.

Chłopcy roześmiali się, zaskoczeni.

Tony, zachęcony tym, mówił dalej:

- Jeśli się jednak nad tym zastanowić, to gdyby nie chwyt Sama Robba, Jack Parham trzymałby tę piłkę w jakimś szpitalu, próbując odgadnąć, czy to futbolówka, czy może globus. A więc na cześć Jacka Parhama Sam będzie spał z tą piłką w weekendy.

Śmiejąc się coraz głośniejszymi głosami, popatrzyli w bok na Sama.

- No dobra, Sam - zawołał ktoś.

Sam uśmiechnął się, zadowolony i zaskoczony. Tony poczekał, aż śmiech umilknie, i rzucił piłkę pod ręką do przyjaciela.

- Dobry chwyt - powiedział. - Jeszcze jeden.

Drużyna znowu skupiła się na Tonym. Mówił spokojnie.

- Jesteście najlepsi. Może trener Jackson o was zapomni, on ma tyle na głowie. Ale ja nigdy. - Zszedł z ławki, nim zaczęli bić mu brawo, i zaczął obejmować tych, którzy stali najbliżej. Kiedy jednak dotarł do Sama, spytał tylko: - Gdzie chowają się nasze dziewczyny?

Uśmiechając się nieznacznie, Sam zakręcił piłką na palcu, jakby to był globus, i obserwował ją w ogromnym skupieniu.

- Na parkingu - powiedział i odrzucił piłkę Tony'emu.

Pół godziny później, ubrani w koszule z oksfordu i spodnie khaki, wyszli razem z budynku.

Na zewnątrz wciąż jeszcze czekało kilkoro uczniów i fanów oraz grupka miejscowych dziennikarzy, którzy dreptali w miejscu na wieczornym mrozie. Rozległy się chaotyczne oklaski. Tony'emu było miło, ale był też zaskoczony. Czuł się sławny, lecz wiedział, że to tylko na jeden sezon. Wszystko zdarzyło się zbyt wcześnie i minęło zbyt szybko, by mogło się wydawać prawdziwe. Bohaterów sprzed dwóch lat już niemal ignorowano, gdy odwiedzali drużynę. Tony był często przekonany, że odchodzili bez tego, po co przyszli, nie wiedząc, że i tak zostało to im jedynie wypożyczone.

Ale ten sezon należał do nich: do niego i do Sama. Gdy dwaj dziennikarze - jeden młody, drugi w średnim wieku - podeszli do nich z notatnikami w rękach, na twarzy Sama odmalowała się duma, której według Tony'ego niedaleko było do dziecięcej niewinności.

- Podejdź bliżej, Tony - poprosił młodszy reporter i zrobił im zdjęcie. - Wiecie co, wyglądacie razem jak bracia - dodał.

Tony wiedział, że tak nie było: włosy Sama były niemal białe, Tony'ego zaś miały odcień karmelowy. Łagodna twarz Sama sprawiała złudne wrażenie niezwykle młodej, natomiast Tony miał ostre rysy i lekko orli nos. Sam był silniejszy, miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry - o dwa lub trzy centymetry więcej niż Tony. Jednak Tony wiedział, że w tym sezonie ludzie będą ich widzieli takimi, jakimi zechcą.

Starszy z dziennikarzy wystąpił naprzód i spytał żartobliwie:

- Który z was, chłopcy, zdobędzie tytuł sportowca roku?

Tony poczuł, że dobra wola go opuszcza.

- Kto wie? - odpowiedział beztrąsko. - W tej szkole jest wielu chłopaków, którzy dobrze grają, a sezon koszykówki jeszcze się nawet nie rozpoczął.

Teraz włączył się Sam.

- To tak jak w dzisiejszej grze. Obaj wymyśliliśmy to zagranie jeszcze w dziewiątej klasie. - Urwał i uśmiechnął się do Tony'ego. - Już wtedy rozumiałem, że ten chłopak może mi dobrze podać. Widzicie, zawsze działaliśmy razem i nieważne, kto będzie za to wyróżniony.

Sam kłamał i Tony doskonale o tym wiedział. Zależało mu na tym bardziej, niż potrafił to wyrazić. Ale Tony myślał tak samo. Mogli tylko kłamać, bo mówienie prawdy mogło być niebezpieczne.

- Dzięki - powiedział Tony. - Ludzie na nas czekają.

- Randki? - zainteresował się młodszy reporter. - Z kim się spotykacie?

Tak mogło być tylko w Lake City, pomyślał Tony. Spojrzał na Sama.

- Z Sue Cash - odparł Robb i wzruszył ramionami. - Jak zawsze.

- A ty, Tony?

Tony zawahał się.

- Z Alison Taylor - powiedział.

Mężczyzna skinął głową z pewną powagą. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Alison Taylor. Tylko ta jest odpowiednia”.

- Chodźmy - mruknął Tony.

## TRZY

Sue i Alison czekały pod drzewem na odległym krańcu parkingu. Rozmawiały cicho. Sue miała na sobie strój cheerleaders i bluzę sportową Sama, natomiast Alison włożyła granatowy płaszcz, sweter villager i plisowaną spódniczkę. Gdy Sue zobaczyła Sama i Tony'ego, rzuciła się ku swojemu chłopakowi. Alison ociągała się trochę; jakby wypełniając próżnię, Sue zwróciła się do Tony'ego i uściskała go mocno.

- Byliście obaj tacy wspaniali, Tony. Na końcu myślałam, że umrę.

Tony pochylił głowę, by lepiej widzieć dziewczynę, i uśmiechnął się. Trudno było wyobrazić sobie, żeby Sue Cash mogła na coś umrzeć. Nie z jej żywymi, dużymi brązowymi oczami, niewielkim, lecz pełnym energii ciałem i ekspresyjnym wyrazem twarzy, który przypominał Tony'emu śliczną siostrzyczkę z hollywoodzkiego musicalu: zadarty nosek; silny, gładki podbródek; dołeczki na policzkach, które ukazywały się, gdy się uśmiechała; owal brązowych loków. Jednak w przeciwieństwie do większości znanych Tony'emu dziewczyn Sue łatwo można było sobie wyobrazić jako żonę i matkę szczęśliwej rodziny. Jej ekstrawertyczna postawa ukrywała coś bardzo kobiecego i stabilnego, poczucie, że dziewczyna zawsze zajmie się tym, co wymaga troski. W tej chwili takiej właśnie opieki potrzebował.

- Sue, z całą pewnością przebijasz piłkę meczową - rzekł do niej.

Uśmiechnęli się do siebie. Potem Sue obróciła się z powrotem do Sama, przyciskając twarz do jego piersi, gdy on znowu przyciągnął ją do siebie. Stanowili prawdziwą parę.

Alison podeszła do Tony'ego. Zachowywała się niepewnie, podczas gdy zwykle sprawiała wrażenie bardzo opanowanej. Pocałowała go przelotnie i pierwszy raz się uśmiechnęła.

- Mój bohater - powiedziała. - Czy to tu chciałeś mnie przyciągnąć z ogniska?

Dowcip zabrzmiał trochę niepewnie, co również było niepodobne do Alison. Tego wieczoru była bardzo spięta, Tony zaś wiedział, że Sue i Sam ich obserwują.

- Może na coca-colę - odparł.

Uśmiechnęła się z wahaniem i skinęła głową tak nieznacznie, że ich przyjaciele tego nie zauważyli. Tony poczuł ciężar na piersi.

Była inna niż wszystkie dziewczyny, które znał: sprytna i nieco zdystansowana, a jej opanowanie dowodziło, że akceptowała to, kim jest, albo też może, kim jest jej rodzina. Tego wieczoru jej niecodzienne zachowanie powiedziało Tony'emu to, czego chciał się dowiedzieć.

- Lepiej już chodźmy - rzekł cicho, wziął ją za rękę i odwrócił się do Sama i Sue.

- Chodźcie z nami - zaproponował Sam. - Przynajmniej na jakiś czas. W samochodzie mam trochę whisky, rozgrzejecie się.

Tony poczuł, że Alison dotyka jego łokcia.

- Nie, dzięki. Chyba potrzebujemy trochę czasu dla siebie.

Sam spojrzał na Alison, po czym rzucił Tony'emu krzywy, nieco kwaśny uśmiech. Chyba nie potrzebujecie whisky, mówił jego wzrok. Tony znowu poczuł, że Alison jest zakłopotana.

- Tylko nie daj się złapać glinom - powiedział do przyjaciela.

Sam roześmiał się.

- W tym mieście, dzisiaj? Kto zamknie kogoś z nas w więzieniu? Alison ma rację: jesteśmy bohaterami, koleś. Możemy zrobić wszystko, co zechcemy.

Przez jedną noc, pomyślał Tony. W wesołości Sama było coś niepokojącego; zaszedł zbyt wysoko, żeby upaść.

- Do zobaczenia w poniedziałek. - Alison pożegnała się z Sue, ale nie powiedziała nic do Sama.

Tony i Alison odwrócili się i poszli do samochodu Tony'ego. Był to ford fairlane rocznik 1961. Tony kupił go za pieniądze zarobione w ciągu dwóch lat podczas wakacji, a teraz nieustannie woskował i polerował karoserię. Najważniejsze było jednak to, że działało w nim radio.

Gdy usiedli w środku, Alison obróciła się ku niemu.

Nawet wyglądała inaczej - jak pieniądze, myślał czasem Tony, albo jak delikatny płatek stali. Kruczoczarne włosy dziewczyny opadały prosto po obu stronach jej twarzy, podkreślając zapadnięte policzki, zagłębienie dzielące na dwie części podbródek i podobną do chińskiej porcelany karnację. Podczas gdy Sue była ożywiona, Alison zachowywała się z umiarem i dbała o to, jak ją widzą inni. Czasem jej uśmiechowi towarzyszył potajemny namysł, ale w jej czarnych oczach błyszczała szczerłość. Niemal nigdy nie odwracała wzroku. W gruncie rzeczy wyglądała na taką, jaka była: przewodniczącą klasy, dziewczynę, którą inne dzieciaki raczej podziwiają, niż znają. Podarunkiem Alison dla Tony'ego była zgoda na wejście do jej świata.

Teraz nie chciał jej poganiać.

- Chyba mamy jeszcze coś do omówienia.

Spojrzała na niego w zamyśleniu, jednak jej głos, choć cichy, brzmiał zdecydowanie.

- Nie - odparła. - Wiem już, czego chcę.

Tony nic nie powiedział, tylko ją pocałował. Skończą to, co zaczęli w tę letnią noc, która ich podzieliła, pomyślał.



Noc była ciepła, nawet jak na lato w Lake City. Cała czwórka, ubrana w podkoszulki i krótkie spodenki, przecięła podwórko za domem Alison i zeszła po schodach z urwiska na przystań Taylorów, a potem skręciła w stronę publicznej plaży przy parku. Ten, podobnie jak stary dom, w którym obecnie mieściła się biblioteka, należał wcześniej do rodziny Alison, nim w końcu oddała go ona miastu. Wiele lat później wciąż nazywano go parkiem Taylorów.

Widoczna z daleka plaża była na tyle piaszczysta, że można tam było usiąść. Jezioro Erie było zanieczyszczone i powietrze nad wodą trochę cuchnęło, lecz nikt nie zastanawiał się nad pochodzeniem tego zapachu. A oni byli siedemnastolatkami i mieli tylko taką plażę.

Rozpalili ognisko, korzystając z wyrzuconego na ląd drewna i nafty, i upichcili na nim hot dogi. Sam przyniósł piwo. Otworzył radośnie brązowe butelki carlinga, które kupił dzięki sfałszowanym dokumentom, i podał każdemu po jednej. Kolejny raz Tony zauważył, że stanowili dosyć dziwną czwórkę. Podczas gdy Alison zwyczajnie lubiła Sue, na Sama patrzyła ostrożnie, jakby obserwowała zjawisko naturalne, którego rozwoju nie jest w stanie przewidzieć. Mimo to gotowa była przyznać, że właśnie Sam dostarczał im dobrej rozrywki i że miał w sobie jakiś magnetyzm. Tony wiedział, że również ona musiała go czuć, mimo iż jego przyjaciel nazywał ją czasami „Królową Śniegu”.

Rozsiedli się wygodnie, pili piwo i nigdzie się nie spieszyli. Księżyc był duży, bliski pełni, odbijał się w wodzie, która pluskała o brzeg. W tej ciszy Tony spostrzegł, że Sam obserwuje Alison, a potem jego.

Domyślał się, dlaczego tamten to robił. Choć nigdy o tym we czwórkę nie mówili, wszyscy wiedzieli, że Sam i Sue robią to od miesięcy. Sam rozmawiał o tym z Tonym całkiem szczerze i oczekiwał w zamian tego samego. Jednak Tony nie mógł mu niczego zaoferować. Tydzień temu raz jeszcze to powtórzył.

Sam uniósł brwi.

- Po sześciu miesiącach? - spytał z przesadnym zdziwieniem. - Daj spokój, Tony, nie bądź takim pieprzonym gentlemanem. Nie ze mną.

- Nie jestem gentlemanem. Sądzę, że Alison uważa, iż to ona ma coś do powiedzenia na temat tego, kto będzie tym pierwszym.

W oczach Sama pojawił się błysk rozbawienia.

- Nigdy jeszcze tego nie robiła?

Tony potrząsnął głową.

- I jeśli to się kiedyś zmieni, nie oczekuj, że usłyszysz o tym ode mnie.

A teraz Sam spojrzał na Alison i zapytał:

- Chcecie iść popływać?

Alison obdarzyła go tym swoim bezpośrednim spojrzeniem.

- W czym?

Sam zaśmiał się.

- Jest ciemno - zauważył beztrąsko.

Delikatny uśmiech nie zmienił wymowy spojrzenia Alison.

- Nie dość ciemno.

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i zwrócił się do Sue:

- Idziemy, co?

Sue nie odpowiedziała. Etos ogólniaka w Lake City mówił, że nie było się dziwką, jeśli spało się ze swoim chłopakiem, a nawet z więcej niż jednym, pod warunkiem że między związkami upłynęło dość czasu, by można je było zakwalifikować jako miłość. Tak naprawdę Sue martwiła się o co innego: troszczyła się o Alison. Odwróciła się w jej stronę, jakby nie chciała skompromitować towarzyski, a Sam czekał cierpliwie. Tony'ego uderzyło, że traktował Sue z takim szacunkiem, jaki miał jeszcze tylko dla niego.

- Za chwilę wrócimy - powiedziała Sue do Alison.

Spojrząwszy na Tony'ego, Sam wziął Sue za rękę.

Tony i Alison patrzyli w milczeniu na odchodzących przyjaciół, których cienie cofały się, aż w końcu całkiem zniknęły w ciemnościach.

Tony delikatnie ją pocałował.

- Chcesz iść? - zapytał. - Będą tam co najmniej godzinę.

Alison zbliżyła swoją twarz do jego i przyglądała się mu z wahaniem i pożądaniem. Choć dotykali się już, często aż do bólu, nigdy się przed nim nie rozebrała. Potem wstała i wycofała się do cienia, wciąż patrząc na niego.

Tony czekał, bał się poruszyć. W ciemności widział tylko zarys postaci Alison, z rękami uniesionymi nad głową. Raczej czuł, niż widział jej nagość.

Smukłe ciało dziewczyny błysnęło w świetle księżyca i szybko zniknęło w wodzie. Tony pomyślał o swoim spowiedniku, księdzu Quinnie. Wiedział, że Alison była dla niego „pokusą grzechu” i że grzech, jakim byłoby kochanie się z nią, jest śmiertelny. Czuł, jak bije mu serce.

Zrzucił ubranie i pobiegł za dziewczyną.

Zobaczył, że Alison zanurzyła się po pas w wodzie. Stała plecami do niego, a potem chyba uklękła, bo gdy odwróciła ku niemu twarz, ponad czarną jak smoła wodę wystawała tylko jej głowa.

Nie dała mu przyzwolenia i Tony dobrze o tym wiedział. W ten sposób znajdowała dla siebie wytłumaczenie.

Zatrzymał się kilka stóp przed nią, woda sięgnęła mu do pasa. W wyobraźni widział kształt jej ukrytego ciała, które znajdowało się prawie tak blisko, że mógłby go dotknąć. Poczł, że drży.

Zbliżył się do niej. Zastygła w miejscu, po czym cofnęła się o krok i znowu się zatrzymała. Oczy miała nieruchome.

Tony wyciągnął ręce, chwycił Alison w talii i przyciągnął ją ku sobie, skuszony miesiącami oczekiwania.

Najpierw zetknęły się ich usta, później - całe ciała. Tony czuł na swojej klatce jej drobne piersi; przylgnęła do niego mocno biodrami, popchnięta nagłym wybuchem pożądania. Potem cofnęła głowę i usiłowała się wyrwać.

- Nie mogę - wyrzuciła z siebie zduszonym głosem. - To nie może się stać teraz.

Tony, wiedziony rozpaczliwą żądzą, nie mógł jej wypuścić.

- Ależ może...

Zamknęła oczy, jakby dzięki temu, że nie będzie go widziała, nie będzie go też pragnęła. Chłopak nagle poczuł się pusty. Znalazł się zbyt blisko, więc tym razem odmowa dzielenia namiętności - tak mu się zdawało - tworzyła w nim wyrwę, jakby oboje nagle już nic nie posiadali. Odezwał się cicho:

- Rodzice znowu zaczęli cię urabiać.

Alison otworzyła oczy. Teraz chyba nie mogła już odwrócić od niego wzroku.

- Po części chodzi mi o rodziców...

- Czy ciągle przeszkadza ci to, że jestem katolikiem? - Tony dał upust złości i frustracji. - Ostrożności nigdy za wiele, prawda? Wpuść „ich” tylko do klubu, a zanim się obejrzyysz, córka zacznie rodzić rude dzieciaki z różańcami na szyi, pochodzące wprost od papieża...

Nagle Tony poczuł, jak między nimi wyrasta mur. Po drugiej, niedostępnej dla niego stronie były wyprawy na zakupy do Nowego Jorku, wakacje w Paryżu i weekendy z synami oraz córkami przyjaciół Taylorów ze Wschodniego Wybrzeża. A tymczasem Tony, którego pochodzący z Polski dziadek Lord miał nazwisko o dwie sylaby dłuższe, bił pokłony na ich ganku.

Alison wciąż na niego patrzyła.

- Za to ich nie bronię...

- Bronię? A czy pomyślałaś kiedyś, żeby im p o w i e d z i e ć, że nie jestem miejscowym odpowiednikiem złodzieja samochodów?

- Oni o tym wiedzą i nie chodzi tylko o to, że jesteś katolikiem. Moi rodzice nie są pewni, czy

będziemy nadal ze sobą chodzić. Uważają, że jesteśmy za młodzi i że jest na to jeszcze za wcześnie. - Urwała, a po chwili mówiła ciszej: - Proszę, żebyśmy widywali się tylko w jeden wieczór podczas weekendu, a drugi mieli wolny.

Tony poczuł ukłucie zazdrości i ból, który sięgnął znacznie głębiej.

- Żeby spotykać się z innymi, to masz na myśli? Żeby twoi rodzice byli zadowoleni? Nie mogę uwierzyć, że tego chcesz.

Pierwszy raz Alison opuściła wzrok.

- Powiedziałam, że tylko częściowo chodzi o moich rodziców, ale to nie wszystko. - Wzięła oddech i zanurzyła się w wodzie. - Boję się, rozumiesz? Boję się tego, jakie to dla mnie będzie i jak się będę potem czuła. Że to jakoś wszystko zmieni. - Znowu na niego spojrzała i miała już łzy w oczach. - Czasami pragnę cię tak bardzo, że ledwo to wytrzymuję. Ale to jest tak, jakbym dawała ci władzę nad sobą, oddawała ci część siebie. Czy nie rozumiesz, jakie to zagmatwane?

Tony pokręcił głową.

- Moje uczucia wcale się nie gmatwają.

Alison przyjrzała mu się z uwagą. Odpowiedziała cicho:

- To ostatni z powodów, Tony. Mary Jane też nie gmatwała twoich uczuć. Ale co czujesz teraz?

Tym razem to Tony odwrócił wzrok.

- Co będzie, jeśli to się stanie dzisiaj? - zapytała. - Tak jak tego pragnęłam. Czy będziesz się czuł tak dobrze, jak mnie zawsze zapewniałeś? A może będziesz się czuł fatalnie z tego powodu i będziesz musiał spowiadać się ze mnie jak z jakiegoś grzechu? Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak ja bym się z tym czuła?

Nigdy nie mówiła o tym tak emocjonalnie. Niespodziewanie Tony stracił ochotę do kłótni.

Dostrzegłszy to, Alison delikatnie pocałowała jego twarz. Na chwilę ich ciała się zetknęły i przez ten krótki moment Tony poczuł powtórny przypływ pożądania, tym bardziej bolesny, że może nigdy nie mieli go już zaspokoić.

Alison powoli cofnęła się.

- Niedługo wrócą. Powinniśmy wyjść z wody.

Tony westchnął.

- Chyba tak.

Wydostali się na brzeg, Alison szła nieco przed chłopakiem. Kiedy stanęła na plaży, wyglądała tak pięknie, że Tony'ego aż zakłuło serce. Odezwał się do niej markotnie:

- Odwiozę cię do domu.

Odwróciła się ku niemu, widać było tylko jej srebrzystą figurę.

- Zostanę chwilę, Tony. Nie chcę, żebyś musiał się tłumaczyć przed Samem.

Ubrali się po ciemku i usiedli razem. Milczeli, nieszczęśliwi, i czekali, aż Sue i Sam skończą się kochać. Potrzebowali wielu miesięcy, by naprawić to, co popsuło się między nimi tej nocy. Wtedy Tony nie potrafił wyobrazić sobie, aby kiedykolwiek mogli zostać kochankami.

## CZTERY

Tony uruchomił silnik.

- Znienawidziłem tamtą noc - rzekł do Alison.

Dziewczyna odwróciła się i dotykając jego twarzy, powiedziała:

- Ja też.

W blasku reflektorów Tony widział Sama w jego samochodzie: przytknął butelkę do ust, po czym odjechał.

Alison obserwowała przez szybę, jak tylne światła samochodu Sama oddalają się i znikają w ciemnościach. Była zamyślona. Po chwili odezwała się:

- Chyba nie chciałabym być dzisiaj na miejscu Sue.

Tony spojrzał na nią przelotnie.

- Nic mu nie będzie. Sam zwykle dobrze wie, gdzie leży granica, której nie powinien przekraczać.

- Ale nie zawsze. - Obróciła się ku niemu. - Czasami zastanawiam się, jak to się stało, że jesteście ze sobą tak blisko.

Tony ruszył w stronę parku Taylorów.

- Po prostu znaleźliśmy się obaj w jednym miejscu: dwaj najlepsi w prawie każdej drużynie, do której trafili. Mogliśmy być przyjaciółmi albo rywalami. Chyba wiedzieliśmy, że lepiej być przyjaciółmi.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Czasami przyglądam się wam i wydaje mi się, że Sam jest twoim złym bratem bliźniakiem. Tym, który zawsze wymiga się od kary za to, na co i ten dobry miałby ochotę, lecz wie, że nie powinien tego robić.

- Na przykład?

- Na przykład wtedy w zborze. Dla mnie to było potworne.

Tony zaśmiał się krótko.

- Bo tak było. Ale ja nie chciałem zajmować miejsca Sama. Chciałem tylko, żeby miał z mojego powodu kaca i żeby uszedł stamtąd z życiem.

Gdyby Tony się tego spodziewał, wcale by się tam nie zjawił. Msza nigdy nie zapowiadała się tak wspaniale.

Wszystko zaczęło się w domu Robbów, około pierwszej w nocy. Tony miał spać u Sama, więc siedzieli na podłodze w jego pokoju przy przyciemnionych światłach i włączonym radiu i podawali sobie butelkę whisky. Sam wypił na rozgrzewkę kilka piw i w efekcie był bardzo pewny siebie. Tony wyczuwał jednak pod tą maską niepewność: rodzinny sklep żelazny w końcu upadł, a Sam miał chyba czasem urazę do całego miasta o to, że status jego bliskich się pogarsza. Poza tym było jeszcze coś, o co Tony nie mógł zapytać: opowieści o trenerze Jacksonie i matce Sama.

- Dobra whisky - stwierdził Sam i napił się jeszcze.

Z radia dobiegała *Rhapsody in the Rain*, śpiewana wpadającym w falset głosem Lou Christiego. Na tyle, na ile Tony mógł zrozumieć, chodziło w niej o uprawianie seksu w samochodzie w rytm wycieraczek. Sam słuchał piosenki, uśmiechając się sardonicznie.

- No więc, jakieś postępy z Królową Śniegu? - zapytał.

Tony spojrzał na niego. To przezwisko go denerwowało, samo pytanie zaś - zasmucało. Odpowiedział spokojnie:

- Bez zmian.

Sam wywrócił oczami.

- Chyba najpierw włosy wyrosną ci na dłoni, człowieku, albo stracisz wzrok. Już widzę, jak sprzedajesz ołówki przed liceum, bo Alison Taylor nie chciała pójść na całość. Potrzebujesz mojej rady.

- Jezu, Sam, czy ty myślisz tylko o seksie? Bo Alison i mnie łączy całe mnóstwo rzeczy. A może ty i Sue nigdy nie rozmawiacie, kiedy jesteście sami?

Na twarzy Sama pojawił się wyraz udręczonej cierpliwości.

- Pomóż temu człowiekowi, o Panie - zaintonował. - Błąka się w ciemnościach z silną erekcją, a nikt nie może mu pomóc, tylko on sam.

Wbrew sobie Tony roześmiał się głośno.

Sam pociągnął solidny łyk whisky.

- A propos Pana, muszę napisać kazanie. Chyba będziesz mi do tego potrzebny.

- Kazanie? Dla kogo? Dla anonimowych napaleńców?

- Nie mówiłem ci? Chryste! - Znowu pociągnął łyk. - Pamiętasz tę grupę młodzieżową metodystów, do której wcisnęła mnie starsza, bo nie chciałem już z nią chodzić do zboru? Wybrali mnie na przewodniczącego.

Tony patrzył na niego zdumiony.

- Chyba Bóg do nich przemówił - rzekł po chwili. - Nie wyobrażam sobie innego powodu.

- No tak, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nasz pastor wpadł na cudowny pomysł urządzenia ekumenicznego młodzieżowego nabożeństwa, choć oczywiście bez was, puszek z makrelami. Wyzначył mnie do wygłoszenia kazania. Dla mojego nowego stadka i ich rodziców, w tym starszych Sue.

Tony zasłonił dłonią oczy.

- Czy ten facet w ogóle cię kiedyś spotkał?

- Znasz mnie... przez jakiś czas mogę nabierać każdego. A chcesz wiedzieć, co jest najlepsze w tej historii?

- W sumie miałem nadzieję, że już to usłyszałem.

Sam się uśmiechnął.

- Kazanie jest jutro.

Tony wytrzeszczył na niego oczy.

- Cholera - powiedział.

- To na nic. Musi być dłuższe.

W jednej chwili Tony zrozumiał, że jest trochę pijany.

- Co zamierzasz powiedzieć?

- Nie mam pojęcia.

Tony stwierdził, że Sam jest bardziej niż trochę pijany. Emanowała z niego ta dziwna odporność na argumenty, którą Tony zauważył na chwilę przed tym, jak jego przyjaciel stracił zdolność oceny swoich czynów.

Według Tony'ego, sytuacja przestała być zabawna.

- Może lepiej przestań pić.

W oczach Sama zabłysła przekora.

- Nie mogę... straciłbym całą radochę.



Tony popatrzył na przyjaciela, a potem spojrział na zegarek.

- O której ma się to zacząć?

- O szóstej. Na świeżym powietrzu. To coś w rodzaju porannego nabożeństwa.

Tony wydał policzki.

- Na twoim miejscu, Sam, natychmiast zacząłbym się modlić.

O deszcz.

Sam wzruszył ramionami.

- Wtedy cała pieprzona impreza odbyłaby się pod dachem. To sprawa dla mnie i dla ciebie, Tony. Chcesz zobaczyć, co możemy wymyślić?

Tony rozparł się wygodnie. Z pewną ironią zauważył, że w radiu Elvis zaczął zawodzić *Crying in the Chapel*. [*Crying in the Chapel* - ang. *Płacz w kaplicy*]

- No cóż, to chyba dobrze, że będziesz mówił do protestantów.

O ile wiem, dla nich piekło to rok bez golfa, a kościół jest miejscem, do którego chodzą się wyspać.

Poszli do kuchni i Sam naparzył kawy. Tony zaczął pisać w kołonoatniku.

- Na twoim miejscu często powtarzałbym „duch Pana” - mruknął. - Gdy ci faceci zbierają forszę w telewizji, to chyba dobrze im się sprawdza.

Tony robił notatki, a Sam pił kawę i whisky. W rezultacie Sam miał w głowie niewyraźne przemówienie i pewną dozę szalonej energii. Bardzo się śmiał, bo Tony naszkicował zarys kazania.

- Idziesz ze mną, prawda? - zapytał. - Bez ciebie nie byłoby zabawnie.

- Ja już miałem dość zabawy. Poza tym moja noga nie powinna stanąć w protestanckim kościele - odparł Tony.

- To będzie na świeżym powietrzu, nie pamiętasz? Czy wy, ludziska, nie wierzycie, że Bóg kocha również Samarytanina?

Tony stwierdził, że Sam wyglądał trochę niepewnie.

- Lepiej będzie, jeśli najpierw pojedę do domu - stwierdził po chwili. - Włożę garnitur i sportowe buty.

Gdy godzinę później Sam szedł do samochodu Tony'ego, był blady. Ręce mu drżały, kiedy upychał zarys kazania do wewnętrznej kieszonki garnituru. Tony domyślił się, że znowu pił whisky.

Sam rozłożył się na siedzeniu dla pasażera.

- Będę grał jak Richard Burton. Był doskonały jako kapłan w *Sandpiper* - oświadczył.

I zaraz potem zasnął.

Dojechali na miejsce, gdy nad wysadzaną drzewami drogą zabłysło pierwsze światło dnia. Obok zboru Tony zobaczył składane krzesła, które zaczynali już zajmować wierni. Stawiano je na trawniku na wprost drewnianego podwyższenia z podium i krzyżem. Sam ciągle był nieprzytomny.

Tony dotknął jego ramienia. Sam zamrugał oczami i spojrzał na niego jak obudzone ze snu dziecko, zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje. Tony nie mógł odmówić sobie odrobiny sadyzmu.

- Czas podnieść kurtynę, Łazarzu. Powstań i czyn dzieła Pana.

Sam wybuchnął śmiechem. Tony tak się tym przeraził, że wysiadł i otworzył mu drzwi.

Ruszyli przez pokrytą rosą trawę. W blasku poranka Sam był prawie biały. Tony, który widział to już nieraz, zdawał sobie sprawę, że Sam za chwilę będzie wymiotował.

Pastor - drobny, jasnowłosy mężczyzna w okularach - wypatrzył Sama i ruszył ku nim z typowym uśmiechem duchownego, w którym nie odsłania się zębów.

- Oddychaj głęboko - mruknął Tony.

Sam posłuchał go i przełykał głośno ślinę.

- Dzień dobry, Samuelu - rzekł pastor. - Czy jesteś gotów, by poprowadzić uroczystość?

Sam pokornie skłonił głowę. Pastor nie zauważył uśmiechu, który chłopak chciał w ten sposób ukryć, i chyba uznał jego postawę za wyraz szacunku.

- Bóg cię wesprze - powiedział i przedstawił się Tony'emu. - A gdzie jest twój zbór?

- To parafia Świętego Rafała.

Pastor wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili klepnął go w plecy.

- Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że spodoba ci się nasze nabożeństwo.

Gdy pastor odprowadzał Sama, chłopak wciąż miał opuszczoną głowę.

Tony rozejrzał się i dostrzegł Sue obok jej rodziców - ożywionej, miłej pary, która uczyła w pierwszych klasach liceum. Usiadł obok dziewczyny i przywitał się z nimi. Sue obserwowała Sama. Rzuciła pod nosem:

- Czy on się dobrze czuje?

- Jemu się wydaje, że tak.

Sue znowu spojrzała na podwyższenie. Wyprostowała się i na wpeł otworzyła usta. Zaczęło się nabożeństwo. Zarówno modlitwa pastora, jak i jego wprowadzenie do kazania Sama jedynie mgliście zachowały się w pamięci Tony'ego. Wiedział tylko, że ten Sam Robb, o którym mówił pastor, nigdy nie istniał.

Kiedy Sam stanął na podwyższeniu, Tony zobaczył, że na czoło jego przyjaciela wystąpił pot, i poczuł, że Sue ściska jego rękę naprężonymi nerwowo palcami.

- Ostatniej nocy - odezwał się drżącym głosem Sam - naprawdę nie byłem na to gotowy.

Tony spostrzegł, że Sue zamyka oczy. Sam zrobił pauzę, zachowywał się niepewnie.

- Czekałem, aż napełni mnie duch Pana. Zamiast tego poczułem się chory...

- Co on wyprawia?! - szepnęła Sue.

- Potem słuchałem cudownej muzyki o pięknie Bożego deszczu, który spada na Boże stworzenia, i nagle zdałem sobie sprawę, że mówię do mojego przyjaciela Tony'ego Lorda: „Tony, nie możesz tak po prostu zabrać się do tego sam... Tony, powiedziałem, nie możesz odnaleźć radości życia bez drugiej osoby. Bez kogoś, kogo czujesz w głębi...

O kurwa mać! - pomyślał Tony.

- A tą osobą może być tylko - Sam urwał na chwilę, uśmiechając się nieznacznie do Tony'ego z poczuciem moralnej wyższości - Bóg.

Z pewnym zafascynowaniem Tony patrzył dalej.

- Bóg - kontynuował Sam - jest drogą do spełnienia, do usunięcia chłodu, który panuje wokół nas, do zrozumienia naszych najgłębszych pragnień w możliwie najgłębszy sposób. Bóg jest kulminacją naszego życia.

Tony rozpoznał tę tłumioną z ogromnym trudem moc - przypominało to bardzo sposób, w jaki Richard Burton wygłosił swoje ostatnie kazanie w filmie *Sandpiper*. Ale Sam nie czytał kazania Tony<sup>1</sup> ego.

- Tylko Bóg może nas dotknąć tam, gdzie najbardziej tego potrzebujemy.

Tony zdrętwiał i zaczął się zastanawiać, kiedy wszyscy pozostali zrozumieją dowcip. Ale gdy się rozejrzył, stwierdził, że zgromadzeni słuchali z uwagą i nikt się nie uśmiechał. Sam się ożywił.

- Tylko Bóg może uśmierzyć nasze cierpienie. Tylko Bóg może wypełnić pustkę.

Tylko Bóg, pomyślał Tony, może powodować drętwienie palców rąk i nóg.

- Tylko Bóg może dać nam to, czego naprawdę potrzebujemy - mówił cicho chłopak.

Tony zauważył, że jego przyjaciel jeszcze bardziej zbladł. Chwycił mocniej pulpity i mówił swoim głosem:

- Powiniennem teraz skończyć, bo nie chcę przemawiać zbyt długo. Nie potrafię jednak wam powiedzieć, jaką pociechą było dla mnie to uczucie, i mam nadzieję, że dla Tony'ego również. Może nawet dla was wszystkich. - Przerwał, szukając natchnienia, po czym zakończył wypowiedź: - Bo ja wiem, co mam zrobić. Chyba wszyscy mamy to robić. Zgodnie ze słowami starego hymnu: „Skała Przedwieczna, rozpęknięta dla mnie. Pozwól, bym odnalazł się w tobie”.

Nagle usiadł. Wyglądał na bardzo skupionego, lecz Tony domyślał się, że zbierało mu się na wymioty.

Zza Sama wysunął się chór nastolatków i zaczął śpiewać.

Sue zagryzła wargi, a wtedy Tony zobaczył łzy w jej oczach.

- Musisz go stamtąd zabrać, Tony. Zanim coś się stanie.

- Wiem.

Chór skończył swój występ. Pastor zlitował się i odmówił modlitwę, po czym zaprosił wszystkich do środka na kawę i sok pomarańczowy. Gdy wstali z miejsc, ojciec Sue zwrócił się przyjaźnie do Tony'ego:

- To było całkiem niezłe. Właściwie Sam mnie trochę zaskoczył.

- Mnie też.

Tony szybko pożegnał się z Sue i poszedł po przyjaciela.

Ten stał z pochyloną głową, słuchając małżeństwa, które w pamięci Tony'ego zapisało się tym, że nie pozwalało swojej córce umawiać się z katolikami.

- Sam - mówił z powagą mężczyzna - nie chcę cię naciskać, ale wydaje mi się, że masz do tego powołanie...

- Przepraszam - wtrącił się Tony i zwrócił się do Sama: - Obiecałeś pójść ze mną na mszę, pamiętasz? Nie chcę, żebyśmy się spóźnili.

Żona mężczyzny z orlim nosem spojrzała na Tony'ego z irytacją, lecz on, ignorując ją, chwycił Sama za łokieć i tak szybko pociągnął go przez trawnik, że nikt nie mógł ich zatrzymać.

Wsiedli do samochodu. Tony błyskawicznie opuścił szyby i odjechał. Sam pochylił się do przodu i ciężko oddychał.

- Nigdy więcej. Nigdy więcej - powtarzał Tony.

Sam nie odpowiadał. Tony pokonał szybko Erie Road, zostawił za sobą rozległy dom Alison, po czym skręcił gwałtownie na środek parkingu przy parku Taylorów. W parku było pusto; słychać było tylko ptaki, które ćwierkały ponad nimi w gałęziach drzew.

Sam pospiesznie otworzył drzwi i pochylił się nad asfaltem. Odgłos torsji rozległ się, nim jeszcze

Tony wyskoczył z samochodu.

Sam zwisał na wpół z samochodu z rękami wspartymi na asfalcie. Jego blond włosy prawie dotykały wymiocin. Choć wciąż targały nim torsje, nie miał już czym wymiotować. Kiedy wreszcie przestał, całym jego ciałem wstrząsały dreszcze.

- Sam?

Ten odwrócił się powoli, oparł głowę na zalanym wymiocinami asfalcie i zaczął się śmiać, aż po twarzy pociekły mu łzy.

- Zrobiłem ich w konia - powiedział, kiedy mógł już wydobyć z siebie głos. Uśmiechnął się do Tony'ego. Był blady i zmarnowany, oczy miał rozbiegane. - Kurwa, zrobiłem ich w jebanego konia.

## PIĘĆ

Tony i Alison zatrzymali się na ciemnym parkingu przy parku Taylorów. Zanim wyłączył silnik, odezwała się cicho:

- Chyba powinniśmy pojechać tam, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Tony poczuł ucisk w piersi. Nie odpowiedział i pojechał dalej przez trawę, aż w świetle reflektorów zobaczył grupę dębów rosnących nad wysokim brzegiem jeziora. Zwolnił i ukrył samochód pośród pni i nisko zwisających gałęzi. Gdy wyłączył światła, zapadła absolutna ciemność.

Alison wzięła go za rękę.

- Chcesz wiedzieć, co powiedziałam rodzicom?

Choć Tony ledwo mógł dostrzec dziewczynę, zdawał sobie sprawę, że wcale nie musi odpowiadać. Odosobnienie i emocje sprawiły, że jej głos stał się chyba jeszcze bardziej atłasowy niż zwykle.

- Powiedziałam im, że cię kocham. I że powinni do tego przywyknąć, ponieważ jeśli to się kiedyś zmieni, to będzie to dotyczyło mnie i ciebie, a nie mnie i ich.

Pewność, która brzmiała w jej głosie, zaskoczyła go.

- Co odpowiedzieli?

- Powiedzieli wiele takich rzeczy, jakich byś się spodziewał. Mówili głównie o tym, że jestem za młoda, żeby podejmować decyzje, i to z wielu powodów, których jeszcze nie rozumiem. Moja mama płakała.

- Dlaczego? Przecież się nie zaręczamy.

Alison milczała.

- Myślę, że ona się boi - stwierdziła w końcu. - Nie tylko o ciebie i o mnie, ale o to, że zaczynam własne życie i że są takie decyzje, które podejmę bez niej. I że o niektórych nawet nie będzie wiedziała. - Zaciśnęła palce na jego dłoni. - Tak to według mnie wygląda.

W jej głosie pojawiło się coś nowego: jednocześnie tęsknego, bojaźliwego i pełnego zdecydowania. Tony wyczuł, że podobnie jak decyzja, którą podjęła Alison, nie dotyczyła jej rodziców, tak samo mniej dotyczyła jego niż ją. Postanowiła spędzić tę ważną chwilę swojego życia z nim. Objął ją mocno.

Odchyliła się do tyłu, dotknęła jego twarzy i pocałowała bez wahania.

Nie bardzo wiedział, co robić. Pocałować ją namiętnie, jakby chciał ją pozbawić zmysłów, byłoby głupio. To, co się działo, było zbyt racjonalne, żeby Tony mógł się czuć swobodnie. Nie on grał tu pierwsze skrzypce, nie był uwodzicielem, lecz partnerem w rytuale, który wybrała Alison. Pochlebiało mu to i jednocześnie przeszkadzało.

Jakby wyczuwając myśli chłopaka, Alison zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

- Musiałam się czuć gotowa, Tony. Nie było ważne to, co robiłeś ani jak bardzo cię pragnęłam. Czy możesz to zrozumieć?

Tony w milczeniu skinął głową. Alison oparła swoje czoło o jego. Poczul na twarzy jej delikatny oddech i zrozumiał, że czeka na niego. Wiedziała, czego chce, ale nie wiedziała, jak to osiągnąć. W tym zaufała jemu.

- Mam coś w schowku na rękawiczki.

Pokręciła głową.

- Nie trzeba, Tony. Właśnie miałam okres.

W samochodzie zrobiło się chłodno. Włączając ogrzewanie, zauważył, że zegar wskazywał 10.55. Alison musi być w domu za nieco ponad godzinę.

Zdjął sportową bluzę i sięgnął za przednie siedzenie, żeby przykryć nią tapicerkę z tyłu. Zdejmując płaszcz, Alison powiedziała z nutką humoru:

- Mam nadzieję, że nie będzie swędziało.

Tony nagle zdał sobie sprawę z tego, że robili to razem. Poczul ogromną ulgę.

Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi po stronie pasażera i otworzył je Alison.

Wyśliznęła się ze swojego miejsca i mimo ogromnego skupienia trzymała razem z wdziękiem kolana i całe nogi. Tony'ego tak to poruszyło, że przyciągnął ją do siebie i pierwszy raz tej nocy mocno pocałował. Poczul, jak zadrżała, i odwzięczyła się podobną namiętnością.

- Boże... - szepnął.

Pospiesznie otworzył tylne drzwi i wgramolił się za nią do środka. Klękając na tylnym siedzeniu, Alison zauważyła:

- Zimno tu...

Tony nagle uświadomił sobie, że ma zimne i odrętwiałe ręce, a ciepło ich oddechów zaczyna się skraplać na szybie. Obrócił się i napisał na niej koniuszkiem palca: „Kocham cię”.

Alison się uśmiechnęła. Pod spodem dopisała: „Ja ciebie też”, i dodała wykrzyknik. Ale kiedy się odezwała, miała spokojny głos.

- To nie będzie dla mnie trudne, Tony. Nie z tobą.

Tony nie wiedział, czy chciała w ten sposób dodać otuchy jemu czy sobie. Przypomniawszy sobie swój pierwszy raz, przypomniawszy sobie Mary Jane Kulas leżącą pod nim na tym samym tylnym siedzeniu z rozwartymi pulchnymi udami i nic nie mówiącym wyrazem twarzy. Ten pierwszy raz sprawił jej ból i choć o tym nie mówili, Mary Jane miała o to do niego pretensję. Ale nie aż taką jak wtedy, gdy - po tym, jak kolejne miesiące zabrały jej ból, lecz nie dały w zamian żadnej prawdziwej rozkoszy, a Tony'emu jedynie krótkie chwile ulgi i nieustanne poczucie winy - zerwał z nią, biorąc w ten sposób na swoje barki jeszcze większą winę. Teraz wiedział, że było to nieuniknione. Teraz wiedział bowiem, że jej *cri de coeur* - „Rzucasz mnie za to, że dałam ci, czego chciałeś” - było przeciwieństwem prawdy. Wtedy - gdy zdał sobie sprawę, że nie mógł z nią tak naprawdę porozmawiać i że jego pożądanie ukrywało to przed nim na tyle długo, by mógł zaspokoić swoje egoistyczne potrzeby - jedynie poczucie winy powstrzymywało go od wcześniejszego odejścia. Dlatego nie mógł się potem bronić, gdy Mary Jane, katoliczka tak jak i on, zareagowała na jego związek z Alison, nazywając go snobem, który dla zabawy zabrał jej to, co najcenniejsze. Równie niewielką pociechą było to, że Mary Jane tak słabo go rozumiała i nie wiedziała nawet o tym, że Tony'emu nie pomagał konfesjonał i że pogardzał sobą.

To był grzech - tak myślał teraz. Nie chciał, żeby to było grzechem.

- Rozbierz mnie - poprosiła cicho Alison.

Tony zawahał się, po czym powiedział równie cicho:

- Kocham cię. - Mówił to na wpół do niej, a na wpół po to, żeby dodać sobie otuchy. Poczł, jak Alison westchnęła, gdy nakrył dłonią jej pierś.

Choć dawne grzechy go rozpraszały, pomógł dziewczynie zdjąć sweter i resztę ubrania, aż wreszcie miał ją przed sobą nagą i drżącą lekko z podniecenia. Zamknął oczy niemal tak, jakby się modlił.

Zbawieniem było dla niego dotknięcie jej skóry.

Jego ciało także drżało i poczuł jednoczesny przypływ troski o dziewczynę i podniecenia - przed kim bowiem miał ją teraz bronić oprócz siebie? Całował jej szyję, twarde brodawki. Jęczała cicho, by go zachęcić.

Nagle samochód zamienił się w kokon ciepła chroniący Tony'ego przed jego drugą, obarczoną poczuciem winy stroną osobowości. Przybyli tu jako partnerzy: musi pomóc jej, by była to chwila, którą zapamiętają oboje, i to być może na całe życie. Pod sobą czuł jej ciepłe ciało.

Kiedy wreszcie jej tam dotknął, była gotowa na tyle, na ile tylko potrafiła.

Zatrzymał się i wsparty na łokciach, spojrzawszy na Alison z niepewnością i pożądaniem, bojąc się, że może sprawić jej ból. W jej oczach zobaczył uśmiech.

- Pragnę cię - wyszeptała.

Gdy uniósł ciało, rozsunała dla niego nogi. Poczł, że między nimi przebiegł prąd.



Jęknęła cichuteńko i Tony był w niej.

Zawahał się. Alison kołysała jego głowę na swoim ramieniu i mruzczała:

- Kocham cię, Tony. Tak mi z tobą dobrze.

Byli w tym razem.

Alison zaczęła poruszać się wraz z nim. Była teraz wszędzie: w czystym zapachu skóry, w burzy miękkich włosów, w ciepłe bioder, ud i brzucha. Kiedy poruszali się razem, Tony zapomniał, że Alison Taylor z pokusy grzechu stała się samym grzechem.

Czas zatrzymał się dla nich.

Tony czuł, jak krew krąży coraz szybciej po jego ciele, lecz nie panował już nad tym. Mógł co najwyżej tłumić swoje okrzyki. Nie byli już razem. Samotny w swoim wstydzie i ekstazie, Tony wzdrygnął się i znieruchomiał.

Alison podniosła ku niemu pytający wzrok, po czym uśmiechnęła się lekko, porozumiewawczo. Poczuł się tym trochę zakłopotany, lecz również jej bliższy.

- Czy sprawiłem ci ból? - zapytał.

- Tylko troszeczkę. Wiesz, ja się nie skarżę.

Powiedziała to z poczuciem dumy i autorytetu. Są rzeczy, których musi go nauczyć - mówił ton jej głosu - a jednocześnie brzmiało w nim poczucie ulgi. Miała to coś za sobą, teraz nie musiała się już tym martwić.

- Przepraszam - powiedział.

- Za co?

- Że ty nie... - Zawahał się. - Prawda?

- Chyba nie. - Umilkła na chwilę, a następnie znowu się uśmiechnęła. - Myślę, że potrzeba będzie do tego trochę praktyki.

Tony - zawieszony między ulgą a zażenowaniem - zastanawiał się, co znaczyły jej słowa.

Dotykając włosów Alison, poczuł dla niej wdzięczność.

- Chcę, żebyśmy byli razem. Zawsze.

- Ja też. Zawsze.

Uśmiechnął się, bo leżąc pod nim, zaczęła się wiercić.

- Czy możesz się troszkę przesunąć? - spytała. - Nie całkiem, tak nie chcę. Tylko nie mogę

oddychać.

Przesunął się, oparty na łokciach. Popatrzyła na niego czule.

- Było ci ze mną dobrze?

- Boże, tak.

Na jej twarz powrócił nieznaczny uśmiech.

- Pod koniec czułam, że to miałeś.

Nagle Tony zrozumiał, że więź między nimi się zacieśnia. Z Mary Jane nigdy czegoś takiego nie przeżył. Zrobiliśmy to, pomyślał nieoczekiwanie, i wszystko jest dobrze. To nie może być grzech.

Niemal zapomniał o tym, by kontrolować czas.

Była 11.40. Przytulił ją mocniej i szepnął:

- Chcę, żeby ta noc nigdy się nie skończyła.

Na chwilę umilkli, dokoła panowała ciemność, a oni wystarczali sobie za cały świat. Niemal jak we śnie Alison powiedziała:

- Może będę mogła zaraz do ciebie wrócić.

Zaskoczyło go to.

- Bez wiedzy twoich rodziców?

- Myślę, że tak. - Odgarnęła włosy z jego twarzy. - Chcę znowu być z tobą. Nienawidzę tej głupiej godziny policyjnej.

W głębi duszy Tony poczuł, jak powraca świadomość grzechu, a wraz z nią rozwaga.

- Nie chcę, żebyś miała kłopoty.

Alison pokręciła przecząco głową.

- Kiedy wrócę, pójdą spać. Mogę zejść tylnymi schodami, wydostać się przez podwórze na tyłach domu i dojść tutaj.

- Trafisz?

Skinęła krótko.

- Tutaj zawsze bawiłam się w chowanego. Mogłabym cię znaleźć z zamkniętymi oczami. Jeśli tylko chcesz.

Tony milczał zawstydzony swoim tchórzostwem.

- Chcę - powiedział.

Zaczęli się pospiesznie ubierać, upojeni swoim buntem i konspiracją. Wkładając rajstopy, Alison się zatrzymała.

- Nie są mi potrzebne - stwierdziła z nutą pewności siebie i schowała je do torebki. - Ona nie zauważy. - Uśmiechnęła się do Tony'ego bez troski i triumfalnie.

Szybko wysiedli z samochodu, wrócili na przednie siedzenia i zaczęli przecierać dłońmi zaparowane szyby. Zostawało na nich tyle smug, że trudno było coś zobaczyć. Była 11.57.

- Nie martw się. Z powrotem mogę pójść tą samą drogą - rzuciła Alison.

- Pójdę z tobą.

Niepewni i lekko wystraszeni, ruszyli między cienistymi drzewami.

- Ciemno tu - szepnął Tony.

Wzięła go za rękę.

- Wiem.

Dotarli do otwartej przestrzeni i pobiegli.

Noc była pochmurna, niemal bezksiężycowa. Grupa dębów oddzielała park od domu Taylorów, Tony widział je tylko jako ciemniejszą plamę w mroku. Słyszał jedynie odgłosy ich kroków i urywane oddechy.

Dobiegli do drzew. Pomiędzy nimi chłopak dostrzegł zarys domu ze spadzistym dachem, który wyłaniał się jak cień ze słabej poświaty.

- Powinniśmy się zatrzymać - szepnęła Alison.

Tony przyciągnął ją.

- Zaczekam tu na ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Jest zimno. Utrzymuj ciepło w samochodzie.

Popatrzyli na siebie.

Bez pośpiechu pocałowali się, powoli i mocno. Tony nie chciał jej puścić.

Alison wyrwała się.

- Właśnie wykorzystaliśmy moją ostatnią minutę - stwierdziła i raz jeszcze się uśmiechnęła. - Do zobaczenia za piętnaście minut.

Nim zdołał odpowiedzieć, po raz ostatni pocałowała go przelotnie i pobiegła do domu.

Zostawiony nagle samemu sobie, Tony patrzył, jak dziewczyna znika w ciemnościach, a potem ukazuje się znowu, niczym zjawą, w świetle bijącym z ganku na tyłach domu. Obróciła się i pomachała mu, a wtedy światło zgasło.

## SZEŚĆ

Tony parkował wciąż w miejscu, w którym się kochali, i czekał na powrót Alison. Na zegarze była 12.26.

Było zimno. Włączył ogrzewanie, a później radio.

Czas upływał powoli. Gdy Bobbie Gentry śpiewał *Ode to Billy Joe*, Tony mimowolnie zaczął odliczać po cichu, mając nadzieję, że sprawi w ten sposób, by Alison wróciła, zanim dotrze do stu. Wydawało mu się, że wraz z nią odeszła również część jego samego.

Minęła 12.40.

Zniecierpliwiony, z wysiłkiem przypominał sobie jej dotyk, jej spojrzenie. Kiedy z radia popłynęło *Lucy in the Sky with Diamonds*, wyłączył je z irytacją.

Na pewno rodzice ją zatrzymali.

Wyobraził sobie, jak czekają na nią, starszą i ulubioną córkę, by zażądać kolejnego spotkania na szczycie w sprawie Tony'ego Lorda. Wyobraził sobie jej gołe nogi w świetle lampy pokoju dziennego, jej skruszony wzrok i upór, gdy prosili ją, by usiadła. Pomyślał o swoich rodzicach, zwłaszcza o matce. Helen Lord nie skończyła college'u, nigdy nie miała zbyt ambitnych planów życiowych i patrzyła podejrzliwie na świat, obawiając się, że zabierze jej jedyne dziecko - nagrodę, którą otrzymała - jakby wyśmiewał ją za to, że miała nadzieję wykraczającą poza jej status. Tony walczył wciąż z utrudniającym mu życie przekonaniem matki, że jest wyjątkowym dzieckiem. Jednocześnie rozumiał i odrzucał władczą miłość Taylorów do Alison. Jeśli rodzice się do niej przyczepili, nie będzie już mogła wyjść.

Była pierwsza, ale nie mógł opuścić dziewczyny.

Dom znajdował się niedaleko, może o jakieś sto metrów. Gdyby nie rosnące wokoło dęby, widziałby światło w jej pokoju. Instykt, którego Tony nie potrafił wyjaśnić, mówił mu, że Alison wyjdzie do niego. Nie chciał, by samotnie szukała drogi.

Zamknął drzwi na klucz i wydostał się spomiędzy drzew. Noc była jeszcze mroczniejsza niż przedtem.

Szedł powoli przez park w stronę domu Taylorów i nasłuchiwał kroków Alison.

Nic.

Zatrzymał się. Mogła być gdzieś blisko; w taką noc nie można było wykluczyć, że minęła go, a on jej nie zauważył. Absolutna cisza potęgowała mrok.

Znowu ruszył w stronę grupy dębów, kierując się tylko instynktem. Wreszcie usłyszał, jak chłodny wiatr porusza ich gałęziami, i po kilku następnych krokach zobaczył je.

Rysujące się na tle nieba bezlistne drzewa wyglądały jak szkielety. Dojrzał poprzez nie linię dachu domu Taylorów. Wszystkie światła już zgasły. Wtedy usłyszał cichy trzask suchej gałązki.

To nie on ją nadepnął.

- Alison?

Żadnej odpowiedzi. Podenerwowany, ruszył w stronę miejsca, z którego dobiegł go dźwięk. Jego głos, niski i stłumiony, niósł się w noc.

- Alison...

Trzasnęła druga gałązka, tym razem bliżej.

Tony zamarł bez ruchu. Zrozumiał, że ktokolwiek to był, zatrzymał się na jego wołanie.

Czekając w napięciu, usłyszał jeszcze jeden dźwięk, tym razem słabszy. Może to był wiatr. Może tylko wydał mu się tęskny, kobiecy.

Trzasnęła kolejna gałązka, jeszcze bliżej.

Tony dostał gęsiej skórki.

- Kto tam? - krzyknął i usłyszał, że ktoś biegnie w jego stronę.

Stał, nic nie widząc. Potężne odgłosy kroków zmierzały w jego stronę. Wtem zupełnie nieoczekiwanie skręciły gdzieś w bok. Z walącym głośno sercem Tony nasłuchiwał dopóty, dopóki nie ucichły w bezkresnym mroku.

Zostawiony samemu sobie, przypomniał sobie nagle ten inny, delikatniejszy dźwięk.

Obrócił się i pobiegł w stronę gaju.

Gałąź uderzyła go w twarz. Ból powstrzymał go tylko na chwilę, po czym wszedł na teren Taylorów.

Stanął raptownie i rozejrzał bezradnie dokoła. Dom widział już teraz wyraźnie: jego niezwykle, ciemny kształt rysował się ostro na tle nieba. Z prawej strony docierał do niego plusk niewidocznego, leżącego poniżej jeziora. Dopiero kiedy zapaliło się światło na tylnym ganku, oblewając żółcią trawę, dostrzegł cień, który leżał u jego stóp.

Podszedł do niego z rosnącym niepokojem, nie zastanawiając się, skąd się wzięło światło. Cień, zwinięty i leżący na boku, wyglądał jak śpiące dziecko.

Tony pochylił się i wyciągnął do niej rękę. Dotknął włosów, które spadły jej na twarz, dotknął

policzka, który wciąż jeszcze był ciepły.

Głos mu zachrypł.

- Alison.

Miała zadartą spódniczkę. Tony dotknął jej nagiej nogi, jakby pragnął zbudzić dziewczynę.

Była wilgotna. Czuł skądś zapach uryny. Krzyk zastygł mu w gardle.

Drzwi z tyłu domu otworzyły się ze skrzypieniem. Trawę przeciął promień światła latarki.

- Alison - zawołał ojciec.

Oszołomiony Tony tulił twarz dziewczyny. Z początku mężczyzna nie dostrzegł jej, po chwili jednak światło padło na nich.

Twarz Alison była zarumieniona, usta wykrzywione. Oczy, które miały dla niego tyle miłości, były szeroko otwarte, puste i zaczerwienione.

Tony'emu zakręciło się w głowie. Przeżegnał się, a łzy popłynęły mu po twarzy.

Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej... - modlił się w duchu.

- O mój Boże...

Tony odrzucił głowę do tyłu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to nie on wydał ten okrzyk cierpienia.

- O mój Boże - powtórzył jej ojciec.

Czując mdłości, Tony uświadomił sobie, że ktoś przystawił mu do głowy zimny metalowy przedmiot, który również drżał.

Ty zwierzaku, coś ty jej zrobił? - pomyślał.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą czarny rewolwer.

Za jego plecami stał John Taylor. Kosmyk srebrzystych włosów opadł mu na czoło, twarz pobladła z wściekłości i dezorientacji. Z tyłu, w drzwiach z siatką przeciw owadom, stanęła wstrząśnięta matka Alison.

- Katherine, wezwij pomoc, proszę... - zawołał ochryple ojciec.

Tony zaczął nagle drzeć, nie mogąc zrozumieć, co się tu dzieje.

Trzymając wciąż broń w ręku, John Taylor klęknął przy córce i zbadał jej puls. Gdy zamknął oczy, Tony wyrzucił z siebie:

- To nie ja...

Ojciec Alison otworzył szybko oczy. Niczym automat podniósł się i wycelował rewolwer w Tony'ego. Nie mogąc w to uwierzyć, Tony nie był w stanie się ruszyć.

- Jack!

Katherine Taylor wybiegła z domu i klękła przy Alison. Kiedy zobaczyła jej twarz, krzyknęła. Rzuciła się na szczupłe ciało dziewczyny, jakby chciała ją sobą zasłonić.

Za obiema kobietami - jedną nieruchomą, a drugą łkającą - stał John Taylor i patrzył na Tony'ego nieobecny wzrokiem. Kiedy podniósł broń, żeby strzelić, Tony zakrył twarz rękami.

- Mamo, co się stało?

John Taylor zamrugał. Na ganku stała w koszuli nocnej jedenastoletnia siostra Alison i wołała.

Matka Alison podniosła się ciężko na kolana. Jej przyprószone siwizną włosy rozpadły się w nieładzie, twarz miała bladą i stężałą. Z trudem wydobyła z siebie słowa:

- Nie zrób mu czegoś, Jack. Zaczekaj na policję.

John Taylor nie odpowiedział, lecz odwrócił się, jakby nagle przypomniał sobie o swoich obowiązkach, i zawołał do młodszej córki wymuszonym tonem rodzicielskiej władzy:

- To Alison, Lizzie. Zostań tam, gdzie jesteś, proszę.

Drżąc, Tony zdał sobie sprawę, że matka Alison uratowała mu życie.

Zawyła syrena. Tony dostrzegł migające światła radiowozu, potem następnego. Ich opony piszczwały, gdy hamowały na podjeździe Taylorów. Nadbiegł młody policjant, a za nim krępy szef policji, który zawołał:

- Co się stało, John?

John Taylor obrócił się powoli i pozbawionym wyrazu głosem poinformował:

- Ten chłopak zabił Alison...

-Nie! - krzyknął Tony. - Ja ją znalazłem...

Oddychając ciężko, szef policji zatrzymał się i patrzył to na Taylora, to na ciało leżące u jego stóp. Pochylił się nad Alison, zasłonił dłonią jej usta i nos, po czym wymamrotał:

- Jedzie karetka.

Tony'ego otaczała cisza. Usłyszał, jak przetyka ślinę. Szef policji spojrział na niego, jego niebieskie oczy wyrażały zdziwienie, lecz były niewymownie smutne.



- Widziałem dziś tę grę...

Na ganku siostra Alison zaczęła płakać i zawodzić, krzycząc ze strachu. Szef policji popatrzył na Taylora, a potem na jego broń.

- Mamy go już, John. Nie musisz się martwić.

Matka Alison podniosła się ociężale i wsparła na ramieniu męża. Ruchem głowy szef policji nakazał swojemu podwładnemu, by stanął przy boku Taylorów.

- Lepiej będzie, jeśli cofniecie się trochę - zwrócił się do ojca Alison.

Mamrocząc wyrazy współczucia, młody policjant odprowadził ich, a Katherine Taylor cały czas patrzyła na Alison.

Przy Tonym stanęli jeszcze dwaj policjanci. Ich szef zagryzł wargi.

- Zabierzcie go stąd - rozkazał.

Wstając, Tony mimowolnie spojrzał na Alison, jakby oczekiwał, że podniesie się wraz z nim.

Policjanci łagodnie poprowadzili go przez trawnik. Wyglądało to jak koszmar: policjanci w mundurach, martwa dziewczyna, którą kochał, jej siostra o włosach tak czarnych jak włosy Alison płacząca z twarzą zakrytą rękami.

Wepchnęli go na tylne siedzenie wozu patrolowego i uruchomili silnik. Na skraju drogi dojazdowej Tony zobaczył rodziców Alison: jej ojciec wpatrywał się uporczywie w samochód, a głowa matki spoczywała na jego ramieniu. Widział to przez łyżki.

- To nie ja. To nie ja - powtarzał.

## SIEDEM

Potem nikt się nie odzywał.

Tony wyglądał przez okno na spokojne ulice ni to przedmieścia, ni to małego miasteczka. Pomalowane na biało domy z lat dwudziestych, bungalowy z czerwonej cegły i trawniki jak ze znaczków pocztowych z lat pięćdziesiątych, ratusz w kształcie iglicy z żelaznym cyferblatem zegara, a obok niego absurdalnie surowy budynek komendy policji z wypalanej cegły, który ukończono w ubiegłym roku po wielu dyskusjach. Lake City wydawało się jednocześnie znajome i obce. Było miejscem, które już na wespół zapomniiał. Pragnął aż do bólu, żeby Alison była z nim.

Dojechali do komendy.

Dwaj policjanci zaprowadzili go do sutereny. Pogodził się z tym bez pytania - było to zgodne z logiką jego koszmaru - tak jak z poleceniem trzeciego funkcjonariusza, które wydał grzecznie, jak lekarz przed badaniem pacjenta, żeby się rozebrał. Pobrał mu krew, przeciągnął igłą pod paznokciami, odciął próbkę włosów łonowych, przetaił wacikiem żołądź penisa i zrobił zdjęcie pręgi na jego policzku, którą pozostawiła chyba gałąź. Choć trwało to bardzo długo, Tony o nic nie pytał. Potrafił myśleć tylko o Alison.

Oddali mu ubranie i umieścili w izdebce z żółtej cegły. Było to klaustrofobiczne, niewiele większe od toalety pomieszczenie, w którym stał jedynie pusty stół i krzesła, a nad nimi wisiała lampa fluorescencyjna. Tony opadł ciężko na krzesło przy stole. Był wyczerpany.

Ona umarła dla niego, w stanie grzechu śmiertelnego. Nie mógł myśleć o niczym innym. To było jak szok po urazie odniesionym na boisku. W głowie miał pustkę, a ból był jedynym wrażeniem, które do niego docierało. Czuł gwałtowne pulsowanie w skroniach.

Wybacz mi, Ojczy, albowiem zgrzeszyłem... - modlił się w duchu.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo był sam. Nie miało to żadnego znaczenia: rodzice i przyjaciele nic już dla niego nie znaczyli. Liczyła się tylko Alison.

Do pokoju weszli dwaj detektywi. Tony z trudem rozpoznał młodego, eleganckiego charta z brązowymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Był to sierżant Dana, łącznik policji ze szkołą średnią w Lake City, którego zajęciem było węszenie za narkotykami i kradzieżami. Starszy z mężczyzn miał rude włosy, wąskie oczy i cerę alkoholika. Piegowate ręce, które położył na stole, były niespokojne, nerwowe. Zapalił papierosa.

- Jestem porucznik McCain, Frank McCain. Znasz Douga Danę z liceum, prawda? Grał kiedyś jako quarterback, tak samo jak ty. Ale daleko mu było do ciebie.

Tony przetarł oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje. McCain zaciągnął się mocno papierosem, jakby chciał się zmusić, by mówić powoli.

- To straszna rzecz, Tony. Straszna rzecz. Założę się, że jest ci równie nieprzyjemnie, że musisz być tutaj, jak nam, że jesteśmy z tobą w takich okolicznościach. Naprawdę przykro mi, że musiałeś przejść przez te badania. Ale takie jest rutynowe postępowanie, musimy to robić. - Gdy zaciągał się kolejny raz, zdawało się, że ręka mu drży. - Cięży na nas ogromna odpowiedzialność, Tony. Piękna dziewczyna nie żyje, a wiem, że był to ktoś, na kim ci zależało. Podobnie jak ty, jej rodzice już zawsze będą musieli żyć z tą świadomością. Musimy pomóc im zrozumieć, co się wydarzyło. Dla takiego spokoju, jaki to nam przyniesie.

Tony wbił wzrok w stół.

- To moja wina. Powiedzcie im, że to moja wina - wymamrotał.

McCain znieruchomiał.

- Jak to było, Tony? - Papieros tlił się w jego palcach.

- Chciałem, żeby wyszła z powrotem. Żeby była ze mną. - Serce podeszło mu do gardła. - Gdybym nie chciał, żeby wyszła, on by jej nie zabił.

Dana spojrział na niego przenikliwie.

- A kto to mógł być?

- Nie wiem. Słyszałem kogoś w parku... - Tony urwał. W tym bezlitosnym świetle celi kroki w ciemnościach wydawały się głupie, były niczym wytwór halucynacji.

Policjanci obserwowali go.

- Najlepiej opowiedz nam, co robiłeś tej nocy - rzucił Dana. - Po kolei, od meczu.

Tony miał spierzchnięte usta. Podjął żalosną próbę: spotkanie z Samem i Sue; wyjazd z Alison do parku; decyzja, by spotkać się z nią znowu; odgłosy kroków w ciemności; cichy okrzyk, który doprowadził go do ciała. Nawet mówiąc o tym wszystkim, Tony modlił się, by móc wrócić i zostać z Samem oraz Sue albo powiedzieć Alison, żeby została w domu, bezpieczna z rodziną, która ją kochała. Pomiął tylko to, że pragnęła się z nim kochać, bo tylko w ten sposób mógł ją jeszcze chronić.

Dana zmarszczył brwi.

- Skąd masz to rozcięcie na twarzy?

Tony usiłował sobie przypomnieć.

- To przez tę gałąź... uderzyła mnie, kiedy biegłem między drzewami.

- Dlaczego wysiadłeś z samochodu?

- Spóźniała się na spotkanie. Poszedłem jej poszukać i usłyszałem go w parku...

- Skąd mógł wiedzieć, że ona tam będzie, to znaczy ten facet, który ją zabił?

Tony pokręcił głową, zdezorientowany. Dana zapytał cicho:

- Czy kochałeś się z nią tej nocy?

Tony zamknął oczy.

- Nie.

- Myślmy, że ktoś uprawiał z nią seks, Tony. - McCain potrząsnął głową trochę melancholijnie. - Co prawda Alison nie żyje, ale jej ciało może nam jeszcze wiele powiedzieć. Tak samo jak twoje, kiedy próbki wrócą z laboratorium.

Tony poczuł, że obezwładnia go poczucie winy.

- Czy mógłby tu przyjść ksiądz Quinn... mój ksiądz?

McCain patrzył uważnie w jego oczy.

- Jestem katolikiem, Tony, tak jak ty... wiemy, że spowiedź jest dobra dla duszy. Ale to, co powiesz księdzu Quinnowi, pomoże tylko tobie. To, co powiesz nam, jest twoją szansą, by pomóc jeszcze komuś. Dobry ksiądz Quinn powiedziałby ci to samo. Żeby ludzie z tego miasteczka nadal ci ufali. - Mówił teraz wolniej, a przez to dobitniej. - Zacznijmy więc od tego, że powiesz mi, czy spałeś z Alison Taylor.

Nagle Tony poczuł, że musi iść do toalety.

- Nie - odpowiedział.

- Czy biłeś się z nią tej nocy? - naciskał Dana. - Mam tu na myśli wasze problemy. Mieliście je, prawda? Na jakiś czas zerwaliście ze sobą.

Tony czuł pulsowanie w skroniach.

- Kto panu powiedział...?

- Więc jaki problem mieliście tej nocy? - przerwał mu Dana.

Tony'ego bolał już pęcherz.

- Żadnego.

McCain odłożył papierosa.

- Współpracuj z nami, Tony. Powiedz nam, do czego doszło między tobą i Alison.

Tony nie odpowiedział. Dana znów mówił łagodnie:

- Myśle, że w i e m, do czego doszło.

Chłopak poczuł, że coś w pokoju uległo zmianie.

- Skąd?

Dana odchylił się do tyłu na krześle i przyjrzał mu się z kamiennym wyrazem twarzy.

- Kobiety czasami lubią się droczyć. Albo dają ci do zrozumienia, że lubią to robić w pewien sposób, a potem orientują się, że jednak takiego sposobu nie lubią. - Teraz patrzył z troską. - Czy dlatego chciałeś, żeby znowu wyszła? Żeby zrobiła dla ciebie coś trochę inaczej?

- Ja tylko chciałem z nią być...

- Może o to się pokłóciliście. - Ton głosu Dany stał się lodowaty. - Może właśnie to powie nam jej ciało. Że zmusiłeś ją do tego.

Tony potrząsnął głową.

- Nie!

- Więc chcesz, byśmy powiedzieli jej rodzicom, że zabawiała się z kimś innym.

- Nie... my chodziliśmy ze sobą.

- No to przyjrzyjmy się temu spokojnie. Mówisz, że Alison nie miała nikogo innego. Mówisz, że nie sypiała z kim popadnie. Chcesz być wobec niej w porządku, prawda? Chcesz czcić jej pamięć. Możesz to zrobić tylko w jeden sposób: mówiąc prawdę o tym, co jej zrobiłeś.

Nagle Tony wszystko zrozumiał. Przerazenie odebrało mu mowę.

McCain położył rękę na jego dłoni.

- Czy ty ją kochałeś, Tony?

Zaskoczony Tony miał łzy w oczach.

- Tak. Kochałem ją.

McCain powoli skinął głową.

- Jak dla mnie to wygląda na morderstwo z zimną krwią. Ale nie wierzę, żebyś mógł zabić z zimną krwią dziewczynę, którą kochałeś.

- Nie... nie mógłbym.

McCain poklepał go po dłoni. Może jednak ten człowiek mu wierzy, pomyślał Tony.

- A więc jak sądzisz, co teraz czuje osoba, która to zrobiła? -zapytał detektyw.

- Nie wiem. - Ucisk na pęcherz był już nie do zniesienia. - Muszę iść do toalety...

- Czy myślisz, że naprawdę chciał ją zabić? - Głos policjanta brzmiał kojąco, lecz pomimo szoku w Tony'm odezwał się jakiś instynkt i chłopak zrozumiał, do czego zmierzał detektyw.

Odpowiedział cicho:

- Wiem, że tego chciał.

W oczach McCaina pojawił się błysk.

- Skąd to wiesz, Tony?

Tony wziął głęboki wdech.

- Bo widziałem, co jej zrobił.

Siedzący po drugiej stronie stołu McCain pochylił się ku chłopcu, aż jego czoło znalazło się kilkadziesiąt centymetrów od jego twarzy.

- A więc co twoim zdaniem powinno się z nim stać? - zapytał. - Na pewno powinniśmy mieć dla niego trochę litości, jeśli tylko będziemy mogli go zrozumieć.

- Nie - odparł Tony. - Myślę, że ktokolwiek to zrobił, powinien umrzeć. Taką samą śmiercią jak ona.

McCain ścisnął chłopca za rękę.

- Nie wydaje mi się. Nie, jeśli nie chciał tego zrobić. Nie, jeśli sprawy wymknęły się mu spod kontroli. - Detektyw przewiercał Tony'ego wzrokiem. - Czas stać się mężczyzną, Tony. Ostatniej nocy byłeś bohaterem tego miasteczka. I znowu możesz nim być. Jeszcze nie jest za późno.

Tony - na ile mógł jeszcze panować nad swoimi myślami - starał się z całych sił skupić na tym, by wydostać się z tej sytuacji.

- Mam wam tylko powiedzieć, co się tam naprawdę stało, tak? A potem będę mógł pójść do toalety?

- Tak. - Tony poczuł, że dłoń McCaina zadrżała. - Nie chciałeś, żeby umarła, wiem o tym. Niezależnie od tego, jak źle ta sprawa wygląda.

Tony wysunął powoli rękę i spojrzał detektywowi prosto w oczy.

- Dobrze. Nie zabiłem jej. Znalazłem ją w takim stanie, więc już nie musi pan być moim przyjacielem. - Wstał, a jego głos drżał z poczucia straty, strachu i złości. - Chcę, żebyście natychmiast zatelefonowali do moich rodziców. I proszę mi powiedzieć, gdzie jest toaleta.

McCain spojrzał na niego i poczerwieniał z wściekłości. Przez chwilę nikt się nie odezwał.

- Jest w końcu korytarza - powiedział ostatecznie Dana.

Przyjechali rodzice Tony'ego. Matka miała zaczerwienione oczy. Nie nałożyła makijażu, jej włosy były zbyt jasne, a cera blada. Podbiegła do syna i przytuliła go rozpaczliwie.

- Nie zabiłem jej, mamó.

- Już dobrze, Tony. Już dobrze.

Tony spojrzął ponad jej ramieniem na ojca. Stanley Lord stał prosto. Przez chwilę miał zacięty podbródek, a jego twarz wyrażała pewność siebie. Z jakiegoś powodu przypomniało to Tony'emu zdjęcie ślubne, które Helen Lord trzymała na gzymsie kominka. Zaczesane do tyłu włosy Stanleya były ciemniejsze, a słowiańskie rysy delikatniejsze i bardziej wyraziste. „Zobacz, jaki był przystojny”, mawiała matka, jakby opowiadała o innym życiu.

Pierwszy raz od lat ojciec wziął Tony'ego za rękę. Spoglądając to na McCaina, to na Danę, powiedział:

- Zabieramy naszego syna do domu.

Tony poczuł się wdzięczny niczym odnalezione dziecko.

Kiedy mijali inne biuro, zauważyli w nim szefa policji, który mówił coś uspokajająco do Johna i Katherine Taylorów. John Taylor spojrzął na Stanleya Lorda ze straszliwą goryczą. W oczach ojca Tony'ego było współczucie, ale nie prośba o wybaczenie: zadba o swoje, mówił jego wzrok, niezależnie od tego, kim był John Taylor. Helen Lord chwyciła ramię męża i wyszli.

W słabym świetle poranka matka Tony'ego oparła się o ich niebieskiego dodge'a. Zakryła dłońmi twarz i płakała.

- Trzeba się było trzymać od niej z daleka. Zawsze to wiedziałam...

Słowa matki mocno zraniły Tony'ego. Tym razem na pewno nie dostrzegął zabobonnego lęku kobiety wciąż jakoś odnoszącej się do polskiej prowincji, którą opuścili. Trzęsąc się, powiedział do ojca:

- Przykro mi, tato. Chyba potrzebuję adwokata.

Tony zobaczył, jak ojciec skurczył się w sobie na myśl o tym, ile zła może im wyrządzić ta tragedia. Potem jednak pogodził się z nową rzeczywistością: dziewczyna nie żyje, a syn, którego kocha, ma kłopoty.

Stanley Lord przyciągnął go do siebie.

- Znajdziemy adwokata, Anthony.

## OSIEM

Kiedy Tony stanął twarzą w twarz z Saulem Ravinem, uderzyło go, że adwokat był tego rodzaju osobą, której w swoim dotychczasowym życiu nie mógł spotkać.

Po pierwszych dwóch dobach żalu i bezsenności Tony stwierdził, że powoli godzi się ze śmiercią Alison i że jest to proces nieuchronny, zupełnie niczym drążenie kamienia przez krople wody. Sobotnia gazeta wydała mu się czymś nierealnym. Zamieszczono w niej wyblakłe zdjęcie Alison ze szkolnych dokumentów. Wyglądała na nim jak setki innych nastolatków, których życie nagle ucięła tragedia. Nagłówek donosił: „Zabójstwo dziewczyny z Lake City”, a pod spodem napisano: „Przyjaciel zamordowanej lubianej studentki przesłuchiwany”. Tony bezbarwnym głosem spytał matkę:

- Kto to przyniósł?

- Pani Reeves, ta z końca ulicy. Przyniosła też zapiekanekę z tuńczykiem.

Coś w całej tej sytuacji rozśmieszyło Tony'ego. Na dźwięk pełnego goryczy śmiechu twarz jego matki zastygła.

- Gdy następnym razem kogoś zamorduję, poproś, żeby przyniosła mi lazanie - rzekł do niej.

Zakryła usta dłońmi. Ojciec, który stał przy oknie, obserwując zgromadzonych przed domem dziennikarzy, odwrócił się i powiedział łagodnie:

- Synu, musimy być dla siebie dobrzy. Zwłaszcza teraz.

Skóra na twarzy ojca była ziemista, worki pod oczami wyglądały jak sińce. Tony, jakby wyrażał skruchę, usiadł na kanapie naprzeciw matki.

- Jesteśmy tylko my - powiedziała do niego. - Wuj Joe i ciotka Mary Rose chcieli do nas przyjść, ale nie mogliśmy im pozwolić przez tych ludzi na zewnątrz.

Tony rozejrzał się po jedynym swoim domu, jaki pamiętał. Małeńki salon ze ślubną fotografią rodziców, jego zdjęcie ze szkoły, porcelanowe popiersie świętego Stanisława, statuetka przedstawiająca dwóch chłopów tańczących polkę w odświętnych strojach. Dla niego odzwierciedlał on granice skromnego życia rodziców: obawy matki, drobne rozrywki ojca - kręgle, zajęcia przy kościele - jego cierpliwą, beznadziejną pracę w ciasnej izdebce biurokraty w firmie. Ileż to razy myślał o tym, by zostawić wszystko za sobą: swój dom, który teraz stał się jego więzieniem. Tony chciał nie żyć - tak jak Alison.

Było poniedziałkowe popołudnie. Przed trzema dniami Tony spodziewałby się, że będzie teraz w



szkole, przyjmując kolejne gratulacje za pobicie Riverwood. Tymczasem szkołę zamknięto z powodu pogrzebu Alison, a Tony i jego rodzice znaleźli się w biurze tego adwokata od spraw kryminalnych, który był - jak ich zapewniano - najlepszy w Steelton.

Co jakiś czas Tony wyglądał przez okno w gabinecie Ravina na leżące poniżej rdzawe pasy miasta, które - jak się wydawało - było całe z betonu i stali: szare budynki, szare drogi, zanieczyszczona rzeka Steelton - szara wstążka pełna szarych barek z rudą - a na brzegach szare kominy. Nawet dym był szary.

Ravin otwarcie przedstawił, jak ma teraz wyglądać życie Lordów. Sprawa była poważna, więc będzie potrzebował zaliczki w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, a gdyby Tony został oskarżony o morderstwo, jego rodzice będą musieli zastawić lub sprzedać dom. Jednakże dziś ma przyjemność spotkać się z Tonym za darmo.

Niestety - adwokat zakończył swoją przemowę - spotkanie to musi się odbyć bez rodziców, którzy nie mogą być jego klientami i dlatego nie wolno im pytać Ravina ani Tony'ego o nic, co zostało między nimi powiedziane. Co więcej, jako potencjalni świadkowie w ogóle nie powinni rozmawiać z Tonym o tamtej nocy. Nie chodzi o to, że Tony jest winny, dodał Ravin pośpiesznie, ale że przebiegły prokurator mógłby wychwycić drobne różnice we wspomnieniach całej trójki. Zdezorientowani Lordowie słuchali tego jak dziwnego nowego katechizmu. Potem adwokat odprowadził rodziców Tony'ego do recepcji i zamknął za nimi drzwi. Tony i Saul Ravin zostali sami.

Prawnik rozsiadł się wygodnie w fotelu i złożył ręce na wystającym brzuchu. Miał nieco ponad czterdzieści lat, kręcone, nieznacznie przyprószone siwizną czarne włosy, długi nos, podwójny podbródek oraz na przemian ożywione i groźne, a jednak w pewien sposób smutne oczy. Tony pomyślał, że był Żydem - „Saul Ravin” brzmiało jakoś egzotycznie - lecz nie miał pewności. O ile pamiętał, nigdy jeszcze nie spotkał Żyda. Ale adwokat miał w sobie coś ojcowskiego i dał Tony'emu do zrozumienia, że wie, iż ten jest zdezorientowany, zatem nie będą się z niczym spieszyć. Chłopak czuł, że Ravin wyprosił jego rodziców z jednego jeszcze powodu. Miał nadzieję, że bez nich Tony będzie z nim bardziej szczerzy.

- No cóż, Tony - rzekł po chwili milczenia. - Siedzisz oto z kimś zupełnie obcym, który, okazuje się, jest jedynym na świecie człowiekiem godnym twojego absolutnego zaufania. Nic z tego, co powiesz, nie wyjdzie poza ten pokój. Dlatego chcę, żebyś opowiedział mi wszystko. Zrozum, nie będę wiedział, jak poprowadzić tę sprawę, jeśli zaczniesz od stawiania się. Pamiętaj tylko, że mówienie prawdy jest łatwe. To jedyna historia, której nie musisz wymyślać. W porządku?

Przez godzinę Tony odpowiadał na pytania dotyczące swojego życia. Mówił o rodzinie, przyjaciółkach, stopniach, sporcie i innych zajęciach, kościele, o tym, jak długo Lordowie mieszkają w Lake City, dlaczego przeprowadzili się ze Steelton, do jakiego college'u Tony chce zdawać, czy wcześniej miał jakieś problemy z policją, jakieś problemy w szkole albo z kimkolwiek w miasteczku. Opowiadając to wszystko, chłopak zrozumiał, że Ravin chce, by poczuł się swobodnie, a jednocześnie buduje sobie jego obraz.

- Jesteś dla mnie czymś nowym - stwierdził po pewnym czasie adwokat. - Jesteś klientem, którego jedyne dotychczasowe przestępstwo polega na tym, że jest siedemnastolatkiem. - Przybrał poważny wyraz twarzy. - Musimy porozmawiać o Alison, Tony. Nie tylko o tym, co się wydarzyło, ale i o tym, kim ona była.

Tony zaczął mówić cicho. W końcu Ravin przeprowadził go przez noc, w którą popełniono morderstwo, robiąc przerwy, kiedy chłopak ich potrzebował. Zakończyli rozmowę o policji. Dzięki delikatnym naciskom adwokata Tony przypomniał sobie pytania detektywów, nawet całe sformułowania. Kiedy dobrnął do końca, Ravin stwierdził:

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

- Co?

- Nie wiem. - Prawnik splótł dłonie pod brodą, jakby chciał coś dodać, po czym rzekł niemal lekceważąco: - Gliny zawsze trzymają coś w ukryciu. Czasem po to, żeby podstawić ci nogę, czasem zaś po to, żeby jacyś nawiedzeni nie zaczęli przyznawać się do zbrodni, których nie popełnili. A czasem po prostu po to, by chronić uczucia rodziny ofiary. - Jego głos brzmiał delikatnie. - Ale ty też trzymasz coś w ukryciu. Przed glinami i przede mną.

Chłopak zaczerwienił się.

- Co to takiego?

- To, że z nią spałeś.

Tony patrzył na niego w milczeniu, a w jego myślach zmagaly się wstyd i bunt. Ravin zaczął beznamytnie przyglądać się swoim złotym spinkom do mankietów.

- I tak samo jak gliny, Tony, pytam: dlaczego? Ich zdaniem, dlatego, że może ją zgwałciłeś. Że może przyduśłeś trochę za mocno, starając się ją uciszyć. - Niespodziewanie Ravin spojrzał na niego przenikliwie. - A więc jak było naprawdę, Tony? Czy to był gwałt? Morderstwo? Gwałt i morderstwo? A może po prostu seks za obopólną zgodą? I tym razem niczego nie pomijaj.

Tony zerwał się gwałtownie i podszedł do okna. Ale widział jedynie Alison, jak leżała naga pod nim i patrzyła mu w oczy. Tylko opanowanie, które wyrobił sobie poprzedniej nocy, sprawiło, że nie wybuchnął płaczem. Nie odwracając się, powiedział:

- Kochaliśmy się w samochodzie. To był nasz pierwszy raz.

- I oboje tego chcieliście.

- Tak. - Po chwili chłopak dodał pochmurnie: - Właśnie dlatego wróciła.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego policji?

Tony odetchnął.

- Bo to dotyczyło tylko nas dwojga.

Usłyszał, jak Ravin wstał ze skórzanego fotela.

- Ona nie żyje, Tony. Z tego, jak ją opisałeś, wnoszę, że nie potrzebowała całej tej twojej rycerskości. - Położył olbrzymią dłoń na ramieniu chłopca. - Jeśli dobrze pamiętam, w twojej religii

uprawianie miłości z Alison to grzech śmiertelny. Ale ja nie wierzę, że zabiłeś Alison Taylor przez to, że się z nią kochałeś. W mojej teologii zabił ją tylko ten, kto ją zabił. Tak też działa prawo. A więc powiedz mi jeszcze raz: Czy zabiłeś Alison Taylor? Zaakceptuję każdą twoją odpowiedź, ale musisz mi powiedzieć prawdę.

Tony odwrócił się i spojrzał adwokatowi w oczy.

- Nie zabiłem Alison, panie Ravin. Ja ją kochałem.

Ravin popatrzył na Tony'ego ze spokojem, a potem uśmiechnął się nieznacznie.

- Saul - poprawił chłopaka. - „Pan Ravin” brzmi tak, jakby dotyczyło mojego ojca, rabina, którego w pewnym sensie rozczarowałem. Usiądź, proszę.

Usiadłszy, Tony poczuł przyływ zaufania. Ravin rozparł się wygodnie.

- Pozwól, że przedstawię ci kilka prawd, które sam wyznaję, Tony. Po pierwsze, oprócz ciebie i Alison w twojej opowieści nie ma rzucających się w oczy problemów. Policja i Taylorowie uznają ją być może za mało prawdopodobną, ale będą potrzebowali czegoś więcej niż tylko takiego przekonania. Co to miałyby według nich być, jeszcze nie wiem, lecz pewnie będzie to jakiś dowód rzeczowy znaleziony na ciele Alison, może coś, co zdjęli z ciebie, na przykład ślady tkanki pod paznokciami, albo ktoś, kto twierdzi, że wie coś niedobrego. Co do dowodów rzeczowych, nie możemy zrobić nic poza tym, iż powiesz policji, że naprawdę z nią spałeś i że odbyło się to za obopólną zgodą. - Ravin przerwał. - Bo jeśli tak było, to moim zdaniem koroner się z tym zgodzi. Podczas gwałtu tkanka ulega uszkodzeniu, nawet pierwszy raz nie powoduje takich obrażeń. - Adwokat znowu urwał na chwilę. - Chyba że - dodał cicho - ktoś inny dobrał się do niej później. W takim wypadku koroner nie będzie mógł tego rozróżnić. Nawet przy jednym źródle nasienia nie potrafią stwierdzić, do kogo należy. Ważna jest tylko grupa krwi.

Tony poczuł, że owładnęło nim jednocześnie kilka emocji: cierpienie z powodu tego, co musiała znieść Alison; nienawiść do mordercy; obrzydzenie, jakie wzbudzała w nim rozmowa o dziewczynie, jakby była dowodem rzeczowym; ciężar swojej winy.

- Wobec tego musimy wziąć pod uwagę jeszcze to, nad czym się zastanawialiśmy - mówił dalej Ravin. - Kiedy to się przydarza kobiecie, Tony, trzeba założyć, że może to mieć większe znaczenie, niż się przypuszcza. Kto mógłby się tam znaleźć, w ogóle kto, i mieć takie zamiary wobec Alison...?

- Nikt. Nie była jakąś puszczalską, która biegała od chłopaka do chłopaka, żeby się podniecać. - Tony poczuł, że podnosi głos. - To ja ją znalazłem, nie ty. To mnie gliny uważają za mordercę. Gdybym znał kogoś, kto mógłby to zrobić, powiedziałbym im. Chyba że najpierw sam bym go zabił.

Ravin spojrzał na niego chłodno.

- Na twoim miejscu nie mówiłbym nic o zabijaniu. Poza tym jeszcze całkiem niedawno umawiała się z innymi chłopcami. Skoro ty żywiłeś do niej uczucia, to z innymi mogło być tak samo. A mogło być nawet tak, że i ona czuła coś do nich. Albo przynajmniej oni tak właśnie myśleli i poczuli się rozczarowani. - Ravin mówił teraz rzeczowym tonem. - Wobec czego mamy jeszcze kilka prawd. Jeśli staniesz przed sądem, twoi rodzice stracą wszystkie pieniądze. Jeśli zostaniesz oskarżony,

stracisz do końca życia, przynajmniej w oczach niektórych ludzi, swoją reputację. Musimy sprawić, by gliny uwierzyły, że mógł to zrobić ktoś inny. A do tego potrzebuję twojej pomocy.

Tony spojrzał na niego, po czym zaczął monotonicznie wymieniać wszystkich, z którymi Alison się kiedykolwiek umawiała. Ravin skrętnie to zapisywał.

- Dziękuję - rzekł grzecznie i podniósł wzrok znad notatnika. - Przekażę to policji, kiedy pójde ich oświecić co do ciebie i Alison.

Tony wyprostował się na krześle.

- Chcę iść tam z tobą.

Ravin odłożył pióro.

- Chciałem cię właśnie prosić, żebyś już nigdy więcej nie rozmawiał z glinami. Po to właśnie mnie wynajmujesz. Żeby wiedzieć, co się dzieje, i żeby nie popełniać błędów...

- A ja myślałem, że prawda to jedyna historia, której nie musisz wymyślać.

Ravin przyjrzał mu się.

- W takich okolicznościach nigdy nie pozwoliłbym jakiegokolwiek klientowi rozmawiać z policją. Istnieje ryzyko, że powiesz coś, co nam nie pomoże. Mimo że jesteś niewinny.

- Skłamałem. - Tony wyprostował się na krześle. - Muszę znowu spojrzeć im w twarz i powiedzieć, że tego nie zrobiłem. Muszę to powiedzieć wszystkim.

Ravin skrzyżował ręce na piersi. Patrzył już łagodniej. W jego oczach znowu pojawiło się coś smutnego, wyraz ogromnego zmęczenia.

- Muszę ci powiedzieć coś jeszcze, Tony. To najtrudniejsza prawda ze wszystkich. Jesteś jedyną żyjącą osobą, która wie, że jej nie zabiłeś. Wszyscy inni muszą wybrać, w co uwierzyć. A nic z tego, co według ciebie wiesz, nie pomoże przeciętnemu Jasiowi z Lake City uwierzyć, że nie jesteś mordercą. To mogą zrobić dla ciebie tylko gliny i prokurator hrabstwa i to jedynie pod warunkiem, że namówię ich, by nie stawiali cię w stan oskarżenia. Tymczasem będziesz musiał polegać na sobie w szukaniu dowodów swojej niewinności. Chcę, żebyś opowiadał wszystkim: twoim rodzicom, trenerom, przyjaciołom, nawet temu Samowi i Sue, że tego nie zrobiłeś, że liczysz na to, iż policja dowie się, kto to był, oraz że pomagasz policji przez to, że nic nie mówisz. Nic więcej.

Tony ponownie zaczął czuć ciężar swojego osamotnienia. Stracił Alison na zawsze i nie było nikogo, kto pomógłby mu znieść ten smutek, przerażenie, gdy ją znalazł, i cierpienie, które brało się z tego, że inni mogli podejrzewać go o tę zbrodnię. Wyglądając przez okno, rzekł na poły do siebie:

- Właśnie odbywa się jej pogrzeb. Szkoła jest zamknięta, poszła tam połowa miasta... Wielu prawie jej nie znało, ale chcą myśleć, że było inaczej. Ten pastor Taylorów zadzwonił do mnie, by się upewnić, że tam nie przyjdę. Tego właśnie chcieli Taylorowie, a on miał nadzieję, że uszanują ich życzenie. Szczerze mówiąc, zachęcał mnie, bym modlił się za Alison po swojemu, w moim kościele. On chyba wyobraża sobie, że mamy specjalny pogański rytuał dla rzymskokatolickich morderców.

Spojrzawszy na niego, Ravin pierwszy raz nie wyczuł gruntu pod nogami. Tony popatrzył mu prosto w oczy.

- Idą tam wszyscy nasi przyjaciele. Najgorsze jednak jest to, że spośród wszystkich mieszkańców Lake City to jej rodzice i ja najbardziej kochaliśmy Alison. A ja nawet nie mogę im tego powiedzieć.

- Ani pograć się we wspólnej żałobie. - W oczach adwokata widać było zrozumienie. - Lecz trzymaj się z daleka od Taylorów. Ponieśli ogromną stratę, a gdyby ciebie widzieli, boleliby jeszcze bardziej. W Lake City Taylorowie mogliby ci wyrządzić naprawdę wielką krzywdę.

Ta rada pogłębiła poczucie straty.

- Jeśli ci uwierzę, to nie będę miał z kim rozmawiać - rzekł do Ravina.

- A twój ksiądz?

Tony zawahał się.

- Jeszcze nie wiem - powiedział cicho. - Tego z Alison nie pochwalał.

Adwokat przyglądał się mu bez wyrazu, jakby grał na czas, żeby móc się zastanowić.

- Proponuję ci układ - rzekł w końcu. - Zachowaj teraz spokój, to zabiorę cię ze sobą na policję. W ten sposób będziesz mógł opowiedzieć swoją historię tym, którzy znaczą teraz najwięcej. - Ravin podniósł się i wyciągnął rękę. - Umowa stoi?

Tony wahał się, aż wreszcie uścisnął dłoń Ravina.

- Umowa stoi.

- W porządku - rzucił prawnik. - Będę z tobą w kontakcie.

Tony skierował się ku drzwiom. Dotarło do niego, że będzie teraz musiał stawić czoło światu, którego już nie znał.

- Jeszcze jedno - usłyszał za sobą głos Ravina.

Odwrócił się, trzymając rękę na klamce.

- O co chodzi?

- Możesz do mnie dzwonić, Tony. Zawsze, kiedy będziesz chciał pogadać.

Tony nie ruszał się. Czując wielką ulgę i wdzięczność, wydusił z siebie tylko:

- Dziękuję, panie Ravin.

Pierwszy raz uśmiech Ravina rozbłysnął także w jego oczach.

- Saul - poprawił chłopaka.



## DZIEWIĘĆ

Jadąc do domu, Lordowie mijali zbór pod wezwaniem Świętego Barnaby. Cała ulica była zastawiona samochodami. Za świątynią stał czarny karawan.

Tony odezwał się cicho:

- Muszę pójść do księdza Quinna.

Rodzice, bladzi i cisi, wysadzili syna przed kościołem Świętego Rafała.

Choć parafia nie należała do bogatych, sam kościół był przestronny, miał złoczone ornamenty, a jego cieniste zaułki dawały ukojenie. Tony wszedł do ławki z tyłu i usiadł samotnie.

Była trzecia po południu. Przed trzema dniami nie zaczął się jeszcze mecz, a Alison Taylor, która nie była jeszcze wtedy jego kochanką, czekała na ich wspólną noc.

Łzy płynęły Tony'emu po twarzy, kiedy modlił się o wieczny odpoczynek dla jej duszy.

Wiedział, dokąd musi pójść.

Z boku, w ciemnym korytarzu, stał konfesjonał. W każde sobotnie i poniedziałkowe popołudnie ksiądz Quinn słuchał spowiedzi. Rytuał ten od dzieciństwa stanowił część życia Tony'ego. Chłopak wyznawał grzechy, lekkie i śmiertelne, a ksiądz Quinn wysłuchiwał ich, po czym wyznaczał pokutę: odmówienie Ojcze Nasz i Zdrowaś Mario, wykonanie dobrego uczynku jako aktu skruchy. Mówił wtedy: „*Ego te absolvo* - odpuszczam ci grzechy - *in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sanctus*. Idź w pokoju”. Tony wracał przed ołtarz, klękał przed Bogiem i odmawiał pokutę. A potem odchodził z oczyszczoną na nowo duszą i nie obciążonym sercem.

Tego niezgłębionego dnia chodziło tylko o nadzieję odkupienia, przede wszystkim dla Alison.

Kiedy Tony zbliżył się do korytarza, pojawiły się dwie kobiety, matka i córka. Ujrawszy chłopaka, zatrzymały się raptownie, a następnie cofnęły, żeby go przepuścić. Tony nie potrafił odgadnąć, czy zrobiły to z szacunku dla jego straty, czy z obawy przed tym, co musi wyznać.

W ciemnym korytarzu pod jego stopami skrzypiały deski. Konfesjonał stał na końcu, a wewnątrz umieszczono puste krzesło. Tony wszedł i usiadł. Za zasłoną widział niewyraźny, ascetyczny profil księdza Quinna.

- Ojcze, przebacz mi, bo zgrzeszyłem...

Wyczuł, że ksiądz zamarł. Po chwili odezwał się z irlandzkim akcentem:

- Jakie grzechy popełniłeś, mój synu?

- Śmiertelne, proszę księdza. - Tony urwał, serce podchodziło mu do gardła. - Kochałem się z dziewczyną.

Kapłan zawahał się.

- Seks przedmałżeński to rzeczywiście grzech śmiertelny...

- Ona nie żyje, proszę księdza.

Tony słyszał przez zasłonkę, że kapłan bierze wdech, ale nie z powodu zaskoczenia.

- Jak umarła?

- Przeze mnie.

Tym razem spowiednik milczał. Tony pochylił głowę jak do modlitwy.

- Nalegałem wiele miesięcy, choć wiedziałem, że to złe. W końcu oddała mi się, ponieważ mnie kochała. Nie była katoliczką, dla niej to nie był grzech...

- Tak - rzekł cicho ksiądz Quinn. - Wiem. I samo to jest już grzechem.

Tony poczuł, że drży. Kapłan mówił jeszcze ciszej:

- Nie powiedziałaś mi, jak umarła. Powiedziałaś tylko, że przez ciebie.

Chłopak zamknął oczy.

- Kiedy skończyliśmy się kochać, zapragnąłem jej znowu. Czekałem w parku Taylorów, aż wymknie się z domu. Gdy nie wracała, poszedłem jej szukać. Znalazłem ją na jej podwórku za domem. Zamordowaną. - Raz jeszcze łzy napłynęły mu do oczu. - Wiem, że umierała, cierpiąc. I że nigdy by się tam nie znalazła, gdybym jej nie pragnął. Wiem, że zginęła przeze mnie.

Na długo zapadła cisza. Wreszcie ksiądz spytał:

- Czy jest jeszcze coś, co musisz wyznać?

Długo potrwało, nim Tony zdołał wydobyć z siebie głos.

- Umarła po tym, jak się kochaliśmy, proszę księdza. Muszę wierzyć...

Kapłan pochylił się i powiedział schrypniętym głosem:

- Chcesz wiedzieć, co się stało z jej duszą.

- Tak.

Przez chwilę ksiądz Quinn nie odpowiadał.



- Ale tego nie możesz wiedzieć - rzekł wreszcie.

Tony'emu zrobiło się słabo. Rodzice nauczyli go dogmatów, te zaś mówiły, że niekatolicy, a już szczególnie dziewczyna, która umarła w grzechu, nie mogą liczyć na zbawienie.

- Ale nasza doktryna się zmienia...

- Być może. Nie sądzę jednak, by zmieniła się w tym względzie.

Tony poczuł, że ogarnia go bezgraniczny żal, i zakrył twarz dłońmi.

- Błagam, ojcze...

Spowiednik powiedział łagodniejszym tonem:

- Nie mogę ci nic powiedzieć, nawet dla dobra tej biednej dziewczyny, która ponosi konsekwencje twoich czynów i której zbawienie jest teraz sprawą między nią a Bogiem. Możesz tu przyjść tylko po to, żeby wyznać swoje grzechy i żeby czynić pokutę dla dobra swojej duszy nieśmiertelnej. - Głos księdza Quinna stał się sroższy. - Więc muszę cię zapytać, czy wszystko tu wyгнаłeś...?

- Tak - odpowiedział Tony z nieoczekiwaną mocą. - Wybacz mi, ojcze, albowiem popełniłem grzech śmiertelny i wysłałem przez to do piekła dziewczynę, którą kochałem.

- Posłuchaj mnie. - Ksiądz podniósł głos. - Mówisz nie do mnie, lecz do Boga, Najwyższego Sędziego, a wieczność nie zna ograniczeń. On może rozgrzeszyć tylko ciebie i tylko z tych grzechów, które mu wyznałeś. Czy są jeszcze jakieś...?

- Ja jej nie zabiłem, proszę księdza. Ja ją tylko wysłałem do piekła - odpowiedział. Czuł, że ogarnia go uczucie beznadziei i wściekłości, jakiego dotąd nie znał. - Teraz może mi ksiądz dać rozgrzeszenie. Sprawić, bym poczuł się lepiej...

Kapłan za zasłonką gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Jesteś teraz wzburzony, mój synu. Może powinieneś się nad tym zastanowić...

Udręka sprawiła, że Tony poderwał się na równe nogi.

- Może powinienem pójść do piekła razem z Alison. W ten sposób miałaby towarzystwo...

- Anthony, to mój obowiązek wobec ciebie! - zawołał ksiądz Quinn. - Bez rozgrzeszenia nie możesz przystępować do komunii. To tobie chcę pomóc...

- Nie może ksiądz. Nie w tym życiu.

Oślepiiony rozpaczą, brakiem snu i poczuciem opuszczenia, Tony Lord odwrócił się i wyszedł z kościoła.

Kilka minut po piątej Tony siedział sam w suterenie, kiedy usłyszał, że ktoś schodzi po schodach.

Przez chwilę Sam i Sue stali w przyćmionym świetle. Potem dziewczyna podbiegła do Tony'ego i objęła go za szyję.

- Tony, tak mi przykro...

Chłopak zamknął oczy i objął ją. Długą chwilę po prostu trzymał Sue w objęciach, czując tylko ulgę na jej widok oraz pociechę, jaką przynosiło mu to nieoczekiwane ciepło.

- Tak cholernie się cieszę, że do mnie przyszlście...

Przycisnęła policzek do jego czoła, a potem odsunęła się. Tony wstał i wziął w objęcia Sama. Nie potrzebowali słów.

Po jakimś czasie Sam i Sue usiedli na krzasiastej sofie, trzymając nogi na linoleum. Tony nie spytał, gdzie byli, ponieważ Sam miał na sobie grafitowy garnitur, w którym czuł się niepewnie, a Sue granatowy, smutny strój, który nosiła tylko do kościoła. Bez swojej żywotności dziewczyna zdawała się mniejsza. Tony zapytał ją cicho:

- Jak było?

Wydawało się, że Sue zastanawia się, jaką wybrać odpowiedź.

- Ciężko - odparła po chwili. - Ojciec Alison chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Jej matka wyglądała, jakby nie była sobą. - Przez chwilę wpatrywała się w szare linoleum. - Cieszę się, że cię tam nie było.

- Chciałem tam pójść, Sue. Ich klecha mi zabronił.

Podniosła na niego oczy.

- Wiem.

W tym prostym słowie kryło się coś więcej. Tony zebrał się w sobie i spytał:

- Ludzie myślą, że ją zabiłem, prawda?

Sue nie uchylła się od odpowiedzi.

- Ludzie niewiele mówili - stwierdziła, po czym uznała, że to za mało jak dla przyjaciela. - Ci, którzy cię znają, nie myślą tak. Niektórzy nie wiedzą chyba, co mają myśleć. To znaczy, to było przecież w ostatni piątek...

- To nie do wiary - rzekł nagle Sam, a Tony spostrzegł, że w oczach przyjaciela stanęły nagle łzy. - Wciąż myślę o tamtej nocy. Wciąż myślę, że kiedy byliśmy w klonowym zagajniku, bezpieczni, wam to się przydarzyło. I że gdybym was wtedy namówił do pójścia z nami, to by się n i g d y nie stało.

Sue spojrzała na niego z wyrzutem. Ale to nie miało znaczenia, bo Tony całymi godzinami wyobrażał sobie siebie i Alison bezpiecznych z przyjaciółmi w zaparkowanym samochodzie. Jeszcze

tak niedawno, pomyślał, było ich czworo. Zdawało się, że bez Alison organizm, który składał się z dwóch par, został okaleczony na zawsze.

- Wydaje mi się, że to sen - powiedział po chwili Tony. - Jakbym może już jutro miał z nią o tym porozmawiać...

Sam splótł ręce na piersiach. Milczał chwilę, po czym rzekł:

- W gazetach piszą, że powiedziałaś glinom, że znalazłaś ją w takim stanie...

Tony dotknął dłońmi oczu.

- Tak.

- Czy ona była... martwa?

- Tak.

Sam przyglądał się mu z wahaniem.

- Gliniarze przyszli, żeby ze mną porozmawiać, Tony.

Tony poczuł ogromny ciężar na sercu.

- O co im chodziło?

- Głównie o to, co się zdarzyło tamtej nocy i kto rzucił pomysł, żeby się rozdzielić. - Sam utkwił w Tonym swoje jasne, błękitne oczy. - Ten dupek Dana pytał mnie, czy się kiedyś kłóciliście. Powiedziałem mu, że nigdy.

Tony westchnął.

- Oni i tak wiedzą swoje, Sam.

Sue powoli skinęła głową.

- Ze mną też rozmawiali. Chcieli wiedzieć, czy Alison zwierzała mi się z waszych problemów.

Tony się zaczerwienił.

- A zwierzała się?

- Tak.

Chłopak zamilkł ze wstydu, ponieważ Sue musiała wiedzieć, jak duża część tych problemów dotyczyła tego, czy Alison się z nim prześpi. Nie mógł się zmusić, by zapytać o to, co Alison o nim mówiła, ani o to, co Sue powiedziała policji. Wtedy dziewczyna sama odezwała się cicho:

- To nic takiego, Tony. Tyle tylko, że kobiety trochę się tym martwią. Mówiła, że nigdy nie byłeś natarczywy.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Czy możesz w jakiś sposób poprawić swoją sytuację? To znaczy, czy kogoś tam widziałeś? - zapytał Sam.

Tony dotknął grzbietu nosa.

- Usłyszałem kogoś w parku. Myślę, że uciekał od ciała Alison. Było zbyt ciemno, żebym mógł go dostrzec.

- I to wszystko?

- W sumie tak. - Tony wziął wdech. - Potem ją znalazłem.

Sam pochylił się do przodu.

- Posłuchaj, Tony. Może my będziemy mogli ci pomóc. Może być ci teraz trochę ciężko w szkole. Jeśli Sue i ja dowiemy się, co powiedziałeś glinom, będziemy potrafili wszystko wyjaśnić, powiemy wszystkim, co widziałeś. Nie może być tak źle, jak napisano w gazetach.

Tony domyślił się, że mówiono o tym znacznie więcej, niż Sue chciała przyznać. Mógł się jednak tego spodziewać po Lake City: nigdy nie było tu niezamężnej dziewczyny, o której ciąży nie rozprawiano by gorliwie aż do porodu, albo takiej, o której dawnych „romansach” - z wyolbrzymioną liczbą domniemyanych nastoletnich kochanków - nie opowiadaliby sobie jej rówieśnicy. Nie było się więc co dziwić, że w wypadku morderstwa gorączka była jeszcze większa. Nagle chłopak zrozumiał, że jego słabością było to, iż do dnia zbrodni mieszkańcy miasteczka mieli o nim dobre zdanie. Świadomy swojej niewinności uznał, że tak naprawdę ich dobra wola po prostu się należy. Zbyt późno przypomniał sobie ostrzeżenie Saula Ravina.

- Nie wiem, czy możecie mi pomóc. - Urwał, nie chcąc kończyć myśli. - Przynajmniej mój adwokat twierdzi, że nie możecie.

Oczy Sama zwięzły się.

- Dlaczego nie?

- Mówi, że nie powinienem z nikim rozmawiać. Jego zdaniem, mimo że jestem niewinny, policja będzie was wciąż nachodziła, szukając na mnie haka...

- No to co? - Sam był nastawiony wyraźnie buntowniczo. - Kim jest ten facet?

- Saul Ravin. - Tony nagle poczuł chęć, by bronić swojego adwokata. - Jest najlepszy w Steelton.

- Jakiś prawnik z centrum, który nawet tu nie mieszka? Jezu, Tony, jesteśmy twoimi przyjaciółmi! Ludzie nas wysłuchają. - Sam, skonsternowany, podniósł głos. - W co będą wierzyli, jeśli zasznurowiesz nam usta?

Tony pomyślał, że pod troską Sama kryło się poczucie dumy i własności: Tony był jego przyjacielem, więc tylko o n był z nim tak związany. Świadomość, że Sam traktuje to bardzo

osobiście, była dla niego dodatkowym ciężarem. Bardzo go to zasmuciło. Powiedział cicho:

- Nie chcę, żebyś był moim adwokatem, Sam. Chcę, żebyś był moim przyjacielem. - Chcąc złagodzić wydźwięk tych słów, Tony zwrócił się do Sue: - Saul uważa, że najlepsze, co mogę zrobić, to powiedzieć glinom wszystko, co wiem, i nie rozpowiadać tego dalej. On mówi, że im staranniej gliny wykonają swoją robotę, tym lepiej dla mnie. - Urwał, widząc frustrację i wątpliwości malujące się na twarzy Sama. - Bardziej niż czegokolwiek pragnę, żeby znaleźli tego drania, który zabił Alison.

Sue spojrzała na Sama i położyła mu rękę na kolanie. Sam popatrzył na jej dłoń, a potem na Tony'ego. Powoli skinął głową.

- Zrobimy wszystko, co zechcesz, stary. Albo czego chce ten adwokat.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Potem Sue wstała, podeszła do Tony'ego i ujęła jego dłoń.

- Wszystkim nam brakuje Alison, Tony. Ale wciąż mamy ciebie. - Obróciła się i uśmiechnęła niepewnie do Sama.

Ten wstał, objął Sue i Tony'ego, po czym mocno przyciągnął ich do siebie.

- No pewnie - powiedział. - Tak jak przedtem.

## DZIESIĘĆ

- Spałem z nią - powiedział Tony.

Siedział z McCainem i Daną w tym samym co poprzednio klaustrofobicznym pomieszczeniu. Tym razem jednak towarzyszył mu Saul Ravin, drzwi były lekko uchylone, a prawnik poprosił McCaina, żeby przestał palić. Poirytowany detektyw bawił się szarą kopertą.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? - zapytał Dana.

Tony udawał, że zastanawia się nad odpowiedzią, co przećwiczył już starannie z Ravinem. Wypełniając polecenia adwokata, spojrzał detektywowi prosto w oczy.

- Bo nie ogarniałem tego, co się dzieje. Mogłem myśleć tylko o tym, że to był pierwszy raz Alison i że ta sprawa dotyczyła tylko nas dwojga. - Urwał, po czym dokończył cicho: - To, co się stało z Alison, jeszcze wtedy do mnie nie docierało.

McCain się skrzywił.

-Mnie się wydawało, że mówiłaś całkiem do rzeczy.

- Na waszym miejscu - wtrącił się lodowatym tonem Saul -zapomniałbym o próbach wykorzystania poprzedniego zeznania Tony'ego. Tak jak zapomnieliście powiadomić jego rodziców lub księdza, powiedzieć mu, że może odmówić składania zeznań, czy wskazać, gdzie jest toaleta...

- Nie został aresztowany - prychnął McCain.

- On ma siedemnaście lat, poruczniku. - Saul uśmiechnął się przyjaźnie do policjanta. - Nie sprzeczkajmy się o to. Jeśli chcecie oprzeć oskarżenie o zabójstwo na zaznaniach zastraszonego, znajdującego się w szoku nastolatka, a potem zrobić z siebie osłów przed Bogiem i dziennikami, kiedy jakiś sędzia je odrzuci, to róbcie, co chcecie. Nie chcę was pozbawiać nadziei na sławę.

Niezdrowa cera McCaina jeszcze bardziej poczerwieniała; policjant zaczął się bawić klapką koperty. Ale Dana nie odrywał wzroku od Tony'ego.

- Co to znaczy, że z nią spałeś?

- O co panu chodzi?

- Chodzi mi o to, jak to zrobiłeś?

Tony spojrzał na Saula. Adwokat przyglądał się ścianie z nieco znudzoną miną.

- Na tylnym siedzeniu samochodu - odpowiedział chłopak.

- Pytałem jak. Na przykład, czy to ona była na górze.

Tony się zarumienił.

- Nie.

- No, teraz do czegoś wreszcie zmierzamy. Szczytowałeś?

- Tak.

- Gdzie?

- W niej.

- W niej? - Dana powtórzył lekko drwiącym tonem. - Czy nie ma na to jakiegoś medycznego terminu?

Tony znowu pomyślał o Alison, o tym, jak wyglądała i jaka była jej skóra. Odparł cicho:

- W pochwie.

- Czy ona tego chciała?

- Tak. - Chłopak czuł ucisk w gardle. - Dlaczego mnie pan po prostu nie zapyta, czy ją zgwałciłem? Nie robiliśmy tego, żeby mógł się pan podniecać...

Tony poczuł, jak ręka Saula spoczęła pod stołem na jego nadgarstku. Dana pochylił się do przodu i rzekł cicho:

- To nie jest zbyt podniecające, Tony. Przynajmniej dla mnie. Więc powiedz mi, czy robiłeś z nią coś jeszcze?

- Nie.

McCain powoli sięgnął do koperty. Wyjął po kolei trzy kolorowe zdjęcia i ułożył je obok siebie na stole.

- Nawet tego? - zapytał od niechcienia.

Alison leżała na stole. Jej twarz zastygła w grymasie, który Tony chciał zapomnieć, lecz teraz nie było to już możliwe. Widział usta otwarte w niemym okrzyku bólu, wysunięty lekko język, zaczerwioną twarz, nabrzmiałe żyłki na policzkach i w gałkach ocznych. W blasku latarki Johna Taylora nie zauważył nieregularnego naszyjnika: sińców na szyi, które układały się w kształt ręki.

Tony zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, Saul Ravin przyglądał się uważnie zdjęciom beznamiętnym wzrokiem.

- Cieszę się, że c o ś jednak was w pracy podnieca - mruknął do McCaina. - To musi być chwila, którą trudno zapomnieć. Wiem, że Tony jej nie zapomni. Ale już to rozegraliście, więc możecie schować zdjęcia. Byłbym wdzięczny za kopię raportu z sekcji zwłok.

Dana spojrzał mu prosto w oczy.

- Będzie pan mógł go zobaczyć, kiedy postawimy zarzuty. Nie wcześniej.

Saul odwrócił się do Tony'ego z wyrazem ogromnego współczucia w oczach.

- Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć tym... panom?

Tony z trudem jedynie zdołał się opanować. Potem spojrzał na dwóch detektywów ponad zdjęciami Alison Taylor, które na długo miały wryć mu się w pamięć, i powiedział:

- Znajdźcie tylko to zwierzę, które to zrobiło...

- To j e s t pomysł - przerwał mu Saul. Poprzesuwał zdjęcia i wrzucił je z powrotem do koperty. - Na przykład przegląd policyjnych materiałów w „Lake City Weekly” wskazuje, że nocą w parku Taylorów można się natknąć na włóczęgów. Piszecie raporty o tych, których zatrzymacie. Na waszym miejscu wyciągnąłbym je. Później rozesłałbym dalekopisem wiadomość do wszystkich posterunków w rejonie, prosząc o raporty na temat gwałtów i napaści. Nie mówiąc już o uduszeniach. - Nagle wstał i przycisnął kopertę do piersi McCaina. - Tony ma rację - rzekł do detektywa o czerwonej twarzy. - Powinniście znaleźć tego faceta. Chyba że chcecie mieć jeszcze więcej zdjęć do oglądania.

Saul i Tony siedzieli na ławeczce przed ratuszem.

Dzień był jasny, bo poranek, choć chłodny, był słoneczny. Połyskiwał jeszcze przymrozek, a trawa, która przestała już rosnąć, pokładała się na ziemi. Kiedy Saul odwrócił się do niego, wzdychając przy tym, powietrze zmieniło się w kłąb pary.

- Chcieli wiedzieć, jak zareagujesz. Może mieli nadzieję, że coś nieopatrznie wypalisz - powiedział.

Chłopak wciąż siedział osowiały.

- Chciałem strzelić skurwiela w pysk, ale nawet nie mogłem się ruszyć.

- Tak było lepiej. Muszę przyznać, że jesteś bardzo opanowany. Może ci nie wierzą, ale teraz zdają już sobie sprawę, że będziesz trudnym świadkiem. I że kolejnym problemem jest dla nich twoje poprzednie zeznanie. - Saul postawił kołnierz swojego czarnego, wełnianego płaszcza. - W każdym razie skończyliśmy z nimi. Od tej chwili będę się kontaktował z prokuraturą hrabstwa. To oni zadecydują, czy cię oskarżyć: Johnny Morelli, szef wydziału kryminalnego, oraz - w takiej sprawie jak ta - sam prokurator hrabstwa.

Tony przetarł dłonią oczy.



- Po co im te wszystkie pytania? Co robiliśmy, jak...

Saul popatrzył przed siebie, jakby rozważał, jak dużo ma wyjawić.

- To zbrodnia na tle seksualnym. Tyle wiemy na pewno - rzekł po chwili.

- Dlaczego na pewno?

Na chwilę Saul zmarszczył brwi, potem jednak odpowiedział spokojnie:

- Oni nie mylą pierwszego razu z gwałtem, Tony. To bydlę coś jej zrobiło. Nie wiem co. Może najpierw zmusił ją do seksu oralnego, a może penetracja była wyjątkowo brutalna. Tego właśnie nie mówią nam i prasie. Dlatego prosiłem o raport z sekcji zwłok i dlatego nie chcieli mi go dać.

Tony'emu zakręciło się w głowie. Założył ręce na piersi; było mu niedobrze. W tej chwili mógł myśleć tylko o tym, jak bardzo nienawidzi człowieka, który zrobił to Alison - to wszystko, o czym wiedział aż nazbyt dobrze, i to, co mógł sobie jedynie wyobrazić. Zapytał beznamiętnie:

- Dlaczego po prostu nie powiedzą, co jej się stało?

- Ponieważ o tym wszystkim, czego dowiedzieli się z jej ciała, wiedzą tylko oni i morderca. Chcą, żeby tak pozostało. Morelli ma nadzieję, że sprawa rozwinie się po jego myśli, i chce się cholernie dobrze upewnić, że się na czymś nie poślizgnie. - Saul przeczesał dłonią włosy. - Postaram się trochę otworzyć mu oczy. Szczególnie co do tego, jakiego pokroju człowiek mógł udusić Alison i zrobić to wszystko, co policja i być może Taylorowie zachowują dla siebie. To mógł być ktoś, kto gwałcił nie pierwszy raz, Tony. Wiem, bo bronilem trzech takich. Jeden z nich jest na wolności i gdzieś tam krąży. Niech Bóg chroni ten świat. Być może temu też skończył się wyrok. Chcę poprosić mojego przyjaciela Morellego, by zajrzał do wszystkich teczek ze sprawami na tle seksualnym, jakie ma, i poszukał każdego takiego typka, który mógł być zimą w tej okolicy. - Saul urwał, oczy mu się zwęziły. - Dziś rano Morelli za cholerę nic mi nie powie. Będziemy musieli czekać.

- Jak długo?

- Tak długo, jak on zechce. W sprawach o zabójstwo nie ma przedawnienia. - Saul znowu obrócił się do Tony'ego. - Chyba sam wiesz, że na jakiś czas wszystko się zmieni. Wielu ludzi żyje w takim miasteczku, ponieważ chce się czuć bezpiecznie i trzymać swoje dzieci z dala od tych, których się z jakichś powodów obawia: Murzynów, Żydów, kogokolwiek. Kiedy ginie taka dziewczyna jak Alison Taylor, czują, że jednak nie są tu bezpieczni. Dlatego zaczynają się bać i wpadają w złość. Będziesz musiał jakoś to przetrzymać. Jesteś na to gotowy?

- Nie jestem pewien. - W swojej rozpaczony Tony pomyślał o matce i o tym, jak ona musiała być przerażona. Był jedyną osobą, w którą zawsze wierzyła. „Będziesz jak Bill Bradley”, mówiła do niego. Bradley był koszykarzem z Princeton i stypendystą Rhodesa, o którym czytała w magazynie „Look”. Już mówiono o nim jako o kandydacie na prezydenta. Nagle Tony zdał sobie sprawę, że uwierzył, iż jest kimś wyjątkowym, więc jeśli będzie ciężko pracował i dobrze żył, świat go wynagrodzi.

- Czy wiesz, co moja matka mówiła mi co wieczór, kiedy byłem dzieckiem? - zapytał Ravina. -

„Codziennie, z Bożą pomocą, możesz żyć coraz lepiej”.

Ravin spojrzał na niego jednocześnie z ironią i zrozumieniem. Bez złych intencji odpowiedział:

- Twoja matka nie zajmowała się pewnie tym szczegółem historii, lecz jeszcze w tym wieku niektórzy z twoich polskich katolickich przodków polepszali swoje życie, tłukąc na śmierć moich żydowskich przodków. Oczywiście wielu z tych, którzy stali na czele pogromów, było przerażonych, ponieważ myśleli, że Żydzi to wcielone diabły. Ale to właśnie sprawiło, że mój pradziadek, Ravinsky, wyemigrował. W Polsce bycie kimś obcym mogło oznaczać śmierć. Nagle, Tony, stałeś się nie tylko katolikiem, lecz kimś naprawdę obcym, kimś, kogo ludzie się boją. Ale ty wiesz, że to nie ty się zmieniłeś, tylko ich postrzeganie ciebie. Wyciągnij z tego wnioski, jeśli potrafisz. - Znowu nieznacznie się uśmiechnął. - Wiedząc, że prawnuk Saula Ravinsky’ego nie pozwoli im zrobić z ciebie głównego celu ich osobistego pogromu.

Tony usiłował wyobrazić sobie następne tygodnie i miesiące w szkole: gdy będzie może oskarżony o morderstwo albo będzie czekał na oskarżenie. Z prawdziwą goryczą powiedział:

- Łatwo ci nazywać to nauką na przyszłość. Czego się można nauczyć z tych zdjęć, Saul? Czego się można nauczyć od ludzi, którzy myślą, że t o zrobiłem?

Saul wziął oddech.

- Może tego, że świat jest niesprawiedliwy i to nie tylko wobec ciebie. Może tego, by liczyć tylko na siebie, a nie na owacje. - Położył rękę na ramieniu chłopaka. - Czego pragniesz, Tony?

- Teraz? Żeby to się skończyło. Żeby Alison czekała przy mojej szafce, kiedy jutro wrócę do szkoły.

- Miałem na myśli to, czego pragnąłeś przedtem. Kiedy Alison żyła.

Tony pomyślał, że wydaje mu się, jakby od tamtej pory minęły lata.

- Chciałem iść na Harvard. Dostać stypendium. Bóg jeden wie, jak teraz tego potrzebuję. Jak bardzo chciałbym żyć w mieście większym niż to.

Saul przyglądał mu się bacznie.

- Czego jeszcze?

W głowie Tony’ego była pustka. Kiedy pytanie do niego dotarło, czuł się zbyt zawstydzony, by odpowiedzieć.

- Tak? - spytał Ravin.

Tony spojrzał mu w oczy.

- Chciałem pokonać Sama Robba. Chciałem zostać sportowcem roku.

Saul chwycił go za ramiona i patrzył uważnie w oczy.

- A więc pamiętaj, żeby tego dokonać. Pamiętaj. - Głos mu złagodniał. - Nie pozwól, by ten morderca, policjanci i ci ludzie odebrali ci to.

## JEDENAŚCIE

- Mor-der-ca...

Zostało jeszcze sześć sekund gry, a Lake City i Riverwood miały po czterdzieści dwa punkty. Obie drużyny koszykarskie były przeciętne; teraz, pod koniec stycznia, w grę wchodziła już tylko duma. Mimo to sala gimnastyczna w Lake City była pełna: kibice gospodarzy przyszli, ponieważ grali przeciwko Riverwood, ci z Riverwood natomiast, by się odegrać. A teraz mieli co krzyczeć.

- Mor-der-ca...

Tony Lord miał rzucić dwa osobiste.

Stał na linii w kole, a zawodnicy w niebieskich i czerwonych strojach ustawili się po obu stronach kosza, gotowi walczyć o piłkę, gdyby Tony nie trafił za drugim razem.

Tony pochylił się do przodu i wziął głęboki oddech. Riverwood skandowało rytmicznie:

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Otarł pot napływający mu do oczu i wziął piłkę od sędziego. Spojrzał na kosz, usiłując zignorować tłum.

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Przecież, pomyślał, powinienem się już do tego przyzwyczać.

W oczach wielu osób u Świętego Rafała Tony przyznał się do winy: zauważono, że nie przystępował już do komunii, i parafianie domyślali się - zupełnie słusznie - że nie wyraził skruchy. Jego ojciec się wstydził, matka zaś bała się o duszę syna. Pewnej niedzieli, gdy Tony nie chciał iść na mszę, przyszedł do niego ksiądz Quinn.

Usiadł w nogach jego łóżka. Chłopiec wyciągnął się, sięgnął aż do ściany. Ręce włożył pod głowę i patrzył na swojego starego księdza z obojętnością, której nie czuł.

- Ksiądz nie dał mi wielkiego wyboru - powiedział. - Gdybym miał wierzyć w to, co ksiądz mi wtedy powiedział, to musiałbym uznać, że być może Alison już smaży się w piekle za straszny grzech, jakim jest brak wiary. Więc i ja postanowiłem nie wierzyć.

- Anthony, radziłem ci się modlić za jej duszę... - rzekł łagodnie kapłan.

- I robię to, proszę księdza. Cały czas.

Ksiądz Quinn zamrugał oczami. Pobrużdżona twarz rudowłosego, siwiejącego i obciętego na jeża duchownego nie wyglądała tym razem srogo. Był zdruzgotany tym, że wymykał mu się chłopiec, który należał do jego trzody. Przez chwilę Tony'emu było go żal.

- Twoi rodzice martwią się o ciebie - zagadnął.

- Ja też się martwię. Mogę być oskarżony o zabójstwo.

- Oni martwią się o twoją duszę, Tony. I dlatego, że ludzie, którzy chcą ci wierzyć, są zdziwieni twoimi czynami.

Tony czuł ten ciężar. Chciał odpowiedzieć żartem, ale nie potrafił. Wreszcie stwierdził:

- Ale nie mogę sprawić satysfakcji innym ludziom, wracając do Kościoła, którego odpowiedzi nie akceptuję. Nawet ze względu na moich rodziców.

Duchowny zaczerpnął nagle powietrza, wypychając swe mizerne policzki.

- Kim jesteś, żeby decydować, kiedy Kościół sprawia ci satysfakcję?

To prawda, przyznawała wierząca część osobowości Tony'ego: z perspektywy wiary on sam był bez znaczenia i kierował się grzeszną dumą.

- Już sam ten bunt, Anthony, jest grzechem.

Tony wstał niespodziewanie i otworzył drzwi sypialni, żeby bronić siebie i pozbyć się księdza.

Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Wielu w szkole myślało, że nim był.

Jego powrót był dziwaczny. Ktoś namalował kwiaty na szafce Alison, na jego zaś - nim je zdjął - wisiało pamiątkowe zdjęcie dziewczyny ze szkolnych dokumentów z biegnącym w poprzek napisem: „Jak mogłeś?” Kilka osób nieśmiało wyraziło mu współczucie, a cała - z wyjątkiem Sama - drużyna koszykówki usiłowała udawać, że nic się nie stało, zupełnie jakby trenerzy powiedzieli, jak należy się zachowywać. Inni unikali go, tym bardziej że mijały tygodnie, a nie pojawiał się żaden inny podejrzany, Tony zaś nie mógł rozmawiać o zabójstwie. Był przywódcą - uzmysłowił to sobie - ponieważ nigdy nie patrzył, czy ktoś idzie za nim. Nie miał daru pozyskiwania współczucia ani tłumaczenia, jak bardzo śmierć Alison, zniszczywszy wszystko bardziej, niż mógł to wyrazić, spowodowała, że zamknął się w sobie. Tylko nieliczni potrafili dostrzec, jak bardzo cierpiał i że ten ból go nie opuszczał.

- Wiele osób myśli, że jesteś winny - poinformowała go Mary Jane Kulas. - Dlaczego tak się wywyższasz?

Postanowiła stawić mu czoło, gdy wchodził do stołówki. Przybrała pozę przyjaciółki, która wygarnia trudne prawdy. Gorliwość i ruchy Mary przypominały mu aktorkę teatralną grającą dla

widzów z balkonu. Jej twarz z orlim nosem wyglądała srogo, a zmierzwione blond włosy podskakiwały, gdy mówiła.

- Nieważne, co było między nami. Mówię ci to, co boją się powiedzieć ludzie, którym wciąż na tobie zależy. Może przebaczą ci, jeśli pokażesz, że żałujesz tego, jak się zachowywałeś - ciągnęła.

Skonsternowany Tony rozumiał, że była to jej zemsta.

- Jak się zachowywałem? - zdołał zapytać. - Starłem się tylko poprawić oceny, dostać stypendium, którego potrzebuję...

- No właśnie. - Stała się nadgorliwa. - Myślisz o sobie tak, jakby nie zależało ci na tym, co myślą ludzie. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie zaczynają się dziwić.

Tony zauważył, że dokoła nich uczniowie podnosili głowy znad talerzy i przyglądali się im. Poniżony i zrozpaczony, chciał krzyknąć, że jest niewinny. Wtedy zobaczył Sue Cash, która siedziała z koleżankami po drugiej stronie sali, i dostrzegł w jej oczach wyraz niemej zachęty.

Odwrócił się znowu do Mary Jane.

- Czy mogłabyś przekazać coś ode mnie tym ludziom?

Dziewczyna skinęła głową.

- Dobrze.

Podniósł głos na tyle, by usłyszano go przy najbliższym stoliku.

- Powiedz im, że Alison była kimś najwspanialszym w moim życiu, a to, co się z nią stało, czymś najgorszym. Poproś ich, żeby wykazali tyle zrozumienia ile ty.

Dopiero po chwili wściekłość i uraza odmalowały się w jej błękitnych oczach i wtedy Tony zobaczył, jak bardzo ją zranił.

- Tony?

Kiedy się odwrócił, Sue dotknęła jego łokcia.

- Zjesz z nami lunch? - Jej uśmiech, podobnie jak pytanie, zignorował jego rozmówczynię.

Tony spojrzał na Mary Jane.

- Przepraszam - rzekł cicho i odwrócił się.

Gdy szli do stolika, Sue szepnęła do niego:

- To nie było zbyt ładne.

- Ze strony Mary Jane czy mojej?

Podniosła na niego wzrok.

- Z twojej - powiedziała dość ostro. - Mary Jane jest bardzo troskliwa. Od tej chwili powinienes starać się być do niej podobny.

Niespodziewany sarkazm dziewczyny tak bardzo go rozluźnił, że roześmiał się głośno. Ludzie znowu się obejrzeli, zastanawiając zapewne, jak Tony Lord mógł się śmiać...

Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Nie potrafił przed tym uciec. Dana przychodził do szkoły, by wypytywać ludzi o Alison lub o Tony'ego, a potem cichaczem zjawiał się na treningu koszykarskim i przyglądał się chłopakowi z trybun. Kiedy Sam o tym wspomniał, Tony nie powiedział wiele. Czuł, że jego przyjaciel czeka, aż się przed nim otworzy, ale nie chciał mówić o tym, jak się czuje: nie tylko ze względu na radę Saula, lecz również dlatego, że przez to czułby się jeszcze gorzej, wprost beznadziejnie. To kładło się cieniem na czasie, który spędzał z Samem i Sue. Gdy poszli na *Absolwenta* - film, na ile Tony zrozumiał, o dziewczynie, która rzuciła swojego dziwaka, żeby uciec z mniejszym dziwakiem, który pieprzył jej matkę - obecność Alison wyczuwał tak namacalnie jak pustą przestrzeń obok siebie, próżnię, o której nigdy nie mówili, ale którą zawsze odczuwali. Tony nie miał serca do randek: nawet jeśli miał na nie ochotę, wielu rodziców nie pozwoliłoby córkom spotykać się z nim, a dziewczyna, która by z nim dokądś poszła, mogłaby zostać zganiona za uczestnictwo w bezdusznym zachowaniu Tony'ego. Nie mógłby tego znieść - Taylorowie i tak zrobili już wystarczająco wiele.

„Lake City Weekly”, którego byli głównymi udziałowcami, pytał, dlaczego Tony'ego nie oskarżono o zamordowanie Alison. Taylorowie założyli Fundację imienia Alison, działającą na rzecz bezpieczeństwa dziewcząt w miejscach publicznych. Stała się ona słabo zawołowaną grupą nacisku na policję i prokuratora hrabstwa, by postawić Tony'ego Lorda w stan oskarżenia. Pani Taylor pracowała kiedyś w radzie szkoły; następnego dnia po tym, jak chłopak zobaczył Taylorów wchodzących do gabinetu dyrektora, sam został do niego wezwany.

- Wiem, jak jest ci ciężko - zaczął pan Marks i poprawił okulary. - Tym bardziej, że grasz w koszykówkę, a dopóki będziesz się tym zajmował, dopóty będziesz na świeczniku.

- Dzięki temu nie odchodzę od zmysłów. - Tony zawahał się, myśląc, jak to wytłumaczyć. - Na kilka godzin prawie zapominam...

- Rozumiem. - Marks poruszył się w fotelu. - Ale oprócz problemów, które masz z uczniami... Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, iż niektórzy rodzice martwią się o bezpieczeństwo swoich córek. Niepotrzebnie, jestem tego pewien, ale rozumiesz, skąd się to wzięło. Chciałem ci w związku z tym coś doradzić.

Nagle Tony zrozumiał, do czego to wszystko zmierzało.

- Jestem niewinny, panie Marks. Może to im powinien pan udzielać rad.

Dyrektor wyjął usta.

- Jesteś jednym z najlepszych uczniów i obywateli. Ale zastanawiam się, czy nie byłoby najlepiej,

gdybyś te ostatnie kilka miesięcy spędził w innej szkole. Nie mogę zmienić ludzkiej natury, Tony, i martwię się o ciebie.

Tony bez słowa patrzył na dyrektora i czuł wściekłość, która ogarniała go z powodu zdrady.

- Czy nie martwi pana to, że komisja do spraw stypendiów na Harvardzie mogłaby pomyśleć, że zrobiłem coś złego? - Pochylił się nad biurkiem, napisał na kartce numer telefonu Saula Ravina i spojrzał dyrektorowi w oczy. - To numer mojego adwokata, panie Marks. Proszę podać go każdemu, komu przeszkadza mój pobyt tutaj.

Dyrektor nie mógł już nic powiedzieć.

Następnego popołudnia nauczyciel angielskiego, Jack Burton, zwrócił rekomendację Tony'ego dla komisji do spraw stypendiów. Nic na niej nie napisał.

Tony popatrzył na kartkę, a potem na Burtona. Młody brodaty nauczyciel miał przeproszącą minę, ale pozostał nieugięty.

- Zmagalem się z moim sumieniem, Tony. Wierzę w domniemanie niewinności. Ale skoro wisi nad tobą tragedia śmierci Alison, co mogę w dobrej wierze powiedzieć - albo nie powiedzieć - o twoim charakterze...?

Przez chwilę Tony nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Do dnia śmierci Alison Jack Burton zachęcał go, a jego stopnie wciąż były bardzo dobre.

- Nie jestem mordercą, panie Burton. Potrzebuję tej rekomendacji do college'u.

- Do Harvard u. Są jeszcze inne, tańsze college'e. - Mówił łagodniejszym tonem. - Jeśli policja oczyści cię z zarzutów, z przyjemnością dam ci doskonałe referencje.

Tony wiedział, że Jacka Burtona uważano za dobrze rokującego młodego nauczyciela. Przypomniał sobie, że na prośbę Taylorów ściągnięto go z uniwersytetu, na którym studiował ojciec Alison. Poczuł, że głos mu drży.

- Obiecał mi pan referencje, a termin mija w przyszłym tygodniu. Pan dobrze o tym wie.

Burton się zaczerwienił.

- Byłem wtedy nie przygotowany, Tony. Od tamtej pory miałem czas, żeby się zastanowić...

- Nad czym? Alison nie żyje od czterech miesięcy.

Gdy Burton nie odpowiedział, Tony poczuł milczącą obecność Taylorów.

- To wszystko, co mam do powiedzenia - rzekł sucho nauczyciel. - Może inni będą mniej zdecydowani w swoich przekonaniach.

Trener Jackson, który uczył Tony'ego geografii, wypełnił formularz.



Wręczył go mu niecierpliwym ruchem.

- Napisałem, że wiesz, gdzie leży Hanoi. Ludzie z Ivy League to lubią... - powiedział.

Jednak takie miłe chwile stawały się coraz rzadsze. Każdego kolejnego dnia, z ciągnącym się za nim podejrzeniem, Tony zaczynał coraz lepiej rozumieć, że chodzenie do szkoły to ciągła bitwa, a studia są jeszcze większą batalią. Boże Narodzenie było swego rodzaju ułaskawieniem.

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Swoim zwyczajem Tony odbił trzy razy piłkę od parkietu. Miał sucho w ustach i wilgotne dłonie. Jego palce były niczym kołki.

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Tony wiedział, że gdzieś na trybunach siedzieli jego rodzice i patrzyli na to, cierpiąc w milczeniu. Wpatrując się w kosz, wziął głęboki oddech i rzucił piłkę. Jeszcze nim zobaczył, jak dolatuje do kosza, już wiedział.

W ogóle nie trafił w obręcz.

Westchnienie, jakie doszło go od strony kibiców z Lake City, podobne było do odgłosu powietrza uciekającego z przebitej opony. Zagłuszyły je wiwaty, gwizdy i hałaśliwe śmiechy.

- Udawaj, że piłka to szyja Alison - zawołał jeden z kibiców z Riverwood.

Tony pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Jeszcze jeden rzut - niezależnie od tego, czy trafi, czy też nie, Riverwood będzie miało jeszcze sześć sekund, by rzucić zwycięskiego kosza. Wtedy - zwycięzca lub przegrany - Tony będzie mógł opuścić salę.

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Rozejrzał się dokoła, patrząc na wszystko, byle tylko nie na tłum: na tablicę wyników, mistrzowski proporczyk, zwisający ze ściany niebieski transparent, na którym białymi literami wypisano nazwiska zdobywców tytułu sportowca roku. Potem spojrzał na kosz. Zmusił się, by niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć, aż w końcu poczuł się jak na treningu. Nie wyczuwał potu, pulsu, bicia serca. Ale kiedy uniósł piłkę do rzutu, poczuł zdrętwiałe palce.

- Mor-der-ca, mor-der-ca, mor-der-ca...

Rzucił piłkę.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Potem piłka uderzyła w metalową obręcz, zatańczyła po niej i powoli wpadła do kosza.

Czterdzieści trzy do czterdziestu dwóch.

Riverwood miało teraz piłkę, a zawodnik, którego Tony miał pilnować, biegł obok niego przez boisko, by wykonać ostatni rozpaczliwy rzut. Nagle znikąd pojawił się Sam Robb i przechwycił piłkę...

Rozległ się końcowy dzwonek.

Sam rzucił się ku Tony'emu. Stał twarzą do kibiców Riverwood i uniósł rękę Tony'ego w geście triumfu. Potem, tak jak przy tamtym zwycięskim chwycie, podrzucił piłkę jedną ręką, jakby to była piłka do futbolu. Błogi uśmiech, który posłał tłumowi z Riverwood, miał mu dać pewność, że to zauważą.

- Ofiary! - krzyknął do nich, a kibice z Lake City to podjęli.

- O-fia-ry, o-fia-ry, o-fia-ry!

Tony poczuł się słabo i schylił głowę, nieświadomy coraz głośniejszego skandowania oraz gratulacji składanych mu przez kolegów z drużyny. Potem poszedł powoli do szatni.

Gdy brał prysznic, wpadł rozradowany Sam.

- To nie do wiary. Stary, oni cię uwielbiają! - zawołał podniecony.

Tony zmył mydło z oczu.

- Nie. To nieprawda. Po prostu nie lubią przegrywać. Boże -miej mnie w opiece, gdyby ta główniana piłka nie wpadła. - Zorientowawszy się, że zbił Sama z pantałyku, dodał: - Właściwie to ty uratowałeś mój tyłek. Kiedy ten facet mnie minął, byłem na Marsie.

Sam położył mu rękę na ramieniu.

- Tony, musisz się cieszyć tym, czym możesz. Wierz mi, wiem, co czujesz, ale nie możesz pozwolić, żeby to, co się stało z Alison, zrujnowało ci życie. Nie lubię oglądać cię w takim stanie. - Sam spochmurniał. - To znaczy, któregoś dnia znajdą faceta, który to zrobił, prawda? Wtedy ludzie przestaną cię podejrzewać.

Czy i S a m zaczął go podejrzewać? Tony zastanawiał się nad tym.

- Może tak - odpowiedział. - A może nie. Jednak Alison i tak nie żyje, a ja jestem już innym człowiekiem. - Urwał, a po chwili chciał to wytłumaczyć. - Dzieje się wtedy z człowiekiem...

Wyrażając zgodę albo rezygnację, Sam skinął głową i opuścił rękę. Tony ubrał się i poszedł samotnie do samochodu.

Na parkingu było ciemno. W pobliżu jego forda czekały dwie osoby. Tony pomyślał o Sue i Alison, czekających na nich w nocy, której zginęła Alison. Wtedy jedna z tych osób wystąpiła naprzód. Okazało się, że to John Taylor.

Tony wzdrygnął się.

- Jesteś bohaterem - rzekł ojciec Alison. Twarz miał zapadniętą, postarzałą. Jego oddech zamieniał się w parę.

- Nie. - Tony poczuł, że głos mu drży. - Nigdy nie będę bohaterem.

John Taylor chwycił go za ramię. Druga postać, równie szczupła jak Alison, stanęła obok niego. Jej matka.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział spokojnie John Taylor. - Musimy tylko wiedzieć, co się wydarzyło. Dla spokoju ducha.

Matka Alison była spięta.

- Powiedz nam prawdę. Proszę. Nie pójdziemy na policję - nalegała.

W swoim przerażeniu Tony poczuł, że między nimi zadzierzgnęła się dziwna więź, której istnienia Taylorowie nie podejrzewali: był to ów straszliwy smutek, który odmienił ich troje. Ci ludzie rozumieli go znacznie lepiej niż Sue i Sam, niż inni uczniowie, z którymi nie dzielił już przyjemności i trosk. Ale tylko on o tym wiedział.

- Ja też chcę to wiedzieć. Chcę wiedzieć, kto ją zabił - odparł.

Oczy Johna Taylora zwęziły się z nienawiści. Trzymaj się od nich z daleka, ostrzegał Saul. Tony zdjął ostrożnie rękę mężczyzny ze swojego ramienia.

- Przykro mi - powiedział do Katherine Taylor.

Odwrócił się i zmusił, by pokonać kilka stóp dzielących go od samochodu. Zastanawiał się, czy John Taylor ma swój rewolwer; plecy zeszywniały mu, czekał na strzał.

Nic się nie wydarzyło. Gdy odjeżdżał, drżąc na całym ciele, zobaczył, jak mężczyzna obejmuje sztywno żonę.

Tydzień później jeden z sąsiadów Taylorów przedłożył radzie szkoły prośbę o usunięcie Tony'ego Lorda.

Sala pękała w szwach. Tony, otoczony przez rodziców i Saula Ravina, przyglądał się, jak John Taylor opowiadał się za relegowaniem go ze szkoły.

- Przyszedłem tu - zwrócił się do rady - nie po to, by dzielić się naszą zgryzotą. Jestem tu, ponieważ Alison znalazłaby się w tym miejscu, gdyby żyła, i broniłaby innych Alison.

Tony nie musiał zgadywać, jaki efekt wywrze przywołanie przeciwko niemu opinii Alison - widział to na ponurych twarzach członków rady. John Taylor urwał, by zapanować nad emocjami.

- Dziś usłyszycie prawdopodobnie wiele na temat domniemania niewinności. Ale to Alison była niewinna aż do momentu, kiedy to znalazłem chłopaka, który - jak myślała - kochał ją,

pochyłającego się nad jej ciałem. Wszystkie nasze córki są niewinne. A Alison prosiłaby dla nich... ja proszę dla nich o to, by ich rodzice nigdy nie musieli spojrzeć w oczy córki, która oddała ostatnie tchnienie dusicielowi.

Tony zobaczył, jak przewodnicząca rady szkoły zdjęła okulary i zamknęła oczy. Obok jego ojciec i matka pograżali się w cierpieniu.

- Podczas bezsennych nocy, które potem nastąpiły i które trwają, zdawałoby się, bez końca, wracam nieustannie do jednego pytania: Jakim trzeba być chłopakiem, żeby zamordować dziewczynę, której jedynym przestępstwem było to, że mu zaufała? - Johnowi Taylorowi załamał się głos. Przerwał na chwilę, po czym kontynuował: - Musiałem pojąć coś, co nie miało sensu. W swojej rozpaczycy poszedłem do trzech psychologów i zadałem im to samo pytanie: Jakim trzeba być chłopakiem, żeby zrobić coś tak potwornego? To ich odpowiedź mnie tu przywiodła.

Panowała absolutna, przygniatająca cisza.

- Przywiodła mnie tu, ponieważ taki chłopak zrobi taką rzecz jeszcze raz - powiedział ojciec Alison. - Nie potrafię używać naukowych terminów, ale powiem wam, co mówią fachowcy. Oni mówią, że taki chłopak pogardza nie jedną, lecz wszystkimi kobietami. Że taki chłopak jest niewolnikiem swoich spaczonych instynktów. - Pierwszy raz zwrócił się w stronę Tony'ego Lorda. - Że taki chłopak uważa zadawanie cierpienia, takiego jakie zadano Alison, za swoje prawo i przyjemność lub też, co jest równie przerażające, wierzy, że brutalne zamordowanie młodej dziewczyny to chwilowy, nie wynikający z charakteru zanik samokontroli. „Zanik”, który nie powinien pozbawić go niczego, czego pragnie w życiu. To - John Taylor patrzył wciąż na Tony'ego -monstrum, którego najgorsze czyny są jeszcze może przed nim i przed nami wszystkimi. - Nagle ojciec Alison zwrócił się do rady i mówił dalej rzeczowym tonem: - Gdyby takie monstra wyglądały jak monstra, potrafilibyśmy ich unikać. Ale często budzą zaufanie, mają nawet charyzmę. W ten sposób zbliżają się do ofiar, tak jak ten morderca zbliżył się do Alison. Nie ja napisałem to podanie. Nawet go nie podpisałem. - Urwał i dotknął ramienia bladej, otepiałej żony. - Ale brutalna śmierć naszej córki będzie bez znaczenia, jeśli nie nauczymy się, że monstra trzeba oznaczać. Znaleźliśmy Tony'ego Lorda przy ciele naszej córki o pierwszej w nocy. Wiemy już, jaki chłopak mógł to zrobić. - Zwrócił zboląłą twarz w stronę członków rady. - My nie potrafiliśmy zapobiec śmierci naszej córki. Wy możecie.

Nagle John Taylor odwrócił się do swojej żony, która teraz płakała, i usiadł przy niej.

Milcząca pustka, przerywana tylko od czasu do czasu nerwowymi kaszlnięciami, wydawała się Tony'emu czasem śmierci. Wytrwał na miejscu tylko dlatego, że wiedział, iż jest niewinny.

Tony został tam jeszcze dwie godziny. Trener Jackson ujął się za nim, potem to samo zrobił Saul. W końcu sprawę przełożono. Saul dowodził, że policja nie wniosła oskarżenia, więc rada nie powinna pierwsza wydawać wyroku na Tony'ego Lorda. Ale chłopak wiedział, że uratowała go jedynie groźba procesu.

Później Saul zabrał go do jedyne go baru w Lake City. Usiedli w ciemnym kącie, słuchając jednym uchem szafy grającej i patrząc jednym okiem na dwóch emerytowanych kierowców ciężarówek, którzy grali w bilard. Krępy właściciel, George Corby, podał Tony'emu colę, nie pytając nawet, czego sobie życzy. George pozwalał chłopakom z liceum grać u siebie w bilard, ale - szanując wolę

ich rodziców - nie sprzedawał piwa nieletnim. Policja wiedziała, że nie musi się kłopotać o George'a Corby'ego, tak jak George Corby wiedział, że trzeba ukryć zaskoczenie na widok Tony'ego Lorda.

Dla Tony'ego przejście od uwięzionej niemal powodzeniem próby usunięcia go ze szkoły do sali o nazwie Alibi było czymś surrealistycznym.

- Uratowałeś mój tyłek - rzekł do Saula.

Adwokat popijał powoli podwójną whisky jak człowiek oszczędzający ostatnią szklanekę wody. Wreszcie powiedział:

- To prawda. Ale być może nie oddałem ci wcale przysługi.

- Nie wylali mnie...

- Nie spodziewałem się, by to zrobili. Lecz bez ozdobników nasz argument brzmiał: „Zaczekajcie na oskarżenie prokuratora”. - Saul przerwał i utkwiał wzrok w Tonym. - Tylko tyle miałem do powiedzenia. Ale dla Johna Taylora to jak atlas samochodowy. Dziś prosił radę, by dała mu podstawę do sądenia, że płacisz jakąś cenę. Nie dano mu tego. Pozostało mu jedynie naciskać na prokuratora hrabstwa, by postawił cię w stan oskarżenia. A wydaje się, że prokurator ma tylko ciebie.

Kiedy pojawiła się następna cola, Tony nawet nie wziął jej do ręki.

- Przepraszam - powiedział Ravin. - Zbyt mało miałeś przyjemnych wieczorów, żeby i ten ci zepsuć. Chcę jednak, byś był równie ostrożny jak dotychczas, ponieważ moim zdaniem jest jeszcze daleko do końca. I, w pewnym sensie, sprawa ta może się nigdy nie skończyć.

Tej nocy zaczął się koszmar Tony'ego: widział w potwornym zwolnieniu chwilę, w której znalazł Alison. We śnie - tak jak w życiu - nic nie mógł zrobić.

## DWANAŚCIE

W ciągu całej siedmioletniej tradycji, czyli od samego początku istnienia, coroczne spotkanie członków tajnego bractwa liceum z Lake City - Kawalerów z Lancami - odbywało się pod koniec marca. Organizowano je w suterenie Dave'a Suggsa. Ojciec Dave'a, Jack, jako mason z trzydziestym drugim stopniem miał tak wielki szacunek dla tajnych stowarzyszeń, że pomógł starszemu bratu Dave'a ułożyć zasady. Z początku Tony'emu przyszło do głowy, że skoro masoneria jest takim tajnym stowarzyszeniem, to nikt nie powinien wiedzieć, jaki stopień miał Jack Suggs, a nawet, że w ogóle jest masonem. Potem jednak zrozumiał, że podobnie jak trzymanie katolików z dala od klubu było dla Taylorów oraz ich przyjaciół sposobem na określenie swojego statusu, tak i tajne stowarzyszenie nie miałyby sensu, gdyby ci, którzy się w nim nie znaleźli, nie zazdrościli wybranym. To, że administracja szkolna nie pochwałała istnienia Kawalerów z Lancami, dodawało im jeszcze powabu i zwiększało przyjemność zdradzania tego sekretu. Szkoła niewiele mogła na to poradzić.

Największym wyróżnieniem było zostać poklepanym przez ucznia drugiej klasy. Zdarzyło się to i Samowi, i Tony'emu. Wartościami, które Kawalerowie cenili najwyżej, były osiągnięcia w sporcie i w spożywaniu alkoholu: Tony celował w pierwszym, Sam zaś wyróżniał się już w obu dziedzinach. W wieku piętnastu lat Tony był zadowolony. Przecież oznaczało to, że starsi chłopcy uważali, iż zostanie gwiazdą sportu, i - jak mądrzy gospodarze - dbali o przyszły prestiż bractwa. Natomiast Sam był wniebowzięty. Był to kolejny dowód uznania, którego pragnął, oraz potwierdzenie tego, że był wart swojego starszego brata, współzałożyciela Kawalerów, którego pamięć czczono teraz, jak przystało na poległego bohatera wojennego.

Ceremonia wprowadzenia polegała na złożeniu tajnej przysięgi, zapaleniu zapalniczką zippo szklaneczek z whisky i picciu alkoholu dopóty, dopóki nie nadejdą odruchy wymiotne. Ktoś twierdził, że Joe Robb wychylił osiem szklaneczek. Sam zdołał przełknąć dziewięć, odliczając je głośno, po czym zemdlał, gdyż niemal zatrzał się alkoholem. To, że nigdy nie wymiotował, wciąż budziło podziw.

Teraz, jako seniorzy, Tony i Sam siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku w suterenie w otoczeniu czternastu innych członków. W sumie bractwo liczyło ośmiu seniorów i ośmiu juniorów. Starszyna spoczywała bliżej białej porcelanowej wazy ceremonialnej, której matka Dave'a używała czasem do sałatek, a która teraz stała pośród nich. Każdy z chłopców miał torbę z dziesięcioma białymi i dziesięcioma czarnymi kamieniami - takimi jak te do gry w chińskie warcaby. Jednak tutaj każdy pionek miał siłę talizmanu. Podczas głosowania nad kolejnymi kandydatami Kawaler podchodził do miski z kamieniem w zaciśniętej dłoni, sięgał pod przykrywający ją materiał i wrzucał kamień z brzemieniem w skutki stuknięciem. Dzięki temu utrzymano świętość zwyczaju, według którego nawet jeden czarny los oznaczał odrzucenie. Żadnego Kawalera nie można było zmusić, żeby zaakceptował kogoś, kogo - po przemyśleniu swoich obowiązków - uważał za niegodnego. Choć członkowie pili, kamienie wrzucano z taką powagą, że panowała prawie zupełna cisza. Był piątkowy wieczór, więc nieobecność bractwa na scenie życia towarzyskiego licealistów zostanie z

pewnością zauważona przez zazdrosnych i tych, którzy mieli nadzieję dołączyć do Kawalerów. Podkreślało to jeszcze znaczenie ich spotkania. Światło w suterenie Suggsów zostało przygaszone.

Pierwszą godzinę wypełniły serdeczności. Choć „Lake City Weekly” znowu zaczął się dopominać o postawienie Tony’ego w stan oskarżenia, fakt, że wielu było przekonanych, iż Tony Lord udusił Alison Taylor - co sprawiało, że niektórzy chłopcy czuli się nieswojo - nie miał wpływu na zebranie. Przecież Tony był Kawalerem, a oni złożyli przysięgę lojalności. Chłopak przyjął to z ulgą. W ten sposób rozumiał jakoś, dlaczego dorośli mężczyźni spotykają się w klubach. I właśnie wtedy Johnny D’Abruzzi zaproponował kandydaturę Erniego Nixona.

Z Johnny’ego był żaden polityk. Tony obserwował siedzących z tyłu chłopców - Bobby’ego Stroba, Charliego Moore’a, Larry’ego Saddlera, Steve’a Sawbacka - i zobaczył, jak skonsternowani zmarszczyli brwi. Zamykali się w sobie. Gdy Tony spojrział na Sama, stwierdził, że ten również to zauważył.

Wydawało się, że pod koniec swego przemówienia Johnny zaczynał mieć tego świadomość. Rozejrzał się wokoło i w jego dobrodusznym brązowym oczach pojawiła się uraza. Grając z nim w futbol, Tony przekonał się, że Johnny był prostym chłopakiem: zakres jego emocji wyznaczały wielka radość oraz wielka złość i żadnych subtelności. Teraz podnosił głos.

- No dobra - powiedział. - Ernie to czarny. Ale ja tak tego nie widzę. Dla mnie to kolega, z którym gram, ten, który przytarł nosa temu linebackerowi Riverwood. Gra ostro, ale to fajny chłopak, a członkostwo w klubie miałoby dla niego ogromne znaczenie. Poza tym w przyszłym roku może być najlepszym sportowcem w Lake City. Tak jak Tony Lord albo Sam.

- Nie jest zbyt podobny do Tony’ego - odpalił Charlie Moore i udawał, że lustruje Sama. - Nawet nie wygląda tak jak Sam. No może ma takie same usta.

Kilka osób zachichotało. Ci, którzy miło wspominali pełne usta swoich dziewczyn, uśmiechnęli się smutno. Ich słowa sprawiły, że Tony upewnił się co do dwóch rzeczy, co do których miał już przeczucia: że Ernie Nixon ma kłopoty i że nawet inni Kawalerowie bali się żartować z samym Tonym.

Johnny D’Abruzzi się zaczerwienił.

- Właśnie dlatego Ernie trzyma się tak bardzo na uboczu. Wie, co ludzie o nim myślą.

Siedzący dokoła zaczęli słuchać uważniej, niektórzy nawet pokiwali głowami.

- To jeszcze jeden powód, żeby go przyjąć. Żeby udowodnić, że jesteśmy ponad to.

Głos zabrał siedzący z przodu Terry Clark:

- Ernie ma poczucie humoru, o czym można się przekonać, gdy się go bliżej pozna. Nie wiem, czy to wystarczy, żeby chcieć spędzać czas z tą bandą dupków, jeśli jednak jest na tyle szalony, to ja nie mam nic przeciwko...

- Ciebie tu nie będzie, ale nasza ósemka zostanie. To juniorzy powinni zdecydować, czy chcemy przyjąć czarnego! - krzyknął Steve Sawback.

- Więc co jest nie tak z Erniem? - dopytywał się Johnny.

Steve Sawback przeszedł do defensywy.

- Ja po prostu w to nie wierzę i tyle.

Pierwszy raz odezwał się Sam:

- Nikt nie prosi twojej siostry, żeby za niego wyszła, Steve. Przynajmniej nie do ceremonii wprowadzenia.

We wszystkich kątach rozległy się chichoty. Tony zrozumiał, że dowcip Sama miał przedstawić upór Steve'a jako nieistotne przekomarzenie. Uderzyło go to, że Sam stawał się sprytniejszy, niż Tony przypuszczał.

- Posłuchaj, Steve - ciągnął Sam, spojrzawszy na Charliego Moore'a. - Najlepiej wyślij siostrę do Sue. Ona jej wszystko wytłumaczy.

Teraz śmiał się również Charlie Moore. Sam nie popierał kandydatury Erniego, lecz rozładowywał atmosferę. Jednak sposób, w jaki to zrobił, sprawił, że Tony zaczął się zastanawiać, co czuje Ernie, kiedy wchodzi do stołówki.

Nigdy zbyt długo o tym nie rozmyślał, a teraz zaczął jeszcze rozważać swoją sytuację. Doszedł do wniosku, że wszystko było zupełnie oczywiste: Ernie nie był wcale gorszy od pozostałych, a zapewne nawet lepszy od wielu z nich. Rodzice Tony'ego uważali wszystkich czarnych za szkodliwe utrapienie - przypominał sobie, jak jego matka widziała marsz Martina Luthera Kinga na Waszyngton głównie jako problem dla służb oczyszczania miasta, który spowodowali ludzie zbyt leniwi, by posprzątać po sobie. Ale nie miało to nic wspólnego z Erniem Nixonem, jedynym Murzynem w liceum w Lake City. Gdy Tony zastanawiał się, czy bardziej przysłuży się Erniemu, jeśli zabierze głos, czy jeśli zachowa milczenie, przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że mają teraz o wiele więcej wspólnego niż przedtem.

Dyskusja wciąż się toczyła.

- To wolny kraj - powiedział Dave Suggs i napił się whisky. - To znaczy, że możemy się zadawać, z kim chcemy, i trzymać na dystans te grupy, które nam nie odpowiadają. Tak jak w klubie.

Tak jak u katolików, pomyślał Tony. Uważał, że dobrze się stało, iż Kawalerowie nie przywiązywali wagi do religii. Teraz jednak, kiedy znalazł się wśród nich, czuł się nieswojo.

- A co, jeśli niektórzy z nas chcą się zadawać z Erniem Nixonem? - zapytał spokojnie. - Czy należy trzymać go na dystans, bo jest członkiem jakiejś grupy?

Dave Suggs wzruszył ramionami.

- Nie lubię czarnych.

- Ale czy Ernie coś ci zrobił?



- Nie. - Dave się nachmurzył, gdyż nie podobało mu się wypytywanie go o światopogląd. - Nie chodzi o Erniego. Chodzi o czarnych.

- A ilu jeszcze czarnych znasz?

Dave Suggs się zdenerwował.

- To nie twoja sprawa.

Tony wzruszył ramionami.

- Po prostu ostatnio żadnego tu nie widziałem. Dziwię się, że ich przegapiłem.

Dave Suggs był już wyraźnie zły. Sam, który siedział z lewej strony Tony'ego, rzucił przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie. Tony się wycofał.

Przez chwilę panowała cisza. Tony złapał się na tym, że nie myśli o Erniem, lecz o sobie. Jego życie w dalszym ciągu pozostawało ziemią niczyją: składało się z oczekiwania na to, że policja postawi go w stan oskarżenia, nadziei, że przyjmą go na Harvard, starania, by przetrwać każdy kolejny dzień, a nocą - z myśli o Alison. Nie wiedział, gdzie znajdzie się za rok: w college'u czy na sali rozpraw, i miasteczko również tego nie wiedziało. Towarzystwo Kawalerów znaczyło dla niego więcej, niż dotychczas przypuszczał.

- Czarnuch - rzucił półgłosem Steve Sawback.

Kiedy głowy obróciły się ku niemu, Steve wyglądał na zawziętego i zmieszanego jednocześnie.

- No - warknął. - Kurwa, ktoś powiedział wreszcie „czarnuch”. Chcę móc nazywać ich w ten sposób zawsze, kiedy przyjdzie mi na to ochota. Dlaczego tak się cackamy jak dziewice?

- Bo nie chcę, żebyś tak przy mnie mówił. - Johnny D'Abruzzi uniósł się na kolana. - Ty chyba powinieneś pozostać dziewicą, człowieku. Jeszcze trochę, a mnie wkurzysz.

- W porządku - odezwał się po raz pierwszy Doug Barker. - Uspokójmy się i pogadajmy jak bracia Kawalerowie.

Patrząc wciąż na siebie, Johnny D'Abruzzi i Steve Sawback ucichli. Pozostali odwrócili się w stronę Douga Barkera, niektórzy zaś wykorzystali wolną chwilę, żeby pociągnąć łyk whisky. W sali trochę się uspokoiło.

Doug Barker był ich przewodniczącym. Był poważny i pewien siebie, no i znał swoją rolę. Jego ojciec, właściciel miejscowego biura ubezpieczeniowego, stał kiedyś na czele młodzieżowej izby handlowej i wszyscy w mieście zgadzali się, że przeznaczeniem Douga było przywództwo w Lake City, a może nawet w całym stanie. Wśród Kawalerów był wyjątkiem - wybrano go ze względu na jego rozsądek. Doug rzadko żartował, za to chętnie wysłuchiwał innych i mówił z powagą, która była niezwykła jak na tak młodą osobę. Każde jego słowo miało swoją wagę, nawet wygląd - obcięte na jeża blond włosy, owalna twarz, szczere niebieskie oczy - budził zaufanie. Pochylił się do przodu, gotów podzielić się swoimi myślami.

- Czytałem ostatnio książkę o Branchu Rickeyu. Wiecie, o tym gościu, który zintegrował baseball, ściągając do drużyny Jackiego Robinsona. Myślę, że możemy się z tego wiele nauczyć - powiedział.

Barker przywykł już do tego, że wszyscy go słuchali. Tony poczuł przypływ nadziei, ponieważ zawsze wydawało mu się, iż nauka płynąca z historii Jackiego Robinsona polega na tym, że w baseballu takie rzeczy się nie liczą. Liczył więc, że być może Doug Barker rzuci Erniemu Nixonowi koło ratunkowe.

- Sądzę, że nasza sytuacja jest dość podobna - mówił dalej Doug. - Dyskutujemy na temat tego, czy chcemy się zadawać z Erniem Nixonem jako osobą, a niektórzy z naszych braci nie są zadowoleni, że miałby do nas dołączyć czarny. Oto, co zrobił Branch Rickey. Zanim jeszcze ściągnął Jackiego Robinsona, wynajął na pół roku detektywa, żeby ten go śledził. Dopiero po t y m, jak detektyw zameldował mu, że gracz jest czysty, Branch Rickey sprowadził go do drużyny. Jak u Dodgersów, on jest u nas pierwszy. Możemy więc teraz na zmianę obserwować Erniego Nixona, patrzeć, jak się zachowuje, gdy wie, że na niego spoglądamy. Jeśli spełni nasze oczekiwania, możemy zaprosić go na specjalne głosowanie w styczniu przyszłego roku.

Zapadła cisza. Zastanawiając się nad propozycją, ludzie pili troszkę więcej. Po chwili Dave Suggs poważnie skinął głową.

- Dobrze, Doug. Bractwo będzie miało czas, żeby się zastanović.

Tony zwrócił się do Douga Barkera:

- Nie wiem, jak bym się czuł, gdybyście bez przerwy mnie śledzili.

Doug wyglądał na lekko niezadowolonego.

- A może powinniśmy - rzucił Tony'emu w twarz Dave Suggs.

Tony dopiero po chwili zrozumiał, co tamten miał na myśli.

W ciszy, która nagle zapadła, zwrócił się do Dave'a:

- A może ty mnie śledziłeś, Dave.

- Jezu... - wyrwało się komuś.

Tony i Dave Suggs mierzyli się wzrokiem, aż Dave odwrócił spojrzenie. Nie odrywając od niego wzroku, Tony rzekł:

- Dzięki temu ludzie, którzy nie lubią czarnych, mogą powiedzieć, że po prostu zachowują ostrożność. Ale za każdym razem, gdy Ernie przyjdzie tu w ciągu owych czterech długich miesięcy, kiedy będzie członkiem bractwa, zawsze pozostanie czarnym. Musimy to teraz rozważyć.

- Myślę, że to prawda - wtrącił szybko Johnny D'Abruzzi. - Co Ernie skorzysta w ciągu czterech miesięcy? Dlaczego ma być traktowany inaczej niż pozostali...?

- Bo j e s t inny - rzucił Steve Sawback.

- No właśnie. - Doug Barker zwrócił się do Tony'ego z ogromną cierpliwością: - W bractwie jest prawdziwy podział. Dlatego przyjrzymy się dokładnie Erniemu Nixonowi i zachowamy jedność Kawalerów.

Powiedział to z taką pewnością siebie, że sala ucichła. Sam Robb mruknął ni to do siebie, ni to do kogoś innego:

- Szkoda, że nie ma z nami Jackiego Robinsona. O n by nam powiedział, co zrobić.

Widząc, że Doug Barker stara się zignorować tę wypowiedź, Tony uśmiechnął się nieznacznie. Wtedy odezwał się Dave Suggs:

- Wnoszę, żeby przyjąć wniosek brata Barkera.

I Barker znów był zadowolony.

- Ja również - rzucił Charlie Moore.

Tony wiedział, że wniosek przejdzie. Najlepszym sposobem, by mieć to już za sobą, było głosować za. Uznał jednak, że postąpi zgodnie z sumieniem, jeśli wyrazi sprzeciw i pozwoli, żeby zdecydowała większość.

- Kto za? - spytał Doug Barker i jedenaście osób podniosło rękę, w tym wszyscy, którzy zabierali głos przeciwko Erniemu Nixonowi.

- Kto przeciw?

Uniosło się pięć rąk, między innymi Sama, Tony'ego i Johnny'ego D'Abruzziego. Przyjaciel Erniego spuścił wzrok. Tony pomyślał, że Johnny otrzymał od Kawalerów doskonałą lekcję.

- Wniosek przyjęty - ogłosił Doug Barker.

Rozległ się gwar, niektórzy byli rozczarowani, większość jednak odczuła ulgę. Tony w dalszym ciągu obserwował Johnny'ego, który nie patrzył na nikogo. Wyglądał, jakby był drugą ofiarą, i nagle Tony poczuł się zbrukany, współwinnie.

- Najważniejsze - rzekł do nich Doug - byśmy zachowali jedność bractwa, kiedy nadchodzi czas próby. Niezależnie od tego, co każdy z nas czuje, myślę, że jako bractwo możemy być dumni z tego, co postanowiliśmy.

Kilka osób odpowiedziało potakiwaniem, także Johnny D'Abruzzi skinął symbolicznie głową, wbijając wciąż wzrok w podłogę.

Być może o to chodziło. Być może chodziło o Erniego Nixona albo o to, co przytrafiło się jemu samemu. W każdym razie Tony stwierdził ze zdziwieniem, że już do nich nie należy.

Zdjął materiał z miski na sałatkę i wsypał do niej swoje kamienie. Zagrzechotały, odbijając się od ścianek i wypadając na podłogę.

- Lepiej zaczę pilnować Erniego. Dam wam znać w przyszłym roku - powiedział.

Ignorując ich zaskoczenie, ruszył w stronę schodów, po czym przypomniał sobie Dave'a Suggsa. Odwrócił się i rzekł:

- Będę szedł powoli, Dave. Na wypadek gdybyś chciał mnie śledzić.

Zanim jeszcze dotarł do schodów, coś w nim zaczęło się dziwić takiej złości. Ale inna część jego osobowości podpowiadała mu, że nie powiedział jeszcze wystarczająco wiele. Obrócił się znowu i raz jeszcze odezwał, tym razem do Douga Barkera:

- A propos, jesteś największym dupkiem na tej sali. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć: jak jeden Kawaler drugiemu. Bo tutaj nikt tego nie powie.

W tym momencie Tony pomyślał, że nigdy nie powie wszystkiego, co chce, i wyszedł.

## TRZYNAŚCIE

- Tony!

Sam wyszedł za nim z domu Suggsów. Tony zatrzymał się przy samochodzie.

Na twarzy Sama malowała się troska i zaskoczenie.

- Daj spokój, stary. Ernie Nixon nie jest tego wart. Odchodzisz od przyjaciół.

Tony poczuł, że opuszcza go energia. Jego samotność nie wynikała tylko ze złości, nie wiązała się też wyłącznie z tragedią Alison. W pewnym momencie, który trudno mu było wskazać, przestał być taki jak inni, a teraz nawet nie chciał próbować. Oparł się o latarnię uliczną i skrzyżował ręce na piersi.

- Co powinienem zrobić? - zapytał. - Wrócić i ich przeprosić? Czy ty byś tak zrobił?

Sam spuścił wzrok na ziemię.

- Nie - odparł po chwili. - Nie zrobiłbym tego.

- Ja też nie. - Tony szukał w kieszeni kluczyków. - Słuchaj, wróć do nich. Tu nie chodzi o ciebie...

- Ale chodzi o ciebie. - Sam położył ręce na biodrach. - Jesteś moim najlepszym przyjacielem, a ja przestałem już nawet próbować zrozumieć, co ty, kurwa, wyprawiasz.

Tony usiadł na masce samochodu, nie patrząc na Sama.

- Ja nic nie wyprawiam - stwierdził po chwili. - Jednej nocy znalazłem moją dziewczynę uduszoną, następnego dnia większość ludzi myślała już, że to ja ją zabiłem, a teraz całe moje cholerne życie jest rozpieprzone. Nie próbuj zrozumieć, dlaczego to mi się zdarza, bo nawet ja tego nie wiem. Wiem tylko tyle, że nawet wtedy, kiedy jestem z tobą i z Sue, czuję się samotny.

- To twoja wina, Tony.

Tony spojrział na niego i powiedział cicho:

- Wracaj tam, dobrze?

Przez chwilę Sam milczał.

- Nie - odparł spokojnie i z uporem. - Jadę z tobą. Wciąż jesteś moim najlepszym przyjacielem, a ja mam trochę whisky w samochodzie.

W płataninie uczuć Tony zdał sobie sprawę, że poczuł wdzięczność.

- W porządku - powiedział. - Jeśli mam się czuć samotny, to lepiej, żebyś był w pobliżu.

Siedzieli na skraju pomostu w Lake City i podawali sobie butelkę. Tony mimochodem zaczął sobie wyobrazać, jak by to było, gdyby ich życie - od zwycięskiego przyłożenia do teraz - wcale się nie zmieniło. Wtedy Sam powiedział:

- To było dawno temu, stary.

Tony zrozumiał, że jego przyjaciel myślał o tym samym.

Niebo aż iskrzyło się od gwiazd. Tony wychylił się do tyłu i oparł na łokciach; patrzył w górę i czuł na twarzy wiatr wiejący od jeziora. Im więcej pił i usilniej wpatrywał się w gwiazdy, tym bardziej świat zdawał się wyglądać po staremu. Byłby szczęśliwy, mogąc zostać tutaj, w zawieszeniu, gdyby ranek nie miał już nigdy nadejść.

- Co masz zamiar robić, gdy skończymy już szkołę? - spytał Tony.

Sam zastanowił się.

- Pójdę do college'u, gdzieś w okolicy. Zostanę z Sue. - Przerwał na chwilę. - Wiesz co? To, co się stało z Alison, zmieniło także mnie. Ja po prostu chcę normalności. Chcę być tam, gdzie ludzie mnie znają. Gdzie wiedzą już, co o mnie myśleć.

Tony nigdy nie słyszał, by Sam tak otwarcie mówił o swoim poczuciu niepewności, o tym, jak pragnienie dostosowania się do konwenansów walczyło w nim z dzikszą stroną jego osobowości. Coś mówiło Tony'emu, że to nie są tylko pijackie brednie rzucane w ciepłą wiosenną noc. Przez dłuższy czas leżeli wyciągnięci na pomoście, trzymając między sobą butelkę, i nic nie mówili. Potem Sam zapytał cicho:

- Czy kiedyś dojdiesz do siebie i zapomnisz o tym?

W tym pytaniu kryła się jakaś niepewność, jakby Sam bał się odpowiedzi. Tony odparł beznamiętnym głosem:

- Nie, jeśli pójdę do więzienia.

- Ale wewnątrz, Tony.

Dla Tony'ego gwiazdy zniknęły. Zobaczył Alison, jak leżała pod nim, a potem taką, jaką ją znalazł - Alison ze zdjęć.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy o tym nie zapomnę.

Sam wsparł się na łokciach.

- A ja bym mógł, Tony. To znaczy, musiałbym potraktować to jak coś, co przydarzyło się komuś innemu. - Obrócił się ku Tony'emu, jakby starał się go dotknąć. - Ty wcale nie jesteś teraz inny.

Wciąż jesteś tym samym chłopakiem i możesz prowadzić to samo życie. Zmieniły się tylko twoje odczucia. Dla własnego dobra musisz to jakoś zmienić. Albo będziesz tylko tym, którego część ludzi uważa za zabójcę Alison Taylor.

Tony odstawił butelkę.

- Ciebie tam nie było, Sam. Nie mów o tym, czego nigdy w życiu nie zaznasz.

Sam położył się z powrotem.

- Pewnie nie myślisz, że mi jej brak, prawda? Jasne, czasem się do niej przypieprzałem, bo uważała się za kogoś wyjątkowego. Ale była wyjątkowa. Wiedziałem o tym i wszyscy inni też o tym wiedzieli. Wciąż o niej myślę...

- Kiedy ty o niej myślisz - warknął Tony - robisz to, kurwa, bo tak ci się chce! Ona była moją dziewczyną, nie twoją...

- Fakt, była twoją dziewczyną. - W głosie Sama pojawiło się coś nowego, coś pomiędzy żalem a goryczą. - Dlatego obaj nie jesteśmy tacy jak przedtem. Nie chcę, żeby tak było.

Tony ciągle był spięty.

- Ja też nie...

- Więc dlaczego staliśmy się przez to inni? Gdyby przydarzyło mi się cokolwiek innego, to jestem pewien, że nie zmienilibyśmy się. Bo jesteś dla mnie kimś ważnym, jasne? Niezależnie od tego, co się dzieje ani co zrobisz, jesteś ważny.

Tony poczuł whisky, którą wypił; rozmowa dotknęła zbyt wielu niuansów. Wyprostował się i usiadł po turecku, a Sam wyciągnął się, oparty na łokciu.

- Sam, jesteś najbliższym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Ale nie mam pewności, o czym ty, kurwa, mówisz - powiedział.

Sam popatrzył na leżące nieopodal tory kolejowe.

- Nie?

- Chyba nie.

Tony przyglądał się, jak Sam szuka odpowiednich słów.

- To tak jak z tamtymi chłopakami, Kawalerami. Oni cię znają, ty znasz ich. Ale nie tak naprawdę. To znaczy, że jeden z nich mógłby umrzeć, ty mógłbyś umrzeć, wszyscy byliby smutni, a potem by im przeszło. - Urwał i popatrzył na Tony'ego, mając nadzieję, że ten go zrozumie.

Tony zapytał ze spokojem:

- Czy mówisz o Alison?

Sam usiadł.

- Czy nie mógłbyś raz dać spokój z Alison? Mówię o naszej przyjaźni i o tym, czym ona jest...

Urwał, poderwał się gwałtownie i ruszył na koniec doku, przyglądając się czarnym wodom jeziora, które wirowały i uderzały o żelazne podstawy pomostu. Tony ciągle siedział po turecku, zastanawiając się nad swoimi uczuciami: zakłopotaniem, złością i gorącym pragnieniem, by nie stracić tego przyjaciela, który przecież stanowił część jego samego. Następnym łykiem whisky podrażnił mu gardło. Patrząc na Sama, który stał samotnie na pomoście pochylony nad ciemną wodą, poczuł, że są tu sami na końcu świata.

Sam obrócił się ku niemu.

- To złe, Tony. Ponieważ to bez znaczenia.

- Co jest bez znaczenia?

Sam wrócił powoli do Tony'ego i położył się obok. Popatrzył na gwiazdy, leżąc z rękami założonymi pod głowę. Coś w tym wszystkim sprawiło, że Sam się otworzył.

- Wszystko jest bez znaczenia - powtórzył cicho. - Dla mnie nie miałyby znaczenia, gdybyś ją zabił.

Nagle Tony zamarł.

- Gdybym czy nawet jeśli?

Przez chwilę Sam nie odpowiadał.

- Gdybyś. Nawet jeśli. Dla mnie to bez różnicy.

- Pytasz, czy ja ją zabiłem, Sam?

Chłopak obrócił się ku niemu.

- A zabiłeś?

Tony patrzył na niego. Z największym trudem poprzestał na pytaniu:

- A jak myślisz?

Spojrzenie Sama nie wyrażało nic prócz odwagi.

- Przestałem o tym myśleć.

Nagle Tony poczuł, jak po długich miesiącach daje upust bólowi i złości. Chwycił Sama pod szyję za koszulkę i pociągnął, aż ten wstał; prawa pięść Tony'ego zawisła w powietrzu. Czuł na twarzy oddech przyjaciela.



- O czym ty, kurwa, myślisz, Sam?

Sam nie bronił się. Patrzył Tony'emu w oczy z dziwnym spokojem.

- Że nie mają jeszcze nikogo innego. I że dla mnie to bez znaczenia.

Krew uderzyła Tony'emu do głowy.

-Dla mnie to ma znaczenie - rzekł ochrypłym głosem i puścił koszulkę Sama.

Ten uderzył tyłem głowy w drewniany pomost. Leżał na nim, mrużąc z bólu oczy, i wciąż patrzył na Tony'ego.

Tony powiedział do niego niemal szeptem:

- Powinieneś zostać z ludźmi, z którymi spędzasz to pieprzone życie.

Podniósł się i odszedł szybko długim, wąskim pomostem. Towarzyszyło mu echo jego kroków.

Popołudnie następnego dnia było niezwykle ciepłe jak na tę porę roku. Tony wyciągnął się na szeszlunku za domem w samych tylko szortach. Nie miał ochoty nigdzie iść, niczego robić, z nikim się spotykać. Zadzwoił tylko raz i nagrał się na sekretarkę Saula Ravina, prosząc o informację, jak wyglądają jego sprawy. Nie poszedł do skrzynki pocztowej, ponieważ tego dnia nie mógłby znieść utraty nadziei na Harvard. Przez ostatnie pięć miesięcy żył w strachu, że nic - oceny, sport, referencje, udane *interview* za ostatnie lato - nie będzie się liczyło, jeśli komisja rekrutacyjna w Cambridge dowie się o morderstwie w małym miasteczku w Ohio. Gdyby mógł zostać w tym domu dopóty, dopóki nie nastąpi kolejna zmiana w jego życiu - aż pójdzie do jakiegoś college'u albo stanie przed sądem - zrobiłby to. Obudziwszy się rano, zrozumiał, co to znaczy być naprawdę samotnym.

- Tony?

Sue zaskoczyła go - uświadomił sobie, że nie słyszał, jak szła po trawniku. Opuścił nogi, a ona usiadła na skraju szeszlunku. Nic nie mówiła; zdawało się, że przyszła, by po prostu z nim posiedzieć.

- Pewnie już słyszałaś - powiedział.

Obróciła się ku niemu, w oczach miała wiele pytań.

- Tylko to, że piliście i pobiliście się... Samowi czasem trudno wyjaśnić, o co mu chodzi. Ale wiem, że krępowало go to, co się stało.

Tony poczuł, że znowu ogarnia go złość.

- Nie rozumiem dlaczego. Przecież tylko zapytał mnie o to, czego wszyscy inni chcą się dowiedzieć.

Na ładnej twarzy Sue malował się niezwykle dla niej smutek.

- Jeśli Sam cię o to pytał, to było to głupie. On zna cię lepiej.

Tony ponownie wyciągnął się na szeszlengu. Choć widział przed sobą Sue Cash, dziewczynę, którą zawsze lubił, jakieś perwersyjne pragnienie, by zerwać wszystkie więzy, popychało go dalej.

- A więc przysłaś, żeby wszystko załagodzić.

Na jej twarzy po raz pierwszy pojawiła się uraza. Patrzył, jak dziewczyna odzyskuje panowanie nad sobą.

- Jeśli dasz Samowi czas, to cię przeprosi. Nie sądzę, żeby chciał żyć bez ciebie.

- Dobrze - odparł uszczypliwie Tony. - Więc przekaż mu, że nie zabiłem Alison i że jeśli powie mi, gdzie był tamtej nocy, między nami będzie tak, jakby to wszystko się nie wydarzyło.

Sue zaczerwieniła się i spojrzała na niego.

- Sam był wtedy ze mną, pamiętasz? Żałujemy, że nie było cię z nami, nie tylko ze względu na Alison. Może Sam żałuje tego najbardziej.

- Przepraszam, zapomniałem. Chodzi o to, że Sama ominęło ostatnio wiele rzeczy, na przykład rozważanie tego, kto się martwi o to, kim będzie następna ofiara mordercy. Przynajmniej to, że jego „najlepszy przyjaciel” pyta, czy udusił Alison, da mu pojęcie, jak to jest. - Tony urwał, po czym dokończył tonem bardziej obojętnym, niż zamierzał: - Powiem mu nawet, że odpowiedź jest dla mnie bez znaczenia.

Przez chwilę Sue przyglądała mu się w milczeniu.

- Sam jest bardzo uczuciowy, Tony, a wobec ciebie żywi więcej uczuć niż większość ludzi. Nie wie jednak, jak to powiedzieć.

Tony stwierdził, że jego wybuchy złości stawały się coraz bardziej okrutne i mocne, przynajmniej jeśli chodzi o Sama.

- To na nic - odparł po chwili. - Nic nie poradzę na to, co czuję w związku z pytaniem Sama i tym, co ono dla mnie znaczy.

- To z kim będziesz teraz rozmawiał?

Tony wzruszył ramionami.

- A kto się tym martwi?

- Ja się martwię.

Powiedziała to tak po prostu. Jakby to było oczywiste, naturalne.

- Jesteś dziewczyną Sama - rzekł Tony.

Wprawilo ją to w zakłopotanie, a potem rozzłościło.

- To też było głupie. A może powiedziałaś: „Jesteś moją przyjaciółką, Sue”. Może chociaż: „Nie winię cię za te głupoty, które wygaduje twój chłopak...” - Przerwała. - Ja wiem, że nie zabiłeś Alison. Nie mógłbyś.

Spojrzał na nią. Nigdy nie powiedziała mu tego wprost. Jego zdaniem, sposób, w jaki mu to oznajmiła, świadczył o głębokim kobiecym przekonaniu, które nie miało związku ani z samym faktem, ani z podnoszeniem na duchu: Sue Cash po prostu wiedziała, że jest niewinny.

Pierwszy raz uśmiechnęła się nieznacznie.

- Ze mną nie musisz walczyć, dobrze? Ja to tylko ja.

Tony przyglądał się jej twarzy - tak znajomej, a teraz nagle tak życzliwej.

- Od jak dawna się znamy? - zapytał po dłuższej chwili.

Sue spojrzała w niebo.

- Ze trzy lata. Poznaliśmy się jakoś w dziewiątej klasie...

- Szczerze mówiąc, pamiętam, że zobaczyłem cię, kiedy pierwszy raz przyszedłem do liceum. Miałaś na sobie różową sukienkę w paski.

Skinęła głową.

- To była moja ulubiona sukienka. Poprzedniej nocy zmusiłam mamę, żeby mi ją wyprasowała. - Uśmiechnęła się do niego, a na jej policzkach pokazały się dołeczki. - Czekałam, aż ktoś powie, że ładnie wyglądam.

Tony wyobraził sobie czternastoletnią Sue, pełną zniecierpliwienia i oczekiwań, przyglądającą się mamie, która prasuje różową sukienkę w paski.

- Byłaś ładna - powiedział.

Sue opuściła wzrok - wciąż z półuśmiechem, ale z poważnymi nagle oczami - po czym ścisnęła rękę chłopaka. Był to odruchowy, czuły gest, tak charakterystyczny dla Sue, pomyślał Tony. Sam miał więcej szczęścia, niż na to zasługiwał.

- Jesteś taka dobra, Sue.

- Dlaczego ludzie zawsze mi to mówią? - odpowiedziała, skarżąc się żartobliwie. - A co, jeśli chcę być naprawdę zła?

- Na twoim miejscu najpierw wyjechałbym z miasta.

Wydawało się, że zastanawiała się nad tym, choć uśmiech nie zniknął z jej ust. Siedzieli, nie odzywając się do siebie.

- Tony!

Tym razem była to jego matka. Biegła przez podwórko z kopertą.

- Poczta do ciebie. Z Harvardu - oświadczyła.

Tony widział niepokój na jej twarzy. Mimo całej irytacji, którą w nim budziła, wiedział, że jej uczucie niewiele różni się od nagłego skurczu, który poczuł w żołądku. Gdy Helen Lord podała mu kopertę i czekała niecierpliwie, aż ją otworzy, Sue spoglądała to na nią, to na Tony'ego.

- Powinnam już iść - powiedziała.

Tony pokręcił przecząco głową w milczeniu, zmagając się z kremową kopertą. Niemal zapomniał, że matka i Sue patrzą na niego, gdy przeczytał pierwszy wers.

„Miło nam poinformować...”

Tony czytał, aż dotarł do wyrazu „stypendium”.

- Boże...

- No i co? - dopytywała się matka.

- Przyjęli mnie. - Spojrzał na nią uszczęśliwiony. - Przyznali mi stypendium, mamó. Mogę tam iść...

To nie uścisk Helen Lord, a myśl o prokuratorze hrabstwa, zgasiła jego radość. Ale pozwolił matce się cieszyć; wyczuwał w mocnym objęciu wszystkie jej nadzieje, wszystkie obawy.

- Dobrze już, mamó - powiedział, chrypiąc. - Proszę, nie mogę oddychać...

Matka cofnęła się i zaśmiała niepewnie. Wciąż wyglądała, jakby w to nie wierzyła.

- To takie cudowne. Sue, czyż to nie cudowne?

Sue uśmiechnęła się.

- Tak. To cudowne.

Helen Lord wzięła list z rąk syna.

- Pójdę powiedzieć ojcu... - zaczęła i popędziła do domu, wołając go po drodze. Tony był zbyt poruszony, żeby się uśmiechnąć.

- No cóż - odezwała się cicho Sue Cash. - Udało ci się.

- Tak, udało mi się. Przynajmniej jak do tej pory.

Sue uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, jakby nie chciała wierzyć, by coś mogło go teraz powstrzymać. Na wpół żartobliwie rozejrzała się, czy jest tam jeszcze Helen Lord, i delikatnie, czule

pocałowała Tony'ego w usta. Kiedy się podniosła, w jej oczach widać było zadowolenie.

- No, pocałowałam harvardczyka - powiedziała.

Wieczorem Saul Ravin odpowiedział na telefon Tony'ego.

- Przyjęli mnie na Harvard - poinformował go chłopak.

- No, Tony, to wspaniale. - Przez chwilę Saul wydawał się szczerze zadowolony, ale potem dobry nastrój go opuścił. - Pytałeś chyba o to, jak się mają sprawy.

- Tak. Co mi możesz powiedzieć?

- Niewiele. „Nie wiadomo mi o żadnych zmianach”, to chyba wszystko, co mogę rzec.

W głosie Saula brzmiała rezerwa. Od śmierci Alison Tony był bardziej wyczulony na niuanse, zwłaszcza kiedy to, co nie dopowiedziane, nie było pozytywne.

- O co chodzi? - zapytał.

Nastąpiła długa cisza.

- Wciąż trzymają raport koronera pod kluczem. Ale jeszcze bardziej niezwykle jest to, że nie chcą mi nic o nim powiedzieć. Minęło już prawie pięć miesięcy.

Tony poczuł, że jego obawy wzrastają.

- Co to oznacza?

- Nie jestem pewien. - W ciszy Tony'emu zdawało się, że słyszy westchnienie Saula. - Może w samym raporcie jest coś niezwykłego. Boję się, że wciąż myślą o tym, jak cię złapać, a nie, jak oczyścić z zarzutów.

- Czy tylko z tego powodu tak myślisz?

Znowu zapadło milczenie.

- No dobrze, Tony... Nie chcę cię martwić, ale wydaje mi się, że zasłużyłeś sobie na to, by traktować cię jak dorosłego. Na czwartek wyznaczono spotkanie. Morelli i prokurator hrabstwa będą rozmawiać z Taylorami. Naciski nie ustają... widziałeś lokalną gazetę. Morelli nic mi nie powie, ale wydaje mi się, że ich zdaniem, mają na ciebie coś jeszcze.

Tony poczuł, jak podniecenie wywołane listem z Harvardu rozbija się w pył.

- Czy nic nie możemy zrobić? Przynajmniej dowiedzmy się, co to takiego.

- Nie bardzo... na tym spotkaniu nie mamy prawa głosu. Ale spróbuję ostatni raz podejść

Morellego. - Saul mówił teraz łagodniejszym tonem. - Wszystko, co możesz teraz zrobić, Tony, to to, co do tej pory robiłeś tak cholernie dobrze: czekać.

## CZTERNAŚCIE

Gdyby nie śmierć Alison, po przyjęciu na Harvard Tony'emu zostałyby już tylko nadzieja na zdobycie tytułu sportowca roku. Ale na pięć dni dzielących rozmowę z Saulem od czwartkowego wieczoru, kiedy adwokat ponownie zda mu relację, jedyną obsesją Tony'ego stało się widmo oskarżenia.

Nie mógł się od tego uwolnić. Podczas lekcji fizyki wyobrażał sobie, jak dzwoni do Taylorów i błaga, by uwierzyli w jego niewinność. Odtwarzając w myślach tamtą noc - jak czynił to codziennie od śmierci Alison - Tony znowu zaczął się zastanawiać, kto mógł to zrobić. Nie wierzył, by był to ktoś z miasteczka: przecież przechodzili z Alison przez park przypadkiem, który wynikał stąd, że szyby w jego samochodzie pokryły się szronem, a poza tym ktoś, kto obserwował jej dom, czekałby na podjeździe, nie zaś przy werandzie z tyłu. Tony widział ją w świetle, które padało z werandy. Nikt inny nie mógł wiedzieć, że dziewczyna wyjdzie raz jeszcze. Dlatego morderstwo musiało być niezwykle przypadkowe - musiało być dziełem włóczęgi, który akurat znalazł się w pobliżu grupy drzew. Lecz noc była zimna, a w scenie, którą sobie wyobrażał, musiały wziąć udział trzy ukryte w mroku osoby: dwoje nieświadomych niczego kochanków oraz włóczęga tak wrogo nastawiony, że podsłuchawszy Alison i Tony'ego, postanowił położyć się i zacząć na nią. Wszystko to było nieprawdopodobne, zupełnie jak to - chłopak nie miał co do tego wątpliwości - że ktoś poszedł za nimi do parku. Pozostał mu więc wniosek, do którego doszedł już dawno, a który teraz wydawał mu się tym bardziej przerażający ze względu na czwartkowe spotkanie: że gdyby on był na miejscu policji albo Taylorów, wierzyłby, iż Tony Lord udusił swoją dziewczynę.

W czwartek po południu Tony miał grać przeciw Stratfordowi. Mecz pojawił się prawie z zaskoczenia. Kiedy Tony wyszedł na boisko, zmęczony po nie przespanej nocy, z otwartej trybuny obserwował go Dana.

Od pierwszej piłki rzuconej na rozgrzewkę Tony zastanawiał się, czy Dana go aresztuje.

Johnny D'Abruzzi stał na pozycji łapacza. Tony nie był w pełni świadomy, gdzie się znajduje; rzucił piłkę Johnny'emu, złapał ją, rzucił znowu. Wydawało mu się, że on i Johnny są w tunelu. Sam grał pierwszy, jak zwykle, ale Tony niemal go nie zauważył. Jakiś przesąd kazał mu myśleć, że jeśli będzie udawał, iż Dany tu nie ma, detektyw nie przyjdzie po niego.

Przez pierwsze sześć rund nie odzywał się do nikogo, a policjant się nie poruszył.

Było zero do zera. Tony nie był rewelacyjnym miotaczem; udawało mu się trafiać, jeśli rzucał tam, gdzie Johnny trzymał rękawicę - nisko i blisko krawędzi pola. Tylko powtarzając to raz za razem, nie odchodził od zmysłów. Skupił się na tym tak całkowicie, tak desperacko, że wychodziło mu jak nigdy dotąd. Nie zwracał uwagi na paplaninę kolegów z drużyny i na ich zachęty pomiędzy rundami -

podobnie jak Dana, byli częścią szerszej rzeczywistości, którą musiał zignorować. Drużyna ni cholery go nie interesowała.

Gdy w ostatniej części szóstej rundy Samowi udał się bieg do bazy i przeszedł przez pole z nonszalancją, która brała się z ogromnego samozadowolenia, Tony mógł myśleć już tylko o tym, że do końca meczu pozostała zaledwie jedna runda - jego ostatnia ochrona - a potem Doug Dana będzie na niego czekał.

- Wszystko w porządku?

Stał nad nim Johnny D'Abruzzi. Dopiero wtedy Tony zobaczył, że wszyscy zerwali się z ławki i pobiegli ściskać Sama. Łapacz spojrzał na niego ze zdziwieniem, a potem popatrzył na Erniego Nixona, trzymającego się z dala od świętujących.

- Przepraszam za tamto z Kawalerami, Tony. Chyba narobiłem sporo kłopotów.

- Nie mi.

Odpowiedział tak obojętnym tonem, że Johnny się zakłopotał.

- Jeszcze jedna runda - powiedział niezręcznie i odszedł do pozostałych.

W siódmej rundzie Tony znowu trafił w wysepkę miotacza.

Wiedział, co się dzieje dokoła: widział trybuny pełne kibiców, przypominające fabrykę liceum po jednej stronie, backstopa i siatkę ochronną za Johnnym D'Abruzzim, zieloną siatkę z drutu za boiskiem - tak jak aktor ma świadomość sztucznego tła w sztuce. Wtem zobaczył kątem oka, że ktoś się poruszył. Nie musiał się przyglądać, by wiedzieć, że to Doug Dana.

Gdy pierwszy pałkarz stanął na bazie domowej, Dana pojawił się za Johnnym D'Abruzzim po drugiej stronie siatki ochronnej. Tony'emu zdawało się, że widzi podwójnie: Johnny'ego i swoją ucieczkę oraz Danę, symbol swoich obaw. A wtedy obok Dany stanął ojciec Alison.

Obaj przyglądali się Tony'emu przez siatkę. Chłopak był pewien, że znają już decyzję prokuratora hrabstwa. Tylko on tego nie wiedział, nie mogąc się skontaktować ze swoim prawnikiem.

Sędzia przykucnął za Johnnym na bazie-mecie, gotowy rozpocząć grę. Tony raz jeszcze niczym automat skupił się i rzucił pierwszą piłkę.

- Piłka pierwsza! - zawołał sędzia główny.

Dana obrócił się i powiedział coś do Johna Taylora.

Tony pokonał pałkarza czwartą piłką, potem wygrał drugą rundę.

- Dalej, Tony! Skończ z nimi!

To był głos Sama.



Pieprzcie się. Pieprzcie się wszyscy.

Trzecia piłka Tony'ego poszybowała powoli łukiem i tak zmyliła pałkarza, że zamachnął się kijem dopiero wtedy, gdy znalazła się przy nim.

- Punkt trzeci.

Tony wciąż patrzył na rękawicę Johnny'ego, na swoje zbawienie. Następny pałkarz odbił pierwszą, rzuconą szybko i nisko piłkę.

Uderzyła w ziemię i odbiła się w kierunku Tony'ego. Zaskoczyło go to; tak bardzo skupił się na rzucaniu, że zapomniał przykucnąć, by wyłapywać piłki. Złapał piłkę, tracąc przy tym równowagę, popatrzył na biegnących zawodników i od razu rzucił ją do tego z kijem.

Znowu aut.

- Mor-der-ca...

Kibiców ze Stratfordu było niewielu, a ich gwizdy ginęły w ogólnej wrzawie, bo nie było tu ścian, które dawałyby echo. Ale Tony wzdrygnął się. Wbrew sobie spojrział przez siatkę na Johna Taylora.

Ojciec Alison skinął w milczeniu głową - nie do Tony'ego, lecz reagując na powtarzane teraz słowo.

- Mor-der-ca...

Na pewno przyszedł tu, by zobaczyć, jak Dana go zabiera.

Clayton Pell, „ratunkowy” rzucający Stratfordu, zbliżał się już do kwadratu bazy.

- Tony! - krzyknął Sam.

Zaskoczony chłopak odwrócił się i zobaczył, że biegacze Stratfordu zabierali już drugą i trzecią. Chciał rzucać na drugą. Powstrzymały go lata praktyki: mógł teraz jedynie zaryzykować rzut tuż przy przeciwnikach, którzy byli już niemal na miejscu. Tony zapomniał o nich.

Z trybun zajmowanych przez kibiców Stratfordu dobiegły go gwizdy i śmiech.

- Czas! - Tony usłyszał okrzyk Sama.

Sam podbiegł do niego z niedowierzaniem w oczach.

- Co ty, kurwa, robisz, człowieku? Prowadzimy jednym punktem.

Tony położył dłoń na ramieniu Sama i starał się opanować drżenie głosu:

- Tylko powiedz mi, że to dla ciebie bez znaczenia. To mi bardzo pomoże.

Twarz Sama poczerwieniała. Odpowiedział przez ściśnięte gardło:

- To ma znaczenie. Chciałbym nadal mieć dla ciebie trochę szacunku.

Odwrócił się gwałtownie i pobiegł na miejsce.

- Piłka w grze! - krzyknął sędzia.

Tony patrzył na Sama, który stał po drugiej stronie boiska. Gdy zmusił się, by odwrócić wzrok, zobaczył, że Dana i ojciec Alison przyglądają mu się uważnie z rękami założonymi na piersiach, jakby dostrzegli, że wreszcie daje o sobie znać jego sumienie.

- Mor-der-ca...

Clayton Pell wymachiwał kijem na pozycji leworęcznego, opanowując swoją niecierpliwość. Tony'emu serce waliło z wściekłości.

Kiedy Johnny poprosił go głośno o podkręconą piłkę i ustawił rękawicę nisko i blisko ciała, Tony pokręcił z uporem głową.

Przez maskę łapacza widać było, że Johnny patrzy z konsternacją. Potem dał znak, że chce szybką piłkę, której Pell nie będzie miał siły odbić.

Tony odchylił się do tyłu, zamachnął i z całej siły cisnął piłkę w sam środek pola.

Clayton Pell uderzył z niezwykłą gracją. Płynnym ruchem wyciągnął ręce i trafił ją grubą częścią kija. Tony nie musiał śledzić lotu piłki. Odwrócił się dopiero w ostatniej chwili i zobaczył, jak Ernie Nixon biegnie po prawej stronie w kierunku siatki, a potem patrzy, jak piłka odbija się od ziemi dwadzieścia stóp poza jego zasięgiem. Z trybun kibiców Stratfordu rozległ się ryk.

Z reszty Tony zapamiętał już tylko fragmenty: ostatni pałkarz Stratfordu, Sam Robb ciskający piłkę w prawą stronę, cisza na ławce podczas ostatniej połowy rundy, której nikt już nie chciał, niechciany prezent od Tony'ego Lorda, rozpaczliwy wyścig we dwójkę i punkty zdobyte przez Johnny'ego D'Abruzziego. Potem, z mgłą przed oczami, Tony zdobył punkt czwartą piłką.

Koniec. Usiadł zgarbiony na ławce i czekał na Danę. Obok przeszło kilku kolegów z zespołu. Tony prawie nie widział Sama, który przyglądał mu się, gdy reszta drużyny opuściła boisko.

Kiedy wreszcie się odwrócił, Dany i Johna Taylora już nie było.

Pół godziny później Tony wciąż tam siedział. Wszedł do niego, już przebrany, Ernie Nixon.

Chłopak usiadł obok.

- Mówi się trudno!

Tony spojrział na niego. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek rozmawiał z Erniem na osobności albo nawet, by przyglądał mu się tak sam z siebie. Teraz uderzyło go to, że Ernie miał jakieś zamysłone, refleksyjne nastawienie - jego jedyna zauważalna cecha, czyli zadziwiająca, zielone

oczy, sugerowały odziedziczoną po przodkach ironię, którą Tony nigdy się nie zajmował.

- Próbowałem zrobić coś, czego nie potrafię. Przerzucić piłkę obok najlepszego zawodnika przeciwników. To nie kwestia szczęścia - stwierdził po chwili.

Ernie nic nie powiedział. Patrzyli na boisko - opuszczone przez zawodników było statyczne jak zdjęcie. Po jakimś czasie rzekł:

- Słyszałem o bractwie. Nie musiałeś tego robić.

Tony był zaskoczony, a potem poczuł się zakłopotany.

- Tu bardziej chodziło o mnie niż o ciebie. Po prostu nie mogłem wytrzymać, takie to było głupie.

- Wiesz, człowieku, tacy już są. Tacy już są.

W tym zdaniu pobrzmiewał jakiś gorzki fatalizm. Sprawiało ono, że - nie wiedząc do końca dlaczego - Tony zapragnął rozmawiać.

- Wiesz, co tak naprawdę się dzisiaj stało? - spytał. - Myślałem, że Dana przyszedł mnie aresztować.

Ernie obrócił się ku niemu i spojrzał mu w oczy.

- Ja tego nie zrobiłem, Ernie. Tamtej nocy był tam ktoś jeszcze.

Tamten przekrzywił głowę, a jego zielone oczy się zwęziły.

- Widziałeś kogoś?

- Nie, ale go słyszałem.

Ernie oparł brodę na złożonych dłoniach i popatrzył na boisko.

- W tym parku bywa mnóstwo ludzi. Jest tam wiele miejsc, gdzie można się ukryć. Znam chyba większość z nich.

Niedbale rzucona uwaga najpierw zaskoczyła Tony'ego, potem zaś zaniepokoiła go. Nigdy nie zagłębiał się w park; od śmierci Alison nawet się do niego nie zbliżał.

- Możesz mi je pokazać? - zapytał.

Stali w parku, przyglądając się poprzez kępę drzew gotyckiemu zarysowi dachu domu Taylorów. Było późne popołudnie; przez chwilę Tony wyobrażał sobie matkę Alison przygotowującą kolację dla trzech osób i jednego pustego krzesła. Spochmurniał.

W milczącej zgodzie odwrócili się i wyszli z zagajnika.

Pierwszy raz, odkąd Tony pamiętał, park wydał mu się egzotyczny i niepokojący: grupy dębów kłębiących się razem, ponieważ ich nasiona leżały niegdyś blisko siebie; wyższy od nich żywopłot z pnączy i ostu, zaczynający się od gaiku, który wpłynął na los Taylorów, i okrążający przednią część parku. Kiedy się zbliżyli, Tony zobaczył, że żywopłot tworzyły zarośla, powykręcane, splątane i z nowymi zielonymi pędami.

Nic nie mówiąc, Ernie wyciągnął rękę i odgarnął kępę pnączy.

Za nimi znajdowała się pusta przestrzeń ukryta wśród pnączy i gałęzi - splacheć trawy bez słońca, mroczny jak jaskinia. Na trawie leżała pusta paczka po papierosach, a na niedopałkach widać było wilgoć. Oprócz tego było tam jeszcze rozdarłe opakowanie po prezerwatywie. Ernie zaśmiał się cicho.

Ślady potajemnej obecności człowieka zaniepokoiły Tony'ego.

- Jak to znalazłeś?

- Brat mi pokazał, kiedy miałem czternaście lat. Latem wykradaliśmy się w nocy z domu. Udawaliśmy komandosów i chodziliśmy to tu, to tam. Czasem spaliśmy na starym cmentarzu, a czasem przychodziliśmy tutaj. - Urwał, wracając myślami do wspomnień. - Całkiem szybko zorientowaliśmy się, że nie tylko my przychodzimy w nocy do parku. Byli tu włóczędzy, ludzie, którzy się tu pieprzyli, a ostatnio nawet kilku gości sprzedawało marihuanę. Dużo więcej ludzi bywa dzisiaj w mieście, no i jest chyba dużo studentów. Gliny wiedzą o tym wszystkim: przyjeżdżają na patrol o drugiej, trzeciej nad ranem, a czasem węższą z latarkami. Chowanie się przed glinami było zawsze najlepszą zabawą. No i zastanawianie się, kto tu jeszcze jest.

Tony zorientował się, że przygląda się zmiętej paczce papierosów. Choć Saul wspominał o włóczęgach, ten dowód istnienia drugiego, nocnego życia w parku, który otaczał jego i Alison, bardzo go poruszył.

- Jest wiele takich miejsc jak to. Ale ludzie nie umieją ich znaleźć - rzekł Ernie.

Tony spojrzał na niego.

- Przychodziłeś tu kiedyś sam?

- Czasami. Do jej śmierci. - Ernie puścił trzymane w dłoni gałęzie i kryjówka zniknęła. - Kiedy brat wyjechał, było mi gorzej samemu. Ale czasem czułem się tu jak tajny król Lake City. Przez kilka godzin nikt nie mógł mnie zobaczyć i mogłem robić wszystko, co mi, kurwa, przyszło do głowy. - Raz jeszcze uśmiechnął się ironicznie. - Od północy do piątej rano to był jedyny klub w miasteczku, do którego wpuszczano Murzynów. Ale nie był ekskluzywny: w tym parku jest mnóstwo ludzi, którzy mogli ją zabić. Gliny też o tym wiedzą. I ona musiała to wiedzieć.

- Alison?

- No jasne. Jeszcze kiedy byłem dzieckiem i rodzice zabierali tu Geralda i mnie na pikniki, widziałem, że cały czas się tu bawiła. - Głos Erniego złagodniał. - Wiesz, z jej przyjaciółmi.

Tony był pewien, że ta ostatnia uwaga miała ukryte, być może nie uświadomione znaczenie.

Mówiła, że wtedy nie było przyjęte - ze względów społecznych i rasowych - by Alison Taylor i murzyński chłopak się przyjaźnili.

- Bardzo za nią tęsknię - powiedział po prostu Tony.

Po chwili Ernie skinął głową. Wykonał ten gest dziwnie niechętnie.

- Chyba była miła. Ale taki jak ja nigdy się nie dowie, co to naprawdę znaczy. Mam na myśli to, czy mogę mieć nadzieję, że taka dziewczyna się ze mną umówi.

Tony znał odpowiedź. Rzadko wyobrażał sobie Erniego Nixona inaczej niż jako kolegę z drużyny albo obiekt dziwowania się w towarzystwie. Teraz wyczuł, co kryło się pod rezerwą jego kolegi: niektórzy ludzie są mili, inni nie, ale wszyscy uważają cię za takiego, jakim - w ich mniemaniu - jesteś i zawsze będziesz.

Wbrew sobie Tony raz jeszcze spojrzął na podwórko za domem Taylorów, pomyślał o tym, co tam znalazł, i odwrócił się.

Bez słowa przeszli przez trawnik do samochodu Tony'ego. W parku nie było ludzi, panowała większa cisza, niż Tony pamiętał. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy wsiedli do forda.

- Przepraszam za to u Kawalerów. Ale to naprawdę jest głupie.

Przez chwilę Ernie nie odpowiadał.

- Być może. Ale o tym, czy to „głupie”, decydują inni.

Tony popatrzył na niego i wtedy ciekawość wzięła górę nad skrępowaniem.

- Dlaczego w ogóle twoi rodzice tu przyjechali?

W spojrzeniu zielonych oczu Erniego ironia mieszała się z pewną wyrozumiałością.

- Pewnie z tego samego powodu co twoi. Lake City to wspaniałe miejsce na wychowywanie dzieci - odparł.

- Co się stało? - zapytał Tony. Trzymał mocno słuchawkę i żałował, że nie widzi twarzy Saula Ravina.

- Powiem to w ten sposób, Tony: z tego, co mi powiedział Morelli, John Taylor wyszedł wściekły. Tak samo policja.

- Nie oskarżą mnie?

- Jeszcze nie. Morelli wciąż się temu sprzeciwia. To przebiegły człowiek z zasadami. Odebrał edukację u twoich przyjaciół jezuitów i jest zdolny postawić sprawiedliwość ponad politykę.

- No to co było tym „nowym” dowodem?

- Nie jestem pewien, ale bez wątpienia to coś, co znaleźli na jej ciele i co pasuje do twojej grupy krwi. Może to krew inna niż krew Alison, może włos, a może coś jeszcze innego. Nie chcą mi powiedzieć. Ale zwróciłem Morellemu uwagę na fakt, że sześćdziesiąt procent ludzi ma taką grupę krwi jak ty, więc mógł jedynie powiedzieć, że nie można cię wykluczyć.

- Czy rozmawialiście o czymś jeszcze?

- Powiedziałem mu, że moim zdaniem jesteś niewinny. Chyba zaniemówił z wrażenia.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Tony usłyszał w głosie Saula pierwszą oznakę dobrego humoru. - Sądzę, że dlatego, iż jeszcze nigdy mu tego nie powiedziałem.

Przez chwilę chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Dziękuję, Saul...

- Nie mi dziękuj. Morelli wie, jak wpłynęłoby na ciebie wniesienie oskarżenia. Ma czas do końca twojego życia, żeby zebrać materiały i otworzyć proces.

Tony poczuł, jak ciężar osiadł mu na sercu. Walczyło w nim poczucie ulgi i ten - zdawałoby się - bezkresny cień.

- Na meczu baseballu byli Dana i ojciec Alison. Obserwowali mnie. Przez cały czas myślałem, że Dana mnie aresztuje, jak tylko skończymy grać.

Saul milczał chwilę.

- No to jestem pewien, że właśnie dlatego to zrobili: żebyś się dusił w poczuciu winy. Jak powiedziałem, są sfrustrowani. - Mówił przeproszającym tonem. - Powinienem był ci powiedzieć, Tony. Wtedy Morelli zadzwoniłby do mnie, a ja sam bym cię zabrał. Już i tak jest źle, nie musisz jeszcze oglądać duchów.

- Jezu...

- To by było na tyle. Nie przymkną cię jutro ani pojutrze. - W głosie Saula dawało się wyczuć zmęczenie. - Możemy wrócić do oglądania telewizji.

Tony zaśmiał się krótko.

- Nie ja. Muszę odespać...

- Nic nie słyszałeś?

- O czym?

- Martin Luther King został zastrzelony, Tony. On nie żyje.

Chłopak był oszołomiony.

- Boże, to straszne...

- Też tak myślę. Będzie nas to drogo kosztowało i będziemy za to cierpieć przez lata. To strata dla każdego przyzwoitego człowieka w tym kraju - powiedział Saul, po czym się rozłączył.

Tony zszedł do sutereny i włączył telewizor. Nie powiedział rodzicom, co się stało.

Na ekranie zobaczył Roberta Kennedy'ego, który odwiedził w trakcie swojej kampanii prezydenckiej Indianapolis. Stał przed milczącym tłumem w murzyńskiej części miasta. Wiele osób płakało, a Kennedy mówił spontanicznie i sam był bliski łez.

- Martin Luther King poświęcił życie miłości i walce o sprawiedliwość dla swoich pobratymców i umarł z tego powodu... W Stanach Zjednoczonych nie potrzebujemy podziałów, nie potrzebujemy nienawiści, nie potrzebujemy przemocy ani bezprawia, lecz miłości i mądrości oraz współczucia dla siebie. Potrzebujemy poczucia sprawiedliwości wobec tych, którzy wciąż cierpią w naszym kraju, czy są biali, czy czarni... Dlatego proszę was, byście wrócili do domów i pomodlili się za rodzinę Martina Luthera Kinga jr., tak, a także za naszą ojczyznę, którą wszyscy kochamy. Żebyście pomodlili się o zrozumienie i współczucie...

Słuchając tego, Tony poczuł, że - podobnie jak Robert Kennedy - jest głęboko wstrząśnięty. Przez chwilę myślał, by zadzwonić do Erniego Nixona i powiedzieć, że jest mu żal z powodu tego, co się stało. Ale doszedł do wniosku, że byłoby to aroganckie, a nawet głupie. Ernie Nixon mieszka w Lake City, jutro jego życie będzie wyglądało właściwie tak samo jak wczoraj. Martin Luther King miał niewiele wspólnego z Erniem Nixonem.

## PIĘTNAŚCIE

Bawiąc się spinkami pożyczonego smokingu, Tony zbierał się w sobie przed balem maturalnym, na który jeszcze tydzień wcześniej przyrzekał sobie nie pójść.

- Przynajmniej się nad tym zastanów. - Brązowe oczy Sue były poważne. - To tak, jakbyś uciekał...

- I to najszybciej, jak potrafię. Od wszystkich tych dodatkowych przyzwoitek, których potrzebują, by mieć pewność, że dziewczyny dotrą całe do domu. - Podniósł głos w złości. - Sue, ty wrócisz do domu jako królowa, a ja jestem mordercą.

Dziewczyna spuściła wzrok. Odezwała się cicho:

- Tylko, jeśli będziesz się zachowywał jak morderca. Jeśli pójdziesz, ludzie to uszanują. - Znowu podniosła na niego oczy. - Jak będziesz się czuł tego wieczoru, oglądając samotnie telewizję? Lepiej?

Mimo wszystko Tony'ego wzruszyła nagle jej rozpaczliwa nadzieja, że przynajmniej ta chwila w jego ostatnim roku w szkole będzie choć trochę podobna do pamiątkowego zdjęcia, na którym kiedyś wyobrażała sobie całą ich czwórkę. Już delikatniej odpowiedział:

- Nie mam kogo przyprowadzić, Sue. Kiedy ty będziesz robić sobie z Samem pamiątkowe zdjęcie, ja będę siedział sam gdzieś w kącie...

- Ja z tobą zatańczę, Tony.

Pierwszy raz Tony się uśmiechnął.

- Zamierzasz podać Samowi środek usypiający? On nie wpadł, żeby mnie zachęcić do pójścia na bal...

- Ale będzie z tobą. - Sue mówiła teraz z niezwykłą dla niej mocą. - Już od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi. Czas już, żebyście obaj dorośli.

Tony poczuł, że ta uwaga trafiła w głębokie pokłady urazy, jaką żywił do Sama. Wiedział, że ani bal, ani taniec z Sue nie sprawią, że Sam zapomni o swoim żalu. A potem postanowił perwersyjnie poddać przyjaciela testowi.

- Może na trochę... - powiedział.

Dzięki temu, po trudach sesji zdjęciowej w wykonaniu rodziców, Tony wziął w objęcia Sue Cash. Zespół grał *The Way You Look Tonight*.

Na tę jedną okazję klub w Lake City należał do nich. Tony znalazł się tu po raz pierwszy; papierowe



girlandy i prowizoryczne szklane kule zwisały z sufitu. Jego zdaniem efekt z pewnością nie był magiczny: zespół był kompromisem osiągniętym przez nauczycieli i rodziców - wokaliście znacznie lepiej wyszła *Smoke Gets in Your Eyes* niż *A Hard Day's Night*, natomiast *Respect* Arethy Franklin był zupełnie poza zakresem jego możliwości - zaś temat *Night Casino* z dźwiękiem ruletki oraz stoły do black-jacka, gdzie można było grać o pluszowe lalki i pić różową lemoniadę z lampek do szampana, stanowił mizerną próbę rodziców, którzy chcieli zapobiec konkurencyjnym popijawom na polu golfowym. Nie uda się też, myślał Tony, alchemia czarnych krawatów i wieczorowych sukni, której celem miało być przekształcenie garstki nastolatków w Cary'ego Granta i Grace Kelly z *To Catch a Thief*: zbyt wielu chłopaków miało przekrzywione krawaty, a pozostali byli tak sztywni, że przypominali bohaterów pogrzebu z otwartą trumną. Było tu także typowe dla bali nieszczęśliwe łączenie w pary przez nauczycieli tych, którzy dotąd nic nie wywalczyli na arenie towarzyskiej, tak by każdy miał partnera. Gdy Tony zauważył Erniego Nixona usiłującego wydusić kilka słów z nieatrakcyjnej blondynki, która zajmowała składane krzesło w stanie zawstydzenia bliskim jakimś uduchowieniu, pożałował, że niewiele odzywał się do chłopaka od dnia, w którym zginął Martin Luther King. Ale musiał przyznać, że nie miał czego żałować, kiedy spojrzał na Sue Cash.

Była lekko opalona - w maju nadeszły już pierwsze słoneczne dni - a jej makijaż tak dobrze pasował do różowej aksamitnej sukni, że całość sprawiała bardzo naturalne wrażenie. Samą suknię uszyła matka Sue. Strój dokładnie przylegał do krągłości dziewczyny, nie uwypuklając ich przy tym nadmiernie. Widok ten był dla Tony'ego wzruszający i trochę ścinający z nóg - jakby jego przyjaciółka Sue Cash osiągnęła pełnię kobiecości tak łatwo i pewnie, że Sue, którą trzymał w ramionach, była dla niego zupełnie nową osobą. A mimo to była ciepła i zrelaksowana. Choć nigdy dotąd nie tańczyli ze sobą, od pierwszych nut szło im doskonale. Gdy dotykała włosami jego twarzy, czuł zapach jej perfum.

- Jesteś absolutnie piękna - szepnął.

Poczuł, że uśmiecha się, dotykając policzkiem jego ramienia, a potem muzyka zamilkła. Odsunęła się i obdarzyła go swoim zwykłym, nieco figlarnym uśmiechem.

- Wyglądam lepiej niż w różowej sukience w paski?

Tony przyjrzał się jej krytycznie, udając, że się zastanawia.

- Naprawdę nie sędzę, żeby teraz na ciebie pasowała, Sue.

Jeszcze przez chwilę uśmiechali się do siebie, a potem Sue poszła szukać Sama.

Wiedziony ciekawością podążył za nią wzrokiem. Nie ulegało wątpliwości, że w stosunku do niego Sue postępowała według własnego uznania. Sam odwrócił się plecami do parkietu i śmiał z Charliem Moore'em. Tony stwierdził, że w jego obojętnej reakcji na powrót Sue było coś odrobinę teatralnego, a on i Charlie sprawiali wrażenie, że zachowują się wyniośle, gdyż łączy ich jakaś tajemnica. Potem Sam wychylił szybkim, zamaszystym ruchem zawartość papierowego kubka i Tony odgadł, na czym polegała ta tajemnica: chodziło o whisky ukrytą w szafce Sama w męskim prysznicu. Chyba nadszedł czas, stwierdził, by przetestować uczucia przyjaciela.

Kiedy Tony się do nich przyłączył, Sue odwróciła się, zobaczyła go i zrobiła dla niego miejsce w kręgu. Charlie - członek bractwa Kawalerów - skinął wyniośle głową. Odpowiadając na sygnał, Jane

Jeffords uśmiechnęła się niedbale. Sam przyglądał się Tony'emu z wolną, lekko zaskoczony, jakby obecność przyjaciela dotarła do niego dopiero po sporej chwili.

Tony skinął głową.

- Cześć, Sam.

- Cześć, Tony. - Sam pokraśniał na twarzy. - Nie masz dziewczyny?

W słowach tych kryła się złośliwość. Sam doskonale wiedział, że Tony przyjdzie sam, a jego uwaga, jak się zdawało, była wymierzona w Sue. Spojrzawszy na przyjaciółkę, Tony dostrzegł, że poczuła się urażona.

- Nie mam. Nie zabawię tu długo - odparł.

Sam uniósł brwi.

- Szkoda - powiedział beztróska.

Popijając znowu whisky, odwrócił się do Charliego Moore'a.

Tony poczuł, że stojąca obok Sue staje się nerwowa. Pochylił się ku niej i szepnął:

- Dzięki za taniec, Sue. Czas, żebym stał się dynią Kopciuszka.

Sam odwrócił się gwałtownie, jakby ich przyłapał. Potem uśmiechnął się, a jego zaszklone oczy napotkały wzrok Tony'ego.

- Czy coś przeoczyłem, moi drodzy?

Dla dobra Sue Tony ugryzł się w język. Ale w spojrzeniu, którym dziewczyna obdarzyła Sama, było mniej urazy niż złości.

- Poprosiłam tylko Tony'ego o jeszcze jeden taniec - powiedziała. - Nie masz nic przeciw, prawda?

Ton jej głosu sugerował Samowi, że byłoby lepiej, gdyby nie miał. Ktoś, kto gorzej znał Sue, nawet Charlie Moore i jego dziewczyna, mógł tego nie wychwycić.

Sam zaczerwienił się.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciw? - odrzekł beztróska i obrócił się do Charliego. - Skoczmy szybciotko do toalety?

Zniknęli, nim Sue i Tony zdążyli się ruszyć.

Tony odprowadził ją tak daleko, by nikt nie mógł ich podsłuchać.

- Naprawdę już na mnie czas...

- Zatańcz ze mną, Tony. Proszę.

Wziął ją w ramiona. Poruszali się wolno w rytm *A Thousand Stars*.

- Co przegapiłem w ciągu tych ostatnich minut?

Oparła się na jego ramieniu i powiedziała łagodnie:

- Że nie wystarczy to, że go kocham.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty nie przeprosiłeś, uważa, że trzymam twoją stronę. Przestaje myśleć, kiedy pije.

Tony przycisnął ją mocniej do siebie.

- Nie chodzi tylko o niego, Sue. Odkąd tylko poprosiłaś, żebym przyszedł, wiedziałem, że tak się będzie zachowywał. Ja też o tobie zapomniałem.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Jesteś o niego zazdrosny?

- Nie. Ale ja z nim rywalizuję. I wciąż jeszcze jestem zły.

Sue potrząsnęła głową, jakby odpowiadała swoim myślom.

- W takim razie to co innego. Bo Sam jest o ciebie zazdrosny - oznajmiła.

Tony chciał zaprzeczyć.

- Ależ ty nigdy nie dałaś mu powodu...

- Nie chodzi o mnie. - Jej głos był smutny i bardzo czysty. - Chodzi o ciebie. Boi się, że nie będzie miał tego wszystkiego, co, jego zdaniem, masz ty.

Tony'emu zrobiło się ciężko na sercu.

- Dlaczego tak mówisz?

- Kiedy wracałam po tym, jak tańczyliśmy, widziałam, w jaki sposób na ciebie patrzył. - Spoglądała z troską, lecz nie odrywała wzroku od jego oczu. - Ale jest tu coś więcej. Myślę, że on po części pragnie być tobą...

Tony poczuł, że ktoś klepnął go w ramię.

- Mogę się wtrącić? - zapytał przyjaźnie Sam. Czuć było od niego whisky.

Tony przyjrzał mu się uważnie. Na twarzy chłopaka malował się dziwny upór, a Tony zastanawiał się, co mógł usłyszeć. Tkwiąc wciąż w ramionach Tony'ego, Sue spoglądała to na jednego, to na

drugiego.

Tony odsunął się od niej i powiedział, jak gdyby nic się nie stało:

- Bawcie się dalej, miłego wieczoru.

Sue z trudem zdobyła się na uśmiech, który miał oznaczać, że wszystko jest w porządku.

- Cieszymy się, że przyszedłeś, Tony.

Sam nic nie powiedział.

Tak Tony ich zostawił.

Wokół niego tańczyły inne pary. Przyjrzał się całej tej scenie: kołyszące się pary, grupki rodziców na boku, stłumiony przez muzykę gwar rozmów. Zaczynało to wyglądać jak przyjęcie. Pierwszy raz pozwolił sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby był tu teraz z Alison - jak by wyglądała, jak zabawne i cięte uwagi by wygłaszała. Nagle poczuł kolejny przypływ tęsknoty oraz szok tak świeży jak w pierwszych dniach po jej śmierci, kiedy po raz kolejny odkrył, jak nieodwracalną poniósł stratę i jakie to zawsze będzie dla niego straszne. Widok Sue, z zamkniętymi oczami i głową wspartą na ramieniu Sama, sprawił, że poczuł się bardzo samotny. To była noc dla par.

Powoli zszedł z parkietu, porozmawiał kilka minut z Erniem Nixonem i jego apatyczną towarzyszką. Jedna z przyzwoitek, matka z różowym bukietem, zaczęła przyglądać mu się podejrzliwie.

- Tony!

To była Jane, dziewczyna Charliego Moore'a. Była sama i najwyraźniej ośmielona przez whisky. Jej okrągła twarz wydawała się trochę obwisła, a usta poruszały się zbyt wyraziście, jakby składała słowa dla przygłuchej babci.

- Dlaczego nie tańczysz z jakąś inną? - spytała.

Tony z trudem się uśmiechnął.

- Każda inna jest tutaj z kimś.

Poważnie skinęła głową.

- To z Alison było takie straszne.

Tony popatrzył na nią. Westchnęła, zachowując arogancką pozę kobiety na tyle pijanej, że myli brak taktu z wrażliwością, a potem jeszcze narzuca to innym. Spoglądała na Tony'ego, domagając się jego uwagi.

- Chodzi mi o to, że widziałam, jak tańczyłeś z Sue, i myślałam, że powinieneś być tu z Alison.

Tony zdecydował, że dla własnego dobra lepiej będzie nie odpowiadać. Obojętnym tonem zapytał:

- Gdzie jest Charlie?

- Przy prysznicach, bierze jeszcze więcej wiesz czego. - Uśmiechnęła się promiennie. - Sam ma tu swoją szafkę. Wiesz, oni są członkami. - Następna myśl kazała jej przerwać na chwilę. - Alison też tu należała...

- Wiem - odparł spokojnie. - Może powinnaś poczekać tu na Charliego, Jane. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś pijana...

- Hej, stary, chcesz mnie puścić kantem? - spytał Charlie Moore, pijany tak jak jego dziewczyna. Pytanie balansowało na granicy żartu i pijackiej groźby. - Sue Cash ci nie wystarcza?

- Więcej, niż wystarcza - rzekł Tony, a wtedy Charlie zwrócił się do Jane, zapominając o nim, i zaśmiał się skrzekliwie.

- To sukinsyn!

Oczy jej się rozszerzyły.

- Tony nie...

- Sam! - Chaotycznie przeszukiwał wzrokiem salę. Jego nastrój wahał się między wesołością a oburzeniem. - Były dwie butelki, a teraz nie mogę znaleźć nawet jednej. Sukinsyn musiał je zabrać.

Tony odwrócił się, szukając Sama i Sue, ale nie mógł ich wypatrzeć w gąszczu par. Nie uważał, by Charlie i Jane zasługiwali na pożegnanie.

Wyszedł na zewnątrz i oparł się o drzwi swojego samochodu.

Noc była ciepła i gwiaździsta. Z wyjątkiem cichych już odgłosów zespołu na parkingu panowała cisza. Zbliżała się północ. Wkrótce, pomyślał Tony, pary zaczną się wymykać spod oka przyzwoitek i biec w stronę pola golfowego, żeby się napić albo wykombinować coś jeszcze. Ten taniec był czasem namiętności, to należało do szkolnych mądrości: ile dziewcząt, zastanawiał się, straciło cnotę po osiemnastce albo po balu maturalnym? Jakaś część jego wciąż pragnęła Alison.

Przez ocean masek samochodowych do Tony'ego dotarły dwa głosy. Pograżony w myślach, nie słuchał ich. Jeden należał do mężczyzny, drugi do kobiety, co go wcale nie zdziwiło. Ktoś musiał być pierwszy.

- Nie - powiedziała dziewczyna.

Tony wyprostował się. Od miejsca, w którym zobaczył profil kobiety, dzieliło go kilkanaście samochodów. Była o wiele niższa od mężczyzny, do którego mówiła, więc patrzyła do góry; była wyraźnie zła.

Tony pomyślał, że nawet w ciemności wszędzie rozpozna Sama Robba.

- Nie chcę - powtórzyła dziewczyna i teraz Tony nie miał już wątpliwości, że głos należał do Sue.

Zaczął się ostrożnie przemykać między pojazdami.

Sam otworzył już bagażnik. Stał plecami do Tony'ego, trzymając w jednej dłoni butelkę whisky, a w drugiej koszyk na piknik. Sue się od niego odsuwała.

- Daj spokój - powiedział Sam. - Nikt nie będzie nas szukał. A poza tym, czy to ważne, jeśli nawet będą?

Sue pokręciła przecząco głową.

- Dla mnie ważne. Zwłaszcza kiedy jesteś w takim stanie.

- W jakim stanie?

Tony zatrzymał się trzy rzędy samochodów od nich.

- Pijany - usłyszał odpowiedź Sue.

Sam upuścił koc na ziemię.

- Chodzi ci o to, że nie taki jak on.

- Naprawdę jesteś pijany. Nie mówiłbyś tak, gdybyś nie był. - Urwała, po czym od złości przeszła do prośby. - Proszę cię, nie psujmy sobie wieczoru z powodu Tony'ego.

Na dźwięk własnego imienia Tony zamarł w miejscu. Sam milczał przez chwilę. Tkwiąc bez ruchu, Tony pomyślał, że najgorsze już minęło.

Sam rzekł łagodnie:

- Postawiłaś mnie w głupiej sytuacji przy naszych przyjaciółach. Widzieli, jak się przy nim zachowywałaś.

- Jak? - zapytała zmęczonym głosem.

- Jakbyś go pragnęła. - Pokiwał po pijacku głową, aby poprzez swoją uwagę. - Jakbyś dzisiaj pragnęła Tony'ego Lorda.

- Nie. Bardzo mi żal Tony'ego. A to nie to samo.

Sam zatoczył się. Właśnie ten brak koordynacji ruchów, bardziej niż ton głosu, uświadomił Tony'emu, do jakiego stopnia jego przyjaciel jest pijany. Steżał, gdy ten położył ręce na ramionach Sue i zapytał:

- No więc kogo tak naprawdę pragniesz, Sue?

Dziewczyna spojrzała na niego i wstrzymała oddech.

- Nikogo. Nie w tej chwili...

- Ale ja pragnę ciebie. - Głos Sama zdawał się przechodzić od złości do paniki. - Musisz mi udowodnić, czyją jesteś dziewczyną...

- Moją. Należę do siebie, Sam. - Sue odwróciła się i ruszyła do klubu.

Sam złapał ją za nadgarstek.

- Wsiądź ze mną do samochodu. Proszę, ja muszę wiedzieć...

- To boli - powiedziała Sue, a Tony bez zastanowienia wystąpił naprzód.

Sue zobaczyła go pierwsza. Zastygła w bezruchu, oczy jej się rozszerzyły, a usta ułożyły w nieme „Nie”. Sam, wciąż trzymając ją za rękę, powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

Wyprostował się, puścił jej rękę, a w jego oczach zabłysły uczucia, nad którymi nie mógł zapanować: wstyd, zazdrość, złość.

- Jesteś zalany w pestkę - powiedział do niego Tony. - I sprawiasz ból swojej dziewczynie.

Sam był zaskoczony.

- Nie sprawiam jej bólu... - Urwał i opuścił ręce wzdłuż boków.

Tony włożył dłonie do kieszeni.

- To przepraszam - powiedział łagodnie.

Na chwilę Sam się uspokoił, ale po kilku sekundach alkohol znowu uderzył mu do głowy.

- To nie twoja sprawa, Tony. Twoja dziewczyna nie żyje. Sue należy do mnie.

Tony poczuł, że traci panowanie nad sobą. Sue spojrzała na niego zza pleców Sama, błagając w milczeniu o rozsądek. Sam podszedł do niego chwiejnym krokiem i spojrzał mu w oczy.

- Co masz przeciw mnie, Tony? Dlaczego chciałeś mi odebrać Sue?

- Nie chciałem.

- Nie kłam. - Sam się wyprostował. - Jesteś kłamcą...

- Przestań! - zawołała Sue i chwyciła go za rękaw smokingu. - Tony nic nie zrobił...

Sam odsunął ją na bok i złapał Tony'ego za klapy.

- Dlaczego ona cię broni?

Tony spojrzał mu w oczy i odparł wciąż jeszcze spokojnym głosem:

- Bo może będzie potrzebowała kogoś na tyle trzeźwego, by mógł ją odwieźć do domu.

Sam skrzywił się, podniósł pięść. Tony popchnął go i tamten stracił równowagę.

- Nie bądź dupkiem - warknął, a wtedy Sam znowu się zamierzył.

Gdy Sue pisnęła, Tony cofnął głowę. Pięść Sama, niosąca gromadzoną przez siedem miesięcy złość, minęła brodę Tony'ego o kilka cali.

Ten odsunął się i z całej siły uderzył Sama w brzuch.

Poczuł ból w ręce. Sam stęknął, z trudem łapał powietrze. Osunął się i usiadł na asfalcie. Opuścił głowę na pierś, po czym zadrżał, a na całym parkingu rozległy się odgłosy wymiotowania. Sue patrzyła ze łzami w oczach to na Sama, to na Tony'ego.

Tony poczuł, że złość mu przechodzi.

- Przepraszam - powiedział.

Siedzący między nimi Sam zaczął kasłać sucho. Wciąż nie podnosił głowy i wpatrywał się w kałużę swoich wymiocin. Sue pochyliła się nad nim.

- Możesz mi pomóc? - zapytała Tony'ego.

Wziął Sama za jedno ramię, Sue za drugie. Kiedy go postawili, w oczach miał strach. Przód smokingu był poplamiony.

- Nie może wrócić do środka - stwierdziła dziewczyna.

Powiedziała to, jakby Sama tu nie było, pomyślał Tony.

- Co zrobimy?

- Zabierzemy go do domu. - Głos Sue wahał się między złością a poczuciem klęski. - W tym stanie nie może prowadzić.

Tony poszukał w kieszeni Sama jego kluczyków i otworzył tylne drzwi samochodu. Razem z Sue podniósł przyjaciela. Gdy ciągnęli go kilka stóp do otwartych drzwi, mruczał w cichym proteście, ale kiedy Tony położył go na tylnym siedzeniu, a Sue ułożyła mu głowę, Sam już spał.

Tony spojrzał na nią.

- Kto obudzi jego rodziców?

Sue potrząsnęła głową.

- Nie ja. I nie będę z nim siedziała, aż mu się zrobi lepiej. Za bardzo go w tej chwili nienawidzę.

Tony wyduł policzki.

- Na podwórku za jego domem jest hamak. Niech tam odeśpi. Zawieź go, pojedę za tobą.



Sue powoli skinęła głową.

- Dobrze.

Dwadzieścia minut później nieśli Sama przez podwórko. Sue trzymała go za rękę, a Tony za nogi.

Hamak przywiązano do dwóch jabłonek. Kiedy położyli w nim Sama, westchnął, poruszył się lekko i znowu znieruchomiał. W słabym świetle widać było, że jest blady, usta miał lekko rozchylone.

Sue przyłożyła dwa palce do jego warg, by upewnić się, że oddycha.

- Nic mu nie jest? - zapytał Tony.

- Nic.

Patrzyli na twarz Sama. Była teraz spokojna jak u niemowlęcia.

- Spójrz na niego - rzekł cicho Tony. - Pewnie umrze kiedyś we śnie ze starości. Można pomyśleć, że nic się nie stało, prawda?

Przez chwilę Sue spoglądała bez słowa na swojego chłopaka, jakby starała się zrozumieć, co się za tym kryło. Potem odeszła od hamaka i stanęła samotnie na środku podwórka. Patrzyła na gwiazdy. Po chwili Tony podszedł do niej.

- No tak, nie ma co, spieprzyłam ci noc - odezwała się.

- A ja z pewnością spieprzyłem twoją.

Przez chwilę milczała.

- Nie, nie spieprzyłeś.

Przestąpił z nogi na nogę, słuchając cykania świerszczy.

- Chyba powinienem cię teraz odwieźć do domu.

Obróciła się i spojrzała na niego.

- Naprawdę chcesz jechać do domu?

Wzruszył ramionami.

- Dla mnie bal i tak się już skończył. Do tej pory wielu z nich poszło na pole golfowe albo na plażę. Czekają na wschód słońca.

Sue spuściła wzrok.

- Czy chcesz to zrobić ze mną? To znaczy, zaczekać na wschód słońca?

Tony zawahał się, spoglądając w milczeniu na hamak.

- Chcesz tego?

- Mhm. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieznacznie. - Powinniśmy dziś długo nie kłaść się spać, pamiętasz? Nie chcę stracić wszystkiego.

## SZESNAŚCIE

Tony wyjaśnił Sue, że nie mógł pojechać na plażę przed świtem, ponieważ nie wyobrażał sobie, by potrafił znaleźć się nocą w pobliżu parku Taylorów. Jedynym innym miejscem, które znała Sue, była opuszczona kępa klonów. Chciała tylko w ciągu następnych kilku godzin znaleźć się tam, gdzie nie będzie się musiała tłumaczyć za Sama, a nawet zbyt wiele o nim myśleć - tak powiedziała Tony'emu.

Chłopak wiedział, że to niemożliwe. Była wśród tych klonów w nocy, której zginęła Alison; koc, który sobie rozłożyli, należał do niego; koszyk piknikowy - z sokiem pomarańczowym, owocami, bułkami i butelką taniego szampana - był tym samym, który Sue napełniała zawsze dla nich; sukienka, w której teraz szła bosą po mokrej od rosy trawie, była tą, którą Sam miał podziwiać. Tony był niemal pewien, że nawet on przypominał dziewczynie Sama, tak jak Sue powodowała, że on myślał o Alison.

Usiadła obok niego na kocu i pogрузzyła się w myślach. Mrok rozświetlało światło księżyca, noc była cicha, bezchmurna i bezwietrzna, jedyny dźwięk wydawały cykające świerszcze.

- W zeszłym roku, gdybyśmy wyobrażali sobie dzisiejszą noc, Sam byłby z tobą, a Alison ze mną. Odkąd ona umarła, wszystko się zmieniło. Także Sam - rzekł do niej Tony.

Milczała.

- Ty też się zmieniłeś - powiedziała po chwili.

Tony wzruszył ramionami.

- Przedtem chyba nigdy tak naprawdę nie byłem smutny. Teraz jestem smutny prawie cały czas.

Obróciła się ku niemu.

- Nie tylko smutny, Tony. Wydaje mi się, że już stąd wyjechałeś: z Lake City, od Sama, ode mnie. To tak, jakbyś zaczął bardzo dużo myśleć o sprawach, o których nie mówisz i o których nie mamy pojęcia.

Wydawało mu się, że ma rację, choć nie potrafił określić tych zmian.

- Mówisz jak Sam - stwierdził.

- Ale nie chcę mówić jak on. - Poprawiając sukienkę, Sue układała myśli. - Ja zaakceptuję cię bez względu na to, jaki będziesz. Myślę jednak, że dla Sama to trudne.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że się od niego odsuwasz. - Sue urwała, w jej głosie pojawiła się niepewność. - Właściwie, to nie jestem tego do końca pewna. Może dopóki Sam myśli, że obaj chcecie tego samego, na przykład tytułu sportowca roku albo zostania miejscowym bohaterem, dopóty nie będzie musiał się czuć zazdrosny. W Lake City on może cię pokonać. Ale jeśli to, czego pragnie najbardziej na świecie, dla ciebie nie jest aż tak ważne... - Nagle urwała, jakby jej myśli zawstydziły ją.

- Mów dalej - poprosił Tony.

Spojrzała mu w oczy.

- Może to śmieszne, ale on nienawidzi siebie za to, że tak czuje. Bo Sam naprawdę cię kocha, Tony. Myślę, że o to poszło w bójce. Próbował powiedzieć, że jesteś jego przyjacielem bez względu na całą resztę, a nie widział, żebyś to odwzajemniał. - Odwróciła wzrok. - Rozumiesz to choć trochę?

Była to pierwsza tak długa przemowa, jaką Tony usłyszał z ust Sue. Wydawało mu się, że dziewczyna sama sobie stara się wytłumaczyć zachowanie Sama.

- Może - odpowiedział. - Ale jak wyjaśnić dzisiejszy wieczór?

Sue westchnęła.

- To proste. Zawsze uważałem, że lubię cię bardziej, niż powinnam. Teraz, kiedy Alison odeszła, sądzi, że jestem ci bliższa niż on.

- To było takie miłe, gdy starałaś się postawić na moim miejscu, Sue. Bóg wie, że Sam tego nie próbował.

Umilkła.

- To cała ja. Dobra - odezwała się po chwili.

Nie potrafił określić tonu jej głosu. Nagle poczuł się samolubny: bez przerwy rozmawiali o Samie albo o nim, a tak mało o niej. Zrozumiał, że podobnie jak wszyscy uważał, iż ta promienna, wrażliwa dziewczyna to już cała Sue.

- Czy dlatego znosisz Sama, kiedy tyle pije? Znosisz go, bo jesteś zbyt „dobra”?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek był aż tak „dobry”: ani Sam, ani ty, a już na pewno nie ja. - Obróciła się i spojrzała na gwiazdy. - Jestem z Samem, ponieważ on zawsze czuje więcej, niż potrafi wyrazić. I ponieważ chcę, żeby inni mnie potrzebowali, a Samowi zawsze będę potrzebna.

- Ale czy tego właśnie pragniesz?

Odruchowo pogładziła włosy.

- Jeszcze nie wiem dokładnie. Czasami chcę tylko stać się częścią czyjegoś życia i móc wieść nasze wspólne, dobre życie... myślę, że mogę być szczęśliwa albo nieszczęśliwa w każdym miejscu. Kiedy indziej zastanawiam się, jak by to było, gdybym bardziej przypominała ciebie. - Spojrzała na niego. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak...

- Chodzi mi o to, że Sam zawsze mówi o małżeństwie, o Lake City, i to mi wystarcza. A potem kładę się do łóżka i w ogóle o nim nie myślę. Wyobrażam sobie wówczas miejsca, w których nigdy nie byłam i do których pewnie nigdy nie pojadę. - Potrząsnęła głową. - Właściwie nigdy nigdzie nie byłam.

- Ja też nie.

- Ale ty o tym myślisz, prawda? Zawsze o tym myślałeś.

- Tak.

Pochyliła głowę.

- Dokąd chciałbyś pojechać?

- Oprócz więzienia?

- Oprócz więzienia. - Jej głos złagodniał. - Będziesz wiódł takie życie, jakiego pragniesz, Tony. Nie wsadzają ludzi do więzienia za coś, czego ci nie zrobili.

Znowu go to wzruszyło.

- Więc wypijmy twojego szampana, a ja się nad tym zastanowię. - Ponownie się uśmiechnął. - W końcu to nasza maturalna noc.

Sue sięgnęła do koszyka i wyciągnęła butelkę szampana. Tony wyciągnął plastikowy korek, który odskoczył w mrok, strzelił cicho i zniknął, a potem nalał szampana do dwóch papierowych kubków.

- Do Włoch - powiedział.

Sue uśmiechnęła się, napiła, po czym zapytała:

- Dlaczego do Włoch?

- Z jednego powodu: mieszka tam Sophia Loren.

Sue miała wątpliwości.

- Pijemy za Sopię Loren?

Tony pokręcił przecząco głową.

- Ostatniego lata widziałem taki artykuł w „National Geographic”.

Tak naprawdę Tony o tym zapomniał, lecz teraz, kiedy opowiadał o tym Sue, zdjęcie znowu stanęło mu przed oczami.

- Jest tam taka wyspa, która nazywa się Capri, a na niej groty, łodzie rybackie i plaże. Woda jest

tak błękitna i tak krystaliczna, że wydaje ci się, iż widzisz przez nią swoją dłoń...

Sue udała, że się nad tym zastanawia.

- Brzmi nieźle - uznała. - Dokąd jeszcze?

- Cóż, do Wenecji. Wyobraź sobie, że jesteś w mieście zbudowanym całkowicie nad kanałami, w mieście z kościołami i wieżami i w ogóle bez samochodów. Wszystkie łodzie i kafejki są tam nad wodą. Tam pojedę na pewno.

Znowu pochyliła głowę.

- Widziałam to na zdjęciach. Ale chciałabym mieć więcej możliwości.

To sprawiło, że Tony się uśmiechnął. Zdjął górę smokingu i nalał jeszcze szampana.

- Jest jeszcze zawsze Toskania. To jeden z regionów, w którym uprawiają winorośl, tak napisali w artykule. Bardzo słoneczny, z mnóstwem wzgórz z willami i starymi zamkami. - Uśmiechnął się. - Jest tam również dużo kobiet z wielkimi piersiami, widać to na zdjęciach. Nasz stary „National Geographic” nigdy nie przegapi okazji...

Sue spojrzała na niego sceptycznie.

- Jesteś pewien, że nie mówimy już o Sophii Loren?

- Oczywiście, że nie. - Tony starał się udawać zranionego, ale po prawdzie zrozumiał, że zaczął sobie wyobrażać przyszłość, która od wielu miesięcy nie wybiegała poza Harvard i obawy przed telefonem od Saula Ravina. - Chodzi o wolność. I o wybory.

Sue znowu zamilkła.

- Więc może i ja mogę pojechać. Jeśli nie będę przeszkadzać.

- Jakoś wytłumaczę to Sophii. - Tony ponownie nalał szampana. - Czy zatem któreś z tych miejsc ci odpowiada?

Sue spojrzała mu w oczy. Tony wyczuł, że dziewczyna dostrzegła, jak wracają jego zmartwienia, i chciała, dla jego dobra, zatrzymać go we Włoszech.

- Capri - oświadczyła.

- Dlaczego?

- Bo lubię plażę i ciepłą wodę. - Zawahała się. - Jeśli nie masz nic przeciwko.

Tym razem Tony spojrzał na nią bardzo poważnie. Odpowiedział łagodnie:

- Capri bardzo mi odpowiada.

Przez jakiś czas nic nie mówili. Usiedli bliżej siebie w ciemnościach, każde zatopiło się w swoich myślach i nie miało ochoty na rozmowę. Nagle Tony uświadomił sobie - niespodziewanie i tak zwyczajnie - że nie czuł się już samotny.

Tak go to zaskoczyło, że potrafił tylko patrzeć na Sue.

Przez chwilę mógł to robić bez obaw. Wpatrywała się w papierowy kubek, który trzymała w dłoni, i zdawała się wędrować daleko myślami. Jednak czuła jego spojrzenie - zorientował się, kiedy znieruchomiła. Lecz Tony nie mógł oderwać od niej wzroku. Wydawało mu się, pomyślał nieoczekiwanie, że dopiero co ją odkrył.

Spojrzała mu w oczy pytającym wzrokiem. Tony czuł, że z początku te pytania skierowane były do niego, ale po chwili - gdy tak mu się przyglądała - zaczęła zadawać je sobie.

Odstawił papierowy kubek.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym włożyła swój kubek w jego.

Kiedy spojrzała na Tony'ego, przyciągnął ją ku sobie. Wciąż miała otwarte oczy.

Jej usta były miękkie i ciepłe. Tony nie chciał przerywać. Poczował, że Sue przysuwa się, żeby nie musiał przestawać. Gdy przykrył dłońmi jej piersi, nie cofnęła się. Po chwili odsunęła się delikatnie i znowu spojrzała mu w oczy.

- Nie jesteśmy we Włoszech, Tony.

- Wiem.

Uznał, że nie mógł jej zapytać. Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Kilka sekund wcześniej Tony nie wiedział, że jej pragnie, a teraz milczał i gorąco chciał mieć ją blisko siebie.

Minęła chwila.

Wciąż patrząc mu w oczy, Sue sięgnęła za siebie i rozpięła suwak sukienki. Jej nagie ramiona błysnęły w świetle księżyca.

- Tak - szepnął Tony. - Proszę.

Wstała z wdziękiem. Nie oderwała od niego wzroku, gdy jej sukienka opadła z szelestem na koc. Nie przestawała patrzeć na Tony'ego, gdy odpinała pończochy. Było tak, jakby po każdym kroku zadawała jemu i sobie to samo pytanie.

Tony wstał i w milczącej odpowiedzi zdjął koszulkę oraz spodnie. Spoglądając na niego, Sue rozpięła biustonosz.

Miała krągłe, pełne piersi. Stwierdził ze zdziwieniem, że dokładnie tak je sobie wyobrażał. Gdy zdjęła resztę, zaschło mu w gardle.

Sue Cash, jego przyjaciółka, była piękna.

Podeszli do siebie. Czuł ciepło jej piersi na swojej klatce. Położyła twarz na jego ramieniu.

Tulił ją mocno rozdarty między pragnieniem chronienia jej a pożądaniem. Wtedy odnalazła jego wargi. Ich drugi pocałunek był głęboki, długi i mocny. Poczował, jak dziewczyna drży z pożądania.

Powoli, muskając ustami jej piersi i brzuch, osunął się na kolana i instynktownie zrobił Sue to, czego jeszcze nigdy nie robił. Zdawało się, że jej ciche jęki dobiegały z daleka. Czuł, że jest gotowy, a jednocześnie - co było dla niego nowe - nie spieszyło mu się.

Nagle Sue uklękła i złączyła się z nim w pocałunku. Wiedzieli, co będą robić dalej, nie musieli nic mówić. Tony położył się na wznak, ona pochyliła nad nim twarz, a potem podniosła głowę i zaczęła poruszać biodrami, by go wprowadzić.

Dla Tony'ego ta noc była jej ciepłem i widokiem jej twarzy.

Była z nim, a jednocześnie nie była. Najpierw uśmiechała się do niego, potem jednak odrzuciła do tyłu głowę, na wpół przymknęła oczy i powstrzymywała okrzyki. Tony czuł, jak wzbiera w nim pożądanie. Z wysiłkiem starał się jeszcze poczekać. Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, Sue otworzyła oczy i wydała wreszcie długi, delikatny i bardzo cichy okrzyk.

Chwilę przed tym, jak wstrząsnął nim dreszcz, Tony zrozumiał, co przeżywała i że było to coś nowego dla nich obojga.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Nie ruszaj się - powiedział cicho.

- Wcale nie chcę.

Kiedy wreszcie się poruszyła, leżeli razem, dotykając się i nie mając ochoty na rozmowę.

Tony delikatnie przerwał milczenie.

- Dobrze nam było, prawda?

Sue spojrzała na niego.

- Tak. Było nam dobrze - odpowiedziała.

Tony przysunął do niej twarz i znowu ją pocałował.

Spojrzała na niego pełnym uwielbienia wzrokiem. A potem, ku jego zdziwieniu, przewróciła się na plecy i powiedziała do gwiazd z tłumioną pasją:

- Boże, Sue Cash, jesteś taką kłamczuchą...

Tony oparł się na łokciu i położył rękę na jej brzuchu.

- Dlaczego kłamczuchą?



Obróciła ku niemu głowę.

- Czy to nie jest oczywiste? Powiedziałam Samowi, że mi na tobie nie zależy, że jesteś dla mnie tylko przyjacielem. Nawet próbowałam i sobie to wmówić. A więc jestem tu, amerykański Czerwony Krzyż w akcji. - Uśmiechnęła się do niego smutno. - Jeśli to robią przyjaciele, Tony, to co zrobimy dalej?

Nawet kiedy się do niej uśmiechał, czuł, jak świat - który na te kilka chwil odepchnęli od siebie - zakłóca głęboką przyjemność, jaką z siebie czerpali.

- Nie wiem, Sue. Czy musimy to wiedzieć już teraz?

Leżąc na kocu, Sue kręciła głowę.

- Nie. Nawet tego nie chcę - odparła.

Po chwili Tony chwycił jej dłoń i wpatrzył się w gwiazdy. Czuł, że powstaje coś, co już zawsze będzie należeć do nich: ich była ta noc i wszystko, co się stało pod jej osłoną. Następne pytanie Sue, choć nieoczekiwane, tak naprawdę go nie zaskoczyło.

- Czy myślisz, że zostaniesz sportowcem roku? - Ton jej głosu był niemal beztroski. - Wciąż jest dla ciebie ważne, kto wygra?

Czuł, że to nie było beztroskie pytanie - przypominało o Samie i o Alison oraz o tym, że teraz, gdy byli tak blisko, nie mogą ich pomijać.

- To bez znaczenia, ponieważ nie wygram - odpowiedział.

Milczała.

- Myślę, że na to zasługujesz - powiedziała w końcu.

- Też tak myślałem. Ale doprowadziłem do przegranej ze Stratfordem po tym, jak Sam prawie już ten mecz wygrał. - Zaciśnął palce na jej dłoni. - W każdym razie nie dają sportowca roku za zamordowanie przewodniczącej najstarszej klasy. Moim zdaniem, to daje Samowi przewagę.

Sue odwróciła się ku niemu i zapytała:

- Czujesz się winny? To znaczy, z naszego powodu?

Tony w milczeniu zgłębiał swoje myśli.

- Chyba mam zamęt w głowie. Wieczorem, kiedy tańczyliśmy, umierałem z tęsknoty za Alison.

Patrzyła na niego.

- Może wciąż tak jest, Tony. Może cały czas tęsknisz za nią, a ja po prostu się tu znalazłam.

- Nie - odpowiedział automatycznie, a po chwili, gdy spojrzał na Sue, zrozumiał, że naprawdę tak

myśli. - Nic nie może sprawić, bym przestał za nią tęsknić. Ale to nie znaczy, że łączy nas tylko Alison. I chyba nigdy tak nie było.

Pomyślał, że zobaczył w jej oczach jakiś nowy znak: chciała w to uwierzyć, ale nie zdecydowała się zadać mu pytania, które w głębi serca uważała za niesprawiedliwe. Dotknął jej włosów.

- Sue, dziś było inaczej niż z Alison.

- Dlaczego?

Tony wziął oddech.

- W nocy, kiedy zginęła - powiedział - wstydziałem się, że jej pragnę. Jeszcze zanim ją tam znalazłem, uważałem, że popełniłszy grzech, coś, z czego trzeba się spowiadać. - Urwał, a po chwili dokończył cicho: - Może naprawdę się zmieniłem. Przy tobie nie czuję, że zgrzeszyłem. Chyba że wobec Sama.

Na chwilę dotknęła jego twarzy.

- Przynajmniej nie tylko ty musisz kłamać na ten temat.

Tony zastanowił się nad tym, co powiedziała.

- Chcesz mu powiedzieć? - zapytał.

Przysunęła się do Tony'ego i objęła go mocno.

- Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę myśleć o niczym oprócz tego.

Tony przytulił ją, muskał palcami jej włosy i plecy. Po jakimś czasie ciało Sue rozluźniło się, oddech uspokoił i dziewczyna znieruchomiała. Tony'emu wydawało się, że jej pragnienie ucieczki przed ich wspólnym aktem zdrady zamieniło się w sen. Naciągnął na siebie i Sue koc. Czułość potęgowana przez każdy jej oddech była sekretem, który łączył go tylko z nią.

Nie mógł zasnąć. Z początku myślał o Alison z wielkim smutkiem, lecz bez poczucia winy. A potem długo zastanawiał się, co się stanie z tą trójką, która pozostała: z nim, z Samem i z tą cudowną dziewczyną - jego przyjaciółką i nieoczekiwaną miłością przez jedną noc. Ale zaczynał się już brzask. Wraz z pierwszymi promieniami światła, które wymazywały gwiazdy i zabarwiały szarością mrok, Sue Cash poruszyła się w jego ramionach.

Kiedy się obudziła, miała świeżą, wolną od trosk twarz. Przez chwilę spoglądała na niego ze zdziwieniem, a potem, gdy sobie przypomniała, uśmiechnęła się.

- Jak długo spałam?

Pocałował ją.

- Długo.

- Za długo. - Gdy ponownie na niego spojrziała, na jej twarzy malował się smutek. Powiedziała cicho: - Musimy ruszać.

Tony milczał. Po chwili Sue zaczęła się ubierać.

- Nie. Jeszcze chwilkę - powiedział.

Stała naga dla niego i patrzyła mu w oczy. Później podeszła i objęła go, jakby całując na pożegnanie, po czym podniosła swoją suknię. Spoglądali na siebie, kiedy się ubierała.

Odwróciła się do niego plecami i poprosiła:

- Zapniesz mi suwak?

Zrobił to.

- Nie lubię tej części - stwierdził.

Miał to być żart, ale nie bardzo się udał. Sue nie patrzyła na niego, kiedy odpowiedziała:

- Wiem.

Pomogła mu zapiąć spinki. Gdy sprząтали resztki po pikniku, Tony poczuł się padlinożercą na końcu świata. Kiedy włożyli wszystko do bagażnika, stanęli obok siebie i patrzyli na nagą, splątaną trawę.

- Za godzinę nikt się niczego nie domyśli - powiedziała Sue.

Pojechali bez słowa do domu Sue. W pierwszych promieniach słońca wszystkie ulice miasteczka były jeszcze ciche. Tony stwierdził, że nie był na nogach o tak wczesnej porze, odkąd, otępiały i przybity, jechał do domu z komendy policji rankiem po śmierci Alison.

Poczuł dłoń Sue na swoim kolanie i przykrył ją ręką.

- Możemy porozmawiać? - zapytał. - Za kilka dni, kiedy to się już trochę uleży?

Spojrziała na niego.

- Chcę tego, Tony.

Poczuł, jak opanowuje ich spokój. Przez resztę drogi milczeli. Kiedy skręcił na podjazd domu Sue, jej dłoń spoczywała w jego.

Sam siedział na schodach.

Tony wyczuł, jak dziewczyna tężeje. Nie odzywali się. Dopiero gdy zaparkował, Sue cofnęła rękę.

W milczącej zgodzie wysiedli z samochodu, by stawić czoło temu, co ich czeka.

Sam wciąż miał na sobie spodnie od smokingu i pomiętą koszulę. Był blady, jego włosy były

zmierzwił. Sue miała kluczyki od jego samochodu. Tony odgadł, że Sam przeszedł milę dzielącą jego dom od domu dziewczyny. Jego oczy były podkrążone, widać było sińce.

Gdy Tony i Sue zatrzymali się kilka stóp od Sama, ten patrzył to na jedno, to na drugie. Wstał i podszedł do Tony'ego.

W chłopaku obudziła się czujność. Ich spojrzenia się spotkały, a wtedy Sam oparł dłoń na ramieniu Tony'ego i powoli potrząsnął głową.

- Przepraszam, stary. Naprawdę, bardzo, bardzo przepraszam. Ze względu na nas wszystkich.

Zaskoczyło to Tony'ego. Po chwili odparł:

- Ja też przepraszam.

- To nie twoja wina. - Sam urwał i usiłował się uśmiechnąć. - Dzięki za opiekę nad Sue.

Tony rozumiał, że było to podziękowanie i pożegnanie. Obrócił się z wahaniem do przyjaciółki. Czas, jaki spędził, patrząc w jej wilgotne teraz oczy, wydawał się dłuższy, niż był w rzeczywistości.

- Cześć, Sue - powiedział miękko i poczuł, że Sam odwraca się, by na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się do Tony'ego, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Dziękuję, Tony. Za wszystko.

Chłopak podszedł do samochodu. Uruchomił silnik, starając się nie oglądać na parę przyjaciół. Kiedy wreszcie spojrział w tylne lusterko, Sam opierał czoło o ciemność Sue i w milczeniu prosił o przebaczenie.

## SIEDEMNAŚCIE

Dwa dni po tym, jak kochał się z Sue, Tony po raz ostatni siedział w szkolnej sali gimnastycznej i przyglądał się trenerom wręczającym nagrody sportowe.

Zaczął tu trenować w pierwszej klasie i został quarterbackiem. Co roku jesienią, zimą i wiosną zaliczał trzy zgromadzenia, które wyznaczały bieg jego szkolnego życia przez cały pobyt w liceum w Lake City. Każde oznaczało kolejny sezon starań, kolejnych kolegów i nowe wspomnienia, a wreszcie i symbol: ułożoną z kłoców literę L. Miał już w szufladzie jedenaście liter. To zgromadzenie, dwunaste, było kulminacją, o której marzył jeszcze w pierwszej klasie, kiedy wiedział już, że albo on, albo Sam Robb zostanie sportowcem roku.

Sam siedział z Sue po drugiej stronie sali. Tony widział, że dziewczyna milczała. Spotkają się dziś po południu; być może podobnie jak Tony nie miała pojęcia, co się wtedy zdarzy. Wiedział tylko, że pragnął - tak mocno, że aż sam się zdziwił - by Sue Cash była teraz z nim.

Siedzący obok niego Ernie Nixon zapytał szeptem:

- Zakładasz się o swoje szanse?

Tony nie oderwał wzroku od Sue.

- Są nikłe - odpowiedział dopiero po chwili. - Właściwie żadne.

Poniżej trwała ceremonia wręczania nagród. Tony otrzymał już literę za baseball. Głos trenera, który wręczał litery drużynie biegaczy, brzmiał dla niego w tle. Niepokojny, widział, jak Sam obserwuje zmniejszający się zapas liter; on też najwyraźniej błędził myślami gdzie indziej. Tony czekał, aż Sue spojrzy na niego. Wtedy właśnie przechyliła głowę, a w kąciku ust zarysował się nieco pytający uśmiech. Chłopakowi wydawało się, że między nimi było tak potężne napięcie, iż Sam siłą rzeczy musiał je poczuć, lecz wtedy Sue odwróciła wzrok.

Wręczanie ostatnich kilku liter ciągnęło się tak wolno jak menuet. Kątem oka dostrzegł, że Sam wpatruje się w podium mówcy. Nigdy nie widział, by jego przyjaciel siedział równie nieruchomo.

W końcu trener biegaczy usiadł, a na podium wszedł dyrektor Marks.

Tradycyjnie już przywilejem dyrektora - ponieważ George Marks lubił tę dramaturgię - było wręczanie nagrody sportowca roku. Trenerzy futbolu, koszykówki, baseballu i biegów, którzy siedzieli za nim na składanych krzeselkach, dokonali już swoich wyborów. Tony usiłował wyczytać coś z twarzy trenera Jacksona, ale była ponura jak zawsze, co niczego nie zdradzało. Nagroda należała do Sama, powtarzał to sobie raz po raz.

Na parkiecie George Marks przyglądał się z podziwem brązowej figurce greckiego maratończyka. Tony czuł, że część uczniów patrzy na niego, a część na Sama.

- Tę najwyższą nagrodę - zaczął dyrektor - otrzymuje ten uczeń najstarszej klasy, którego talent, determinacja i ciężka praca najlepiej uosabia ducha liceum w Lake City...

W poprzednich latach Tony uśmiechał się, słysząc to perorowanie. „Myślałby kto, że to Medal Honoru”, żartował kiedyś z Samem. „Wciąż myślę, że powie «sprawdzony na obcej ziemi»”.

- Tegoroczny zwycięzca - mówił dalej Marks - bardziej niż większość poprzedników godzien jest naśladowania. Prawdą jest, że był gwiazdą w trzech dyscyplinach: w futbolu, koszykówce i baseballu. Przede wszystkim jednak wykazał się cechami, których wszyscy potrzebujemy w życiu: siłą charakteru, zdolnościami przywódczymi, zimną krwią w chwilach próby, siłą pozwalającą mierzyć się z przeciwnościami losu oraz umiejętnością skupiania się, niezależnie od tego, co może go rozpraszać, na stojącym przed nim zadaniu...

Pierwszy raz, wbrew wszystkiemu, Tony poczuł niespodziewanie dreszcz nadziei.

- Co więcej, ten młody człowiek poniósł tragiczną stratę. Było to coś, co człowieka mniejszego formatu mogłoby odciągnąć od celu, a nawet zniszczyć... - kontynuował Marks.

Tony zamarł. Ludzie obracali się, by na niego patrzeć, a siedzący po drugiej stronie Sam wyglądał na zdruzgotanego.

- Tak więc - George Marks zmierzał do wniosku - zdobywcą wspaniałej nagrody sportowca roku jest, jak kiedyś jego świętej pamięci brat, Joe, Sam R o b b.

Tony zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, Sam siedział bez ruchu. Potem wstał nagle, jakby wystrzelił z siedzenia, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, a po chwili niemal zachwyt. Sue odwróciła się od niego i spojrzała na Tony'ego. Ale wtedy Sam wziął ją w objęcia. Przez moment wydawała się zaskoczona, potem jednak odwzajemniła uścisk.

Sam wyrwał się i pobiegł na parkiet, przeskakując po dwie ławki naraz. Kiedy podchodził do George'a Marksa, jego twarz promieniała pełną zdumienia, niewinną radością. Tony pomyślał, że Sam wygląda jak człowiek spełniony.

Gdyby to zdarzyło się innego dnia, Tony cieszyłby się jego szczęściem, ponieważ Sam domagał się szczodrości. Z drugiej strony jednak, kiedy indziej mógłby się zadumać nad tym, jak chwila potrafi się wryć na zawsze w pamięć, choć iluzją było, jak to udowodnią mijające lata, że może ona zmienić całe życie. Tymczasem Tony czuł - co budziło jego zdumienie, a nawet wstyd - zazdrość. Miał tylko nadzieję, że uczucia Sama Robba potrwać dłużej niż jego.

- Przykro mi - wymruczał Ernie Nixon.

- Nic nie szkodzi. I tak się tego nie spodziewałem.

Sue, pomyślał, zrozumiałaby to. Ale ona uśmiechała się teraz do Sama, wiedząc, ile to dla niego

znaczyło.

Tym razem w postawie Sama nie było triumfalizmu i ostentacji. Odebrał trofeum z rąk dyrektora i przyglądał się mu, kręcąc z niedowierzaniem głową. Być może, pomyślał Tony, owo zwycięstwo wydobyło z Sama to, co w nim najlepsze: w tym momencie miał w sobie jakieś piękno, a nawet pokorę.

Sam zwrócił się w stronę trybun. Przez chwilę Tony nie zdawał sobie sprawy, że zmierza ku niemu z nagrodą w ręku.

Siedział i patrzył z niemałym zafascynowaniem, jak tamten zatrzymał się dwa stopnie przed nim. Gdy widzowie się rozstąpili, rzucił mu trofeum spod ramienia.

- Dobry chwyt - stwierdził Sam.

Tony podniósł wzrok znad nagrody. Sam przeskoczył ostatnie dwa stopnie, podniósł go i wziął w ramiona.

Z początku rozległo się niewiele oklasków. Po chwili jednak sala zahuczała od braw, jakby Sam ogłosił przebaczenie dla Tony'ego Lorda. Tony czuł w mocnym uścisku emocje przyjaciela.

Kiedy ten odsunął się, by spojrzeć na Tony'ego, w jego oczach lśniły łzy. Rzekł chrapliwym głosem, przebijając się przez zgiełk:

- Wygrałbyś...

- Nie. To tobie cały czas należała się ta nagroda.

Sam powoli potrząsnął głową.

- Jeśli nie jesteśmy już przyjaciółmi, to wolę już się jej pozbyć - powiedział cicho.

Tony usiłował się uśmiechnąć.

- W takim razie jesteśmy przyjaciółmi - rzekł i wręczył trofeum Samowi. - Gratuluję.

Ich chwila się skończyła.

Sam z wdzięcznością chwycił go za ramię. Potem odwrócił się i odszedł na drugą stronę, do Sue. Ludzie wiwatowali, a Tony został sam na sam z poczuciem, że ich role nagle się odwróciły, z cierpkim smakiem błogosławieństwa Sama i z nieoczekiwaną, gorzką świadomością, iż - powodując się swoją dumą - uznał, że jego prawem jest stać zawsze na czele i że Sam, którego on prowadzi, ma mu zazdrościć.

Kiedy znowu podniósł wzrok, Sam trzymał w ramionach Sue.

Tony czekał w miejscu, w którym się kochali. Zobaczył Sue wśród klonów. Kilka kroków przed

nim zatrzymała się, a potem podbiegła, żeby go pocałować.

- Tęskniłem za tobą.

- Ja też - powiedziała i wzięła jego dłonie w swoje. - Przykro mi, Tony.

Spojrzał na nią, usiłując odgadnąć, o czym mówi. Odparł delikatnym głosem:

- A jednak to było dla mnie ważne. Lecz Sam potrzebował czegoś, co mógłby wygrać.

Przechyliła głowę i obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Czy ja jestem czymś do wygrania?

- Naprawdę tak myślisz? - W głosie Tony'ego było wiele uczucia. - Dwie noce temu byliśmy dokładnie w tym miejscu. Jeśli nie mogę myśleć o tobie z nim, to właśnie dlatego.

Nagle w jej brązowych oczach zalśniły łzy.

- Tony, tu chodzi o coś więcej niż o to, z kim śpię. Chodzi bardziej o to, że w ogóle nie mogę spać...

Tony przytulił ją mocno. Opierając się na jego ramieniu, Sue szepnęła:

- Postaraj się zrozumieć, co się ze mną dzieje.

- Opowiedz mi o tym, dobrze?

- Chyba się w tobie zakochałam. - Odsunęła się i dotknęła jego twarzy. - Zawsze byliśmy przyjaciółmi, Tony. Porozmawiaj ze mną jak ze swoją przyjaciółką Sue, która zakochała się w chłopaku, a teraz nie jest pewna, czy powinna go kochać, i nie wie, co ma robić.

Tony uklęknął na trawie i pociągnął ją za sobą.

- Dzisiaj, na sali gimnastycznej, chciałem, żebyś była ze mną.

Sue zamknęła oczy.

- Wiem... odgadłam to. Ale to nie jest odpowiedź. - Spojrzała na niego, oparłszy dłonie na jego ramionach. - Sam również mnie potrzebuje i to bardziej, niż ty kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował. Rozumiesz tę część?

Tony miał ściśnięte gardło.

- Chyba tak. Ale to jeszcze nie wszystko.

Sue spuściła wzrok.

- Mówisz to tak swobodnie. Wiesz z pewnością, jak by go to zraniło, tym bardziej że to ty...



Prawdziwość tego stwierdzenia sprawiła, że Tony umilkł na chwilę.

- Ale co będzie z tobą?

- Ze mną? - Sue powoli potrząsnęła głową. - Wydaje mi się, że spadam, zupełnie jak we śnie... Nie wiem, gdzie jestem ani jak skończy się sen.

- Ja nie jestem snem, Sue.

- Wiem. - Jeszcze raz przytuliła się do niego. - Ale może my jesteśmy snem.

Tony trzymał ją w objęciach i całował w czubek głowy. Sue mruczała.

- Kiedy zaczęłam cię kochać? Wciąż zadaję sobie to pytanie. Jak mogłam cię pragnąć, kiedy jest przecież Sam, a my zawsze byliśmy przyjaciółmi? Co ty o mnie pomyślisz?

- Że go nie kochasz.

Sue obróciła ku niemu twarz.

- Nie mogę tego powiedzieć, Tony. A chciałabym. - Znowu urwała, jakby szukała słów. - Wiem tylko, że to, co czuję do ciebie, jest tak bardzo inne, że mogłoby przewrócić moje życie do góry nogami...

- Boże, Sue, nigdy bym cię nie skrzywdził...

- Nigdy byś tego nie chciał, Tony. - Odchyliła się do tyłu, jak gdyby chciała lepiej go widzieć. Zapytała łagodnie: - Czy gdyby Alison żyła, kochałbyś się ze mną? Czy mógłbyś zrobić jej to, co ja zrobiłam Samowi?

Tony stwierdził, że nie potrafi odpowiedzieć na te pytania.

- Czy to aż tak ważne?

Łzy zaszklily się w jej oczach.

- To nie było w porządku, Tony. Ja już wiedziałam, że nie będziesz umiał odpowiedzieć.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Tony'ego zakłuło serce.

- Sue, ważne jest to, co teraz czujemy...

- Nie. - Wyglądało to tak, jakby zwracała się stanowczo do siebie. - Nie czujemy tego co przedtem. Nie jesteśmy tacy jak przedtem.

Rozłożył dłonie w błagalnym geście.

- Dlaczego nie? Powiedz mi dlaczego?

- Och, Tony. - Przez chwilę Sue nie mogła nic powiedzieć, a potem potrząsnęła głową. - Czy ty w

ogóle tego nie rozumiesz?

Raz jeszcze przyciągnął ją do siebie i chwycił jej rękę powyżej nadgarstków. Spojrzała na niego zdecydowanie, jak gdyby miała powiedzieć to, co trzeba było powiedzieć.

- Gdybyś mnie poprosił, to myślę, że w głębi duszy postanowiłabym pójść za tobą... odrzucić wszystko, co znałam, całe poczucie bezpieczeństwa. Niezależnie od tego, co czuję do Sama i jak bym z nim postąpiła, oddałabym się tobie tak, jak nigdy nawet nie przypuszczałam. Tak, jak czułam się dwie noce temu. - Urwała, nie mogąc skończyć, i poczekała, aż głos znowu się jej uspokoi. - Dlatego chcę, żebyś był moim przyjacielem. Bo wiem, że ty tak nie czujesz.

Tony westchnął.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem to, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi - odpowiedziała łagodnie. - A ja wiem, że mój przyjaciel Tony, na którym tak bardzo mi zależy, wciąż kocha Alison Taylor. Kocha ją, gdyż była dla niego odpowiednią osobą.

Tony patrzył na Sue bez mrugnięcia okiem.

- Po części wciąż kochasz Sama. To nie powstrzymuje mnie, by cię pragnąć.

Sue uśmiechnęła się nieznacznie, ale uśmiech nie rozpromienił jej oczu.

- Gdyby chodziło tylko o Sama i o Alison... - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Ale tak nie jest.

- O kogo jeszcze w takim razie chodzi?

- O ciebie. I o mnie. - Mówiła bardzo wyraźnie i smutno. - Alison była pewna siebie, miała klasę i była taka mądra. A ja jestem tylko...

- Tylko? Nie wiesz, co to dla mnie znaczy?

Sue pokręciła głową.

- Wiem, ile dla ciebie znaczę teraz, kiedy dopiero co straciłeś dziewczynę, którą kochałeś, kiedy pół miasta zwróciło się przeciw tobie i kiedy z całych sił skupiasz się na tym, by zakończyć ten rok. I już ci się to prawie udało. - Gdy urwała i ponownie spojrzała na Tony'ego, miała w oczach miłość i szczerłość. - Nie jesteś taki jak ja... Zawsze pragnąłeś stąd wyjechać, a teraz pragniesz tego bardziej niż kiedykolwiek. Jesienią będziesz na Harvardzie, poznasz tam więcej takich dziewcząt jak Alison. Jak mogę cię prosić, byś nie pokochał którejś z nich? Czy możesz mnie prosić, bym uwierzyła, że tak się nie stanie?

Tony poczuł ucisk w żołądku i przyciągnął Sue. W milczeniu gładził jej włosy i całował twarz. Nie opierała się i nie odpowiadała na to.

- Proszę, Tony, bądź moim przyjacielem - mruzczała.

Gdy trzymał ją w objęciach, jej ciałem wstrząsało ciche łkanie.

- Sue, ja po prostu nie mogę cię stracić...

Przytuliła się do niego z całych sił.

- I ja nie chcę cię stracić, Tony. Serce by mi pękło.

Tony miał wilgotne oczy. Odpowiedział żałośnie:

- Nie wiem, co ci powiedzieć.

Przycisnęła się do niego jeszcze bardziej.

- A więc już to powiedziałaś, Tony. Już to powiedziałaś. Tul mnie jeszcze przez chwilę.

Tak też zrobił. Płakali nad sobą w milczeniu.

Kiedy Sue przestała płakać, wzięła jego twarz w dłonie.

- Będziemy pisać, dobrze? Chcę wiedzieć wszystko o Harvardzie, gdy tylko się tam znajdziesz.

Tony odpędził od siebie niedowierzanie.

- No pewnie, że będę pisać...

- Po jakimś czasie będziesz mógł nawet pisać mi o dziewczynach, które tam poznasz. -

Uśmiechnęła się lekko. - Ostatniej nocy założyłam się ze sobą. Założyłam się, że kiedy skończysz Harvard, ożenisz się ze spadkobierczynią jakiejś fortuny albo z gwiazdą filmową.

Nie potrafił się uśmiechnąć.

- Jak mogę się ożenić z kimś po tym, co łączy mnie z tobą? -odparł cicho.

Jej twarz nachmurzyła się.

- To właśnie pytanie sobie zadaję... Ale myślę, że się ożenisz. Kiedy już zostawisz za sobą Lake City, będziesz miał tyle dobrego do zrobienia. Takie rzeczy, o których jeszcze nie wiesz, że ich pragniesz.

Patrząc w oczy Sue, Tony nie mógł sobie wyobrazić życia bez niej. Musiał zebrać całą siłę woli, by zapytać:

- W takim razie co ty zrobisz?

Uśmiechnęła się do niego zamyślona i smutna. Nie widział tego u niej do chwili, kiedy się kochali.

- Myślałam, że wiem. Ale teraz już nie wiem. Chyba jestem bardziej podobna do ciebie, niż sądziłam.

Nagle Tony poczuł, że serce podeszło mu do gardła.

- Nie chcę tego, Sue. Nie przyszedłem tu po to, żeby...

W jej oczach znowu stanęły łzy.

- Ale ja wiedziałam, że to zrobisz. Bo jesteś moim przyjacielem.

Delikatnie przywarła ustami do jego ust. Pocałowała go długo, mocno, namiętnie.

- Kocham cię - powiedziała.

A potem wstała, odwróciła się raptownie i pobiegła przez pole.

Tony nie poszedł na uroczystość wręczania świadectw ani na bal absolwentów. Nic nie był sobie winien, a widok Sue z Samem mógłby być zbyt trudny do zniesienia dla nich obojga. Jutro wyjedzie na całe lato.

Przez trzy miesiące na statku przewożącym przez Jezioro Górne rudę żelaza wydobywaną w paśmie Mesabi Tony zarobi wystarczająco dużo, by zwrócić ojcu pieniądze, które wydał na honorarium prawnika. Miał szczęście, że trafiła mu się ta praca: jego wuj Joe dostał ją przez związek zawodowy hutników, a kiedy zaproponował mu to przed kilkoma tygodniami, Tony myślał o pieniądzach, przede wszystkim zaś o opuszczeniu Lake City - i o niczym więcej. Teraz to, co czuł do Sue, zmieniło to zarówno w mękę, jak i w wybawienie.

Nie mógł spać. Przypomniawszy sobie, że dziś odbywają się prezydenckie wybory wstępne w Kalifornii. Kennedy rywalizował z McCarthym, a zwycięzca miał się zmierzyć z Humphreym w walce o nominację Partii Demokratycznej i o szansę pokonania jesienią Richarda Nixona. O pierwszej w nocy niespokojny Tony zszedł do sutereny i włączył telewizor.

Kiedy pojawił się Robert Kennedy, uśmiechając się do tłumu zwolenników, Tony wiedział już, że zwyciężył.

Słuchał go przez chwilę. Nie bardzo interesował się polityką i nie wiedział, czy lubi Bobby'ego Kennedy'ego. Pamiętał tylko, że Kennedy jest katolikiem i że, w przeciwieństwie do swojego starszego brata, zawsze sprawiał na nim wrażenie faceta z reklamy, któremu przemawianie do publiczności przychodziło z trudnością. Ale teraz Kennedy żartował sobie z tłumem.

- Chcę podziękować mojemu szwagrowi, Steve'owi Smithowi, który był bezwzględny, ale skuteczny...

Śmiech.

- Chcę wyrazić wdzięczność mojemu psu, Frecklesowi...

Nastąpiło jeszcze kilka podziękowań, a potem Kennedy mówił już poważnie:

- Chcę także podziękować moim przyjaciołom w społeczności murzyńskiej, którzy podjęli ogromny wysiłek w tej kampanii...

Tony znowu pomyślał o Ernie Nixonie. Być może powód, dla którego lubił Roberta Kennedy'ego, krył się gdzieś w ostatnich siedmiu miesiącach - czasie jego walki i oglądaniu poprzez jej perspektywę rzeczy, które odkrywał w innych. Na statku będzie miał mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć i zastanowić się nad tym, kim mógłby zostać Tony Lord.

- A więc dziękuję wam wszystkim - kończył Robert Kennedy. - Teraz czas ruszać do Chicago i tam zwyciężyć.

Tony patrzył obojętnie, jak na ekranie pojawił się obraz kontrolny. Zanim zasnął, leżał na kanapie w suterenie i myślał o Alison i o Sue.

Obudził go głos spikera wiadomości telewizyjnych:

- Senator Robert Kennedy jest z stanie krytycznym po otrzymaniu postrzału w głowę...

Tony spoglądał na telewizor i nic nie rozumiał. Stopniowo z ostrożnych komentarzy dziennikarza zaczęło do niego docierać, że Kennedy umrze. Ból w sercu wprowadził zamęt w jego myślach. Z jakiegoś powodu czuł, że przez to coś się kończy - dla innych i być może również dla niego. Żałował, że nie ma z nim Sue.

Nie mógł się zmusić, by wyłączyć telewizor. Odrętwiały poszedł na górę i zaczął się pakować.

## OSIEMNAŚCIE

Przez dwa i pół miesiąca Tony pracował jako wachtowy na pokładzie *Roberta Millanda*. Monotonię nie kończących się rejsów z Mesabi do Steelton - cztery godziny w jedną stronę, osiem w drugą i tak non stop - przerywała tylko zła pogoda i kilka godzin w tygodniu spędzonych w jakimś nadbrzeżnym barze.

*Robert Milland* był solidną, stalową, stoosiemdziesięciometrową jednostką. Zbudowano go na przełomie wieków, żeby wytrwał dopóty, dopóki nie wybuchnie kocioł albo nie zatonię podczas sztormu. Tony mieszkał w czteroosobowej kajucie mieszczącej dwa łóżka piętrowe wciśnięte w maleńką przestrzeń. Dzielił ją z chłopakiem z college'u, Indianinem Mackinaw, którego wyrzucono dyscyplinarnie z marynarki wojennej za obrazę oficera, oraz z wysuszonym byłym alkoholikiem, który od dwudziestu lat żył na Wielkich Jeziorach. Kapitan, złowrogi Węgier o wybuchowym temperamencie, przesiadywał zwykle po trzy dni z rzędu w kajucie i pił. Mijały tygodnie, a życie Tony'ego stopniowo ograniczało się do unikania kapitana, skrobania i malowania stalowego kadłuba, przesypywania łopatą rudy żelaza w ładowni, kiedy się przesuwała, oraz do czytania każdej książki w miękkiej oprawie i kolorowej gazety, jaką udało mu się znaleźć. W jednym z czasopism znalazł artykuł na temat San Francisco. Patrząc na zdjęcia tego miasta na wzgórzach, egzotycznego i trochę śródziemnomorskiego, Tony zastanawiał się, jak wygląda życie w takim miejscu. Na pustkowiu Wielkich Jezior, gdy jego życie było w zawieszeniu, wydawało mu się ono tak samo nierealne jak cokolwiek innego. Czuł się jak zbieg.

Nigdy nie opuszczała go obawa, że po kolejnym kursie będzie na niego czekał nakaz. Kiedy myślał o Alison, nie wyobrażał jej sobie jako żywej dziewczyny. Wciąż zastanawiał się, kto mógł ją zabić. Po ukończeniu szkoły nienawiści Tony'ego do mordercy nie łagodziło już żadne poczucie celu, a jej towarzyszka - myśl o Samie i Sue - też nie przynosiła ulgi. Listy od dziewczyny niewiele mu mówiły.

W środku sierpnia, o godzinę drogi od Steelton, w *Roberta Millanda* uderzył gwałtowny sztorm. Niebo było czarne, deszcz zacinał z boków. Statek podskakiwał i kołysał się na boki, fale całkowicie go przykrywały, aż w końcu stalowy kadłub wygiął się i zaczął trzeszczeć w szalejącym żywiole. Tony pracował na pokładzie, przywiązany doń - podobnie jak jeszcze pięć osób - linką, starając się wzmocnić luki, by jednostka nie nabrała więcej wody. Gdy fale rzucały nimi wściekle, mógł jedynie chwycić kurczowo stalową linkę. Usłyszał, jak obok niego wymiotuje chłopak z college'u.

Nigdy wcześniej nie bał się o swoje życie. W deszczu, sztormie i groźnym jak dzień stworzenia wyjąłym wietrze zaczął jednak tracić nadzieję. Lecz wtedy właśnie sztorm ucichł nagle i zapadła absolutna cisza, tym bardziej niesamowita, jeśli wziąć pod uwagę to, co ją poprzedzało.

Kiedy zobaczyli Steelton, minęła właśnie jedenasta rano i wachta Tony'ego się skończyła.

Poszedł do kajuty, zdjął żółty płaszcz i rzucił się wyczerpany na koję. Mógł się zdobyć jedynie na tępe pogodzenie z tym, co właśnie przeszedł. Wydawało mu się, że stracił zdolność czucia. Potem

jednak przyszedł trzeci oficer i powiedział mu, że jakiś Saul Ravin czeka na niego na nabrzeżu, a Tony wiedział już, że nie stracił zdolności odczuwania strachu.

Obskurne nabrzeże - stalowe przystanie, ogromne żurawie, kryte blachą falistą magazyny - przypominało dziwną flautę po minionym sztormie, pełne wyładowań niebo, połysk wody na stali. Otepiał Tony poszedł do baru Na Nabrzeżu i znalazł tam przy stoliku Saula Ravina. Przed adwokatem stały dwie szklaneczki whisky, a między nimi leżało policyjne zdjęcie jakiegoś Murzyna.

- Oto i on - oświadczył bez wstępu Saul. - Twoje wyzwolenie. Donald White, już martwy.

Tony usiadł. Uśmiechając się nieznacznie, Saul rzekł:

- Jak się miewasz, Tony?

Tony nie sięgnął po szklaneczkę.

- Kim jest ten facet?

- To ten, którego podejrzewają o zamordowanie Alison. Może to zrobił.

Chłopak przyjrzał się zdjęciu. Donald White miał krótko przystrzyżone włosy, pociągłą twarz i bardzo nieobecne spojrzenie, które mogło wyrażać strach, nienawiść albo obojętność. Tony stwierdził, że nie ma w nim teraz żadnych uczuć.

- Kim on jest, Saul?

- Był skazany za gwałt. Znalazłem go przez Johnny'ego Morellego. Siedem lat w więzieniu w Ohio, zwolniony w maju sześćdziesiątego siódmego. - Saul podniósł wzrok znad zdjęcia. - Jest też podejrzany o popełnienie dwóch gwałtów jesienią ubiegłego roku: czwartego października w Columbus i dwudziestego pierwszego października w Akron. Do obu doszło w parku i nocą.

- Są świadkowie?

- Tylko ofiary, dwie nastolatki, które opisały napastnika jako Murzyna. Ale my wiemy, że on tam był, gdyż w dniach, kiedy popełniono gwałty, telefonował z każdego z tych miejsc na koszt abonenta do siostry w Detroit. - Saul wziął oddech. - Czwartego listopada, dzień po zamordowaniu Alison, zadzwonił do siostry z budki przed twoim ulubionym barem w Lake City. Rozmawiałem z nią. Pamięta, iż White wspominał, że ma jakieś bliżej nieokreślone kłopoty i że wraca do domu. Zasugerowałem Morellemu, że to coś więcej niż zbieg okoliczności.

Patrząc na zdjęcie, Tony poczuł ulgę, a potem mdłości, kiedy wyobraził sobie, jak ten facet dusi Alison.

Saul mówił dalej cichym głosem:

- Okazuje się, że policja ma zeznanie jakiejś kobiety, która była tego dnia około północy z dwojgiem swoich dzieci w parku Taylorów. Z daleka, powiedziała, widziała Murzyna mniej więcej

wzrostu tego tutaj, który kręcił się w zaroślach niedaleko posiadłości Taylorów. Mógł nim być Donald White.

Tony nie potrafił oderwać wzroku od zdjęcia. Patrzyły na niego zamarłe, puste i bezduszne oczy Donalda White'a.

- Czy powiedzieli, co jej zrobił?

Saul położył rękę na jego ramieniu.

- Alison została zgwałcona, Tony. To wszystko, co mi powiedzieli... poza tym, że podobnie jak w twoim przypadku, grupa krwi Donalda White'a zgadza się z tą, którą mają w swoich materiałach dowodowych. Jego też nie mogą wykluczyć. - Prawnik patrzył na niego spokojnym i smutnym wzrokiem. - Gdybym wiedział wszystko o tym, co jej zrobił, powiedziałbym ci. Ale nie wiem.

Po chwili Tony podniósł wzrok.

- Jak umarł?

- Zginął podczas próby napadu z bronią w ręku na sklep w Toledo, wiesz, na jeden z tych z produktami w puszkach i ze zbiornikiem benzyny przed wejściem. Właściciel odstrzelił mu głowę ze strzelby. Nędzny koniec złego życia. Ale jeśli on zabił Alison, to dla ciebie niepomysłne.

Tony usiadł prosto. W barze unosił się zapach smażonego jedzenia i zwiędzonego piwa - było to ponure nabrzeże w Steelton, w którym coś opierało się temu, by tutaj właśnie, tak daleko od świata Alison Taylor, dowiadywać się prawdy o jej śmierci.

- A czy twoim zdaniem on ją zabił? - zapytał Tony.

Saul wzruszył ramionami.

- Może. To niewykluczone. Nie można na tej podstawie wszcząć procesu, ale facet nie żyje, więc jeśli zechcą, mogą go obciążyć i nie kłopotać się o proces. Odpowiada i c h potrzebom, tak samo jak naszym.

Tony przyglądał się mu.

- A jednak się zastanawiasz.

- Zastanawianie się nie należy do mnie. - Saul dopił szklaneczkę i poprosił gestem o następną. - Gdyby należało, pewnie zapytałbym, dlaczego White zabił Alison, kiedy jedyną chyba pewną rzeczą, którą wiemy na jego temat, jest to, że starał się nie skrzywdzić żadnej innej swojej ofiary. - Skrzywił się. - Oczywiście poza zgwałceniem ich. Ale to chyba zastrzeżenie, nad którym nie warto się zastanawiać, zwłaszcza że White nigdy nie użył żadnej broni, by zmusić ofiarę do posłuszeństwa, i wygląda na to, że ten facet również tego nie potrzebował. Poza tym wątpię, by gliniarze z Lake City zbytnio się nad tym rozwodzili.

- A co zrobią? Przepraszają?



Saul uśmiechnął się nieznacznie.

- Niezupełnie. Ale namówiłem Johnny'ego Morellego, by przygotował na dzisiejsze popołudnie oświadczenie dla prasy, w którym wyjawi, że być może Alison Taylor została zamordowana przez Donalda White'a. - Zrobił poważną minę. - To dla nich koniec zabawy, Tony. Zwłaszcza że ich oskarżenia pod twoim adresem też wyglądały marnie i chyba już wiedzą, że nigdy nie będą wyglądać lepiej. Gliny także poczują ulgę. No bo kogo, według ciebie, ludzie w mieście woleliby widzieć jako zabójcę Alison: Tony'ego Lorda, pierwszorocznika z Harvardu i byłego bohatera miejscowego liceum, czy też Donalda White'a, wielokrotnego gwałciciela i Murzyna?

Tony wiedział, że Saul ma rację.

- Donalda White'a - odpowiedział z wolna.

Adwokat skinął głową.

- Dla niektórych fakt, że to Murzyn, będzie jeszcze lepiej pasował. Wielu innych odetchnie, że to jednak obcy i na dodatek martwy obcy, a nie chłopak, który żył pośród nich. To będzie znaczyło, że Lake City jest takim miejscem, za jakie je uważali, i że znowu są bezpieczni.

Tony wiedział, że powinien czuć ulgę. Lecz czuł przede wszystkim gorycz.

- Jest już trochę za późno, Saul. Może nie dla nich, ale na pewno dla mnie. Co jest wspaniałego w tym, że przebaczą mi coś, czego nie zrobiłem dziewczynie, na której zależało mi bardziej, niż któremuś z tych dupków kiedykolwiek przyjdzie do głowy? Bardziej niż każdemu z nich z wyjątkiem jej rodziców?

Saul przyglądał się swojej szklaneczce ze ściągniętymi brwiami.

- Tak, sądzę, że powinienem wspomnieć o Taylorach. Oni nie chcą się z tym pogodzić, zwłaszcza ojciec.

Tony przerwał mu w złości i zapytał cicho:

- Dlaczego?

- Dlatego, że John Taylor wciąż wierzy w to, co, jak mu się wydaje, zobaczył tamtej nocy. Może zawsze tak będzie. - Prawnik podniósł wzrok na Tony'ego. - Moim zdaniem, powinieneś dać sobie z nimi spokój. Niech sami się z tym uporają.

Tony potrząsnął głową.

- Więc na czym stoję, Saul?

Ravin założył ręce na piersi.

- To zależy, jak na to spojrzysz - odparł po chwili. - W pewnym sensie wszedłeś do prawnego czyścica... Nigdy nie zostaniesz oskarżony i wątpię, byś kiedykolwiek został oczyszczony. Dla niektórych ludzi zawsze już będziesz chłopakiem, który być może wywinął się od kary za

morderstwo. - Głos Saula zmiękł. - Ale jesteś wolny, Tony. Odzyskałeś swoje życie. Cholernie dobrze sobie na to zasłużyłeś.

Przez chwilę Tony nie wiedział, co myśleć ani czuć.

- Nie wiem, jakie to ma dla ciebie znaczenie - dodał delikatnie Saul - jednak nigdy nie miałem klienta, którego bym bardziej szanował. Cokolwiek zrobisz teraz ze swoim życiem, będzie to coś dobrego.

Tony patrzył na niego - ironicznego mężczyznę o poznaczonej zmarszczkami twarzy, który uratował jego przyszłość, gdy nikt inny tego nie potrafił. Nagle w jego oczach zabłyśły łzy. Saul Ravin nie był winny temu, że niektórych spraw nie można wyjaśnić do końca.

- Myślisz, że nadaję się na prawnika, Saul?

Patrząc mu w twarz, Saul wyjął z jego ręki zdjęcie Donalda White'a i włożył w nią szklaneczkę. Powiedział cicho:

- Postawię ci drinka, Tony. Możemy to obgadać.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

Tony zastał Sama Robba na hamaku za domem, gdy ten słuchał transmisji meczu z tranzystorowego radia. Sam podniósł na niego wzrok, trzymając ręce za głowę, i przez chwilę nic nie mówił.

- A więc jutro jedziesz na Harvard.

- Tak. Pomyślałem, że przyjdę się pożegnać.

Sam usiadł i spojrzał Tony'emu w oczy.

- Brzmi to strasznie ostatecznie.

Tony wzruszył ramionami.

- Moi starzy przenoszą się do Chicago. Tata poprosił firmę o przeniesienie. Żeby już tu nie mieszkać.

Sam patrzył na trawę, schowawszy ręce do kieszeni. Westchnął cicho.

- Zawiodłem cię - powiedział po chwili milczenia. - Nigdy nie potrafiłem powiedzieć jasno, co czuję. Zamiast tego wszystko spieprzyłem i straciłem najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

Tony pokręcił przecząco głową.

- To nie twoja wina, Sam. Zawiniło wszystko oprócz ciebie.

Tamten spojrzał mu w oczy.

- Ale oczyścili cię, stary. Jest już po wszystkim.

- Nie dla mnie.

Sam obrócił się w stronę podwórka, zamilkł i pogrążył w myślach. Tony powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Patrzyli na jabłonki, które niegdyś - w dniu, kiedy zostali przyjaciółmi - służyły im za słupki.

- Pamiętasz, jak wtedy graliśmy? - zapytał Sam.

- Jasne.

- Zawsze będę to pamiętał. I wszystko inne. - Sam znowu spojrzął na niego ze zdziwieniem, jakby zastanawiał się, jak ten czas i to uczucie mogło przecieć mu między palcami. - Kiedyś myślałem, że będziemy przyjaciółmi na całe życie, Tony. Że może nawet będziemy patrzeć, jak nasze dzieci grają razem w futbol.

Przez chwilę Tony nie odpowiadał.

- Nie tutaj. Nigdy - odparł.

W tle spiker z południowym akcentem podawał wyniki. Sam zaczął mu się przysłuchiwać.

- Znasz tego Nolana Ryana? - zapytał. - Tego nowego miotacza Metsów? Mówią, że jest naprawdę szybki.

Tony wiedział, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Czuł, że Sam przeciąga rozmowę, nie mogąc zaakceptować tego, co się już zmieniło. Ale najsmutniejsze dla Tony'ego było to, że nie mógł teraz odczuwać tego co Sam.

Zobaczył, że chłopak miał łzy w oczach.

Jego przyjaciel wzruszył ramionami, komentując swoją słabość. Zrobił krok naprzód, jakby chciał go objąć. Wtedy zatrzymał się i wyciągnął rękę.

- Powodzenia. Zawsze będę o tobie myślał - powiedział cicho.

Ściskając dłoń przyjaciela, Tony czuł upływ czasu w swoim słodkim, tragicznym i pogmatwanym życiu, którego częścią Sam Robb pozostanie już na zawsze.

- Ja też - oznajmił równie cicho i odszedł, nie dodając już ani słowa. Dopiero później przyszło mu do głowy, że żaden z nich nie wspomniał o Sue.

- Czy on wie? - spytał Tony.

Siedzieli na skraju pomostu w Lake City. Słońce chowało się za horyzontem. Od zachodu ostatnie gasnące światło rzucało cień na jezioro, którego woda wydawała się szarobłękitna.

- Nie - odparła Sue. - Przynajmniej nie z tego, co mu mówiłam. - Urwała i nie patrzyła na niego. - Czasem myślę, że chyba wyczuwa coś z mojego zachowania. Ale mówi już o ślubie.

Tony stwierdził, że i jemu trudno jest spojrzeć na Sue.

- A ty?

- Nie wiem. Muszę przemyśleć wiele rzeczy.

Milcząc, Tony dotknął jej ręki.

- Zdaję sobie sprawę, że musisz wyjechać - powiedziała po chwili ciszy. - Ale ja po prostu nie potrafię sobie tego wyobrazić. Tamtej nocy byłeś dla mnie tak bardzo prawdziwy, a teraz będziesz jak tamten mój sen.

Z początku nie wiedział, co odpowiedzieć. Delikatnie obrócił ku sobie jej twarz.

- Dla mnie zawsze będziesz prawdziwa, Sue. Jeśli będziesz mnie kiedyś potrzebować, przyjadę.

W milczeniu wtuliła twarz w jego pierś.

- Wiem - powiedziała cicho. - Wiem.

Kiedy wysadził Sue przed jej domem i odjechał, widział ją w tylnym lusterku - cień na podjeździe, który patrzył, jak on się oddala. Nagle zrozumiał, że to było jego prawdziwe pożegnanie z Lake City.

Harvard pochłonął Tony'ego. Skupił się na nawiązywaniu nowych znajomości, odwiedził kolegę z pokoju w Święto Dziękczynienia. Na Boże Narodzenie jego rodzice już się przeprowadzili i nigdy nie wrócił do Lake City. Kiedy zadzwonił Sam, a potem Sue, nie wiedział, co powiedzieć.

Koszmar, wciąż przerażająco niezmienny, nigdy go jednak nie opuścił.

Ostatni rok szkoły wywarł kolosalny wpływ na to, kim stał się Tony Lord. W późniejszych latach niewiele o tym mówił, w końcu jednak opowiedział o wszystkim Stacey Tarrant, piosenkarce i aktorce, swojej drugiej żonie, na kilka miesięcy przed ślubem.

**CZĘŚĆ DRUGA**

**MARCIE CALDER**

**Terazniejszość**

## JEDEN

Dwa dni przed swoimi siedemnastymi urodzinami Marcie Calder popełniła samobójstwo, zginęła, spadłszy ze skarpy, albo też została zamordowana.

W ciągu pół godziny od lądowania w Steelton Anthony Lord przebiegł w myślach wszystko, co wiedział na ten temat, i stwierdził, że to niewiele. Na gazetowych zdjęciach Marcie miała ciemną karnację, była drobna i ładna. Była najstarszą z trzech córek w rodzinie, dobrą, czwórkową uczennicą liceum w Lake City i praktykującą katoliczką ze starej parafii Tony'ego - kościoła Świętego Rafała. W „Steelton Press” napisano, że była nieśmiała. Jej najlepsza przyjaciółka, Janice D'Abruzzi, z którą gazeta przeprowadziła wywiad po pogrzebie, powiedziała, że nie umawiała się z nikim szczególnie. Doniesienia prasowe na temat smutnego wrzenia, jakie potem nastąpiło - szansa, by jej koledzy i koleżanki ze szkoły zrozumieli, co się stało - mniej mówiły Tony'emu o Marcie niż o gorączkowej zarazie nastoletniego smutku oraz o ponurym zdecydowaniu miasteczka, by wziąć się za bary z niewytłumaczalnym. Od zabójstwa Alison Taylor, stwierdził dyrektor Burton, w Lake City nie wydarzyła się podobna tragedia. To, co Tony Lord zapamiętał na temat Marcie, było zaskakująco smutne: że była najszybszą sprinterką i że biegła zawsze w tak radosnym uniesieniu, iż obserwowanie jej było prawdziwą przyjemnością.

Cztery dni przed śmiercią, na swoich ostatnich zawodach, Marcie wypadła słabo. Już po fakcie jej koleżanki z drużyny przypomniły sobie, że była apatyczna i obojętna. Policja znalazła ją rankiem na plaży poniżej parku Taylorów z zaschniętą strużką krwi na głowie i na policzku. Na podstawie oględzin ciała stwierdzono, że musiała umrzeć w nocy. Nikt nie wiedział, w jaki sposób.

Istniało na ten temat kilka teorii. Krawędź klifu dzieliło od plaży prawie trzydzieści metrów. Z błota na jeansach Marcie oraz znaków na samej falezie można było wnosić, że dziewczyna spadła. Jednak na kamieniu, który leżał na plaży, znaleziono krew i włosy Marcie. Mężczyzna, który tamtej nocy zabrał ją do parku - ostatnia osoba, która przyznaje, że widziała dziewczynę żywą - nie mógł nic na ten temat powiedzieć. Był to trener jej drużyny sprinterek, Sam Robb, wicedyrektor liceum w Lake City.

Tony jeszcze chwilę przyglądał się wydrukowanemu w gazecie zdjęciu Marcie Calder i umieszczonej tuż obok fotografii Alison. Stwierdził, że nigdy nie mógł patrzeć na jej zdjęcie bez tego samego porwywu żalu i poczucia straty i to tak świeżego, jakby to było wczoraj.

Tony pomyślał, że rozpoznałby ją nawet na plaży na Capri.

Jako pierwszy wysiadł z samolotu. Zdawało się, że nie była gotowa na przyjęcie go. Po chwili przywołała na twarz niepewny uśmiech, wspomnienie dawnych dołeczków na policzkach. Kiedy postawił walizkę i otworzył ramiona, pobiegła mu na spotkanie.

Przez chwilę po prostu trzymał ją w objęciach, blisko i mocno. Znowu czuł ze zdziwieniem i zachwytem Sue Cash w swoich ramionach: jej świeży, wyraźny zapach, dziwne poczucie znajomości jej ciała.

- Och, Tony. To naprawdę ty - szepnęła.

- Tak. Postanowiłem nikogo nie wysyłać.

Odsunęła się i popatrzyła na niego. W jej spojrzeniu mieszały się smutek, wzruszenie na jego widok oraz poczucie ulgi, że się tu znalazł. Nawet mimo zmarszczek jej skóra była gładka i świeża, ożywione, ciemne oczy wcale się nie zmieniły, a czarne loki, choć krótsze, były takie same jak dawniej. Może tylko zeszczuplała.

Tony zrobił krok do tyłu, przyglądając się jej uważnie. Kolejną niespodzianką było jego zaciśnięte gardło.

- To pewnie nie jest najwłaściwsze, ale muszę powiedzieć, że wyglądasz dla mnie tak jak ty.

Znowu usiłowała się uśmiechnąć.

- Takie słowa nigdy nie są niewłaściwe. To tylko trochę clairoulu i mnóstwo czasu spędzonego na sali gimnastycznej. Kilka lat temu mogłam się obejrzeć za siebie, zobaczyć swój tyłek i zastanawiać się, kto za mną idzie. - Nagle w jej oczach zabłyśły łzy. - Dziwię się, że w ogóle jakoś wyglądam...

Tony znowu przyciągnął ją ku sobie. Kiedy podniosła ku niemu twarz, nie widać już było łez, lecz głos wciąż jeszcze jej drżał.

- Ty też dobrze wyglądasz, Tony. Lepiej, niż myślisz.

Z początku nie rozmawiali o Marcie Calder.

Sue jechała ich fordem taurusem z lotniska w stronę Lake City. Przejeżdżali przez osiedla mieszkaniowe i centra handlowe, na których miejscu Tony - przyglądając się im teraz przez zmrużone z powodu słońca oczy - widział zawsze zielone pola. O to, czego najbardziej chciał się dowiedzieć: jak się jej wiodło, jak układało się jej życie z Samem, nie pytał. Jednak wydobywanie kolejnych zwyczajnych faktów zdawało się odpowiadać im obojgu. Dzieci Sama i Sue, Sam junior i Jennifer, skończyły już college'e. Młody Sam, który nigdy nie został takim sportowcem, jakiego pragnął jego ojciec, studiował ekonomię na Kansas University, natomiast Jenny uczyła w przedszkolu na Florydzie. Sue obroniła pracę z bibliotekoznawstwa i pracowała na pół etatu w bibliotece publicznej w Lake City, pomagając w dziale dziecięcym. Mówiła niemal normalnym głosem. Można było odnieść wrażenie, że jeśli będzie nadal mówić, nikt nie dowie się o jej ponizeniu. Nie wspomniała o Samie.

- Jak tam miasteczko? Wciąż bez zmian? - zapytał Tony.

- Buduje się dużo nowych domów. Ale zmieniło się wiele z tego, czego nie widać: mamy narkotyki w liceum, protestanci nie nienawidzą już katolików i chyba co drugie małżeństwo jest albo rozwiedzione, albo oboje pracują zawodowo. Dzieci nie muszą już jeździć na parkingi: mogą się teraz kochać po szkole w zaciszu domów rodzinnych... - Urwała nagle, a Tony bez trudu odgadł jej



myśli. Dodała cicho: - Wciąż jest bardzo małe, Tony. W takich momentach jak ten, czujesz, jak bardzo jest małe.

Na chwilę terażniejszość odpłynęła i Tony raz jeszcze znalazł się w zatłoczonej sali gimnastycznej swojego liceum.

*Mor-der-ca, mor-der-ca...*

- A Taylorowie? Żyją jeszcze? - zapytał.

- Tak. - Sue patrzyła nieruchomym wzrokiem na szosę. - Nie wiem, jakimi ich zapamiętałeś. Ale dla mnie to zgorzkniali starsi ludzie, którzy ciągną do końca swojego wyroku. - Umilkła na chwilę. - Jakieś cztery czy pięć lat temu Katherine Taylor powiedziała mojej matce, że od śmierci Alison nie było ani jednego dnia, by o tym nie pamiętali. To właśnie przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o rodzicach Marcie Calder.

Tony poczuł, że jego serce wyrywa się do tej kobiety. Po chwili milczenia zapytał:

- Jak on się ma, Sue?

Zdawało mu się, że zacisnęła palce na kierownicy.

- Boi się. Ty wiesz, jakie to uczucie - odpowiedziała.

Coś kazało Tony'emu oprzeć się temu porównaniu.

- Ja wiem tylko, jakie to uczucie było dla mnie.

Milczała chwilę.

- Może zostać oskarżony o morderstwo - stwierdziła obojętnym tonem. - Albo, jeśli mu się poszczęści, będziemy się musieli martwić końcem jego kariery nauczyciela. Chyba że będzie umiał wytłumaczyć radzie szkoły, co robił w parku Taylorów w nocy z dziewczyną ze swojej drużyny.

Tony zastanawiał się, co Sam jej powiedział.

- Jeśli skorzysta z mojej porady prawniczej, nie powie nic radzie dopóty, dopóki nie dowiemy się, co prokurator hrabstwa zamierza zrobić w sprawie tej śmierci - stwierdził.

Sue nie odpowiedziała. Droga się zwęziła. Na skraju pola Tony zobaczył pierwszy znajomy kształt: białą wieżę zboru pod wezwaniem Świętego Barnaby, w którym odbyło się nabożeństwo pogrzebowe Alison. Potem minęli biały drewniany znak, taki jakim Tony go zapamiętał: *Witamy w Lake City, siedzibie Lakers. Mieszkańców: 15537.*

Przebycie następnych kilku mil było dziwnym doświadczeniem. Upłynęło tak wiele czasu, że Tony'emu zdawało się przez chwilę, iż wjeżdża do krainy, którą zna tylko ze zdjęć. Najpierw zawładnęła nim nostalgia, a następnie cierpienie - uczucia, których doświadczał przed i po śmierci Alison - po nich zaś zabobonne przekonanie, że nie powinien wracać. Powiedział cicho:

- Nigdy nie myślałem, że tutaj wrócę.

- Wiem.

Skręcili w wąską dróżkę, minęli szkołę podstawową i kilka drewnianych domów, a wtedy Tony zobaczył coś, czego przedtem tu nie było: wielką bramę z kutego żelaza prowadzącą do ranczerskich domów z cegły. Wykonawca pozostawił tylko tyle klonów, ile trzeba było, żeby uzasadnić żelazny napis na bramie głoszący: „Posiadłość Klonowy Park”.

Wbrew sobie Tony odwrócił się. Wyczuł, że Sue mu się przygląda.

- Pamiętasz? - zapytała.

Poczuł przypływ bólu i słodczy, zdziwiła go siła wspomnień oraz bliskość młodości.

- Czy pamiętam? - odpowiedział cicho. - To była najcudowniejsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu.

Sue uśmiechnęła się nieznacznie.

- Gdybym to wiedziała, Tony, zmusiłabym cię, żebyś to zrobił dwa razy.

Kiedy jechali dalej w milczeniu, wróciło poczucie niepokoju, że ta chwila już się skończyła. Bardziej niż pobyt w Lake City odpowiadały za to myśli o Samie Robbie - kimkolwiek teraz był.

Gdy dojeżdżali do placu w centrum, Tony zobaczył komendę policji.

- Chcę cię prosić o przysługę - odezwał się po jakimś czasie. - Chyba jako adwokat. Nim zobaczę się z Samem.

- O co chodzi?

Obrócił się ku niej.

- Zawieź mnie do parku Taylorów.

Gdy skręcili do parku, Tony usiłował patrzeć na niego z dystansem, jak na miejsce zbrodni. Jednak przez chwilę nie mógł się poruszyć.

Sue zapytała cicho:

- Co chcesz zobaczyć?

- Myślałem o miejscu, w którym ta dziewczyna spadła z krawędzi klifu.

W pobliżu klifu wbito w ziemię metalowe słupki i powiązano je żółtą taśmą, by zaznaczyć miejsce, z którego prawdopodobnie runęła w dół Marcie Calder. Ale Tony nie podszedł tam. Wysiadając z

samochodu, zobaczył kępę drzew, w której zaparkował kiedyś swojego forda z Alison Taylor.

- Czy mogę? - spytał Sue.

- Oczywiście. - Umilkła. - Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Jeśli masz ochotę.

Ruszył w stronę drzew, a Sue posuwała się kilka kroków za nim. Milczeli.

Park zalewało słońce, a znad jeziora Erie wiał świeży wiatr. Jednak w zaciszu drzew, gdzie kochał się z Alison, słońca docierało niewiele, ziemia była tu ciemna i omszała. Uderzyło go, że w parku prawie nikogo nie było.

Tony stał tam przez chwilę, szukając w sobie zawodowych instynktów.

- Kto tutaj bywa? - zapytał.

Sue stanęła za nim.

- Dzieci, rodziny. Sami też tu kiedyś przyjeżdżaliśmy.

- A nocą?

- Też dzieci, zatrzymują się tu samochodami. - Urwała. Tony czuł, że wyobraża sobie męża siedzącego tu w samochodzie z nastolatką młodszą od ich córki. Słabym głosem dodała: - Przez jakiś czas, po śmierci Alison, dzieciaki z liceum szukały sobie innych miejsc. Potem ludzie zapomnieli.

- Ktoś jeszcze?

- Z gazety wiem, że bywają tu również dzieciaki, które sprzedają narkotyki, czasem kilku bezdomnych. - Znowu mówiła beznamiętnym tonem. - Sam zawsze zabraniał Jenny tu przychodzić.

Byłoby niewłaściwie, pomyślał Tony, unikać jej spojrzenia. Gdy popatrzył na nią, Sue po prostu wzruszyła ramionami. Wzrok miała nieobecny, prawie bez życia; w jakimś sensie wydawała się mniejsza niż przedtem. Nie pytał o Sama.

Wyszli z zagajnika.

Tak jak dwadzieścia osiem lat wcześniej, spiesząc się z Alison w ostatniej godzinie jej życia, Tony przemierzał porośnięty trawą park. Kiedy wyszedł spośród drzew wyznaczających granicę własności Taylorów, zatrzymał się pod wpływem emocji. Serce biło mu mocno.

Stwierdził, że dom Taylorów wymagał odmalowania, poza tym drewniane gonty wypaczyły się i popękały, a gotyckie wieżyczki wyglądały obskurnie. Powiódł wzrokiem od werandy na tyłach domu do podwórka. Nie przypomniał sobie po prostu jej twarzy oświetlonej latarką; ten koszmar nawiedzał go od prawie trzydziestu lat, a Tony budził się w chwili, gdy w promieniu latarki ukazywała się twarz dziewczyny.

Stojąca za nim Sue powiedziała:

- Prawie nie widać, żeby wychodzili z domu.

Tony zmusił się, by ponownie spojrzeć na budynek.

- Nie jest to co prawda dom Usherów, ale kiedyś wyglądał jednak inaczej niż teraz.

Zarośla, w których Ernie Nixon pokazywał mu kryjówki, jeszcze bardziej wybujały. Nie kłopotał się zaglądaniem do nich.

- Ktoś był tu tej nocy, Sue. Ktoś mógł też być cztery noce temu. - Obrócił się ku niej. - Marcie Calder wysiadła z samochodu, tak mówi Sam, prawda?

Twarz Sue skamieniała.

- Tak.

Po chwili Tony skinął głową.

- Lepiej będzie, jeśli się rozejrzę.

Tony stwierdził, że miejsce zbrodni dzieli się na dwie części. Pierwsza, jakieś cztery metry kwadratowe, to trawnik ciągnący się na skraj skarpy. Erozja sprawiła, że klif był tu bardzo stromy. Poniżej - dwadzieścia metrów skał i gliny poprzetykanych gdzieniegdzie krzakami - znajdował się fragment plaży także otoczony palikami i żółtą taśmą. U podstawy klifu, tym razem białą taśmą, wykreślono kształt ciała Marcie Calder, co przypominało dziecięcy rysunek.

- W ciemnościach mogła łatwo spaść - powiedział Tony.

- Czy nie słyszałyby jeziora? - zapytała Sue i odwróciła się.

Słuchając głośnego szumu fal, Tony zastanawiał się, czy Sue wierzyła, że jej mąż - człowiek, którego Tony już nie znał - był zdolny zabić. Podszedł do niej z rękami założonymi na piersi i wzrokiem wpatrzonym w ziemię.

- Czy policja z tobą rozmawiała? - zapytał.

Sue nie podniosła na niego wzroku.

- Usiłowała. Tuż przed tym, jak do ciebie zadzwoniłam. Kiedy przeszukali dom i skonfiskowali mój samochód. Ten, którym wtedy jechał.

Tony wsunął ręce do kieszeni spodni.

- On chciał, żebym tu przyjechał, Sue? Czy tylko ty?

- Z początku to był mój pomysł. - Spojrzała na niego. - Sam jest bardzo dumny, Tony. Powiedział, że zawiódł cię, gdy straciłeś Alison, więc stwierdził, że nie może prosić cię teraz o pomoc. Jednak po

jakimś czasie zrozumiał, jak bardzo cię potrzebuje. - Urwała na chwilę. - Oboje widzieliśmy cię w telewizji, jak broniłeś faceta, który zastrzelił senatora Kilcannona. Sam nie mógł uwierzyć, że jesteś tak dobry. Ja mogłam.

Tony przyglądał się jej. Zaszła w niej zmiana; w jakimś momencie, gdy czas i być może rozczarowanie zrobiły swoje, z jej twarzy trudno było coś odczytać.

- Jaki on jest, Sue?

- Jaki był przedtem? - Patrząc na Tony'ego, uśmiechnęła się smutno. - Nie był podobny do ciebie, Tony. Sam zbyt szybko osiągnął swoje cele.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, myślę, że rozumiesz. Został w Lake City, ożenił się ze mną. Wyglądało to tak, jakby chciał zachować siedemnastoletniego Sama, którym wtedy był. Ale to było niemożliwe. - Uśmiech bardzo łatwo przekształcił się w grymas. - Sam jest wicedyrektorem, nie dyrektorem. Potrzebuje kogoś, kto będzie mu pomagał dokonywać właściwych ocen. Wie o tym i wścieka się na to. Uważa, że został małym Samem w małym mieście: starym, dobrym Samem, dowcipnisiem i już do końca życia wicedyrektorem. Stąd ten straszny niepokój.

- A ty?

- Ja jestem inna. Mamy dwoje dobrych dzieci, kilkoro przyjaciół, których lubimy, a to, co robię, wydaje mi się ważne. Jeśli Sam był szczęśliwy, to i ja potrafiłam być szczęśliwa. - Potrząsnęła głową. - To takie dziwne. Pamiętam, że widziałam cię ze Stacey, chyba na jakimś wręczaniu nagród, i uśmiechałam się do siebie, bo jednak ożeniłeś się z gwiazdą filmową, a ona była wspaniała. Ale dopiero kiedy mój mąż odwrócił się do mnie i powiedział: „Zobacz, z kim jest teraz Tony”, pomyślałam, tylko przez chwilę, że chciałabym być na jej miejscu. Bo zobaczyłam, że Sam ci zazdrości i że jest niezadowolony ze swojego życia.

- Ale co ja mam z tym wspólnego?

- Z punktu widzenia Sama? Myślę, że czasem bardzo dużo. - Sue urwała; zdawała się myśleć na głos: - Może to brzmi zabawnie, bo przecież byłeś tak daleko stąd i to od tak dawna. Ale gdybyś został tutaj jako trener koszykówki czy ktoś taki, Sam chyba byłby mniej rozczarowany sobą.

Był pewien, że Sue doskonale wiedziała, iż to wszystko i tak byłoby daremne. Odpowiedział łagodnym głosem:

- On nigdy nie stałby się taki jak ja, Sue. Po Alison jedynym pytaniem było, kim ja będę.

Sue przekrzywiła głowę.

- Jesteś szczęśliwy, będąc tym, kim jesteś?

- Przeważnie tak. Są jeszcze we mnie takie myśli i uczucia, jestem pewny, że z powodu śmierci Alison, które chciałbym wyrwać z korzeniami. Bywa, iż łapię się na tym, że oczekuję drugiego nieszczęścia do pary. Że myślę, iż coś złego stanie się Stacey czy Christopherowi, a nawet mnie

samemu. - Zamilkł na chwilę. - Ale jeszcze nic się nie stało. Poza tym jednak na ogół jestem szczęśliwszy, niż to sobie wyobrażałem.

Sue milczała. Po chwili, jak robią to przyjaciele, dotknęła jego twarzy, zadowolona, że życie jej przyjaciela układało się tak, jak tego chciał. Wówczas Tony uświadomił sobie, że przebywanie z Sue, wbrew wszystkiemu, wciąż było łatwe i kojące. I że nawet teraz rozumiała pewne sprawy lepiej niż dwoje ludzi, których kochał najbardziej. Chciał, dla nich obojga, raz jeszcze wziąć ją w ramiona.

Pomyślał, że być może Sue też tego pragnęła. Ale przybył tu jako adwokat i powinien się zachowywać stosownie do swojej profesji.

- Mam nadzieję, że będę mógł ci pomóc - powiedział. - I Samowi.

- Już pomogłeś - odpowiedziała miękko głosem. Gdy cofała rękę, przesunęła palcami po jego policzku. - Chodźmy już, Tony. Sam czeka. Przez ostatnie cztery dni nie miał nic innego do roboty.

## DWA

Sam siedział na kanapie w suterenie. Popatrzył na nich.

Spojrzał szybko na Sue i odwrócił wzrok, co Tony uznał ze zdziwieniem za oznakę instynktownego wstydu. Ale smutny uśmiech, którym obdarzył Tony'ego, przywodził na myśl faceta przyłapanego na oszukiwaniu w golfa. Adwokat uznał, że Sam być może wciąż stara się zrozumieć, co mu się przytrafiło. Wydawał się równie nie przygotowany na powitanie Tony'ego, jak Tony na niego: pierwszą myślą prawnika - koszmarną, lecz nieuniknioną - było, czy Sam wygląda na mordercę.

- Cześć, Sam.

Jego dawny przyjaciel podniósł się niezgrabnie i dwaj mężczyźni objęli się.

- Tony Lord. Słodki Jezu Chryste - mruknął Sam.

- Och, aż tak dobry nie jestem - odpowiedział Tony bez namysłu.

Sam zaśmiał się krótko i chrapliwie, bo nieoczekiwanie. Odsunął się i chwycił przyjaciela za ramiona. Tony stwierdził, że miał spuchniętą twarz, a jego blond włosy przyprószyła siwizna. Jednak w oczach rozbłysło nagle coś jasnego, jakby spod maski patrzył na niego siedemnastoletni Sam.

- Sue uważa, że jesteś tak dobry - odparł, a potem dodał ciszej: - Naprawdę cię potrzebuję.

Kobieta odwróciła się od męża.

- Będę na górze - rzekła do Tony'ego. - Jeśli chcesz kanapkę albo coś...

- Dzięki, kochanie - odpowiedział Sam.

Mrugnęła. Tony pomyślał, że kiedy była w jednym pokoju z Samem, coś go w niej zaskakiwało. Poszła na górę, nie zwracając uwagi na męża.

Sam westchnął i przeczesał dłonią włosy. Ponad spodniami od dresu Tony zauważył niewielki, ale wyraźnie wystający brzuch; brodę miał zwiotczałą, twarz poznaczoną zmarszczkami. Wyglądał niechlujnie, choć nie był nieatrakcyjny. Przypominał pełnego niegdyś werwy aktora, który dziesięć lat po szczycie kariery nie tyle postarzał się, ile roztrwonił swoje atuty. Przez chwilę Tony wyobrażał go sobie z nastolatką i poczuł instynktowny przypływ odrazy.

Czuł jednak wciąż smutek, miał poczucie nie spełnionej obietnicy. Wokoło panował półmrok, było ciasno. Przez niewielkie okno tuż nad ziemią wpadała strużka dziennego światła. Na gzymsie kominka oklejonego imitującą cegłę tapetą Tony zobaczył dwa złote trofea z lokalnego klubu. Stała

tam fotografia Sama i szczupłego, ciemnowłosego chłopaka, który był bardziej podobny do Sue. Następne trofeum rozpoznał od razu. „Sam Robb, sportowiec roku 1968”, informowały mosiężne litery. Nagle Tony poczuł, że ma klaustrofobię.

Zorientował się, że Sam mu się przygląda.

- Przekonywałem Sue, że nigdy nie wrócisz. Ale ona chyba zawsze lepiej cię znała - powiedział łagodnym głosem.

- Masz kłopoty, Sam.

- Ty t e ż je kiedyś miałeś. - Sam patrzył na niego nieruchomym, świdrującym wzrokiem. - Wciąż nie zostawiłeś tego za sobą, prawda?

- Obawiam się, że nigdy się tak nie stanie.

Nagle Sam opuścił wzrok i rzekł cicho:

- Nie zabiłem jej, Tony Właśnie dlatego poszedłem do glin.

Tony'ego zaskoczyło to, jak bardzo chciał mu uwierzyć. Równie spokojnie zapytał:

- Co ci się stało, Sam?

Mężczyzna odwrócił się w stronę okna. Przez chwilę milczał.

- Dobrze nam było, Sue i mnie. Może nie wspaniale, ale dobrze. Byliśmy dobrymi partnerami. Robiliśmy, co należało: chodziliśmy na ich zajęcia, oszczędzaliśmy pieniądze, wysłaliśmy je do college'u. Były najważniejsze w naszym życiu. Potem odeszły, a ja zostałem i nigdzie się nie wybierałem... - Urwał i spojrzał Tony'emu w oczy. - Dlatego właśnie nie chciałem, żebyś tu przyjechał. Nie chciałem, żebyś to zobaczył.

To oświadczenie, jego bezwzględna szczerłość, zaskoczyło Tony'ego. Zaskoczyło go to, że Sam to zrozumiał i mógł mu to tak szybko wyjaśnić. Powiedział niemal łagodnym tonem:

- Opowiedz mi o Marcie Calder.

Sam spojrzał na sufit i Tony poczuł nagle niemal namacalną obecność Sue, delikatną równowagę między mężem a żoną.

- Chodźmy się przejść - mruknął Sam.

Dom, który należał niegdyś do rodziców Sama, stał o kilka kwartałów od liceum. Przez większą część spaceru milczeli. Przypominając sobie każdą ulicę, drewniane domy oraz bungalowy z cegły należące do dzieciaków, które kiedyś znał, Tony poczuł, że coś łączy go z czasem, kiedy jeszcze żyła Alison, kiedy to miejsce i jego niezmiennność podnosiły na duchu i stanowiły jedyny świat, jaki znał. Zatrzymał się przed białym domem, w którym niegdyś mieszkała Mary Jane Kulas.



- Wiesz, co się z nią stało? - zapytał Sam. - Jest pielęgniarką. I babcią.

- Jezu.

- To jeszcze nic. Waży chyba ze sto czterdzieści kilogramów...

To dziwne, pomyślał Tony. Gdy słuchał przyjaciela, czuł się jak duch. „Przysięgam, widziałam Tony’ego Lorda”, wyobrażał sobie czyjąś opowieść. „Tego wielkiego jak nie wiem co dzieciaka, który zabił Alison Taylor. Kręcił się z Samem Robbem. Pewnie porównują wrażenia...”

Sam zamilkł.

- Pewnie wydaje ci się to dziwne, co? - spytał w końcu.

- Tak...

Stali naprzeciw siebie na chodniku. Sam rzekł cicho:

- Nie wychodziłem z domu od poniedziałku. Nie mogłem nikomu spojrzeć w twarz. - Urwał, miał łzy w oczach. - Wtedy zrozumiałem, Tony, jak bardzo byłem ci winien przeprosiny te wiele lat temu.

Siedzieli na drewnianych trybunach, patrząc na puste boisko futbolowe. W pobliżu nie było nikogo.

- A co z trenerem Jacksonem? - chciał wiedzieć Tony.

- Och, no wiesz, umarł. Podciął sobie żyły jakieś pięć lat po twoim wyjeździe. - Sam oparł podbródek na dłoniach i patrzył przed siebie. - Wiedziałeś na pewno, że pieprzył moją matkę. Wszyscy wiedzieli.

Tony uznał, że milczenie wystarczy za odpowiedź.

- Ale przynajmniej nie była licealistką - dodał po dłuższej chwili.

Ta jawna pogarda dla siebie rozdrażniła Tony’ego. Być może oczekiwał, że Sam będzie smutny, okaże żal, że nie żyje dziewczyna, którą znał. Ale widział to nie pierwszy raz: zaaferowanie sobą ludzi oskarżonych o morderstwo było tak absolutne, a ich strach tak wszechwładny, że często zapominali o ofierze. A najrzadziej pamiętali o niej ci, którzy byli winni, przypominał sobie.

Sam znowu mu się przyglądał.

- Jest jednak coś, nad czym się zawsze zastanawiałem. Chodzi o Sue. Pieprzyłeś ją, co?

Zaskoczony Tony przybrał obojętny wyraz twarzy - nawyk prawnika.

- Za bardzo mi pochlebiasz. A za mało Sue.

Sam z wolna skinął głową.

- Tak. Ona nigdy by mi tego nie zrobiła, prawda.

Te słowa również miały ranić jego samego.

- W takim razie myślę, że ty „pieprzyłeś” Marcie Calder.

Sam wyprostował się i wciągnął powietrze. Nie odpowiedział.

- Ustalmy coś od razu - rzekł spokojnym tonem Tony. - Jestem teraz twoim adwokatem: nie dawnym przyjacielem, i nie kimś, kogo spotkałeś znowu na zjeździe szkolnym i na kim chcesz zrobić wrażenie. Jako adwokat nie mam cię oceniać, ale udzielić ci najlepszej możliwej porady i, jeśli zajdzie taka potrzeba, zapewnić ci najlepszą obronę. W tym wypadku nie jest istotne, czy z nią spałeś, czy nie... Dla mnie nie powinno to mieć znaczenia i nie może mieć dla ciebie, cokolwiek byśmy czuli jako przyjaciele. Tym razem jednak zrezygnuję z klienta, który mnie okłamie. Bo to cholernie ważne, czy chcesz mnie jedynie wykorzystać. Jeśli tak, to dostaniesz tylko głupią radę, na którą zasługujesz.

Sam zwrócił się ku niemu; zaczerwienił się.

- Posłuchaj...

- Pieprz mi takie głodne kawałki - rzekł Tony najspokojniej, jak potrafił - a przegrasz swoją karierę, może nawet resztę życia. Będę ci mógł pomóc tylko wtedy, gdy poznam prawdę. Jakakolwiek ona jest.

Sam wziął głęboki wdech.

- Och, powiem ci prawdę, Tony. Tak jak ty zawsze mówiłeś mi prawdę. A więc i t y mnie teraz nie okłamuj. Bo tobie zależy. Twoja dziewczyna została zamordowana, kiedy miałeś siedemnaście lat, więc bardzo ci zależy. Może nie na seksie. Ale na tym, czy twój stary przyjaciel Sam jest mordercą.

Tony poczuł, że tężeje.

- Dobra, Sam... Chcę, żebyś się okazał niewinny. Nie tylko ze względu na Alison, ale i ze względu na Sue. I na ciebie.- Przerwał na chwilę, po czym dodał zduszonym głosem: - Jeśli jesteś winny, powiedz mi to teraz, a znajdę ci innego adwokata. Bo nie mnie będziesz potrzebował. Wiem to od samego początku.

Sam pochylił się i utkwiał wzrok w oczach Tony'ego.

- Zrobiłem wiele rzeczy, stary. Takich rzeczy, które ci się nie spodobają. Ale nie jestem mordercą.  
- Urwał i dokończył spokojniej: - Proszę, potrzebuję tego, żebyś w to wierzył.

Sam chrypiał od tłumionych emocji, w jego głosie brzmiała szczerłość. Pragnąc mu wierzyć, Tony zastanawiał się, która część tego, co powiedział Sam, była prawdą: czy wszystko, czy tylko końcówka. Wreszcie rzekł:

- A więc wierzę.

Zdawało się, że cała otyła postać Sama okazała ulgę. Po chwili mężczyzna zapytał:

- No to co chcesz wiedzieć, Tony?

- Wszystko. Na początek, jaka była Marcie Calder.

Sam popatrzył na niego długo, zanim odpowiedział:

- Prawdę mówiąc, Tony, przypominała mi Alison.

Rzecz w tym, jak się nosiła, wyjaśniał Sam. Miała wiele wdzięku i była trochę wyniosła, jakby coś ukrywała. Marcie nie była aż tak mądra i na pewno nie zajmowała aż tak uprzywilejowanej pozycji, mimo to jednak czuło się, że ma poczucie prywatności, jak dziewczyna żyjąca z dala od innych. Największą wolność zdobywała chyba w biegu.

Była wysoka i szczupła, miała jasną cerę i proste czarne włosy, które opadały na policzki. Ale jej małowówność miała chyba więcej wspólnego z nieśmiałością niż z umiłowaniem prywatności. Podczas gdy Alison była praktyczna - realistka, jak zapamiętał ją Sam - ta dziewczyna była zadziwiająco romantyczna. Jako trener musiał narzucić dyscyplinę jej talentowi.

Rzeczywiście miała talent, a Sam - co przyznał - lubił patrzeć, jak słuchała go ze skupieniem, jak w jej oczach błyszczała wiara w niego. Oprócz oczu najwspanialsze miała nogi - jej piersi były niewielkie, lecz nogi mogłyby należeć do prawdziwej baleriny. Były wystarczająco silne, by mogła pokonać nie tylko sprinterski dystans stu metrów, ale i dwustu. Dyrektor przydzielił Sama do żeńskiej drużyny dopiero po namyśle, co dla Sama było obelgą, ponieważ sugerowało, że dyrektor uznaje jego czas za nieistotny, kiedy Sam uważał się za byłego sportowca opiekującego się dziewczętami na boisku, na którym kiedyś brylował, a które teraz stało się nudną rutyną w zawieszonym w próżni życiu. Jednak Marcie to zmieniła. Nie tylko go podziwiała - on naprawdę mógł uczynić z niej kogoś wyjątkowego. Kiedy pierwsza poprosiła, by móc zostać po treningu i poćwiczyć z nim start z bloku, był bardzo zadowolony. Wystarczyła ledwie godzina, by bardzo się poprawiła. Już wtedy, patrząc z tyłu, jak pochyła się nad popielatą nawierzchnią, podziwiał ścięgna jej ud, jędrność pośladków. Było coś zmysłowego w tym, jak zamierała, czekając na jego komendę „start”.

Podczas pierwszych zawodów w nowym sezonie Marcie wygrała oba biegi.

Nawet wtedy nie stała się rozmowna. Ale Sam widział to w jej oczach. One lśniły, powiedział Tony'emu. Pomógł jej odkryć coś jeszcze ważniejszego niż miłość do biegu - pomógł jej odkryć, że ona, Marcie Calder, była najlepsza. Kiedy podbiegła, by go uścisnąć, i poczuł jej ciało bliżej, niż się spodziewał, podniecił się.

Dziewczęta poszły do swojej szatni, on do swojego biura obok pokoju dyrektora. Sekretarki wyszły już do domu, dyrektor był na jakimś zjeździe. Sam zaczął przeglądać listę obecności.

Z pokoju sekretarki dobiegły go ciche i delikatne kroki. Mieli problemy z kradzieżami. Kiedy zaczął się podnosić, w drzwiach jego biura stanęła Marcie Calder. Wciąż miała na sobie strój do biegania. Z zaskoczenia Samowi забиło mocniej serce. Przyjrzał się długim nogom dziewczyny, poważnym i zupełnie nieruchomym oczom oraz kilku piegom, które wyskoczyły jej na czubku nosa. Jeszcze zanim się odezwała, poczuł dziwny prąd, który zna każdy mężczyzna - uczucie, że coś, o

czym nigdy nie mówiono, już nie wymaga rozmowy.

Usiłował się uśmiechnąć.

- Cześć, Marcie. Co jest?

Nieznacznie wzruszyła ramionami, ale nie oderwała od niego wzroku.

- Chciałam panu podziękować.

- Za co? To ty wygrałaś biegi.

Marcie powoli pokręciła głową.

- To pan sprawił, że wygrałam. - Mówiła miękkim głosem. - Proszę, czy mogę zamknąć drzwi?

Sam poczuł, że ma ściśnięte gardło. Ile razy, zastanawiał się, powtarzał swoim nauczycielom, żeby nigdy nie spotykali się z uczennicami za zamkniętymi drzwiami, bo przy dzisiejszych paranoicznych rodzicach i możliwości oskarżenia o molestowanie seksualne, wiązało się z tym zbyt duże ryzyko.

- Dobrze - odpowiedział wbrew sobie. - Skoro uważasz, że musisz.

Pochyliła głowę i zamknęła drzwi. Kiedy stanęła przed nim, zawahała się przez chwilę.

- Zakochałam się w panu - powiedziała.

Krew pulsowała mu w skroniach, ale zdobył się na jeszcze jeden uśmiech.

- Tak samo jak Jennifer, moja córka. Trwało to tak długo, aż mnie nie przejrzała.

Jej oczy nie zgodziły się z tym. Gdzie ona się tego nauczyła, zastanawiał się Sam, i jak mógł się tak zdradzić?

Odpowiedziała mu spokojnie:

- Jak kobieta, panie Robb.

Powinien się na to uśmiechnąć, ale odpowiedział tylko:

- Och, w ten sposób.

Była już przy jego krześle. Widział krzyżyk na jej szyi, jej delikatny obojczyk.

- Nigdy nie spałam z mężczyzną - powiedziała cicho. - Chyba nie jestem jeszcze gotowa.

- Ja też nie. A kiedy będziesz już na to gotowa, Marcie, znajdziesz kogoś w odpowiedniejszym wieku, jak to mówią na zebraniach nauczycielskich.

- Nie. Chcę, żeby to był pan. Tylko nie teraz - odparła.

Zorientował się, że żaluzje były odsłonięte. Z wewnętrznego dziedzińca mógł ich zobaczyć jakiś woźny.

- Więc czego chcesz? - zapytał.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Nie zatrzymał jej, kiedy zasłaniała żaluzje.

Uklęknęła i rozpięła pasek przy jego spodniach.

- Marcie, na miłość boską...

Podniosła ku niemu oczy.

- Wiem jak - odpowiedziała. - Nie z doświadczenia, ale, wie pan, ludzie mówią... - Urwała i pochyliła głowę.

Sam przestał myśleć.

Uniósł się lekko. Kiedy spojrzał w dół, zobaczył to, co już poczuł. Czarne włosy Marcie muskały jego uda.

Przez jakiś czas nie ruszał się ani nic nie mówił.

Tony'emu w ogóle się to nie podobało: uwodzicielska uczennica, starzejący się mężczyzna.

- Czy ty właśnie przeczytałeś *Lolitel* - zapytał. - To klasyczna męska fantazja.

Sam wzruszył ramionami, patrząc wprost przed siebie.

- Chyba dlatego to się stało.

Tony milczał i zastanawiał się, dlaczego mu nie dowierza.

- Ta szesnastolatka tak po prostu przyszła do ciebie? Bez żadnej zachęty z twojej strony, bez żadnych dwuznacznych gestów? Nic ci nie mówiło, że z nią jest coś nie tak? Wszystko przyszło tak nagle?

- Chciałeś usłyszeć prawdę, do cholery - Sam go zaatakował. - To nie tylko może zmusić mnie do ucieczki z Lake City albo spowodować utratę licencji. Gdyby jutro jakiś nauczyciel powiedział mi taką historię, zgodnie z prawem musiałbym powiadomić o tym prokuratora hrabstwa. Nie wiem, jak jest w San Francisco, ale tutaj stosunek seksualny z nieletnią albo seks oralny wystarczą, żeby trafić do więzienia. - Głos zmiękł mu z goryczy. - Jako wicedyrektor dałbym jakiemuś sędziemu doskonały pretekst do wymierzenia przykładowej kary. Już jestem na urlopie, ponieważ może uprawiałem z nią seks. Więc moja „klasyczna męska fantazja” jest zbyt głupia, by mogła być kłamstwem, Tony. Nawet zanim Sue ode mnie odejdzie i dzieci nie będą mogły na mnie patrzeć.

Tony oparł się wygodniej i spojrzał na boisko futbolowe, na którym dwadzieścia osiem lat

wcześniej Sue i Alison patrzyły, jak on i Sam osiągną razem to, o czym zawsze marzyli.

- Dobrze - rzekł. - Opowiedz mi o nocy, której umarła.

## TRZY

Spotkali się o zmroku, około 8.30, na parkingu przy nieczynnej stacji benzynowej. Zrobili tak już drugi raz - Marcie wysiadała ze swojego samochodu i wślizgiwała się na siedzenie pasażera obok Sama. Poprzedniej nocy, sześć tygodni wcześniej, ryzyko spotęgowało poczucie nowości, które - jak Sam wyznał Tony'emu - podniecało go. To była chętna dziewczyna, dla której wszystko, co robili, stanowiło jakąś nowość. Pojechali do parku Taylorów, a kiedy skryły ich zarośla, Marcie rozebrała się. Podczas gdy Sam wkładał prezerwatywę, ona położyła się na wznak na śpiworze i czekając na niego, rozsunęła nogi. Uważał, żeby nie sprawić jej bólu. Kiedy w nią wszedł, poczuł, jak mocniej zabiło jej serce, a jego twarz owionął miły oddech dziewczyny. Potem szepnęła: „Kocham cię”, głosem tak cichym i tak młodym, że zawstydził go jego własny orgazm.

Sam powiedział, że noc, której zniknęła, miała być ich ostatnią, lecz prawnik w Tonym nie mógł uwierzyć w tę opowieść. Jednak jego przyjaciel miał dar opowiadania: od samego początku Tony wyobrażał sobie ciszę panującą w samochodzie, mężczyznę, który ma nadzieję uciec przed samozniszczeniem, i żyjącą w świecie fantazji dziewczynę, nieświadomą dzielącej ich przepaści.

Tony oparł się wygodniej na ławce i pozwolił swojej wyobraźni pójść za opisem Sama. Chwilami nawet mu wierzył.

Wieczór był chłodny, a niebo czyste. Był to dzień powszedni, więc parking przy parku Taylorów był pusty. Kiedy zatrzymał samochód, Marcie przysunęła się bliżej. Zapytała cicho:

- Czego chcesz dzisiaj?

Sam spojrzął na zegarek i już zaczął się denerwować. Zapomniał zabrać jakieś papiery - tak powiedział Sue - więc popracuje w szkole. To dało mu mniej więcej godzinę, by zostawić Marcie wciąż zauroczoną, wciąż dochowującą tajemnicy.

- Czy nikt nie wie, że tu jesteś? - dopytywał się.

Krótkie skinienie głową i pocałunek w policzek.

- Teraz ludzie by nie zrozumieli.

Sama uderzyła smutna myśl, że dziewczyna, która oddała mu swoją niewinność, nie wiedziała, jak ma się do niego zwracać. A potem uderzyło go jeszcze bardziej to, co miała na myśli: według Marcie Calder, w jakiejś iluzorycznej przeszłości Lake City zrozumie.

- Porozmawiajmy przez chwilę - zaproponował.

Z ufnością, która go wzruszyła, Marcie wsunęła mu się na kolana i tuliła głowę do jego twarzy. Była jeszcze lżejsza niż kiedykolwiek, a Sam z rozdrażnieniem przypomniał sobie Jennifer w bawełnianej sukni na Wigilię, przytuloną do niego, gdy Sue czytała na głos wigilijne opowieści z *Twas the Night Before Christmas*.

- Myślę, że powinniśmy się pobrać - szepnęła.

Obejmując ją w ciemności, Sam zaniemówił z wrażenia. Jak mógł nie zwrócić uwagi na to, że ta dziewczyna była tak niedojrzała, nawet jak na szesnastolatkę, i że jej uczucia tak bardzo przypominały typowe u nastolatków zauroczenia gwiazdą filmową albo - co równie beznadziejne - substytutem ojca Wreszcie odpowiedział:

- Nie sądzę, żebyśmy w ogóle kiedykolwiek mogli się pobrać.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego nie?

Od czego zacząć? - zastanawiał się.

- Mam żonę - powiedział tylko. Obserwując jej reakcję, Sam poczuł, że obezwładnia go groteskowość całej sytuacji: rozmawia o Sue - kobiecie, która od dwudziestu czterech lat była jego żoną - z nastolatką, która wyobraziła sobie, że może zająć jej miejsce. - Jest jeszcze wiele innych powodów - kontynuował. - Twoi rodzice, moja praca, to, jak ludzie by na mnie patrzyli. Jak powinni na mnie patrzeć: na faceta w średnim wieku, który zdradził rodzinę swojej uczennicy, jej szkołę, jej naturalne uczucia dla niego...

- Nie. - W jej głosie usłyszał płaczliwy ton. - Moje uczucia są o wiele większe...

- W takim razie jestem szczęściarzem. - Sam uciekł się do swojego daru schlebiana. - Jestem szczęściarzem, bo byłem częścią twojego życia...

Urwał nagle. W tylnym lusterku pojawiły się reflektory. Obracając się, modlił się, żeby to nie był glina. Zobaczył, że samochód zatrzymuje się w pewnej odległości od nich i wyłącza światła. Kiedy znowu z drżącym sercem przytulił Marcie, opierała się mocno.

- Chcę, żebyś został moim życiem - powiedziała silnym, dziwnie pewnym głosem. - Kiedy się pobierzemy, ludzie to zaakceptują. Skończę liceum i pójdę do college'u, jak chcą moi rodzice...

- Marcie - Sam przerwał jej, podnosząc głos - znam twoich rodziców. Wyobrażasz sobie swojego ojca ze starszym od niego zięciem i w dodatku twoim trenerem? - Sam się powstrzymał, bojąc się, że rozbudzi w niej gniew. - Możemy się kochać, Marcie. Aleja zaszedłem już zbyt daleko, żebym kiedykolwiek mógł stać się częścią twojego życia. Przeżyłabyś dziesięć lat z facetem za starym dla ciebie, a następane dwadzieścia zmarnowałyabyś, opiekując się starcem.

Nie poruszyła się. Powiedziała głosem o wiele zimniejszym i bardziej dorosłym:

- A więc nie możesz odejść od żony.



Coś w głosie dziewczyny zaniepokoiło go, ale uchwycił się realizmu jej słów.

- Tak - odparł. - Nigdy nie mógłbym od niej odejść.

W napięciu przyłączył się do milczenia Marcie.

- Dobrze, Sam. - Pierwszy raz odezwała się do niego po imieniu, z wyrazem młodszej pogardy. - Nikomu nie powiem. Czy tego właśnie chcesz?

Sam odetchnął prawie tak, jakby westchnął.

- Tak. To byłoby najlepsze dla ciebie, Marcie. I mnie też by pomogło.

- Pomogę ci - powiedziała chłodno.

Na jej twarz padł promień światła; miała bladą skórę, na której ciekące łzy wyglądały jak żyłki na marmurze. Nagle cofnęła się i otworzyła drzwiczki.

- Zaczę ci pomagać już teraz...

Chwycił ją za rękaw.

- Zaczekaj...

Wyrwała się mu.

- Na co?! - rzuciła z pasją. - Żebyś dał mi więcej drogich wspomnień...?!

Urwała, wyskoczyła nagle z samochodu i zaczęła uciekać.

Sam bez namysłu otworzył drzwi. Gdy chłodne powietrze owionęło mu twarz, zmrużył oczy, żeby ją dojrzeć. Zauważył szybko przemieszczający się cień, który rysował się w świetle księżyca na tle jeziora. Pobiegnął za nią. Kiedy się zatrzymał, przypomniał sobie o drugim samochodzie, Marcie zniknęła w ciemnościach.

Zastygł w miejscu, nie wiedząc, co robić. Wtedy poczuł, że jego prawdziwe życie odciąga go znad tej przepaści: musiał stąd odejść i znaleźć się tam, gdzie znowu będzie tym Samem Robbem, którego znają inni. Samochód Marcie stał mniej niż ćwierć mili dalej. Kiedy opadną emocje, odnajdzie drogę powrotną i znowu stanie się szesnastolatką, która musi przestrzegać godziny policyjnej. Od jutra Sam zacznie w szkole udawać z irytacją, że nigdy nie była nikim więcej.

Oglądając się za siebie, wrócił do samochodu.

Siedzenie obok niego wydawało się zbyt puste. Pochylił się, zamknął drzwi pasażera i by dodać sobie pewności, włączył radio. Wciąż był wstrząśnięty. Kiedy wyjeżdżał z parku, ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w świetle przednich reflektorów, był cień zaparkowanego samochodu i czyjaś głowa ledwo widoczna ponad deską rozdzielczą. Wydawało mu się, że ta osoba go obserwuje.

Nie mógł jechać do domu. Instynktownie skręcił w stronę szkoły, gdzie - jak powiedział Sue - miał

pracować. Sam dobrze wiedział, że w najłatwiejszych kłamstwach jest zawsze ziarno prawdy. Potrzebował czasu do namysłu.

W ponurym, fluorescencyjnym świetle rozparł się na fotelu.

W głowie kłębiły mu się rozpaczliwe myśli. Chciał tylko wejść na powrót do swojego życia, krok po kroku.

Postanowił, że pierwszym z nich będzie telefon do Sue.

Wykręcił numer, przygotowując się na dźwięk jej głosu. Kiedy zamiast niego usłyszał swój z automatycznej sekretarki, pomyślał z przestachem, który kłuł jak przesąd, że Sue jakimś cudem go śledziła, że to jej głowę widział w tamtym samochodzie, że to ona rozmawia teraz z Marcie Calder w parku Taylorów.

Po ostatnich nagranych słowach usłyszał długi sygnał.

- Cześć, kochanie. - Starał się, by jego głos brzmiał normalnie, by był może tylko trochę zmęczony. - Te papiery zabrały mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Wiesz, oceny personelu. Za kilka minut będę w domu...

Odkładając słuchawkę, przez chwilę czuł spokój: to będzie jego ostatnie kłamstwo. A potem zaczął znowu dręczyć się pytaniem, dlaczego Sue nie odebrała.

Podróż do domu, która trwała może dwie minuty, wypełniły ponure wyobrażenia Marcie. Być może wciąż jeszcze była w parku. Sam zastanawiał się, czy nie powinien tam wrócić. Następnie - tym razem wyraźniej - wyobraził sobie Marcie z jej rodzicami, kiedy mówi im pod wpływem nagłego, hormonalnego impulsu o wszystkim, co zrobił jej Sam Robb. Bezwiednie otworzył drzwi do domu - był tchórzem.

Na dole było ciemno i cicho. Nastrój sprawił, że ta cisza go zdenerwowała.

Powoli wszedł na górę.

Z sypialni dobiegły go głosy. Podeszedł po cichu korytarzem i zatrzymał się z głową przy drzwiach. Potem, z bijącym sercem, otworzył je.

Sue leżała w łóżku, piłując paznokcie i słuchając jednym uchem wiadomości o jedenastej.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić - powiedział.

Spojrzała na niego bez zainteresowania.

- Musiałam być pod prysznicem - odparła, po czym zmarszczyła brwi. - Złamałam następny paznokieć... moje dłonie wyglądają, jakby należały do praczki.

Sam przez chwilę nie ruszał się z miejsca.

- Masz piękne dłonie, kochanie. I takie długie palce.

Sue uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, nie są tak ładne jak dłonie Jenny - stwierdziła.

Z jakiegoś powodu Sam chciał ją za to pocałować. Powstrzymał się jednak, nie wiedząc, jakie zachowanie może się wydać dziwne albo zasugerować skruchę. Przebrał się w bokserki i położył do łóżka.

- Jestem zmęczony - oznajmił, zadowolony, że była to prawda.

Sue sięgnęła po pilota.

- W takim razie idź spać - rzuciła i wyłączyła telewizor.

Kolejny krok postawiony, pomyślał Sam. Przypomniawszy sobie Marcie i przestraszył się na myśl o ich jutrzejszym spotkaniu. Leżał, nie zasypiając, w ich ciemnej sypialni i nie ruszał się, by żona nie zwróciła uwagi na jego niepokój.

Następnego ranka, wypiwszy na pusty żołądek trzy filiżanki kawy, które smakowały jak kwas, Sam Robb, wicedyrektor liceum w Lake City, siedział w swoim gabinecie i czekał na raporty dotyczące frekwencji.

Jane Moore, żona dawnego kolegi z klasy, była jego sekretarką. Wystawił głowę za drzwi.

- Czy są już raporty na temat obecności?

Obróciła ku niemu głowę i zmarszczyła brwi.

- Nie - odpowiedziała. - Ale właśnie telefonowała do nas Nancy Calder, matka Marcie...

- Co się stało?

- Mam nadzieję, że nic. Ale nie wiedzą, gdzie ona jest.

Sam nastawił uszu. W tym najgorszym momencie swego życia, kiedy ziemia usuwała mu się spod nóg, był dumny z tego, jak profesjonalnie się zachowywał: wyrażał troskę, nie było po nim widać paniki, tylko właśnie odpowiedni ton zaniepokojenia.

- Kiedy Nancy widziała ją po raz ostatni? - spytał.

- Wczoraj, około ósmej wieczorem. Marcie mówiła, że jedzie do przyjaciółki, ale nie wróciła. Nancy zadzwoniła na policję.

Patrząc na nią, Sam poczuł ciężar swojego milczenia.

- Proszę mnie informować na bieżąco, dobrze?

Do dziewiątej trzydzieści wciąż nikt nie natknął się na Marcie.

Sam wyszedł z biura i usiadł samotnie w samochodzie stojącym na parkingu. Na wytartym filcu siedzenia pasażera widział, a właściwie wyobrażał sobie maleńkie wgłębienie - ślad jej ciała.

Chwile mijały mu na kalkulacjach. Z każdą minutą coraz wyraźniej dostrzegał swoje tchórzstwo. Rozpaczliwie pragnąc dojechać do siebie i nie licząc się z konsekwencjami, pojechał na komendę.

Dwaj detektywi, Jack Seed i Carl Talley, stali z filiżankami kawy w rękach. Z jakiegoś względu przyniosło to Samowi ulgę: obaj mieli synów w liceum i wiedzieli, że Sam lubi ich chłopców. Jack Seed uniósł brwi.

- Cześć, Sam. Co możemy dla ciebie zrobić?

- Przyszedłem w sprawie Marcie Calder. Widziałem ją wczoraj wieczorem, później niż jej rodzice. Od około ósmej trzydzieści do mniej więcej dziesiątej.

- Do dziesiątej? - Zdawało się, że Jack Seed poczuł ulgę. - Gdzie?

- W parku Taylorów.

Pierwszy raz Sam dostrzegł, jak bardzo bystre oczy miał Seed.

- W parku Taylorów - powtórzył detektyw. - Myślisz, że mógłbyś tam z nami pojechać?

Wóz patrolowy zatrzymał się na parkingu, Sam siedział z tyłu. W nocy musiało padać, gdyż liście w parku połyskiwały, a nad jeziorem wisiała chłodna mgła.

Sam pochylił się między przednimi siedzeniami i wskazał przed siebie.

- Tam. Tam widziałem ją po raz ostatni. Biegła - powiedział.

Jack Seed odwrócił się ku niemu. Na jego szczupłej twarzy malowało się tylko niewielkie zaniepokojenie.

- W nocy? Czy wiesz, dlaczego tu biegła?

- Rozmawialiśmy. Była... zdenerwowana.

Seed wyduł wargi.

- O - rzekł i odwrócił się w stronę Talleya. - Lepiej się rozejrzyjmy.

Talley przez dłuższą chwilę przyglądał się Samowi. Obaj wysiedli z samochodu, a kiedy Sam poszedł za ich przykładem, nie oponowali.

Idąc po trawie, Sam rozglądał się dokoła.

- Gówniany dzień - stwierdził.

- Gówniana noc - odpowiedział Talley.

Można było odnieść wrażenie, że nie zauważa Sama.

Kilka metrów od klifu Seed zatrzymał się i popatrzył uważnie na ziemię. Odwrócił się i mruknął:

- Czy możesz nie podchodzić, Sam?

Sam zatrzymał się i dostrzegł, że obaj detektywi skręcili nieco, jakby chcieli coś ominąć.

Podeszli do krawędzi klifu i spojrzeli w dół.

Nauczyciel zauważył, że Talley zadrżał nieznacznie; Seed stanął bez ruchu.

- Cholera - rzucił cicho Seed.

Podszedł do policjantów. Kiedy stanął między nimi i spojrzął w dół, na Marcie, żaden się nie odezwał.

Leżała twarzą ku górze niedaleko podciosu klifu. Wciąż była ubrana w bluzę od dresu, którą miała na sobie poprzedniej nocy. Ukrywała pod nią swoją tajemnicę, jak powiedziała zalotnie, wsiadając do samochodu Sama: brak biustonosza. Z tej odległości była maleńka niczym szmaciana lalka.

Sam, zupełnie odrętwiały, usiadł na krawędzi skarpy. Ponad głową usłyszał Seeda:

- Trzeba wezwać pogotowie.

Dopiero wtedy dotarło do Sama, że jego życie, jakim je dotąd znał, już się skończyło.

Tony długo milczał. Zorientował się, że opowieść Sama zabrała go w podróż w daleką przeszłość, do Alison. Postrzegał dawnego przyjaciela z perspektywy swoich doświadczeń: niewinnego, przerażonego, osaczonego przez okoliczności. Jednak Tony'ego bardziej poruszyła tragedia Marcie - zbyt dobrze pamiętał operowe emocje nastolatki, jej obnażone uczucia. Nawet jeśli uznało się, że opowieść Sama jest prawdziwa, wiele jej elementów - oddawanie się przyjemnościom, zawiedzione zaufanie - było egocentrycznych i podłych.

Tony wstał odrętwiały od zbyt długiego siedzenia na twardych trybunach. Sam nie poruszył się, wzrok miał nieobecny.

- Byłem za nią odpowiedzialny. Wiedziałem o tym, a potem nie mogłem już nic zrobić - szepnął.

Dla Tony'ego było oczywiste, że Sam nie może na niego patrzeć.

- Co powiedziałaś policji?

Zdawało się, że mężczyzna bierze się w garść. Odpowiedział cicho:

- Opowiadałem im pierdoły.

- Pytam, jakie pierdoły.

Zabrzmiało to ostrzej, niż Tony zamierzał. Sam wyprostował się.

- Takie, jakich byś się spodziewał. Że przystawiała się do mnie, a ja ją odrzuciłem. Że głupio postąpiłem, spotykając się z nią sam na sam, zwłaszcza w takim miejscu, ale zachowywała się tak cholernie irracjonalnie, że pomyślałem, że musi mieć jakieś straszne problemy: prochy czy coś takiego. Myślałem tylko o tym, tak im powiedziałem, jak jej pomóc. Ale tak naprawdę myślałem tylko o tym, jak uratować swój tyłek.

- Dlaczego uważałeś, że kupią tę wersję?

Sam spojrział na niego wzrokiem pełnym dawnego buntu.

- Ona nie żyła, Tony.

Bezceremonialność tego zdania zamknęła Tony'emu usta. Było bezwzględne w swojej rzeczowości i dotyczyło zarówno tego, co Sam właśnie mu opowiedział, jak i tego, co powiedział na posterunku. Poruszony Tony zastanawiał się, jaka część z tego to manipulacja, a jaka - prawda. Wtedy przypomniał sobie, zupełnie jakby to było wczoraj, jak okłamał policjantów na temat Alison.

- A Sue? - zapytał w końcu.

Zacietrzewienie zniknęło z jego spojrzenia.

- Powiedziałem jej to samo. - Sam zamilkł i wstał. - Miałem się przyznać, że spałem z Marcie, i poprosić żonę, żeby kłamała, gdyby ją ktoś zapytał? Tak naprawdę oddałem Sue przysługę. Nawet jeśli nie wierzy ani jednemu mojemu słowu.

Tony'ego raz jeszcze uderzyło to, z jaką gorliwością Sam się bronił. Wiedział, że nic mu nie grozi, więc opowiedział wersję bliższą prawdy, przyznając się do swojego wstydu, ale jednocześnie odwołując do współczucia Tony'ego dla niewinnego człowieka, na którego przypadkiem padło podejrzenie o morderstwo. Sam powiedział cicho:

- Wcale nie zamierzałem się do tego nikomu przyznawać, Tony. Kiedy Sue chciała cię wezwać, myślałem tylko o tym, jak żałośnie będę wyglądał w twoich oczach. Ale aż do tej chwili nie wiedziałem, że tak bardzo to znienawidzę.

Tony bez słowa wsunął ręce do kieszeni.

- No to co zrobimy z Sue? - ciągnął Sam.

To niejasne pytanie zaniepokoiło Tony'ego. Kiedy spojrział na przyjaciela, ten obdarzył go lekkim, ironicznym uśmiechem.

- Nie możesz jej powiedzieć, to jasne, ponieważ jesteś moim adwokatem. Jak będziesz się teraz czuł, uwięziony między starym przyjacielem a jego żoną? Albo, patrząc na to z innej strony, między starą przyjaciółką a jej mężem?

Przez chwilę Tony'emu zdawało się, że Sam drwi z niego, że bierze odwet za swoje upokorzenie. Odpowiedział cicho:

- Wyjaśnię to Sue, stary. Nie zamierzam przysparzać ci jeszcze więcej problemów.

Sam zamrugął, ironia zniknęła z jego spojrzenia.

- Przepraszam, Tony, naprawdę. Za to i za wszystko, co musiałem ci powiedzieć. Ale nigdy w życiu nie byłbym zdolny do morderstwa.

Kiedy wrócili, Sam poszedł na górę, zostawiając Sue i Tony'ego. Pozbawiony radości uśmiech, którym kobieta obdarzyła adwokata, był podobny do uśmiechu Sama, tyle że ona patrzyła na niego z większym smutkiem i bez złośliwości.

- Masz mi coś do powiedzenia - stwierdziła.

Usiadł przy niej na kanapie.

- Tylko tyle, że jako jego adwokat nie mogę ci mówić wszystkiego. On również.

Sue patrzyła mu w oczy.

- Myślałam, że żona nigdy nie może zeznawać przeciw mężowi.

- To trochę skomplikowane. Ale, krótko mówiąc, w niektórych wypadkach decyzja mogłaby należeć do ciebie, a nie do Sama. - Dotykając jej dłoni, Tony znowu poczuł dziwną dwoistość swojej roli. - Jak na razie, Sue, trzymanie się z dala od tej historii to dla ciebie błogosławieństwo. Później, kiedy w grę będzie wchodzić twoje małżeństwo, a nie prawo, będziesz mogła to z nim omówić.

Sue nie przestawała mu się przyglądać.

- Och, Tony - szepnęła. - On spał z tą dziewczyną, prawda?

Nie odpowiedział; jej pytanie tego nie wymagało.

- Mam tylko nadzieję, że nie wyniknie z tego coś gorszego -dodała po chwili.

- On mówi, że jej nie zabił, Sue. Myślę, że ludzie to zaakceptują. - Urwał, szukając słów, by dodać jej otuchy. - Jutro chcę się spotkać z prokuratorem hrabstwa. Może ta perspektywa zniknie.

Sue uśmiechnęła się słabo.

- Zniknie? Takie rzeczy nie „znikają” tak po prostu. Ty wiesz o tym najlepiej.

Nagle Tony przypomniał sobie coś jeszcze. Powiedział ciszej:

- Jest jeszcze przynajmniej jedna rzecz, o której powinienem ci powiedzieć, Sue. Dzisiaj, mniej więcej w środku całej rozmowy, zapytał, czy spaliśmy ze sobą.

Na jej twarzy nie widać było zaskoczenia. Powoli skinęła głową.

- Przerabialiśmy to już. Co mu powiedziałaś?

- Pewnie to samo co ty.

Przez chwilę Sue milczała, potem pokręciła głową.

- Biedny Tony - powiedziała. - Tylu tajemnic musisz dochowywać. Nawet naszej.



## CZTERY

Upływ czasu, jak zauważył Tony, w niewielkim tylko stopniu zmienił oblicze Steelton. Nic nie powstrzymało wnikania sadzy i nieprzyjemnej pogody w pory szarych betonowych budynków ani też obojętności ciężkiego, stuletniego przemysłu na to, czy na brzegu rzeki zostanie zachowana zielen. Wciąż nigdzie nie rosły drzewa, a solidna architektura, oprócz kilku anonimowych wyjątków ze szkła, zastygła w ostatnim okresie swojej prosperity - latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Gołąb ciągle chyba był tu miejskim ptakiem: całe ich stada kroczyły dumnie po betonowym Steelton Square, zanieczyszczając jałową, betonową podstawę dominującego tu pomnika marszałka Piłsudskiego. Tony zawsze wyobrażał sobie Europę Środkową jako region szary i feudalny. Uważał, że Polacy, Czesi, Litwini i Słowacy, którzy osiedlili się w Steelton, byli predestynowani do ponurego wyglądu, jaki zapewnili im kalwińscy magnaci, budując tutejsze młyny i fabryki. Zbliżając się do budynku prokuratora hrabstwa, betonowego bunkra w stylu lat czterdziestych, który znajdował się obok siedziby sądu, Tony przypomniał sobie ze smutkiem, że i jego los kiedyś się tu rozstrzygnął. Zastanawiał się, czy jakaś teczka z nazwiskiem jego albo Alison leżała jeszcze w czeluściach tego gmachu.

Na trzecim piętrze Tony przedstawił się recepcjoniście, który popatrzył na niego uważnie przez przepierzenie z kuloodpornego szkła. Poprosił o spotkanie ze Stellą Marz.

Kobieta wypadła zza drewnianych drzwi bez wywieszki -wprost tryskała energią. Wyciągając rękę, przyjrzała mu się z zainteresowaniem i subtelną oznaką dobrego humoru, jak gdyby pojawienie się Anthony'ego Lorda w życiu zastępcy prokuratora hrabstwa było wyzwaniem albo co najmniej stymulującą nowością.

- Stella Marz - powiedziała tylko i od razu powiodła go przez labirynt wyłożonych linoleum korytarzy do biura z widokiem na jezioro Erie wylaniające się zza szarego falochronu - szarą plamę za szarą plamą. Wskazała głową okno.

- Mam nadzieję, że podoba się panu sceneria - powiedziała. - Do ubiegłego tygodnia miałam biuro, którego okno wychodziło na parking.

Ton jej głosu sugerował, że sama była zbyt zajęta, by podziwiać widok. Tony od razu ocenił ją jako autentycznie zaangażowanego, zachowującego się energicznie i profesjonalnie prawnika.

Miała jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Gdyby Tony miał się kierować doświadczeniem, uznałby, że przydzielenie jej ważnej sprawy potencjalnego zabójstwa oznaczało, że jest to wschodząca gwiazda, która - skoro spotykali się tylko we dwoje - nie potrzebowała opieki w osobie szefa wydziału kryminalnego. Była mocno zbudowana, miała szeroką, dość atrakcyjną twarz z dołeczkami na brodzie i nieco egzotycznymi brązowymi oczami sugerującymi euroazjatyckie pochodzenie, które Tony nauczył się kojarzyć z pewnym typem Słowianek. Miała kasztanowe włosy, bladą cerę i - sądząc po makijażu oraz dobrze skrojonym ubraniu - dbała o swój wygląd. Sportowa

torba, która leżała w kącie, pozwalała odgadnąć coś jeszcze: trenowała i nie obijała się.

- Jest pan daleko od domu - zauważyła.

- Nie bardzo. Urodziłem się tutaj.

- Wiem. Pana wuj Joe, o ile pamiętam, tak mu było na imię, wciągnął mojego ojca do związku zawodowego hutników.

Tony uśmiechnął się.

- Joe Stanicek. Brat mojej matki.

- Zgadza się. Ale nim się urodziłam, pana rodzina się wyprowadziła.

Tony znowu odgadł poprawnie: była Polką z robotniczej rodziny, która ciężko pracowała, żeby awansować społecznie. Zastanawiał się, ile - jeśli w ogóle - wiedziała o jego życiu od czasów, gdy jego rodzice się wyprowadzili.

- Moja rodzina przeniosła się do Lake City. W ten sposób poznałem Sama Robba - powiedział.

Przechyliła głowę i przyglądała mu się. Tony czuł, że kobieta wie, iż od dziesiątków lat nie odwiedzał dawnych stron swoich rodziców, a z krewnymi utrzymywał kontakt tylko za pośrednictwem świątecznych kartek. Czuł też, że takie poczucie więzi było dla niej czymś ważnym.

- No to Sam Robb ma szczęście - stwierdziła po chwili. - Ile pan o tym wie?

Tony wzruszył ramionami.

- To, co powiedział policji. Za to nie mam zupełnie pojęcia, jak pani na to patrzy. Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Zmarszczyła brwi.

- Nie jestem zwolenniczką zabawy w chowanego, panie Lord...

- Tony, proszę...

- Jeśli wniesiemy oskarżenie, Tony, będę musiała ujawnić materiał dowodowy, a wolałabym wiedzieć z wyprzedzeniem, czy mogę się spodziewać problemów. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - W ten sposób pracuję.

Tony pomyślał, że zabrzmiało to odrobinę asekurancko: chciała, by wiedział, że nie zamierza się wyłożyć, ponieważ on ma reputację, albo dlatego, że pojawia się z żoną w kolorowych pismach. Odpowiedział z szacunkiem:

- Doceniam to i wolę takie postawienie sprawy. Z obu stron.

Uśmiechnęła się lekko. „Dobrze, pokazaliśmy, jacy jesteśmy mili. A teraz zobaczmy, co z tego

wyjdzie w praniu”.

- Zaczniemy od tego, że jestem niemal pewna, że ta dziewczyna została zamordowana - oświadczyła.

Było to wystarczająco bezceremonialne, by zbić Tony'ego z tropu.

- Więc nie mógł to być wypadek albo samobójstwo? Prawie nic nie wiem o Marcie Calder. Ale Sam twierdzi, że naprawdę była zdenerwowana, a nastolatki strasznie łatwo wpadają w skrajne nastroje. W ich wieku każde niedobre doświadczenie jest pierwsze. Niektóre nie mają siły, by poradzić sobie z upadkiem.

- Jeśli to był upadek. - W jej głosie brzmiała ironiczna nuta, lecz oczy wskazywały, że nie było jej do śmiechu. - My uważamy, że została popchnięta.

- Na jakiej podstawie?

- Policjanci z Lake City, którzy są teraz całkiem niezli, przeprowadzili dokładną analizę miejsca zbrodni. Podobnie jak kryminolog z naszego biura koronera. Zaczniemy od tego, że ostatnie kilka stóp klifu nad miejscem, w którym ją znaleźliśmy, to piach, a nie trawa. Nie odkryliśmy tam żadnych odcisków pasujących do Marcie Calder. Ale jednak jakieś odciski stóp tam były: rozmiar jedenaście butów do biegania. - Stella uniosła brwi. - To rozmiar butów Sama Robba.

Tony uśmiechnął się.

- Mój też. Rozumiem, że przeszukaliście jego dom, by znaleźć takie buty, i je znaleźliście...

- Inne buty w tym rozmiarze. Co oznacza, że albo to nie były jego ślady, albo pozbył się tamtej pary. - Urwała i splotła przed sobą dłonie. - Bardziej martwią mnie ślady poślizgu na skarpie, które prowadzą równolegle do odcisków tamtych butów. To takie ślady, jakie zostawia ktoś, gdy ktoś inny go ciągnie. Takie samo błoto jest na czubkach tenisówek Marcie. Możemy więc domniemywać, że Marcie ciągnięto, a następnie zrzucono z klifu.

Twarz Stelli była teraz bardzo poważna. Patrząc, jak kobieta wyobraża sobie ostatnie chwile dziewczyny, Tony wyczuł pasję, która kazała jej zostać prokuratorem.

- Musiałaby być wtedy albo martwa, albo nieprzytomna - odrzekł.

- Myślę, że już nie żyła. Zmarła na skutek trzech ciosów zadanych w głowę kamieniem wielkości piłki futbolowej, który sprawca znalazł na skarpie ponad plażą. Tak przynajmniej sądzi koroner.

- Czy nie mogła się uderzyć w głowę podczas upadku?

Stella skinęła głową.

- Mogła... może. Ale na plaży znaleźliśmy kamień, a na nim włosy dziewczyny i jej grupę krwi, AB. Były na całym kamieniu. Leżał kilka metrów od ciała, jakby go ktoś odrzucił. W przeciwnym razie - Stella zacisnęła wargi - Marcie musiałaby uderzać w niego z różnych stron jak w bilę. Dostyc dziwne zjawisko fizyczne. I jak na nie na kamieniu jest strasznie dużo włosów i krwi.

Tony zdał sobie sprawę, że zajmuje się tym od jakichś dwudziestu lat, jednak zawsze, kiedy stykał się z zabójstwem, nadchodził taki moment, w którym wyobrażał sobie chwilę śmierci. Teraz, wbrew sobie, zobaczył i usłyszał, jak kamień miażdży czaszkę czarnowłosej dziewczyny.

- Nawet jeśli masz rację, mówiąc, że to było morderstwo, to zbyt długo znam Sama Robba - powiedział.

Skinęła głową.

- I on już nie będzie rozmawiał z policją, prawda?

- Prawda. Teraz wszystko będzie przechodzić przeze mnie.

Przyglądała mu się uważnie.

- Więc zapytaj o coś swojego przyjaciela w moim imieniu, dobrze? Zapytaj, dlaczego znaleźliśmy odrobinę krwi na kierownicy.

Tony postarał się, żeby niczego nie można było po nim poznać.

- Jakiej grupy?

- AB. - Głos Stelli był bezbarwny. - Może on ma jakieś proste wytłumaczenie, którym zechce się z nami podzielić...

Ubodło go to o wiele mocniej, niż powinno. Nagle Tony poczuł, na czym polega jego słabość: dla niego Sam musiał być niewinny. Najbardziej przyjaznym głosem, na jaki mógł się zdobyć, zapytał:

- Rozumiem, że robicie na tych próbkach testy DNA.

- Jasne. Ale wyniki dostaniemy dopiero za jakiś czas.

- A raport koronera?

- Jeszcze nie. - Urwała. - Dam ci to tylko wtedy, kiedy będę musiała. Kiedy, jeśli w ogóle, wniesiemy oskarżenie.

Tony zastanowił się.

- Załóżmy na chwilę, że masz rację: ktoś zabił ją tym kamieniem. Wtedy nie tylko morderca będzie splamiony krwią, krew będzie też na jej ciele oraz na ziemi w miejscu, gdzie się to stało...

Stella z wolna skinęła głową, wciąż patrząc na niego.

- Można tak sądzić.

- Znaleźliście jakąś krew w jego domu albo na ubraniu?

- Nie. To oczywiste, że każdy zabójca przy zdrowych zmysłach pozbyłby się ubrania.

- A co z krwią w pobliżu klifu?

- Tamtej nocy padał deszcz, pamiętasz?

- Domyślałam się, że nie ma też żadnych świadków?

- Jeszcze nie. - Pierwszy raz Stella sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. - Gdyby można go już było oskarżyć, zrobilibyśmy to.

Tony postanowił oddać trochę pola.

- Doceniam to, Stello. Wciąż jednak zastanawiam się, jaki mógł mieć motyw.

Stella uniosła brwi.

- A co byś powiedział na to, że chciał uciszyć szesnastolatkę? Gdyby go wydała, Sam Robb byłby skończony.

Tony zachowywał neutralny ton.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, powiedział policji, że tak nie było. W każdym razie morderstwo, w przeciwieństwie do kłamstwa, nie jest najsubtelniejszym wyjściem z trudnej sytuacji.

Żeby kogoś zamordować, trzeba być zdolnym do popełnienia zbrodni, a w życiu Sama nie ma nic, co by na to wskazywało. - Tony urwał i pochylił się do przodu. - Gdyby tak bardzo bał się ujawnienia, to po cóż, u licha, poszedłby na policję? Jedyńm powodem, dla którego tu siedzimy i dla którego Samowi grozi utrata pracy, a może coś jeszcze gorszego, jest fakt, że to zrobił.

Stella nie wydawała się przekonana.

- Może bał się, że doniesie na niego jakiś świadek. - Przecież powiedział policji, że widział inny samochód. A poza tym nie był w najlepszej sytuacji, żeby prosić żonę, by dla niego kłamała, prawda?

Znaleźli się w impasie.

- Co do Sue Robb, nie było jej łatwo. Proszę, powiedz policji, żeby dali jej spokój - poprosił Tony.

- Immunitet małżeński?

- Mhm.

Stella skinęła głową. Jej oczy mówiły, że niczego innego się nie spodziewała, a była zbyt wielką profesjonalistką, by się tym przejmować.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? - zapytała.

- Po prostu podchodź do tego wszystkiego z dystansem. - Umilkł. - Nawet jeśli sądzisz, że to morderstwo, to nocą w parku jest wielu ludzi.

Stella przez chwilę się nie odzywała; tym razem nie patrzyła na niego.

- Wiem, co cię spotkało - rzekła po chwili. Kiedy podniosła na niego wzrok i jej spojrzenie złagodniało po tym, jak zobaczyła jego twarz, Tony wiedział, że beznamietność już go opuściła. - Dziś rano telefonował jakiś dziennikarz - mówiła dalej. - Ktoś widział cię na lotnisku z Sue Robb. Może jestem zbyt młoda, żeby pamiętać sprawę Alison Taylor, ale to było ostatnie morderstwo, jakie popełniono w Lake City. Ten facet przypomniał mi, że byłeś wtedy podejrzany.

Tony znowu poczuł, jak osacza go depresja wywołana powrotem.

- Więc wiesz, co w związku z tym wszystkim czuję.

Stella patrzyła na niego uważnie, jakby czekała, aż zacznie zapewniać ją o swojej niewinności. Nie doczekała się jednak, więc powiedziała:

- Nie podoba mi się twój przyjaciel Sam... Wiem, dlaczego był tam z Marcie Calder i ty też o tym wiesz.

Wydawało się, że mówi z absolutną pewnością. Tony zastanawiał się, czy tym razem nie wie więcej, niż chce powiedzieć.

- Przypadkiem - ciągnęła - wierzę w wartość każdego ludzkiego życia... to moja zasada religijna i moralna, od aborcji do kary śmierci. Dlatego nie znoszę kolegów w biurze, którzy uważają, że część morderstw służy dobru publicznemu, natomiast egzekucje uznają za wolę Boga. Ale zabicie nastolatki, jeśli w istocie tak było, boli mnie jeszcze bardziej. Ta dziewczyna nigdy nie powinna zginąć, a jej rodzice nigdy nie powinni przechodzić tego wszystkiego, co przechodzą.

- To samo myślę na temat Alison i jej rodziców.

Stella skinęła głową.

- Chcę ci powiedzieć, że jeśli uznam, iż twój przyjaciel zabił Marcie Calder, i będę go mogła oskarżyć, to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przyprzeć Sama Robba do muru. Ale będę ostrożna, bardzo ostrożna przy podejmowaniu takiej decyzji. I na pewno będę cię informować.

- O więcej nie mógłbym prosić. - Tony urwał, zaciekawiony. - Więc wciąż chodzisz na mszę?

- Każdej niedzieli. - Uśmiechnęła się do niego. - W końcu Kościół pomógł Polsce odzyskać wolność.

- Polsce - Tony nie mógł się powstrzymać - ale nie kobietom.

- Przyjdzie i na to czas - odparła rzeczowo. - Czasem zastanawiam się, dlaczego mężczyźni i byli katolicy chcą się martwić za mnie. - Umilkła na chwilę. - Zwłaszcza ci, którzy zapomnieli, skąd pochodzą.

Tony zastanowił się nad odpowiedzią.

- Masz rację - odrzekł po chwili. - Trudno jest oceniać czyjaś wiarę... albo życie. Jeśli chodzi o

moje niezadowolenie z Kościoła, to rzecz jest bardziej skomplikowana, niż mogłabyś sądzić, i ma swoje korzenie w szczególnym miejscu i czasie. - W jego głosie pojawił się ostrzejszy ton. - Wierz mi, Stello, ja nie „zapomniałem” o niczym.

Kobieta uśmiechnęła się do niego trochę smutno.

- Przepraszam. Nie powinnam tego powiedzieć. Właściwie traktowałam cię trochę jak bohatera... zwłaszcza że wiedziałam, skąd pochodzisz. Podczas studiów prawniczych, gdy w telewizji pokazywali sprawę Carsona, oglądałam cię, kiedy tylko mogłam. Nie potrafiłam się zdecydować, czy zostać kimś takim jak ty, czy też prokuratorem, który nie pozwoli podobnym do ciebie adwokatom wyciągać ludzi pokroju Harry’ego Carsona. W każdym razie podziwiałam cię za to, jak daleko zaszedłeś. To było bardzo ciekawe.

Tony uśmiechnął się.

- Cieszę się, że dodałaś to ostatnie zdanie.

Stella wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- W każdym razie witaj w domu. Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na spotkanie z mediami - powiedziała.

- A czy mam wybór?

Stella, nie uśmiechając się, potrząsnęła przecząco głową.

- Nie - odparła. - Już nie.

## PIĘĆ

- No, no, czyż to nie jest hollywoodzki Tony Lord? - powiedział Saul Ravin.

Tony zaśmiał się.

- Cześć, Saul.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Saul cofnął się i przyjrzał mu się pośpiesznie.

- Powiedziałbym, że i ciuchy lepsze. Nieźle jak na polskiego chłopaka.

- Stworzyłeś potwora, Saul. Bez dwóch zdań.

- Potwora jeszcze bym zaakceptował, bo kilku takich bronilem. Ale ob r o n i c a... - Saul urwał i potrząsnął głową. - No cóż, Tony, już jest za późno. Siadaj.

W biurze Saula niewiele się zmieniło. On sam jednak zmienił się bardzo: włosy adwokata tworzyły kędzierzawą białą aureolę, a jego brzuch był godny zawodnika sumo lub mafijnego bossa. Wciąż miał żywe oczy, ale wypieki budziły niepokój. Niedawno minęła druga, a na biurku stała już otwarta butelka szkockiej. Tony widział to już wcześniej: starzejący się adwokat, być może wciąż bystry, ale zbyt głęboko pogrążony w alkoholu, cynizmie i zmęczeniu nazbyt wieloma procesami prowadzonymi przez zbyt wiele lat i mogący funkcjonować jedynie w krótkich zrywach. Tony zdał sobie sprawę, że zachował go w pamięci jako wybawcę, prawnika u szczytu swoich możliwości, i coś w nim bardzo pragnęło, żeby tak już pozostało. Tymczasem Tony ponownie zastanawiał się, jak wielka jest ta niewidoczna cena, którą trzeba zapłacić za życie adwokata: należy ukrywać własne przekonania, żeby służyć abstrakcyjnym zasadom: ciężarowi dowodów, domniemaniu niewinności...

- Napijesz się, Tony?

- Nie, dziękuję.

Saul spojrział na butelkę, wzruszył ramionami i nie dotknął jej.

- Ciągnie się ten dzień - powiedział. - Miałeś kiedyś dość tej pracy?

A więc odgadł, pomyślał Tony.

- Czasami bywa stresująca - zgodził się.

- Myślisz, że to w tym rzecz? Może chodzi raczej o energię, jaką zużywasz, starając się nie myśleć o tym, o czym myśleliby normalni ludzie, na przykład o tym, co twój klient zrobił albo jeszcze zrobi. A ty starasz się nie naruszyć systemu. - Saul zmarszczył brwi. - Któregoś dnia myślałem o moim



klencie, który maltretował dziecko, a którego udało mi się wybronić, ponieważ dziecko bało się składać zeznania. Dwa lata później tatuś zabił to dziecko swoim ulubionym pogrzebaczem. Przyznaję, że nie myślałem o nim od lat. Ale może podświadomie przez cały czas... - Saul z wolna pokręcił głową. - Robię się sentymentalny, Tony. Im bardziej się starzeję, tym bardziej przejmuję się takimi klientami jak ty. Jesteś jednym z tej małej, wyjątkowej grupy, co do których byłem pewny, że albo byli niewinni, albo zasługiwali na więcej, niż oferował system, który potem dawał coś, do czego ja się przyczyniałem. Pokładam nadzieję w Bogu, że ty nie masz aż tak wrażliwej duszy.

Tony wzruszył ramionami.

- Staram się jej nie mieć, Saul... dla dobra moich klientów i dla własnego zdrowia psychicznego. Czasem moja żona uważa, że mi się to udało.

Ravin machnął ręką.

- Cywile - rzucił ironicznie. - Oni po prostu nie rozumieją wyższych zasad moralności, którym podlegamy. Podejrzewam, że tobie wystarczy to, że jest utalentowana i piękna.

- Pewnie, że wystarczy. - Tony uśmiechnął się. - Chociaż w przeciwieństwie do mojej pierwszej żony Stacey stara się rozróżniać mnie i moich klientów.

Saul oparł twarz na dłoni i pochyliwszy się nad biurkiem, przyglądał się Tony'emu w milczeniu. Czegoś nie rozumiał.

- Więc siedzimy tak razem jak kumple przy barze. A teraz to twój dawny przyjaciel Sam jest podejrzany o zamordowanie nastolatki - rzekł po chwili.

- Stella Marz chyba tak myśli.

- Stella... to nie jest kobieta, która boi się rozpocząć proces. -

Oczy Saula się zwięzły. - Nie poniosę ci walizek, Tony. Nie potrzebuję tych pieniędzy.

W głosie Saula pojawił się nowy, twardy ton. Wyobrażenie Tony'ego o ciepłym spotkaniu po latach jeszcze bardziej się oddaliło - jak każdy adwokat, Saul lubił dbać o swoją przestrzeń, a udzielanie ojcowskich rad nastolatkowi odpowiadało mu bardziej niż sytuacja, w której znalazłby się we własnym mieście w cieniu obcego i sławniejszego prawnika. To, że Ravin mógł popełnić błąd - i wiedział o tym - jedynie pogarszało sytuację.

- Tu nie ma żadnych pieniędzy, Saul... przynajmniej nie ma ich tyle, ile kosztuje nowoczesna obrona. Jak sam mówisz, chodzi o przyjaźń, a dzięki sukcesowi Stacey mogę sobie pozwolić na to, by raz na jakiś czas bronić klienta za darmo.

- To miły luksus. - Stary prawnik uniósł brwi. - Aż tak bardzo ci na nim zależy?

- To jest po prostu coś, co muszę zrobić. - Widząc zagadkowy uśmiech Saula, wzruszył ramionami. - No dobrze, zależy mi na tym, by okazało się, że Sam tego nie zrobił. Może dlatego nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Właśnie po to tu jestem: przyszedłem po poradę duchową. Przyślij mi rachunek za twój czas.

Wciąż się uśmiechając, Saul spojrział na niego zwięzonymi oczami, jakby się nad tym zastanawiał.

- Rozważę, czy wystawić ci rachunek - powiedział i dodał rzeczowo: - Mówisz, że twój kumpel ją rznął.

- Obawiam się, że tak.

Saul pokręcił głową jak człowiek, który nie potrafi zrozumieć głębi ludzkiej głupoty.

- Myślisz, że rznął ją tej nocy, której zmarła?

- On mówi, że nie.

- Więc miej lepiej nadzieję, że to prawda... szczególnie jeśli zważyć na to, jak opowiadał policji, że pojechali do parku, by sobie udzielać rad. W najgorszym razie trzeba liczyć na to, że używał gumki.

Tony zastanowił się nad tym.

- Nawet jeśli miał gumkę, mógł zostawić na jej ciele włosy łonowe albo ślady nawilżacza z prezerwatywy. Ale w takim wypadku nie mogliby przynajmniej zbadać DNA nasienia.

Saul uśmiechnął się z goryczą.

- Czy nie sądzisz, że to nieco zabawne, że właśnie my rozmawiamy na taki temat?

- Przestałem się śmiać jakąś godzinę temu, Saul. Kiedy Stella Marz powiedziała mi o krwi na kierownicy Sama.

Uśmiech zniknął z twarzy Ravina.

- Jest tysiąc możliwych wytłumaczeń, mój synu. Nawet jeśli to jej krew. Nie mogą go skazać na tej podstawie.

- Wiem. Ale nie czuję się przez to lepiej.

Saul sięgnął po butelkę i nalał do szklaneczki dokładnie dwa cale. Sącył whisky powoli, niemal zbyt ostrożnie. Nagle Tony przypomniał sobie, że już to u niego widział: picie musiało się zacząć już przed laty.

- Może powinieneś jechać do domu, do żony i syna, Tony. I mieć nadzieję, że Stelli nie uda się ustalić nic więcej. Staraj się nie zaogniać sytuacji.

Tony wyobraził sobie codzienne męki Sama i Sue - ich zawieszony w próżni małżeńskie życie, groźbę oskarżenia o zabójstwo - a następnie powoli pokręcił głową.

- Pamiętam, jak to jest: czekanie cię zżera. Miałem nadzieję, że dam Marz dobry powód, by nie wносиła oskarżenia, podobny do tego, który ty dałeś w moim imieniu.

Saul pociągnął spory łyk szkockiej.

- A może Marcie chodziła do psychoanalityka? Jej lekarz mógłby wiedzieć, czy miała innego chłopaka. Albo czy miała skłonności autodestrukcyjne.

-Albo czy sypiała z Samem.

Saul skinął głową.

- To właśnie miałem na myśli, kiedy radziłem ci nie zaogniać sytuacji - rzekł.

Tony wstał i podszedł do okna. Nagle przypomniał sobie, że zrobił dokładnie to samo podczas swojego pierwszego pobytu w gabinecie Saula: patrzył wtedy na kominy, których już teraz nie było, podobnie jak miejsc pracy, które symbolizowały.

- Co za miejsce - mruknął.

- Renesans w Steelton nie zrobił na tobie wrażenia, co? Tak, *Władca z Lodu* przychodzi teraz co roku. A może mówiłeś o swoim miasteczku rodzinnym, świecie przyzwoitości Disneya?

Tony nie odwrócił się.

- Muszę zbudować sobie wizerunek Marcie Calder... dzięki jej rodzicom, przyjaciołom, komukolwiek. Nie chcę pozostawić Sama Robba na pastwę losu, który uosabia policja z Lake City.

Tony usłyszał odgłos nalewanej whisky, a potem Saul podszedł do okna i stanął obok niego z pełną szklaneczką. Tony widział zniszczony profil starego adwokata: pomarszczony podbródek, nabrzmiałe żyły na policzkach, jakby startą skórę. Pośród tego zaniedbania jego oczy zdawały się strasznie smutne i boleśnie przytomne.

- Czy mogę dać ci radę? - wymamrotał.

- Po to przyszedłem.

Zdawało się, że Saul bierze się w garść.

- Nie traktuj swojej sprawy jako wzoru dla tej. Wiedziałaś, że jesteś niewinny. A nie wiesz tego o Samie i nie możesz wiedzieć.

I jeśli to cokolwiek warte, coś mi mówi, że nie powinieneś wiedzieć. - Urwał i spojrzał na Tony'ego. - On może być winny, Tony. Nie zazdroszczę ci chwili, jeśli ona nadejdzie, kiedy zdasz sobie z tego sprawę. Możesz to wszystko jeszcze bardziej pogorszyć, jeśli tylko dlatego spieprzysz jego obronę i zniszczysz swoją reputację, że zapomnisz o tym, by odróżniać Sama Robba od Tony'ego Lorda. - Ton Saula stał się delikatny. - Jeśli tylko nie są całkiem niemoralni, dobrzy obrońcy składają się z dwóch osób, Tony. Muszą tak robić. Ta sprawa mogłaby zaszkodzić wam obu.

Tony milczał. Na to, co mówił Saul, nie można było nic odpowiedzieć. Ravin spojrzał na niego i postawił drinka na parapecie.

- No dobrze - rzekł. - A co z żoną?

- Z Sue?

- Nie było jej w domu, czy nie tak powiedziałaś? Przynajmniej nie odebrała telefonu, kiedy Sam do niej dzwonił.

- Mówi, że nie. - Tony poczuł jak opóźnioną reakcję, że zaskakuje go jego własny brak wiary. - Ty chyba nie mówisz poważnie?

- Dlaczego nie?

- Bo ja ją znam, na miłość boską!

Saul zmienił się na twarzy. Przez chwilę miał okrutnie beznamiętne oczy anioła liczącego grzechy.

- Naprawdę nie musisz się tak ekscytować, żeby mi coś wyjaśnić - powiedział łagodnie.

Tony'ego to ubodło.

- Posłuchaj, Saul... ostatnią rzeczą, jaka jest potrzebna w tym małżeństwie albo w obronie Sama, jest to, bym wskazał palcem na Sue. Najbardziej na świecie Sam potrzebuje teraz bardzo lojalnej, bardzo spokojnej żony.

Saul nie wyglądał na przekonanego.

- Nie powiedziałem, że nie można uzasadnić twoich preferencji. Powiedziałem tylko, że je masz. - Chyba zapomniał o swoim drinku. - Ile wie Sue?

- Myślę, że bardzo niewiele.

- Tym trzeba się będzie zająć. Zwłaszcza jeśli dojdzie do procesu.

- Wiem. Ale ty nie znasz Sue.

- A ty wciąż ją znasz? Po dwudziestu ośmiu latach?

Tony skinął głową.

- Sądzę, że tak. W każdym razie tak mi się wydaje.

Saul powoli odwrócił się w stronę okna i włożył ręce do kieszeni.

- Wygląda na to, że jej jesteś bardziej pewny niż jego.

Tony w milczeniu zrobił przegląd swoich uczuć. Zdał sobie sprawę, że pytania Saula miały uświadomić mu, jak daleki był od tego, kim chciał być: prawnikiem pewnym jak chirurg.

- Czasami myślę, że znam ją lepiej - rzekł po chwili. - Może zawsze tak było, ale ja nigdy tego nie dostrzegałem. A może też w pewnym sensie stosunki z nią są mniej złożone niż te z Samem. Na

pewno mniej rzeczy mnie w niej niepokoi.

Saul przyglądał się miastu: szklanym wieżom, pustym działkom, porzuconym fabrykom - wrakom podupadającej gospodarki.

- Masz rację - stwierdził. - Czasami to miejsce wygląda jak pieprzony Bejrut. - Umilkł na chwilę. - Chodzi mi tylko o to, żebyś się pilnował. Zbyt wiele w tej sprawie dotyczy ciebie.

Tony nie miał już ochoty się sprzeczać.

- Stella Marz wiedziała, kim jestem. Kim byłem.

- Oczywiście, że wiedziała. Może zostawiłeś to wszystko za sobą, ale nie stałeś się inną osobą. - Saul znowu spojrzał mu w oczy. - Wywołujesz wrzawę w mediach, która może nie być zbyt korzystna dla twojego klienta ani miła dla ciebie... „Morderca broni mordercę”.

- Być może. Ale jestem na tyle dorosły, by dać sobie z tym radę, a oni mnie potrzebują. Poza tym gra jest warta świeczki.

Saul wziął do ręki szklaneczkę.

- Może dla nich.

## SZEŚĆ

Na jej grobie położono świeże kwiaty.

Minęło prawie trzydzieści lat, zakątek cmentarza w Lake City przeznaczony dla Johna Taylora i jego rodziny otaczały teraz nowsze groby. Z większej odległości jedynie puste miejsce wokół granitowej tabliczki wskazywało, że umarła o wiele za młodo. *Alison Wood Taylor 4 maja 1950 - 3 listopada 1967*, informował napis. Dziwne, że zapomniał, jak brzmiało jej drugie imię.

Kwiaty go prześladowały. Sugerowały ciągłą obecność Taylorów, ich niepowetowaną stratę. Chociaż nie ostatecznie, Tony'emu udało się zostawić ją tutaj, w swojej przeszłości. Jej rodzice będą z nią do samego końca.

Stał teraz przy niej, w cieniu dębu, i patrzył, jak delikatne światło wiosennego popołudnia zasnuwa mrok.

Prasa go znalazła. W motelu Arbor - jedynym w Lake City - czekały na niego dwie wiadomości: dwie prośby o wywiad. Pierwszych artykułów mógł się spodziewać już następnego dnia.

Wiedząc o tym, zrozumiał, że mógł jeszcze zrobić tylko jedno.

Kiedy stał na ganku Taylorów, stwierdził z zaskoczeniem, że chciałby, żeby nikt mu nie otworzył.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Patrzyła na niego stara kobieta, miała otwarte usta. Kiedy obserwował, jak go rozpoznaje, zobaczył w jej bladej niczym ściana twarzy kobietę, która była matką Alison.

- Przepraszam, że tu przyszedłem, ale czułem, że powinienem - powiedział.

Bolało go jej milczenie. Wyglądała, jakby przeszła wylew, pomyślał, jakby mogła myśleć i mówić jedynie z największym trudem. Tylko po oczach widać było, że wie, co się wokół niej dzieje.

- Czy mógłbym chwilę z państwem porozmawiać? - zapytał.

- Wpuść go - powiedział surowy głos.

Za Katherine Taylor otworzyły się drzwi i Tony zobaczył, ile naprawdę kosztował go powrót.

John Taylor miał zmizerniałą, wysuszoną, pooraną bruzdami twarz. Patrzył na Tony'ego jak ptak: bez zmrużenia oka, zimno. Pokój za jego plecami niewiele się zmienił: te same antyki i muzealna cisza. Na gzymsie kominka widać było nowe kolory: zdjęcia siostry Alison jako panny młodej, a

potem matki. Pomiędzy nimi, uwięziona na zawsze w 1967 roku, widniała Alison. Tony skulił się w sobie, dostrzegłszy tę różnicę.

John Taylor był tak nieruchomy jak Alison na fotografii. Katherine wróciła do boku męża i nie odzywała się.

- Przyjechałem pomóc Samowi Robbowi - powiedział łagodnym głosem. - Obawiam się, że prasa na powrót wszystko odgrzebie.

- Już do nas dzwonili. - Usta Johna Taylora prawie się nie poruszały. - Uznaliśmy, że to ironia.

- Mnie też przemknęło to przez myśl. - Tony urwał, ale zmusił się, by mówić dalej. - Tyle że ja byłem niewinny i zakładam, że tak samo jest z Samem...

- Niewinny! - John Taylor podniósł głos. - Wiesz, kogo mi przypominasz?! O. J. Simpsona oferującego nagrodę dla tego, kto znajdzie zabójcę jego żony. Może, jak w wypadku Alison, będzie to człowiek, który nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne pytania...

- John. - Pierwsze słowo jego żony było niewiele głośniejsze od szeptu, a mimo to John Taylor się wzdrygnął.

Tony poczuł ucisk w żołądku. Chyba nigdy nie będzie mógł stanąć przed tymi ludźmi, nie czując tego, co czuł jako siedemnastolatek: strachu przed mówieniem i milczeniem.

- Kochałem ją - podjął po chwili. - Bardziej, niż mogliście się państwo domyślać. Ale nigdy nie potrafiłem w pełni pojąć, co straciliście i przez co przeszliście, dopóki nie urodziło się moje dziecko.

John Taylor skinął głową, lecz zaciekłość nie zniknęła z jego spojrzenia.

- Tak więc wiesz, co do ciebie czujemy, Anthony Lordzie. I zawsze tak będzie. - Głos ścichł mu ze złości. - Tak czy inaczej, to właśnie ty spowodowałeś śmierć mojej córki.

Tony w milczeniu wyobraził sobie, co czułby po śmierci Christophera. Nie mógł tego pojąć do końca, lecz jednego był pewien: gdyby tylko Alison mogła zobaczyć, co jej śmierć im zrobiła, załamałoby ją to. Ale nie mógł tego powiedzieć.

- Przepraszam, że państwa niepokoiłem - powiedział, po czym ich opuścił.

## SIEDEM

Rodzina Calderów mieszkała w bungalowie z cegły podobnym trochę do tego, w jakim spędził młodość Tony: jednopoziomowy prostokąt na trawniku w kształcie znaczka pocztowego, w tak schludnym i jednorodnym sąsiedztwie, że trudno było odróżnić jeden dom od drugiego. W drodze powrotnej od Taylorów Tony zatrzymał swój wynajęty samochód przed domem Calderów i siedział w nim, nie chcąc nachodzić rozpaczających rodziców. Ale Nancy Calder zgodziła się z nim zobaczyć, a czekanie do następnego dnia na tytuły prasowe, które z pewnością przyniesie, byłoby głupotą. Nieco po ósmej Tony nacisnął dzwonek u drzwi.

Pierwsze kilka chwil przyniosło wytrącające z równowagi pozory normalności. Nancy Calder otworzyła drzwi i gdyby nie podkrążone oczy i zmizerniała twarz, można by pomyśleć, że wita agenta ubezpieczeniowego, którego obecność w domu jest jedną z rzeczy niezbędnych w życiu. Zaproponowała Tony'emu kawę i usiadła na sofie w maleńkim salonie, mocno ściskając swoją filiżankę. Pokój był uporządkowany tak samo jak ona: miała na sobie spodnie i sweter, w których wyglądała jak czterdziestokilkuletnia wersja ciemnowłosej córki ze zdjęć. Potem do salonu wszedł jej mąż i Nancy Calder, nawet nie spojrzawszy na niego, zaczęła cicho płakać.

Tony wstał. Przez całą postawę Franka Caldera zdawała się przebijać uraza. Dawały jej wyraz obcięte na jeża kasztanowe włosy, wąskie niebieskie oczy i harda irlandzka twarz z wąskimi wargami, wystającymi kośćmi policzkowymi i skórą tak mocno obciągającą kości, jakby była na nich rozciągnięta. Ale Tony pojął, że to właśnie dzięki pani Calder pożałował, iż musiał się tu znaleźć.

- Nancy chciała się z panem widzieć - rzekł obcesowo Calder. - Ja nie. Dlaczego, na Boga, mamy rozmawiać z jego adwokatem?

Tony opanował się.

- Ja tylko staram się to zrozumieć - odpowiedział. - Sam Robb jest moim starym przyjacielem i wydaje się zdruzgotany tym, co się stało. Jeśli jednak dojdę do wniosku, że skrzywdził państwa córkę, natychmiast opuszczę Lake City.

To wszystko było prawdą. Tony bronił już winnych, ale nie mógł tego zrobić ponownie, jeśli ten człowiek, jego przyjaciel, zamordował nastolatkę. Ostatnie chwile spędzone u Taylorów oraz nad grobem Alison upewniły go w tym postanowieniu.

- Skrzywdził - powtórzył Frank Calder. - Czy tak to nazywacie?

Tony zauważył, że Frank Calder zapomniał chyba o swojej żonie. Wydawało mu się, że wrogość jest stałą cechą jego charakteru, a ich żal to tylko wierzchnia warstwa. Żona chwyciła krzyżyk, który wisiał na jej szyi, jakby chciała wycofać się z wściekłości męża. Tony stanął przed nią i powiedział



szeptem:

- Jeśli znajdzie się bardziej stosowna chwila...

Nancy Calder z wolna pokręciła głową.

- Nigdy nie będzie stosowniejszej chwili - odparła, a on zauważył, że przestała płakać.

Nie patrząc na Franka Caldera, Tony z powrotem usiadł naprzeciw matki Marcie. Powiedział cicho:

- Przykro mi, że jej nie znałem, pani Calder.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas.

- Przez ostatnie dwa lata pracowałam, panie Lord. Więc może i ja jej nie znałam.

Lepiej było po prostu słuchać.

- Tony - rzekł łagodnie. - Proszę mówić do mnie Tony.

Na jej twarzy nie widać było reakcji. Skinęła tylko głową.

- Nigdy nie było mnie w domu po szkole - powiedziała po chwili milczenia. - Wtedy dziewczynki są takie podekscytowane, opowiadają o całym swoim dniu...

- Oszczędzaliśmy na college - Frank Calder odezwał się surowym tonem, siadając obok żony. - Wie pan, ile dzisiaj kosztuje college.

Tony znowu usłyszał w jego głosie dziwną asekurację. Rozumiał, że Franka Caldera drażniło to, iż nie potrafił sam zapewnić bytu rodzinie. Był księgowym - Tony przypomniał sobie z wycinków, które czytał - i pracował dla dużego przedsiębiorstwa przewozowego. Choć Stanley Lord był o wiele łagodniejszy w obejściu, Tony wyczuł u Caldera to samo skrywane poczucie krzywdy, frustrację zrodzoną z poczucia, że jest jak szczur w klatce badacza, jak człowiek żyjący z dnia na dzień.

- No to teraz nie będziemy już musieli na nią oszczędzać - rzekł do swojej żony.

Mogło to zabrzmieć okrutnie, ale dla Tony'ego stanowiło pierwszą oznakę, że oto oni ponieśli stratę, a irytacja w jego głosie ustępowała zmęczeniu. Oczy nabiegły mu krwią.

Tony zapytał cicho:

- Czy córka w jakikolwiek sposób dawała państwu podstawy do niepokoju? To znaczy w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Frank Calder bez słowa obrócił się w stronę żony.

- Wydawała się bardziej chłodna - powiedziała po chwili Nancy Calder. - Jakby była gdzie indziej.

- Nic bardziej konkretnego?

Nancy Calder potrzęsła głową.

- Trochę popsuły się jej stopnie. Ale wciąż chodziła z nami na mszę... nie była buntownicza, co ksiądz Carney, nasz proboszcz, widzi u tak wielu młodych ludzi. Była taka dobra dla swojej młodszej siostrzyczki... - Urwała nagle, po czym ciągnęła zmienionym, obojętnym i skrywającym złość głosem. - No i oczywiście w dalszym ciągu uwielbiała biegi. Kiedy ostatnio widziałam Sama Robba, uznał za stosowne powiedzieć mi, że Marcie bardzo się stara.

Tony poczuł moralną dwuznaczność swojej sytuacji: wiedział od Sama, że jego przyjaciel spał z Marcie czy też - jak to ujął Sam - że Marcie starała się go uwieść. Zapytał ostrożnie:

- Czy według państwa on ją pociągał?

Oczy kobiety napełniły się goryczą.

- Z tego, co powiedział policji, Marcie „leciała” na niego - odparła. - Ale ja nigdy nie widziałam żadnych tego oznak. - Zwróciła się do męża: - Czy ona kiedykolwiek mówiła o n i m więcej niż o panu Nixonie?

Frank Calder wbił wzrok w dywan.

- Nie - odpowiedział.

Nancy Calder skinęła głową.

- Może i szukała kogoś na podobieństwo jednego z rodziców, kogoś innego niż my. Ale nie szukała romansu.

Frank Calder nie patrzył na nią. Powtarzając w myślach określenie „rodzice”, Tony słyszał „ojciec”. Wyczuł, że Marcie i jej rodziców dzieliło więcej, niż ci przyznawali.

- Czy mieliście jakiegokolwiek trudności? - dopytywał się. - Nieporozumienia?

Nancy Calder spojrzała na męża.

- Jedno - odpowiedział ze ściśniętym gardłem. - Chciałem ją posłać do katolickiej szkoły dla dziewcząt. Teraz z tymi wszystkimi narkotykami i seksem... - Urwał. - Nie chciała tam pójść, a Nancy nie chciała nalegać. Więc to chyba była moja wina.

Brzmiało to już bardziej wiarygodnie; Frank Calder sprawiał wrażenie człowieka z zasadami, lepszego w nakazywaniu niż słuchaniu. Jego żona odezwała się delikatnie:

- Nie zmusiłbyś jej, żeby tam poszła, Frank. Marcie o tym wiedziała.

Smutek tej sytuacji wytrącił Tony'ego z równowagi: ograniczony mężczyzna żałujący tego, co powiedział córce, której nieoczekiwanie i nie wiadomo dlaczego nie mógł już teraz nic powiedzieć, i jego żona, oferująca pocieszenie, w które chyba sama nie wierzyła.

- Czy martwiliście się jej problemami emocjonalnymi? - zapytał Tony.

- Nie. - Frank Calder patrzył teraz na niego. - Niczego takiego nie było. Nasza córka na pewno nie potrzebowała psychiatry.

Nancy Calder zacisnęła wargi.

- Tutaj samobójstwo absolutnie nie wchodzi w grę, jeśli oto pan pyta. Marcie była na to zbyt spokojna. Była tylko trochę cicha, to wszystko. Poza tym była wierzącą katoliczką, zbyt zaangażowaną w wiarę, by nawet myśleć o odebraniu sobie życia. - Jej głos stał się hardy. - Z powodu trenera od biegów czy kogokolwiek innego.

Tony postanowił zmienić temat.

- Wspomniała pani o panu Nixonie.

Wciąż pełna złości Nancy Calder skinęła szybko.

- Ernie Nixon zajmuje się we władzach miasta organizowaniem działalności rozrywkowej. To Murzyn - odpowiedziała.

Tony ukrył zaskoczenie.

- Tak. Znam go. A właściwie znałem, kiedyś.

- On pierwszy nakłaniał Marcie, żeby zajęła się biegami. Przed rozwodem pana Nixona Marcie czasami opiekowała się jego dziećmi. - Nagle jej oczy zaszły mgłą. - Marcie uwielbiała dzieci, a dzieci ją. Począwszy od jej siostrzyczek...

Nagle Tony poczuł, że o czymś tu nie rozmawiają, że chodzi tu o coś więcej niż żal. Zapytał delikatnie:

- Jak sądzicie, co się jej stało?

Nancy Calder podniosła głowę.

- Sam Robb ją zamordował. Żeby go nie wykryli. Prędzej czy później trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - odpowiedziała spokojnie.

Nagle Tony zrozumiał, że Calderowie wiedzą, iż Sam i ich córka uprawiali seks. Ale w żaden sposób nie mogli się z tym pogodzić. Równie spokojnie stwierdził:

- Ale to mógł być wypadek, pani Calder. Albo mógł to zrobić ktoś inny.

Kobieta zaczerwieniła się.

- Nie było nikogo innego - powiedział przez zaciśnięte gardło jej mąż. - Marcie nie była dziwką...

- Błagam, nie to miałem na myśli. To mógł być ktoś obcy.

Oboje umilkli. Z ich ciężkich spojrzeń wnosił, że czuli się uspokojeni - jeśli to w ogóle możliwe -

nie perspektywą, że był tam ktoś jeszcze, ale ustępstwem Tony'ego. Prześladowało go poczucie, że o czymś mu nie mówią.

- Z kim Marcie była blisko? - zapytał.

Oczy Nancy Calder rozszerzyły się, jakby to pytanie było oskarżeniem, że zawiodła swoją córkę. Odpowiedziała lapidarnie:

- Janice D'Abruzzi. To jej najlepsza przyjaciółka.

Wypowiadała te słowa jak klątwę. Nagle Frank Calder podniósł się.

- Odejdź stąd. Zostaw nas z pamięcią naszej córki i przynajmniej jakąś nadzieją na sprawiedliwość. Dla niego, jeśli nie dla niej - rzekł do Tony'ego i wyszedł z pokoju.

Żona powiodła za nim wzrokiem.

- Jesteśmy bardzo zmęczeni - oznajmiła po prostu i Tony zrozumiał, że jego czas się skończył.

Odprowadziła go do drzwi; znowu była spokojna. Spojrzała mu w oczy.

- Proszę, niech pan nie broni Sama Robba. Jeśli jest pan przyzwoitym człowiekiem... - wyrzuciła z siebie.

## OSIEM

Artykuł zamieszczono na trzeciej stronie „Steelton Press”. Nad zdjęciem Tony’ego i Stacey widniał tytuł: „Obrońca Robba zamieszany w zabójstwo sprzed lat”. Na zdjęciu Tony szeroko się uśmiechał.

- Ładne zdjęcie - ocenił Sam Robb. - Twój najlepszy uśmiech mordercy.

Tony patrzył na przyjaciela, siedząc po drugiej stronie jego śniadaniowego stolika. Denerwowała go beztroška Sama, martwiła Stella Marz, Taylorowie, rodzice Marcie.

- Na twoim miejscu też nie byłbym taki szczęśliwy - odrzekł.

Sam podniósł na niego wzrok.

- Nie jestem, Tony. Wciąż pamiętam, jak bardzo chciałeś zostawić to za sobą. - Zamilkł i położył rękę na przedramieniu Tony’ego. - Chcę powiedzieć, że jestem ci wdzięczny za pomoc, że jestem dumny z tego, iż ciągle jesteś moim przyjacielem, i że denerwuje mnie to głównie, bo ono denerwuje ciebie. Może tym razem nauczę się mówić ci, co chcę powiedzieć.

Ku swemu zdziwieniu Tony poczuł wzruszenie.

- Nie chodzi o prasę, Sam. Rzecz w tym, że nie ma godziny, by nie wracały moje uczucia do Alison. Nie tego chcesz od adwokata.

Sam skinął głową.

- Pewnie spotkanie z Calderami było ciężkie.

- Tak. I z Taylorami również.

- Widziałeś się z nimi?

- Czułem, że muszę.

- Jezu. - Sam znowu spojrzał przyjacielowi w oczy. - Słuchaj, wywołałem tę aferę, bo zawiodła mnie zdolność oceny. Ty nigdy na to nie zasłużyłeś, ani wtedy, ani teraz.

Tony wzruszył ramionami.

- Życie jest niesprawiedliwe, tak mi kiedyś powiedział Saul.

Nagle Sam podniósł się i nie pytając, dolał Tony’emu kawy.

Potem napełnił też swoją filiżankę.

- Chyba popełniłem błąd, pozwalając ci tu przyjechać, Tony.

Ta uwaga zaniepokoiła Tony'ego.

- Dlaczego „błąd”?

- Może to nie błąd, lecz egoizm. - Sam usiadł i spojrzał na przyjaciela ponad brzegiem swojej filiżanki. - Jeśli tu zostaniesz, ten artykuł nie będzie ostatni. Trafisz na pieprzoną okładkę „Vanity Fair”, wiesz, to dociera nawet do nas, do Lake City. - Sam odwrócił się i popatrzył przez okno. - Przeżyłem tydzień w mieście, w którym część ludzi myśli, że ją zabiłem, i już wiem, że moje życie tutaj nigdy nie będzie takie jak przedtem, chyba że jakoś uda mi się udowodnić, iż tego nie zrobiłem. Ty jesteś sławny, Tony, więc historia z Alison wszędzie będzie się za tobą ciągnąć. A kiedy patrzę na ciebie, widzę, że i tak nigdy cię nie opuszcza. - Obrócił się do przyjaciela i dokończył kojącym tonem: - Wracaj do San Francisco, stary. Nie zabiłem jej, więc przynajmniej nie mogą udowodnić, że to zrobiłem. A na uratowanie posady jest tylko jeden sposób: kłamać.

Jakimś trafem Sam osiągnął chyba w ciągu ostatnich dwóch dni stan spokoju.

- Czy ty właśnie odnalazłeś Boga? - zapytał Tony.

Sam uśmiechnął się lekko.

- Właściwie to przypomniałem sobie, jak mieliśmy po siedemnaście lat. Dawałeś sobie radę, bo miałeś się na czym oprzeć: wiedziałeś, że nie byłeś „mordercą”, którego nienawidzili ludzie. - Jego uśmiech zniknął. - Cóż, ja też nim nie jestem. To po prostu nie ja.

Tony odczekał chwilę, rozdarty między podejściem adwokata a przyjaciela. Zapytał łagodnie:

- Rozumiem, że Sue tu nie ma.

- Jest na ćwiczeniach. - Spojrzał uważnie na Tony'ego. - A co? Coś się stało?

- Gliny zdjęły ślady krwi z twojej kierownicy. Ty nie masz grupy AB, prawda?

Sam usiadł.

- Nie - odparł z wolna. - Sue ma.

- I miała ją też Marcie Calder.

Sam oparł się wygodniej, twarz wykrzywiło mu zdziwienie, a potem opuścił powieki.

- Mogą ją rozróżnić, prawda? Dzięki badaniu DNA?

Tony potaknął.

- Czy istnieje powód, dla którego krew Marcie, jeśli to jej krew, mogła się znaleźć w tym

samochodzie? Taki, który mógłbym podać Stelli Marz?

Sam pokręcił przecząco głową.

- Nie, chyba że ktoś inny ją tam umieścił - odrzekł po chwili.

Tony mówił łagodnie.

- „Rzeczywisty morderca”, Sam? A może gliny, jak u O. J. Simpsona?

Sam zbladł.

- Muszę się zastanowić, Tony. Muszę się naprawdę dobrze zastanowić.

Tony przyglądał mu się uważnie.

- Może wtedy wykombinujesz, dlaczego rodzice Marcie wyglądają na pewnych - nie tyle domyślają się, ile są pewni - że ty i Marcie uprawialiście seks.

Sam zagryzł wargi.

- Może ktoś im powiedział - rzekł po chwili milczenia. - Co mówili?

- Niewiele. Więcej sam odgadłem.

Sam milczał przez jakiś czas.

- Pewnie mnie nienawidzą.

- Są trochę bardziej konkretni. Sądzą, że ją zabiłeś. Żeby ukryć uwiedzenie ich bardzo nieśmiałej najstarszej córki... która co najwyżej szukała zastępczego ojca.

Sam spojrzał na niego ostro.

- Do czego ty naprawdę zmierzasz?

- Czy Calderowie wiedzą coś, o czym i ja powinienem wiedzieć? Coś, nad czym nie musisz się tak bardzo zastanawiać?

Sam założył ręce na piersi.

- Wracaj do domu, stary. Już i tak jest źle, a ja nie muszę patrzeć, jak zmagasz się ze swoimi wątpliwościami.

- Odpowiedz na moje pytanie, do cholery!

Sam odczekał chwilę, jak człowiek, który nie da się popędzać, po czym odparł spokojnie:

- Nie jestem bardziej winny, niż ty byłeś, Tony. I mam nadzieję, że uwierzysz w to mocniej, niż ja wierzyłem. Powiedziałem już dość.

Grupa dziewcząt zebrała się na linii pięćdziesięciu jardów, żeby przeciwżyć wiwaty. Stojąc blisko barierki, Tony odgadł, która z nich mogła być Janice D'Abruzzi: to ich kapitan - stwierdził - ciemnowłosa dziewczyna, która była tak wysportowana, że przypominała mu Sue. Kiedy ćwiczenia się skończyły, a ona pierwsza zeszła z boiska, Tony zaryzykował.

- Janice? - zapytał.

Zatrzymała się i spojrzała na niego nieufnie. Była ciemna i dosyć ładna i według Tony'ego, miała w sobie coś florenckiego: oliwkową cerę, pełne ciało, pewną wibrację, która nawet mimo tego, że stała bez ruchu, sugerowała ruch i tętniące życie. Poczł się nieswojo, bo przypominała mu, jak atrakcyjne bywają siedemnastoletnie dziewczęta.

- Czy ty jesteś córką Johnny'ego? - dopytywał się.

Skinęła twierdząco, nie ruszając się z miejsca.

- Nie jestem dziennikarzem - zapewnił ją. - Twój tata i ja graliśmy razem w futbol, tysiąc lat temu. Jestem teraz prawnikiem... Tony Lord.

Janice owinęła się szczelniej kurtką cheerleaders.

- Wiem, kim pan jest.

Miała niski, chrapliwy głos, w którym było coś seksualnego, coś kobiecego.

- Jak się miewa twój tata?

Przez chwilę nie odpowiadała.

- Zmarł sześć miesięcy temu. Na atak serca.

Zaskoczyło go to. Przypuszczał, że to tylko pierwsza z takich niespodzianek, pierwsza tragedia wieku średniego.

- Boże. Strasznie mi przykro - powiedział.

Przechyliła lekko głowę - tylko tak mu podziękowała. Zapytała cicho:

- Czego pan chce?

Tony milczał przez chwilę.

- Miałem nadzieję porozmawiać o Marcie. Wiem, że byłaś jej najbliższą przyjaciółką.

Ciemne oczy Janice znieruchomiały.

- Kto tak panu powiedział?



Tony znowu się zawahał.

- Jej matka.

Janice spłonila się i opuściła wzrok. Przyglądając się jej, Tony pomyślał o Christopherze i jego przyjaciółach. Często najlepiej było, stwierdził, rozmawiać z nimi jak z dorosłymi, którymi chcieli być, i - w dobrych czasach - prawie nimi byli. Zupełnie tak jak Saul Ravin rozmawiał z innym siedemnastolatkiem tyle lat temu.

- Janice, wiem, że między tobą a rodzicami Marcie nie jest najlepiej, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Nie chcę tego pogorszyć.

Znowu na niego spojrzała.

- No to co chce pan zrobić?

Zaskoczyło go drżenie jej głosu.

- Zrozumieć, co się przydarzyło Marcie. I dlaczego.

Obejrzała się za siebie, na inne dziewczęta, które szły do szatni, po czym znowu spojrzała na adwokata.

- To było bardzo trudne, w porządku? Już mówiłam o tym policji.

- O czym?

- O Marcie - odparła bezceremonialnie. - Jak pomogłam ją zabić.

Tony przekrzywił głowę.

- Jak mogłaś to zrobić?

W jej oczach błysnęło coś nowego, intensywnego, emocjonalnego.

- Tamtej nocy dzwoniła matka Marcie, szukała jej. Powiedziałam jej, że przygotowujemy referat i że Marcie poszła do biblioteki. - Głos dziewczyny stał się chrapliwy. - Wie pan, żeby coś sprawdzić.

Tony pamiętał drobne akty buntu, często nierozważne, przez które on i Sam określili siebie jako innych od rodziców. A potem ze zgrozą przypomniał sobie, jak planował z Alison, że wyjdzie do niego z domu tamtej nocy.

- Rozumiem, że Marcie cię o to prosiła.

- Tak. - W jej głosie słychać było gorycz. - Byłam przecież jej najlepszą przyjaciółką, nie pamięta pan?

- Więc na pewno powiedziała ci dlaczego.

Janice przyglądała mu się przez chwilę, jakby zastanawiała się, czy zostać, czy też odejść. Potem podeszła do ściany otaczającej boisko futbolowe i oparła się o nią, wystawiając twarz do słońca.

- Częściowo - „odpowiedziała wreszcie. - Był jakiś facet. Ale nie chciała powiedzieć, kto to.

Tony zmusił się, by nie naciskać i zadawać tylko tyle pytań, żeby odbijać jej myśli.

- Czy wiesz, dlaczego nie chciała powiedzieć?

- Bo miała kłopoty, tak mówiła. Kazał jej to obiecać.

Powiedziała to pełnym zaangażowania tonem dziewczyny, która przeżywa dramat innej nastolatki. Ale Tony usłyszał, jak śmiercionośne będzie to stwierdzenie w oskarżeniu o zabójstwo.

- Czy mówiła, dlaczego go broni?

Janice spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. Powiedziała tylko, że był starszy. I żonaty.

Tony wytrzymał jej spojrzenie. Zapytał łagodnie:

- A więc dlaczego Marcie się z nim związała?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Marcie była wspaniałą przyjaciółką: mądrą i lojalną, łatwo się z nią rozmawiało. Ale co do facetów, to była najbardziej naiwną dziewczyną w Lake City, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. Jestem pewna, że nie miała nikogo oprócz niego. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - Jej tata bez przerwy na nią wrzeszczał, jakby chciał, żeby została jakąś zakonnicą. Ten facet w nią wierzy, tak mówiła. No więc, tak, mogła się zakochać w starszym facecie, który na nią nie wrzeszczał.

Skojarzenie zdecydowanej postawy dorosłych z urazami Marcie zaintrygowało Tony'ego - Janice nie była ani głupia, ani ograniczona.

- Nie czułaś się trochę zraniona? - zapytał. - Tym, że Marcie ci się nie zwierzała.

Janice potrząsnęła głową.

- Nie znał jej pan - odpowiedziała. - Marcie mu obiecała, a ona zawsze dotrzymywała obietnic. Jeśli prosiłam Marcie, by zachowała coś w tajemnicy, to wiedziałam, że nic nikomu nie powie... nigdy. - Urwała, a w jej oczach zalśniły łzy. - Dobrze jest wiedzieć coś takiego o przyjaciółce. O tym właśnie myślałam, kiedy okłamywałam jej matkę.

Tony przyglądał się jej w milczeniu. Janice pochyliła się do przodu, zdawało się, że bierze się w garść. Nagle zrobiło mu się naprawdę jej żal, zasmucił się jeszcze bardziej. Wyglądała na bardziej złożoną wersję szczerego chłopaka, który został jej ojcem. Wreszcie zaryzykował:

- Na pewno zastanawiałaś się, kto to może być.

Ociężała wzruszyła ramionami.

- O tak.

- Czy myślałaś, że to Sam Robb?

Unikała jego spojrzenia.

- Nie. Nigdy tak nie myślałam.

Tony skinął głową.

- Myślałaś, że to Ernie Nixon, prawda? Przyjaciel twojego taty.

Spojrzała mu w oczy, ale nie odpowiedziała.

- Nie musisz nic mówić - pospieszył z zapewnieniem. - Wiem, że lubiła pana Nixona.

Po chwili jej spojrzenie złagodniało.

- Marcie była wielką idealistką - powiedziała tylko.

Tony'emu to zdanie powiedziało więcej, niż Janice pewnie chciała zdradzić - na temat jej samej, Marcie i uczuć przyjaciółek.

- Czy Marcie miała jakichś chłopców? - zapytał. - To znaczy w liceum.

Janice pokręciła przecząco głową.

- Właściwie nie. Jesteśmy taką paczką, chłopaki i dziewczyny, czasem robimy coś razem jako przyjaciele... Nie jestem pewna, czy jej tata kiedykolwiek to rozumiał. Ale Greg Marsh, chłopak, z którym z reguły chodziła tańczyć, jest gejem. - Urwała. - Mało kto o tym wie, zwłaszcza Taylorowie, jego bogaci dziadkowie. Lecz Marcie lubiła Grega i kryła go. Była trochę nieśmiała wobec chłopców, więc obojgu to odpowiadało. - Dziewczyna uśmiechnęła się przelotnie. - Zawsze jednak kazała mu się całować na pożegnanie, tak mi mówiła, na wypadek gdyby kiedyś musiał się ożenić.

Była to pierwsza sugestia, że Marcie miała poczucie humoru, i dodawała coś do jego wyobrażenia tej dziewczyny: była miła i miała swego rodzaju zasady. Tony pomyślał, że siostrzeniec Alison nie miał łatwego życia, jeśli rzeczywiście był gejem. Potem uderzyło go, że jak dla Marcie, jej najbliższej przyjaciółki, Janice była zbyt realistką. Nie mogła zatem być marzycielką oderwaną od rzeczywistości.

- Zdaje się, że Marcie była dobrym człowiekiem - rzekł po chwili.

Dziewczyna patrzyła gdzieś przed siebie.

- Marcie była wspaniała - odpowiedziała.

Wsadził ręce do kieszeni i dał jej trochę czasu, nim zapytał:

- Myślisz, że chciała za niego wyjść?

Janice zmieniła się na twarzy: zdawała się nie rozumieć, a potem dziwić.

- Ze starszym? Nie ma mowy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ go kochała, tak mi powiedziała. Nie była szalona i nie chciała zrujnować mu życia. Mieli swój świat, tak mawiała, i tak musiało pozostać. - Urwała i pokręciła głową. - Pamiętam, jak mówiła, że musi dbać o to, by jej tata nadal wierzył w Marcie Dziewicę. Na pewno nie chciałyby zepsuć takiej fikcji.

Ten żart - tak dobrze pasujący do nastoletnich wybryków - rozdrażnił Tony'ego najbardziej ze wszystkiego, co usłyszał. Zbyt różnił się od opisu dziewczyny, jaki dał mu Sam, skupiając się na jej fantazji, by za niego wyjść.

- Co ci powiedziała tamtej nocy, kiedy prosiła, żebyś ją kryła? - zapytał ostrożnie.

Janice oparła się z powrotem o ścianę i spojrzała w niebo. Przez chwilę Tony myślał, że go nie słucha, ale wtedy zaczęła opowiadać.

Według Janice, Marcie wyglądała na przerażoną.

Było już niemal wpół do szóstej i pierwsze cienie zakradły się do sypialni Janice. Siedziały po turecku na różowej kołdrze. Marcie była blada, tym razem nie mogła patrzeć swojej przyjaciółce w oczy.

- Muszę się z nim zobaczyć - powiedziała. - Muszę.

- Dlaczego dzisiaj?

- Musimy porozmawiać. - Marcie ciężko przełknęła ślinę. - Jak tylko będę mogła, wszystko ci opowiem. Ale jeszcze nie teraz.

Janice przyglądała się swojej przyjaciółce. Znała Marcie Calder od tak dawna, widywała ją codziennie od lat, więc nie potrafiła dokładnie powiedzieć, jak Marcie wyglądała w wieku dziesięciu, dwunastu czy czternastu lat. Jednak tej nocy wydawała się tak młoda, że Janice strasznie się o nią bała: była milcząca, zagubiona, przybita.

- Masz kłopoty? - zapytała.

Marcie szybko pokręciła głową.

- Nie - odpowiedziała i pierwszy raz spojrzała na przyjaciółkę. - Proszę, Jan. Zrób to dla mnie.

Rozpacz w jej głosie przeraziła Janice. Spojrzała w błyszczące brązowe oczy, na delikatne piegi,

które teraz bardziej niż kiedykolwiek upodabniały ją do młodszej siostry Janice.

- Jeśli zadzwoni, a ciebie tu nie będzie, to co mam powiedzieć? - spytała dziewczyna.

- Nie wiem. Cokolwiek. - Marcie wzięła dłonie przyjaciółki w swoje ręce. - Powiedz jej, że byłam tu i przygotowujemy referat, ale że potem poszłam do biblioteki po dodatkowe artykuły. Mój tata będzie zadowolony, bo wiecznie każe mi się „przykładać”.

Janice umilkła. Jej wątpliwości miały charakter praktyczny, nie moralny. Nie chciała, żeby je przyłapano na kłamstwie.

- Proszę - powtarzała Marcie.

Janice zobaczyła wyraz jej twarzy i wbrew sobie skinęła głową.

Kiedy Marcie ją objęła, opowiadała Janice, miała łzy w oczach -zupełnie jak Janice, kiedy mówiła o tym Tony’emu Lordowi.

- Na pogrzebie - powiedziała cicho Janice - nie mogłam spojrzeć jej mamie w oczy. Nie mogłam spojrzeć na żadne z nich. I nigdy nie będę mogła.

Tony widział, jak łzy spływają po jej twarzy, i pomyślał o swoich łzach, kiedy znalazł Alison.

- Byłaś wierna przyjaciółce.

Janice odwróciła się od niego bez słowa.

## DZIEWIĘĆ

Centrum rekreacyjne w Lake City znajdowało się w byłej bibliotece Taylorów, dziewiętnastowiecznym budynku zbudowanym bez jednolitego planu na trawiastym wzgórzu, z którego roztaczał się widok na park Taylorów. Na trawie umieszczono estradę i karuzelę. Tony'emu widok ów przywiódł na myśl filmy Franka Capry - jakby artefakty zdrowia były tym samym co autentyk. W pobliżu, na piaszczystym boisku, Ernie Nixon prowadził ćwiczenia z piłką dla siedmiolatków.

Adwokat przyglądał się im przez chwilę. Był zbyt daleko, żeby słyszeć Erniego lub dzieciaki, widział za to niemy film przedstawiający cierpliwego trenera, który przerywa zajęcia, by udzielić wskazówek, i podaje raz czy dwa razy więcej, aż pałkarz trafi wreszcie w piłkę. Na koniec kilkoro dzieci podbiegło do Erniego, jakby nie chciały, żeby ich trening się skończył. Mężczyzna pokazał jednemu z nich, jak nosić czapkę z daszkiem przechylonym z przodu na bok pod śmiesznym kątem. Potem pozbiierał piłki i kije do płóciennej torby, a dzieci poszły do domu z tymi, którzy je tu przyprowadzili.

Tony ruszył ku niemu przez boisko. Gdy Ernie to zauważył, odłożył torbę. Z jego postawy, braku zaskoczenia i odrobiny rezygnacji prawnik wyczytał, że tamten się go spodziewał.

- Cześć, Tony.

- Cześć, Ernie. - Uścisnęli sobie oficjalnie dłonie, jakby odprawiali jakąś ceremonię. - Minęło sporo czasu.

- No cóż, wciąż wyglądasz tak, jak wyglądałeś. Znalazłbym cię w szeregu, jeśli mogę tak powiedzieć - rzekł Ernie.

Tony uśmiechnął się.

- Sądząc z tej porannej gazety, nie jestem wcale pewny. W każdym razie ty też dobrze wyglądasz. Nie przytyłeś.

- Nie przytyłem i mam mniej włosów. - Ernie przeciągnął dłonią po wysokim, wąskim czole i krótko obciętych szpakowatych włosach. - Wiek średni... nie ma na to mocnych, prawda? Chociaż z tobą staruszek czas może przegrać zakład.

- Staram się. No to jak ci się teraz żyje?

Ernie wzruszył ramionami.

- Dwoje dzieci: córka dziewięć lat, syn siedem. Bardzo mi ich brakuje. Ich matka odeszła razem z

nimi, wróciła do Chicago. - Spojrzał na park Taylorów i powiedział ciszej: - Poza tym pani Lincoln, przemiła dziewczyna, została zamordowana tutaj w zeszłym tygodniu. Ty chyba pamiętasz, co się wtedy czuje.

Tony od razu wyczuł, że w tej uwadze chodzi o coś więcej niż o proste stwierdzenie „morderstwa”. Może było to nie wypowiedziane oskarżenie pod adresem obrońców albo Sama Robba, albo też Tony’ego za to, że mu pomaga. Ale Tony udał, że dostrzega tylko to, co zostało powiedziane.

- Dlaczego mówisz, że ją zamordowano?

- Bo ją znałem. - Jego spojrzenie zhardziało. - Przyszedłeś spytać o Marcie, prawda? Może po to, żeby zrozumieć, w jaki sposób osunęła się z klifu, a może, by się przekonać, czy się z niego rzuciła?

Adwokat przez chwilę nie odpowiadał.

- Kiedy byliśmy dziećmi, Ernie, tłumaczyłeś wątpliwości na moją korzyść.

Nixon wsparł ręce na biodrach.

- To było wtedy, facet, no i chodziło o ciebie. Byłeś wtedy całkiem dobrym człowiekiem... wiedziałem, co przechodziłeś w związku z Alison, i zachowywałeś się jak mężczyzna. A teraz wygląda na to, że chyba nieźle ci się udało: pieniądze, małżeństwo ze Stacey Tarrant, wszystko, co chcesz. - Zamilkł i po chwili ciągnął znowu spokojnym głosem. - Teraz jesteś obrońcą kogoś innego, starasz się go wyciągnąć. Nie, nie kogoś. Jesteś obrońcą Sama Robba.

Dzięki nabytej przez lata rutynie Tony zachował spokój.

- Co masz przeciwko Samowi?

Ernie nachmurzył się i spojrzał na park.

- Ty i Sam Robb zbrataliście się, dwie największe gwiazdy. Pasujecie do siebie. Choć jestem pewien, że to bardziej odpowiadało jemu niż tobie. Ale nie zamierzam pomóc ci przedstawić dobrej, młodej dziewczyny inaczej, niż wyglądała, po to tylko, żeby uratować jego żalosny, zarozumiały tyłek.

Tony szybko poukładał myśli: zainteresowanie tym, jak Ernie widział jego przyjaźń z Samem; świadomość, że dawny kolega przeszedł do ataku, by uniknąć jego pytania; niepokojący odcień pewności co do Sama, taki sam jak u Calderów; przeczucie, że Ernie ukrył najsilniejsze z uczuć, jakie żywił do Marcie. Postanowił podjąć tylko ten ostatni wątek, i to niebezpośrednio.

- Jaka była Marcie? - zapytał.

Tamten przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Potem zwrócił na Tony’ego swoje zaskakująco zielone oczy i odparł cicho:

- Niewinna, kolego. Całkowicie niewinna.

- Chyba bardzo ją lubiłeś.

- Można tak powiedzieć. - Wskazał głową na centrum rekreacyjne. - W tej pracy można czasem dotknąć życia dzieciaków. Ale nie wiadomo, na jak długo i jak trwale to będzie dotknięcie. W przypadku Marcie myślałem, że może będę mógł zrobić coś dobrego. Była tak cholernie słodka i otwarta. To znaczy, jeśli dorosły chciał jej poświęcić czas i wysłuchać, a nie tylko mówić do niej. - Kontynuował chłodno. - Pewnie Sam Robb też to zrozumiał. Na swój sposób.

- Dlaczego tak mówisz?

Ernie się odwrócił.

- Poznałeś rodziców? - zapytał po chwili.

Tony znowu poczuł, że jego znajomy umyślnie unika odpowiedzi, jak ktoś, kto wie doskonale, w którą stronę chce skierować rozmowę.

- Tak, poznałem ich.

- Cóż, Marcie potrzebowała, żeby ktoś jej wysłuchał, a jej stary nie należy do tych, co lubią słuchać... no i wielkim feministą też nie jest. Spotkasz go parę razy i masz pełny obraz: kobietom nie wiedzie się w świecie biznesu, bo „one to chcą tylko zajść w ciążę i żeby im jeszcze potem za to płacono”. - Po jego twarzy przemknął sardoniczny uśmiech. - Wiesz, one chcą „specjalnych przywilejów”, zupełnie jak niektóre inne „grupy”. Jej ojciec wymyślił dla niej „kobiece zajęcie”, takie jak praca w szkole czy w pomocy społecznej: jeden z tych „mało poważnych” zawodów, które mogą wykonywać, w razie gdyby ich mąż umarł, i wciąż się cieszyć z wakacji z dziećmi. Świat go przeraża, podobnie zresztą jak możliwość, że jego cichutka dziewczynka może mieć jakieś swoje myśli. Więc podnosił głos, chyba po to, żeby tych myśli nie słyszeć. To działało. Nic nie słyszał.

Tony stał przy Erniem i patrzył na park Taylorów. Z miejsca, w którym się znajdowali, widać było go aż po kraniec, a za nim dwa błękitne pasma: wody i dalej - nieba.

- Więc przychodziła do ciebie? - zapytał Tony.

Skinął głową.

- Czasami wpadała do mnie do biura. Kilka razy zajmowała się dziećmi, a kiedy wracaliśmy do domu i Dee szła spać, siedzieliśmy sobie i gawędziliśmy jakiś czas.

- O czym?

- O wszystkim, co jej chodziło po głowie. Kilka razy mówiła o tym, że chciała pisać opowiadania. Wiesz, nie dla dorosłych, ale dla dzieci, i może sama by je ilustrowała, bo zawsze dobrze rysowała. Raz nawet narysowała mnie. Kiedy indziej rozmawialiśmy o tym, do jakiego college'u powinna pójść, żeby był duży, daleko stąd i nie prowadzony przez Kościół. Może nawet w dużym mieście. - Ton Erniego stał się sardoniczny. - Jej stary mówił, że była taka cicha. Ze mną mogła rozmawiać godzinami. Wystarczyło tylko słuchać, może czasem zadać jakieś pytanie. Pewnie Sam Robb też na to wpadł.

Pierwszy raz Tony wyczuł coś więcej niż zwykły gniew.



- Czy mówiła kiedyś o Samie?

- Nie z imienia... - Ernie urwał, po czym dodał niechętnie: - Pod koniec wspominała, że jest teraz z kimś „blisko”. Wiedziałem, co miała na myśli.

- Seks?

- Tak.

- Rozmawiała z tobą o tym?

Tony widział twarz rozmówcy z profilu. Ernie uśmiechnął się nieznacznie.

- Masz dzieci, Tony?

- Syna. Ma siedemnaście lat.

- No to jeśli przebywasz z nimi dość dużo, tak jakja, zauważasz, że w dzisiejszych czasach dzieciaki mówią o wszystkim, nawet o *Geraldo*, o ile nie ma w pobliżu rodziców. - Pokręcił głową. - Czasami myślę, że dajemy tym dzieciakom tyle edukacji seksualnej, że wygląda to tak, jakbyśmy wręczali im kluczyki do sportowego wozu i błagali, żeby się nim przejechały. Poza tym, cały czas widzą to w *Beverly Hills 90210*.

Tony zorientował się, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Trochę się zgubiłem - stwierdził. - Co to ma wspólnego z Samem?

Ernie spojrział na niego.

- Przyszła mniej więcej miesiąc przed śmiercią. Po prostu weszła do mojego biura, zamknęła za sobą drzwi i oświadczyła, że musimy porozmawiać.

Przez ułamek sekundy Tony pomyślał o opowieści Sama.

O tym, jak Marcie nieśmiało zamknęła za sobą drzwi, bo musiała mu coś powiedzieć.

- Co się wtedy stało? - zapytał Tony.

Drzwi zamknęły się cicho za jej plecami. Pierwszą rzeczą, o której pomyślał Ernie, było to, jak mogłoby to wyglądać w oczach kogoś postronnego - tak opowiadał teraz Tony'emu. Potem Marcie oświadczyła:

- Musisz mi pomóc.

Coś w głosie dziewczyny kazało mu przestać się martwić o siebie.

- O co chodzi? - zapytał.

Usiadła na krześle i spojrzała na niego ze skupieniem. Nastolatka, która mogła wszystko

powiedzieć swojemu przyjacielowi, Erniemu Nixonowi.

- Zaczęłam uprawiać seks.

Głos miała łagodny i zdeterminowany. Ale dla Erniego w tych słowach tkwiło coś rozdzierającego serce: poczucie utraconej niewinności i w jakimś sensie ogromnej samotności. Samotności powodującej, że musiała to powiedzieć jemu. Niemal wbrew sobie spytał:

- Czy to dobry pomysł?

Marcie z wolna skinęła głową.

- Kocham go, Ernie. Chciałam mu się oddać.

Ernie złapał się na tym, że nie chciał tego dłużej słuchać.

- To pewnie jakiś chłopiec ze szkoły.

- Nie. On jest starszy. - Urwała, dostrzegłszy wyraz jego twarzy, po czym dodała szybko: - Tak jest lepiej, naprawdę. Ja nic nie wiem, a on może mnie nauczyć.

Ernie skurczył się w środku.

- Chyba miałem nadzieję, że jeszcze trochę zaczekasz. Z tym wiąże się mnóstwo emocji, jest ogromnie dużo zamieszania. Trudno to przyjąć, jeśli się nie jest gotowym.

Ku jego zdziwieniu Marcie się nie obraziła.

- Nie byłam pewna, czy jestem gotowa. Wtedy on powiedział, że mnie pragnie, i wiedziałam już, że nadszedł czas - odparła.

Patrząc jej w oczy, Ernie poczuł się pokonany. Mógł jedynie słuchać.

- Jak mogę ci pomóc?

- Rozmawiaj ze mną. - Spuściła wzrok. - Wiesz, jak to jest. To znaczy, być nim.

Ernie potraktował to jak policzek.

- Gdybym ja nim był, od razu byśmy z tym skończyli - rzekł łagodnie.

Otworzyła szerzej oczy i zobaczył w nich pierwsze łzy.

- Jego prezerwatywa pękła - powiedziała.

- Co?!

- Jego prezerwatywa pękła. - Ernie widział, jak Marcie walczy ze sobą, by mówić dalej. - Zastanawiałam się, co jeszcze mogłoby być najlepsze dla niego i dla mnie.

Ernie wziął oddech.

- To dla mnie trudne, Marcie. Twój rodzice pewnie nic nie wiedzą.

- Nie. - Wyglądała na przerażoną. - Nie mogą się dowiedzieć, nigdy.

- Więc powinnaś porozmawiać ze swoim lekarzem. - Ernie zamilkł na chwilę. - Czy wiesz, gdzie jeszcze był ten facet? I z kim?

Marcie spłoniła się.

- Pod tym względem on jest w porządku. Jestem tego pewna.

Mężczyzna rozparł się wygodnie na krześle.

- Nie bardzo martwię się tym, co jest najlepsze dla niego - rzekł po chwili. - Ale wiem, co jest najlepsze dla ciebie. Najważniejsze jest to, żebyś czegoś nie złapała. Żebyś nie zaszła w ciążę. Żebyś dała sobie spokój.

W jej oczach stanęły łzy.

- Nie mogę.

Ernie przyglądał się jej przez chwilę. Odruchowo odgarnęła z twarzy długie, czarne włosy, powstrzymując się od płaczu.

- O tym, czego ty używasz, twój lekarz wie więcej ode mnie - powiedział do niej łagodnie. - Ale obiecaj mi, dla twego dobra i dla mojego spokoju ducha. Obiecaj, że zawsze będziesz mu kazała wkładać gumkę.

Jej wciąż wilgotne oczy zajaśniały z wdzięczności: mogła z nim rozmawiać, a jemu w dalszym ciągu na niej zależało. Było to bardziej wzruszające, niż mógłby kiedykolwiek opisać.

Być może Marcie to zauważyła. Nagle wstała, okrążyła biurko i przelotnie pocałowała go w czubek głowy.

- Naprawdę cię kocham - powiedziała i wyszła.

Przez jakiś czas Tony się nie odzywał.

- Rozumiem, że nie powiedziałaś o tym jej rodzicom - stwierdził.

- Bóg jeden wie, jak żałuję, że tego nie zrobiłem. - Ernie patrzył na park. - Ale w ten sposób bym ją zdradził, a jeśli chcesz znać prawdę, to taka rozmowa z nastolatką mogłaby niektórych rodziców zdenerwować. Nie tylko jej rodziców.

- Myślałaś, że ma na ciebie oko?

- Może. - Mówił teraz z goryczą. - Może, w tym sensie, byłem pierwszy. Ale żeby być pierwszym, trzeba być innym facetem. - Spojrzał na Tony'ego. - Była słodkim dzieciakiem - stwierdził łagodniejszym tonem. - Jednym z tych, które sprawiają, że chciałbyś mieć znowu szesnaście lat, żeby widzieć świat takim, jakim oni go widzą. Ale jeśli jesteś przy zdrowych zmysłach, to wiesz, że nie masz szesnastu lat. Zwłaszcza ja to wiedziałem.

Powiedział to ze spokojem, nawet z odrobiną rezygnacji.

- Dlaczego tu wróciłeś? - zapytał Tony.

Ernie znowu słabo się uśmiechnął.

- A dlaczego w ogóle ludzie wracają do takich miejsc? Bo tu jest bezpiecznie: szkoły są całkiem dobre, sytuacja z narkotykami o wiele lepsza niż w większości innych, a dzieciaki mogą biegać i jeździć rowerami bez groźby, że potraci je samochód albo ktoś je porwie z ulicy. - Zamilkł na chwilę i wzruszył ramionami. - Jakieś pięć lat temu zadzwonił do mnie Johnny D'Abruzzi. Byłem w Chicago, nie lubiłem swojej pracy, otoczenia ani tych pieniędzy, które zarabiałem. Utrzymywaliśmy kontakt. Potem, pamiętam, przekonał Douga Barkera, burmistrza, że nie stanowią zagrożenia dla praw własności, no i zjawiłem się tu na rozmowę w sprawie pracy...

- Doug Barker był burmistrzem? Ten palant, przez którego nie trafiłeś do Kawalerów?

- Mhm. Teraz jest przewodniczącym rady szkoły. Doug wreszcie został tym, kim starał się być przez wszystkie te lata: pompatycznym facetem w średnim wieku, nie mającym w głowie ani jednej myśli, która wcześniej nie zaświtałaby komuś innemu. W tym przypadku Johnny pierwszy o tym pomyślał. - Ernie pokręcił głową. - Może teraz będzie inaczej, myślałem, dzieciakom będzie lepiej niż za naszych czasów. No i jest trochę lepiej, ale niewiele. To nie jest miejsce na wychowywanie murzyńskich dzieci, oświadczyła mi wreszcie Dee, zwłaszcza z facetem, który nie wie, że jest czarny, i w mieście, w którym nikt nie potrafi rozmawiać z Murzynami. - W jego głosie znowu pojawiła się gorycz. - Więc wróciła do Chicago, gdzie przedtem mieszkaliśmy. Szkoły są tam gówniane, ale za to jest mnóstwo czarnych. Jej rachunkom nie można niczego zarzucić: bez mojej rodziny jestem znowu jedynym Murzynem w miasteczku.

Tony skinął w milczeniu głową. Przypomniał sobie poczucie osamotnienia, które wyczuwał w Erniem Nixonie. Teraz też to czuł. A jednak zastanawiał się, czy koniec małżeństwa Erniego naprawdę był tak prosty. Potem zaś przyszła mu do głowy inna myśl: że Marcie Calder, w swojej otwartości, była pod pewnym względem lepszym towarzystwem dla ostrożnego Murzyna, niż kiedykolwiek mogłaby być dla własnych rodziców. A może też lepszym od jego żony.

- Co do Marcie, bardzo mi przykro - powiedział.

Ernie znowu spojrzał na niego.

- Tony, ty zapomniłeś już, czym jest przykrość. Jeśli chcesz tu przychodzić, to świetnie, możemy pogadać o dawnych czasach. Ale nie będziemy już rozmawiać o Marcie Calder - odparł.

Podnosząc słuchawkę telefonu w swoim pokoju motelowym, Tony zauważył, że już dawno minęła szósta.

- Stella Marz - usłyszał dziarski głos.

- Mówi Tony Lord, Stello. Pracujesz do późna?

- Dla mnie nie jest późno - odpowiedziała rzeczowym tonem kogoś, kto nie chce mówić o rzeczach nieistotnych. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zastanawiałem się właśnie, czy dostałaś już raport z sekcji zwłok.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Właściwie to w tej chwili go czytam.

Zaalarmowało go to. Coś w jej głosie było bliskie wrogości.

- Jest coś nowego? - zapytał.

- Przynajmniej jedna rzecz. Tamtej nocy Marcie Calder uprawiała seks.

Nie odpowiedział. Oznaczało to, że albo Sam go okłamał, albo w grę wchodził ktoś jeszcze.

- Przypuszczam, że możesz przebadać DNA nasienia.

- Nie ma nasienia. Koroner znalazła ślady nawilżacza z popularnej prezerwatywy - oznajmiła obojętnym tonem. - Nazywa się Adam's Rib. Z powodu wyprofilowania powierzchni.

Przez chwilę Tony milczał.

- Chyba o tym nie wiedziałem.

- Nie wiem. - Stella urwała. - Była w odbycie, Tony.

Tony oparł się wygodniej.

- Jak podczas seksu analnego.

- Tak.

- Czy doszło do wymuszenia?

Stella nie odpowiadała.

- Znaleźli otarcia - odparła zimno. - Ale może był to po prostu jej pierwszy raz. Chyba możesz zapytać pana Robba.

Tony zorientował się, że słyszał w jej głosie złość.

- To mógł być ktokolwiek, Stello. To mógł być gwałt. Bez spermy nic nie można powiedzieć. Chyba że masz odpowiednią próbkę włosów łonowych.

Znowu odpowiedziała milczeniem. Odgadł, że nie mieli owłosienia łonowego. Pod tym względem ten, kto uprawiał seks analny z Marcie Calder, miał szczęście. Zwłaszcza jeśli to był Sam.

Adwokat przerwał ostrożnie milczenie.

- Czy jest coś jeszcze?

- Nie i nie będzie, dopóki nie dostaniemy wyników badań DNA. A propos, potrafisz jakoś wytłumaczyć obecność tej plamy krwi?

- Jeszcze nie.

- To szkoda - stwierdziła i odłożyła słuchawkę.

## DZIESIĘĆ

- Sam poszedł pobiegać. Popatrzył na ciebie i stwierdził, że jest bez formy - powiedziała mu Sue.

Przez telefon w jej głosie dało się odczuć coś nerwowego. Żałował, że nie widzi jej twarzy.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

Nastąpiło krótkie milczenie - Tony odgadł, że kobieta się martwiła.

- Mogę mu powiedzieć, żeby do ciebie zadzwonił - odparła. - Albo po prostu wpadnij do nas.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Wpadnę.

Kiedy zatrzymał samochód przed ich domem, zapadał zmrok. W dole ulicy pod drzewami przemknęła ciemna sylwetka biegacza. Nawet teraz, po trzydziestu latach, Tony rozpoznał grację chłopca, z którym kiedyś grał, a który teraz był grubszy i starszy. Cień okazał się Samem, który zatrzymał się w świetle latarni. Strużki potu płynęły po jego zaczerwienionej twarzy. Pierś wznosiła się i opadała, gdy płuca mężczyzny chwytają powietrze.

- Dostaniesz pieprzonego ataku serca. Johnny D'Abruzzi chyba już go dostał - powiedział Tony.

Oczy Sama się zwęziły.

- Johnny - odrzekł - pozwolił sobie stać się grubą kupą gówna, a potem zdechł jak gówno. Skoro mam tyle wolnego czasu, to coś z nim zrobię. - Urwał, ocierając pot z oczu. - A ty co robisz?

- Głównie ćwiczenia na serce i układ krążenia, no i trochę hantli.

Sam przyjrzał mu się.

- Niewiele przytyłeś, prawda? Uprawiasz jakiś sport?

Tony wzruszył ramionami, usiłując ukryć zniecierpliwienie podyktowane niepokojem.

- Od czas do czasu w koszykówkę...

- No to zagramy. Dopóki tu jesteś, możemy ćwiczyć razem. Szósta trzydzieści rano, w naszej sali gimnastycznej? Przyjadę po ciebie.

„Wciąż za bardzo cofasz stopę”, Tony przypomniał sobie słowa Sama.

- Zastanowię się nad tym, Sam. Ale teraz musimy porozmawiać.

Sam wykonał skłon, położył ręce na kolanach i kilka razy powoli zaczerpnął powietrza jak sportowiec, który reguluje oddech.

- Usiądźmy gdzieś - zaproponował Tony.

W milczeniu przeszli na podwórko za domem. W miejscu, gdzie Sue i Tony położyli kiedyś Sama, wciąż wisiał hamak. Kiedy siadali, adwokatowi przyszło do głowy, że nie widział, żeby Sam pił.

- Rzuciłeś alkohol?

- Nie. Ale od śmierci Marcie nie miałem ochoty na picie. Jeść też mi się jakoś nie chce. Ani spać. - Spojrzał na Tony'ego. - Czy ty też tak to czułeś? Jakby życie przed śmiercią Alison należało do kogoś innego?

- Bardzo podobnie, tak.

Sam wziął oddech.

- Biedna Sue - powiedział. - W ciągu jednego tygodnia dowiedziała się o Marcie... wystarczająco wiele, żeby się domyślić. A całą jej pomocą jest mąż, który albo kłamie, albo wcale go nie ma. - Dokończył ostrzejszym tonem: - Nie ma nawet ciebie, prawda, Tony?

Tony próbował odgadnąć, co Sam miał na myśli.

- Jestem twoim adwokatem, jak już zaznaczyłeś. W każdym razie, ona chyba jest przyzwyczajona, że ty dokądś wychodzisz. Czy nie tak się dzieje, kiedy ktoś ma romans? A może udało ci się oddzielić Sue od Marcie i żyć w obu tych światach, jakby nic złego się nie stało?

Sam patrzył na niego. Nadciągała noc i Tony nie widział wyrazu jego twarzy. Przedłużająca się cisza mówiła mu, że jest uważnie obserwowany.

- Trzeba próbować - odparł Sam spokojnie. - Chyba że chcesz zwariować. Ale potem orientujesz się, tak jak ja, że straciłeś kontrolę. - Rozparł się wygodniej na hamaku i założył ręce za głowę, przybierając znudzony wyraz twarzy. - No więc, co nowego, mój drogi? Wiem już, że Johnny miał atak serca. Więc pewnie chodzi o coś innego.

- Jest coś nowego - powiedział Tony. - Ktoś uprawiał seks analny z Marcie Calder.

Sam uniósł nieco głowę.

- To znaczy...?

- Tej nocy, kiedy umarła, jakiś facet pieprzył ją w dupę. Może za jej zgodą, a może był to gwałt. To mogło się stać po tym, jak widziała się z tobą. Albo w tym czasie.

Sam znieruchomiał.



- Co myśli twoja pani prokurator?

- Jest otwarta. Facet używał prezerwatywy, Adam's Ribb. Dlatego nie ma próbek nasienia do badań DNA.

Przez dłuższą chwilę Sam nic nie mówił.

- Skąd wiedzą o kondomie?

- Dlaczego pytasz? - zapytał spokojnie Tony. - Źle odgadli markę?

Sam usiadł prosto. Oparł głowę na dłoniach i popatrzył przed siebie, jakby Tony'ego tu nie było. W kuchni zapaliło się światło. W oknie widać było twarz Sue, pochyloną nad zlewem - płukała naczynia. Co jakiś czas spoglądała na nich. Tony nie był pewien, czy Sam ją zauważył.

Adwokat w milczeniu zmagał się ze swoimi uczuciami.

- Lepiej mi powiedz - rzekł w końcu. - Chyba że kupiłeś gumki w innym stanie.

- A czy o n a to robi? - zapytała Marcie.

Samowi zaschło w ustach.

- Nie.

Leżała naga na brzuchu na tylnym siedzeniu jego samochodu.

- No dalej - wyszeptała. - Chcę tego. Chcę, żebyśmy robili wszystko.

Sam wiedział, że nie powinien tego robić. Powinien powiedzieć to, z czym tu przyszedł.

W blasku księżyca jej szczupłe plecy wyglądały jak marmur. Nigdy już, do końca jego życia, taka chwila się nie powtórzy. Serce zabiło mu szybciej.

Oddała mu się powoli: przez chwilę przypomniał ją sobie, zgiętą na bloku startowym, kiedy poczuł pierwszy przypływ pożądania...

Następne chwile były żywe i ulotne. Jęczała cicho. Robili to boleśnie wolno, a potem odczuł ekstazę, gdy miał tę dziewczynę. „Jest dobrze”, powtarzała stłumionym głosem. „Jest dobrze”.

Potem leżała pod nim. Zadrzał z poczucia samotności i wstydu.

- Chcę, żebyśmy się pobrali - powiedziała.

Słuchając opowieści Sama, Tony przyglądał się widocznej w oknie Sue. To sprawiło, że odczuwał jeszcze większy ból.

- Nie mogłem ci powiedzieć - stwierdził Sam.

- Nie mogłeś?

- Wstydzilem się, dobra? - Sam wstał, nie patrząc na niego. - Byłem tam, chciałem z nią zerwać, a ta piękna szesnastolatka zapragnęła zrobić coś, czego nigdy nie robiłem.

- To trochę za dużo jak na osobę, o której wszyscy mi opowiadają.

- Rozmawialiśmy o tym, dobra? Wcześniej. Spytała mnie, czego pragnę... - Sam urwał nagle, patrząc na Sue. Dokończył cicho: - Miałem gumkę, Tony. Jak mogą ją rozpoznać?

- Och, miejscowi są dziś bardzo sprytni. Podobnie jak koroner. Postęp nauki i tak dalej....

- Następnym razem - mruknął Sam. - Następnym razem, powtarzałem sobie, jakoś będziesz mógł jej to powiedzieć. A potem ona oznajmiła, że powinniśmy się pobrać, i wszystko diabli wzięli. - Spojrzał na Tony'ego. - Dalej było tak, jak ci mówiłem, Tony. Nie zabiłem jej i nie sądziłem, że ta część miała jakieś znaczenie... dla ciebie. Tylko dla mnie i dla rady szkoły.

Tony wstał.

- Według Janice D'Abruzzi, Marcie błagała, żeby ta ją kryła. Miała ci coś ważnego do powiedzenia.

Sam potrząsnął głową.

- Chodziło o ślub, tylko to mi przychodzi do głowy. - Ściszył głos. - A może chciała tylko mnie zadowolić...

Sue wyłączyła światło.

Tony znowu zaczął mówić spokojnym tonem:

- Prosiłem, żebyś mnie nie okłamywał. Może tego nie usłyszałeś. Ale teraz proszę cię ostatni raz.

Sam założył ręce na piersi.

- Ja jej nie zabiłem, Tony. Mówię ci to ostatni raz.

Przez chwilę adwokat nie odpowiadał. Rozumiał, że Sam - z powodu tego, kim był - zapłacił cenę, jaką było rozczarowanie i złość Tony'ego. Cenę, której żaden klient nie poniósł. Ale to nie znaczyło, że Sam Robb jest mordercą.

- Jakie są szanse, że Marcie związała się z kimś jeszcze? -zapytał Tony.

Sam spojrział na niego ostro.

- Z kimś jeszcze?

Tony zawahał się.

- Na przykład z Erniem Nixonem. Chyba była do niego przywiązana.

Sam potrząsnął głową.

- Nie ma mowy, Tony. Nie ma mowy.

- Dlaczego nie?

Sam znowu się wyprostował.

- Bo ona nie była taka. Na dobre czy na złe, to ja byłem tym, kogo Marcie chciała.

Tony obserwował go. Mruknął pod nosem:

- Jezu, Sam.

O dziewiątej trzydzieści Tony położył się do łóżka w niebieskich jeansach i bez koszuli. Patrzył na sufit.

Ktoś zapukał do drzwi. Podnosząc się, by otworzyć, Tony zastanawiał się, czy to jakiś dziennikarz, Sam, czy może nawet Ernie Nixon. Ale gdy otwierał drzwi, zdał sobie sprawę, że spodziewał się jej.

Sue miała na sobie jeansy, kurtkę z drelichu oraz sweter. W przyćmionym świetle przed jego pokojem motelowym wyglądała na niższą i młodszą. Zdawało mu się, że nagle ujrzał dziewczynę, którą kiedyś kochał. Dlatego przez chwilę nic nie mówił.

- Przepraszam. Wrócę później - powiedziała.

- Nie. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Wejdz, narzucę coś na siebie - odparł.

Kiedy zapinał roboczą koszulę, usiadła w kącie i oglądała pokój.

- Niewielki, prawda?

Tony uśmiechnął się.

- Trochę tu surowo. Jak w moim pokoju, kiedy byłem dzieckiem.

Sue spojrzała na niego.

- No. Ale zmieniło się na lepsze. Przynajmniej dla ciebie - odpowiedziała.

Skinął głową.

- Ostatnio tak. Pod wieloma względami miałem więcej szczęścia, niż na to zasługuję.

Sue wstała i włożyła ręce do kieszeni kurtki.

- Po tamtej nocy - powiedziała chwilę później - kiedy ty i ja byliśmy razem, Sam bardzo się starał. Uważał z alkoholem, o wiele więcej myślał o mnie. Wydawało mi się, że ty i ja, sama myśl o nas razem, przerażała go i pokazywała, jak źle mogłoby mu być. Kiedy się pobraliśmy... - Zamilkła i wzruszyła ramionami.-W końcu znowu zaczął pić. Głównie w domu, gdzie ludzie go nie widzieli. Ale dzieciom się to nie podobało: alkohol wytrąca go z równowagi. Chyba tłumi jego rozczarowanie.

Tony patrzył na nią. Zdawało mu się, że w swojej samotności kobieta kończy rozmowę ze starym przyjacielem... rozmowę, którą przerwali wczoraj albo przedwczoraj.

- Mówi, że od ubiegłego tygodnia nie wypił ani kropli.

Sue potaknęła.

- Gdy się czegoś przestraszy, przestaje pić. Może tym razem już na dobre. - Spojrzała na niego. - Czy powiedział ci, że tamtej nocy pił?

Zaskoczony Tony przechylił głowę na bok.

- Dużo?

- Wystarczająco, żeby mu się oczy zaświeciły. Wiesz, jak to jest.

- Tak.

- Wciąż myślę o tamtej nocy. O tym, czy w głębi duszy w i e działałam. O tym, czy mogłam go powstrzymać. Kiedy wrócił do domu, był taki... - Głos uwiązł jej w gardle.

Tony poczuł się zażenowany.

- Jak to było? - zapytał po chwili.

Odwróciła od niego wzrok.

- Był skruszony, ostrożny. Jakby wytrzeźwiał ze strachu. Nie był tą samą osobą, która wyszła z domu.

Widział, że nie chciała na niego patrzeć. Podobnie jak on nie chciał zadawać jej pytań. Wreszcie spojrzała na niego.

- Dokąd to wszystko zmierza, Tony? Sam nie chce mi powiedzieć.

- Bo nie może. Żaden z nas tego nie wie. - Jego głos nie był już tak twardy. - Nie znoszę tej sytuacji, Sue. Ze względu na siebie, bo wciąż jestem twoim przyjacielem, ale przede wszystkim ze względu na ciebie. Chciałbym pomóc ci jakoś inaczej niż jako prawnik.

- Ale ja prosiłam właśnie o prawnika. Bo tego potrzebuje Sam. Jeśli chodzi o mnie, nie możesz niczego naprawić, możesz pomóc tylko jemu. Sam w dalszym ciągu jest ojcem naszych dzieci, to jego wybrałam. Chciałabym już tylko widzieć koniec tego wszystkiego. - Urwała i dotknęła jego

ramienia. - I chciałabym zrobić coś dla ciebie. Zamiast być jeszcze jedną osobą, o którą się martwisz.

- Nie jesteś tylko tym. Problemem jestem ja sam. Reprezentowanie klienta polega między innymi na odłożeniu na bok swoich uczuć. - Umilkł i dodał łagodnym tonem: - Ale dla mnie to bardzo trudne: z powodu Alison, Sama i przede wszystkim ciebie. Czasem myślę sobie, że Tony i Sue wciąż wypatrują Sama. Tylko że tym razem nie spędzimy ze sobą nocy, a ja nawet nie zasługuję na to, by być twoim przyjacielem. - Próbował się uśmiechnąć. - W związku z czym jestem tylko kolejnym facetem, który prosi cię o zrozumienie.

- Zrozumienie? - Uśmiech Sue zniknął po chwili. - Tak, jestem w tym dobra. W każdym razie nigdy nie myślałam, że rozumienie ciebie mogłoby być dla mnie trudne.

Delikatnie pocałowała go w policzek i pożegnała się.

Kiedy wyszła, Tony starał się pojąć, dlaczego było mu tak smutno i z czyjego powodu.

## JEDENAŚCIE

- Dlaczego wydaje mi się, że wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia? - zapytał Tony.

- Być może wiem - odpowiedziała Stella Marz i ugryzła hot doga.

Znajdowali się na Steelton Square, w pobliżu pomnika marszałka Piłsudskiego. Był rześki wiosenny dzień. Wokół nich kręciło się mnóstwo pracowników biur. Wypuszczeni ze swoich klimatyzowanych grobowców, robili zakupy w budkach z hot dogami i precelkami, a niektórzy karmili okruchami wałęsające się tu gołębie. Stella właśnie wyszła z sądu, miała tylko godzinę. Podarowała Tony'emu dziesięć minut z czasu najedzenie.

- Czy mam zgadywać? - dopytywał się.

- Posłuchaj, Tony. Nie mam obowiązku informować cię o wszystkim, co wiem albo o co podejrzewam Sama Robba. Tak samo jak nie mam obowiązku postawić zarzutów, ponieważ gliniarze z Lake City albo media tego chcą. - Urwała. - Ani też dawać „Steelton Press” kopii raportu z sekcji zwłok Alison Taylor.

- Chcieli tego?

- Mhm. Powiedziałam im, że to wciąż nie jest zamknięta sprawa, więc nie mają szans.

Tony wsunął obie dłonie do kieszeni.

- Jestem ci wdzięczny.

Stella wzruszyła ramionami.

- Taylorowie też żywią jeszcze jakieś uczucia.

Adwokat odczekał chwilę.

- Jeśli chodzi o Sama, nie mogę mówić o rzeczach, o których nic nie wiem - rzekł.

Stella spojrzała na niego.

- Tutaj też wchodzi w grę uczucia innych ludzi. To nie dotyczy tylko ciebie i mnie.

- Chodzi ci o rodziców Marcie.

Stella otarła usta serwetką.

- Mój telefon nie przestaje dzwonić. Widziałeś się z Calderami, Erniem Nixonem, przyjaciółką Marcie, Janice, nawet z rodzicami Alison Taylor. Więc zaczynasz rozumieć, w czym rzecz: Marcie Calder nie miała skłonności samobójczych, rzeczywiście miała stosunki ze starszym mężczyzną, koniecznie chciała mu coś powiedzieć owej nocy, kiedy umarła, no i była penetrowana analnie przed śmiercią, w trakcie agonii albo potem. - Prokurator znowu zwróciła się ku niemu. - A ponieważ jestem już tego pewna, powiem ci o jednej rzeczy. Krew na kierownicy Sama Robba należała do Marcie.

Choć był na to przygotowany, Tony poczuł wstrząs.

- Przyszły wyniki badań DNA.

- Jej krwi. Tak.

Adwokat poluzował krawat.

- Mam nieodparte wrażenie, Stello, że rodzice Marcie uznają za fakt, iż Sam uprawiał z nią seks. Czy chodzi o seks analny? Bo to nie są tacy ludzie, którzy łatwo uwierzyliby, że ich nastoletnia córka sypiała z żonatym mężczyzną. Chyba że nie będą mieli wyboru.

Stella patrzyła na niego bez zmrużenia oka.

- W takim razie powinno ci być ich żal. Jeszcze przed tygodniem mieli niewinną, żyjącą córkę.

Cokolwiek jeszcze trzymała w ukryciu, nic więcej już nie powie - Tony dobrze to rozumiał. Może sama nie była jeszcze pewna.

- Stawiasz go w stan oskarżenia? - zapytał bez ogródek.

- Jeszcze nie. - Jej twarz niczego nie zdradzała. - Zanim to zrobię, powiem ci o tym i wyjaśnię powody.

Domyślił się, że nie miała jeszcze pełnego obrazu. Tak samo jak kiedyś w przypadku Tony'ego, prokuratura czekała, aż sprawa będzie dla niej wyglądała pewniej. Zastanawiał się, na ile mdłości, które odczuwał, wynikały z sytuacji Sama, na ile zaś ze wspomnienia dawnych uczuć.

- Ile mam czasu, Stello?

Odwróciła się od niego i spojrzała na gołębie.

- Jeśli możesz znaleźć coś, co by mu pomogło - odparła po chwili - to na twoim miejscu spieszyłabym się z tym.

Młoda kobieta podniosła wzrok znad notatnika, popychając w górę nosa okulary w drucianych oprawkach.

- Czuje się pan dziwnie, wracając do Lake City na tak podobną sprawę? - zapytała.

Oczy Tony'ego nic jej nie zdradziły: żadnej urazy, zaskoczenia ani baczego przyglądania się.

- Alison Taylor została uduszona. Wiem to, bo to ja ją znalazłem. Ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że Marcie Calder umarła w wyniku upadku.

Zdawało się, że ta odpowiedź ją podenerwowała. Rozparła się wygodniej i prześlizgiwała wzrokiem po ponurej stołówce „Steelton Press”.

- No dobrze, ale zarówno Alison, jak i Marcie zginęły w podejrzanych okolicznościach, a pan wówczas, dziś zaś Sam Robb, znaleźliście się na miejscu zdarzenia.

- Mnie znaleziono na miejscu, Sam Robb sam się zgłosił. - Tony pilnował się, żeby nie podnieść głosu. - Zanim napisze pani ten artykuł i porówna Sama oraz mnie z braćmi Menendez, proszę zapamiętać, że Sam Robb dobrowolnie zgłosił się na policję. Doprawdy, ja jestem lepszym celem dla artykułu, który pani chce teraz napisać. Byłem o wiele lepszym podejrzany.

Spłoniła się. Tony obserwował, jak dziennikarka zastanawia się, czy właśnie pije kawę z mordercą. Nie uważał za stosowne niczego jej ułatwiać.

- Czy pan mu wierzy? - zapytała.

Tony celowo spojrzał na nią rozszerzonymi oczami.

- Dwadzieścia osiem lat temu - odpowiedział zwięźle - ojciec Alison znalazł mnie przy ciele swojej córki. Ludzie z tej gazety, równie dociekliwi jak pani, napisali, że nasz związek był burzliwy, i zasugerowali, że być może zabiłem ją w trakcie wymuszania stosunku. Niemal zrujnowali mi życie i zrobili to bezrefleksyjnie, dla dobrej historii. - Zmusił się, by złagodzić ton głosu. - Gdybym pani powiedział, że jestem niewinny i że nigdy do końca nie pogodziłem się z tym, co zrobili mi ludzie tacy jak pani, to czy uwierzyłaby pani? Bo zdaje się, że jest pani gotowa to wszystko powtórzyć, tym razem wysyłając ze mną Sama Robba.

Zaczęła się bawić włosami.

- Mówi pan, że on jest niewinny tak jak pan.

- Mówię coś ważniejszego: że Sam Robb jest niewinny w świetle prawa. Proszę obrzucać mnie błotem, jeśli pani chce, prawie mnie to już nie obchodzi. Ale proszę nie traktować reputacji Sama Robba jak ceny, którą mamy zapłacić za Pierwszą Poprawkę. - Pierwszy raz pozwolił sobie na uśmiech. - Proszę mi powiedzieć, jeśli jestem pani winny przeprosiny. Obawiam się, że przenoszę w tej chwili swoje doświadczenia na to, co cierpi Sam Robb oraz jego rodzina. Poza tym, podobnie jak ja, Sam Robb nie został o nic oskarżony.

Oparła się wygodniej, zadowolona, że Tony obniżył trochę napięcie.

- Rozumiem. Proszę mi wierzyć, chcę postępować uczciwie -oznajmiła.

- Tylko o to mogę prosić. - Adwokat urwał na chwilę. - Gdyby Donald White nigdy nie zjawił się w Lake City, Alison mogłaby wciąż żyć. A gdyby Saul Ravin go nie zdemaskował, ja może nie mógłbym chodzić wolny i bronić niewinności kogoś innego.



Kiedy zaczęła energicznie bazgrać, Tony zrozumiał, że właśnie napisał jej końcowy akapit - że jego chłód oraz pofolgowanie uczuciom zadziałały tak, jak chciał. Bardzo możliwe, że tylko ten chłód był prawdziwy, ponieważ niezależnie od dokładanych starań, Tony Lord nie mógł jej oddzielić od tego, co zrobili mu inni dziennikarze, nim jeszcze przyszła na świat.

Saul obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

- Za Donalda - powiedział i pociągnął łyk whisky.

Siedzieli w tym samym barze na nabrzeżu, w którym dwadzieścia osiem lat wcześniej Saul uwolnił Tony'ego i pozwolił mu iść własną drogą przez życie. Ku jego zaskoczeniu Tony dobrze o tym pamiętał i zauważył, że niewiele się tu zmieniło: kilka afiszy reklamujących jasne piwa, które wtedy jeszcze nie istniały, kilka gier wideo. Zapach jedzenia, ciemność, smutny połysk lakieru na ladzie i stołach - pozostały nie zmienione.

- Wiele bym dał, żeby spojrzeć Donaldowi White'owi w oczy. Żeby dowiedzieć się, co jej zrobił i czy cierpiała - rzekł cicho Tony.

- To już przeszłość, Tony. Dla wszystkich oprócz prasy to już przeszłość.

Tony potrząsnął głową.

- Dla niektórych, tak mi kiedyś powiedziałaś, to nigdy nie stanie się przeszłością. Zapomniałaś tylko dodać, że jestem jedną z tych osób. - Urwał i pociągnął łyk szkockiej. - Wydaje mi się, że to pętla czasowa... Alison, Sue, Sam... Nawet teraz nie może przestać rywalizować ze mną. To instynktowne.

- Pewnie nie pomaga w tym fakt, że spałeś z nią, a potem trafiłeś na Stacey Tarrant. To też przypomina mi, że zostawiłeś go za sobą w tumanie kurzu.

Tony podniósł na niego wzrok.

- On o tym nie wie, Saul. I ty też.

- Och, on wie. - Saul uśmiechnął się do niego lekko. - Wydaje mi się, że ludzie tacy jak Sam wiedzieliby, że ją przeleciałaś, nawet gdybyś tego nie zrobił. A propos, co myślisz teraz o swoim starym przyjacielu?

Odruchowo wodził koniuszkiem palca po krawędzi szklaneczki.

- Nie jestem pewien - rzekł po chwili. - Czasem Sam wydaje mi się wrażliwy, nawet dzielny... w końcu poszedł przecież na policję. Kiedy indziej zdaje się taki bezduszny i zapatrzony w siebie do granic narcyzmu: ta Marcie Calder, o której mi opowiada, uległa miłośniczka seksualnych przygód, nijak nie pasuje do tego, co mówią mi o niej inni. Nie wiem, czy to kłamstwo, czy usprawiedliwianie się. Może to jego zniekształcona wizja rzeczywistości, a może chodzi o moją niechęć, by mu uwierzyć, choć przecież tego chcę. Ale za każdym razem, gdy czuję odrazę do jego związku z Marcie, coś we mnie sprawia, że niemal widzę, jak to się stało i wyczuwam jego wstyd. Potem

przypominam sobie, jak klęczałem przy konfesjonale i modliłem się o rozgrzeszenie, i nie wiem już, czy moje współczucie, jeżeli to jest współczucie, dotyczy Sama czy mnie. A teraz, kiedy wydaje się przyparty do muru, kiedy fakty źle mu wróżą, bronię go zupełnie instynktownie.

- Nawet jeśli Sam ją zabił.
- Nie. Nie w tym wypadku. Ale tego nie wiem.
- A jednak myślisz, że mógłby to zrobić.

Tony założył ręce na piersi.

- Sue mówi, że pił tamtej nocy. Z tym idzie w parze pewna impulsywność, brak samokontroli.
- Posuwająca się aż do morderstwa?

Młodszy adwokat oparł się wygodnie i spróbował wyobrazić sobie przyjaciela z kamieniem w rękę, bijącego ładną dziewczynę ze zdjęcia u jej rodziców dopóty, dopóki ta nie osuwa się na trawę. W końcu potrząsnął głową.

- Pamiętam nasze dzieciństwo, Saul. Nie mam pojęcia, co mogło się z nim stać później.

Saul przyjrzał mu się uważnie.

- Jednak stan nietrzeźwości może go obciążać.
- Tylko jeśli Sam przyzna się, że ją zabił. Nie zrobił tego i nie sądzę, żeby miał to uczynić.

Saul rozejrzał się po sali. Kilku marynarzy ze statku wożącego rudę popijało piwo i zabawiało się grami wideo. Poza nimi nikogo tu nie było. Wreszcie zapytał:

- Domyślasz się, na co czeka Stella?

- Nie jestem pewien. Koroner wydał już opinię, że pęknięcia czaszki nie były przypadkowe. Więc może chodzi o jakieś jeszcze wiadomości z laboratorium, na przykład o zaawansowaną technicznie operację zdjęcia odcisków palców Sama z kamienia. To na nic się nie zda.

Saul wzruszył ramionami.

- Zawsze możesz znaleźć swojego biegłego. Ich opinie można kwestionować na milion sposobów.

Tony dokończył whisky i zamówił następną.

- Przydałby mi się jeszcze jeden Donald White - oświadczył po chwili.

Saul uśmiechnął się do niego sceptycznie.

- Dzięki Bogu, oni nie rosną na drzewach. - Nagle umilkł i spojrzał Tony'emu w oczy.

Ten odwzajemnił spojrzenie.

- Może to Ernie, Saul. Ilu mężczyzn poświęca długie godziny dla jednej nastolatki, jeśli nie ma tam choć odrobiny podtekstu seksualnego. Skoro Sam przekroczył granicę, to i on mógł to zrobić. Policz sobie nauczycieli akademickich, którzy w coś takiego wdepnęli.

Saul uśmiechał się z ponurym rozbawieniem.

- Oni je różnili, Tony, ale ich nie zabijali. Z tego, co wiesz, Ernie spędzał tę noc z przyjaciółmi.
- Z tego, co wiem, to jego właśnie Sam widział w drugim samochodzie.

Uśmiech Saula zniknął.

- Ty wiesz, co tutaj robisz, prawda?

Tony'ego to ubodło. Stwierdził, że w przypadku Erniego Nixona skorupa adwokata nie uśmierzała jego odczuć.

- Oczywiście, że wiem. Dziwne, że to ty mówisz coś takiego.

Stary adwokat powoli odstawił drinka.

- Ja już nie jestem cyniczny, Tony. Już tego nie potrzebuję.
- Więc zamiast tego pijesz?

Wzrok Saula zhardział.

- Są tysiące powodów, dla których piję. Nigdy nie poznasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć o wszystkich.

Tony wziął oddech.

- Przepraszam - rzekł po chwili.

Saul przyglądał mu się przez jakiś czas.

- Nieważne. Wiem, jak bardzo potrafisz się czuć winny, a dopiero co zacząłeś...

- Cholera, wiesz równie dobrze jak ja, jakie są moje zobowiązania, a moje uczucia nie mogą w tym przeszkadzać. Dopóki jestem prawnikiem Sama Robba, dopóty muszę być lojalny wyłącznie wobec niego. Byłbym niekompetentny, gdybym nie szukał pomysłów na prowadzenie obrony.

Saul uśmiechnął się kącikami ust.

- Murzyn z Lake City, jedyny w mieście. Pięknie, Tony. Naprawdę.

Tony poczuł, że głowa mu pęka.

- Wiem o tym - odpowiedział cicho. - Ale poszukaj mi detektywa, dobrze?

Saul popatrzył na niego poważnie, kręcąc głową, a potem spojrział na automat telefoniczny.

- Masz ćwierć dolara? - zapytał. - Może zdążymy zniszczyć Erniego, zanim upiję się na tyle, by się tym już nie przejmować.

## DWANAŚCIE

Z profilu twarz Sama wydawała się zawzięta.

- Wczoraj późno w nocy zadzwonił do mnie Jack Burton, mój dyrektor.

Jechali samochodem do sali gimnastycznej. Było około szóstej trzydzieści rano, niebo zasnuwały smugi chmur, a przez jego szarość sączyły się tylko wątle żółte promienie. Po prawej niezauważalnie rysował się w ciemności park Taylorów.

- Pamiętam go. Nie chciał mi dać rekomendacji na Harvard. Zawsze myślałem, że John Taylor go przekonał - powiedział Tony.

- No to chyba zrobił to znowu.

- Jak to?

- Złożyli petycję do rady szkoły... rodzice Marcie i Taylorowie. Żeby mnie natychmiast wyrzucić.

Tony spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Taylorowie? Myślałem, że teraz trzymają się raczej na uboczu.

- Niezupełnie - odparł Sam zduszonym głosem. - Widocznie dla mojej sprawy warto wyjść do ludzi.

- Czy Burton mówił, jakie zajmie stanowisko?

Sam milczał chwilę.

- On mnie nie poprze, Tony. „Czasami pozory są rzeczywistością”, tak mi powiedział.

Spoglądając przez przednią szybę, Tony przypomniał sobie ostatni wiosenny poranek, kiedy o tak wczesnej porze oglądał Lake City - odwoził Sue do domu jej rodziców, jej dłoń spoczywała lekko na jego nodze, a Sam Robb czekał na schodach przed jej domem.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

- Potrzebujemy pieniędzy.

Tony zrozumiał, że Sam nie chce patrzeć mu w oczy; głos jego przyjaciela zdradzał, że ma siebie w pogardzie.

- Moi starzy zapisali mi dom, ale niewiele ponadto, a my zastawiliśmy go, żeby opłacić college dla dzieci... Oboje poszli do Denisona, a on nie jest tani. Mało co zostanie dla Sue i dla mnie, jeśli nie dostanę wypłaty.

Tony usiłował sobie wyobrazić, jak tego ranka czuł się Sam, który musiał stawić czoło wszystkim konsekwencjom swoich czynów.

- Prędzej czy później, Sam, będziesz musiał rozwiązać problem pracy.

Sam wziął oddech.

- Czy możemy chociaż kupić sobie czas? Nie chcę, żeby Sue teraz przez to wszystko przechodziła. Wiem, jak to brzmi, ale...

Nie musiał kończyć. Tony dostrzegał jego wstyd i rozpacz. Patrząc na mijane budynki, adwokat widział, jak wiele starych domów nad jeziorem, zbudowanych bez planu konstrukcji, albo domków letniskowych wybudowanych przez bogaczy ze Steelton, zostało zburzonych. Na ich miejscu wyrosły większe budowle, które naśladowały styl Tudorów lub kolonialny: ktoś ściągał cudze pomysły na dostatnie życie. Z jakiejś przyczyny skłoniło to Tony'ego, by zastanowić się, ile to czasu upłynęło od meczu przeciwko Riverwood.

- To nie jest moja dziedzina, Sam. Ale nie sądzę, żeby mogli cię zwolnić bez przesłuchania.

Sam zagryzł wargi.

- Nie mogę przed nimi zeznawać. Nie w sprawie Marcie.

- Mogę spróbować to powstrzymać. Z czasem może uda się nam wypracować jakąś ugodę: dobrowolne odejście ze stanowiska w zamian za odprawę i zachowanie uprawnień. - Tony urwał, po czym dodał cicho: - Jak to mi kiedyś wyjaśniłeś, Marcie nie żyje. Dopóki sam nie zaczniesz mówić, dopóty nie będą mieli potwierdzenia, że wasz związek miał charakter seksualny.

Sam patrzył wprost przed siebie.

- Ludzie opowiadają ci najgorsze rzeczy, a potem ty starasz się im pomóc. Czujesz się dzięki temu jak Bóg czy też jak gnida? - spytał po chwili.

To pytanie dotknęło pewnych prawd mających związek z życiem obrońcy: poczucia bezradności klienta; poczucia siły prawnika; nieprzyjemnej mieszanki współczucia i pogardy, które Tony tak często odczuwał; tego, jak obowiązki prawnika muszą brać górę nad prywatnym, ludzkim sumieniem.

- Czasem czuję się jak Bóg. A czasem jak kanalia. Przeważnie jednak nie czuję się ani tak, ani tak. Kiedy przyłapuję się na zastanawianiu się nad takimi sprawami, przypominam sobie, co mnie spotkało. Nie mówiąc już o wielu innych osobach, które nie zasłużyły sobie na to, co je spotyka - odrzekł.

- A teraz? Kiedy mnie bronisz?

Tony spojrział na niego.

- Obawiam się, że nie korzystasz z mojego zawodowego dystansu. Ale, cokolwiek to dla ciebie znaczy, nie wierzę, by twój związek z szesnastolatką, choć zły, zamykał ci drogę do poprawy. Byłoby to bardzo niewygodne przekonanie dla prawnika, zwłaszcza takiego, który sam ma czego żałować. - Starał się wyjaśnić swoje słowa. - Trzeba zacząć od tego, że spóźniam się o dwadzieścia osiem lat z ostatnim aktem skruchy. To jest chyba tak, jak z karą w bibliotece: po jakimś czasie nawet nie chcesz wiedzieć, jak wysoki jest ten rachunek.

Sam przyglądał się mu uważnie.

- Czego ty żałujesz, Tony?

- Oprócz tego, że chciałem, by Alison wyszła do mnie z powrotem tamtej nocy? - Tony zamilkł na chwilę i zastanawiał się, czy potraktować Sama jak przyjaciela, którym kiedyś był. Stwierdził, że byłaby to uprzejmość wobec niego. - Cóż, zdradzałem pierwszą żonę. Istniały te same co zwykle okoliczności łagodzące: nasze małżeństwo było burzliwe, tkwiłem w sprawie Carsona i wydawało mi się, że tamta kobieta zawsze była przy mnie. Ale dokonałem wyboru i straciłem przez to małżeństwo oraz, na dłuższy czas, Christophera. Minęło już dwanaście lat, a wciąż kulę się na samą myśl o tym wszystkim. Lecz atak sumienia po fakcie nigdy nie cofnie krzywd, które już wyrządziłeś. Co najwyżej jest to ostrzeżenie na przyszłość.

- To bardzo do ciebie podobne - stwierdził Sam dziwnie łagodnie. - Zwłaszcza to, co powiedziałeś o sumieniu.

Przez chwilę Tony zastanawiał się, czy jego przyjaciel mówi też o Sue. Tymczasem jednak dojechali już do sali gimnastycznej, która mieściła się w nowym budynku pokrytym falistą dachówką. Przypominał hangar na lotnisku i znajdował się na miejscu dawnego domu farmerskiego. Sam nie wykonał ani jednego ruchu, żeby wysiąść.

- Co do tego posiedzenia rady szkoły, Tony. Myślisz, że dasz sobie z tym radę?

- Spróbuję. Ale Jack Burton może być bardzo krytyczny. - Tony urwał na chwilę. - Czy masz jakiegokolwiek inne problemy, do których Burton mógłby się przyczepić? Cokolwiek, co można by zinterpretować jako molestowanie seksualne, znęcanie się albo zastraszanie uczennicy?

Sam spojrział na niego lodowatym wzrokiem.

- Nie ma nic takiego. Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać.

Tony przyjrzał się mu uważnie.

- W takim razie opowiedz mi o radzie szkoły - poprosił po chwili.

W oczach Sama zabłysło jakieś ponure rozbawienie.

- Na początek powiem ci, że twój stary przyjaciel Doug Barker jest teraz przewodniczącym rady. Pamiętasz tę noc, kiedy powiedziałeś mu, że jest największym dupkiem na sali?

Wydarzyło się to owej nocy, kiedy Tony i Sam się pobili.

- To było tuż przed tym, jak zapytałeś mnie, czy zabiłem Alison - odrzekł Tony.

Oczy Sama zabłysnęły.

- Po prostu nie wiedziałem, co się wtedy czuje, Tony. Teraz już wiem. Ale Doug Barker nadal jest dupkiem.

Tony uśmiechnął się lekko.

- Jak sądzisz, dlaczego się wyprowadziłem?

Nic już nie mówiąc, poszli na salę gimnastyczną.

O drugiej Tony zjawił się bez ostrzeżenia w liceum w Lake City. Przez kilka minut przechadzał się po korytarzach i znowu czuł się jak duch. Minął swoją dawną szafkę, potem szafkę Alison. Czas nie był łaskawy dla szkoły, a dwadzieścia osiem lat - dwa rzędy nazwisk pod nazwiskiem Sama na fladze w sali gimnastycznej - sprawiało, że miejsce to wyglądało na jeszcze bardziej ponure i odczłowieczone. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego Tony czuł, że został schwytany w pułapkę przeszłości. Nagle zapragnął skończyć swoje zadanie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jane Moore podniosła zdziwiony wzrok znad biurka przed pokojem dyrektora.

- Tony Lord - wydusiła z siebie.

- Cześć, Jane - powiedział i przeszedł obok niej, po czym otworzył drzwi gabinetu Jacka Burtona.

Burton drgnął. Tony widział, jak zaczyna go rozpoznawać, jak rozszerzają mu się oczy, a potem - jak nieruchomieje. Miał już rzadkie, siwe włosy, a twarz jeszcze mizerniejszą. Jednak wilgotne, brązowe oczy wciąż kryły w sobie tę samą pełną nieufności ostrożność, którą Tony nauczył się u niego rozpoznawać.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Tony?

- Miałem w sumie nadzieję, że wypełniłeś ten formularz rekomendacyjny.

Burton zamrugął.

- To były trudne okoliczności. Zawsze ich żałowałem.

- W takim razie powinieneś zacząć się poprawiać. - Tony urwał i rozejrzał się wokoło. - Wiesz, Jack, kiedy ostatnio byłem w tym biurze, George Marks usiłował zmusić mnie do opuszczenia szkoły.

Burton oparł się wygodniej.



- Przyszedłeś tu w sprawie Sama Robba, rzecz jasna.

- Mhm.

Dyrektor założył ręce na piersi.

- Sam przyznaje, że był z uczennicą w nocy, i to w okolicznościach, które doprowadziły do jej śmierci... - rzekł.

- A czasem pozory są rzeczywistością, prawda?

Tamten zeszywniał.

- Właśnie. Na pewno dla odpowiedzialnej dorosłej osoby, nauczyciela i urzędnika, który zdaje sobie sprawę, że jego zachowanie jest niewłaściwe.

Tony wiedział, że jako ojciec nie sprzeczałby się z tym człowiekiem. Powiedział spokojnie:

- Ale czy przebywanie sam na sam z uczennicą automatycznie oznacza zawieszenie? Nie wydaje mi się.

- Wiesz doskonale, że nie powinien tam być...

- A ty nie masz najmniejszego pojęcia, co się tam wydarzyło. Tak jak nie wiedziałeś tego w mojej sprawie.

Coś pojawiło się w kącikach oczu Burtona.

- Czego ty chcesz, Tony?

- Porozmawiać o tym, co wiesz. Sam był zastępcą dyrektora przez dziewięć lat, prawda?

- Mniej więcej.

- Czy jakaś uczennica skarżyła się kiedyś na jego zachowanie?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Jak dotychczas nie. Ale to jest coś, czego wicedyrektor nie musi robić dwa razy.

- Nie wiesz, czy Sam zrobił to choć raz. Powiedz mi, czy oceniałeś go przez ten czas?

- Tak.

- I co pisałeś na jego temat w raportach?

Na bladej skórze Burtona pojawiły się pierwsze oznaki zawstydzienia i złości.

- Sam Robb był przyzwoitym wicedyrektorem. Czasem uczniowie się go boją, czasem podziwiają: ogólnie rzecz biorąc, trzyma ich w ryzach. Ale zdarza się, że za dużo pije i ma burzliwy

temperament.

- Czy kiedykolwiek wspomniałeś o tym w swoich raportach?

Dyrektor zawahał się.

- Nie.
- Jak to się stało, że Sam został twoim zastępcą? Na pewno nie z powodu twoich zastrzeżeń.
- Nie, ale też nie rekomendowałem go. Ma przyjaciół w radzie szkoły.

Adwokat po raz pierwszy się uśmiechnął.

- A w jaki sposób ty zostałeś wicedyrektorem przed Samem?

Burton odwrócił się i wyjrzał przez okno.

- Utworzono komisję poszukującą kandydatów. Znalazła ich kilkunastu, w tym czterech spoza rejonu szkoły. Komisja zarekomendowała mnie radzie i zostałem zatrudniony.

Tony nie odpowiadał przez chwilę.

- Które z Taylorów było w tej komisji? John czy Katherine? -zapytał.

Dyrektor odwrócił się, by spojrzeć mu w oczy.

- Katherine, o ile dobrze pamiętam. Ale to było dwadzieścia lat temu, więc trudno mi sobie to przypomnieć...

- To było zaledwie osiem lat po tym, jak mnie wyrolowałeś. - Głos Tony'ego stał się lodowaty. - Proszę, nawet nie próbuj wmawiać mi, że nie konsultowałeś tego z nimi. Ani że nie rozmawiałeś z Taylorami o Samie Robbie. - Z pewnym dystansem obserwował, jak Burton przyjmuje strach, który adwokat chciał mu zaszcześcić: że wiele myślał na temat jego słabości i nie lubił go na tyle, by z przyjemnością się nimi zająć. - Jeśli złożycie ten papier - kontynuował - Sam wytoczy ci proces za konspirowanie z Taylorami oraz radą szkoły zmierzające do naruszenia różnych jego praw z pominięciem właściwej procedury. Przeczytałem twoją polisę ubezpieczeniową dyrektora i wiem, że nie przewiduje ona sytuacji, w której świadomie popełniasz czyny niezgodne z prawem. To powinno pozwolić Samowi upomnieć się o twój dom, oszczędności i emeryturę: dokładnie te same dobra, które on i jego żona musieliby stracić, gdyby został pozbawiony pracy. Pomyślałem, że jest tu pewna symetria.

Burton rozłożył dłonie. Wyglądało to na gest zaskoczenia i błagania.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Chcę, żebyś powiedział publicznie dokładnie to samo, co powiedziałeś mi: że oceny Sama Robba były wzorowe; że przez wszystkie lata, które spędził tutaj jako nauczyciel i urzędnik, nie było skarg na jego zachowanie i że nic nie wskazuje, właściwie wbrew pozorom, by jego stosunek do

Marcie Calder był niewłaściwy. - Tony urwał. - Oraz że twoim zdaniem Sam Robb powinien udać się na płatny urlop, dopóki sąd nie rozezna, czy popełnił jakiegokolwiek przestępstwo.

- A co, jeśli szczerze myślę, że nie powinienem tego robić?

- Wtedy będę zmuszony zadbać o interesy mojego klienta za pomocą wszelkich zgodnych z prawem środków, jakie znajdę. Tak jak ty kiedyś próbowałeś zniszczyć mnie, żeby zadbać o swoje. - Głos Tony'ego zmiękł, stał się ironiczny. - Jakiegokolwiek są twoje motywy, Jack, nie jest jeszcze za późno, by nauczyć się, ile tak naprawdę jest warta lojalność.

Burton spuścił głowę.

- Wiesz, są jeszcze inni. Bardziej przekonani ode mnie.

Tony znowu się uśmiechnął.

- Rozmawiamy teraz o twoim ratunku, więc kiedy będziesz dzwonił do prawników szkoły, zapytaj, czy dadzą ci gwarancję.

- Na pewno do nich zadzwonię.

- Dobrze. - Nagle adwokat się podniósł. - Bo jeśli pomożesz utracić Sama Robba, pójdziesz na dno razem z nim. Dzięki temu choć po części miałbym poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość.

Wcale by tak nie czuł, stwierdził Tony, kiedy wyszedł. Poza uratowaniem Sue, chronienie tak świętoszkowatego i samolubnego człowieka jak Sam Robb nie dawało mu prawie żadnej satysfakcji. Zwłaszcza że Tony wiedział, iż - niezależnie od jego motywów i arbitralności postępowania - tym razem Jack Burton był bliżej prawdy.

## TRZYNAŚCIE

Mimo chrypy pierwsze słowa Johna Taylora odbiły się echem po sali.

- Prawie trzydzieści lat temu, w tej samej sali, mówiłem o zamordowaniu naszej córki Alison. Teraz, ku mojemu smutkowi, mówię o zamordowaniu innej córki.

Członkowie rady szkoły - trzech mężczyzn i dwie kobiety - siedzieli na scenie, powyżej miejsca, w którym stał John Taylor. Patrzyli na ciasną salę, wypełnioną do ostatniego miejsca przez mieszkańców miasteczka, dziennikarzy i kamery. Na zewnątrz czuwał ogromny tłum z transparentami i zdjęciami Marcie Calder. Napisy na nich błagały członków rady: „Pamiętajcie o naszych dzieciach”. Tony’emu ta noc wydawała się tak surrealistyczna, jak zapewne widział ją John Taylor.

Jednakże miasto zmieniło się, a wraz z nim zmieniły się polityczne kalkulacje. Troje członków rady miało zostać wybranych ponownie w listopadzie, jak poinformował Tony’ego Sam. Ta właśnie większość poparła inspektora, który miał do powiedzenia tylko tyle, że szkoły w Lake City, podobnie jak samo miasto, nie wymagają żadnych reform. Dwoje pozostałych członków przybyło do Lake City w ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiedy ta miejscowość stała się czymś w rodzaju sypialni dla Steelton, i zgadzali się z coraz powszechniejszą opinią, że tutejsze szkoły są zadowolone z siebie i niepostępowe. Zdaniem Tony’ego, przywódcy zwalczających się frakcji doskonale je uosabiali: Doug Barker, już z podwójnym podbródkiem, nosił szylkretowe okulary, szpilkę lokalnego stowarzyszenia Kiwanisów oraz ciężką solenność miejscowego czcigodnego obywatela. Przywódczyni rebeliantów natomiast, Kay Marston, miała farbowane jasnobłond włosy, kołyszące się złote kolczyki oraz inteligentny wyraz twarzy, który sugerował, że jej posługa w służbie postępu obejmowała też wysłuchiwanie obłudnych bredni płynących z ust, jeśli nie z umysłu Douga Barkera. Tony podejrzewał, że tego wieczoru obie frakcje bały się, iż niewyeliminowanie Sama Robba może zagrozić ich planom na przyszłość. Zadaniem prawnika było sprawić, żeby jeszcze bardziej się go bali.

Usiadł w pierwszym rzędzie z Samem, Sue i kilkoma przyjaciółmi, którzy zjawili się z - jak się zdawało - mieszaniną lojalności i zdziwienia. Sam miał na sobie stonowany szary garnitur, przybrał też minę wyrażającą głębokie zawstydzenie.

Przyglądając się Sue w roli lojalnej żony, z jej oczywistym upokorzeniem, Tony miał nadzieję, że nie będzie musiała przechodzić przez proces o morderstwo.

John Taylor stanął za podium w środkowym przejściu i zwrócił się do rady:

- Ale to jest zupełnie inny przypadek. I takim go widzę. To prawda, Sam Robb był z nastolatką sam na sam nocą. Ale on sam nie jest nastolatkiem. Ma czterdzieści sześć lat i powierzono mu bezpieczeństwo oraz dobro uczniów liceum w Lake City. Zamiast tego zabrał nocą do parku uroczą

szesnastolatkę.

Sam spojrział na ojca Alison. Zbyt się wstydził, by odwrócić wzrok. Zerknąwszy na Sue, Tony zauważył, jak zamknęła oczy.

- Och, znam wszystkie argumenty - mówił dalej John Taylor. - Wiem, że nie udowodniono, iż Marcie Calder została zamordowana, wiem też, że Sam Robb nie jest winien niczego „ponad wszelką wątpliwość”. To dla mnie boleśnie znajome i było takie przez zbyt wiele lat. Ale cóż to, u licha, ma wspólnego z pytaniem, czy Sam Robb nadaje się na wicedyrektora? N i c. Ponieważ Sam Robb potępił się własnymi słowami.

Kiedy ojciec Alison zwrócił swoją zmizerniałą twarz w stronę Sama, Tony zauważył wyraźniej, jak bardzo zniszczyła go nienawiść. John Taylor powoli, oskarżycielskim gestem, uniósł palec i powiedział drżącym głosem:

- Dlaczego nie wyjaśnisz, co robiłeś? Dlaczego siedzisz tu i milczysz, chowając się za swoim adwokatem? - Jego głos aż ociekał pogardą. - Za Anthonym Lordem.

Sam zaczerwienił się ze złości. Patrząc na Taylora, Tony maskował swój gniew. Salę spowijała cisza; rada czekała, nie kryjąc, jak trudna była to chwila.

Nagle John Taylor znowu stanął przed nimi.

- Niech Sam Robb przemówi w swoim imieniu, i to dzisiaj. W przeciwnym razie nie ma prawa do naszych pieniędzy ani do naszego zaufania.

Nie powiedziawszy już nic więcej, Taylor odwrócił się i usiadł obok Calderów. Frank Calder niezdarnie dotknął jego ramienia. Tony pomyślał, że byli to wyjątkowo dziwni sprzymierzeńcy - załamany dusigrosz i bogacz, który niegdyś nie znosił katolików - zjednoczeni w swojej stracie i smutku, dręczeni nienawiścią, przed którą, gdyby John Taylor miał w sobie więcej współczucia, starszy z nich przestrzegłby młodszego.

Zdawało się, że Doug Barker zmrużył ukryte za okularami oczy, jakby bolała go głowa.

- Rada docenia troskę o innych, którą wykazał się John Taylor. Nieprędko o tym zapomnimy - rzekł.

- Zostań przy tym. Będzie lepiej, jeśli ja włączę się na końcu - szepnął Tony do Sama.

Dyrektor zajrzał do podręcznika, po czym poprosił na podium mizerną, chudą kobietę. Jane Whitman była niegdyś szefową komitetu rodzicielsko-nauczycielskiego, a teraz wybrano ją, aby reprezentowała zatroskanych obywateli, w tym również członków Fundacji imienia Alison.

- Ludzie się boją - powiedziała po prostu. - I kto może im to mieć za złe? Wicedyrektor naszego liceum jest jedynym podejrzanym w sprawie tajemniczej śmierci Marcie Calder. Nie wiem, dlaczego Sam Robb nie został postawiony w stan oskarżenia. Być może policja i prokurator hrabstwa mogą sobie pozwolić na luksus przygotowania nieskazitelnego aktu oskarżenia na podstawie śmierci, której nie można już zapobiec. Ale to nie jest powód, by zatrzymać wicedyrektora, który, gdyby w ogóle miał jakieś poczucie przyzwoitości, ze wstydu sam powinien już złożyć rezygnację. My

będziemy musieli się wstydzić, jeśli pozostanie na swoim stanowisku. - Nagle skinęła głową w stronę Sama i Sue. - Nie możemy zmusić tego człowieka, żeby opuścił Lake City. Możemy jedynie dopilnować, by już nigdy nie decydował o losie naszych córek.

Sue instynktownie nakryła dłoń Sama swoją ręką. Jakby zaskoczona, Jane Whitman zwróciła się do Calderów po wsparcie. Zobaczyła łzy w oczach matki Marcie.

- Tak nam przykro, moja droga. - Przez chwilę mówiła łagodniejszym tonem, jak nauczycielka, którą niegdyś była. - Wszystkim nam jest bardzo przykro. Żałuję tylko, że wcześniej o tym nie wiedzieliśmy. - Urwała i znowu zwróciła się do rady, rzucając każdemu z jej członków oskarżycielskie spojrzenie. - Co powinniśmy cenić bardziej: „prawa” tego człowieka, czy też bezpieczeństwo naszych dzieci? Gdybyście byli na miejscu Franka i Nancy Calderów, znalazłbyście już odpowiedź. Standardem nie jest tu domniemanie niewinności, lecz moralność naszych nauczycieli i urzędników. A według takich standardów nie ma żadnej wątpliwości, że Sam Robb nigdy już nie powinien zajmować się naszymi dziećmi. - Zawiesiła na chwilę głos. - Ani nocą w parku, ani nigdzie indziej.

Kiedy usiadła, tu i ówdzie rozległy się oklaski. Zabrały głos kolejne trzy osoby: aptekarz, właściciel stacji benzynowej oraz przewodniczący bractwa rotarian. Wszyscy opowiadali się za zwolnieniem Sama. Wtedy wstał Frank Calder i otarł chusteczką pot z czoła. Mówił bezbarwnym, cichym głosem, przez nos, jak ludzie ze Środkowego Zachodu. Wydawało się, że przez to jego proste słowa nabierały większej godności.

- Jestem Frank Calder. Ojciec Marcie - rzekł.

Na twarzy Douga Barkera widać było szczere cierpienie.

- Wiemy, Frank. W imieniu rady chcemy powiedzieć, jak bardzo ci współczujemy.

Calder skinął głową, a potem pochylił ją niżej.

- Przyjechaliśmy tu ze względu na szkoły. Przyjechaliśmy tu, żeby nasze trzy dziewczynki poszły do najlepszych publicznych szkół i żeby żyły w jak najbezpieczniejszym miejscu. Tego chcieliśmy dla nich z Nancy.

- Jezu - mruknął Sam.

Tony wiedział, że jego przyjaciel miał powody do zmartwienia: niezależnie od tego, co by powiedział i jak się zachował, Frank Calder symbolizował nadzieje oraz obawy miasteczka Sama. Adwokat stwierdził, że obserwowanie, jak ten sam koszmar rozgrywa się po raz drugi, jest bolesne.

- Nigdy nie sądziliśmy, że nasza niewinna córka będzie nas okłamywać, by móc spotykać się z Samem Robbem jako kochankiem - wyznał szczerze Frank Calder. - On twierdzi, że Marcie chciała z nim porozmawiać. A jego biuro do tego nie wystarczy? Musiał się z nią spotykać w parku Taylorów, nocą? - Urwał i przełknął ślinę. - My wiemy, czego chciał. I wszyscy wiemy, co się stało z Marcie, prawda? To coś takiego, przed czym szkoły powinny nas bronić, nie zaś promować. My mu ufaliśmy... - Raz jeszcze przełknął ślinę i po chwili mówił dalej: - Ufaliśmy jemu i ufaliśmy wam. No i spojrzcie, do czego nas to przywiodło. Ale teraz już wiemy. Wszyscy. Nancy i ja zgadzamy się z

panem Taylorem: niech Sam Robb mówi. Albo, na wszystkie świętości, wywalmy go od razu...

Tony zauważył, że ręce mu drżały. Frank Calder otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu, jakby obezwładniła go groza jego myśli. Zaczął się cofać na swoje miejsce, wciąż patrząc na radę. Kiedy Nancy Calder wstała i dotknęła ramienia męża, Tony poczuł, że cała sala zamarła.

Doug Barker spojrzał na Sama.

- Czy jest tu ktoś, kto ma mówić w imieniu pana Robba? -zapytał.

Tony ostrzegał przyjaciela, że strategia ich przeciwników będzie polegała na zawstydzeniu go, tak aby podał się do dymisji lub przynajmniej zaczął mówić. Patrząc, jak Sam walczy z sobą, prawnik poczuł ciężar odpowiedzialności za wypowiedź w jego imieniu. Kiedy podchodził do podium z szarą kopertą w dłoni, palce mu zwilgotniały.

- Cześć, Doug - powiedział cicho.

Doug Barker wydawał się zaskoczony.

- Cześć, Tony - odparł.

Gdy Tony kładł przed nim kopertę, poczuł na sobie zaciekawiony wzrok Kay Marston.

- Chcę przedstawić się tym z was, którzy mnie nie znają. Nazywam się Anthony Lord, jestem adwokatem Sama i jego przyjacielem. Kiedyś tu mieszkałem. I z wielu powodów żałuję, że wydarzyła się tragedia, która znów mnie tu przywiodła.

Zgodnie z oczekiwaniem Tony'ego efekt niedopowiedzenia połączony z tym, co wiedzieli już o jego życiu, sprawił, że kupił ich uwagę. W sali znowu zapanowała absolutna cisza.

- Dwadzieścia osiem lat temu - kontynuował - w tym samym parku zamordowano Alison Taylor. Czekałem tam, aż wymknie się z domu, tak jak dzieciaki w tym mieście robiły już przedtem, a zapewne również potem. Ponieważ jednak Alison nie wracała, poszedłem jej szukać. Owej nocy byli w parku jeszcze inni ludzie, tak jak i teraz tam są. Usłyszałem kroki, ktoś szedł od podwórka Taylorów. I wtedy znalazłem tam Alison; leżała na ziemi. Chwilę później John Taylor znalazł nas oboje. - Tony urwał i przypatrywał się zdumionym twarzom członków rady. - Ta chwila bez przerwy mnie prześladowa. I będzie prześladowała do końca życia. Nie tylko z powodu Alison, którą kochałem, ale dlatego, że tak wielu ludzi w tym mieście uznało mnie za winnego, choć nie było na to dowodów. Pierwszym spośród nich, ze zrozumiałych dla mnie względów, był John Taylor. Jednak mamy jeszcze jedno wspólne wspomnienie, do którego zrobił aluzję. Dwadzieścia osiem lat temu poprosił radę szkoły, żeby mnie usunęła. Wówczas mój adwokat przyjechał tu, by mnie bronić, tak jak ja teraz bronię Sama. Większością jednego głosu rada zdecydowała, że mogłem dokończyć naukę. Dzięki temu zdobyłem dyplom z prawa na Harvardzie, co z kolei pozwoliło mi wieść szczęśliwe, pełne sukcesów życie, w którym nikt, może z wyjątkiem osób z tego właśnie miasta, nie uważa, że byłbym zdolny do popełnienia morderstwa. Wiele lat po tamtych zdarzeniach moje zadanie polega na tym, by prosić radę, żeby działała z równą ostrożnością. I żeby pamiętała o wszystkich tych latach, które Sam Robb poświęcił tej szkole. Do tego wystarczy jeden list. Jest to pismo od Jacka

Burtona, dyrektora liceum w Lake City. - Tony przerwał i wręczył kopertę Dougowi Barkerowi. - Mam kopie listów dla wszystkich państwa. To, co jest tu napisane, nie podlega dyskusji. Jack Burton stwierdza, że Sam Robb pracował w liceum w Lake City przez dwadzieścia lat i że w tym czasie nie skarżył się na niego żaden z uczniów. Stwierdza też, że nic nie może sugerować, by zachowywał się niestosownie wobec jakiegokolwiek uczennicy. W pewnym sensie jest to bardzo wymowny dokument.

Powinien taki być, pomyślał Tony - w końcu sam go przecież sporządził. Nie wierzył, że Jack Burton powie o tym wszystkim publicznie ani nawet, że to własnoręcznie skreśli. Nie sposób opisać wyrazu twarzy dyrektora, kiedy sygnował dokument: targały nim tak sprzeczne uczucia jak teraz Tonym.

- Niestety, dyrektor Burton źle się dzisiaj czuje. Ale jego list mówi nam, że Sam Robb ma nieposzlakowaną reputację. A dyrektor Burton proponuje wam po prostu, żebyście utrzymali urlop pana Robba, aż sprawa zostanie rozsądzona. - Tony przerwał, czekając, aż Doug Barker podniesie wzrok znad listu. - Z drugiej strony, osoby popierające zwolnienie zakładają wbrew temu świadectwu, że z powodu tego, co się stało z Marcie Calder, Sam Robb stanowi zagrożenie i jest być może mordercą. Gdybyście jednak, co potwierdza dyrektor Burton, przedstawili taki opis Sama jego przyjacielom, jego kolegom, komukolwiek, kto go zna, nigdy nie przyszło by im do głowy, że dotyczy to właśnie Sama. - Patrząc na rodziców Marcie, dodał łagodnym tonem: - Jestem przekonany, że tak samo powiedzieliby państwo Calderowie. Teraz poszukują odpowiedzi wyjaśniającej ich tragedię. Ale z najgłębszym szacunkiem dla tego, co wycierpieli i co zawsze będą cierpieć: tu nie znajdą żadnych odpowiedzi. - Adwokat zamilkł i spojrzał Dougowi Barkerowi prosto w oczy. - Ta rada nie może zdecydować o tym, jak umarła Marcie ani kto jest za to odpowiedzialny. Wiemy tylko tyle, że natychmiast po zaginięciu dziewczyny Sam Robb zachował się odpowiedzialnie. A więc w zakresie waszych kompetencji ani wiedzy nie leży podejmowanie decyzji o tym, o czym nie zdecydowały jeszcze sądy. Pamiętając o waszej odpowiedzialności wobec Sama Robba oraz odpowiedzialności za szkoły w Lake City, odpowiedzialności moralnej, prawnej i finansowej, nie powinniście tego próbować. - Tony dostrzegł, że usłyszawszy tę zawołaną groźbę, Kay Marston wyprostowała się. -

Rada - kontynuował - zgodnie z tym, do czego obliguje ją prawo, złożyła już władzom kryminalnym doniesienie na temat zaistnienia potencjalnie niewłaściwego zachowania. Dopóki jednak nie przemówi aparat sądowniczy, dopóty widmo niebezpiecznego człowieka, tak odmienne od obrazu Sama Robba, którego wszyscy dobrze znacie, nie powinno stawać się pretekstem do polowań na czarownice. Jeśli chodzi o domniemanie, jakoby stosunek Sama Robba do Marcie Calder był niewłaściwy, moja odpowiedź jest prosta: zaczekajcie na swoją kolej. Znieśliśmy już palenie na stosie oraz, czego najwyraźniej jeden z mówców żałuje, skazywanie na banicję. - Głos Tony'ego znowu brzmiał łagodnie. - Wasz obowiązek względem Calderów polega na uczczeniu pamięci Marcie. Nie starajcie się ich pocieszyć, darując im drugie zniszczone życie, bo to w żaden sposób nie zadośćuczyni tragicznej stracie, a później, wraz z upływem czasu, mogą jeszcze tego żałować. Tak samo jak wy.

Skończywszy na tym, Tony usiadł. Zdruzgotany Sam ścisnął jego ramię. Wyglądał na wyczerpanego; zupełnie nieoczekiwanie Tony również poczuł się wyczerpany.

Wydawało się, że rada czeka w napięciu i niezdecydowaniu. Gdy Doug Barker zwrócił się do pozostałych, adwokat Sama dostrzegł w jego spojrzeniu wątpliwości.



- Czy zanim przejdziemy do wolnych wniosków, ktoś z członków chciałby wygłosić oświadczenie?

Po chwili jeden ze sprzymierzeńców Barkera, Allan Proctor, spokojny właściciel lokalnego sklepu sieci Dale Carnegie, pochylił się nad swoim mikrofonem.

- W mojej pracy - powiedział - słyszę wiele pięknych słów. Myślę, że to, co właśnie usłyszeliśmy, to, choć bardzo przebiegłe, tylko odwodzące od tematu piękne słówka i puste groźby. Pan Lord zdaje się przekonywać nas, byśmy czekali, byśmy przesłuchali Sama Robba dokładnie po tym, jak sądy zdecydują o postępowaniu wobec niego. - Obrócił się i spojrzał na Sama z pogardą. - Ale ja nie wierzę, że Sam Robb kiedykolwiek podda się przesłuchaniu, bo musiałby powiedzieć, co robił z Marcie, a jeśli nawet, z pewnością odmówiłby odpowiedzi na to pytanie. Tak czy owak byłoby to przyznanie się do winy. Dlatego nie sądzę, aby z wyrzuceniem tego człowieka tak szybko, jak to tylko możliwe, wiązało się jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

Tony zrozumiał, że było to przebiegłe posunięcie: jeśli powiedzie mu się tylko na tyle, by uzyskać przesłuchanie dla Sama, to melodia zbyt szybko zostanie odegrana do końca, a wicedyrektor musiałby powołać się na Piątą Poprawkę. Lecz ostre spojrzenie Kay Marston rzucone Proctorowi świadczyło o jej sceptycyzmie.

- Rozmawiałeś na ten temat z panem Lordem? Albo z naszym prawnikiem?

Proctor odął wargi.

- Nie.

- A miałeś taki zamiar? - prychnęła Marston. - To znaczy, zanim go zwolnimy?

- To tylko zdrowy rozsądek, Kay...

- Więc pomyślałeś, że po tym, jak wyrzucimy Sama Robba, on nie poda nas do sądu, tylko będzie wdzięczny, że oszczędziliśmy mu przesłuchania? - Zwróciła się do Tony'ego: - Jakież uwagi na ten temat, panie Lord?

Tony wstał.

- Dwie. Po pierwsze, z czym wasz prawnik bez wątpienia się zgodzi, Sam ma prawo do formalnego przesłuchania. Po drugie, zwolnienie go w tej chwili bezpodstawnie zniszczyłoby mu reputację i otworzyłoby drogę do żądania znacznego odszkodowania.

Kay Marston energicznie skinęła głową.

- W tłumaczeniu - powiedziała do Proctora - oznacza to niewiele więcej niż „dziękuję”.

Na chwilę ich napięcie uciszyło salę. Proctor zwrócił się do Sama i zapytał:

- Dlaczego po prostu nie wyjedziesz? Jak, na Boga, mogłeś wziąć tę dziewczynę do parku, a potem kazać jej rodzicom i nam wszystkim przechodzić gehennę, której doświadczyliśmy dzisiaj?

Sam instynktownie zaczął się podnosić. Kładąc dłoń na jego piersi, Tony pochylił się do niego i szepnął:

- Nie.

Jego przyjaciel spłonił się, a potem z powrotem usiadł.

Doug Barker z opóźnieniem odzyskał władzę i starał się zachować pozory przyzwoitego zgromadzenia.

- Czy są jakieś wnioski, co do tego, jak mamy dalej postępować? - zapytał.

Zarówno Kay Marston, jak i Allan Proctor podnieśli ręce. Z przebiegłością małomiasteczkowego polityka Barker pozwolił, aby najpierw przemówiła jego Nemezis.

- Proszę, Kay.

Tony obserwował kobietę; zaschło mu w ustach.

- Proszę mi wierzyć - zaczęła Kay Marston - podzielam najgłębszą troskę i żal, jaki tu dzisiaj wyrażano. Jeśli chodzi o jakiegokolwiek przejawy niewłaściwego zachowania w stosunku do kobiet, nie mówiąc już o dziewczętach z naszej szkoły, nikt tu nie żywi bardziej zdecydowanych uczuć ode mnie. Ale nie mamy władzy, by zwolnić kogoś bez przesłuchania. - Popatrzyła po zgromadzonych. - Nasz prawnik proponuje czekać.

- Inaczej mówiąc, nie róbmy nic - wciął się Allan Proctor.

Tony obserwował w napięciu ich rywalizację, wiedząc, że najbliższa przyszłość Sama i Sue zależy od utrzymania równowagi.

- Nie - odparowała Marston. - Nie róbmy nic głupiego. Zbierzemy się ponownie, jeśli postawią mu zarzuty, i wtedy go przesłuchamy. A teraz prowokujemy proces sądowy, którego, jak wiemy, nie możemy wygrać. Proces, który zepchnie odpowiedzialność na jakiegoś sędziego w Steelton, ten zaś z kolei przekaże ją Samowi Robbowi i jego prawnikowi. Nie jestem za ukrywaniem faktów przed głosującymi.

Allan Proctor zamarł z urazy. Doug Barker spojrział posepnie na innych.

- Głosujemy?

Tony zobaczył, że John Taylor pochylił się na krzesło, a Calderowie trzymali się za ręce.

- Wszyscy, którzy opowiadają się za wnioskiem pani Marston, proszę podnieść ręce - powiedział Barker.

Kay Marston podniosła rękę, a za nią niechętnie jej sprzymierzeniec, inżynier chemik, który dojeżdżał stąd do Steelton, a teraz siedział ze wzrokiem utkwionym w stół.

- Dwa - stwierdził cichym głosem Doug Barker. - Kto przeciw?

Allan Proctor jako pierwszy wyciągnął rękę, a za nim drugi sprzymierzeniec Barkera, emerytowana nauczycielka z gęstymi, białymi lokami. Tony czekał odrętwiały, aż przewodniczący rady zagłosuje i dymisja stanie się faktem.

- Dwa - oświadczył ponurym głosem Doug Barker. Tony zobaczył, jak Sam chwycił oparcie krzesła, a Sue znowu zamknęła oczy.

Barker masował grzbiet nosa.

- Dziś żałuję, że jestem członkiem rady - powiedział po chwili. - Boleję nad śmiercią Marcie Calder bardziej, niż potrafię to wyrazić. Ale muszę zgodzić się z Tonym Lordem: zbyt długo znamy Sama Robba, by spieszyć się z oceną, a roztropność podpowiada, żeby pozwolić działać prawu. - Spojrzał na Sama i dokończył: - Pokładam nadzieję w Bogu, Sam, że nigdy nie będę tego żałował. Stosunkiem głosów trzy do dwóch przechodzi wniosek pani Marston...

Rozległo się nagłe westchnienie. Doug Barker wzniósł wzrok do góry, jakby zdumiało go to, co zrobił. Potem mruknął pośród gwaru:

- Na tym kończymy sesję.

Ponury i zmieszany tłum niechętnie podnosił się z siedzeń. Tony - rozdarty między poczuciem ulgi i instynktownym współczuciem - patrzył, jak Calderowie wpatrują się w pustą scenę.

Sam Robb pochylił się do przodu na swoim krześle i płakał.

## CZTERNAŚCIE

Sam ukrył twarz w dłoniach. Zbliżenie twarzy człowieka do tego stopnia pogrążonego w poczuciu ulgi i wstydu było tak fascynujące, że patrząc na niego, Tony na kilka sekund zapomniał, co ma robić.

- Zaczekaj chwilę, kochanie - powiedział do Stacey i odłożył słuchawkę.

Gdy podszedł do telewizora i zwiększył głośność, postać Sama ustąpiła miejsca szczupłej dwudziestokilkuletniej kobiecie, która siedziała samotnie na sofie.

- Kiedy zobaczyłam to posiedzenie rady szkoły w wiadomościach, musiałam się zgłosić. Niezależnie od tego, jakie to trudne - powiedziała do kamery.

Na ekranie jej mocne, nie złagodzone żadnym makijażem rysy mówiły o szczerości i prawdziwym cierpieniu.

- Nie wiem, czy były jeszcze jakieś dziewczyny, ale wiem, że Marcie Calder nie była pierwsza. - Na chwilę straciła głos. - Może to ja byłam pierwsza.

Zaskoczony Tony mruknął:

- Nie, do cholery...

Kobiecego głos zza kamery zadał pytanie:

- Czy możesz nam opowiedzieć, jak to się stało, Jenny?

Skinęła głową, usiłując się opanować.

- Miałam siedemnaście lat i tak jak Marcie należałam do drużyny biegaczek. Mówił mi, że jestem wyjątkowa...

- I miałaś z nim stosunki seksualne?

- Tak. - Umilkła. - Raz w jego biurze, drugi raz w motelu.

- Dlaczego zgłaszasz się teraz, po sześciu latach?

Zdawało się, że kobieta zbiera się w sobie.

- Gdybym miała odwagę zrobić to wtedy, Marcie Calder wciąż by żyła. Sam Robb nigdy nie powinien dotknąć innej dziewczyny...

Kiedy kamera zrobiła zbliżenie jej twarzy, kobieta zagryzła wargi, próbując zachować zimną krew. Tony poczuł pustkę w dołku.

- Mówiła Tamara Lee. Headline News - powiedziała dziennikarka.

Oszołomiony podszedł do telefonu.

- Przepraszam, Stace. Muszę natychmiast zadzwonić do Sama.

Sam miał udręczony wyraz twarzy; stał na pomoście i patrzył na jezioro Erie.

- Ona kłamie, Tony. Chce mnie zniszczyć.

Adwokat zastanawiał się, ile razy słyszał podobne zapewnienia od klientów.

- Teraz chodzi już o dwie dziewczyny. I jaki powód ma ta, żeby kłamać? - odparował.

Sam zaczerpnął powietrza. Jego odpowiedź zdawała się przychodzić z ogromnym trudem, jak gdyby osobowość wicedyrektora została obnażona przez to ostatnie, publiczne upokorzenie i jakby pozostał w nim tylko pierwotny instynkt, który sprzeciwia się losowi.

- Sześć lat temu wyrzuciłem ją z drużyny biegaczek, ponieważ znalazłem w jej szafce marihuanę - odparł zmęczonym głosem.

Tony patrzył w zamyśleniu, jak popołudniowe słońce chyli się ku wodzie i rozsyła słabe promienie w szarobłękitną głębię.

- W takim razie ktoś jeszcze musiał o tym wiedzieć, prawda?

Sam pokręcił powoli głową.

- Pozwoliłem jej powiedzieć, że sama odchodzi. Czym innym było pozbycie się jej z drużyny, żeby nie roznosiła tego gówna, a czym innym spieprzenie jej życia dyscyplinarnym wydaleniem. - Uśmiechnął się gorzko do swojego prawnika. - Powinienem natychmiast ją wywalić. Ale pamiętałem, że w jej wieku trzymałem w bagażniku butelkę whisky.

Ta odpowiedź sprawiła, że Tony umilkł: albo było to bardzo wyszukane kłamstwo, które wymyślił w ciągu godziny, albo też Sam miał więcej współczucia niż Jack Burton, który w swojej fałszywej pobożności potraktował w ten sposób siedemnastoletniego Tony'ego Lorda.

- To oskarżenie może oznaczać twój koniec - rzekł po chwili. - Dzięki temu rada szkoły będzie cię mogła uznać za „moralnie nieodpowiedzialnego”, a może nawet uzna cię za emocjonalnie nie zrównoważonego. Natomiast Stella Marz może wykorzystać przypadek Jenny, by pokazać, że okłamywałeś policję oraz że masz obsesję na punkcie nastolatek. Pytanie tylko, dlaczego po sześciu latach wciąż tak bardzo cię nienawidzi, aby to wszystko zmyślić.

Sam zwrócił się do niego z pretensjami.

- Jenny Travis nie jest stanowcza. Naciskaj mocno, a się wycofa.

Ta zmiana zaskoczyła Tony'ego. Oczy jego przyjaciela rozbliły się złością, a jego głos brzmiał okrutnie praktycznie.

- Nie pytałem, czy uda mi się ją złamać, do cholery. Pytałem, dlaczego miałyby kłamać...

- Posłuchaj, Tony. Jenny Travis znana była z tego, że pieprzyła się z wieloma chłopakami. Nawet wtedy. Potem gadano o niej i o innej dziewczynie z drużyny. - Sam zacisnął zęby. - Kiedy ktoś nie wie, czego chce, trudno zgadnąć, co mu strzeli do głowy.

Patrząc na desperację malującą się w oczach Sama, Tony pomyślał o Sue, o tym, jak cierpiała ze stoickim spokojem przez całe zebranie rady.

- Jak Sue to znosi? - zapytał po chwili.

- A jak myślisz? - Wzmianka o żonie sprawiła, że Sam od pasji przeszedł do rozpaczy. - Powiedziałem jej to, co mówię i tobie: że Jenny Travis kłamie. Jeśli w jakiś sposób nie sprawię, by Sue mi uwierzyła, to ją stracę. - Urwał i pokręcił głową. - Nie mieści mi się to w głowie, mój drogi. Nie mieści mi się w głowie...

Sal Russo, prywatny detektyw, którego znalazł Saul, działał bardzo skutecznie. Po dwudziestu czterech godzinach Tony wiedział już, że Jenny Travis była instruktorką aerobiku w Riverwood, że od dwóch lat mieszkała z kobietą o nazwisku Ellen Fox, że nie była notowana przez policję i prokuraturę ani nie miała procesów cywilnych, odkąd ukończyła liceum w Lake City. Miała dwadzieścia trzy lata, nigdy nie wyszła za mąż, nie miała też długów.

O ile Sal się zorientował, ani ona, ani Ellen Fox, pracownica opieki społecznej, nie miały chłopaków. Siedząc w małej kabinie przeznaczonej na biuro, Tony obserwował ostatnie pięć minut prowadzonej przez nią lekcji aerobiku. Wydawała polecenia jak sierżant na musztrze, energicznie i sensownie, przy wojowniczym akompaniamencie muzyki rap. Zmęczone, pewne ruchy Jenny, różne co do siły i kierunku, plasowały jej gimnastykę na ruchomej skali od zmysłowości do głupoty. W innych, lepszych okolicznościach Tony mógłby się zamyślić nad swoim słabnącym zainteresowaniem koszykówką - był starzejącym się byłym gwiazdorem z liceum, którego wyprzedzali już młodsi prawnicy, wszyscy bladzi z przepracowania i równie poważnie jak on traktujący te zawody. Wówczas uśmiechnąłby się na myśl o tej ludzkiej komedii. Ale takie myśli byłyby zbyt dobrotliwe, by mogły odpowiadać jego obowiązkom wobec Sama.

Lekcja dobiegła końca. Uczennice szczebiotały między sobą jak dzieci wypuszczone ze szkoły. Jenny rozmawiała z większością z nich, ściskając je za ramiona i dodając im otuchy. Była chyba zbyt przejęta, zupełnie jakby przygotowywała żołnierzy do jakiegoś grożącego ich życiu ataku. Gdy kilka z nich odpowiedziało uściskiem, Tony zaczął się zastanawiać, czy wyrażają w ten sposób swoją solidarność po tym, jak spotkała ją zła sława. W końcu instruktorka weszła do swojej salki, ocierając pot z czoła wierzchem dłoni. Kiedy zobaczyła Tony'ego, oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

- Pan jest Tony Lord. Widziałam pana w telewizji - powiedziała.

W jej głosie było coś uszczypliwego, była też w nim niepewność i obawa. Wcale nie usiłowała udawać dobrej woli. Zdawało się to zgodne z jej postawą: obcinała się krótko jak chłopiec, miała jasne, błękitne oczy, a na bladej skórze nie było śladu makijażu. Na dodatek miała brązowawe, brzydkie włosy. W sumie wyglądała, jakby odsączono z niej wszystkie kolory. Była aż za chuda, a pod pozorem żwawych ruchów i wyzywającego spojrzenia Tony wyczuł asekuranctwo.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Pomyślałem, że zanim się coś stanie, warto się przekonać, do czego zmierzamy.

Zabrzmiało to groźniej i mniej niechętnie, niż zamierzał.

- Marcie Calder nie żyje. Więc już się coś stało - odparła Jenny.

- Fakt. I nie da się już tego wymazać: otaczają cię media i mówi się już o kolejnym posiedzeniu rady szkoły.

Jenny Travis spojrzała na niego zwięzonymi oczami, które wyrażały obawę, obrzydzenie dla tego, za kogo go uważała, i pogardę dla jego moralnej dwuznaczności.

- A p a n już wie, że Sam Robb uprawiał seks z jeszcze jedną uczennicą. Może wiedział to pan nawet przed posiedzeniem.

Mówiła tak, jakby jej prawdomówność była dla niego czymś równie oczywistym, jak dla niej.

- Wiem tylko to, co powiedziałaś Kanałowi Siódmemu - odparł Tony. - I było tego mniej, niż mówisz teraz...

- A co o n mówi?

- Że to nieprawda i że jest gotów pójść na przesłuchanie.

Jenny skrzywiła się.

- To naprawdę kłamca. I morderca. - Pochyliła się w stronę adwokata. - Czy wie pan, skąd wiem, że Sam Robb zabił Marcie Calder?

Zaskoczyło to Tony'ego.

- Nie.

- Ponieważ "Szantażował mnie dla uzyskania korzyści seksualnych. Człowiek, który lubi zmuszać kobiety, może pójść na całość.

Milcząc, Tony poskramiał swoje emocje. Zastraszanie jej mogło przynieść fatalne skutki. Zmienionym, niższym i łagodniejszym głosem powiedział:

- Chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło.

Spojrzała na niego powątpiewająco, po czym wzruszyła ramionami.

- Jeśli mam to teraz bez przerwy powtarzać, to równie dobrze mogę opowiedzieć także panu. W końcu żyłam z tym przez ostatnie sześć lat.

Sam miałby wówczas niewiele ponad czterdzieści lat, policzył Tony, a Jennifer, jego córka, byłaby mniej więcej w tym samym wieku, co ta kobieta.

- Czy Jenny Robb chodziła z tobą do szkoły?

Jenny Travis spojrzała na niego.

- Do tej samej klasy.

- Czy w ogóle ją znałaś?

- Każdy ją znał, była przewodniczącą klasy. Ale należałyśmy do różnych grup.

Tony wyczuł nutę antypatii, może nawet wrogości. Jednak nie mógł tego zgłębić inaczej, jak tylko rozmawiając z Jenny Robb. Stwierdził, że jeśli oskarżenia tej kobiety były prawdziwe, trudno mu jest pojąć lekkomyślność szkolnego administratora, który uprawiał seks z koleżanką z klasy jego córki.

- Kiedy mówi pani, że Sam „zmuszał” panią...

Kobieta założyła nogę na nogę. Za nią zbierała się kolejna grupa na zajęcia: kilkanaście kobiet w strojach sportowych. Tony'ego zaskoczyła świadomość ciszy: ciszy kobiet po drugiej stronie szyby i ciszy kobiety, która siedziała przed nim.

- Znalazł narkotyki w mojej szafce - powiedziała po chwili.

Jenny Travis zamknęła za sobą drzwi.

Trener Robb siedział przy biurku i przyglądał się jej spod przymkniętych powiek. Następnie wyjął z szuflady dwa skręty i położył je na blacie.

Dziewczyna czuła, jak serce zabiło jej mocniej. Lepiej było się nie odzywać.

- Możesz zostać usunięta. Mam obowiązek złożyć na ciebie raport - powiedział.

Milcząco skinęła głową.

Sam skrzywił się skonsternowany, jak człowiek, przed którym stoi wstrętne zadanie. Powiedział łagodnie:

- Usiądź, Jenny.

Usiadła, patrząc rozpaczliwie na skręty.



Pochylił się do przodu, przyglądając się jej zza biurka tymi niebieskimi oczami, które stanowiły najmłodszą część jego wciąż jeszcze młodej, ale nabierającej już krągłości twarzy.

- Masz takie możliwości - rzekł. - Jako sportowiec i jako osoba. Dlaczego to odrzucasz?

Jenny wzruszyła ramionami, szukając słów, żeby odpowiedzieć, i usiłując wyczytać z jego zachowania, czy jej los był jeszcze otwartą sprawą. Zdołała jedynie wydusić z siebie:

- Nie wiem.

- No cóż, będziesz musiała to wszystko zrozumieć, wszystko bez wyjątku. - Umilkł na chwilę i założył ręce na piersi. - Dobrze zdajesz testy, Jenny, ale oceny masz przeciętne. Na bieżni nie biegiesz tak, jak byś mogła. A teraz to... - Przerwał i popatrzył na biurko. - Może powinienem porozmawiać z twoimi rodzicami. Tego bym pragnął, gdybyś była moją Jenny.

Była to pierwsza sugestia, że mógłby zrobić coś innego, niż ją wyrzucić. Ale ów pomysł wprowadził dziewczynę w konsternację: widziała swoją matkę z zaciśniętymi wargami i swego cholerycznego ojca, który grzmi z wściekłością. Narkotyzowała się, żeby od tego uciec, żeby schronić się w świecie fantazji i zakręconej muzyki, która powstawała w jej głowie.

- Błagam. Oni tylko na mnie nawrzeszczą. Nie rozumieją - powiedziała.

Podniósł na nią wzrok.

- Ja też nie rozumiem, Jenny Travis.

Poczuła, że był w tym nowy, ciepły odcień: trener Robb mówił do niej jak do osoby. Zawsze uważała, że jest w nim coś atrakcyjnego, ale poza niewymuszonymi żartami, arogancką pewnością siebie wielkiego niegdyś sportowca z Lake City, zdawał się trzymać na dystans. Nie miała poczucia, że go zna, a teraz musiała się o to postarać.

- Czasami chciałabym uciec. Czuję się, jakbym tu nie pasowała, i nie wiem dlaczego - wyznała.

Wydawało się, że się nad tym zastanawia, patrząc na biurko spod przymkniętych powiek. Spoglądając na niego, Jenny była wdzięczna, lecz coś w niej - coś, co ją zaskoczyło - kazało jej myśleć, że to jego nagłe zainteresowanie jest pozą, która kryje absolutny brak szacunku dla niej. Wtedy podniósł na nią te swoje jasne, niebieskie oczy, jakby przejrzał ją na wylot.

- Mogłabyś być wspaniałą osobą, Jenny. Ale nie staniesz się nią, paląc skręty.

Wciąż jeszcze rozmawiali, stwierdziła. Nadzieja, strach i zmieszanie sprawiły, że oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Błagam - wydusiła z siebie. - Nie wie pan, jacy oni potrafią być...

Trener Robb bezradnie wzruszył ramionami. Odpowiedział niechętnym tonem:

- Może będę mógł ci coś doradzić. - Urwał i położył dłoń na czole. - Będę musiał się nad tym zastanowić...

Znieruchomiła i ucichła, bojąc się zrobić cokolwiek, co zniszczyłoby równowagę. Obawiała się, że nawet po szóstej ktoś mógłby wejść do biura i zobaczyć skręty na stole. Wydawało się, że trener walczy ze sobą.

- Nie powinienem tego mówić, ale fakt, że to dotyczy ciebie, utrudnia mi zadanie. Ludzie nie mogą myśleć, że kogoś faworyzuję. A ty zawsze byłaś moją faworytką - powiedział cicho.

Nagle Jenny zrozumiała, że coś się między nimi zmieniło. Głośno i bezwiednie przełknęła ślinę.

- Nie możesz wciąż uciekać - mówił do niej. - Chłopcy, narkotyki i cała ta reszta. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową. Przytaknęłaby wszystkiemu, każdemu jego słowu.

Milcząc, schował oba skręty do szuflady.

- Dobrze - rzekł z wolna. - Pomogę ci.

Na jej twarzy pojawił się drżący uśmiech.

Kiedy wstała, trener Robb zrobił to samo.

Patrzyli na siebie. Jenny była zmieszana. Otworzył przed nią ramiona. Z wahaniem podeszła do niego.

Był silny. Stanowił przeciwieństwo chłopców, przy których nic nie czuła.

Już dobrze. - Przycisnął ją mocno do siebie. - Przejdziemy przez to...

Kiedy się cofnęła, patrząc na niego z wdzięcznością, potrząsnął głową z uśmiechem.

- Ach, Jenny...

Jego głos bez wątpienia się zmienił. Poczowała ucisk w dołku, a wtedy Sam Robb ją pocałował.

Nie opierała się ani też go nie zachęcała. Wydawało się jej, że istnieje poza swoim ciałem. Była zaskoczona, nie wierzyła w to, bała się i dziwiła. Wsunął język w jej usta.

Pozwoliła mu na to, wyobrażając sobie twarze rodziców i bojąc się odsunąć z powodu dwóch skrętów, które trzymał w szufladzie. Dotknął czołem jej czoła.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”. Pocałował ją w czoło i puścił, po czym podszedł do drzwi. Kiedy to robił, zdała sobie sprawę, że kazał jej przyjść do biura po treningu, kiedy wokoło nie ma nikogo.

Nie przestając patrzeć na biurko, usłyszała zgrzyt zamka.

Jeszcze zanim pochylił się nad nią od tyłu i objął dłońmi talię, wiedziała, że dotknie jej piersi.

Zamknęła oczy. Odnalazł jej sutki przez cienki materiał bawełnianej koszulki. Poczowała ostrzeżenie w głowie i przeszedł ją dreszcz. Oddech trenera ogrzewał jej kark.

Później wszystko rozwijało się z wolna: znała ten taniec, tym razem czuła jednak, że w jakimś sensie to rozgrywa się poza nią. Pewne siebie dłonie rozpięły jej dżinsy, a palce znalazły jej wilgoć. Nie spieszył się. Mogła go powstrzymać, lecz bała się to uczynić nawet wtedy, gdy ją pochylił. Kiedy wszedł w nią od tyłu, włosy opadły jej na twarz i na biurko. Czuła, jak się porusza, a potem, jak przebiega go dreszcz. Zastanawiała się, czy ryzyko zwiększało jego podniecenie.

Sam Robb mruknął cicho i spokojnie:

- To nie może być ostatni raz, Jenny.

Zrozumiała, że stała się jego własnością.

Tony zastanawiał się, czy ta relacja była prawdziwa. Zdumiało go jej podobieństwo - przynajmniej co do pewnych szczegółów - do opowieści Sama o tym, jak został „uwiedziony” przez Marcie Calder. Dlatego dopiero po chwili zapytał:

- Czy wtedy komukolwiek o tym opowiadałaś?

Jenny założyła ręce na piersi.

- Nie.

Adwokat zawahał się. Nawet gdyby zniechęcił Jenny Travis, Stella mogła wezwać ją na świadka i zmusić do składania zeznań. Jeśli jednak nie spróbuje, jej zeznanie, gdyby do tego doszło, mogłoby mieć tragiczne skutki. Poza tym wbrew sobie Tony chciał usłyszeć wszystko.

- Byłaś z nim jeszcze raz? - zapytał.

- Tak. W Motelu 6, jakąś milę stąd.

Przynajmniej nie w samochodzie, pomyślał z ponurą ironią.

- Co się wydarzyło?

- Położyłam się na nim. Trzymał mnie za głowę, aż skończył.

Jej ciało zeszywniało, a w bezbarwnym głosie kobiety kryła się opanowywana siłą nienawiść.

- To, co mi opowiedziałaś - rzekł ostrożnie - jest nieprzyjemne. Ale jest pewna różnica między wykorzystywaniem, nawet maltretowaniem, a morderstwem.

Pierwszy raz jej policzki się zarumieniły.

- Dałam mu to, czego chciał. Co by było, gdybym odmówiła?

- Nie wiem.

Wstała, odwróciła się do okien i zaczęła przyglądać pozostałym kobietom. Po chwili jeszcze bardziej się wyprostowała i obróciła do niego.

- W motelu miał na mnie ochotę dwa razy - powiedziała. - Za drugim razem przewrócił mnie na brzuch, a kiedy się opierałam, po prostu to zrobił. To bolało. - Jej głos był pełen pogardy. - A potem, gdy już skończył, przeprosił mnie. „Nie jestem taki”, tak mi powiedział.

Wbiła wzrok w Tony'ego, domagając się odpowiedzi na pytanie, jak może bronić tego człowieka. Prawnik zapytał ze spokojem:

- Co zrobił, Jenny?

Spojrzała na niego pytająco i ze złością potrząsnęła głową.

- Nie to - odpowiedziała. - Po prostu przez niego poczułam się jak szmata, brudna i wykorzystana szmata. Może w pana życiu to nic takiego.

Tony zdawał sobie sprawę ze swoich skołowanych uczuć: z obawy, kim Sam mógł się okazać; z niepożądanego pytania, czym było małżeńskie życie dla Sue; z przecucia, że to, iż Jenny Travis nie potrafiła odróżnić go od jego klienta, było spowodowane czymś więcej niż złością na Sama i niechęcią do prawników. W powietrzu wisiało coś, o czym jeszcze nie mówili, a teraz Tony odgadł, o co chodziło: poczuł ogromne współczucie dla tej kobiety oraz złość, że on - jako obrońca Sama Robba - musi zaryzykować i powiedzieć jej coś, czego Stella nie zdradziła: że proces sądowy, gdy się już zacznie, wymknie się spod jej kontroli.

- W moim życiu - odpowiedział - to na pewno nie jest „nic takiego”. Ale reprezentuję klienta. I chcąc być wobec niego w porządku, muszę podkreślić, jak wiele szkód przyniesie mu twoje zeznanie, nie mówiąc już o tym, jak poważna jest sugestia, że uważasz go za zdolnego do popełnienia morderstwa. Nawet na podstawie wymuszonego seksu. - Tony cały czas mówił spokojnym głosem; może uda się ją przekonać, że to, co nadejdzie, nie będzie dla niej zbyt dobre. - Dlatego też jestem absolutnie pewien, że będę mógł sprawić, by twoje zeznanie nie było potrzebne w żadnym procesie o morderstwo. Tym bardziej że więcej jest w nim negatywnego nastawienia do Sama niż dowodu na zbrodnię. W związku z tym pozostaje tylko przesłuchanie przed radą szkoły. Ale Sam już jest zawieszony. Jeśli ci to pomoże, to chyba mogę cię zapewnić, że on nigdy nie wróci do liceum w Lake City.

Jenny Travis z uporem pokręciła głową.

- Mówi pan jak adwokat. Ale ja byłam ofiarą, Marcie Calder również. Milczałam przez sześć długich lat i przez cały ten czas czułam tylko ból. Robię to dla takich dziewcząt jak Marcie i dla siebie samej.

Tony zdał sobie sprawę, że nie uda mu się powstrzymać kobiety, jeśli nie powie jej całej prawdy. Tłumiąc swoją niechęć, mówił dalej:

- W takim razie, gwoli sprawiedliwości wobec Sama i ciebie, muszę ci powiedzieć, jakie pytania

będzie musiał zadać każdy prawnik. W końcu odeszłaś jednak z drużyny biegaczek, prawda?

Krótko skinęła głową.

- Oczywiście, po motelu nie mogłam na niego patrzeć.

- Nie ma żadnych świadków, którzy potwierdziliby twoją relację albo przekonali mnie, jako adwokata Sama, że tak właśnie było. Jasne, że zawsze jest problem z tym, co według ciebie Sam ci zrobił. Ale nie ma nikogo, Jenny, kto powiedziałby, że Sam nie pozwolił ci odejść z dobrego serca, jak on sam utrzymuje, zamiast wyrzucić cię za narkotyki. Albo też że wszystko inne, co mi właśnie opowiedziałaś, jest prawdą. To klasyczny problem typu „on mówi to, a ona tamto”, a te niełatwo rozwikłać.

Jenny wbiła w niego wzrok.

- Wiedziałam o tym już sześć lat temu. Dlatego trzymałam buzię na kłódkę, dzięki czemu Marcie Calder wpadła w tę samą pułapkę co ja. A teraz jestem gotowa postawić swoje słowo przeciwko słowu Sama Robba.

Tony w pewnym sensie zapragnął dla jej dobra, żeby ta sprawa była tak prosta, jak jej się wydawało. Ale tak nie było.

- Wobec tego wszystko będzie kwestią wiarygodności... - rzekł po chwili.

- A Sam Robb jest wiarygodny? Po tym wszystkim?

Tony wiedział, że to właśnie było sedno sprawy.

- To rzeczywiście problem - przyznał. - W końcu adwokat Sama będzie próbował cię przyszpilić. Będzie usiłował zasugerować, że z powodu tego, kim jesteś, mogą zaistnieć podstawy, by wątpić w twoje słowa.

Jenny zacisnęła zęby. Po raz pierwszy Tony był pewny, że asekurancka postawa, którą u niej wyczuł, pochodziła z głębi duszy, z samego wnętrza.

- Z jakiego powodu? - chciała wiedzieć.

- Z powodu wszystkiego, co dotyczy twojej prawdomówności i obiektywizmu. - Przyglądając się jej, starał się, by jego głos brzmiał jak najłagodniej. - Nie chodzi tylko o zażywanie narkotyków albo o rozwiązłość. Chodzi o wszystko, co się z tobą wiąże. - Urwał raptownie, patrząc w jej zastygłe w bezruchu oczy. Zapytał cicho: - Czy rodzice Ellen wiedzą?

Skóra kobiety zdawała się jeszcze bledsza. Równie cicho odpowiedziała:

- Ty draniu.

- A więc odpuści sobie? - zagaił Saul.

- Chyba tak - odparł Tony. - Jeśli Stella jej na to pozwoli. Jenny najwyraźniej zależy na tej Ellen i nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mogłoby jej zaszkodzić to zeznanie.

Po drugiej stronie linii Saul przez chwilę nie odpowiadał.

- Myślisz, że mówi prawdę?

- To na pewno możliwe... Bóg jeden wie, jak bardzo go nienawidzi. Jednak jej uczucia są tak intensywne, że nie chodzi tu tylko o niesprawiedliwość, ale o problem psychologiczny. A może tak to sobie tylko wyobrażam. - Tony urwał i sięgnął po martini, które stało na jego toalecie. - Szczerze mówiąc, Saul, wydaje mi się, że zaraziłem się trądem. Tylko resztki przyzwoitości i poczucie wstydu powstrzymały mnie od opowiedzenia jej, ilu gejów i lesbijek zapraszamy ze Stacey na kolacje w liberalnym San Francisco.

Saul prychnął.

- Przecież powiedziałaś tej dziewczynie tylko prawdę. A zrobienie na forum publicznym tego, co zrobiłaś jej w cztery oczy, byłoby o wiele gorsze. Gorsze byłoby też, gdybyś wiedział, że robi to ktoś inny.

Tony zdawał sobie sprawę, że to prawda.

- Chyba najbardziej gnębi mnie myśl, że nie wiem, kim stał się Sam Robb. - Umilkł na chwilę. - Mój stary przyjaciel albo ma pecha, nie potrafi oceniać swojego postępowania i wyznaje naprawdę podłą etykę, albo jest na tyle patologicznym przypadkiem, że mógł zamordować Marcie Calder.

To śmiałe wyznanie sprawiło, że Tony wpadł w jeszcze głębszą depresję.

- W tej sytuacji - rzekł po dłuższym milczeniu Saul - nie wiem, czy to poprawi ci humor. Okazuje się jednak, że może miałaś rację co do Erniego Nixona. Przynajmniej na tyle, by wyglądał on podejrzanie.

Tony'ego nie zdziwiło to, że wcale nie poczuł się lepiej.

- Tony Lord - powiedział. - Zmora Murzynów i lesbijek. Od lat do tego właśnie dążyłem. - Wypił do końca swoje martini. - A więc opowiedz mi o nim.

## PIĘTNAŚCIE

Przez okno Sarah Croff Tony widział całkiem wyraźnie dom Erniego Nixona: skromny, biały, drewniany budynek z lat dwudziestych, z frontową werandą, rzucającymi cień drzewami, klombem, który wydawał się zapuszczony, i nie skoszonym trawnikiem. Podążwszy za spojrzeniem Tony'ego, Sarah Croff powiedziała z dezaprobatą:

- On o nic nie dba.

Taka była cena rozwodu, odgadł adwokat. Nawet w hojnym świetle poranka wygląd domostwa Erniego świadczył o braku troski.

Zwrócił się do gospodyni:

- Z pewnością widzi pani, kto wchodzi do domu, prawda?

- O tak. To samo powiedziałam panu Russo.

W głosie kobiety słyhać było nutkę rozdrażnienia i wyższości, zupełnie jakby adwokat w jakiś sposób jej przeszkadzał i na dodatek był mało rozgarnięty. Tony domyślił się, że zawsze się tak zachowywała i że nie chodzi o to, iż dobiegała już siedemdziesiątki. Miała białe, rzędzące włosy i zastygłą w niezyczliwym grymasie twarz, której Tony nie mógł wyobrazić sobie zmarszczonej w uśmiechu. Świadczyły o tym zapadnięte policzki, wygięte w podkówkę usta i przenikliwe oczy. Gdy obrócił się, by raz jeszcze na nią spojrzeć, starał się przypomnieć sobie, dlaczego wydawała mu się tak znajoma.

Siedzący za nią na kanapie Saul Ravin obdarzył Tony'ego nieco zabawnym spojrzeniem. „Rób, co chcesz”, mówił jego wzrok, „Ja jestem tu tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość”.

Tony rzekł do niej łagodnie:

- To, co powiedziała pani Salowi, może mieć ogromne znaczenie. Właśnie dlatego chciałem się sam z panią spotkać.

Sarah Croff, udobruchana, skinieniem głowy wskazała mu kanapę, dając do zrozumienia, że powinien usiąść obok Saula.

- Sam Robb to dobry człowiek, zawsze miałam o nim takie zdanie. Pamiętam, że gdy miał jakieś szesnaście lat, wygłosił tutaj przepiękne kazanie na porannym nabożeństwie. Na mnie i moim świętej pamięci mężu wywarło ono ogromne wrażenie.

No, ja się nie dziwię, pomyślał Tony. Tylko dlatego, że jego klientowi zależało na tej kobiecie, powstrzymywał się, by się głośno nie roześmiać: to właśnie ona była ową nastawioną antykatolicko

staruchą, która patrzyła na Tony'ego z wielką dezaprobatą, gdy tuż po kazaniu odciągał Sama, twierdząc, że czas już, by poszli na mszę. Pomyślał, że patrzyła z dezaprobatą na tak wielu ludzi, że już nawet ich wszystkich nie pamiętała. Jednak wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, że przypomniawszy sobie o zabójstwie Alison Taylor.

- Znam Sama bardzo dobrze. W liceum byłem jego najlepszym przyjacielem - powiedział Tony.

- Był pan też podejrzany o morderstwo. Dopóki nie znaleźli Murzyna, który zabił tę uroczą dziewczynę.

W jej głosie słyhać było niesmak. Tony od razu zrozumiał, co sugerowała: zdaniem Sarah Croff, jego odkupienie dzięki zdemaskowaniu Murzyna niewątpliwie miało znaczenie dla Sama Robba.

- Tak. Miałem szczęście - odparł.

- To nie szczęście, lecz łaska boska. Ale przecież prasa zawsze robi ze wszystkiego sensację, prawda? Dlatego tak mi żal Sama Robba i jego rodziny.

Był całkiem pewny, że o wiele bardziej było jej żal Sama niż kiedyś jego - katolika z polskiej dzielnicy w Steelton. Tony w milczeniu usiadł obok Saula, rozglądając się po jej salonie. Był co prawda niewiele większy od wagonu kolejowego, ale za to wypełniony litografiami przedstawiającymi to, co według niej było zapewne naturalną koleją rzeczy, a pochodziło z dziewiętnastego wieku: sielanki pasterskie, odzianych w bryczesy myśliwych dosiadających koni, szkuner pod pełnymi żaglami. Walhalla białego człowieka, pomyślał zjadliwie Tony. Sarah Croff wyglądała na jedną z tych kobiet, które wywodziły swe korzenie z pokoleń metodystów i prezbiterian i które były przekonane, że ich drzewo genealogiczne nie zawiera żadnych etnicznych horrorów. Zaskoczyła go siła, z jaką powróciła niechęć do tej kobiety - Lake City wciąż żyło w nim bardziej, niż by tego chciał.

- Czy może mi pani opowiedzieć o Erniem Nixonie? - spytał.

Skinęła energicznie głową i usiadła naprzeciw niego na krześle z plecionym oparciem.

- Zaskoczyła mnie ta biedaczka, Marcie Calder, chociaż nie znałam jej nazwiska, dopóki nie zobaczyłam zdjęcia w „Steelton Press”. Zaczęła przychodzić do pana Nixona natychmiast po wyjeździe jego żony. - Odęła wargi. - Na początku kilka razy siedzieli na werandzie przed domem i rozmawiali. Potem siedzieli w środku.

Mówiła cnotliwym tonem, jakby chciała zasugerować, że wolałaby nie zastanawiać się nad konsekwencjami tej sytuacji, ale nie może tego uniknąć.

- Jak często przychodziła? - dopytywał się Tony.

- Widziałam ją cztery czy pięć razy, zwykle w weekendy. Potem widywałam już tylko jej samochód, taki mały, czerwony. - Założyła ręce na piersi i spojrzała na niego niewinnie. - Nie jestem wścibska, panie Lord. Ale to utkwiło mi w pamięci: ładna dziewczyna w takim wieku odwiedza mężczyznę, od którego odeszła żona i który mieszka samotnie. Nie mogłam się nad tym nie zastanawiać.



Oczywiście, że nie mogłaś, pomyślał Tony. Zupełnie jakby czytała w jego myślach, Sarah Croff dodała:

- Ale w gruncie rzeczy to nie była moja sprawa.

Nie była głupia.

- Rozumiem - rzekł ostrożnie adwokat. - Nikt nie chce źle myśleć o swoich sąsiadach. Chyba że nie można tego uniknąć.

Kobieta zgarbiła się na krześle, przez co jej szczupła sylwetka wyglądała równie żałośnie jak jej twarz.

- Można było tego uniknąć, aż do tamtego wieczoru - odpowiedziała.

Stwierdziwszy, że Saul poruszył się z zaciekawienia, Tony pozwolił kobiecie milczeć przez chwilę.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - rzekł w końcu.

Przez następne kilka minut słuchał jej ochryplego głosu i wyobrażał sobie scenę, o której opowiadała.

Zapadał zmierzch. Zaciągając zasłony w salonie, Sarah Croff zauważyła samochód Marcie Calder na jego podjeździe.

Znieruchomiła na chwilę: pierwszy raz widziała jej czerwony samochód nocą. Gdzie są rodzice tej dziewczyny? - zastanawiała się. Wtedy otworzyły się drzwi frontowe i wyszła przez nie Marcie Calder.

Ernie Nixon szedł tuż za nią. Spieszyła się, nie oglądała się na niego, a długie włosy owiewały jej twarz. Dogonił ją na kamiennej ścieżce wiodącej na podjazd.

Marcie zatrzymała się nagle i spojrzała mu w twarz. Ponieważ do Sarah Croff nie dochodził żaden dźwięk, wyglądali jak dwie kłócące się postaci w pantomimie. Zdawało się, że Ernie jest cały napięty z udręki. Z daleka śliczna twarz dziewczyny była niczym maska rozpacz i niezdecydowania; wydawało się, że siłą powstrzymuje łzy.

Nagle odwróciła się od niego i ruszyła szybko w stronę samochodu.

Gdy Ernie Nixon złapał ją za rękę, Sarah Croff zastygła w bezruchu.

Marcie też zamarła, wpatrując się w czarne palce na swoim ramieniu, a potem w twarz mężczyzny. Poruszyła szybko wargami, a on opuścił rękę.

Dziewczyna niemal czule dotknęła jego ramienia i odeszła powoli do samochodu.

Stał w miejscu, pokonany, ona zaś wycofywała czerwony wóz z podjazdu.

Gdy zniknęła, wydawało się, jakby coś w nim pękło. Pośpiesznie otworzył garaż, wszedł do kombi i wycofał tak szybko, że opony przecięły trawnik. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła Sarah Croff, były tylne reflektory niknące w mroku, gdy ścigał Marcie Calder.

- Zaciągnęłam zasłony. Nikt nie chce, żeby sąsiedzi zaglądali mu nocą do salonu. Ale to nie wyglądało dobrze. Szczerze mówiąc, przypominało mi to tę straszną sprawę Simpsona - dodała Sarah Croff.

W jej oczach widać było autentyczny strach, jak gdyby - w retrospekcji - widziała preludium tragedii. Nawet Tony poczuł dreszcz.

- To była noc, kiedy umarła? - zapytał.

- Tak. - Kobieta zamknęła oczy. - Następnego dnia zobaczyłam jej zdjęcie.

Saul wysunął się ciężko do przodu i spytał:

- Dlaczego nie zadzwoniła pani na policję, pani Croff?

Zamarła.

- Nie jestem ciekawska. Myślałam, że policja sama sobie z tym poradzi - odpowiedziała niepewnie.

A więc ona zdaje sobie z tego sprawę, stwierdził Tony. Ta kobieta jest rasistką i nie chce, by wyszło na jaw, że obsesyjnie obserwuje dom swego czarnoskórego sąsiada. Strach źle wpłynął na jej zachowanie i przez jakiś czas było to z korzyścią dla Erniego Nixona. Ale to już się skończyło.

Z obawą w oczach patrzyła to na Saula, to na Tony'ego.

- Czy będę musiała zeznawać? - zapytała.

Przez chwilę Tony'emu zrobiło się jej niemal żal. Odpowiedział łagodnie:

- Mam nadzieję, że nie.

Tony stał obok swojego samochodu i czekał, aż jasne słońce rozproszy stęchliznę salonu Sarah Croff.

- Och, Marcie, ależ z ciebie była zabiegana dziewczyna - mruknął.

- Jak myślisz, co to wszystko znaczy? - dopytywał się Saul.

- Poza kompleksem Otella tej kobiety? Nic dobrego dla Erniego Nixona. Może istnieje jakieś niewinne wyjaśnienie, ale z pewnością nie ma go w tym, co Ernie zechciał mi powiedzieć.

Saul obejrzał się na dom.

- Wezwij ją na świadka, Tony, a przedstawi to tak, że wszyscy uznają to za kłótnię kochanków. Jeśli Nixon nie ma alibi na tę noc, ta kobieta jest doprawdy darem niebios.

Tony skinął głową.

- Zobaczą się z nim. Chociaż tyle mogę zrobić.

- To bardzo szlachetne z twojej strony - stwierdził ironicznie Saul. - Jak rozumiem, chcesz też, by Sal Russo znalazł żonę Erniego.

Tony wyłowił kluczyki z kieszeni.

- Obawiam się, że tak - odparł i uruchomił silnik.

## SZESNAŚCIE

Znalazł Erniego na ławce przy boisku baseballowym. Mężczyzna jadł lunch przyniesiony w brązowej papierowej torbie. Siadając obok, Tony przypomniał sobie to popołudnie, po meczu ze Stratfordem, kiedy Ernie towarzyszył mu na pustej ławce. Tym wyraźniej czuł konflikt między zobowiązaniami wobec Sama Robba a tym, co te zobowiązania za sobą pociągały.

Ernie obrócił się i przyjrzał Tony'emu milcząco, beznamiętnie, co oznaczało, że spodziewał się go i że wizyta ta wcale go nie cieszy.

- Możemy zacząć od początku? - spytał Tony.

Na wrażliwej twarzy Erniego od razu pojawił się wyraz asekuranckiej nieprzeniknioności, który adwokat znał sprzed tak wielu lat.

- O co ci chodzi?

To, że był adwokatem Sama, zdał sobie sprawę Tony, od początku uczyniło z nich wrogów. Wtedy Ernie wyprowadził go w pole, teraz zaś sprawdzał, ile Tony wie. Zamiast wyświadczyć mu przysługę, zapytał prosto z mostu:

- Czy to ty ją zabiłeś, Ernie?

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas. Na chwilę stracił panowanie nad sobą i spojrzał na Tony'ego ze strachem, który- jak się zdawało - tkwił w nim od lat. Gdy wstał i zaczął się oddalać, jego zbolące oblicze przypominało Tony'emu kogoś, kogo zmusza się, by patrzył wprost na słońce tak długo, jak długo może tylko wytrzymać. Stał przy wzgórku miotacza i założywszy ręce na piersi, wbił wzrok w ziemię.

- Będę musiał powiadomić o tym prokuratora. Wiesz o tym - powiedział Tony.

Ernie powoli podniósł oczy i spojrzał na niego z goryczą.

- Myślisz, że nie powiedziałem im, tak samo jak i tobie, bo mam do ukrycia straszne rzeczy. To by była ładna historyjka na wokandę, nieprawdaż? Całkiem nieźle sprawdziło ci się to w wypadku Alison Taylor, więc nie ma powodu, by nie spróbować tego w sprawie Sama...

- Przestań grać męczennika - prychnął Tony. - Skłamałeś o Marcie Calder, a ja cię na tym przyłapałem.

Ernie się wyprostował.

- Okłamałem cię? A kimże ty jesteś, bym był ci winien „prawdę” na jakikolwiek temat, po to tylko,

żebyś mógł mnie wystawić? Jakiej prawdy tutaj szukasz? Bo jeśli Sam Robb powiedział ci prawdziwą prawdę, a ty wciąż jeszcze jesteś w Lake City, znaczy to, że stałeś się o wiele gorszym człowiekiem, niż mógłbyś to usprawiedliwić.

Tony spojrzał mu w oczy i odpowiedział cicho:

- Jestem tu zaledwie od dwóch minut, a jak dotąd oskarżyłeś mnie już o rasizm, brak zasad i o to, że z pełną świadomością próbuję wyciągnąć mordercę nastolatki. Gdybym wiedział, że będziesz się tak żałośnie zachowywał, poszedłbym od razu do Stelli Marz.

Usta Erniego wykrzywił szyderczy i gniewny zarazem uśmiech.

- I co byś tam zrobił, Tony? Oskarżył mnie o to, że rznąłem białą szesnastolatkę, na której mi zależało, bo jakaś stara, napalona jędra podglądała nas z drugiej strony ulicy? Doszło do tego, że nie mogliśmy już nawet usiąść na werandzie przed domem, bo cały czas gapiła się na nas. To właśnie masz i tylko tyle, bo niczego więcej nie można już zdobyć. Więc idź prosto do prokuratora: nie pozwól, żebym ci stanął na drodze.

Tony zawahał się, dręczony wątpliwościami.

- To niezupełnie wszystko - rzucił. - Powiedz mi, na przykład, gdzie byłeś w nocy, kiedy umarła Marcie Calder?

Uśmiech Erniego zniknął.

- W domu, w łóżku. Nie mam żadnego alibi. - Przechylił głowę i zapytał cicho: - A więc staruszka podglądała również tamtej nocy?

- Nie zrzucaj winy na nią, Ernie. Ani na mnie. Widziałeś Marcie tej nocy, kiedy umarła, i nie uznałeś za stosowne wspomnieć mi o tym. Kiedy wykorzystam to tak, jak moim zdaniem powinien to wykorzystać dobry obrońca, przypomnij sobie, że najpierw przyszedłem z tym do ciebie.

Złość zniknęła z oczu Erniego.

- Powodzenia - rzekł adwokat i odwrócił się, by odejść.

- No dobrze, Tony. Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę?

Tony znowu na niego popatrzył. Stał bez słowa z rękami w kieszeniach. W słonecznym blasku zdawało mu się, że spojrzenie Nixona mrocznieje.

- Jak tylko zobaczyłem jej twarz, wiedziałem, że będą kłopoty - zaczął Ernie.

Marcie stanęła na progu. Była blada, wyglądała na zagubioną. Mimo tej pozornej dezorientacji, miała w sobie coś z porzuconego dziecka: była wychudzona i apatyczna. Zmiana w jej wyglądzie podziałała na Erniego jak policzek.

- Mogę wejść? - zapytała.

Nawet to pytanie zabrzmiało dziwnie, jakby ciągnęła za sobą kłopoty. Dlatego wahał się chwilę, zanim odpowiedział:

- Jasne.

Ale to, że chciała wejść do środka, to, jak bardzo go potrzebowała, było wzruszające. W końcu zależało mu przecież na Marcie, a odkąd odeszła jego żona i dzieci, jej towarzystwo w jakiś niezrozumiały sposób było dla niego pociechą. Gdy usiadła na kanapie naprzeciw niego, tak jak zwykle, zbeształ się za to, że poczuł nieokreśloną obawę.

- W czym rzecz? - spytał.

Nerwowymi ruchami palców odrzuciła do tyłu włosy i zmusiła się, by na niego spojrzeć. Odpowiedziała cicho:

- Jestem w ciąży.

Ernie poczuł, jak dusza opuszcza jego ciało. Siedział w pustym salonie, pośród resztek, które zostawiła mu Dee: kanapy, krzesła, zdjęć ich dzieci, i wydawało mu się, że on i Marcie są ostatnimi ludźmi na ziemi. Po chwili wstał z krzesła, a Marcie podeszła i przytuliła się do niego na środku pokoju.

Trzymał ją bez słowa w ramionach i czuł jej delikatne włosy na swojej twarzy. Słysząc było tylko zduszone łkanie dziewczyny. Głaskał ją po włosach, jakby była jego dzieckiem, które się skaleczyło.

- Czy twoi rodzice wiedzą? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową, cały czas opierając czoło na jego ramieniu.

- Nie wie nikt poza moim lekarzem. Nawet Janice. Ani on.

Wzruszyło go to i potwornie zasmuciło.

- Co chcesz zrobić?

- Nie wiem. - Odsunęła się, oczy wciąż miała wilgotne. - Powiem mu dziś wieczorem.

- A co z rodzicami?

- Jeszcze nie teraz. Bo wiem na pewno o dziecku dopiero od dzisiejszego popołudnia. - Przełknęła ślinę. - To mogłoby go zniszczyć, a boję się, co zrobią rodzice, jeśli się dowiedzą, kto to...

- Marcie, powinnaś się martwić o siebie. - Ernie przerwał jej łagodnie. - Porozmawiajmy przez chwilę o Marcie Calder. - Zaprowadził ją z powrotem na kanapę, trzymając za rękę, czego nie robił nigdy przedtem. Usiadła ze złączonymi kolanami i wbiła wzrok w podłogę. - Masz możliwość wyboru. Wiesz o tym, prawda? To wcale nie musi być pułapka - powiedział.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- Co masz na myśli?

- To, co, jak sędzę, lekarz z pewnością już ci zaproponował.

Marcie zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać łzy.

- Nie mogę tego zrobić. Płód to już życie - odparła.

- Ty też je masz, Marcie. Dlaczego miałabyś płacić taką cenę za ten jeden błąd, którego, jestem pewien, już nigdy nie powtórzysz?

Spojrzała na niego tak szczerym wzrokiem, że złamało mu to serce.

- Ale to jest dziecko, m o j e dziecko. Jak mogę je zabić za to, że jest moim błędem?

Ernie poczuł, jak ogarnia go rozpacz.

- Tu chodzi o wiele rzeczy, Marcie. Na przykład o to, kto będzie się nim zajmował, gdy już się urodzi.

- Ja.

„Ty sama jesteś jeszcze dzieckiem”, chciał powiedzieć. Ale to na pewno nic by nie dało; widział na własne oczy, jak Marcie Calder przyjmuje pseudodorosłą postawę młodej dziewczyny, której biologia tak dalece wyprzedziła doświadczenie, że chciała je teraz desperacko pogodzić.

- Mieszkałabyś z rodzicami, Marcie. Mogłabyś albo rzucić szkołę, albo prosić mamę, żeby zajęła się wychowaniem dziecka. A wtedy rodzice winiliby cię za to, że zabiera im to tak wiele czasu, kosztuje tak wiele pieniędzy i za swój staromodny wstyd, który na pewno będą odczuwali. - Mówiąc to, Ernie sam zaczynał dostrzegać, jak ponure będzie jej przyszłe życie. - Czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek wiele by na tym zyskał? Nawet dziecko?

Marcie spuściła wzrok.

- Błagam. Cokolwiek się stanie, nie przestań być moim przyjacielem.

Ernie poczuł się pokonany. Zapytał cicho:

- Czy ojciec dziecka może ci pomóc?

Jej oczy znowu zaszyły mgłą.

- Nie. Nie sędzę.

Być może to było inne rozwiązanie.

- Więc może ze względu na niego byłoby lepiej, gdybyś rozważyła wszystkie możliwości.

Usiadła prosto. Innym tonem, czystym i pewnym siebie, powiedziała:

- Nigdy go nie poproszę, by się przyznał. Jeśli sam się nie zdecyduje, będę trzymała to w tajemnicy.

Zdawało się, że ta myśl bardzo ciąży Marcie; wraz z wydechem straciła całą energię, zrobiła się na powrót apatyczna, znowu wyglądała mizernie. Bezradny Ernie zapytał tylko:

- Kiedy ostatnio jadłaś?

Marcie ponownie wbiła wzrok w podłogę.

- Wczoraj wieczorem, chyba. Rano było mi trochę niedobrze.

- Powinnaś przynajmniej spróbować coś w siebie wmusić - namawiał ją. Gdy się nie sprzeciwiła, poszedł do kuchni.

Stwierdził, że po śniadaniu zostawił w zlewie naczynia - była to oznaka apatii, w którą popadł, odkąd opuściła go rodzina. Kiedy zajrzał do lodówki, poza hot dogami, mlekiem i piwem znalazł tylko składniki do kanapki z tuńczykiem. Niespodziewanie uderzyło go, że jego życie wydawało się równie puste jak ta lodówka i że nie chciał, by życie Marcie też tak kiedyś wyglądało.

Zamyślony i smutny zaniósł jej na talerzu kanapkę z tuńczykiem.

- Proszę. Poczęstuj się - zaproponował.

Starła się uśmiechnąć.

- Chyba powinnam. W końcu jem teraz za dwoje, prawda?

Niestosowność tej uwagi w ustach nastolatki, którą znał i na której mu zależało, wprawiła go nagle w złość - złość na jej los, na jej rodziców, a przede wszystkim na ojca jej dziecka. Nie powinno w ogóle dojść do tego, że Marcie będzie musiała starać się być dorosłą osobą, którą nie była, że będzie musiała zacząć życie, o którym miała ledwie mgliste pojęcie. Ernie zawiódł swoje dzieci, ponieważ go przy nich nie było, teraz więc nie mógł znieść myśli, że wszyscy zawodzą t o dziecko.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak je. Potem zaproponował niepewnie:

- Może powinniśmy jeszcze trochę porozmawiać.

Wydawało mu się, że ją to zaskoczyło. Odłożyła kanapkę i spojrzała na zegarek.

- Boże, muszę się z nim zobaczyć...

Była już gdzie indziej, biegła ku swojemu nieszczęsnemu nowemu życiu.

- Nie musisz się z nim spotykać - zaprotestował. - Jeszcze nie teraz. Zanim cokolwiek postanowisz, pozwól mi się zabrać do Planowanego Rodzicielstwa. *[Planowane Rodzicielstwo (Planned Parenthood) - prywatna amerykańska organizacja, zajmująca się bezpłatnym doradztwem w*



*sprawach planowania rodziny]*. Nie powinnaś z nim rozmawiać, dopóki nie dowiesz się dokładnie, co masz do wyboru.

Nagle Marcie wstała.

- Zawsze mnie słuchałeś. Właśnie dlatego chciałam ci to powiedzieć. Ale to nasze dziecko i muszę z nim o tym porozmawiać. - Jej oczy znowu wypełniły się łzami. - Kocham go, Ernie, i będę też kochać nasze dziecko.

Ernie patrzył na nią, czując, jak narasta jego frustracja i -z czego zdał sobie sprawę - zazdrość, o której nawet nie myślał. Marcie podeszła do niego i pocałowała go w czoło. Powiedziała delikatnie:

- Dziękuję za to, że byłeś przyjacielem...

„Dziękuję za to, że byłeś przyjacielem”, powtórzył w myślach. Ta fraza była równie pusta jak wpis w książce pamiątkowej dla kogoś, kogo można było już nigdy nie zobaczyć. Gdy wychodziła, powiedział:

- Nie jestem tylko przyjacielem, Marcie...

Drzwi zamknęły się za nią.

Ernie przemierzył pokój, otworzył je i wybiegł za dziewczyną.

Dogonił ją na ścieżce przed domem i złapał za ramię.

- Jestem kimś więcej niż przyjacielem - powtórzył. - Jestem dorosły i zależy mi na tobie.

Spojrzała na jego rękę, a potem na twarz.

- Wiem - powiedziała cicho. - Bo mi też zależy na tobie. Ale nie ty jesteś ojcem, Ernie, tylko on.

Opuścił rękę.

- Po prostu nie chcę, żebyś odrzucała całe swoje życie.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Przecież tego nie robię. Ja tylko zaczynam życie kogoś innego - odparła.

Jej słowa były tak proste, tak wzruszające w swej naiwnej wierze, że całkiem rozbroiły Erniego. Stał, nie mogąc się ruszyć, i patrzył, jak odjeżdża.

Kim o n był? - pomyślał.

Coś w nim pękło. Bez zastanowienia otworzył drzwi garażu i wsiadł do samochodu, żeby za nią pojechać.

Jadąca z przodu Marcie skręciła, zmierzając chyba do parku Taylorów.

Jechał za nią, spoglądając we wsteczne lusterko, jakby szukał w nim policji. Nagle jednak zobaczył tylko Murzyna w średnim wieku, śledzącego nastolatkę, która nie była ani jego kochanką, ani córką. I która nie wiedziała, że go potrzebuje.

Zatrzymał się przy krawężniku i patrzył, jak tylne światła jej samochodu znikają w mroku.

- A więc wróciłem do domu - powiedział Ernie - i resztę nocy spędziłem sam, jak zwykle. - Urwał, lecz dokończył z sardoniczną goryczą: - Ale źle zrobiłem. Marcie Calder nie odebrała sobie życia. Zrobił to za nią twój przyjaciel Sam.

Tony był zbyt wstrząśnięty tą opowieścią, żeby od razu odpowiedzieć. Siedział bez słowa i zastanawiał się nad różnicą między uduchowioną, lecz zaabsorbowaną sobą dziewczyną, o której mówił Sam, a reżolutną i bezinteresowną osobą, jaką przedstawił mu Ernie. Nawet jeśli ta historia nie była prawdziwa, to i tak Ernie dobrze ją opowiedział. Jeśli jednak była prawdziwa...

- Widzę to w twoich oczach - powiedział cicho Nixon. - Wciąż masz oczy quarterbacka, Tony, i wciąż zastanawiasz się, czy możesz mnie obarczyć winą za śmierć tej dziewczyny. Ale to ci się nie uda. Bo nie ja jestem ojcem. - Nieoczekiwanie Ernie uśmiechnął się do niego smutno. - Tak jak powiedziałem policji i Stelli Marz dzień po tym, jak znaleźli jej ciało, i kiedy dotarło do mnie, kim był ojciec - dokończył cicho.

- Jezu - powiedział Saul Ravin i raz jeszcze napił się whisky.

Przez chwilę Tony wyglądał przez okno Saula, obserwując, jak Steelton znika w blednym świetle zmierzchu.

- To właśnie to, czego nie powiedzieli mi Calderowie i czego nie chciała mi wyjawic Stella Marz. Graliśmy ze sobą w kotka i myszkę, przy czym to ona była kotem. Już dwa dni po zdarzeniu wiedziała, że Marcie Calder była w ciąży: tyle powiedział jej Ernie i sekcja zwłok. Ale musi chwilę potrwać, nim laboratorium przeprowadzi badania DNA płodu i stwierdzi, kto był ojcem. Właśnie na to czekała.

Saul skinął głową.

- Czekala na motyw, Tony. Na ojca, który boi się zdemaskowania, gdyby okazał się nim Sam.

Tony nie mógł sobie poradzić z zamętem, który miał w głowie: z konfliktem między oceną prawnika a jego bezsensownym pragnieniem, by jego przyjaciel okazał się niewinny. Nie potrafił się zmusić, by jeszcze tego samego dnia skonfrontować Sama z opowieścią Erniego.

- Tak właśnie jest, jeśli Ernie mówi prawdę - odparł w końcu. - Lecz jeśli to Sam nie kłamie, to może nie powiedziała mu o tym, gdyż dziecko nie było jego, a Erniego. Nie ma mowy, żeby dziecko Erniego było Sama i vice versa.

- Spodziewam się, że Stella Marz powie ci o tym dość szybko. Przynajmniej jeżeli zdecyduje się

oskarżyć go o morderstwo. - Saul pchnął po stole paczkę dokumentów. - Tymczasem Sal Russo znalazł pozew rozwodowy żony Erniego. Tak jak podejrzewałeś, mówi o czymś więcej niż tylko o pragnieniu Erniego, by żyć w mieście białego chleba.

- Co w nim jest?

- Nic wspaniałego, chyba że dla nas. Choć nie ma tam nic, co wskazywałoby na problem z Marcie.

- Kończąc swoją whisky, Saul po raz pierwszy uśmiechnął się smutno do Tony'ego.

- Pani Nixon utrzymuje, że Ernie ją bił.

## SIEDEMNAŚCIE

- A więc to pan, panie Lord - rzuciła Dee Nixon.

Stojąc na frontowym ganku, Tony usiłował ukryć zaskoczenie, gdy przyglądał się tej kobiecie. Na pierwszy rzut oka wydawało mu się, że to intelektualistka, i to całkiem wyniosła i surowa. Miała krótkie, kasztanowe włosy, wysokie czoło, smutne oczy skrywające się za okularami w drucianych oprawkach i pociągłą, nieco majestatyczną twarz, a jej patykowate, ubrane w niebieski dżins ciało było lekko - buntowniczo - pochylone. Uderzyło go, że była to kobieta, która szybko dokonywała oceny i nie była chyba skłonna jej potem zmieniać.

- No cóż, przebył pan tak długą drogę i tak niewiele pan zyska - powiedziała.

Tony spojrział na ulicę: na sąsiedztwo pełne stojących w rzędach domów, które z trudem tylko można było uznać za siedziby członków klasy średniej, z zaniedbanym sklepem na rogu i kilkoma nie wykoszonymi trawnikami, które sterczały jak chore zęby.

- Tak samo jak pani - odparł.

Ku swej uldze stwierdził, że chyba trochę ją to rozbawiło, zupełnie jakby ponad wszystko ceniła szczerość.

- Tak będzie tylko do końca roku szkolnego, dopóki nie przeniesiemy się do naszego własnego domu. Ale to nie będzie Lake City w Ohio, więc będzie to coś warte - wyjaśniła.

Wymówiła drwiąco „Ohio” jako trzy oddzielne zgłoski. Wyglądała na osobę, która nie bardzo się patyczkowała i nie znała litości w kłótni; poza tym, zauważył Tony, jeszcze nie zaprosiła go do środka. Nie powiedział ani słowa, tylko uniósł brwi i zajrzał ponad jej ramieniem do salonu.

- Och - rzuciła ironicznie - prawie zapomniałam. Proszę wejść. - Usunęła się na tyle, by Tony mógł się przepchnąć, i zamknęła za nim drzwi.

Salon był mały i ciemny, rozjaśniały go tylko szkolne zdjęcia dwóch dziewcząt i chłopca, przypuszczalnie należące do siostry, która przyjechała do siebie Dee Nixon. Była żona Erniego siedziała naprzeciw Tony'ego po turecku, z rękami założonymi na piersiach. Jej ruchy były całkiem precyzyjne, niemal eleganckie, a Tony odkrył, że łatwo ją sobie wyobrazić jako nauczycielkę algebry, którą w rzeczywistości była.

- Pozwoli pan, że zaoszczędzę mu kłopotów. Tak, by nie musiał pan tu siedzieć i próbować mnie rozgryźć - powiedziała. - Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po rozmowie z panem, był telefon do Erniego. Powinien się więc pan od razu domyślić, że go nie nienawidzę. Ja natomiast wiem już teraz, do czego pan zmierza: chce pan sprawdzić, czy ojciec moich dzieci jest mordercą, albo chociaż, czy

może się kimś takim wydawać na tyle, by uniemożliwiło to postawienie Sama Robba w stan oskarżenia. W tym celu przejrzał pan mój pozew rozwodowy i uznał, że warto ze mną porozmawiać.

Tony się uśmiechnął.

- W ten sposób zaoszczędziła mi pani pierwsze pół godziny -stwierdził.

- Zaoszczędziłam panu całego procesu - odparła bez uśmiechu. - Ale proszę bardzo, niech pan pyta. Ernie może panu potwierdzić, że ja nigdy nie kłamię.

Była w tym pewna ironia, lecz Tony nie potrafił odgadnąć, czy wymierzona w byłego męża, czy też w nią samą.

- Rozumiem więc, że kłamstw nie ma też w pozwie rozwodowym.

Zdawało się, że nieco opuściła ramiona.

- Nie ma - odpowiedziała. - Ale istnieje wiele rodzajów prawd, w tym kilka takich, co do których żałuję, że je w ogóle wyjawiałam. Chodzi o część z tych, o których mówiłam Erniemu, no i o tę też.

Tony przyglądał się jej twarzy, która po raz pierwszy zdradzała smutek.

- Zawsze uważałem, że w wypadku przemocy w rodzinie udawanie nie ma większego sensu. W ostatniej mojej sprawie mąż bił żonę aż do nocy, której przestała udawać i go zabiła - odparł.

Dee Nixon milczała przez chwilę.

- Może by pan najpierw po prostu posłuchał, panie Lord. Osądzi pan to potem.

Poszli na kolację i do kina z Johnnym i Lynn D'Abruzzi na krótko przed ostatnim atakiem serca, na który zmarł Johnny. Marcie Calder opiekowała się dziećmi. Kiedy Ernie zaproponował, że odwiezie ją jak zawsze do domu, Dee miała czas, by leżeć w łóżku i rozmyślać, jak bardzo znudzona - nie, po prostu wyalienowana - czuje się w Lake City w stanie Ohio. Gdy Ernie wszedł do sypialni, zdołała wydusić z siebie tylko:

- Już dłużej tego nie zniosę.

Jej mąż stanął w nogach łóżka. Doskonale wiedział, czym było owo t o. Mówiła o ich życiu w mieście białych ludzi, którzy - jak zauważyła - byli w większości uprzejmi, pełni dobrych intencji i zupełnie nie rozumieli jej doświadczeń. Odpowiedział cicho:

- Myślałem, że to był miły wieczór.

- Był, jaki był - odparła zmęczonym głosem. - A oni są, kim są. Słuchaj, Johnny to miły człowiek i w ogóle, wiem też, że jesteście starymi przyjaciółmi. Ale jemu w głowie tylko sport i nawet wasza przyjaźń opiera się na tym, że nie starasz się udawać Afroamerykanina lub czymś się od niego odróżniać. Ja nigdy nie będę w tym dobra i nie chcę, żeby nasze dzieci się tego uczyły. - Poczowała, że

podnosi głos, a rozdrażnienie bierze górę. - Boże, Ernie, słyszałeś, jak Lynn D'Abruzzi mówiła, że Pat Buchanan ma jakieś „dobre pomysły”? Jakie? Chciałam ją o to zapytać.

- Miała na myśli aborcję, kochanie. Oni są katolikami.

- Oni są nie uświadomieni. Czy chcesz, żeby nasze dzieci też takie były? W tej sytuacji uważam, że rasizm jest w gruncie rzeczy błogosławieństwem, bo nie mogą takie być. - Głos Dee złagodniał. - Nie chcę, żeby Drew i Tonya wyrosły tak jak my na jedyne „czarne przyjaciółki” każdego mieszkańca tego miasta, tak cholernie tolerowane przez ludzi, którzy, jeśli będą miały szczęście, uznają je za „wyjątki” wśród wszystkich tych czarnych, których nie znają i o których nigdy nie myślą, chyba że w kategorii symbolu tego, od czego uciekli, zamieszkawszy tutaj.

Ernie westchnął.

- „Oni” chcą tego samego co my, Dee; bezpiecznej okolicy, dobrych szkół, miejsca, gdzie dzieci wciąż będą dziećmi. - Urwał i pochylił się nad łóżkiem. - Ja lepiej niż ktokolwiek inny wiem, jakie może być to miasto. Ale dla nas nigdzie na ziemi nie ma raju i nie będzie go też dla dziewczynek. Jeśli my mamy prawo tu być, to i one dowiedzą się kiedyś, że mają do tego prawo.

Usiadła na łóżku.

- Wiesz, do czego to się sprowadza, prawda? Ja wychowywałam się w murzyńskiej dzielnicy. Ty w białej. To tak jak z ojcem, który cię bije: po części możesz go nienawidzić, ale to jedyny ojciec, jakiego znasz, więc po części nienawidzisz też samego siebie i chcesz być taki jak on. Aż do śmierci będziesz zawsze potrzebował przede wszystkim jego aprobaty. I nigdy jej nie dostaniesz.

Usiadł na łóżku. Był zły, ale ukrywał to tak mocno, że aż przykro było na niego patrzeć. Powiedział cicho:

- Nie ma w tym mieście ani jednego białego, który traktowałby mnie tak protekcyjnie jak ty. Tak cholernie zależy ci, by dowieść, jak źle wpłynęło na mnie moje dzieciństwo, że nie możesz wyjść poza ramy własnego. Ty wszystko, dokładnie wszystko widzisz z perspektywy Murzyna. Dokądkolwiek idziesz, zabierasz ze sobą swoje getto, a teraz chcesz jeszcze, żeby żyły w nim też nasze dzieci.

Zabolało ją to.

- Jak to się stało, że się w ogóle pobraliśmy? Dlaczego nie dostrzegłam tego na długo przed tym, nim nas tu przyciągnął? - spytała z goryczą.

- Czego nie dostrzegłaś?!

- Byłam twoją nagrodą pocieszenia, Ernie. Tak naprawdę chciałeś się ożenić z królową balu maturalnego w Lake City i zbratać z białymi chłopcami. Dla ciebie życie to naprawdę szkoła średnia, nieprawdaż? Po to tu przecież wróciłeś: żeby się w końcu zbratać...

- Bzdury. - Widziała żyłkę na jego skroni. - Gadasz bzdury.

- Bzdury? - W swojej złości i frustracji Dee obdarzyła go nieznacznym, wyniosłym uśmiechem,

którego, jak wiedziała, nie cierpiał. - A czy ta mała Marcie nie jest twoją królową balu, Ernie? Czy nie dlatego gadasz z nią całymi godzinami? Na pewno nie chodzi o jej umysł... - Urwała. - Och, wiem, po prostu martwisz się o nią.

Staął obok niej.

- Ty pieprzona dziwko...

Zbliżyła twarz do jego twarzy.

- To wszystko jest takie wzruszające, Ernie. Potrzebuje drugiego tatusia, więc gra w twojej fantazji na temat białej dziewczynki. Ma publiczność, więc kosztuje ją to tylko tyle, że pozwala ci wyobrazić sobie, jak ją rzniesz...

Dostrzegła to w oczach Erniego na ułamek sekundy przed tym, jak jego dłoń wylądowała na jej twarzy. Wszystko zajaśniało. Gdy zatoczyła się na ścianę, mrugając i płacząc z szoku, była na tyle uczciwa, że przyznała, iż chciała, by to zrobił.

Ernie opadł na łóżko, porażony wstydem.

- Przepraszam, kochanie. Strasznie, strasznie przepraszam...

Dee Nixon potrząsnęła głową.

- Nie odeszłam dlatego, że bałam się, iż uderzy mnie znowu. Odeszłam, bo jakaś część mnie zawsze chciała, żeby zrobił mi to, co mój ojciec robił mojej matce. - W jej głosie słychać było żal i pogardę dla samej siebie. - To tkwiące we mnie zło wystraszyło mnie niemal na śmierć i właściwie dlatego zwróciłam się o poradę. Kiedy mój adwokat napisał o tym w pozwie, zwolniłam go. A teraz zjawia się pan.

Tony przechylił głowę.

- Czy wierzyła pani w to, co powiedziała o Marcie Calder?

Dee Nixon zdjęła okulary i w zamyśleniu przetarła szkła.

- Jeśli Ernie tak to czuł, to nawet o tym nie wiedział. Naprawdę nie potrafię wyobrazić go sobie śpiącego z tą dziewczyną. Z pewnością też by jej nie skrzywdził. Jeżeli nie z jakiegoś innego powodu, to już na pewno dlatego, że bał się swoich prawdziwych uczuć.

Tony milczał przez chwilę.

- W liceum - powiedział w końcu - Ernie wyświadczył mi kiedyś przysługę. Nigdy nie uważałem, że zrobił to, ponieważ chciał być taki jak ja. Po prostu było mu mnie żal i tyle.

Włożyła okulary; znowu panowała nad sobą.

- Mówił, że jest pan jego przyjacielem. Ale nie sądzę, by Ernie tak naprawdę miał „przyjaciół”. Według mnie, chciał przez to powiedzieć, że po prostu był pan wobec niego w porządku. - Urwała i pochyliła się do przodu. - A teraz pan stara się go zrobić, dopasować do najgorszego rasistowskiego stereotypu, zrobić z niego czarnego przestępcę, następnego O. J. Racjonalistka we mnie nie broni żadnego mężczyzny, który z jakiegokolwiek powodu bije żonę. Ale ja tam byłam i znam mojego męża. To, co się stało między nami, to była kłótnia. Nasze słabe strony tak się rozbuchały, że eksplodowały, jak nigdy wcześniej. Być może kwestie rasowe zniszczyły nasze małżeństwo, ale nie chcę, żeby jeszcze bardziej zniszczyły jego. Tak więc proszę nie oczekiwać, że panu pomogę, panie Lord. Bo cokolwiek Ernie zrobił tamtej nocy, nic panu do tego.

Lecąc z Chicago do Steelton, Tony zmagał się ze swoim sumieniem.

Instynkt podpowiadał mu, iż Dee Nixon miała rację, gdy stwierdziła, że choć Ernie był zdolny do użycia przemocy, nie był z natury gwałtowny, i że taki wizerunek koniec końców zaakceptuje podświadoma bigoteria. Ale i ona miała swój udział we wstydzie i poczuciu winy oraz swoje powody - dwójkę dzieci - by zachowywać pokój z porzuconym mężem. Miała też swoje problemy, na przykład rasę, w porównaniu z którymi Marcie Calder i Sam Robb nie byli tak ważni.

- Sam Robb... - powiedziała do niego, gdy wychodził. - Kiedyś z nim pracowałam. Tryskał humorem i charyzmą, miał taki bezczelny urok, który uważał za coś naturalnego. Aż zobaczyłam, jak bardzo był ubogi. Przypominał mi w tym Erniego: trudno widzieć mordercę w mężczyźnie, który tak bardzo pragnie aprobaty.

Ale Tony nie miał wątpliwości, że nie bardzo ją to interesowało.

A on musiał dbać o Sama, chyba że rzuciłby tę robotę.



## OSIEMNAŚCIE

- Zastanawiasz się zapewne - powiedziała bez wstępu Stella Marz - czy nie robię cię w balona. Tak jak ja zastanawiałam się, co zrobiłeś Jennifer Travis.

- Ty rzeczywiście robiłaś mnie w balona. - Tony usiadł. - Co do Travis, pokazałem jej tylko, jak będę ją przesłuchiwał. To ktoś inny powinien być na tyle uczciwy, by powiedzieć jej, że zgłoszenie spowoduje, iż znajdzie się w takich sytuacjach, jakich z pewnością by sobie nie życzyła. Ale jestem całkiem pewien, że do sądu karnego by nie trafiła, bo jakkolwiek wygląda prawda, jej opowieść nie jest żadnym dowodem w sprawie o morderstwo.

Stella przyglądała mu się, a jej brązowe oczy wskazywały, że pogrążyła się w myślach.

- Tobie zawsze udaje się wyglądać tak niewinnie. Nawet nie potrafię stwierdzić, czy czujesz się zażenowany.

- A ty?

- Nie. I nie naciskałabym też zbyt mocno na Calderów. To zrozumiałe, że nie chcą, bym mówiła tobie czy komukolwiek innemu, że Marcie była w ciąży. - Umilkła na chwilę. - Dopóki, jeśli w ogóle, nie stanie się to dowodem w sprawie karnej.

Poirytowany Tony oparł się wygodniej.

- Czy po to mnie wezwałaś?

- Mhm. - Założyła ręce na piersiach. - Stawiamy go w stan oskarżenia, Tony. Sam Robb jest ojcem.

W pewnym sensie jej ton, niedbały i bezrefleksyjny, sprawił, że zabrzmiało to jeszcze groźniej. Być może dlatego, że nie ulegało wątpliwości, iż ona tego oczekiwała.

- Masz swój motyw - stwierdził Tony.

Stella skinęła głową.

- Marcie powiedziała mu, że jest w ciąży. Twój przyjaciel Sam nas okłamał: uprawiał seks z szesnastolatką, która miała urodzić jego dziecko. - W jej głosie pobrzmiwała zimna pogarda. - Nie uznawała aborcji, więc nie mógłby tego ukryć. Jego kariera, a może i małżeństwo, byłyby skończone. Dlatego odebrał dwa życia.

Tony wiedział, że nie da się tego powstrzymać. Jedyne instynktownie zapytał:

- Dlaczego więc poszedł na policję, kiedy zaginęła?

- Panika, poczucie winy: prawdopodobnie miał mętlik w głowie. Ale jestem pewna, że nie wiedział, iż możemy zbadać DNA sześciotygodniowego płodu, i bał się, że go złapiemy.

Tony wstał i schował ręce do kieszeni. Tym razem nie dbał, czy ktoś dostrzeże jego zdenerwowanie.

- Jeśli przyjąć, że jest mordercą, mniej ryzykowałby, zostawiając ją tam, w dole. A może po prostu zapomniał, że nie żyła, kiedy widział ją po raz ostatni.

Stella przyjrzała mu się beznamiętnie.

- To twój argument, w porządku. Może nawet ława przysięgłych to kupi. A będzie musiała, ponieważ stawiamy na proces. Dojdzie do niego, chyba że skłonisz go, by się przyznał.

Tony nie mógł się już uwolnić od obrazów, które stawały mu przed oczami: twarzy Sama, kiedy mu to powie, i Sue siedzącej na sali sądowej. Może byłoby lepiej, dla wszystkich, gdyby pożyczył im pieniądze na adwokata, dla którego ta sprawa nie będzie miała tak osobistego znaczenia, i którego uczucia nie będą tak poplątane. Po dłuższym milczeniu spytał:

- Do czego miałyby się przyznać?

- Do zabójstwa drugiego stopnia.

Zaskoczyło go to tak bardzo, że aż się skrzywił.

- To nie jest propozycja, Stello. To maksimum tego, co możesz uzyskać. Nawet jeśli uda ci się przekonać dwanaście osób, że Sam ją zabił, nigdy nie zdołasz wykazać, że zrobił to z premedytacją.

- A zatem wróć tu z wersją, która uprawdopodobni nieumyślne zabójstwo, potwierdzi, że jakimś cudem nie chciał jej zabić, a ja wezmę to pod uwagę. Chociaż przy kilku wyraźnych śladach uderzeń w głowę trudno sobie taką wersję wyobrazić. - Spojrzała na niego znacząco. - Może upojenie alkoholowe. Ale twój klient musiałby złożyć w sądzie oświadczenie wyjaśniające dokładnie, co się stało. Nie chcę, by w tego rodzaju sprawie pozostały jakiegokolwiek wątpliwości. Ty bardziej niż ktokolwiek inny potrafisz to docenić.

Tony wziął oddech. Nie musiał już podejmować decyzji, czy wspomnieć o Erniem Nixonie - ta decyzja zapadnie na sali rozpraw. Odpowiedział cicho:

- Myślę, że poradzę sobie z tym, Stello. Nie jestem pewien, czy masz wystarczające dowody.

Stella popatrzyła na niego przez chwilę.

- Przykro mi - powiedziała po chwili. - Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale muszę wysłać do sądu sprawy, które moim zdaniem powinny być rozpatrywane. Nawet jeśli mogę przegrać. - Wzruszyła z rezygnacją ramionami. - Jeśli dojdzie do tej rozprawy, Tony, na pewno się czegoś nauczę.

Tony z trudem zdobył się na uśmiech.

- Może i ja się czegoś nauczę.

Stella także się uśmiechnęła, patrząc na niego obojętnym wzrokiem.

- Skromność nie zawsze do ciebie pasuje. Ale może dowiesz się czegoś o Samie Robbie. Pod warunkiem oczywiście, że już tego nie wiesz - odparła.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

Około czwartej trzydzieści, w porze, gdy dzień wydawał się już boleśnie długi, Tony znalazł Sama Robba na boisku baseballowym w Lake City.

Jego przyjaciel siedział samotnie na trawie przylegającej do prawego narożnika boiska i patrzył, jak Lake City gra z Riverwood. Znajdował się daleko od trybun, gdzie jego obecność wywołałaby komentarze albo przerażenie. Zbliżając się do niego, Tony współczuł Samowi z powodu jego osamotnienia, z powodu tego, co stracił i co jeszcze straci. Był w grobowym nastroju i wyobrażał sobie, że mężczyzna przyglądał się z oddali swojej młodości i ledwo słyszał krzyki graczy, uderzenia kija, odgłosy piłki chwywanej skórzaną rękawicą. Choć być może wyraz rezygnacji w oczach Sama, kiedy podniósł na niego wzrok, był jedynie owocem wyobraźni Tony'ego.

- Co nowego? - zapytał.

Tony powoli skinął głową.

- Marcie Calder była w ciąży, Sam.

Jeśli go to nie zaskoczyło, to miał dar blednięcia siłą woli, stwierdził adwokat. Sam zamknął oczy.

- I myślą, że było moje? - zapytał po chwili.

- Są tego pewni. - Kiedy oczy Sama rozszerzyły się, Tony dodał: - Dzięki badaniom DNA mogą ustalić i to. Chyba o tym nie wiedziałeś.

Sam znieruchomiał na chwilę nie jak ktoś, kto się zamyślił, lecz jak ktoś, kto nie może pogodzić się z tym, co usłyszał: z nagłą śmiercią któregoś z rodziców, z zamordowaniem jego dziecka, ze zdradą ukochanej czy ukochanego, z ruiną swojego życia. Poruszył tylko wargami:

- Dla mnie to już koniec...

- Obawiam się, że tak.

- Sue...

To imię, wymówione z nagłym bólem, powiedziało więcej, niż Sam potrafiłby wyrazić. Tony poczuł ucisk w piersi.

- Będziesz musiał jej powiedzieć, Sam. Zanim usłyszy to z mediów.

Sam spojrzał na niego. Jego bladoniebieskie tęczęwki jaśniały w bieli oczu. Tony dodał cicho:

- Jutro prześlą akt oskarżenia. Zabójstwo pierwszego stopnia, chyba że się przyznasz. Masz dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

Sam założył ręce na piersi i wbił wzrok w ziemię.

- Sue - powtórzył szeptem.

To sprawiło, że Tony stracił opanowanie.

- Żal mi was - wymamrotał. - Obojga.

Zdawało się, że Sam go nie usłyszał i że na niego nie patrzy.

- Powinieneś ją stąd zabrać, Tony. Po śmierci Alison, wiele lat temu.

Zaskoczony Tony zaczął się zastanawiać, jak dużo Sam wiedział albo czego się domyślał. Odparł cicho:

- Nigdy nie mogłem się na to zdecydować.

- Tym gorzej dla niej. Teraz ona może spojrzeć wstecz na nasze życie i zobaczyć to na jego końcu. - Potrząsnął głową, jakby dziwił się zniszczeniom, które spowodował. - Pęknięta gumka...

Tony odczekał chwilę.

- Nie wiedziałeś?

- Nie powiedziała mi... - Oczy Sama były udręczone, a wzrok daleki i błędzący. - Chyba o to musiało jej chodzić z tym małżeństwem, kiedy mówiła, że urodzi mi dzieci. Gdybym o tym wiedział, Tony, zachowałbym się inaczej. Nie wiem do końca jak, ale nie pozwoliłbym Marcie pójść w nocy do parku. - Zdawało się, że myśli jedna po drugiej gromadzą się w jego głowie niczym kawałki układanki. - Nic dziwnego, że tak dała się ponieść...

Tony dostrzegł, że jego oczy zaszyły mgłą. obrońca Tony Lord miał instynkt, dzięki któremu wyczuwał kłamstwa i uniki, instynkt, który ten drugi Tony, przyjaciel Sama Robba, chyba gdzieś postradał. Widział teraz przed sobą albo mężczyznę w szoku, który po raz pierwszy staje przed gorzkim, przytłaczającym zrzędzeniem losu, albo łgarza tak zdolnego, ale i tak skołatanego, że potrafił przekonać sam siebie. Jeśli jednak prawdą było to drugie, to największym błogosławieństwem dla Sama było w tym momencie to, że martwił się przede wszystkim o żonę i ciężarną nastolatkę, którą ostatni widział przy życiu i dlatego wciąż wyobrażał sobie, iż mógł ją uratować. Tony - zasmucony i zdezorientowany - postanowił, że najlepiej będzie po prostu zostać z przyjacielem i milczeć.

Z oddali doszedł Tony'ego słaby okrzyk podnoszący się z tłumu. Zobaczył gracza z Lake City obiegającego w pędzie pierwszą bazę, a po lewej zawodnika biegnącego w stronę płotu w pościgu za niewidoczną piłką. On i Sam Robb znajdowali się w innym, ich własnym świecie.

- Wiem, jak źle się czujesz, ale nie sądzę, byś mógł zrobić cokolwiek więcej - odezwał się Sam.

W jego słowach współczucie mieszało się z dziwnym poczuciem dystansu, tak jakby Sam pocieszał go z powodu oczekiwanej od dawna śmierci kogoś trzeciego.

- To jeszcze nie koniec - odparł Tony. - Może w Lake City, ale nie w sądzie. Nie wygrają tej sprawy w cuglach.

- Nie mogą wygrać - rzekł z prostotą Sam. - Bo ja jej nie zabiłem. Cokolwiek to teraz warte.

Tony nie odpowiedział. Sam dodał cicho:

- Zrobiłeś wystarczająco dużo, Tony. Wróciłeś, niezależnie od tego, czy dla Sue, czy dla mnie, czy też dla nas obojga. Przeszedłeś raz jeszcze przez to, co się stało z Alison. Uratowałeś na jakiś czas moją pracę i starałeś się uratować mój tyłek, choć wiem, że musiałeś robić rzeczy, które ci się nie podobały. - Obrócił się do Tony'ego i dotknął jego ramienia. - Nie mógłbym więcej wymagać od przyjaciela, więc jeśli wciąż nim dla ciebie jestem, pozwolę ci wrócić do Stacey i Christophera. Już czas, bym pozwolił ci odejść.

Tony poczuł to samo co trzydzieści lat wcześniej: emocjonalne smagnięcie batem. Zawsze, gdy stwierdzał, że Sam jest samolubny i nieczuły, ten wzruszał go jakimś niewiarygodnym aktem łaski. Było to tym bardziej wzruszające, pomyślał Tony, że postępowała tak osoba, którą żyjący wciąż w Tony'm chłopiec - optymista, katolik, istota wierząca w odkupienie - chciał zawsze widzieć w Samie Robbie. A ten chłopiec w dalszym ciągu istniał.

- Co zrobisz? - spytał Tony.

- Znajdę adwokata. Chyba pożyczę na zaliczkę dla niego. To właśnie robią ludzie, nieprawdaż?

Tak rzeczywiście było. Tony wiedział to z własnego doświadczenia, gdyż była to pierwsza lekcja, jakiej udzielił mu Saul. Nie ulegało też wątpliwości - oprócz poczucia winy, historii i uzasadnionej wiary w swoje umiejętności prawnicze i zawodowe opanowanie - że dla spokoju ducha Tony powinien nabrać jak największego dystansu do zmarłej nastolatki.

Sam powiedział, jakby czytał mu w myślach:

- Poza tym wciąż jeszcze zastanawiasz się, czy ją zabiłem, prawda? Może bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Nie było sensu kłamać.

- Tak. Ale tak samo postąpi każdy adwokat, aż w końcu da sobie spokój - odpowiedział Tony.

Jego przyjaciel pierwszy raz podniósł głos.

- Ty nie jesteś każdym adwokatem, Tony. Będzie lepiej dla mnie, jeśli nie zobaczę, jak podczas procesu zastanawiasz się, czy byłbym zdolny do zabójstwa, czy nie...

- Masz rację. - Odpalił Tony wbrew sobie. - Nie jestem każdym adwokatem. Jestem o wiele, wiele lepszy, a ty, kurwa, będziesz potrzebował wszystkich moich umiejętności.

Oczy Sama rozszerzyły się, potem uśmiechnął się, być może zdziwiony wybuchem arogancji i ego Tony'ego, który zaskoczył nawet jego samego.

- Wciąż się ze mną mierzysz - powiedział cicho. - Czyż nie?

Tony popatrzył na niego.

- Nie jestem zupełnie innym człowiekiem, Sam. Ty też nie.

Uśmiech zniknął z twarzy Sama.

- O tym właśnie mówię, kolego. Chciałbym tylko, żebyś w to uwierzył, zanim opuścisz to miejsce.

Prawnik westchnął.

- Muszę ci powiedzieć coś jeszcze - dodał po chwili. - Mamy ofertę od Stelli Marz.

Oczy Sama zwęziły się podejrzliwie.

- Na czym ona polega?

- Może się zgodzić na nieumyślne zabójstwo. Ale pójdzie na to tylko wtedy, jeśli przekonasz ją, że działałaś impulsywnie i że nie chciałaś zabić Marcie Calder. A to oznacza publiczną spowiedź podczas jawnej rozprawy.

- Chodzi o to, że mam kłamać.- Sam nagle wstał i zaczął mówić przez zaciśnięte gardło: - Kurwa, nie przyznam się do tego. Stracę dom, karierę, szacunek dzieci, może nawet małżeństwo. Zostanie mi tylko to, że jestem niewinny. Nie prehandluję tego za niższy wyrok. Nie zamierzam kłamać, żeby to osiągnąć. - Zaczął poruszać szczęką. - Będę walczył i wygram. A wtedy dam Sue najlepsze życie, na jakie będzie mnie stać. Będę się starał wynagrodzić to, co przeze mnie przeszła. Może kiedy mnie uniewinnią, uzna, że warto spróbować raz jeszcze.

Tony usiadł w trawie i spojrzał na niego.

- Ryzykujesz, że spędzisz życie w więzieniu, Sam.

- Jeśli przyjmę twoją propozycję, Tony, zaryzykuję znacznie więcej. - Głos mu zhardział. - Nie różnimy się aż tak bardzo. Ty wciąż chcesz wygrać, a ja wciąż potrzebuję szacunku dla samego siebie. Ale tym razem to już nie twoja sprawa.

Tony wstał i spojrzał mu w oczy.

- I nie jest to też moja propozycja. Ale nawet gdyby to była moja sprawa, i tak bym się jej nie podjął. Bez względu na to, jak źle to według ciebie wygląda, istnieje szansa, iż któryś z przysięgłych uwierzy, że Marcie Calder zabił ktoś inny albo że w ogóle jej nie zamordowano. W takich sprawach potrzebny jest obrońca, dlatego Saul podjął się mojej obrony. To właśnie powiedziałem Stelli Marz.

Sam patrzył na niego bez słowa. Miał w oczach łzy. Dostrzegłszy to, Tony zrozumiał, jak bardzo Sam potrzebował najmniejszej oznaki, że on mógłby uwierzyć w jego niewinność. Nie wiedział

jednak, co powiedzieć albo zrobić.

Sam w milczeniu wyciągnął dłoń. Był to dziwnie oficjalny gest, być może pożegnanie. Obudził w Tonym głębsze pokłady uczuć. Tony Lord przypomniał sobie czasy, kiedy mieli po osiemnaście lat i pożegnali się uściskiem dłoni.

Zamiast potrząsnąć jego dłonią, Tony objął przyjaciela.

Od razu poczuł, jak ramiona Sama otaczają go mocno. Sam powiedział cicho:

- Może uda się nam to naprawić, Tony. Może się uda.



## DWADZIEŚCIA

Alison Taylor zamarła, gdy padło na nią światło z werandy na tyłach domu jej rodziców. Czarne włosy owiewały jej twarz. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, po czym upuściła torebkę.

- Dlaczego? - zapytała.

W tej chwili, w ostatnim momencie swojego życia, wydawała się taka krucha, wrażliwa, że wzruszenie chwyciło za serce. Jej oczy wypełniły się łzami. Nie mogła poruszyć nagimi nogami.

- Błagam - chrypiała, wiedząc, że ją zdradził. - Błagam, nie rób mi tego więcej...

Tony zerwał się, budząc się ze snu.

Pot wystąpił mu na czoło. Rozglądał się po pokoju, a serce waliło mu jak młotem. Powoli, krok po kroku, uświadomił sobie na powrót, kim był i gdzie się znajdował: miał czterdzieści sześć lat, był prawnikiem, mężem Stacey i ojcem Christophera. Mieszkał sam w pokoju motelowym w mieście swojej młodości. Wrócił tu, żeby uchronić Sama Robba przed oskarżeniem o zamordowanie dziewczyny, która na zdjęciach przypominała nieco Alison Taylor. Po tym, jak powiedział Samowi, że Marcie Calder była z nim w ciąży, schronił się w tym pokoju i zapadł z wyczerpania w sen. Sądząc po zasłonach, przez które przedzierały się blade promienie słońca, nie upłynęło zbyt wiele czasu. Jego zegarek wskazywał 7.30.

Alison Taylor nie żyła od dwudziestu ośmiu lat.

Tony przesunął dłonią po twarzy i stwierdził, że ręka mu drży.

W ciągu tych dwudziestu ośmiu lat Alison śniła mu się tylko jako martwa dziewczyna z wykrzywioną z bólu i przerażenia twarzą. A teraz żyła i oskarżała, a jednak tym razem, w przeciwieństwie do pozostałych snów, nie miał wrażenia, że jest tam obecny - może co najwyżej jako obiektyw kamery. Wyglądało to tak, jakby przez cały sen kamera najeżdżała coraz bliżej. W ostatnim ujęciu jej twarz - blada skóra, wystające kości policzkowe, gwałtowny wyraz strachu - zdawała się leżeć w zasięgu ręki.

Przeszył go dreszcz.

W wieku siedemnastu lat Tony nauczył się, że odsunięcie na bok uczuć i skupienie się na zadaniu to cena, którą płaci się za przeżycie. Potem płacił taką samą cenę, by przetrwać jako adwokat. Mimo to jednak nie wątpił nigdy, że coś pozostało w jego podświadomości, w kącikach świadomości, w tych miejscach, gdzie przechowywał uczucia tak niewygodne, że minęły całe lata, nim jego żona, jego najlepsza przyjaciółka, zdała sobie sprawę z ich istnienia. Czasami płacił za to cenę snów.

Był zbyt szczerzy wobec siebie, by udawać, że t e n sen nic nie znaczył. Ponieważ jednak śmierć Marcie Calder była - przynajmniej dla niego - dręczącym echem śmierci Alison, nie ulegało wątpliwości, że sen nie był konieczny, by wydobyć na powierzchnię jego sprzeczne sympatie i ogromną niepewność, czy reprezentować Sama. Zwłaszcza taki sen, który jeszcze po przebudzeniu pulsował w jego członkach jak gorączka.

Wstał, poszedł do łazienki i obmył twarz. Kiedy przyjdzie do siebie, zadzwoni do domu. Christopher skończy mecz baseballu, a wtedy ich rozmowa, ojciec zbierający najświeższe informacje, przywróci go do normalności. Później ustali ze Stacey, co powinien zrobić z Samem, i - jeśli będzie na to gotowy - ze snem. Zastanawiał się, dlaczego jakaś część jego wzbraniała się o nim wspomnieć...

Zadzwonił telefon.

Może to ona, pomyślał Tony. Potrzebował jej teraz.

- Halo?

- Tony? - Głos Sue był przytłumiony i głuchy. - Powiedział mi o wszystkim. Chyba naprawdę muszę z tobą porozmawiać. - Urwała na chwilę, a jej głos zadrżał, jakby niczego już nie była pewna. - Możemy?

Tony pomyślał, że wydawała się równie samotna i skołowana jak on, tyle tylko, że miała daleko ważniejsze powody.

- Oczywiście, że możemy. Dla ciebie zawsze znajdę czas - odpowiedział.

W drodze na spotkanie Tony przygotował się na to, co mógł oznaczać jej telefon: że Sue wiedziała albo usłyszała o czymś, co wskazywało na winę Sama, i nie potrafiła tego zataić z dobrego serca.

Chciała zjeść gdzieś spokojnie kolację, powiedziała. Nie mogła znieść przybywania w domu, a zażenowanie, które odczuwali już teraz, oraz wstyd, który pojawi się jutro - poniżona żona i wicedyrektor, który najpierw zapłodnił, a później prawdopodobnie zabił ufającą mu dziewczynę - uniemożliwią odwiedzanie lokali. W pewien sposób przypomniało mu to noc, kiedy Sam się upił i zostawił Sue z Tonym - jedyną osobą, na której mogła polegać i którą, być może przez chwilę, najbardziej kochała. Gdy zatrzymał się na podjeździe przed klubem w Lake City, wspomnienie tej nocy jeszcze się nasiliło.

Minęły już ze trzy godziny, odkąd Sam jej powiedział. Tony z trudem mógł sobie wyobrazić, co czuła teraz Sue.

Zatrzymał się przed wejściem, wysiadł z samochodu i wręczył kluczyki portierowi. Stał i patrzył przez chwilę na okolicę oraz na budynek, po części obawiając się spotkania z Sue, po części zaś wspominając ów wieczór sprzed dwudziestu ośmiu lat, kiedy to wydawało mu się, że gdyby kiedykolwiek jeszcze miał tu przyjść, to tylko z nią, jako para.

Dziwne było takie zanurzanie się w przeszłości oglądanej przez pryzmat śmierci Marcie Calder.

Jednakże klub miał tę samą spokojną fasadę - wciąż był tą zbudowaną chaotycznie, białą, drewnianą budowlą z lat dwudziestych, która wyglądała jak tonąca w mroku wystrzyżona trawa przy osiemnastym dołku golfowym. Ta iluzja bezpieczeństwa i trwania, przypuszczał Tony, stanowiła część zachęty dla bogaczy z Lake City, którym dawała egoistyczne poczucie bycia tam, gdzie należy. Choć od czasów, kiedy Tony miał aspiracje, by tu należeć, albo kiedy zazdrościł tym, którym się to udało, minęło wiele lat, poczucie odtrącenia wróciło do niego, zadziwiające w swej sile. Być może Dee Nixon miała rację, pomyślał. Być może w jakiejś szczelinie naszej duszy rzeczywiście mamy zawsze siedemnaście lat. Myśl o niej, a potem o Erniem jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi.

Rozejrzał się po raz ostatni i wszedł do środka.

Hostessa - pulchna, sympatyczna blondynka z oczkiem w pończosze - zaprowadziła Tony'ego do jadalni. To właśnie tu tańczył z Sue owej nocy, ale zauważył na sali jedną nieprzyjemną różnicę: ten sam złośliwy los, który chyba wiódł go tego dnia, sprawił, że John i Katherine Taylorowie też jedli właśnie tutaj kolację.

Ocierając usta białą serwetką, John Taylor zauważył, że hostessa prowadzi Tony'ego między stolikami. Znieruchomiał tak jak jego córka w pierwszym śnie prawnika i tylko oczy, pełne szoku i urazy, zdradzały jego skargę na to, że nie ma się dokąd skryć przed afrontem, jakim była dla niego obecność Tony'ego Lorda. Choć serce waliło mu jak młotem, adwokat jedynie skinął głową, zmierzając obojętnie do stołu, gdzie zje kolację z przyjaciółką. Miał nadzieję, że matka Alison go nie zobaczy.

- Proszę tędy. Pani Robb oczekuje pana - powiedziała hostessa.

Sue siedziała przy stoliku w kącie, a przed nią stała już podwójna szkocka. Najbardziej ewidentną oznakę tego, co zrobiły z nią lata, widać było w oczach: wydawały się obolałe, jakby zmuszono ją, by zbyt długo patrzyła na jaskrawe światło. Dodatkowy makijaż nie ukrył tego, że płakała, kiedy Sam jej powiedział. Tony stwierdził, że jego myśl o tym, iż w bólu wygląda jeszcze piękniej, jest perwersyjna. Dotknął ramienia Sue, nim jeszcze odezwali się do siebie.

Patrzyła na opuszki jego palców.

- No to jesteśmy - stwierdziła cicho.

Nie musiał mówić, jak bardzo mu żal. W ogóle nie musiał niczego mówić.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Nie wiem. - Ich spojrzenia się spotkały. - A ty?

Pokręciła głową.

- To zbyt świeże dla mnie. Choć tak naprawdę wiedziałam o tym, odkąd umarła. Widzę ich teraz razem. - Powoli podniosła na niego wzrok. - Mój Boże, Tony: dziecko...

Łzy stanęły jej w oczach. Obawa, że powie mu coś obciążającego, rozplynęła się w jednej chwili. Pomyślał, że swoim niedowierzaniem podzieli się tylko z nim. Był tu wiele lat temu, kiedy ich trzy życia nabierały kształtu.

- Myślałam, że się zmienił - wymamrotała. - Mówiłam sobie, że gdy się pobierzemy, jego niespokojny duch odejdzie. To chyba najstarsza nadzieja na świecie i zawsze żywią ją kobiety. - Popatrzyła na Tony'ego z pełną smutku szczerością. - Kiedy za niego wychodziłam, jakaś część mnie wciąż cię kochała, Tony... i to się chyba nigdy nie zmieniło. Może on zawsze o tym wiedział.

„Powinieneś ją stąd zabrać, Tony”, powiedział mu Sam. „Po śmierci Alison, wiele lat temu”.

Zapytał cicho:

- Dlaczego za niego wyszłaś?

- Jego też kochałam, choć inaczej. Wiedziałam, że nie jestem dla ciebie odpowiednia, że nie potrafię być taką osobą, jakiej będziesz potrzebował. A byłam pewna, że Sam potrzebował kogoś dokładnie takiego jak ja. - Uśmiechnęła się do niego melancholijnie. - Po części miałam rację, prawda? Znalazłeś kobietę, jakiej potrzebowałeś. On znalazł więcej nastolatek.

Tony otoczył palcami jej nadgarstek.

- W końcu, Sue, nie możesz naprawiać ludzi. Ale gdyby ktokolwiek to potrafił, to na pewno byłabyś ty.

Spuściła wzrok.

- Ta biedna, żałosna dziewczyna - odezwała się po chwili. - Wyobrażam sobie, jak głupie miała wyobrażenia na temat Sama, a potem przypominam sobie, że nie żyje. Więc nawet nie mogę się na nią złościć. Jest o wiele, wiele gorzej. Bo nie mogę być pewna, czy on... - Zamknęła oczy. - Jak to możliwe? Myślałam, że wiem, co się dzieje w naszym małżeństwie i mimo jego przywar, jaki on jest. A jednak nie wiedziałam, choć głupia nie jestem. Zbyt dobrze mnie okłamywał.

Ta sama wątpliwość prześladowała Tony'ego. Jednak brzmiała nieskończenie gorzej, gdy padała z ust Sue: jeśli Sam potrafił oszukać ją, to mógł wyprowadzić w pole każdego, zarówno Tony'ego, jak i ławę przysięgłych. A krzywda, którą jej wyrządził, jej otwarta rana, była o wiele większa, niż Tony mógłby sobie wyobrazić. Nic nie mógł zrobić - mógł jedynie być z nią.

Kiedy milczeli, zjawił się uprzejmy i pełen szacunku kelner. W Lake City nie uchowa się żadna tajemnica, a Sue już bardziej i tak nie można było zranić. Zamawiając dla siebie martini, Tony nie zatroszczył się, by zdjąć palce z nadgarstka kobiety. Gdy się rozejrzył, stwierdził, że Taylorów już tu nie było.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Byli tu rodzice Alison - powiedziała. - Rozmawiałeś z nimi?

- To niemożliwe. Dlatego tylko skinąłem głową, jak gdyby nigdy nic, i po raz tysięczny w tym tygodniu pożałowałem, że nie byliśmy wtedy z tobą i z Samem. Że zamiast tego poszliśmy sami w

inne miejsce.

Ku jego zdumieniu, oczy Sue ponownie napełniły się łzami.

- Ja też tego żałuję, Tony. Nie tylko z powodu Alison. Czasem myślę, że życie nas wszystkich potoczyłoby się inaczej.

Wciąż nie cofał ręki. Odpowiedział cicho:

- Ale wtedy nie zostałbym adwokatem, prawda?

Podniosła na niego wzrok i zapytała równie cicho:

- Myślisz, że Sam zabił Marcie Calder?

Ich spojrzenia spotkały się raz jeszcze.

- Trudno powiedzieć, Sue. Ale gdybym wiedział, że Sam jest winny zabójstwa, wróciłbym do San Francisco i starałbym się trzymać od Lake City najdalej, jak to tylko możliwe. Cokolwiek to dla ciebie znaczy, wciąż jeszcze tu jestem.

Sue w milczeniu spojrzała na szklaneczkę szkockiej. Tony zauważył, że prawie jej nie tknęła.

- Będzie miał proces - powiedziała.

- Tak.

Przez chwilę drżała jej krtąń.

- Czy będę musiała zeznawać?

Pokręcił przecząco głową.

- Jest tak, jak ci mówiłem. Stella Marz nie może cię powołać na świadka, z pewnością nie wbrew twojej woli. A adwokat Sama, ktokolwiek to będzie, nie zechce tego. Właśnie z powodu, który wymieniłaś: dlatego, że Sam zbyt dobrze cię okłamywał. Żaden prawnik przy zdrowych zmysłach nie przypominałby o tym przysięgłym.

Z roztargnieniem napiła się alkoholu.

- Ale jak ja mam z tym żyć, Tony? Jak można z tym żyć?

- Nie wiem. - Zacisnął palce na jej dłoni. - Ale będziesz musiała stawić temu czoło, ponieważ każdy adwokat zechce, żebyś pojawiła się w sądzie jako wspierająca męża, wyrozumiała żona. Sam z pewnością też tego będzie chciał, jestem o tym przekonany. Cokolwiek postanowisz, konsekwencje nie będą miłe.

- A gdybym trzymała się z daleka?

- Lepiej dla ciebie. Gorzej dla niego.

Zakryła dłonią oczy.

- Nie chodzi tylko o nas - wymamrotała. - Chodzi o dzieci. Zechcą tam być dla niego. - Jakby dodając sobie animuszu, wypła whisky do dna. - To jedno mogę powiedzieć szczerze: Sam nie był doskonałym ojcem, ale kocha dzieciaki, a one jego. To takie zabawne: ja o wszystko dbałam, ale one pamiętają, jak się z nimi bawił.

To była najkrótsza definicja całego jej życia z Samem, stwierdził Tony, i zrobiło mu się jeszcze smutniej.

- Są szczęściarzami, że cię mają, Sue. Sam również. Naprawdę sądzisz, że bez ciebie byłby lepszym człowiekiem?

Zdawało mu się, że jej spojrzenie jest równie ponure jak jego myśli.

- Myślałam, Tony, że on będzie lepszym człowiekiem wobec mnie. - Spuściła wzrok. - Czasami leżę w nocy w łóżku, kiedy on za dużo wypije, i myślę, co by było, gdybym miała dość odwagi albo egoizmu, żeby spróbować być z tobą.

Tony poczuł ucisk w dołku. Odpowiedział cicho:

- Co ja mogę teraz zrobić, kochanie?

Długo milczała, wbijając wzrok w stół. Potem spojrzała w górę, a w oczach znowu miała łzy.

- Spraw, żeby był niewinny, Tony. Może jestem równie samolubna jak Sam i równie głupia, ale nie wiem, o co innego mogłabym cię teraz prosić. - Głos uwiązł jej w gardle, po chwili jednak dodała: - Przedstaw go jako słabego, samolubnego, głupiego, niewinnego mężczyznę. Bo tylko to mi zostało.

Wszystko, co mogę zaoferować, to uniewinnienie go w sądzie, ale nie w życiu, a to może wiele kosztować nas oboje, pomyślał Tony. Jego myśli podążyły ku wszystkim innym, których będzie dotyczyć jego decyzja: ku Calderom, Stacey i Christopherowi, Samowi Robbowi i Erniemu Nixonowi. Ale najżywszy obraz miał przed sobą: kobietę, która nie była winna niczego oprócz błędów własnego serca.

- Dobrze. Spróbuję - powiedział.

CZĘŚĆ TRZECIA

# SAM ROBB

**Terazniejszość**

## JEDEN

Dwa i pół miesiąca później, w parny sierpniowy dzień, rozpoczął się proces oskarżonego o zabójstwo Sama Robba.

Budynek sądu hrabstwa Erie był neobarokową konstrukcją z lat dwudziestych. W tamtych czasach, pomyślał Anthony Lord, w architekturze sądowej łączono aurę sacrum z atmosferą klubu dla mężczyzn, którym było wówczas prawo: wszechobecne marmurowe schody, dębowe ściany i lakierowane ławki nawet dziś budziły pewne nabożeństwo. Era zadufania lokalnych wspólnot odeszła rzecz jasna w niebyt, najpierw na skutek Wielkiego Kryzysu z roku 1929, a następnie - jeszcze okrutniej, bo widać to było szczególnie po pasach rdzy - na skutek upadku przemysłu ciężkiego. O pogorszeniu stanu finansów publicznych świadczyła nie odnowiona fasada i brak remontu w budynku, podczas gdy upadek samego Steelton odzwierciedlał skład ław przysięgłych. Zasiadali w nich ludzie gorzej wykształceni i mniej zasobni: zbyt wielu było przedstawicieli tych, którzy przegrali wyścig po dobra, pozbawionych szans Murzynów i znajdujących się w tarapatkach osób z białych mniejszości. Gdyby Saul Ravin nie pomógł Tony'emu wybrać przysięgłych, on sam - przyzwyczajony do warunków panujących w San Francisco - martwiłby się tym jeszcze bardziej.

Rzecz jasna pewne uprzedzenia wśród członków ławy przysięgłych miały charakter uniwersalny. Najdyskretniej, jak tylko mogła, Stella Marz odsiała bezrobotnych Murzynów, uważając, że nie żywią oni sympatii do policji i ustanowionego porządku prawnego. Mając w zanadrzu wariant z Erniem Nixonem, Tony postanowił się jej nie sprzeciwiać. W rezultacie można było odnieść wrażenie, że skład ławy bardziej odpowiada oskarżycielowi niż obrońcy.

Saul ostrzegał Tony'ego, że zdecydowana większość przysięgłych, którzy pochodzą ze Środkowego Zachodu i z klasy średniej, będzie skłonna zaufać władzy. Mimo usilnych zabiegów adwokata Stelli udało się umieścić na liście przysięgłych troje Polaków ze Steelton: kosmetyczkę, księgową i krzepkiego właściciela sklepu, a także dwóch irlandzkich robotników, którzy byli katolikami, i włoską gospodynię domową. Wszyscy przestrzegali zasad tak, jak je rozumieli. Każdy z nich w różnym stopniu przypominał Tony'emu rodziców i prawnik spodziewał się, że - podobnie jak jego rodzice - niewielką sympatią obdarzą wicedyrektora, który sypiał z nastolatką.

Tony natomiast odrzucił trzy kobiety, które miały za sobą wieloletnie małżeństwa i były bardzo oddane wychowywaniu swoich nastoletnich córek. Z kolei zaryzykował i wybrał dietetyczkę, która - jak ironicznie określił to Saul - bliższa była tym „humanistycznym terapeutom”, takim jak pracownicy poradni małżeńskich, psychiatrzy i socjologowie, w których zawodach ceni się współczucie. Jednak ani ona, ani ulubiony przysięgły Tony'ego: pedantyczny nauczyciel angielskiego ze szkoły państwowej w Steelton, który miał skłonności do krytycznego myślenia, nie wydawali się zdolni, by grać w tym składzie pierwsze skrzypce. Tony przyznał ze smutkiem rację Saulowi, że największą nadzieją Sama jest obraz monstrum, jaki stworzyła Stella dla poparcia oskarżenia, obraz, który w tym procesie poszlakowym może - ku jej zdziwieniu - obrócić się



przeciwko niej, jeśli tylko zagra mistrzowsko kartą Erniego Nixona.

W nocy poprzedzającej wygłoszenie oświadczeń wstępnych siedzieli w zaciemnionym biurze Saula i pili szkocką.

- To nie jest tak, że manipulujesz przy skończeniu doskonałym wymiarze sprawiedliwości - zauważył stary adwokat. - Ludzie nienawidzą obrońców, ponieważ myślą, że pieprzymy po to, by coś wyglądało na czystsze niż pieprzony świat w ich pracy, w ich domach i, jeśli są naprawdę szczerzy wobec siebie, w ich głowach. Dla nas pociechą jest tylko świadomość tego, jakim szambem może być „sprawiedliwość” prokuratury: wtyki; układy zawierane z kanalami gorszymi od tych, które sami ciągną do sądu; rasowe założenie Stelli, które kazało jej usunąć Murzynów z ławy. - Saul wysączył swoją whisky. - Jeśli to właśnie obróci się przeciwko niej, to nie będzie po prostu niesprawiedliwość, tylko jeszcze jedna kurewska ironia. Z wyjątkiem może tylko dla Erniego Nixona, który nie jest naszym klientem.

Mimo swoich obaw Tony uśmiechnął się, usłyszawszy o „naszym” kliencie.

- Jak mi się udało cię do tego namówić, Saul? Chyba jestem sprytniejszy, niż przypuszczałem.

Saul machnął ręką.

- Och, tu nie chodzi o to. Każdy prawnik, który jest na tyle głupi, by za darmo podejmować się takiej sprawy, potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy. - Odstawił szklaneczkę. - Tak naprawdę chodzi o dwie rzeczy. Po pierwsze, brak mi rozrywek, a że słyszałem, że jesteś dobry, więc chcę sprawdzić, jak dobry. Po drugie, masz do tego zbyt osobisty stosunek. Dlatego podjąłeś się tej sprawy i dlatego też nigdy nie powinieneś tego zrobić. Szczerze mówiąc, myślę, że robisz to bardziej dla niej niż dla Sama Robba. - Saul umilkł na chwilę, po czym kontynuował cicho: - Jestem tu po to, żeby cię pilnować, Tony. Kiedy zajmowałem się tym ostatnim razem, zostałeś obrońcą. Więc chyba jestem ci winien...

Teraz, rankiem, po kolejnej bezsennej nocy, mając po bokach Saula i Sama, Tony czekał na oświadczenie wstępne Stelli i znowu myślał o Sue.

„Robisz to dla niej”, powiedział Saul.

Być może rzeczywiście tak było. W ciągu ostatnich trzech miesięcy, broniąc interesów Sama, kilka razy oszczędził Sue bezpośrednich skutków postępowania w sprawie jej męża. Przehandlowawszy po cichu dobrowolną rezygnację Sama za roczną odprawę, oszczędził Sue również przesłuchania, na którym mogła się pojawić Jenny Travis. Za zgodą Stacey wpłacił za Sama milion dolarów dość wygórowanej kaucji, ryzykując przy tym własnymi finansami, na wypadek gdyby Sam uciekł, ale oszczędzając Sue i jej dzieciom wypraw do więzienia hrabstwa. Nawet kilka dni temu, kiedy nie zgodził się, by wezwać świadków mogących przedstawić opinie na temat lat pracy Sama, zrobił tak, nie chcąc narażać przyjaciela na porażającą krytykę ze strony Jenny Travis, i uchronił w ten sposób Sue przed jeszcze jednym poniżeniem. Zdawał sobie sprawę, że z pewnością dozna ich wielu podczas procesu.

Przyszła tutaj, tak jak prosił. Jej opanowanie miało być wzorem dla dzieci. W innych okolicznościach Robbowie uosabialiby to, co mężczyzna i kobieta mają nadzieję osiągnąć, kiedy się

pobierają: ćwierć wieku partnerstwa, spokojną przyszłość w zasięgu ręki, dwoje ładnych dzieci - chłopiec i dziewczyna, zgodnie z wymaganiami - które ukończyły już college'e i są samodzielne. Sam junior przypominał Sue, schludny i konserwatywny przyszły posiadacz tytułu Master of Business Administration. Jenny natomiast miała blond włosy Sama i jego wysportowaną sylwetkę oraz ciepłe, łagodne usposobienie, które wiele lat temu pozwalało Tony'emu wyobrażać sobie Sue Cash jako matkę rodziny. Zobaczywszy Jenny i Sama juniora, Tony zaczął się zastanawiać, jaką rolę musiała odegrać Sue: zapewnić swoje dorosłe dzieci, że nie wierzy, by ich ojciec mógł zabić nastolatkę, z którą sypiał.

Zgodnie z poleceniem Tony'ego, Sam włożył białą koszulę, stonowany szary garnitur, którego nie lubił, oraz jeden z nijakich reprezentacyjnych krawatów, które Sue kupiła na proces. Trzy miesiące wyczerpujących ćwiczeń fizycznych i abstynencji sprawiły, że wyglądał na młodszego. Był tak wysportowany i patrzył tak rozumnie jak wtedy, gdy był sportowcem, którego pamiętał Tony. Wszystko to nadawało jego pewnym sobie rysom jakąś aurę niewinności, co - jak uznał Tony - było zmianą na korzyść. Zastanowiło go jednak to, że cała ta przeprawa obudziła w Samie instynkt rywalizacji. Ale tak rzeczywiście było: upierając się, że tworzą z Tonym zespół, Sam zainteresował się najdrobniejszymi szczegółami taktyki sądowej. Nawet teraz Tony widział, że stara się określić na własny użytek sposób myślenia sędziego. Wysoki Sąd, Leo F. Karoly, miał przeoraną szramą twarz, szpakowate, zaczesane do tyłu włosy oraz blade, dosyć apatyczne oczy, co sprawiało, że wyglądał w zasadzie tak, jak opisał go Saul: niczym stary urzędnik zbliżony światopoglądowo do demokratów, człowiek o ostrożnym temperamentem i ograniczonym intelekcie - w sumie lepszy sędzia dla Stelli niż dla obrony.

- Myślę, że Karoly to ktoś, kogo możemy dopaść - wymamrotał Sam.

Tony zauważył, że Sam wciąż nie chciał spojrzeć na Franka i Nancy Calderów. Zgryzota odebrała im mowę, jak niegdyś rodzicom Alison: Frank Calder wydawał się nie tyle zły, ile skurczony; Nancy Calder straciła na wadze, była blada i wymizerowana. Być może, pomyślał Tony, męczyła ich świadomość tego, że najpierw stracili kontakt z córką, a teraz również ją samą.

Niezależnie od tego, co myśleli, adwokat nie miał wątpliwości, że liczyli, iż Stella ich pokrzepi. W przerwach procedury wyboru składu ławy przysięgłych prokurator uznała za celowe rozmawiać z rodzicami Marcie, często dotykając któregoś z nich. Tony odgadł, że było to jednocześnie dobre przedstawienie i szczerą troską odzwierciedlającą empatię Stelli dla tych, których uważała za wciąż żywe ofiary Sama. Gdy prokurator wstała, by wygłosić swoje oświadczenie wstępne, ich wzrok, który na niej spoczął, był bliski modlitewnego zauroczenia. W pełnej wyczekiwania ciszy Tony dotknął ramienia Sama, mając nadzieję, że zauważą to przysięgli.

Stella miała na sobie granatowy kostium i tyle ozdób - makijaż oraz złote kolczyki - by zatrzeć tę odrobinę feministycznej surowości, która mogła zniechęcić do niej członków ławy. Pierwsze słowa wypowiedziała ochryple, była bezpośrednia w gestach i miała w sobie dość złości, by cały czas - co Tony rozpoznał od razu - odwoływać się do emocji i nie popadać w sentymenty.

- Chcemy państwu przedstawić ostatnie cztery godziny życia szesnastolatki - zaczęła.

## DWA

Na sali sądowej panowała cisza.

- Proszę sobie wyobrazić Marcie Calder - powiedziała Stella. - Jest przerażona i samotna, a jej lekarz właśnie powiedział jej, że jest w ciąży. Marcie zaczyna płakać, nie wie, co robić. Doktor Nora Cox, która zna Marcie, odkąd dziewczyna skończyła cztery lata, nalega, by powiedziała swoim rodzicom. Ale dziewczyna tylko kręci przecząco głową. Zrozpaczona doktor Cox wspomina o możliwości aborcji. Pierwszy raz ta dziewczyna, która sama ledwie przestała być dzieckiem, znajduje siły, by przemówić. „Nie”, odpowiada. „Moje dziecko to życie”.

Odgrywając rolę Marcie, Stella wypowiedziała te słowa spokojnie i pewnie. Tony pochwycił spojrzenie Saula Ravina: ten uśmiechał się nieznacznie z uznaniem dla pani prokurator. Tony również podziwiał wprawę, z jaką kobieta przeszła do czasu teraźniejszego, opisując przysięgłym każdy nieuchronny i fatalny krok w stronę śmierci. Ławnicy słuchali w napięciu.

- Tylko to - mówiła dalej Stella Marz - Marcie Calder wie na pewno. A ponieważ chce chronić to życie, zdaje sobie sprawę, że jest jeszcze jedna osoba, którą musi osłaniać: ojciec jej nie narodzonego dziecka. Nikt oprócz Marcie Calder nie wie, kim on jest. Teraz dziewczyna pragnie jego pociechy, jego rady. A przede wszystkim, chce go ostrzec. - Stella umilkła na chwilę, czekając, aż wszystkim, zapadnie to w pamięć.

Sam mruknął ze złością:

- Nie ma w tym nic, co by dowodziło, że...

Tony chwycił go za ramię.

- Spokojnie - szepnął.

Stella uniosła głowę.

- Tak więc Marcie idzie do Janice D'Abruzzi, swojej najlepszej przyjaciółki. Janice wie, że Marcie spotyka się z kimś starszym, nie wie jednak, z kim ani nawet dlaczego tak ważne jest, by jego tożsamość pozostała nieznaną. Marcie błaga Janice, żeby kryła ją na tę noc: musi porozmawiać ze swoim chłopakiem, a rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć. Kiedy zaczyna płakać, Janice się zgadza. Tego wieczoru, podczas ostatniej kolacji, jaką zje z Frankiem i Nancy Calderami, Marcie mówi im, że idzie się uczyć do Janice D'Abruzzi. Rodzice zauważyli, że w ciągu ostatnich kilku tygodni wydaje się czymś zaabsorbowana. Ale przecież Marcie była zawsze kochaną córką, troskliwą siostrą i dobrą uczennicą. A poza tym nigdy ich nie okłamywała. Gdy wychodzi, prawie się z nimi nie żegna. Wtedy tylko jedna osoba mogła powiedzieć Marcie i jej rodzicom, że już nigdy się nie zobaczą. Przed rozmową z nim Marcie ma jeszcze jedno, ostatnie spotkanie. Oprócz rodziców,

dorosłym, z którym Marcie zdaje się być najbliżej, jest Ernie Nixon. Był jej pierwszym trenerem, mężczyzną, którego dziećmi się opiekowała, kimś, komu miała zwyczaj się zwierzać. Przez ostatnie sześć tygodni Ernie zmagał się ze swoim sumieniem, odkąd tylko Marcie wyznała, że sypia ze swoim pierwszym mężczyzną. Ze starszym mężczyzną, którego prezerwatywa pękła, gdy kochali się po raz pierwszy.

Tony zauważył, że Saul uniósł brwi, gdy wspomniała o Erniem Nixonie. Ale tylko Tony dostrzegł chłodne rozbawienie jednego prawnika, który widzi pierwszy błąd drugiego - przysięgli nie mogli oderwać oczu od Stelli Marz.

- Ernie słusznie się boi, gdyż Marcie Calder siada na jego kanapie i cicho, z prostotą mówi mu, że jest w ciąży. Ernie Nixon jest zdruzgotany. Błaga ją, by powiedziała o tym rodzicom albo przynajmniej pozwoliła mu zawieźć się do kliniki, by uzyskać poradę ginekologa. Dziewczyna raz jeszcze odmawia: jej dziecko to życie. Jest blada, zagubiona i ugina się pod ciężarem, który musi dźwigać, ale pozwala Erniemu jedynie na to, by przyniósł jej kanapkę z tuńczykiem. Musi bowiem powiedzieć osobie, której zaufała i z którą, jak wyjaśnia Erniemu, za kilka minut się spotka, że jest ojcem jej nie narodzonego dziecka. Marcie boi się wielu rzeczy, ale nie śmierci. Je kanapkę z tuńczykiem, ponieważ, jak mówi, odżywia się teraz za dwoje. Za dwie godziny -dodała Stella łagodnym tonem - Marcie Calder nie będzie żyła.

Sam Robb poruszał szczękami.

- Skąd Marz może to wiedzieć? - wyszeptał.

Tony odpowiedział równie cicho:

- Zachowaj spokój, do cholery!

- Gdy Marcie odjeżdża - kontynuowała prokurator - nie wie, że powinna się bać. Wie tylko, że jej kochanek zgodził się z nią spotkać. Samotna, zatrzymuje samochód przy opuszczonej stacji benzynowej. Stoi tam jeszcze jeden pojazd, szare volvo sedan. Marcie wysiada, a wtedy kierowca volvo otwiera drzwi po stronie pasażera. Dziewczyna wsiada żwawo do środka i zwraca się do mężczyzny, którego kocha. - Stella umilkła i obróciła się w stronę Sama. - To Sam Robb, wicedyrektor liceum w Lake City. Trener drużyny biegaczek, do której należy Marcie, i ojciec jej dziecka.

Sam patrzył bez słowa na Stellę Marz. Wyraz twarzy miał dokładnie taki, o jaki mógł go prosić Tony: tak zraniony i pełen wstydu, że jeśli nie było to szczere, to jego przyjaciel miał dar, który przechodził pojęcie adwokata. Przez chwilę w spojrzeniu Stelli zabłysła chłodna, autentyczna niechęć, a potem kobieta ponownie zwróciła się twarzą do członków ławy przysięgłych.

- Życie Marcie jest teraz w jego rękach. Nikt: ani jej rodzice, ani Janice, ani Ernie Nixon, nie wie, gdzie ona jest. Oprócz Sama Robba przy Marcie nie ma nikogo. Wiezie ją w ciemnościach do parku Taylorów. Marcie rozbiera się przed nim. A potem, w szarym volvo swojej żony, Sam Robb odbywa z Marcie Calder stosunek analny.

Tony zauważył kątem oka, że Sue Robb zbladła. Chwyciła córkę za rękę.

Mówiąc z zimnym obrzydzeniem, Stella wróciła raptownie do czasu przeszłego.

- A kiedy ten najintymniejszy akt już się dokonał, Sam Robb po raz ostatni użył jej ciała. Zrobił to w sposób, który tylko od biedy można by powiązać z miłością. Nie potrafię powiedzieć państwu, o czym myślała Marcie Calder w ostatnich chwilach życia, gdy leżała oszołomiona i umierająca w ramionach swego kochanka, mężczyzny, którego podziwiała, z jego dzieckiem żyjącym wciąż w jej łonie. Czy ta dziewczyna, sama jeszcze niemal dziecko, myślała o swoim dziecku? Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy tylko to, co mówią nam wyniki obdukcji. Wiemy, że Sam Robb, nie chcąc dopuścić, by wypowiedziała na głos swoje myśli, wywłókł ją z volvo i zaprowadził na porośnięte trawą pole nad jeziorem Erie. Że wziął do ręki ciężki kamień. Że zadał Marcie Calder trzy potężne ciosy, roztrzaskując jej czaszkę. Że zrzucił ją z krawędzi klifu i patrzył, jak spada z wysokości trzydziestu metrów. W jej bólu, po tym jak Sam Robb ją zdradził, spotkała ją tylko taka łaska.

Tony zobaczył łzy na twarzy Nancy Calder; jej zachowujący stoicki spokój mąż patrzył pod nogi. Po drugiej stronie sali sądowej Sue zamknęła oczy, a jej dzieci zamarły w bezruchu. Poczuł, jak siedzącym obok Samem wstrząsnął dreszcz.

Stella Marz była nieustępliwa.

- Anthony Lord to utalentowany adwokat, który z pewnością opowie państwu o wątpleniu. Ale pan Lord za nic na świecie nie zmieni tego, co moim zdaniem wykażą fakty. Fakt: Sam Robb powiedział policji, że on i Marcie Calder byli jedynie przyjaciółmi i że znaleźli się sami w nocy w parku Taylorów, aby omówić jej niewinne, nastoletnie zauroczenie. Fakt: Sam Robb straciłby żonę, rodzinę, reputację i środki do życia, gdyby Marcie Calder pisnęła komuś choć słówko. Fakt: krew Marcie Calder znaleziono na kierownicy samochodu Sue Robb. Fakt: Sam Robb jest ojcem dziecka Marcie Calder. Nie ma żadnych wątpliwości co do tych faktów. Nie ma żadnych wątpliwości, że Sam Robb kłamał, mówiąc o nich. Jestem zatem pewna, że gdy wszystkie dowody zostaną zgromadzone, a argumenty prawników przedłożone, nie będą mieli państwo żadnych uzasadnionych wątpliwości, iż Sam Robb zamordował szesnastolatkę, którą miał się opiekować, oraz przyszłe życie, które w niej złożył. - Stella Marz umilkła i popatrzyła po kolei na każdego z ławników. - Dziękuję - dodała tylko i usiadła.

Poblądły Sam spojrzał na Tony'ego z nadzieją i rozpaczą.

- Panie Lord? - zapytał sędzia Karoly.

Tony wstał i podjął decyzję.

- W tej chwili nie mam nic do powiedzenia, Wysoki Sądzie. Obrona wstrzymuje się z wygłoszeniem oświadczenia wstępnego do czasu, aż oskarżyciel przedstawi dowody. Tych, z całym szacunkiem dla pani Marz, jej przemówienie nie zawierało.

Leo Karoly wydawał się zaskoczony.

- Dobrze. Sąd ogłasza poranną przerwę - oznajmił.

Gdy na sali powoli zapanował ruch, twarz Sama nabiegła złością i zdziwieniem.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Tony dotknął jego ramienia.

- Nie tutaj.

Saul, Tony i Sam siedzieli na twardych drewnianych krzesłach ustawionych przy drewnianym stole w ciasnej salce dla świadków.

Może to łaska, pomyślał Tony, że nie stoją teraz na korytarzu z Sue. Siedzący obok niego Saul rozparł się wygodniej: był tu widzem.

- Ona nas, kurwa, wykańcza! - Sam podniósł głos. - Nie jestem idiotą, Tony, czytałem o taktykach procesowych. Jakies sześćdziesiąt procent przysięgłych podejmuje decyzję na podstawie oświadczenia wstępnego. Skoro go nie mieliśmy, to może już przegraliśmy. A mówimy tu o moim tyłku.

- To prawda. I dlatego właśnie się z nim wstrzymuję. - Rozumiejąc obawy Sama, Tony zachował spokój. - Moim zdaniem, przedobrzyła, ale nie mogę teraz powiedzieć o tym przysięgłym, a poza tym i tak nie dowiem się, jaka będzie nasza najlepsza linia obrony, dopóki Stella nie przedstawi dowodów. Co, na przykład, zrobimy, jeśli znalazła wytłumaczenie nieobecności Erniego w domu? A jeśli nie, to po co ją ostrzegać i pokazywać, do czego zmierzam?

- Jakie to ma znaczenie, jeśli oni już uważają mnie za winnego? - Napięcie Sama było słychać i widać. - Cholera, mogłeś powiedzieć cokolwiek.

Tony napił się kawy, próbując zachować spokój. Był podminowany i brakowało mu tylko błyskotliwych uwag prawnika amatora, w dodatku jego klienta.

- „Cokolwiek” Stella zdążyła już przedstawić jako rzecz patetyczną: uzasadniona wątpliwość...

- No nie wiem. - Saul zwrócił się do Sama z niewinną miną. - Co byś powiedział na to: „Uprawiał z nią seks analny, ale jej nie zabił”? To mogłoby zrobić wrażenie.

Sam poczerwieniał na twarzy, patrząc na Ravina.

- Rzecz w tym - wtrącił się Tony - że mogę rozegrać to lepiej i zrobię to. Przy odrobinie szczęścia mowa Stelli obróci się przeciwko niej. - Położył dłoń na ręce Sama. - Twoje zadanie polega teraz na tym, byś wyglądał na bardzo spokojnego i bardzo smutnego. Czekają cię co najmniej dwa tygodnie, w czasie których będziesz siedział i wysłuchiwał nieprzyjemnych rzeczy. - Umilkł na chwilę, po czym dokończył cicho: - To tak jak w meczu przeciw Riverwood. Nie daj się ponieść nerwom i zaufaj mi.

Patrząc Samowi w oczy, adwokat odczytał w nich niepokój, zmieszanie, wątpliwości, a także tę samą niechęć do bycia prowadzonym przez Tony'ego, do bycia zależnym od niego, którą zauważył po raz pierwszy trzydzieści lat wcześniej. Po chwili Sam energicznie skinął głową.

- Dobrze, Tony. Mam tylko nadzieję, że jeszcze daleko do przegranej.

## TRZY

Gdy Stella Marz wezwała lekarza Marcie jako swego pierwszego świadka, Tony zrozumiał, że zamierzała pójść torem wyznaczonym przez oświadczenie wstępne i odtworzyć ostatnie godziny życia Marcie Calder, a następnie wykorzystać zeznania policjantów i ustalenia ekspertów z dziedziny medycyny sądowej, by powiązać Sama Robba z jej śmiercią. W ten sposób przysięgli otrzymaliby jednocześnie tragedię i pasjonujący kryminał z medycyną sądową w tle.

- Sprytne - mruknął Tony do Saula i skupił uwagę na doktor Norze Cox.

Wyglądała młodo, choć była mniej więcej w wieku Tony'ego. Miała pełne usta, jasne, niebieskozielone oczy i niesforne kasztanowe włosy. Tony uznał, że wygląda jak zadbana, zdrowa kobieta, która uwielbia przebywać na świeżym powietrzu, a pod swoim energicznym zachowaniem skrywa wiele ciepła i troski. Stella Marz odeszła na bok, kierując uwagę wszystkich na swojego świadka.

- Jak długo była pani lekarzem Marcie Calder? - zapytała.

- Dwanaście lat, pani Marz. Odkąd otwarłam praktykę. - Cox umilkła, po czym dodała cicho: - Odkąd Marcie miała cztery lata.

- Jak często ją pani widywała?

- W mieście dosyć często... Lake City nie jest aż tak duże. Jako pacjentkę matka wysyłała ją do mnie mniej więcej co sześć miesięcy. - Głos jej się załamał. - To znaczy do ostatnich tygodni przed jej śmiercią.

Stella przechyliła głowę na bok.

- Wtedy widywała ją pani częściej?

Cox z wolna skinęła.

- Spotkałyśmy się dwukrotnie. Tym razem już z inicjatywy samej Marcie.

Tony poczuł, jak siedzący obok Sam się poruszył.

- Po co przyszła za pierwszym razem? - chciała wiedzieć Stella.

Lekarka spojrzała przelotnie na rodziców dziewczyny.

- Marcie chciała mnie zapytać o sposoby zapobiegania ciąży.

Patrząca na to Nancy Calder skurczyła się z bólu. Wzrok jej męża gdzieś błądził.



- Czy Marcie powiedziała pani dlaczego? - spytała prokurator.

Cox założyła ręce na piersi.

- Marcie zaczęła uprawiać seks.

- Mówi pani „zaczęła”, doktor Cox. A czy powiedziała pani kiedy...?

- Sprzeciw! - powiedział Tony, nie podnosząc się z miejsca. - To dowód ze słyszenia. Lekarz nie może wiedzieć, kiedy Marcie odbyła pierwszy stosunek.

Sędzia Karoly zwrócił się do Stelli z uniesionymi brwiami i pytającym spojrzeniem. Prokurator z niezmaconym spokojem powiedziała:

- Zapytam inaczej. - Zwróciła się w stronę Nory Cox. - Czy podczas tej wizyty badała pani Marcie Calder?

- Tak. Zwróciłam uwagę na badanie miednicowe.

- I co ono wykazało?

Spojrzenie, jakim Nora Cox obrzuciła Sama Robba, na pozór pełne zamyślenia, tak naprawdę wyrażało dezaprobatę i niechęć.

- Błona dziewicza Marcie była najwyraźniej rozerwana, a jej wargi sromowe i ściana pochwy trochę otarte. Z mojego doświadczenia wynika, że jest to związane z pierwszym, i to odbytym dość niedawno, stosunkiem płciowym. To właśnie Marcie mi powiedziała, gdy ją zapytałam.

Cios został im zadany - Tony stwierdził to od razu. Podobnie jak Stella, Nora Cox była przebiegłą kobietą: adwokat mógł jedynie zakwestionować ostatnie zdanie, to jednak tylko wzmocniłoby wymowę jej oświadczenia. Stella zapytała szybko:

- A co konkretnie powiedziała?

- Że straciła dziewictwo poprzedniego dnia - odparła Nora Cox i dodała ciszej: - Prezerwatywa jej partnera pękła i Marcie bardzo się niepokoiła. Powiedziała, że ostatni okres miała dwa tygodnie wcześniej.

Trochę się ociągając, Tony wstał po raz pierwszy.

- Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, wydaje się, że to wszystko nie ma związku ze sprawą. Aby oszczędzić wszystkim czasu i być może nieprzyjemności, obrona uznaje, że w momencie śmierci Marcie Calder była ciężarna.

Stella Marz rzuciła mu szybkie, pełne ironii spojrzenie, po czym zrobiła słodką minę do Karoly'ego.

- Doceniamy propozycję pana Lorda, uważamy jednak, że doświadczenie seksualne Marcie Calder, czy też jego brak, ma znaczenie dla oskarżenia.

Ona wie, pomyślał Tony.

- Daję oskarżeniu trochę swobody - orzekł Karoly. - Proszę kontynuować, pani Marz.

Siadając, Tony dostrzegł w oku Saula błysk rozbawienia.

- Co się dzieje? - zapytał Sam.

Adwokat pochylił się ku niemu.

- Ernie domyśliła się... - mruknął.

- Jaka była pani reakcja, kiedy Marcie powiedziała, że odbyła stosunek? - spytała prokurator.

Nora Cox ponownie spojrzała na rodziców Marcie. Odparła cicho:

- Zapytałam Marcie, czy powiedziała o tym matce.

- Co odpowiedziała?

- Że nic jej nie mówiła. - Lekarka założyła ręce na piersi i opuściła na chwilę wzrok, co świadczyło o smutku i pewnym poczuciu wstydu. - Jeden z moich dylematów jako lekarza polega na tym, że dowiaduję się o nieletnich rzeczy, o których, według mnie, powinien wiedzieć ktoś jeszcze. W tym wypadku chodziło mi o rodziców Marcie.

- Czy istniał jakiś szczególny powód, dla którego tak pani uważała?

- Generalnie nie sędzę, żeby nastoletnie dziewczęta należało zostawiać samym sobie, jeśli chodzi o sprawy seksu. A odniosłam wrażenie, że Nancy Calder to troskliwa i sumienna matka. - Cox milkła, po czym dodała ostrzejszym tonem: - Ale tu chodziło o coś jeszcze. Gdy zapytałam, kim był ten chłopiec, odpowiedź Marcie mną wstrząsnęła. „To nie był chłopiec”, oświadczyła.

Stella milczała, pozwalając, by to zdanie zapadło wszystkim w pamięć i by ławnicy podzielili jej odrazę do Sama.

- Cały czas patrz na nią. Przysięgli cię obserwują - szepnął Tony do przyjaciela.

Prokurator wciąż stała przed doktor Cox.

- Czy doradziła pani Marcie, aby zwierzyła się matce?

- Tak.

- I co odpowiedziała?

- Że nie może tego zrobić.

- Czy wyjaśniła dlaczego?

Przepraszając w milczeniu, Nora Cox spojrzała najpierw na Nancy Calder, potem zaś na jej męża.

Zwracając się z powrotem do Stelli, odparła:

- Marcie powiedziała, że jej ojciec wydobyłby to z matki. Że miał obsesję na punkcie kontrolowania jej i że wpadłby w furję, gdyby się dowiedział, że nie jest już dziewicą.

Calderowie nie patrzyli na siebie. Tony'emu pierwszy raz przyszło do głowy pytanie, czy wytrzymają to wszystko: zbyt często widywał, jak śmierć dziecka niszczy małżeństwo, i to nawet wtedy, gdy żadne z małżonków nie ponosiło winy. Sądząc po wyrazie twarzy lekarki, ona również o tym myślała.

- Był jeszcze jeden powód - dodała cicho doktor Cox. - Marcie obiecała temu mężczyźnie, że nigdy nie powie czegokolwiek, co mogłoby go zdemaskować. Tak przynajmniej mi oświadczyła.

- To pogłoski - mruknął Sam przez ściśnięte gardło.

Tony'emu nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy, nie oderwał też wzroku od obu kobiet. Odpowiedział pod nosem, zbyt cicho, by ktokolwiek mógł to usłyszeć:

- Stul pysk.

- Czy Marcie powiedziała pani, doktor Cox, dlaczego tak ważne było utrzymanie tego w tajemnicy?

Zdawało się, że Nora Cox bierze głęboki oddech. Zawstydzona, odparła:

- Zdradziła tylko, że jest żonaty.

Obserwując kobietę, Tony czuł, jak każdy kolejny element układanki dostarczany przez doktor Cox wabi przysięgłych. Sklepiarz nachmurzył się; kosmetyczka - gadatliwa blondynka, która, jak zauważył Tony, zawarła kilka znajomości podczas wyborów składu ławy przysięgłych - patrzyła na Calderów z nie skrywaną sympatią. Po drugiej stronie sali Sue spoglądała na wszystko martwym wzrokiem.

- Co pani zrobiła potem? - spytała Marz doktor Cox.

Ta wzięła oddech.

- Wybrałam jej krążek maciczny i stwierdziłam, że mam nadzieję, iż powie o tym matce.

- Co odpowiedziała?

Cox przyglądała się swoim dłoniom.

- Prosiła... nie: błagała mnie, żebym nie mówiła nic jej rodzicom.

- Na co odparła pani...

- Że jestem jej lekarzem i że nie wolno mi tego zrobić. A potem, ponieważ wydawała się tak przerażona, spytałam, co zamierza powiedzieć, gdy rodzice otrzymają rachunek za badanie i będą

chcieli wiedzieć, po co do mnie przychodziła. - Jej ton znowu był bardzo łagodny. - Marcie była tak naiwna i tak wystraszona, że nawet o tym nie pomyślała. - Cox urwała na chwilę i opuściła wzrok. - Zupełnie jakby przysłała do dentysty.

Pozornie współczując, Stella odczekała chwilę.

- Co pani zrobiła?

- Pomyślałam, że po prostu wyślę rachunek, a jej rodzice sami się domyślą. Było dla mnie jasne, że Marcie znalazła się w trudnym położeniu, że sytuacja zdecydowanie ją przerastała i że z pewnością potrzebowała pomocy kogoś dorosłego. Kogoś innego niż mężczyzna, który pozbawił ją dziewictwa.

Stella podeszła bliżej i zapytała cicho:

- Spytała pani, czy Marcie ma kogoś takiego?

Tony przekonał się, jak dobrze prokurator wyczuła jego intencje.

- Tak. - Doktor Cox patrzyła na nią. - Marcie powiedziała, że ma się komu zwierzyć. I że to też jest ktoś dorosły.

- Czy powiedziała, kto to?

Lekarka z wolna pokręciła głową.

- Tylko tyle, że to ktoś, kto potrafi jej doradzić, ktoś, kogo zna od dawna. Kazałam Marcie obiecać, że z nim porozmawia.

- Czy powiedziała pani coś jeszcze?

Przez chwilę Nora Cox patrzyła na Calderów i nie odpowiadała. Potem nie wytrzymała i ukryła twarz w dłoniach.

- Powiedziałam, że jeśli Marcie mi to obieca, to nie wyślę rachunku jej rodzicom.

Kosmetyczka otworzyła usta. Patrząc wciąż na swojego świadka, Stella Marz poprosiła Karoly'ego o dziesięć minut przerwy.

Na końcu korytarza stała Sue Robb z dziećmi; wyglądali na zagubionych. Trzymali się razem, z dala od innych, niewiele rozmawiali. Stojąc obok Saula i Tony'ego, Sam wydawał się wyciszony.

- Przepraszam. Nie możesz cały czas zgłaszać sprzeciwów. To by tylko pogorszyło sprawę - powiedział do Tony'ego.

Pierwszy raz Saul spojrział na ich klienta wzrokiem, w którym było coś na kształt tolerancji.

- Tak naprawdę Tony nie mógł nic zdziałać. Marcie nie bawiła się z Erniem w kotka i myszkę, tylko jak przystało na dobrą dziewczynę, spełniła rzetelnie obietnicę daną pani doktor. - Zwrócił się

do Tony'ego. - Stella nas przejrzała.

Ten wzruszył ramionami.

- Nie ma tego złego, co by choć trochę na dobre nie wyszło - powiedział na pocieszenie dla Sama.

Wciąż jednak marzył wbrew sobie o tym, by znaleźć się w domu, w San Francisco, a nawet o czymś jeszcze trudniejszym: by uwierzyć, że jego przyjaciel i klient jest niewinny.

Gdy Nora Cox wróciła na miejsce dla świadków, Tony wciąż był w tym samym nastroju.

Lekarka odzyskała panowanie nad sobą. Korzystając z pomocy Stelli, zaczęła przedstawiać obraz drugiej wizyty Marcie, do której doszło w ostatnim dniu jej życia. Tony tak przywykł do swoich wyobrażeń o Marcie Calder, że gdy doktor Cox opowiadała, widział smukłą, czarnowłosą dziewczynę, samotną i przerażoną, która siedzi na krześle położniczym. Po jej twarzy płynęły łzy.

- To tylko domowy test ciążowy - powiedziała łagodnie doktor Cox. - Ale w wypadku wyników pozytywnych sprawdza się prawie w stu procentach.

Marcie mówiła cichutko, bardziej jak dziewczynka niż jak kobieta.

- Ale pani myśli, że będę miała dziecko.

Cox usiadła obok niej.

- Wymiotowałaś co rano przez ostatnie trzy dni, Marcie. A ten test jest całkiem wiarygodny. - Wzięła ją za rękę. - Okres opóźnia ci się już o dwa tygodnie. Wszystko wskazuje na tę pękniętą prezerwatywę.

Dziewczyna założyła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Jej szlafrok zaszeleścił.

- Zastanówmy się razem, co robić, gdybyś jednak była w ciąży - zaproponowała cicho lekarka.

Marcie zamruwała, żeby powstrzymać nabiegające łzy.

- Nie ma się nad czym zastanawiać. Jestem matką, ot co - odparła.

Brzmiało to tak zdecydowanie i tak żałośnie, że Nora Cox pokręciła głową.

- Ciężce nastolatki są ciężkie, Marcie. Możesz ją uważać za początek życia, ale w sumie może to oznaczać koniec twojego. Masz przecież jeszcze inne możliwości...

- Nie. Nie mogę tego zrobić - odpowiedziała z uporem Marcie.

- Możesz. - Przejmując się losem tej dziewczyny, jednej z jej pierwszych pacjentek, Nora Cox zapomniała o swoich obowiązkach jako lekarza. - Marcie, posłuchaj mnie. Kiedy byłam w szkole medycznej, zaszłam w ciążę. To wszystko nie miało sensu. - Cox umilkła i po chwili ciągnęła ciszej:

- Ojcem był nauczyciel, którego podziwiałam, chirurg. Był żonaty. Narodziny tego dziecka mogłyby zniszczyć jego karierę, a może i moją. Co gorsza, mogło to zniszczyć jego małżeństwo. Twoja sytuacja jest o wiele gorsza.

Nie płacząc już, Marcie pokręciła głową.

- Jestem katoliczką, doktor Cox.

- Ja też nią byłam.

Z jakiegoś powodu dziewczyna wsunęła dłoń między palce Nory Cox.

- Czy pani wciąż o tym myśli?

Lekarka zrozumiała podtekst tego pytania. Marcie chodziło o to, że pani doktor, która niedawno wyszła za starszego od siebie mężczyznę mającego już dorosłe dzieci, sama nie ma potomstwa. Przez chwilę nie odpowiadała.

- Tak. Ale w dalszym ciągu uważam, że dobrze zrobiłam -odparła.

Marcie rzuciła jej nad wiek dojrzałe i wnikliwe spojrzenie, a to, co powiedziała, zdziwiło kobietę.

- Przykro mi, ale nie sądzę.

Nora Cox puściła ostrożnie dłoń dziewczyny i oddała trochę pola. Chcąc sprawić, by to dziecko zstąpiło na ziemię, powiedziała jak najbardziej beznamiętnym tonem:

- Przecież jest jeszcze adopcja.

Marcie zamruwała. Patrząc, jak drżą jej usta, Cox stwierdziła ze smutkiem i żalem, że nastolatka zupełnie nie była na to przygotowana. Zapytała cicho:

- Czy on wie, jak bardzo się tym martwisz?

Marcie potrząsnęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- Więc może nadszedł czas, by zwrócić się do twoich rodziców. Czasami rodzina jest najlepsza, kiedy sytuacja wygląda tragicznie. Znam twoją matkę i wiem, jak bardzo cię kocha - stwierdziła doktor Cox.

Marcie pochyliła się do przodu, wbiła wzrok w podłogę i skuliła się w aż nazbyt widocznej udręce.

- Nie mogę o tym powiedzieć ojcu, nigdy. Po prostu nie mogę.

Lekarka milczała przez chwilę.

- W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie, prawda? - Znowu wzięła Marcie za rękę. - Jeśli zmienisz zdanie, pomogę ci. A potem znajdę ci poradnię.

Marcie przytuliła się do niej.

- Nie mogę - powiedziała po chwili.

- Co więc zrobisz?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Wiem tylko, że muszę mu o tym powiedzieć. Natychmiast.

- Ojcu?

- Tak.

- I myślisz, że on będzie mógł ci pomóc?

- Nie. - Nagle głos Marcie stał się chłodny i wyraźny. - Muszę go ostrzec.

Nora Cox znowu się zdziwiła.

- Ponieważ jest żonaty?

W oczach Marcie ponownie stanęły łzy.

- Boże, jest o wiele gorzej... - szepnęła.

Cox objęła ją ramieniem.

- Co może być jeszcze gorszego?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Delikatnie wstała i zaczęła zdejmować swoje niebieskie dżinsy z haczyka.

Papierowy szlafrok upadł na podłogę. Marcie była tak szczupła, że Cox zobaczyła - albo tak się jej wydawało - pierwsze maleńkie zaokrąglenie na jej brzuchu.

Stojąc nago, przyjrzała się swojemu ciału.

- Błagam... niech im pani nie mówi.

Nora Cox stwierdziła, że prawie już postanowiła, iż to zrobi. Ale powiedziała tylko:

- Wyniki laboratoryjne przyjdą dopiero za dzień lub dwa.

Kiedy Marcie skuliła się w sobie, lekarka wzruszyła się jej niedolą.

- Powiem mu dziś wieczorem - oznajmiła dziewczyna.

## CZTERY

Po lunchu Tony zaczął zadawać pytania świadkowi oskarżenia.

Sprawa była delikatna: doktor Cox współczuła ofierze, a przysięgli w tym momencie i tak nie sympatyzowali z Samem Robbem. Przed adwokatem leżało spore wyzwanie. Musiał tak poprowadzić przesłuchanie, by nie wzbudzić dodatkowej niechęci do swojego klienta.

Zaczął swobodnie, z rękami w kieszeniach, łagodnym tonem.

- O ile dobrze pamiętam, znała pani Marcie Calder od dobrych dwunastu lat. Jak by ją pani określiła?

Cox zawahała się.

- Grzeczna, cicha. Powiedziałałabym, zamyślona.

Tony skinął głową i odczekał chwilę. Jego sztuczka polegała na tym, by każde kolejne pytanie wydawało się spontaniczne, by stworzyło pozory, że on i ławnicy razem odkrywają prawdę.

- Czy nie uderzyło pani, że Marcie jest osobą, która wszystko zachowuje dla siebie?

Kobieta zmarszczyła brwi.

- To by było tylko wrażenie.

- Ale na podstawie tego, co pani widziała...

Doktor Cox przyjrzała się mu w zamyśleniu.

- No cóż, z pewnością była ostrożna, gdy mówiła o tym doświadczeniu seksualnym - odparła.

Tony przyłożył palec do ust.

- A jeśli chodzi o ciężę, była też bardzo przerażona, nieprawdaż?

- Tak.

- I samotna?

Cox niechętnie skinęła głową.

- Tak mi się zdawało. - Pierwszy raz przybrała asekurancki ton. - Tylko dlatego podzieliłam się z



nią moim doświadczeniem.

Ale nie z tego powodu podzieliłaś się tą rozmową z ławą przysięgłych, pomyślał. Chodziło tu o coś, co Tony - były katolik - mógł chyba pojąć: o publiczny akt skruchy złożony przez kobietę dręczoną poczuciem winy - być może wywołanej jej przeszłością, a na pewno śmiercią Marcie Calder - w nadziei, że rodzice Marcie jej wybaczą. A to czyniło jego zadanie jeszcze trudniejszym.

- Jednak ona nie chciała nawet myśleć o aborcji, prawda?

Zapytana spojrzała na niego przelotnie i ze zdziwieniem, jakby była pewna, że jej odpowiedź może jedynie zaszkodzić Samowi Robbowi.

- To prawda, tak było.

- Oznajmiła też pani, że nie może sobie nawet wyobrazić, by mogła powiedzieć o tym swojemu ojcu. Tak naprawdę, to się go bała.

Cox rzuciła Calderom krótkie, przepaszające spojrzenie.

- Jeśli chodzi o ciążę, to tak. Lecz nie ma się tu czemu dziwić.

Tony stwierdził, że doktor Cox przeszkadzają wyrzuty sumienia. Ale jeszcze jedno czy dwa pytania i zrozumie, dokąd on zmierza.

- Jak określiłaby pani reakcję Marcie, gdy wspomniała pani o adopcji - pytał dalej.

Kobieta spuściła wzrok.

- Było tak, jak powiedziałam: wydawała się zupełnie nie przygotowana na przyjęcie tego dziecka. Nie sądzę, żeby miała czas, by to do końca zrozumieć.

- A więc, kiedy poprosiła pani, żeby uzmysłowiła sobie, co oznacza urodzenie dziecka, to też zdawało się ją przerażać?

- Tak.

Kątem oka Tony zauważył, że Stella Marz pochyla się do przodu i słucha ich ze zwiększoną uwagą. Powiedział delikatnie:

- Pozwoli pani, że podsumuję to, jak widziała pani stan umysłu Marcie. Sprzeciwiała się aborcji, bała się powiedzieć ojcu, nie była przygotowana na przyjęcie tego dziecka i brak jej było rady kogoś dorosłego. Czy to wszystko prawda?

Doktor Cox znów patrzyła spokojnie.

- Tak. Zasadniczo, tak.

- Czy mówiła, jakie ma wobec tego możliwości?

- Nie. - Głos lekarki zhardział. - Tylko tyle, że powie temu mężczyźnie.

Tony pochylił głowę na bok.

- A co powiedziała na temat małżeństwa?

Cox spojrzała na Sama Robba.

- Ten mężczyzna jest żonaty, panie Lord.

- Czy Marcie zasugerowała pani w taki czy inny sposób, że rozważała możliwość poślubienia go?

Doktor Cox otworzyła szerzej oczy.

- Mówiła, że jej ciąża może go zniszczyć...

- Ale czy wykluczyła, otwarcie lub przez sugestię, możliwość poślubienia tego lub jakiegokolwiek innego mężczyzny?

- Sprzeciw - odezwała się Stella. - To pytanie jest bezpodstawne. Co świadek może wiedzieć na temat możliwości, o której Marcie Calder nigdy nie wspomniała?

- Właśnie o to chodzi - powiedział Tony do Karoly'ego. - To jest pytanie otwarte.

Karoly wyduł wargi. Tony zaczynał dostrzegać, że sędzia ma dar sugerowania, iż jego praca jest cięższa, niż to było w rzeczywistości. Wydawało się też, że nie panował nad sytuacją. Zwrócił się w stronę Cox i rzekł:

- Może pani odpowiedzieć.

Ta z irytacją wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, co - i czy w ogóle - Marcie myślała o małżeństwie...

- Ani też o tym, jaki będzie jej stan emocjonalny, kiedy nie będzie miała również tej możliwości?

Cox założyła ręce na piersiach.

- Nie widzę powodu, by uznać, że Marcie traktowała to jako jedną z możliwości.

Tony się z nią nie sprzeczał.

- A jednak była przerażona.

- Tak.

Adwokat zbliżył się do niej o krok. Zapytał łagodniejszym tonem:

- I zagubiona?

Poczuł, że przysięgli go obserwują. Stella zareagowała szybko.

- To pytanie jest beznadziejnie niejasne, Wysoki Sądzie. Co to znaczy „zagubiona”?

Tony obrócił się w kierunku Stelli.

- Och, myślę, że doktor Cox dobrze to wie. Ale postawię to pytanie inaczej. - Zwracając się do lekarki, spytał: - Czy miała pani kiedyś pacjenta, który popełnił samobójstwo?

Stella natychmiast wstała z miejsca.

- Sprzeciw! - zawołała. - To nie ma związku ze sprawą.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Tony do Karoly'ego. - To dotyka sedna mojej linii obrony.

Karoly z wolna skinął głową.

- Może pani odpowiedzieć - rzekł do doktor Cox.

Twarz lekarki stężała.

- Jeśli sugeruje pan...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - przerwał jej adwokat.

Spojrzenie kobiety powiedziało mu, że czuła się schwytana w sidła.

- Tak. Miałam. Jak pan zapewne wie.

Tony skinął głową.

- Proszę poinformować ławę przysięgłych, ilu pacjentów to dotyczy?

- Dwóch.

- Dwóch nastolatków, ściśle mówiąc. Lat piętnaście i szesnaście.

Cox skrzywiła się.

- Tak.

- Czy domyśla się pani, dlaczego odebrały sobie życie?

- Wiem tylko to, co przeczytałam w gazetach. Niestety.

Tony przechylił na bok głowę.

- Czy prawdą jest, że widziała pani jedną z tych dziewcząt, Beverly Snowden, z grubsza biorąc, trzy tygodnie przed jej śmiercią?

- Tak. - Jej głos brzmiał teraz obojętnie. - Ale nie miałam o tym pojęcia. Szczerze mówiąc, wyglądała całkiem normalnie.

- Bardziej normalnie niż Marcie Calder?

- Sprzeciw! - krzyknęła Stella. - Obrona nakłania świadka do spekulacji.

- Czy to prawda, że popołudniem, tego feralnego dnia, którego umarła Marcie Calder, jej nastrój był nader chwiejny? - poprawił się Tony.

- To prawda. - Nora Cox patrzyła mu prosto w oczy. - Ale w Kościele katolickim samobójstwo to grzech. Tak samo jak aborcja.

Tony poczekał, aż ta odpowiedź zapadnie wszystkim w pamięć.

- Ale pani była katoliczką - powiedział łagodnie. - Jeśli dobrze pamiętam poranne zeznanie.

W oczach Cox znowu pojawiła się niechęć.

- Tak, byłam katoliczką.

- I podzieliła się pani z Marcie swoim osobistym doświadczeniem, ponieważ martwiła się pani o nią, zgadza się?

- Tak. Ale martwiłam się o to, że Marcie skończyłaby ze swoim życiem w sensie przenośnym, a nie dosłownym. Skoro wierzyła, że płód to życie, jak mogłaby zabić i płód, i siebie?

- To doskonałe pytanie. Jako lekarz wie pani, jakie są proporcje liczby samobójstw wśród nastolatków w stosunku do reszty społeczeństwa?

Cox zawahała się.

- Są dosyć wysokie.

- A decyzja o popełnieniu samobójstwa może przyjść zupełnie nagle, prawda? Tak jak w wypadku Beverly Snowden.

- Tak.

- Dzieje się tak dlatego, że gdy dziewczynę spotka jakieś traumatyczne przeżycie, nie ma go z czym porównać, nie ma doświadczenia.

- Tak zakłada literatura.

- Poza tym nastolatki całkiem łatwo się wyobcowują, prawda? Zachowują swoje cierpienie dla siebie.

- Powtarzam raz jeszcze, że nie jestem ekspertem w tych sprawach. Ale na to właśnie wskazuje literatura.

- Czy sugerowała pani Marcie Calder, że powinna skorzystać z porady psychologa?

Doktor Cox wyglądała teraz na urażoną.

- Nie.

Tony milczał przez chwilę, pozwalając, by ławnicy sobie to zakodowali.

- Czyż Marcie Calder nie potrzebowała profesjonalnej pomocy przynajmniej tak samo jak aborcji?

Cox wpatrywała się w niego, miotając się między zwątpieniem w siebie a otwartą niechęcią.

- Sprzeciw! - zawołała Stella Marz, podchodząc szybko do sędziego. - Doktor Cox jest pediatrą. Nie ma specjalizacji z psychologii dziecięcej. Wysiłki pana Lorda, które zmierzają do obarczenia innych odpowiedzialnością za tę tragiczną śmierć, są obraźliwe.

Tony starał się nie podnosić głosu.

- Tak samo jak próba obwinienia jedynie Sama Robba o coś, co może być tragicznym rezultatem ciągu zdarzeń, w których przynajmniej kilku dorosłych, niezależnie od ich intencji, bardzo zawiodło Marcie Calder. Przysięgli mają prawo usłyszeć...

- Wystarczy - wtrącił się z opóźnieniem Karoly. - Oboje. - Zwracając się w stronę Tony'ego z nagłym uporem słabego człowieka, dodał: - Doktor Cox nie jest psychologiem dziecięcym. Pana pytanie wykracza poza zakres jej kompetencji.

Oczywiście, że wykracza, pomyślał Tony. Ale powiedział tylko z pewnym szacunkiem:

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Tak naprawdę, był bardzo wdzięczny Karoly'emu: te powyrywane z kontekstu wypowiedzi stanowiły w gruncie rzeczy jego oświadczenie wstępne i zasugerowały ławie przysięgłych, której część stanowili katolicy, że doktor Cox udzieliła tej wrażliwej i zagubionej dziewczynie niewłaściwej pomocy. Choć Sam mylił się co do przyczyn, miał rację, jeśli chodzi o efekt końcowy: z Leo Karolym można było współpracować.

Tony ponownie zwrócił się do lekarki.

- Jak zauważył sędzia Karoly, może to niewłaściwe z mojej strony zbyt koncentrować się na tym, jak wiem, bardzo smutnym doświadczeniu. Czy biorąc pod uwagę sprzeciw pani Marz, można powiedzieć, że nie potrafi pani sformułować - oczywiście, profesjonalnej - opinii dotyczącej tego, czy rozpacza, jaką zauważyła pani u Marcie Calder, mogła wpłynąć na popełnienie przez nią samobójstwa?

Tony poczuł, że stojąca obok niego Stella się waha. Tak obrócił jej sprzeciw, żeby Cox dała mu się złapać. Wykorzystał go, by zasugerować, że przekonanie doktor Cox, iż Marcie nie myślała o odebraniu sobie życia, było tak naprawdę bezpodstawne. Prokurator zrobiła to, co Tony uczyniłby na jej miejscu: zaufała lekarce.

Siedząca na miejscu dla świadków kobieta zapanowała nad swoimi emocjami.

- Mogę panu tylko powiedzieć, że jako laik nie brałam pod uwagę możliwości, iż Marcie odbierze sobie życie. Ze wszystkich tych powodów, które podałam.

Tony ze zrozumieniem skinął głową.

- Tak samo, jak nie przewidziała tego pani w wypadku Beverly Snowden.

- Nie. - Urwała, po czym zaczęła się bronić: - Ale Marcie zapewniła mnie, że ma kogoś dorosłego, z kim może porozmawiać.

Tony miał nadzieję, że wcześniej czy później doktor Cox udzieli mu takiej właśnie odpowiedzi.

- Zapytała pani, kim był ten dorosły?

Złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Tak.

- I co Marcie odpowiedziała?

- Chyba wcale nie odpowiedziała.

- Innymi słowy, unikała odpowiedzi.

Cox zmarszczyła brwi.

- Tego nie potrafię stwierdzić. Przejmowałam się czym innym.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, czy Marcie wyznała pani coś na temat natury jej związku z tym mężczyzną?

Cox patrzyła na niego zimno, z namysłem i odrobiną niesmaku.

- Nie.

Tony dostrzegł, że przygotowywała się na jakieś insynuacje. Lecz cała sztuka polegała na tym, by wiedzieć, kiedy się zatrzymać, a Tony musiał brać pod uwagę wrażliwość członków ławy przysięgłych. Powiedział uprzejmie:

- Dziękuję pani, doktor Cox. Nie mam więcej pytań.

Gdy siadł, zauważył, że kosmetyczka odprowadzała go wzrokiem. W jej spojrzeniu nie było wrogości, a zaskoczenie i zaciekawienie. Tony od razu zrozumiał, że zatrzymał się w odpowiednim momencie. Ale nie mógł się pozbyć obrazu Nancy Calder patrzącej na niego z niemal dotykającym bólem i złością.

Na korytarzu Sam chwycił go za ramię.

- Kurwa, to było kapitalne! Naprawdę ją dopadłeś. Obie -powiedział.

Stojący z boku Saul milczał. Wyglądało na to, że rozumie, iż Tony nie potrzebował i nie chciał takiego komplementu. Adwokat odpowiedział niemal delikatnie:

- Cieszyłem się, że mogę to zrobić dla ciebie. Ale musisz coś zrozumieć, mój drogi. I nie bierz tego do siebie. Właśnie poniżyłem przemiłą kobietę, a na dodatek wbiłem być może klin w małżeństwo Calderów. Zanim to się skończy, zrobię jeszcze daleko gorsze rzeczy. Może nadejdzie nawet taka chwila, kiedy ławnicy mnie znienawidzą, a jeśli tak się stanie, będzie po tobie. Tym się właśnie martwię. I to właśnie czuję. Robię to dla ciebie jako klienta i jako przyjaciela. Zazwyczaj to mi wystarcza, ale nie przepadam za tym. - Tony umilkł na chwilę i położył dłoń na ramieniu Sama. - Chciałem, żebyś to wiedział.

Sam spojrzał na niego z zażenowaniem, zrozumieniem i współczuciem.

- Rozumiem. Gdybym nie był tak cholernie przerażony, też bym tak czuł. Ale kiedy człowiek czeka tylko...

Głos uwiązł mu w gardle. Tony zobaczył na końcu korytarza Sue, która przyglądała się im z nachmurzoną miną.

- Idź, porozmawiaj z Sue i z dziećmi - zaproponował. - Bez względu na to, jakie to trudne. Przysięgli zauważają takie rzeczy.

## PIĘĆ

Czując się niewygodnie w swoim uszytym na miarę, niebieskim kostiumie, Janice D'Abruzzi kręciła się niespokojnie na miejscu dla świadków. Nie potrafiła spojrzeć na Calderów.

Stella Marz kazała dziewczynie powtórzyć to, co Marcie powiedziała jej o swoim starszym, żonatym kochanku, którego tożsamość obiecała ukrywać, a potem to, jak błagała koleżankę, by ta kłamała dla niej w noc jej śmierci. Wydawało się, że odpowiedzi Janice, niechętnie i pełne wstydu, poruszają przysięgłych, wypierając wątpliwości, które Tony zasiał w nich przy pomocy Nory Cox. Potem Stella zaczęła atakować linię obrony Tony'ego.

Była pewna siebie, lecz delikatna w obejściu, zupełnie jak starsza siostra.

- Czy Marcie kiedykolwiek sugerowała, że jest związana, w sensie uczuciowym lub seksualnym, z kimś oprócz tego mężczyzny?

Wydawało się, że taka myśl zaskoczyła Janice.

- Nie - odrzekła zdecydowanie. - To by było do niej niepodobne.

- Czy, o ile ci wiadomo, Marcie Calder miała jakieś doświadczenia seksualne?

Tony zdawał sobie sprawę, że ma tu powód, by zgłosić sprzeciw, może nawet dwa albo trzy. Dziewczyna spojrzała chyłkiem na Calderów.

- Marcie powiedziała mi, że ten był jej pierwszym. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o seksie i tak naprawdę ona nic o tym nie wiedziała.

- Dlaczego tak twierdzisz?

Janice spuściła wzrok.

- Chciała wiedzieć różne rzeczy... to znaczy, co ludzie robią, tak dokładnie.

- Powiedziała ci, dlaczego chce się tego dowiedzieć?

- Tak. - Janice spojrzała na Sama z nagłą, niespodziewaną złością. - Marcie chciała zadowolić tego faceta. On tyle wie, tak mi mówiła, a ona go kocha. Nie chciała, żeby przestał się nią interesować.

Ku uldze Tony'ego, Sam nie przestawał patrzeć na Janice. Lecz adwokat wyczuwał zniecierpliwienie przyjaciela: jego obrońca nie zgłosił sprzeciwu, kiedy Stella wykorzystała Janice, aby potwierdzić zeznanie Nory Cox o uwiedzionej przez dorosłego nastolatce monogamistce, którą



pierwszy stosunek doprowadził do ciąży i śmierci. Tony napisał w swoim notatniku: „To było twoje dziecko, nie pamiętasz? Po co im o tym przypominać?”

Patrząc na kartkę, Sam z wolna skinął głową.

- Czy Marcie kiedykolwiek mówiła, że chce za niego wyjść?

- Wykluczone. - Zdawało się, że Janice stara się zapanować nad sobą. - Mówiła tylko, że żyją w swoim świecie i że tak ma pozostać.

Stella spojrzała w zamyśleniu na świadka.

- Jak sądzisz, dlaczego Marcie musiała się spotkać z tym mężczyzną owej nocy, kiedy umarła?

Tym razem Tony nie miał już wyboru.

- Sprzeciw: - Zwrócił się do sędziego Karoly'ego. - Pozwoliłem, by pani prokurator wydobywała z tego świadka dowody ze słyszenia i domysły: co do doświadczenia seksualnego Marcie; co do jej związku z mężczyzną, którego nazwiska pani D'Abruzzi nawet nigdy nie poznała; co do tego, co tych dwoje mówiło i czuło, kiedy byli sami. Ale ostatnie pytanie sugeruje, że Janice D'Abruzzi potrafiła czytać w myślach Marcie Calder i może teraz powiedzieć ławie przysięgłych, bez żadnego oparcia na faktach, dlaczego Marcie Calder zrobiła, co zrobiła, kiedy pani D'Abruzzi wprowadzała w błąd jej rodziców. Gwoli sprawiedliwości, Wysoki Sądzie, wystarczy już.

Stella Marz nie wyglądała na zbitą z tropu.

- Wysoki Sądzie, proszę upomnieć pana Lorda, by nie traktował sprzeciwów jako pretekstu do wygłaszania mów do ławy przysięgłych. Ma prawo wypowiedzieć jedynie trzy słowa: „Sprzeciw - brak podstaw” - powiedziała łagodnym tonem. - Jeśli o to chodzi, Janice D'Abruzzi złożyła zeznania na temat wielu rozmów dotyczących motywów postępowania Marcie Calder. Zeznała, że Marcie obawiała się, iż to zniszczy życie jej kochanka, że starała się go chronić...

- A propos wygłaszania mów... - wtrącił Tony.

- Tak. - Karoly jak zwykle zareagował zbyt późno. - Proszę obie strony o ciszę. - Umilkł i wydał usta. - W tej sytuacji uważam, że pani Marz ma prawo usłyszeć opinię pani D'Abruzzi.

Siadając, Tony mruknął do Saula:

- To się nadaje do sądu apelacyjnego.

Ale nie zmniejszyło to jego zaangażowania i irytacji, która wzrosła jeszcze, gdy Stella Marz z zawodową słodyczą przedłużała tę chwilę, zwracając się do protokolanta:

- Czy może pan odczytać moje ostatnie pytanie, to przed sprzeciwem pana Lorda?

Protokolant, krępy mężczyzna w średnim wieku i z rzednącą kasztanową czupryną, przekreślił rolkę papieru w swojej maszynie i zmrużył oczy, by odczytać symbole stenograficzne.

- Aha, tutaj - mruknął i monotonnym głosem, który w jakiś sposób jeszcze podkreślił srogość pytania, przeczytał: - „Jak sądzisz, dlaczego Marcie musiała się spotkać z tym mężczyzną owej nocy, kiedy umarła?”

Wszyscy ławnicy przenieśli wzrok z protokolanta na Janice D'Abruzzi.

- Żeby go ostrzec - odparła dziewczyna. - Żeby wiedział, że ma kłopoty. - Pierwszy raz głos się jej załamał. - Marcie była taka dobra. Chciała go chronić...

Na sali zapanowała absolutna cisza.

- Dziękuję - powiedziała cicho Stella i odwróciła się do Tony'ego. - Świadek należy do pana, panie Lord.

Tony stanął przed biurkiem obrony. Nie chciał, by przysięgli widzieli, że osacza nastolatkę, mogłoby to bowiem w nieprzyjemny sposób przypominać jego klienta.

- Dla formalności zapytam, czy prawdą jest, że Marcie nie powiedziała ci, dlaczego chciała się spotkać z tym nieznanym mężczyzną? Czy więc twoja ostatnia odpowiedź to tylko domniemanie? - zaczął łagodnym tonem.

Janice przyjrzała się mu ostrożnie.

- Tak myślałam. Ona mi tego nie powiedziała - odparła.

- Tak naprawdę nie powiedziała ci też, że jest w ciąży.

Dziewczyna dotknęła na chwilę kołnierzyka swojego kostiumu.

- Nie.

- Ale, o ile dobrze pamiętam naszą poprzednią rozmowę, spytałaś Marcie, czy „ma kłopoty”, nieprawdaż?

Na twarzy Janice pojawiła się nieufność.

- Tak.

- Dlaczego ją o to spytałaś?

- Bo to ja bałam się, że zaszła w ciążę.

Tony skinął głową.

- I biorąc pod uwagę twoją przyjaźń z Marcie, uważasz, że cię zrozumiała?

- Sprzeciw! - Stella zareagowała natychmiast. - Skąd ten świadek może wiedzieć, co rozumiała Marcie?

Tony wciąż mówił łagodnie, jak przyjaciel, który tłumaczy coś przyjaciółce.

- To naprawdę nie jest problem, prawda, Stello? - Zwrócił się do Leo Karoly'ego. - Wkroczyliśmy na tę ścieżkę, Wysoki Sądzie, kiedy pani Marz zapytała panią D'Abruzzi, dlaczego Marcie Calder chciała się spotkać z tym mężczyzną. Za pańskim pozwoleniem, chciałbym uzasadnić moje pytanie.

Karoly zawahał się.

- Proszę kontynuować, panie Lord.

Tony zobaczył, że Stella Marz patrzy na niego z irytacją. W ułamku sekundy zredukował ją z cnotliwego prokuratora do popełniającej błąd koleżanki, która wraz z nim poszukuje prawdy. Zwracając się do Janice, zapytał:

- Czy ty i Marcie tak samo rozumiałyście, co to znaczy „mieć kłopoty” w odniesieniu do dziewcząt i facetów?

Przysięgli na pewno rozumieli to jednakowo, Tony nie miał co do tego wątpliwości. Janice milczała, zagryzając wargi.

- To znaczyło zajść w ciążę - odpowiedziała w końcu. - Kilku dziewczynom w szkole już się to zdarzyło.

Tony skinął głową.

- Patrząc na to z perspektywy czasu, Marcie nie powiedziała ci prawdy, tak? - ciągnął łagodnym tonem.

Janice spojrzała na niego z urazą.

- Marcie nigdy nie kłamała. Może nie była pewna - odpaliła.

- Ale skoro się martwiła, to czy nie zwierzyłaby się tobie?

Mając do wyboru dwie złe odpowiedzi, nastolatka spuściła wzrok.

- Nie wiem.

- W gruncie rzeczy z wyjątkiem tego, co Marcie zdecydowała się ci powiedzieć, nie wiesz nic na temat jej związku.

Pełne usta dziewczyny utworzyły linię znamionującą upór.

- Wiem tylko, że znałam Marcie.

- Naprawdę? - zapytał Tony łagodnym tonem. - Czy oprócz chęci chronienia tego mężczyzny, kimkolwiek on jest, Marcie podała ci jakikolwiek inny powód, dla którego chciała utrzymać swój romans w tajemnicy?

Janice znieruchomiła. Odpowiedziała przez ściśnięte gardło:

- Nie chciała, by jej ojciec się dowiedział, że uprawia seks.

- Czy nie dlatego między innymi ją wtedy kryłaś?

Gdy przypomniano jej współudział, dziewczyna skuliła się nieco.

- Tak.

- A czy Marcie nie mówiła ci, że chce, aby jej ojciec, cytując: „W dalszym ciągu wierzył w Marcie Dziewicę”, koniec cytatu?

Tony wiedział, że było to zabójcze pytanie: choć wyobrażał sobie, że nastolatki rzucały tę uwagę jako dowcip urażonych i niby--prześladowanych, w sędzie sugerowała ona, iż Marcie była zupełnie inną osobą. Ale Janice zachowała się tak, jak kiedyś zachowywał się Johnny D’Abruzzi: jego córka była uczciwą dziewczyną i nie chciała kłamać. Odpowiedziała cicho:

- Marcie się go bała, dobra?

- Czy twoim zdaniem Marcie bała się tego wieczoru? Może nawet była zrozpaczona?

Dziewczyna przełknęła ślinę. Tony widział, jak przypomina sobie Marcie.

- Tak. Płakała...

Obrońca udał, że jest zdziwiony.

- Czy kiedykolwiek przedtem widziałaś, żeby Marcie tak się zachowywała? Żeby była tak zrozpaczona i wystraszona?

Janice w milczeniu potrząsnęła głową, po czym przypomniała sobie, że trzeba odpowiadać na głos.

- Nie. Nie aż tak.

- Kiedy powiedziałaś pani Marz, że twoim zdaniem Marcie nie chciała wychodzić za mąż, opierałaś swoje spostrzeżenie na tym, co Marcie mówiła przed tą nocą, mam rację?

- Tak.

Tony przechylił głowę na bok. Zapytał cicho:

- Czy według ciebie zajście w ciążę mogło skłonić Marcie do zmiany zdania na temat małżeństwa?

Stella znowu podniosła się z miejsca.

- Sprzeciw. Obrona żąda od świadka spekulacji.

Tony spojrział na nią ze zdumieniem.

- Och, Stello... - mruknął, po czym odwrócił się do sędziego. - Tego typu pytania już przerabialiśmy, Wysoki Sądzie. To pytanie mieści się w tym, na co sąd zezwolił wcześniej oskarżeniu.

Tony wiedział, że wszystko to było niewłaściwe. Ale tylko obrona mogła zaskarżyć decyzję sędziego w sądzie apelacyjnym, co mogłoby ośmieszyć Karoly'ego. Saul zapewnił Tony'ego, że Leo Karoly obawiał się tego jeszcze bardziej niż większość słabych sędziów. Z niezwykłą jak na niego energią sędzia odpowiedział:

- Sprzeciw oddalony.

Tony poprosił protokolanta, żeby odczytał pytanie, odpłacając się w ten sposób Stelli pięknym za nadobne.

- „Czy według ciebie zajście w ciążę mogło skłonić Marcie do zmiany zdania na temat małżeństwa?”

Janice spojrzała na Calderów, biorąc ich pod uwagę przy udzielaniu tej odpowiedzi.

- Mogło.

Tony ruszył naprzód i zatrzymał się kilka kroków od dziewczyny. Podniosła na niego wzrok. W jej spojrzeniu było mniej przestachu niż niepewności. Powiedział do niej cicho:

- Czujesz się winna, prawda? Czujesz się winna, że wprowadziłaś w błąd matkę Marcie?

Pierwszy raz w oczach nastolatki stanęły łzy. Głos jej drżał.

- Marcie była moją najlepszą przyjaciółką...

Teraz współczucie Tony'ego nie było udawane: wiązało się z jego bolesnymi wspomnieniami dotyczącymi Alison Taylor.

- I czujesz się tak, jakbyś była w jakimś sensie odpowiedzialna za jej śmierć.

Janice zamrugała oczami.

- Tak.

Tony nie musiał się już zastanawiać.

- Więc teraz chcesz pomóc ukarać osobę, która twoim zdaniem jest za to bezpośrednio odpowiedzialna.

Nastolatka odwróciła się i odpowiedziała cicho:

- Tak.

- A ponieważ prokurator hrabstwa oskarżył Sama Robba, wierzysz, że to właśnie on.

- Tak. - Janice odruchowo poprawiła spódniczkę. - Tak.

Tony odczekał chwilę.

- Nim Sam Robb został oskarżony, nie myślałaś, że to on był kochankiem Marcie, prawda?

Dziewczyna powoli podniosła na niego wzrok.

- Nie.

Adwokat podszedł jeszcze bliżej. Spokojnym głosem powiedział:

- Tak naprawdę myślałaś, że był to ktoś inny.

Jej oczy znieruchomiały. Z pewnym zafascynowaniem Tony obserwował, jak dokonywała wyboru. Ale Janice D'Abruzzi była uczciwą dziewczyną.

- Tak. Myślałam, że to ktoś inny - przyznała.

Skinął szybko głową.

- Nie mam więcej pytań - powiedział cicho i znalazł niewielką pociechę w jej pełnym ulgi spojrzeniu.

Gdy sędzia odroczył rozprawę do następnego dnia, a Sam cicho podziękował Tony'emu i odszedł z rodziną, prawnik zbierał swoje dokumenty na biurku obrony. Stella Marz zatrzymała się przy nim w drodze do wyjścia.

- Uczę się, Tony - powiedziała półgłosem. - Uczę się. I proszę cię, nie mów do mnie po imieniu podczas otwartego posiedzenia.

Adwokat rozejrzał się wokoło.

- Masz rację. A przy okazji, czy nie sądzisz, że moglibyśmy ograniczyć trochę powoływanie się na dowody ze słyszenia? Jest oczywiste, że twój przyjaciel Karoly nie ukróci tego proceduru, a samoobrona trochę mnie męczy.

Owalne oczy Stelli zwęziły się, gdy uśmiechnęła się do niego lekko.

- Zastanowię się nad tym - odparła i wyszła.

Tego wieczoru Tony jadł z Saulem kolację w restauracji przerobionej z dawnego nadrzecznego magazynu. Na drugim brzegu jaśniały w mroku żółte światła Steelton.

Wbrew zwyczajowi, którego przestrzegał podczas procesów, zamówił martini.

- Jeden dzień, a już jestem zmęczony - powiedział do Saula.

Ravin delectował się butelką czerwonego wina i największym befsztykiem z polędwicy, jaki Tony widział w życiu.

- Stres z powodu wtrącającego się klienta? - zapytał. - A może obrzydzenie na myśl o zbrodni?

Tony napił się martini, kontemplując leniwie pół główki sałaty polanej jasnopomarańczowym francuskim sosem.

- Występowanie w obronie najstarszego przyjaciela oskarżonego o popełnienie morderstwa to więcej, niż potrzebuję.

Wzrok Saula zdradzał zaciekawienie.

- Wnosisz o przesłuchanie Sama? Na to mi wygląda.

Tony milczał przez chwilę, patrząc na światła.

- Ja tylko biorę pod uwagę taką możliwość, to wszystko. Jednym z moich atutów jest to, że Stella nie ma pojęcia, co tak naprawdę Sam może powiedzieć. Ale nie, nie narażę go na to, chyba że uznam to za konieczne.

Zdawało się, że Saul mu się przygląda, a potem z wolna skinął głową.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny, Tony. Twój najstarszy przyjaciel się przecenia.

## SZEŚĆ

W szary piątkowy poranek Stella Marz wezwała na swego trzeciego świadka Nancy Calder.

Kobieta miała na sobie czarną suknię, która podkreślała jej bladość i wymizerowaną twarz z czarnymi obwódkami i workami pod oczyma. Zdaniem Tony'ego wyglądała dziesięć lat starzej niż wtedy, gdy poznał ją tydzień po śmierci Marcie. Jej głos był zmęczony i beznamiętny.

Przez pierwsze pół godziny prokurator pomagała Nancy Calder przedstawić Marcie członkom ławy jak żywą. Z dziwną dumą, przerywaną chwilami żalu, Nancy opowiadała o tym, jak słodka i uczciwa była jej córka. Mówiła o jej równych stopniach i niezachwianej wierze. Nawet kiedy dzieliła się z przysięgłymi tym, jak Marcie uwielbiała treningi biegania, nie patrzyła na Sama.

Sam z kolei patrzył na nią ze szczerym chyba współczuciem. Za jego plecami siedziała Sue; na jej twarzy widać było pełen udręki wyraz współczucia matki, która widzi, jak inna matka stawia czoło najgorszemu koszmarowi rodziców: przedwczesnej śmierci dziecka. Jednakże dla Tony'ego ten obraz nieskazitelnej, niemal świętej dziewczyny, który malowała Nancy Calder, był mniej przekonujący i mniej poruszający niż wizerunek złapanej w sidła i przerażonej nastolatki, który przedstawiły Nora Cox i Janice D'Abruzzi.

Wydawało się, że Stella to wyczuwa.

- Czy był taki czas, kiedy zachowanie Marcie się zmieniło? -zapytała.

Nancy Calder spojrzała szybko na swego męża. Zgarbiony, z rękami założonymi na piersi, Frank Calder siedział, nie patrząc na nic konkretnego. Tony widział w tym spojrzeniu i wstyd, i żal, i złość. Jego wrażenie, że coś pękło w tym małżeństwie i w tym mężczyźnie, jeszcze się pogłębiło.

- Zmieniło się, tak. - W głosie Nancy Calder słychać było urazę. - Jakies dwa miesiące przed tym, jak... jak umarła.

- Jak opisałyby pani tę zmianę?

Kobieta milczała przez chwilę, jakby potrzebowała czasu, żeby przypomnieć sobie życie córki i podać przykłady.

- Wydawała się czymś pochłonięta, rozmarzona, ale w taki niezdrowy sposób. Mówiliśmy coś do niej, na przykład podczas kolacji, a ona nie chciała nas słuchać. Tylko troszkę ruszyła jedzenie... - Kobieta przypomniła sobie to wszystko i trudno jej było mówić. - To było tak, jakby wycofywała się z naszej rodziny, z naszego życia. Zaczęła więcej czasu spędzać w swoim pokoju. Mówiła, że odrabia lekcje, ale jej oceny stopniowo się pogarszały z piątek na czwórki, a potem z czwórek na trójki. Prawie nas nie zauważała... nie tylko Franka i mnie, ale również swoich sióstr, Meg i Mary.



Zawsze tak bardzo się nimi zajmowała... a potem wcale. Widziałam, jak bardzo je to bolało...

Siedzący obok Tony'ego Sam wziął głęboki wdech. Przysięgli słuchali w napięciu, zaintrygowani tajemnicą upadku Marcie Calder. Prokurator zapytała delikatnie:

- Czy ta zmiana zbiegła się ze zmianą sposobu, w jaki spędzała czas?

- Tak. - W głosie Nancy Calder pojawiła się gorycz. - Zaczęło się to krótko po tym, jak trener Robb poprosił ją, by zostawała po lekcjach. Na dodatkowe treningi, tak mówiła.

Wyprostowała się na krześle, starała się nie patrzeć w kierunku Sama.

- Czy znała pani Sama Robba? - zapytała Stella.

- Och, tak. Poznałam go, gdy Marcie zaczęła biegać. - Znowu mówiła beznamiętnym głosem. - Był bardzo czarujący, pani Marz. Ostatni raz widziałam go dwa tygodnie przed śmiercią córki. Pofatygował się, żeby mi powiedzieć, jak c i ę ż k o Marcie trenowała po lekcjach i że to naprawdę przynosi owoce. Trenowanie Marcie to przyjemność, powiedział, prawdziwa p r z y j e m n o ś ć... - Nagle w oczach Nancy Calder pojawiło się poczucie straty i żal, przez co jej głos zaczął drżeć. - Już wcześniej myślałam, że Marcie powinna rzucić bieganie, że to może źle wpływać na jej oceny, na jej kondycję, brak apetytu i tym podobne. Ale kiedy trener Robb mi to powiedział, pomyślałam: Dlaczego mam pozbawiać tego Marcie? Jest w tym dobra i szczeni się tym...

Nie mogła mówić dalej. Zakryła twarz dłońmi i zapłakała bezgłośnie.

Przerwa, pomyślał Tony, ale gdy Karoly spojrział na Stellę, ta pokręciła głową. Po chwili matka dziewczyny wyprostowała się. Była napięta, lecz doszła do siebie. Prokurator zapytała ją ostrożnie:

- Proszę opowiedzieć o nocy, kiedy Marcie zniknęła.

Gdy matka dziewczyny mówiła, starając się nie wybuchnąć płaczem, nastolatka ponownie ożyła w wyobraźni Tony'ego.

Siedzieli przy kuchennym stole, w mocnym świetle lampy: Marcie, jej rodzice i dwie jej siostry.

Dziewczyna nic nie jadła, z roztargnieniem grzebała tylko w potrawie, natomiast Meg i Mary, które ją uwielbiały, patrzyły na siostrę jak na kogoś obcego. Kolacje coraz bardziej zdominowała próżnia, jaką wytworzyła zmiana w Marcie i związane z nią milczenie.

Aby przerwać ciszę, Nancy zapytała dwunastolatkę:

- Jak było na lekcji tańca? Tańczyłaś z kimś, kogo lubisz?

Meg, która nie lubiła tracić czasu, zmarszczyła nos.

- Chłopcy zachowują się tak dziwnie. Jesse, który podobno mnie lubi, poprosił kolegę, żeby mi o tym powiedział. - Jej głos był pełen niesmaku. - Ten kolega włożył białe skarpetki do garnituru.

Dziewczyna podniosła wzrok znad talerza i spojrzała na Meg z co najwyżej umiarkowanym

zainteresowaniem. Nancy brakowało tej Marcie, która drażniła się z Meg, bardziej się przez to z nią bratając, niż drąc koty. Ale ta Marcie milczała.

- Co się stało? - zapytał nagle Frank Calder.

Nancy zobaczyła, jak Meg zamrugwała, a potem spostrzegła, że jej mąż zwraca się do swojej najstarszej córki. Marcie rzuciła mu spojrzenie bez wyrazu.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała.

To było tak typowe dla nowej Marcie: odpowiedź, która nie była reakcją na pytanie ojca, za to go rozdrażniała. Marcie - jakby chciała, żeby umilkł zupełnie - wzięła do ręki widelec i pokazując ostentacyjnie, że zmusza się do jedzenia, ugryzła kilka razy szparagi. Gdy Nancy Calder spojrzała na męża, błagając, by dał jej spokój, czuła, jak Meg i Mary patrzą to na ojca, to na nią.

Frank powiedział spokojnie do Marcie:

- Nie o to mi chodzi.

Dziewczyna znowu na niego spojrzała.

- Muszę napisać referat - odparła. - O kobietach, które pomogły zmienić Amerykę. Jestem już spóźniona. - W jej głosie słychać było szczyptę sarkazmu, echo jej sprzeczek z ojcem. Jakby bojąc się go rozgniewać, Marcie szybko zwróciła się do matki: - Będę nad nim pracować u Janice. Pani Bates mówi, że możemy przygotowywać referaty parami...

- Znasz zasady - przerwał jej Frank Calder. - Żadnych wyjść z domu w dni nauki, chyba że z poważnych powodów. Poza tym, młoda damo, twoje oceny się pogorszyły...

- Błagam. - Marcie prosiła matkę. Emocje, które Nancy Calder dostrzegła w jej oczach, były zadziwiające. - To ważne...

Nancy czuła, że dzieje się coś złego. Lepiej jednak będzie porozmawiać z Marcie sam na sam, kiedy już wróci. Nie patrząc na męża, powiedziała:

- Dobrze, Marcie. Ale oczekuję, że wrócisz przed dziewiątą trzydzieści...

- O dziesiątej, dobrze? - Marcie znowu wyglądała jak dziecko, z rozpaczliwym dziecięcym brakiem perspektywy. - Błagam...

Może to nic takiego, pomyślała Nancy. Może to tylko odwieczna walka z zasadami i wyznaczonymi godzinami.

- Dobrze - zgodziła się, po czym przypomniała sobie o mężu i dodała: - Czyli dziesiąta, a nie dziesiąta jeden...

Frank Calder wstał od stołu, w milczeniu odniósł talerz do zlewu i wyszedł.

Widząc, jak ojciec się wycofuje, Marcie powiedziała:

- Dziękuję, mammo.

I poszła po kurtkę, by wyjść, nim wróci ojciec. Nancy została sama z dwójką córek.

- Białe skarpetki to nie jest jeszcze najgorsza rzecz na świecie - zwróciła się do Meg.

Z salonu dobiegł głos Marcie:

- Cześć, mammo...

Nagle Nancy wstała.

- Zaczekaj - zawołała, nie wiedząc dlaczego.

Dziewczyna zamarła na progu. W kurtce, dżinsach i za dużej bluzie Lake City Lakers wyglądała na bardzo drobną. Matka popatrzyła na nią.

- Nie potrzebujesz książek? Albo przynajmniej papieru?

Marcie wyglądała na zaskoczoną, jakby to pytanie było absurdalne, aż wreszcie przypomniała sobie, co mówiła.

- Och, nie martw się. Janice ma wszystko, co będzie nam potrzebne.

Nancy spojrzała na swoją córkę, zastanawiając się, jak do niej dotrzeć. Wtem, ku jej zdziwieniu, Marcie zrobiła dwa kroki i pocałowała ją w czoło.

- Wróć - powiedziała i odeszła, zamykając za sobą drzwi, nim Nancy Calder zdążyła się odezwać.

- Gdybym wiedziała - kończyła łamiącym się głosem Nancy - pomogliśmy jej. Moglibyśmy wychować dziecko... - Urwała i pochyliła głowę.

Tony zauważył, że kosmetyczka ma łzy w oczach. Tak samo jak czarnowłosa dietetyczka, która miała dwie córki. Stella poprosiła delikatnie:

- Jeśli pani może, pani Calder, proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło później.

Nancy Calder powoli wzięła się w garść.

- Nie mogłam się doczekać dziesiątej. Zaczęłam się zastanawiać, patrzeć na zegarek... - Jej głos ponownie stał się beznamiętny. - Wreszcie zadzwoniłam do Janice D'Abruzzi. Kiedy mi powiedziała, że uczą się razem, a Marcie poszła do biblioteki, na jakiś czas mi ulżyło... Aż zrobiła się jedenasta, a Janice przyznała, że mnie okłamała. Wtedy Frank zadzwonił na policję.

W ostatnim zdaniu była przerażająca prostota: pełna wątpliwości matka, która wini samą siebie, i ojciec, który bierze wszystko w swoje ręce.

- Czekaliśmy całą noc. Około jedenastej trzydzięci następnego dnia przyszła do nas policja. Marcie nie żyła już od wielu godzin, leżała sama na zimnie i deszczu... - powiedziała cicho.

Tym razem Stella Marz poprosiła wreszcie o przerwę.

Po lunchu Tony zaczął swoją serię pytań.

Mógł jedynie wykazać się pewnym taktem: byłoby zbyt groteskowe, może nawet niebezpieczne, gdyby wyrażał współczucie w imieniu Sama Robba albo przepraszał za to, co - niezależnie od swoich uczuć - zamierzał zrobić.

- Co do tej zmiany w Marcie, czy próbowała pani z nią o tym porozmawiać? - zaczął.

- Tak. - Na moment zamknęła oczy. - Powiedziała, że coś mi się przywidziało.

- Uwierzyła jej pani?

- Nie.

- A o co pani zdaniem mogło chodzić?

Przez dłuższą chwilę Nancy Calder się wahała.

- Nie miałam pojęcia.

Teraz Tony milczał przez jakiś czas.

- Czy myślała pani, że chodzi o faceta, pani Calder?

Kobieta spojrzała na niego w milczeniu, nieco srogo.

- Ona się z nikim nie umawiała, panie Lord. Nie miałam powodu, by myśleć, że chodzi o „faceta”, jak to pan ujął.

Nie w tym sensie, pomyślał Tony.

- Ale na pewno bardzo się pani martwiła. Z tego, co pani mówi, wynika, że Marcie stała się apatyczna, straciła na wadze, nie miała apetytu, opuściła się w szkole i przestała się interesować swoją rodziną.

Nancy Calder wyprostowała się na krześle, jakby to wyliczenie ją zawstydziło.

- Jak powiedziałam, bardzo się zamartwiałam.

Tony'emu zdawało się, że łączy ich niewidzialna więź: jeśli pociągnie zbyt mocno, nic się zerwie. Włożył ręce do kieszeni.

- Czy wie pani, jakie są objawy depresji?

Jej oczy się rozszerzyły.

- Nie jestem psychologiem, panie Lord.

- Ale zastanawiała się pani, czy nie posłać Marcie do niego?

Dotknęła swego mostka i spojrzała szybko na męża.

- Tak, zastanawiałam się nad tym.

Tony podszedł bliżej. Zapytał cicho:

- Rozmawiała pani o tym z mężem?

- Sprzeciw. - Stella Marz szybko wystąpiła naprzód. - To nie ma związku ze sprawą. Nie rozumiem, jaki związek ma ta ingerencja w prywatne sprawy małżeństwa Calderów z tym, że oskarżony zabił ich córkę.

Tony wiedział, że prokurator ma rację, liczył jednak - jak poprzednio - że sędzia przymknie trochę oko.

- Pytanie dotyczy stanu umysłu Marcie Calder- wyjaśnił Karoly'emu. - Utrzymujemy, że jest całkiem prawdopodobne, iż Marcie Calder popełniła samobójstwo. W związku z tym zagadnienia dotyczące jej życia rodzinnego, zmiany w zachowaniu oraz obecność lub brak profesjonalnych porad mogą mieć bezpośrednie i tragiczne w skutkach znaczenie.

Sędzia Karoly niechętnie skinął głową.

- Sprzeciw oddalony.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Zadam to pytanie raz jeszcze. - Obracając się do Nancy Calder, Tony zauważył, że choć Stella wróciła na swoje miejsce, nie usiadła. - Czy pani mąż się sprzeciwił, gdy zasugerowała mu pani, że Marcie potrzebuje fachowej porady?

Palce raz jeszcze powędrowały ku mostkowi.

- Frank uważa, że rodzina powinna pomagać sobie sama i że psychologzy to „strata pieniędzy”. Nasze ubezpieczenie zdrowotne nie obejmuje porad psychiatrycznych.

Kątem oka Tony zauważył, że dietetyczka i jeden ze starszych przysięgłych, irlandzki właściciel magazynu, patrzą na Franka Caldera. Ale Nancy Calder - jakby obudziło ją echo jej odpowiedzi - patrzyła teraz na Tony'ego.

- Jeśli jednak sugeruje pan, że Frank albo ktokolwiek inny doprowadził naszą córkę do samobójstwa, to jest to obraza pamięci Marcie, jej wiary i siły charakteru.

Tony milczał jakiś czas, by przeczekać jej wybuch złości.

- Ale czy można powiedzieć, że między Marcie a jej ojcem nie układało się najlepiej?

Kobieta zmarszczyła czoło.

- Były między nimi sprzeczki, tak.
- Marcie uważała, że ojciec jest surowy, prawda?
- Czasami, tak. Myślę, że to nieuniknione.
- Czy w ogóle rozmawiała pani o tym z Marcie? To znaczy, nie w obecności ojca?

Nancy Calder wyglądała teraz na udręczoną, zmęczoną własnymi uczuciami.

- Próbowałam - odparła po chwili. - Powiedziałam, że pomogę jej z nim porozmawiać...
- Czy Marcie powiedziała pani albo przynajmniej zasugerowała, że nie wierzy, iż dotrzyma pani tajemnicy?

W oczach kobiety znowu stanęły łzy. W skrytości serca współczując jej, Tony zrozumiał, że dotarła do punktu, w którym świadek przestaje się opierać.

- Tak - odpowiedziała cicho.
- Ich nieporozumienia dotyczyły też seksu przedmałżeńskiego, nieprawdaż?
- Tak.
- A jakie było stanowisko pana Caldera?
- Że Marcie powinna zachować dziewictwo. - Podniosła głowę. - To było nasze stanowisko, panie Lord.
- Lecz to pani mąż, a nie pani, chciał wysłać Marcie do szkoły tylko dla dziewcząt?

Adwokat widział, jak Nancy Calder walczy z poczuciem lojalności.

- Tak - odpowiedziała w końcu.
- Czy powiedziała pani kiedyś mężowi, dosłownie albo w przenośni, że to z jego winy Marcie się od was oddała?

Na jej twarzy malowało się napięcie.

- Tak.
- Czy martwiła się też pani o to, że ponieważ oboje pracujecie, tracicie kontakt z córką?

Kobieta popatrzyła mu z wyrzutem w oczy. Jej spojrzenie oskarżało go o zdradę. Widział, że żałuje, iż w ogóle wpuściła go do domu, i sam też walczył z żalem.

- Tak - odparła ostatecznie. - Oboje uważaliśmy, że moja praca nie służy dziewczynom. - Jej

oczy raz jeszcze wypełniły się łzami. - Ale mieliśmy posłać całą trójkę do college'u...

Tony wiedział, że to wzruszająca odpowiedź.

- Rozumiem. A więc czuła pani, że psycholog mógłby dotrzeć do pani córki, kiedy pani się to nie udało?

- Może. Nie byłam tego pewna.

Tony umilkł na chwilę.

- Martwiła się pani o różne rzeczy, jednak nie o to, że ona może mieć romans z Samem Robbem, tak?

- Nie. - Jej głos ponownie zabrzmiał ostro. - Był jej trenerem lekkiej atletyki, zawsze był wesoły i podnosił ją na duchu. Nigdy nie przyszłoby nam nawet do głowy, że uprawiał z nią seks.

Szybko opuściła głowę, jak gdyby zdała sobie sprawę, że choć była to sroga odpowiedź, mogła również pokazać jej nieświadomość.

Tonem pełnym zrozumienia adwokat stwierdził:

- Rozumiem, że Marcie nie mówiła w domu o Samie Robbie inaczej jak o trenerze.

Przez moment wydawało się, że jest mu nawet wdzięczna.

- Nie. Nie mówiła.

Tony umilkł. Nie spieszył się, chcąc na powrót zwrócić uwagę przysięgłych na siebie.

- Czy oprócz ojca był jeszcze inny dorosły, do którego mogłaby żywić jakieś uczucia?

Ławnicy zamarli. Nancy Calder przez chwilę nie odpowiadała. Potem powiedziała z zimną krwią, podnosząc wzrok na adwokata:

- Ernie Nixon, nasz dyrektor od rekreacji. Był pierwszym trenerem Marcie.

Tony wiedział, że Stella ją na to przygotowała. Pełnym zdziwienia tonem spytał:

- Dlaczego pomyślała pani o panu Nixonie?

Kobieta się nachmurzyła.

- Nie wiem, co pan sugeruje, panie Lord. Ernie Nixon dawał mojej córce poczucie pewności siebie i była mu za to wdzięczna. Ja też.

- Czy wiedziała pani, że Marcie go odwiedzała?

Znieruchomiła.

- Oczywiście. Tak jak wiele młodych osób.

Tony przyglądał się jej przez chwilę, a potem spytał cicho:

- Chodzi mi o to, że bywała u niego w domu, sam na sam.

- Sprzeciw! - zawołała prokurator. - Brak podstaw. Żadne zeznanie tego nie dotyczyło.

To jej pierwszy poważny błąd, pomyślał Tony.

- Potrzebuję odpowiedzi - zwrócił się do Karoly'ego, celowo dodając niejasno - by wykazać dowód, rzecz jasna. Ale sądzę, że pani Marz sama zamierza wezwać pana Nixona.

Karoly wahał się. Nie mógł się zdecydować.

- Sprzeciw oddalony - zakomunikował Stelli Marz niemal przeproszającym tonem. - Ale jeśli okaże się, że brak tu podstaw, poproszę ławę przysięgłych, by nie brała tego zeznania pod uwagę.

Tony zwrócił się do Nancy Calder. Odrzuciwszy już poczucie winy i smutek, patrzyła na niego z niemal dziką złością.

- Czy była pani świadoma, że Marcie odwiedzała Erniego Nixona w jego domu, sama, kiedy nikogo więcej tam nie było? Nie raz czy dwa razy, ale często? - zapytał ponownie.

Kobieta założyła ręce na piersiach.

- Nie - odpowiedziała lapidarnie. - Jeśli to w ogóle prawda. Ale Ernie Nixon nie zabił Marcie.

Była to najlepsza odpowiedź, jakiej Tony mógł się spodziewać jako obrońca; najgorsza zaś dla tego Tony'ego, który zaprzyjaźnił się kiedyś z Erniem Nixonem. Powiedział cicho: „Dziękuję”, i odszedł, zostawiając Nancy Calder siedzącą na miejscu dla świadków - kobietę, która straciła kontakt z mężem i z córką, a której ostatnie słowa wisiały w powietrzu.

Tym razem Sam Robb wykazał się rozumem i mu nie dziękował.



## SIEDEM

Pot płynął po twarzy Sama Robba.

Stojąc przed nim, Tony kozłował z oczami utkwionymi w koszu. Nagle rzucił się obok niego, znalazł się pół metra z przodu, prześliznął pod koszem i rzucił piłkę nad swoją głowę prosto do siatki.

Sam upadł na cementowe boisko i wybuchnął radosnym śmiechem.

- Wciąż jesteś dobry. Powinienem zatrudnić grubszego i wolniejszego adwokata - stwierdził.

Tony usiadł obok niego, oddychał ciężko.

- Nic by to nie dało, bo byłby zbyt sprytny, żeby z tobą grać. - Wyrównał oddech. - To naprawdę szalone. Jakie tu są zasady: wygrywa ten, kto ostatni trafia?

Sam się uśmiechnął.

- Już widzę te nagłówki: „Rzut hakiem zabija prawnika z San Francisco. Sam Robb zmuszony bronić się sam”. - Przechylił głowę na bok. - To o co gramy, Tony?

Tony otarł pot z czoła.

- O twój puchar sportowca roku. Wciąż go pragnę.

- Za późno. Ale byłeś blisko, naprawdę. - Sam uniósł twarz ku słońcu. Oddychał głęboko i wyglądał na zadowolonego. - Czy myślisz niekiedy o tamtych czasach? Wiesz, zanim umarła Alison i było jeszcze fajnie.

Prawie trzydzieści lat później ta myśl nie przestawała zasmucać Tony'ego.

- Czasem - odpowiedział w końcu. - Ale odkąd ją znalazłem, wszystko, co było wcześniej, wydawało mi się jak oglądane z niewłaściwej strony teleskopu. Zbyt dalekie, by można było tam dotrzeć.

W milczeniu spoglądali na łąkę, a potem dalej, na Erie Road, park Taylorów z rzędami drzew, aż po jezioro z jego błękitnymi w słońcu wodami.

Co my tu robimy? - zapytał siebie Tony. Faceci w średnim wieku grają niedzielny mecz koszykówki z taką samą zawziętością jak za czasów młodości, choć nie mają już tych samych umiejętności. Gdy Sam zadzwonił do Tony'ego i przerywając mu przygotowania do przesłuchania Erniego Nixona, zaproponował rozgrywkę, ten uznał, że to patologiczny pomysł: jeśli pójda za

instynktem rywalizacji Sama, współzawodnictwo dwóch dawnych przyjaciół i rywali doprowadzi do tego, że któregoś dnia będą siedzieć w domu starców i grać w warcaby na pieniądze. Ale kiedy powiedział o tym Samowi, ten tylko się zaśmiał.

- Moje plany nie są tak długofalowe - odparł, a Tony wiedział, że jego przyjaciel, a może i on także, potrzebował nieco odpoczynku od mroków śmierci Marcie Calder, od hermetycznego zaduchu procesu o zabójstwo. Tak więc znaleźli się na skrawku makadamu na szczycie pagórka, niedaleko centrum rekreacyjnego, i grali w gry swojej przeszłości. Być może Sam chciał w ten sposób wyświadczyć im obu przysługę: bezmyślna koncentracja, chwile radosnego podniecenia i ulgi zdawały się uwalniać inne jeszcze wspomnienia, przypominając Tony'emu o ich przyjaźni. Na Samie wywierało to chyba takie samo wrażenie.

- Pamiętasz moje poranne niedzielne kazanie? - zapytał.

Tony skinął głową.

- Przerażające. Zachowywałeś się jak szalony. Zupełnie szalony.

Sam spojrzał na niego spode łba.

- Ale ty mnie z tego wyciągnąłeś. Tak samo, jak robisz to teraz - odparł cicho.

Tony zakręcił leniwie piłkę na palcu.

- Ja pamiętam, że napisałem dla ciebie kazanie, z którego nie przeczytałeś ani jednej linijki. Zamiast tego, jak sobie przypominam, naśmiewałeś się z mojego żałosnego życia seksualnego, co wzbudziło uznanie, a potem powiedziałaś: „Kurwa, zrobiłem ich w jebanego konia”.

Sam uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Czasami trzeba liczyć na siebie, Tony. Ale wciąż jestem ci wdzięczny. Zawsze. - Wstał i podał rękę Tony'emu, by jego też podnieść. - Jest po dziewięć, piłka należy do mnie.

Tony podniósł się ociężale, wiedząc, że Sam będzie chciał grać do końca.

Jego przyjaciel wyglądał inaczej niż trzy miesiące wcześniej: uporał się z nadwagą, znowu miał młodzieńczą twarz i bystrzejsze oczy. Było to dziwne uczucie: przegrał karierę, być może także małżeństwo i - co całkiem możliwe - doczeka końca swoich dni w zjełczałym piekiełku więzienia stanowego w Ohio, ale przeciwności losu - i być może powrót Tony'ego - dały mu chyba poczucie celu, a nawet, w jakimś sensie, przywróciły mu siły. Sam, który stał przed nim, był innym człowiekiem niż ten pełen wstydu i zniszczony rozpustą mężczyzna, który podczas ich pierwszego spotkania budził w Tonym tyle smutku i żalu.

- Nie masz szans - zawołał Sam, szarżując na kosz.

Tony rzucił się do tyłu i go zablokował. Nagle Sam skrzył w prawo, uderzając Tony'ego barkiem, i trafił, a adwokat zatoczył się z obolałymi od uderzenia żebrami.

- A więc to tak - powiedział.

Stojąc pod koszem, Sam uśmiechnął się do niego zawadiacko i rzucił mu piłkę. Tony stanął na środku boiska i przypomniał sobie sztuczkę, którą ostatnio wypróbował na Christopherze, dopóki ten się w niej nie połapał. Ale może Sam już ją zapomniał.

Przygotował się do niej, wykonawszy dwa kolejne rzuty z wysokości: jeden trafił, a drugi minimalnie spudłował. Sam ze swoją siłą wysforował się naprzód. Grali w ciszy i skupieniu, przyglądając się sobie, aż wreszcie Tony przysiadł na środku pola. Atakując po lewej stronie Sama, zatrzymał się, jakby chciał oddać rzut z wysokości, po czym przekozłował piłkę za swoimi plecami i zostawił rywala oczekującego na rzut, sam zaś zebrał piłkę, bez trudu przeszedł pod kosz i zaliczył trafienie.

- Finezja - powiedział lakonicznie. - I cierpliwość.

W oczach jego przyjaciela pojawił się błysk.

- Nie zapomniałem. Kiedy pierwszy raz mnie tak przerobiłeś, miałem piętnaście lat. Twój zespół wygrał.

Sam wziął piłkę i poszedł na miejsce, w którym Tony zamarkował rzut. On jednak skierował piłkę do kosza. Kilka minut później, gdy Sam zastosował tę samą sztuczkę, Tony roześmiał się głośno.

- Po piętnaście. Zaczyna się robić ciekawie - zawołał Sam.

Obaj oddychali już ciężko, ich klatki piersiowe unosiły się, chwytając powietrze.

- Jeszcze pięć punktów, do dwudziestu - odparł Tony. - Zróbmy przerwę.

- Potrzebujesz? - zapytał Sam wyzywająco.

- Nie. Chcę tylko, żeby frajda się nigdy nie skończyła.

Mówiąc to, Tony przyznał się przed sobą, że była to jeszcze jedna sztuczka mająca być kpina z ich rywalizacji, a jednocześnie obliczona na pozbawienie Sama adrenaliny, która mogła przywieźć go do zwycięstwa. Sam rzucił mu kwaśny, porozumiewawczy uśmiech.

- Niech będzie, jak chcesz - powiedział i znowu usiadł na boisku.

Przez chwilę milczeli. Gdy przerwali rywalizację, Samowi rozmowa przychodziła z trudem. Tak samo Tony'emu: był zajęty cechującym Sama pierwotnym instynktem zwyciężania i swoją na niego odpowiedzią.

- Jak się miewają twoi starzy? - zapytał wreszcie jego przyjaciel.

- Dziękuję, dobrze. - Tony zdał sobie sprawę, że jeśli nie liczyć krótkiej wzmianki Sama na temat matki, od jego powrotu nie rozmawiali o rodzicach. - Stacey i ja pomogliśmy im kupić kawałek ziemi na Florydzie: to nie był mój pomysł, Bóg jeden wie, ale tata odkrył golfa. Dzięki temu, jak to pięknie mówi moja mama, „nie zapędza mnie do domu dla mądrych inaczej”. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Po pięćdziesięciu latach mają swoje żelazne zasady: są sprzeczki, ale nie mogą żyć bez siebie. Kiedy jedno z nich umrze, drugiemu będzie bardzo ciężko, zwłaszcza jeśli to tata odejdzie

pierwszy. Mama będzie musiała narzekać, gadając do ich ślubnego zdjęcia. - Zwrócił się do Sama. - To było pokolenie małżeństw, których nigdy nie rozumiałem. Może zrozumiałbym, gdybym nie rozwiódł się z Marcją.

- Więc dlaczego żałujesz, że się rozwiodłeś?

- Och, nigdy nie powiedziałem, że żałuję... Powiedziałem, że czuję się winny. Właśnie w ten sposób katolicy osiągają to, czego pragną. - Przez twarz Tony'ego przemknął uśmiech. - Nie, czasem budzę się i patrzę na Stacey, jak się uśmiecha przez sen.

I zdaję sobie sprawę, że mimo wszystko...

Nie musiał kończyć zdania. Sam przyglądał mu się z wahaniem. Zapytał cicho:

- Myślisz, że ożeniłbyś się z Alison?

Tony potrząsnął ze zdziwieniem głową.

- Nie mam pojęcia. Dziwnie jest teraz o tym myśleć. - Jego głos stał się delikatniejszy. - Ale gdybyś zapytał mnie o to na chwilę przed tym, jak ją znalazłem, odpowiedziałbym, że tak.

Sam popatrzył na jezioro.

- Może poznałaby kogoś innego, Tony. Może ty byś kogoś poznał.

Adwokat pomyślał, że to dziwna uwaga: zgodna z prawdą, ale bez znaczenia dla tragedii Alison.

- Gdyby wyszła za kogoś innego i była z nim szczęśliwa, to więcej nie byłoby mi trzeba.

Kiedy Sam spojrział na niego, jakby zastanawiając się nad ostatnim zdaniem, Tony nagle pomyślał, czy przyjaciel nie mówił przypadkiem o swojej żonie, którą ten też kiedyś kochał.

- Spałeś z nią kiedyś? - zapytał Sam.

Z kim? - zastanawiał się Tony. Ale jedyna prawda, którą mógł wyznać, była już bez znaczenia. Odpowiedział cicho:

- Tej nocy, kiedy zginęła. Pierwszy raz. Dlatego wyszła z powrotem z domu.

Oczy Sama najpierw rozszerzyły się, a potem zwężyły, jakby w bolesnym skurczu, i choć otworzył usta, przez chwilę nic nie mówił.

- Przykro mi, Tony. Nie wiedziałem.

Adwokat nie wiedział, czy przeprosiny dotyczą jego pytania, czy też głębszego, spóźnionego zrozumienia tego, jak głęboko zranione zostały jego uczucia. Uznał, że to bez znaczenia.

- To wciąż mnie prześladowuje. Wciąż miewam koszmary - powiedział po chwili.

Sam spojrział na niego.

- Jakiego rodzaju?

Przez moment Tony żałował, że nie mogli tak rozmawiać, gdy mieli po siedemnaście lat. Ale nie chciał wspominać o swoim ostatnim śnie.

- Wciąż to samo - odparł. - Widzę moment, w którym ją znalazłem. Jest zupełnie jak żywa, jeśli można tak powiedzieć. I wtedy się budzę.

Sam patrzył na niego chwilę, po czym pokręcił głową.

- Ja nigdy nie pamiętam moich snów - mruknął. - Może to i dobrze.

Jakie sny mógłby odpędzać Sam? - zastanawiał się Tony.

- To zależy od snu, jak przypuszczam - powiedział jednak.

Sam oparł brodę na złączonych palcach dłoni i milczał przez dłuższą chwilę.

- Cały czas pamiętam tamtą noc na plaży - odezwał się w końcu. - Ty i Alison, ja i Sue, i wszystko to, o czym nie wiedzieliśmy. Chciałbyś czasem przewinąć wszystko do tamtej chwili? Jak w magnetofonie?

- Chciałem tego, kiedyś. Teraz wolałbym po prostu wymazać tę noc z pamięci.

Natychmiast zorientował się, że było to nietaktowne. Ale Sam chyba tak tego nie odebrał. Niemal delikatnie położył dłoń na ramieniu Tony'ego.

- Postawię ci piwo - zaproponował. - Dokończymy grę innym razem.

Kiedy Tony wrócił do swojej nowej kwatery w Steelton - ponurego, lecz wygodnego hotelu Palace - znalazł porzucane na łóżku notatki na temat Erniego Nixona. Pomyślał wtedy ponownie, że w życiu jest wiele ironii, wiele wyborów i wiele niespodziewanych konsekwencji, które - kiedy już zostaną rozpoznane - spadają na ludzkie barki.

Jutro Ernie Nixon zajmie miejsce dla świadków, a Tony Lord weźmie na swoje barki odpowiedzialność za własne postępowanie. Odpędził tę myśl, wyobrażając sobie przesłuchanie.

Tej nocy źle spał. Obudził się o brzasku, spocony, przerywając ten nowy, dziwny sen o Alison, w którym wyobrażał sobie siebie jako niewidoczną kamerę, a jej enigmatyczne pytanie kazało mu wstać z łóżka.

Wciąż niespokojny, zamówił śniadanie - tost i czarną kawę - po czym spędził godzinę w hotelowej sali gimnastycznej, pocąc się jak mysz na rowerze treningowym. Następnie wziął prysznic, ubrał się i stanął na sali sądowej jeszcze przed sędzią Leo Karolym. Adwokat, który ma bronić swojego klienta.

## OSIEM

Gdy Ernie Nixon zajął miejsce dla świadka, miał na sobie szary garnitur w prążki, żółty krawat w geometryczne wzory i świeżą, białą koszulę. Sprawiał wrażenie opanowanego, co przez chwilę chciał pokazać Tony'emu Lordowi. Siedzący obok Tony'ego Saul Ravin przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

- To nie jest Donald White - mruknął.

Ta sardoniczna uwaga dotknęła sumienia Tony'ego.

- Nigdy nim nie był.

Stella Marz spojrzała przelotnie na adwokata. Wydawało się, że ci prawnicy już bardzo dobrze się znają. Nawet przysięgli odnosili chyba takie wrażenie, bo czekali bez słowa w napięciu, nie wymieniając uśmiezków i nie szepcząc, jak to zwykle bywało w gronie dwunastu osób.

Nieco sztywno jak na nią Stella przeprowadziła Erniego przez jego pierwsze osiemnaście lat w Lake City, jego naukę w college'u, decyzję o powrocie i pięć lat spędzonych na stanowisku dyrektora do spraw rekreacji. Ernie odpowiadał precyzyjnie i spokojnie, nie zdradzając przy tym złożoności swoich uczuć. Słuchając opowieści, Tony wyobrażał sobie jego powrót jako ostatnią, nostalgiczną rolę starego filmu Franka Capry: powrót dobrotliwego mężczyzny do ciepła i bezpieczeństwa miejsca, które kochał najbardziej. Brakowało tylko, stwierdził z ironią, dziewczyny.

- Tak - mruknął sarkastycznie pod nosem Sam. - Wszystko było wspańiałe, nieprawdaż...

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, ile lat miała Marcie, kiedy spotkał ją pan po raz pierwszy? - zapytała Stella Marz.

- Powiedziałbym, że jakieś trzynaście. Trenuję drużynę lekkoatletek w wieku od jedenastu do czternastu lat. - Ernie umilkł na chwilę. - Marcie była najlepszą przyjaciółką innej dziewczynki z drużyny, Janice D'Abruzzi, której ojciec był z kolei moim najlepszym przyjacielem. To było chyba tak, że Janice ją przyprowadziła.

- Czy mógłby pan powiedzieć, jaka była wtedy Marcie?

Wydawało się, że Ernie się nad tym zastanawia.

- Nieśmiała, nigdy nie sprawiała kłopotów. Ale widać było, że wszystko obserwuje i że myśli, jakby wiele działo się wewnątrz niej. Powiedziałbym więc, że była też zamyślona i trochę skryta. Wyglądało na to, że nie od razu ufa człowiekowi. - Po chwili dokończył ciszej: - To się chyba nigdy nie zmieniło.

Zaczął się, stwierdził Tony. Stella kreśliła obraz nieśmiałej, skrytej dziewczyny, której błędem - o strasznych skutkach - było to, że zaufała niewłaściwemu dorosłemu.

- Czy z czasem poznał ją pan lepiej? - spytała prokurator.

Ernie skinął głową.

- Nieco - odparł i pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Mniej więcej rok po tym, jak Marcie przysłała do drużyny, zaczęła szybko rosnać. Większość dzieci staje się wtedy trochę niezgrabna.

Ale Marcie dzięki temu stała się szybsza. Nagle okazało się, że jest najszybsza w drużynie.

- Jak na to zareagowała?

- Wielkim entuzjazmem, można by powiedzieć. Ciągle jej było mało biegania i zwyciężania. Dużo więcej też mówiła... wydawało mi się, że zostałem bohaterem tylko dlatego, że dałem jej szansę, chociaż, jak jej mówiłem, to ona włożyła w to cały talent. - Nagle jego głos zmiękł i pierwszy raz spojrzał na Sama Robba. - Widziałem, że Marcie potrzebne było czyjeś zainteresowanie. Myślę, że przywiązałyby się do każdego dorosłego, który by jej to zapewnił. Do każdego, który sprawiłby, że czułaby się dla niego kimś ważnym.

Tony zauważył, że Ernie zbliża się do granicy, ale nie wniósł sprzeciwu.

- Czy gdy Marcie skończyła piętnaście lat i nie mogła już biegać u pana, zrobił pan coś, żeby jej pomóc? - zapytała Stella.

Mężczyzna znowu założył ręce na piersi.

- Zachęcałem ją, żeby trenowała biegi w szkole średniej. A potem, by się upewnić, że to zrobiła, zadzwoniłem do trenera dziewcząt, Sama Robba.

W tych kilku prostych słowach Tony wyczuł gorzki smak dobrych intencji, które przyniosły złe skutki. Na pierwszą wzmiankę o Samie przysięgli zastygli z uwagą.

- I co powiedział Sam Robb?

- Że „będzie na nią uważał”. - Ernie urwał i raz jeszcze spojrzał na oskarżonego. - Tak, myślę, że tak właśnie powiedział: „Będę na nią uważał”.

Sam popatrzył na niego bez emocji, uznał Tony. Stella odczekała jeszcze chwilę.

- Czy kiedy Marcie odeszła z pana drużyny - ciągnęła - i znalazła się w zespole Sama Robba, utrzymywała z panem kontakt?

Ernie wciąż przyglądał się Samowi: na jego twarzy pojawiło się coś na kształt obrzydzenia, co przydało jego rysom pewnej wyniosłości, która - ciekawa rzecz - skojarzyła się Tony'emu z Dee Nixon. Potem zwrócił się do Stelli i z wystudiowanym chyba spokojem rzekł:

- Tak, utrzymywała. Czasem przychodziła do biura, czasem prosiliśmy ją, żeby zaopiekowała się

naszymi dziećmi. Tak czy inaczej widywałem ją może dwa, trzy razy w miesiącu.

- I od czasu do czasu opowiadała panu, co się dzieje w jej życiu?

- Mhm. Czasem w biurze, a czasem wtedy, gdy odwoziłem ją do domu jako naszą opiekunkę do dzieci. - Urwał na chwilę. - Raz na jakiś czas wpadała do nas do domu, żeby porozmawiać.

- Czy kiedykolwiek dawała do zrozumienia, że jej zadowolenie ze spotkań z panem dotyczy czegoś więcej niż rozmowy? - Stella umilkła na chwilę, po czym dodała beznamiętnym tonem: - Chodzi mi o to, czy żywiła dla pana jakieś niezwykle uczucia. Czy durzyła się w panu.

- Absolutnie nie. - Ernie odpowiedział takim samym tonem jak Stella, z pogardą dla każdego, kto rzuciłby oszczerstwo na tę dziewczynę albo na niego, byle tylko uchronić winnego od kary. - Ona potrzebowała dorosłego, który będzie raczej jej przyjacielem niż jednym z rodziców. Podobne przywiązanie można często zaobserwować u dzieci w tym wieku. To normalne, nawet zdrowe. To część dorastania. Kiedy byłem dzieckiem, też chciałem mieć kogoś takiego.

Tony po raz pierwszy spojrzął na Calderów: Frank podniósł wzrok, a jego żona kiwała głową z cichą pasją. Ale zdaniem prawnika była to o wiele subtelniejsza odpowiedź: przedstawiała Erniego takim, jakim chciał być widziany. Przypomniało to Tony'emu, że trener Jackson, którego podziwiał w młodości, niewiele interesował się Erniem poza boiskiem. Adwokat wyczuł, że między Calderami a Erniem istnieje nie wypowiedziana przepaść. Przepaść oddzielała go od obszaru życia Marcie, który mieli mu pozostawić - jemu, troskliwemu dorosłemu, którego sam kiedyś potrzebował, a teraz chciał widzieć w sobie.

- O czym Marcie z panem rozmawiała?

Ernie wzruszył ramionami.

- O wszystkim i o niczym: o stopniach, o szkole, o bieganiu, o chłopakach. - Spojrzął na przysięgłych. - Dzieci w tym wieku są zadziwiająco szczerze. Jeszcze nie są zamknięte w sobie jak dorośli.

Pochylając się do Tony'ego, Saul mruknął:

- Co to ma być? Osiedle Okresu Dojrzewania, gdzie wszystkie dzieci opowiadają Dużemu Ptakowi o pękniętych gumkach?

Ale Tony nie mógł nic zrobić: sprzeciw wobec uogólnień Erniego, choć bardzo egoistycznych, sugerowałby, że Tony bardzo się denerwuje.

- Czy nadszedł taki czas, kiedy zaczął się pan niepokoić o to, dokąd zmierza Marcie? - zapytała Stella.

Nixon skinął głową.

- Tak - odparł zdecydowanie. - Bardzo się zaniepokoiłem.

- Jakie były okoliczności?



Patrząc na wszystkich ławników po kolei, Ernie zwracał się wprost do nich:

- Marcie przyszła do mnie do biura. Zorientowałem się, że jest wstrząśnięta, zanim jeszcze powiedziała, że potrzebuje mojej pomocy. - Był przygnębiony, jakby to wspomnienie jeszcze go prześladowało. - Marcie powiedziała, że zaczęła uprawiać seks i że się boi.

Tony zauważył, że kosmetyczka patrzyła na świadka z bezwarunkowym współczuciem. Prokurator odczekała chwilę, po czym zapytała cicho:

- Czy pan kiedykolwiek uprawiał seks z Marcie Calder?

Ernie usiadł prosto.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie myślałem o niej w ten sposób.

Tony zorientował się, że Stella zadaje jego pytania, osłabiając tym samym ich moc.

- Nawet kiedy opuściła pana żona? - naciskała.

Ernie założył ręce na piersi.

- Ja bym czegoś takiego nie zrobił, pani Marz. Czegoś takiego nie powinien robić nikt, kto jest odpowiedzialny za dzieci innych ludzi.

Choć miał to być cios wymierzony w Sama, twarz Erniego pozostała nieruchoma, a jego słowa zabrzmiały nagle asekurancko. Były pełne zadufania, jakby pochodziły z jakiegoś programu wyborczego i tak samo nie brały pod uwagę ludzkich słabości oraz odczuwanych, lecz - przez przyzwoitszych ludzi - nie realizowanych pragnień. Prawdziwy Ernie, który już odsłonił się Tony'emu, teraz się ukrywał: może dlatego, że zaczął okłamywać samego siebie, raczej jednak dlatego - zgadywał adwokat - że wiedział, iż większość ludzi okłamuje siebie co do swoich motywów, a nie mógł przebaczyć Erniemu Nixonowi plątaniny, w której się zagubił. Jednak czegoś tu brakowało - i to nie tylko w sprawie Stelli. Ernie nie był już sobą i miał świadomość, że Tony wie o tym.

- Kiedy widział pan Marcie Calder po raz ostatni? - zapytała prokurator.

Z wyraźnie udawanym wysiłkiem Ernie opuścił ręce.

- Tej nocy, kiedy umarła. Przyszła do mnie do domu, około ósmej.

Wszyscy przysięgli jak na komendę spojrzeli na niego. Nawet Leo Karoly, zdjawszy swoją maskę mdłego biurokraty, słuchał w napięciu.

- Czy to było coś niezwykłego?

- Tak. - Wciąż mówił spokojnym głosem. - Chyba że przychodziła opiekować się dziećmi. Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że coś jest nie tak.

- Powiedziała panu, o co chodziło?

Ernie z wolna obrócił się do Sama.

- Marcie była w ciąży.

- Powiedziała panu, kto był ojcem?

Nixon w dalszym ciągu patrzył na Sama.

- Powiedziała tylko tyle, że to mężczyzna, z którym się spotyka. Starszy mężczyzna.

Tony zauważył, że przysięgli zaczęli spoglądać tam, gdzie Ernie.

- Jaka wydawała się panu Marcie?

- Była zdenerwowana i potrzebowała zrozumienia. Ale nie histeryzowała.

- Czy powiedziała, co chce zrobić?

Teraz Ernie spojrzał na Stellę. Głos miał spokojny i czysty.

- Tak. Marcie powiedziała, że spotka się z ojcem, kiedy tylko wyjdzie ode mnie. Żeby go ostrzec.

Prokurator milczała przez chwilę.

- Czy mówiła, że chciałyby za niego wyjść?

- Nie. - Jego głos znowu zmiękł. - Prawdę mówiąc, zdradziła mi, że ojciec dziecka nie może jej pomóc i że sama nigdy nie będzie go prosić, by się ujawnił.

Była to druzgocąca odpowiedź i - o ile Tony dobrze pamiętał - niepełna. Ale ławnicy nie mogli o tym wiedzieć.

- A zaproponował pan rozmowę na temat innych możliwości? - chciała wiedzieć Stella.

Ernie zebrał się w sobie.

- Wspomniałem o aborcji. Marcie, która siedziała na mojej kanapie, odpowiedziała: Ale to jest dziecko, moje dziecko. Jak mogę je zabić za to, że jest moim błędem?

Tony pomyślał, że pani prokurator po raz kolejny uprzedziła jego pytanie.

- Czy Marcie zasugerowała, kto mógłby się zająć dzieckiem?

- Powiedziała, że sama się nim zajmie.

Stella pozwoliła sobie na smutny, wyrozumiały uśmiech.

- Czy w czasie całej tej rozmowy, panie Nixon, Marcie sprawiała na panu wrażenie osoby myślącej o samobójstwie?

- Sprzeciw. - Tony podniósł się powoli, bez pośpiechu, żeby przerwać ten zabójczy rytm pytań i odpowiedzi. - Pani Marz nie wezwała tego świadka w charakterze psychologa. Natomiast nie ulega wątpliwości, że pan Nixon był osobą bliską Marcie Calder i teraz pragnie zrzucić całą odpowiedzialność za jej śmierć na oskarżonego. Niemniej jednak odpowiedź na pytanie, czy Marcie Calder myślała o samobójstwie, nie leży w zakresie kompetencji tego świadka ani jego życzeń.

Przybrawszy pozę podkreślającą jej cierpliwość, Stella Marz czekała, aż Tony skończy.

- Rozumiemy oczywiście uwrażliwienie pana Lorda na ten temat, Wysoki Sądzie, widząc, jak sam sugerował myśl o samobójstwie. Ale pan Nixon całe życie pracował z dziećmi i osobami dorastającymi. Podejrzewam, że bardziej niż ktokolwiek na tej sali jest predestynowany do przedłożenia wiążącej opinii w tej sprawie.

Karoly złożył dłonie.

- Czy mogłaby pani inaczej sformułować to pytanie, pani Marz?

Kobieta energicznie skinęła głową.

- Z przyjemnością - stwierdziła i zwróciła się w stronę Erniego Nixona. - Proszę powiedzieć, panie Nixon, czy Marcie Calder zrobiła albo powiedziała cokolwiek, co mogłoby sugerować, że myśli o samobójstwie?

- Absolutnie nic - odparł Ernie szybko i bez wahania. - Wręcz przeciwnie. To, co mówiła i robiła, sugerowało jednoznacznie, że zamierza zachować dziecko przy życiu.

Stella położyła ręce na biodrach.

- A czy powiedziała, że nie może spojrzeć rodzicom w oczy?

- Nie. Powiedziała tylko, że nie może im powiedzieć, kto jest ojcem.

- Zdradziła też panu, że od dłuższego czasu nic nie jadła, prawda?

- Tak. Dlatego dałem jej kanapkę z tuńczykiem. - Ernie bezradnie wzruszył ramionami. - Tylko tyle mogłem zrobić.

- Czy ją zjadła?

- Tak. Powiedziała, że je teraz za dwoje.

Prokurator milczała chwilę.

- Ale jej nie skończyła, prawda?

- Nie. Nagle spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi się z nim spotkać. To znaczy z ojcem.

Gdy Stella podeszła bliżej, przysięgli podążyli za nią wzrokiem.

- Czy starał się ją pan powstrzymać? - zapytała.

- Nie powstrzymać, a przemówić do niej. Wyglądało na to, że nie przemyślała wszystkiego. Że po to właśnie przyszła do mnie, a teraz ucieka. - Ernie urwał. - To wyglądało niedobrze, pani Marz. Niedobrze, że ten ojciec był starszy i że nie zdradzała jego nazwiska. Oprócz mnie ta dziewczyna nie miała nikogo.

- Ale nie chciała u pana zostać, nieprawdaż?

Ernie patrzył na ręce założone na piersiach i wykręcał sobie palce. Ból na jego twarzy był niemal dotykalny.

- Nie. Nie chciała zostać. - Ściszył głos, jakby mówił do siebie: - Po prostu wsiadła do samochodu i odjechała.

Poczucie straty było teraz wyczuwalne: Tony słyszał to w absolutnej ciszy, widział na twarzach ławników.

- Czy potem zrobił pan cokolwiek? - zapytała łagodnie Stella.

Ernie podniósł głowę.

- Pojechałem za nią.

Prokurator pochyliła głowę na bok.

- A po co?

Zdawało się, że mężczyzna sam siebie o to pyta.

- Nie byłem pewien - odparł po chwili. - Po prostu w jakiś sposób się o nią bałem. Myślałem, że może jeśli dowiem się, kim był ojciec...

- I dowiedział się pan?

Mężczyzna z wolna pokręcił głową.

- Nie wtedy - odparł cicho. - Nie wtedy. Przejechałem za nią jakieś trzy przecznice, lecz uzmysłowiłem sobie, że to nie ja jestem jej ojcem. Powiedziałem sobie, że mogę jej pomóc tylko tak, że usiądę spokojnie i zaczekam. - Znowu podniósł głowę. - Więc zatrzymałem samochód, zawróciłem i pojechałem do domu. Wtedy ostatni raz widziałem Marcie Calder, a właściwie tylko parę tylnych reflektorów jej samochodu, z których jeden migał, jakby się miał zaraz przepalić. Zapamiętałem to sobie, żeby jej powtórzyć... - Ernie urwał i zagryzł wargę. - Chciałem dobrze, pani Marz, a wyszło dokładnie na odwrót. Bo gdybym tylko za nią pojechał, to Marcie wciąż by żyła, prawda?

Przez chwilę Stella nie ruszała się z miejsca. Potem obróciła się do Tony'ego i powiedziała tylko:

- Świadek należy do pana, panie Lord.



## DZIEWIĘĆ

Podnosząc się z ociąganiem, Tony spojrzął na Sue.

Sue, która siedziała między dwójką swoich dzieci, popatrzyła na niego ze smutkiem, zmartwieniem i troską. Adwokat rzucił jej szybki, uspokajający uśmiech i ucisnąwszy lekko ramię Sama, podszedł do Erniego Nixona. Ernie opadł na oparcie swojego krzesła.

- Czy tamtej nocy Marcie Calder powiedziała panu, dlaczego przyszła się z nim zobaczyć? - zapytał Tony.

Ernie założył ręce na piersiach i spojrzął uważnie na Tony'ego.

- By mi powiedzieć, że jest w ciąży. Chyba potrzebowała przyjaciela.

- Marcie miała przyjaciółkę: Janice D'Abruzzi. Wie pan, dlaczego powiedziała o tym panu, a nie jej?

- Nie mam pojęcia. Może chciała rady od dorosłego.

Tony milczał chwilę.

- Czy na podstawie tego, co usłyszał pan od Marcie Calder, można powiedzieć, że jej stosunki z ojcem były napięte?

- Sprzeciw. Zastłyszane - wtrąciła się Stella Marz.

Tony pokręcił przecząco głową.

- To cały czas dotyczy wyjątku, który pozwoli obronie określić stan umysłu zmarłej, Wysoki Sądzie. Jest bardzo ważne, czy w opisanych tu okolicznościach Marcie Calder mogła być zdolna do popełnienia samobójstwa.

Karoly zwrócił się do Erniego:

- Może pan odpowiedzieć, panie Nixon.

- Nie wiem, czy powiedziałbym „napięte”. - Wahał się, kręcąc na krześle. - Mówiła, że czasem trudno im się porozumieć...

- Ponieważ ją zastraszał, tak?

- Tak mówiła, tak.

- I na ile pan to rozumie, Marcie Calder nie miała pojęcia, co o ma robić dalej?

Oczy Erniego się zwęziły. Gdy Tony patrzył, jak mężczyzna usiłuje zrozumieć, dokąd to wszystko zmierza, zupełnie niczym zwierzyzna odgadująca intencje myśliwego, poczuł potworną bezosobowość swojej roli. Świadek rzekł cicho:

- Ona miała o tym pojęcie, Tony. Chciała zobaczyć się ze swoim kochankiem.

Odezwanie się po imieniu i uszczypliwa odpowiedź - wszystko to miało w oczywisty sposób wytrącić Tony'emu broń z ręki. Adwokat zapytał równie cicho:

- Czy wspomniała o jakichś jeszcze planach?

- Nie.

- A więc jeśli Marcie Calder wyobrażała sobie dalszą przyszłość, po tej nocy, to pan nie wie, jak ona miała wyglądać?

Ernie Nixon oparł się wygodniej.

- Myślała, że urodzi dziecko. Tak sobie ją wyobrażała.

- I gdzie miałyby mieszkać?

- Nie wiem.

Tony podszedł bliżej.

- Sądząc na podstawie pana doświadczenia z dziećmi, panie Nixon, czy powiedziała by pan, że życie nastoletniej samotnej matki w Lake City należy do łatwych?

- To zależy od okoliczności...

- Na przykład?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Od wsparcia rodziny, jak sądzę.

Po raz pierwszy obrońca zahaczał o ironię:

- Ale nawet przy wsparciu rodziny trudno chyba żyć ze skandalem na barkach w Lake City w stanie Ohio, prawda?

Ernie uśmiechnął się lekko.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Jak Marcie zachowywała się podczas tej wizyty?

- Jak powiedziałem: martwiła się, ale była opanowana.

- Płakała?

- Tak.

- Chciała, żeby ją pan objął?

Ernie spojrzał na jej rodziców. Zwracając się do Tony'ego, rzekł cicho:

- Tak.

- Potrzebowała troski i uczucia, czy tak? Było to dla pana jasne.

- Tak.

- A więc dziewczyna, którą pan widział, nie była pewną siebie młodą kobietą, zdecydowaną, by urodzić dziecko, zgadza się? Marcie Calder była zapłakana, zagubiona, samotna, głodna, bardzo zdenerwowana i, o ile mógł się pan zorientować, nie wiedziała wyraźnie, co się stanie z jej życiem po spotkaniu z ojcem dziecka?

Ernie przyglądał mu się.

- Rzeczywiście było trochę tak, jak pan mówi. Co do reszty, po prostu nie wiem, co myślała.

Tony pominął to milczeniem.

- Tak samo, jak nie wie pan, czy w pewnych okolicznościach Marcie Calder mogłaby odebrać sobie życie?

Ernie odpowiedział z uporem:

- Nie widziałem żadnych oznak, które by na to wskazywały.

- Ale nie jest pan psychologiem, prawda?

- Nie.

- Ani ekspertem w sprawach samobójstw nastolatków?

- Oczywiście, że nie.

- Czy nie jest prawdą, panie Nixon, że kiedy pierwszy raz pana o to zapytałem, powiedział pan, iż Marcie stwierdziła, że go nie zdradzi, chyba że, cytuję: „Chyba że sam się zdecyduje”, koniec cytatu?

Ernie znowu założył ręce na piersiach.

- Chyba tak było.

- A więc z tego, co Marcie panu powiedziała, można wnosić, że uważała za możliwe, iż on się



ujawni?

- Chyba tak.

- I że się z nią ożeni?

- Tego nie wiem...

- Nie wie pan ani tego, czy chciała, ani tego, czy nie chciała, prawda?

- Tak jest.

- Przeszliśmy w krótkim czasie długą drogę, panie Nixon, prawda? Mamy teraz obraz wystraszonej, zagubionej, zapłakanej szesnastolatki w ciąży, która boi się swojego ojca, która nie wie, co robić, oprócz tego, że spotka się z ojcem dziecka, mając być może nadzieję, iż on wszystko jakoś naprawi, i która, gdyby ten mężczyzna nie chciał lub nie mógł, mogła na to zareagować na wiele sposobów, których z kolei pan nie potrafił się domyślić ani przewidzieć. Wliczając w to także samobójstwo.

Tony czuł, że Stella wstaje, nim jeszcze skończył.

- Czy to było pytanie, Wysoki Sądzie, czy mowa? Ja nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że jest to zbieranina strzępków, w dodatku wątpliwych, pełnych spekulacji i nie znajdujących oparcia w faktach. Strzępków, na które nie można odpowiedzieć...

- I - wtrącił z ironią Tony - o wiele bliższych prawdzie o życiu Marcie Calder niż fikcyjna osoba, którą stworzyła pani przy pomocy Erniego Nixona. Ale cofam pytanie i zadam świadkowi inne.

Sfrustrowana pani prokurator wciąż mu się przyglądała. Tony odwrócił się i zapytał cicho Erniego:

- Nie bardzo pomógł pan Marcie, prawda?

Ernie rozłożył ręce.

- Nie mogłem.

- I nie wie pan, kto mógłby jej pomóc, prawda?

- Nie wiem.

- A Marcie pytała, czy pan się z nią ożeni, panie Nixon? Przez chwilę Ernie wydawał się zaskoczony, a potem dotknięty.

- To nie był tego rodzaju związek, panie Lard.

- A jakiego właściwie?

- Już mówiłem. Podnosiłem ją na duchu, więc mnie lubiła...

- Miałem na myśli pana.

Ernie wyprostował się i spojrzał na Tony'ego spod zmrużonych powiek. Siłą woli adwokat starał się odpędzić od siebie wszystkie myśli oprócz tej, że musi zniszczyć siedzącego przed sobą mężczyznę, którego honoru ani przyszłości jako obrońca nie miał prawa brać pod uwagę.

- Zależało mi na niej - odparł tamten po prostu.

Wkładając ręce do kieszeni, Tony wyczuł napięcie przysięgłych, którzy mu się przyglądali. Ale zapomniał o nich: wydawało mu się, że stoi samotnie naprzeciw Erniego Nixona w tunelu.

- Czy odkąd wrócił pan do Lake City, inne nastolatki zdradzały panu intymne szczegóły swojego życia seksualnego? - zapytał.

Wzrok Erniego był równie beznamiętny i apatyczny jak jego głos.

- Nie.

- Albo przebywały z panem sam na sam w pana domu?

- Nie.

- Kiedy rozstał się pan z żoną, panie Nixon?

Ernie założył ręce na piersiach.

- Niecały rok temu.

- A potem Marcie Calder zaczęła przychodzić do pana do domu, zgadza się?

- Czasami, tak.

- Ile razy?

- Nie liczyłem, panie Lord.

- Więcej niż dziesięć?

Z pewnym zafascynowaniem prawnik obserwował, jak Ernie Nixon zastanawia się, na ile dokładnie Sarah Croff go śledziła.

- Możliwe, tak.

- A może więcej niż dwadzieścia?

Ernie spuścił wzrok. Żeby to ukryć, poprawił sobie krawat.

- Jak mówiłem, nie liczyłem.

- A zatem nie może pan wykluczyć, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy swojego życia Marcie

Calder przychodziła do pana domu, sama, więcej niż dwadzieścia razy?

- Nie. - Ernie podniósł wzrok, patrzył zimno. - Nie mogę tego wykluczyć a n i potwierdzić.

- Ile to mogło być godzin, panie Nixon, sam na sam z szesnastolatką?

- Nie mam pojęcia.

Tony, jakby zdezorientowany, przyłożył palec do ust.

- O czym rozmawialiście?

Mężczyzna zrobił minę pełną zmęczenia i pogardy.

- Tak jak już mówiłem. Jak większość dzieci, Marcie potrzebowała rozmów na różne tematy... na temat stopni, biegania, przyjaciółek, rodziców...

- A propos - przerwał mu obrońca. - Czy jej rodzice wiedzieli, że przychodziła do pana domu?

- Nie mam pojęcia.

- Ale p a n im nie mówił?

- Nie.

- Nie sądził pan, że może ich to interesować?

Ernie wyrzucił ręce do góry.

- Słuchaj, nie wiem, czy oni wiedzieli, czy nie. Nie o tym myślałem - powiedział.

Tony udawał zdziwienie.

- A o czym pan rozmawiał z Marcie?

- Nie pamiętam. Głównie słuchałem...

- O swoim małżeństwie?

Ernie zacisnął zęby.

- Naprawdę nie pamiętam.

- Pana małżeństwo niedawno się załamało, Marcie była ciągle u pana w domu, a pan nie pamięta, czy o tym rozmawialiście?

- Nie.

Prawnik obdarzył go przelotnym, pełnym niedowierzania uśmiechem.

- Skoro już mówimy o pamięci, panie Nixon, czy nie jest możliwe, że zawodzi ona pana również co do tego, czy Marcie odwiedzała go w domu w nocy?

Ernie wbił w niego wzrok w milczeniu. To dziwne, pomyślał Tony, jak wiele osób wmawia sobie, że są niewidzialne, a potem jako świadkowie zapominają, że obrońcy mają zwyczaj zatrudniać detektywów.

- Co ma pan na myśli? - odparował.

- Od razu przychodzą na myśl te liczne sobotnie wieczory, kiedy Marcie wypożyczała kasety wideo i zabierała je ze sobą do pana. - Tony urwał na chwilę. - Która była pana ulubioną: *Sabrina* czy *Love Story*?

- Sprzeciw! - zawołała Stella. - To nie jest pytanie, lecz insynuacja. Jeśli pan Lord ma pytanie, to niech je zada.

Pierwszy raz była wyraźnie wytrącona z równowagi. Nim Karoly zdążył odpowiedzieć, Tony rzekł:

- Zadam wiele pytań. - Odwrócił się do Erniego Nixona. - Czy Marcie przyszła do pana domu sama w co najmniej cztery sobotnie wieczory?

Na chwilę gardło Erniego zadrżało, a potem zaczął udawać, że szuka w pamięci.

- Chyba przypominam sobie, że kilka razy rzeczywiście zjawiała się nieoczekiwanie. - Umilkł na moment, po czym dodał nonszalancko: - Ach, przypominam już sobie. To dlatego, że Janice D'Abuzzi zaczęła się spotykać z nowym chłopcem, a Marcie czasem potrzebowała towarzystwa. Wiedziała, że jestem sam i niewiele mam do roboty, więc zdarzało się, że przychodziła z filmem. Tak, teraz sobie przypominam.

- Gdzie je oglądaliście?

Na twarzy Erniego widać było złość.

- W suterenie. Tam mam magnetowid. - Mówił pewnie. - Kiedy jeszcze moja rodzina była ze mną, a Marcie opiekowała się dziećmi, chodzili na dół i oglądali razem filmy. Lubiła to.

- I pan też to lubił.

Ernie niechętnie skinął głową.

- Tak.

- A gdzie siedziała Marcie, gdy oglądaliście filmy we dwoje?

Ernie spojrzał na Stellę. Tony wiedział jednak, że żadna pomoc nie nadejdzie: każdy sprzeciw sprowokowałby Tony'ego do wygłoszenia porażającej w skutkach mowy, nim Karoly zdążyłby go oddalić. Obrońca zauważył z zaciekawieniem, że sędzia także zaczął się przyglądać Erniemu z wyrazem zaskoczenia i dezaprobaty, który zdawało się podzielać kilkoro przysięgłych.

- Czasem siedziała na podłodze, a czasem na kanapie - odrzekł Ernie.

- A pan siedział obok niej?

- Czasem.

- Go jeszcze robiliście oprócz oglądania filmu?

- Normalne rzeczy: robiliśmy popcorn, rozmawialiśmy o tym, czy podobał nam się film. Kiedy się kończył, nie zostawała już długo.

- Czy dotykał pan jej kiedyś, panie Nixon?

- Absolutnie nie.

- Nawet nie całował jej pan na dobranoc?

Patrząc na niego z wściekłością, Ernie wyprostował się na krześle.

- Ona miała szesnaście lat, panie Lord.

- No właśnie. Jej rodzice myśleli, że gdzie jest?

- Nie mam pojęcia.

- Ale według pani Calder, nie wiedzieli, że była z panem. Dlaczego Marcie miałyby to ukrywać?

- Nie wiem, czy to ukrywała. Ani dlaczego miałyby to robić.

- Nie? A jednak kiedy pani Marz pytała pana, nie powiedział pan ławie przysięgłych o tych wizytach.

- Jak już stwierdziłem, to były normalne wizyty. W mojej pamięci utkwiło to, jak bardzo zmieniona była tego wieczoru, kiedy umarła.

Tony odczekał trochę.

- Czy podczas tych „normalnych” sobotnich wieczorów, kiedy Marcie do pana przychodziła, miała pańskim zdaniem chłopaka?

- Według mnie, nie. Marcie była chyba nieśmiała. Prawdopodobnie nie zawsze rozumiała się z chłopcami w jej wieku.

- Czy pańskim zdaniem Marcie Calder uprawiała już wtedy seks?

Złość ze spojrzenia Erniego ustąpiła - jakby była już zbędna - napiętej ostrożności kogoś, kto jest zmuszony mocno się zastanawiać i szybko podejmować decyzje, nie wiedząc, gdzie kryją się pułapki.

- Zakładałem, że nie. Nie pamiętam, żebyśmy o tym rozmawiali.

- A więc gdy sześć tygodni przed swoją śmiercią Marcie powiedziała panu, że zaczęła uprawiać seks ze starszym mężczyzną, był pan zaskoczony.

- Tak. Tak sędzę.

- I zazdrosny?

- Nie, nie zazdrosny. - Ernie umilkł, bo głos zaczął mu drżeć z wściekłości. - Martwiłem się o nią. Miała szesnaście lat i wykorzystywał ją starszy mężczyzna... - Przerwał i nie dokończył.

- Starszy mężczyzna, który, jak powiedziała Marcie, uczył ją różnych rzeczy - podchwycił Tony.

Spojrzenie Erniego było pełne nienawiści i poniżenia.

- Tak - syknął.

Tylko spokojnie, powtarzał sobie w myślach prawnik.

- Tak więc tej nocy, kiedy umarła, prosił ją pan, żeby do niego nie jechała.

- Chciałem, żeby się zatrzymała i zastanowiła.

- A kiedy tego nie zrobiła, pobiegł pan za nią na podjazd.

- Tak.

- Czy wtedy jej pan dotknął?

Ernie spojrzał na przysięgłych.

- Co najwyżej chwyciłem ją za ramię - odpowiedział w końcu. - Żebym mógł jej coś jeszcze powiedzieć.

- Co takiego?

- Żeby nie jechała.

- A kiedy nie usłuchała, pojechał pan za nią.

- Tak.

Tony milczał przez chwilę.

- Jechał pan za nią, żeby zobaczyć, kim jest ojciec dziecka -powtórzył cicho.

Ernie kręcił się na miejscu dla świadków, doskonale rozumiejąc, jak to teraz zabrzmiało.

- Tak.

- I dowiedział się pan, nieprawdaż? - Adwokat urwał, pilnując się, by nie podnieść głosu. - Śledził

pan Marcie Calder aż do stacji benzynowej i zobaczył pan, jak wsiada do samochodu, w którym był Sam Robb. A potem pojechał pan za nimi do parku.

Pierś Erniego zafalowała.

- Nie - powiedział chrapliwie. - Wróciłem do domu. Tak jak powiedziałem.

- Która była wtedy godzina, panie Nixon?

- Około ósmej trzydzieści.

- Czy ktoś pana widział?

Mężczyzna ze znużeniem pokręcił głową.

- Nie wiem. Zależy od tego, czy ktoś mnie obserwował.

Tony podszedł bliżej.

- Pan dobrze zna park Taylorów, prawda?

Zapadła cisza. Tony dałby wiele, żeby nie widzieć bardzo osobistego spojrzenia Erniego, w którym ten zarzucał mu zdradę. Zbyt żywo przypominało ono dzień, kiedy nastoletni Murzyn zaprowadził białego chłopaka do parku, by wyrazić swoje przekonanie o jego niewinności.

- Wie pan o tym - rzekł cicho Ernie. - Jako dziecko bawiłem się tam.

- I ukrywał się pan tam.

- Tak.

- Czasami nawet sypiał pan tam w nocy.

- Tak.

- I zna pan tam wszystkie kryjówki.

Ernie ponownie założył ręce na piersiach, a jego oczy znowu były bez wyrazu.

- Byłem dzieckiem - powtórzył. - Dzieci lubią się chować. Dorośli nie.

Tony podniósł głowę.

- Czy może pan w jakikolwiek sposób udowodnić, że gdy Marcie Calder była w parku Taylorów, pan jej nie obserwował?

Zapytany popatrzył na niego pewnie.

- O ósmej osiemnaście zadzwoniłem do mojej żony. Wciąż mam to na billingu - odparł.

Tony zdziwił się wtedy po raz pierwszy. Wyobraził sobie, jak Stella, znając lub domyślając się jego zamiarów, wypytuje Erniego na wszystkie możliwe strony, jak może wyeliminować albo skrócić czas, na który nie ma alibi. Choć z drugiej strony nie zamykało to drzwi: mimo że dzwonił o ósmej osiemnastce, miałyby jeszcze odrobinę cennego czasu, by popełnić morderstwo. Tak obojętnym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć, adwokat sapytał:

- Jak długo pan z nią rozmawiał?
- Nie rozmawiałem. Odezwała się automatyczna sekretarka.
- Zostawił pan wiadomość?
- Nie. Nie miałem nic do powiedzenia do sekretarki.

Tony od razu zrozumiał, że to mogło brzmieć jak alibi: rozmowa mająca umieścić Erniego w domu. Sceptycznym tonem zapytał:

- A dlaczego pan w ogóle telefonował?

Ernie przyjrzał mu się.

- Chciałem prosić Dee, żeby wróciła. Żeby dała mi jeszcze jedną szansę - odpowiedział cicho.
- Czy wcześniej rozmawiał pan z nią o tym?
- Od wielu miesięcy nie. - Ernie urwał i spojrzał Tony'emu prosto w oczy. - Tamtej nocy myślałem o wielu rzeczach. Aż przywiodło mnie to do Dee. Do Dee i naszych dzieci.

Jeśli spróbuję pójść za jego tokiem myślenia, pomyślał Tony, to nie wydaje się to wykluczone: mężczyzna, który patrzy, dokąd zawiodła go na wpół świadoma fantazja, i który gwałtownie wraca do tego, co ważne i rzeczywiste.

- Czy poprosił pan żonę, by wróciła?

Ernie z wolna pokręcił głową.

- Następnego ranka wydało mi się to beznadziejne. Chodzi o różnicę między dniem a nocą.

Być może była to prawda - albo wymówka, że nie odbył rozmowy, której wcale nigdy nie pragnął, a o której wspominał jedynie po to, by ukryć teraz swoje kłamstwo. Ale przynajmniej zaprowadziło to Tony'ego tam, gdzie musiał dotrzeć po tym, jak trzy miesiące wcześniej obiecał Sue Robb, że spróbuje zwrócić jej niewinnego męża.

Gdy Tony podchodził z powrotem do biurka obrony, czuł, że przysięgli odprowadzają go wzrokiem. Uśmiechając się ledwo dostrzegalnie - jedynie koniuszkami oczu - Saul wręczył mu małą, szarą kopertę.

Tony rozpieczętował ją i wyjął ze środka czarny plastikowy zegarek.



- Wysoki Sądzie, mam tu przedmiot, który uznajemy za dowód obrony numer jeden. Jak państwo widzą, to plastikowy zegarek. Proszę Wysoki Sąd o uznanie go za dowód rzeczowy, żebym mógł pytać o to pana Nixona - powiedział.

Sędzia Karoly obrócił się do Stelli.

- Pani Marz?

Prokurator wstała.

- Nie rozumiem, czym się zajmujemy, Wysoki Sądzie. O ile wiem, ów zegarek nie ma nic wspólnego ze sprawą.

Tony postąpił naprzód.

- Za pozwoleniem, zadam jedno lub dwa krótkie pytania. Pytania, które mogą potwierdzić pani słowa. Mogę zaprotokołować oświadczenie, że kupiłem wczoraj ten zegarek w drogerii.

Karoly uniósł brwi.

- Proszę bardzo, panie Lord.

Tony szybko podał zegarek Erniemu.

- Przypomina pan sobie, czy tego rodzaju zegarek miała na rękę Marcie Calder w nocy, kiedy umarła?

Mężczyzna dotykał zegarka palcami, marszcząc przy tym czoło.

- Naprawdę nie pamiętam.

- Proszę się dobrze przyjrzeć.

Ernie obrócił go w dłoni.

- Naprawdę, nic z tego - rzekł znużonym głosem. - Tamtej nocy jej zegarek był ostatnią rzeczą, na jaką zwracałem uwagę.

Tony wzruszył ramionami.

- Dobrze - rzekł i odebrał mu zegarek.

Patrząc na sędziego Karoly'ego, Stella powiedziała:

- To my mamy zegarek Marcie Calder, Wysoki Sądzie. Ten zegarek niczego nie dowodzi i wobec tego jest bezużyteczny jako dowód rzeczowy.

- Biorąc pod uwagę zeznanie pana Nixona, nie będziemy się spierać - rzekł Tony do Karoly'ego. Włożył zegarek z powrotem do koperty i wręczył ją Saulowi, który przybrał znużoną minę. Po

chwili ponownie zwrócił się w stronę Erniego. Zapytał spokojnym tonem: - Czy uważa pan siebie za człowieka gwałtownego?

Tamten wyprostował się z prawdziwą, choć słabą godnością.

- Nie - odparł przez ściśnięte gardło. - Nie uważam.

- No to może powie mi pan, dlaczego rozpadło się pana małżeństwo?

- Dee i ja kłóciliśmy się. Nie lubiła Lake City...

- Nie lubiła, kiedy ją bito, zgadza się?

Wbrew sobie Ernie się wzdrygnął.

- Sprzeciw - powiedziała Stella. - To nie ma związku ze sprawą.

Patrząc na sędziego Karoly'ego, Tony rozłożył ręce.

- Czy naprawdę muszę to wyjaśniać, Wysoki Sądzie?

Zmrużywszy oczy, Karoly przyglądał się świadkowi.

- Nie. Nie musi pan. Sprzeciw oddalony.

Gdy Tony obracał się ku Erniemu, zauważył, że za jego przykładem - jakby domagała się odpowiedzi - poszła kosmetyczka.

- Zapytam jeszcze raz, panie Nixon. Czy pana żona oponowała, kiedy uderzył ją pan w twarz?

Na obliczu Erniego malował się wstyd i wściekłość.

- To się zdarzyło tylko raz... raz w ciągu piętnastu lat małżeństwa... a pan mówi do mnie, jak...

- Czy zadał jej pan ból? - przerwał mu Tony.

- Tak. Ten jeden raz.

- I, ten jeden raz, jej wargi najpierw krwawiły, a potem spuchły?

Ernie westchnął.

- Tak.

- I po kilku dniach żona pana opuściła.

- Tak.

- A więc tak naprawdę oznaczało to koniec pana małżeństwa?

- Na to złożyło się wiele rzeczy...

- Co takiego, pańskim zdaniem, uczyniła pańska żona, że zasłużyła sobie na uderzenie w twarz? Nie wspominając już o tym, że aż tak mocne.

- Żadna kobieta na to nie zasługuje. Pokłóciliśmy się, a Dee powiedziała coś, co mnie zraniło, więc nie zastanawiając się, uderzyłem ją. Od razu ją potem przeproszałem...

- Ale wtedy ona już krwawiła - przerwał mu cicho Tony.

- Tak.

- Musiał pan być bardzo rozgniewany, panie Nixon.

- Tak, byłem. Ale tylko w tej jednej chwili.

- Chwila wystarczy. Więc może powie nam pan dokładnie, co takiego powiedziała pana żona, że doprowadziło to pana z równowagi.

Ernie patrzył na niego szklistym wzrokiem.

- Nie pamiętam.

- Doprawdy? Czy nie pojawiło się tam nazwisko Marcie Calder?

-Nie pamiętam.

- A chcąc być dokładnym, czy pana żona nie powiedziała, że Marcie Calder gra w pana fantazji na temat białej dziewczynki, i nie oskarżała pana, że chce się pan z nią przespać?

Cały czas uchylając się od odpowiedzi i nie mając siły, by się odwrócić, Ernie zebrał w sobie resztkę godności. Siedząc z rękami założonymi na piersiach, odpowiedział cicho:

- W małżeństwie mówi się wiele okropnych rzeczy. Najlepiej jest ich nie pamiętać.

Tony obdarzył świadka długim, pełnym niedowierzania spojrzeniem, na które ten sobie zasłużył.

- Tak - odpowiedział tym samym cichym głosem. - Ja też wolałbym tego nie pamiętać. Zwłaszcza teraz.

Nixon tylko popatrzył na niego. Jego wrażliwa twarz była zupełnie bezbronna, pozostała na niej tylko ta maska, którą Tony zapamiętał z czasów swojej młodości: znużony fatalizm chłopca, którego nauczono, by oczekiwał niewiele lojalności lub przyjaźni. Nagle Tony poczuł, że nie może już na niego patrzeć.

- Nie mam więcej pytań - zwrócił się do Karoly'ego i usiadł.

Na końcu - tak jak na początku - spojrział na Sue, która patrzyła na niego ze współczuciem.

Tej nocy Tony wypił dwa kieliszki martini. Gdy był w połowie drugiego, zaczął sobie wyobrażać Erniego Nixona chodzącego po jego pustym mieszkaniu. Jaką będzie miał noc, zastanawiał się, i jaki czeka go poranek?

- Gówniany - powiedział na głos.

Saul wzruszył ramionami.

- Co znaczy jedno czy drugie zniszczone życie? Zrobiłeś swoje. - Urwał, po czym kontynuował łagodniej: - Miałem nadzieję, że się tego nie podejmiesz. Ale to zrobiłeś, a teraz Sam jest twoim klientem, naszym klientem. Więc nic na to nie poradzimy.

- A nie ma nic bardziej żałosnego niż prawnik, który post factum ma wyrzuty sumienia, prawda? Pławi się w tym, jaką to ma wrażliwą duszę.

Saul rozejrzał się po zadymionym barze, jednej z kilku knajp, które odwiedzali jeszcze - jak to mówił - stali bywalcy, gotowi spojrzeć śmierci w oczy, kiedy napełniali sobie nią płuca.

- Powiedz mi, czy jest choć cień szansy, że to Ernie ją załatwił? - spytał.

- Może cień. Moim zdaniem, Ernie wypadł aż tak źle nie dlatego, że ją zamordował, ale dlatego, że o pewnych sprawach dotyczących jego samego nie chce wiedzieć, a jeszcze innych nie chce nikomu zdradzić. A więc jest taki sam jak każdy z nas. - Tony napił się jeszcze. - Niemniej jednak teoretycznie jest to możliwe, a tego właśnie potrzebuje Sam.

Saul skrzywił się.

- Nawet on nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Cóż, to nie jest mecz koszykówki, prawda?

Saul milczał przez chwilę.

- Raczej nie - odrzekł.

## DZIESIĘĆ

Następnego ranka nagłówek w „Steelton Press” oznajmiał: „Lord podejrzewa głównego świadka”. Obok widniało zdjęcie Erniego Nixona, który opuszczał sąd ze wzrokiem odwróconym od kamery. Tony nie kupił gazety.

Po przyjeździe do sądu wyczuł w nim inną atmosferę. Przybyło więcej dziennikarzy, włączając w to reporterów „60 Minutes”. Inny, z „Vanity Fair”, chciał przeprowadzić z nim wywiad na temat Alison Taylor. Sue i dzieci Robbów - ostrożny, ciemnowłosy Sam junior i wysoka blondynka Jennifer - siedzieli w pierwszym rzędzie, nie zwracając uwagi na media. Ale Calderowie zaczęli rozmawiać z dziennikarzami. Wiedząc, że przywiodła ich do tego wściekłość, którą wzbudziło w nich przesłuchanie Erniego, Tony pomyślał z melancholią, że tym, którzy zaczynają karmić prasę, często trudno z tym skończyć.

Sam niewiele mówił, zapytał tylko Tony’ego, czy jego zdaniem Ernie Nixon zabił Marcie Calder. Obrońca wyczuł niepokojący podtekst - że Sam zadał to pytanie trochę tak jak Saul: bez wiary i złości. Zastanawiając się, czy ta myśl bierze się z jego podejrzliwości wobec klienta, czy też z własnego rozdartego sumienia, adwokat popatrzył na wskroś sali na Stellę Marz.

Wyglądała jak prawnik, który ma za sobą nie przespaną noc. Nie przywitała się z Tonym po przyjeździe ani teraz. Przyglądając się jej, Saul Ravin mruknął do Tony’ego:

- To wojna, bez dwóch zdań.

Tony’ego uderzyło, że Saul dawał sobie radę lepiej od niego. Przez całe ich sesje planowania strategii, które trwały do późna w nocy, Saul kontrolował picie i chociaż na jego obwisłej twarzy widać było zmęczenie, nie było na niej tłu kolorów, ile na twarzy Tony’ego, a brązowe oczy miał wciąż jasne i czyste. Zupełnie jak Sam, pomyślał ze zdumieniem Tony, choć w przeciwieństwie do jego przyjaciela zwiększona witalność Saula nie budziła niepokojących pytań.

- Rzeczywiście - przyznał Tony, a Stella wezwała Jacka Seeda.

Detektyw z policji w Lake City był zadbany i uprzejmy, a jasne, szare oczy przydawały jego twarzy wyrazu wnikliwości. Już po pierwszych kilku pytaniach Tony zorientował się, że był to doskonały policjant dla tej ławy przysięgłych: zdolny, metodyczny i biały - wcielenie władzy dla tych, którzy chcieli jej zaufać. Uwaga, jaką przysięgli poświęcali przedstawicielowi prawa, świadczyła o tym, że mu zaufali.

Stella i Seed przedstawili szybko, co się stało, gdy Marcie zniknęła: odkrycie jej samochodu za opuszczoną stacją benzynową; bezowocne przeszukiwania wśród pobliskich drzew w pierwszych

promieniach szarego i deszczowego poranka; brak wskazówek dotyczących miejsca przebywania dziewczyny i tożsamości jej starszego kochanka, o którym mówiła Janice; zaskoczenie Seeda, gdy Sam Robb, człowiek, którego znał od lat, pojawił się na komendzie, aby zeznać, że był z Marcie Calder poprzedniej nocy; a potem pierwsze chwile w parku Taylorów. Sam położył ręce na stole i splótł przed sobą dłonie, jakby szykował się na długą przeprawę.

- A więc wysiedliśmy z samochodu - ciągnął Seed - i poszliśmy w stronę, w którą według Sama pobięła Marcie Calder. Padał deszcz, trawa była mokra. Ale blisko skraju klifu, gdzie zamiast trawy było błoto, odkryłem ślady.

Stella milczała przez chwilę, opierając się jedną dłonią o biurko oskarżyciela.

- Czy mógłby je pan opisać?

- Wydawało się, że są to odciski sportowego buta, męskiego, sądząc po rozmiarze i kształcie. Prowadziły od trawy na skraj klifu. Obok tych odcisków, równoległe, wryte były w błocie dwie płytkie, nieregularne linie. Moim zdaniem, wyglądały na ślady jakiejś ciągniętej osoby. Dlatego też ominęliśmy ślady i poszliśmy za nimi do krawędzi.

Na ławie dietetyczka zakryła dłonią oczy.

- A kiedy stanęliście już przy krawędzi, co pan zobaczył?

Seed spojrzał spokojnie na Stellę.

- Głęboką na dwadzieścia metrów przepaść. Potem, niemal u podstawy klifu, dostrzegłem ciało kobiety: leżała na plecach. Nawet z daleka widać było, że jest młoda, a jej włosy są długie, proste i czarne, jak włosy Marcie Calder na zdjęciu, które dali nam jej rodzice. - Seed kontynuował ciszej: - Miała na sobie bluzę Lake City, tak jak powiedziała jej mama.

Tony zobaczył, że Nancy Calder płacze po cichu. Jej mąż niezdarnie objął ją ramieniem.

- A oskarżony? - zapytała cicho Stella.

- Spojrzał raz na ciało, a następnie usiadł na krawędzi klifu. Powiedział tylko: „To ona”.

- A co potem pan zrobił?

- Posadziłem Sama na tylnym siedzeniu i wezwałem karetkę, mając nadzieję, że może jednak Marcie jeszcze żyje. Później wezwałem ludzi z naszego laboratorium kryminalistycznego oraz koronera hrabstwa i zszedłem na dół, by zobaczyć ciało. - Seed urwał, patrząc nieruchomo w jedno miejsce, jakby przypominał sobie, jak wyglądała wtedy Marcie. - Jak tylko jej dotknąłem, wiedziałem, że nie żyje. Przyjechała karetka, a potem ci z laboratorium. Kazałem im oznaczyć miejsce zbrodni: na skarpie i wokół ciała Marcie, po czym zawiozłem go z powrotem na komendę.

Sposób, w jaki powiedział „go”, nagle tak bezosobowo, oddawał wciąż wyraźny w pamięci Jacka Seeda moment, w którym Sam z przyjaciela zmienił się w podejrzanego.

- Czy poprosił go pan o złożenie oświadczenia? - zapytała prokurator.

- Tak, o dobrowolne, ponieważ nie został aresztowany, a my nie wiedzieliśmy, co mamy. Potrzebowaliśmy wszystkiego, co Sam mógł nam powiedzieć.

- I co odpowiedział?

- Że będzie współpracował, jak to tylko możliwe. - Przez chwilę w głosie Seeda słychać było sarkazm. - Oświadczył, że powie nam wszystko, co wie. Więc wzięliśmy go z Carlem do pokoju dla świadków i włączyliśmy magnetofon.

Tony dobrze pamiętał to pomieszczenie: izdebka miała rozmiary dwa i pół na dwa i pół metra. To w nim dwadzieścia osiem lat wcześniej policjanci Dana i McCain poddali go czemuś tak traumatycznemu, ale i surrealistycznemu, że jego wspomnienia, choć wyraźne, miały coś z tej halucynacji, jaką był ów nowy koszmar na temat Alison. Zauważył, że dłonie mu zwilgotniały, opanowało go refleksyjne współczucie dla Sama.

- Jak zachowywał się oskarżony - spytała Stella?

Seed znowu spojrział na Sama.

- Wydawało się, że był pogrążony w żalu i jakby oszołomiony. Chciał tylko, pamiętam, jak to mówił, pomóc nam.

- Czy ma pan taśmę z tą rozmową?

Tony, który słyszał to wiele razy, zapragnął gorąco, by odpowiedź brzmiała „nie”. Kiedy Seed pokazał kasetę, a Stella włożyła ją do magnetofonu, Sam się odwrócił.

Głos Sama słychać było na całej sali. Na taśmie brzmiał dziwnie pusto, ale słychać w nim było emocje. Tony pomyślał, że to może być kolejny powód, dla którego dziś przysięgli słyszą tu jego klienta po raz ostatni: zapamiętają zbyt dobrze opowiedane przezeń kłamstwa.

- To był błąd - powiedział Sam do Seeda. - Straszny, głupi błąd. Ale nie wiedziałem, czego chciała Marcie, a wydawała się... nie wiem... tajemnicza i taka zrozpaczona. Mówiła, że nikt nie może się dowiedzieć, że rozmawialiśmy, ani nawet nas zobaczyć... - Głos Sama zamarł, a potem mężczyzna mruknął. - Boże, Jack, myślałem, że to narkotyki albo coś takiego, może anoreksja, problemy emocjonalne. Była taka chuda...

- A więc wyglądała niedobrze?

Głos Jacka Seeda wyrażał współczucie i akceptację. Tony stwierdził, że jest coś niesamowitego w słuchaniu dwóch udających łatwowierność kłamców, i zastanawiał się, czy któryś z nich wierzył drugiemu.

- Tak. Poza tym wczoraj nie było jej też na treningu - odparł Sam.

- Więc przysłała, kiedy trening się kończył.

- Mhm. To też było dziwne: opuściła trening, a zaraz potem się pokazała. Ale były tam inne dzieciaki, a Marcie musiała chyba iść na kolację. Dlatego chciała porozmawiać później. Wieczorem.

- Ale nie u ciebie w biurze.

- Nie. - Sam zdawał się zawstydzony. - Powiedziała, że jest niedobrze i że to nie może czekać. Znowu zacząłem myśleć o narkotykach... może wiedziała, które dzieciaki je rozprawdzają. Ostatnio mieliśmy z nimi problem, chyba o tym wiesz...

- Tak, wiem...

- Cholera, Jack, nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. - Nagle zaczął mówić mniej wyraźnie. - Jak to się mogło stać?

- Nie wiem, Sam. Nie wiem. Możesz nam tylko pomóc. - Seed urwał na chwilę. - Rozumiem, że powiedziałaś o tym Sue?

W ciszy, zakłóconej tylko przez obracającą się taśmę, kosmetyczka spojrzała na Sue. Tony wyobraził sobie, jak ta kobieta zastanawia się, czy żona Sama może jeszcze wierzyć w niewinność swojego męża.

- Nie - wymamrotał głos Sama na taśmie. - Nie powiedziałem jej. Powiedziałem tylko tyle, że idę pracować.

Seed nic nie odpowiedział, a Tony wyobraził sobie, jak Sam wierci się po drugiej stronie stołu.

- Ja znam Sue - dodał w końcu Sam. - Powiedziałyby mi, że to głupie, i miałyby rację. Ale Marcie tak nalegała... Powiedziała tylko, żeby się z nią spotkać przy stacji benzynowej. Nawet nie pomyślałem, że chciałyby pójść sama do parku.

Tony w napięciu przyglądał się Stelli Marz, która ze zmrużonymi oczami przysłuchiwała się nagraniu. Kłękcie zaciśniętych dłoni Sama zbiegały.

- A więc spotkałeś się z nią przy stacji benzynowej? - zapytał Seed.

- Tak. - Słysząc było, jak Sam urywa, by nabrać powietrza, a jego głos zadrżał. - To było takie dziwne, Jack... po prostu takie dziwne. Marcie powiedziała, że nie będziemy mogli rozmawiać, dopóki nie zostaniemy naprawdę sami. Była taka spięta i nalegała tak uporczywie, więc pomyślałem, że może rzeczywiście się kogoś boi. Jakby się bała, że ktoś ją śledzi.

Słuchając, Tony poczuł, że skóra mu cierpnie. Krew zmroziły mu nie tyle kłamstwa Sama, ile sposób, w jaki je wypowiadał: jego pełne zaskoczenia przerwy, wybuchy niedowierzania, wyczuwalne wyraźnie emocje. Ale te emocje - strach i być może poczucie winy - mogły być całkiem autentyczne, podobnie jak niedowierzanie mogło brać się z tego, że był niewinny nie romansu, lecz morderstwa. Najlepsze kłamstwa, Tony przypomniał sobie słowa Sama, mają oparcie w prawdzie. I wtedy przyszło mu do głowy, iż Marcie rzeczywiście mogła się bać, że ktoś ją śledzi. Mogła mieć na myśli Erniego Nixona.

- A więc zawiozłeś ją do parku - powiedział cicho Jack Seed.



- Tak.

- I co było dalej?

- Och, stary...

Głos Seeda znów był teraz delikatny.

- O co chodzi, Sam?

- Ona się we mnie bujała.

- Bujala?

- Nie. Chodziło o coś więcej. - Sam mówił niskim głosem, przerażony tym, gdzie się znalazł. - Ta młoda dziewczyna, którą, jak mi się wydawało, znałem, powiedziała najśłodszym głosem, jaki możesz sobie wyobrazić, że się we mnie zakochała i że chce mieć ze mną romans.

Na twarzach przysięgłych pojawił się wyraz zacięcia. Tony pomyślał, że bez względu na to, co myśleli o morderstwie, już do końca procesu będą pogardzać Samem Robbem. Na taśmie Seed zastanawiał się w milczeniu, co odpowiedzieć, a Tony zauważył, że Sue zamknęła oczy. Jennifer chwyciła matkę za rękę, a Sam junior niemal niezauważalnie przysunął się bliżej. Siedzący z tyłu rodzice Marcie patrzyli wprost przed siebie, jakby nie mogli spoglądać na Sama.

Z taśmy padło pytanie policjanta:

- Co jej odpowiedziałeś, Sam?

- Boże. - Był to zdziwiony głos człowieka, który przypomina sobie swój szok. - Byłem tak zaskoczony, że nie pamiętam, bym od razu jej coś odpowiedział. Wzięła moją rękę i włożyła sobie pod bluzę. Nie miała stanika... To było jak porażenie prądem, zupełnie się obudziłem. Siedziałem w nocy w samochodzie, dotykając piersi szesnastolatki, która mnie pragnęła. Nagle zobaczyłem siebie: to, jaki byłem głupi, że jej nigdy nie rozumiałem. - Głos Sama przycichł. - Kiedy cofnąłem rękę, powiedziała: „Nie, pragnę cię”.

Słuchając nagrania, Tony stwierdził, że było to bardzo bliskie opowieści, którą tylko on usłyszał: wersji „uwiedzenia” Sama przez Marcie Calder, którą przyjaciel przedstawił mu z taką samą szczerością. Ale Tony’ego zaniepokoiło nie to, czy było to kolejne oparte na prawdzie kłamstwo z elementami rzeczywistego zachowania Marcie, ale czy w głębi swej psychiki Sam nie potrzebował młodych dziewcząt, by czuć podniecenie.

- Co się wydarzyło później? - zapytał Seed.

- Spanikowałem. „To szaleństwo”, powiedziałem i się opanowałem. „Posłuchaj, powiedziałem, nie możemy tego zrobić. Ty masz szesnaście lat, a ja jestem za ciebie odpowiedzialny. Tego nigdy nie powinno się robić”. Potem powiedziałem jej, że jeśli naprawdę jej na mnie zależy, to powinna pomyśleć, jaki to byłby kłopot dla mnie. I dla Sue. Marcie zaczęła płakać. Łkała tylko i nawet nie mogła mówić. - Nagle w głosie Sama zaczął dominować żal. - Powiniennem zdać sobie sprawę, jak bardzo się przejęła, Jack. Ale tak się bałem o swój tyłek, że odczekałem chwilę, a potem położyłem

ręce na jej ramionach i powiedziałem: „Musimy iść, Marcie. Naprawdę, musimy stąd odejść. Zanim ktoś sobie coś pomyśli”.

W końcu Stella Marz spojrzała na Tony’ego, unosząc brwi w geście znużenia i odrazy. Za nią sklepikarz nachmurzył się, a właściciel magazynu wbił wzrok w swoje ręce.

- Jak zareagowała Marcie? - zapytał cicho Seed.

Sam mówił monotonnym, zmęczonym głosem.

- Otworzyła drzwi i zanim udało mi się ją powstrzymać, pobiegła w kierunku jeziora. Ruszyłem za nią... - Umilkł.

- A co potem?

- Zatrzymałem się i wróciłem do samochodu. Za bardzo się bałem, że ktoś mnie zauważy. - Głosu trenera prawie nie było słychać. - Pozwoliłem zdenerwowanej, targanej emocjami dziewczynie pobiec samej w noc. A teraz wyobrażam sobie, jak spada z klifu...

Na sali sądowej po twarzy Sama Robba zaczęły płynąć łzy.

Dietetyczka spojrzała na niego z konsternacją. Sam trzymał głowę uniesioną wysoko i nie ocierał łez, jakby ich nie zauważał.

Zdumiony Tony przyglądał mu się. Pomyślał, że jeśli to tylko udawany żal, to Sama Robba naprawdę trzeba się bać. Lecz oprócz swojej żony aktorki Tony nie znał chyba nikogo, kto potrafiłby się rozpłakać na zawołanie, a ta część opowieści: zniknięcie Marcie, wyglądała tak samo, jak mu ją przedstawił. Jeśli chodzi o oskarżenie o zabójstwo, tylko ten fragment naprawdę się liczył.

- Odjechałem - powiedział Sam do detektywa. - Po prostują tam zostawiłem. Na chwilę w moich reflektorach pokazał się samochód, który zatrzymał się za nami, i zobaczyłem czyjaś głowę nad tablicą rozdzielczą. Nie potrafię powiedzieć, czy była to głowa mężczyzny, czy kobiety, ani jaki to był samochód. Chciałem tylko jak najszybciej odjechać. - Jego głos, pełen żalu i wstydu, załamał się. - Marcie może wrócić do swojego samochodu, powtarzałem sobie. W końcu to tylko pół kilometra...

Na długą chwilę zapadło milczenie. Seed spytał łagodnie:

- Czy powiedziałaś już Sue?

- Nie. - Sam załamał się całkiem. - Nie...

Jakby imię żony go obudziło, Sam otarł łzy z twarzy. W tym też momencie Stella Marz wyłączyła magnetofon.

Wstała szybko.

- Czy wkrótce potem, detektywie Seed, poszedł pan do domu Sama Robba?

Policjant milczał przez chwilę, jakby wciąż myślał o taśmie i o przerażającym wizerunku

człowieka, którego kiedyś, jak mu się zdawało, znał.

- Tak. Z detektywem Talleyem.

- I co panowie zrobiliście?

- Skonfiskowaliśmy volvo, które wtedy prowadził. Żeby poszukać w nim dowodów rzeczowych.

- Znaleźliście coś?

Seed spojrział na Sama.

- Smugę czegoś, co wyglądało na krew. Na kierownicy - odparł.

- Wysłał pan tę próbkę do analizy do biura koronera hrabstwa? Wraz z próbką krwi Sama Robba?

- Tak.

- Czy grupa krwi z próbki pobranej z kierownicy zgadzała się z grupą oskarżonego?

Tony wiedział, że mógł zgłosić sprzeciw. Jednak koroner tylko by to potwierdził, a Tony wyglądałby na jeszcze jednego męczącego prawnika, który nieustannie ma jakieś drobne zastrzeżenia. W milczeniu patrzył, jak Seed potrząsa przecząco głową.

- Pan Robb ma krew grupy 0. Krew z samochodu miała grupę AB.

Stella położyła ręce na biodrach.

- A jaką grupę krwi miała Marcie Calder?

- Taką samą. AB - odparł.

- Czy podczas dochodzenia zabezpieczył pan jeszcze coś, co należało do pana Robba?

Seed z wolna skinął głową.

- Zabezpieczyliśmy ubranie, które według Sama miał wtedy na sobie. I parę adidasów, żeby porównać ich odciski ze śladami, które znaleźliśmy na skraju klifu.

- Jaki to był rozmiar?

- Jedenaście.

Stacey odczekała chwilę.

- A numer butów pana Robba?

Tony to wiedział, ale nie przysięgli. Seed po raz pierwszy spojrział na nich.

- Jedenaście - odpowiedział.



## JEDENAŚCIE

Stając przed Jackiem Seedem, Tony pomyślał, że gdyby mieszkał w małym miasteczku, sam chciałby mieć takiego policjanta: zdolnego, prostolinijnego i troskliwego.

- Zapytam dla formalności, detektywie Seed. Pan znał Sama Robba przed zniknięciem Marcie Calder, zgadza się?

Seed skinął głową.

- Zgadza się. On mieszka w Lake City chyba przez całe swoje życie i od lat jest wicedyrektorem liceum.

- Czy zanim pan Robb zjawił się na komendzie, chciał pan go zapytać o miejsce pobytu Marcie Calder?

Seed spojrział na Sama ze zdziwieniem.

- Nie.

- Tak naprawdę nie wiedział pan o żadnym związku Sama Robba z Marcie.

- Zgadza się. Poza tymi, które miał z nią w pracy, podobnie jak ze wszystkimi innymi uczniami.

- I nie miał pan pojęcia, gdzie Marcie była tamtej nocy.

- Nie.

- Więc w gruncie rzeczy znalazł pan jej ciało dopiero wtedy, gdy Sam Robb zaprowadził pana do parku Taylorów?

Seed zmarszczył brwi.

- Ty była tylko kwestia czasu, i to niedługiego. Ale tak, to prawda.

Tony mówił teraz powoli i dobitnie.

- Czy odkąd znalazł pan ciało, detektywie Seed, ktokolwiek w Lake City, oprócz Sama Robba oczywiście, zgłosił się i opowiedział o swoich powiązaniach z Marcie Calder?

Seed zmrużył oczy i zdawał się nad tym zastanawiać.

- Nikt.

Tony spojrział na przysięgłych i zauważył, że pilnie się przysłuchują, a potem zobaczył, że Stella Marz chciała już zgłosić sprzeciw.

- Tak więc - kontynuował - jedynym powodem, dla którego Sam Robb siedzi tu dziś, oskarżony o spowodowanie śmierci Marcie Calder, jest fakt, że to on przyszedł do pana, gdy zgłoszono zaginięcie Marcie.

- Sprzeciw! - zawołała natychmiast Stella. - Obrona skłania świadka do snucia spekulacji. Wiemy tylko to, co się naprawdę wydarzyło, a nie co mogłoby się wydarzyć, gdyby wypadki potoczyły się inaczej.

Karoly skinął głową.

- Podtrzymuję.

Tony był na to przygotowany: przedstawił swój punkt widzenia ławnikom i miał pytanie, któremu Stella nie mogła się sprzeciwić.

- Ale nie znalazł pan w Lake City nikogo, kto mógłby powiązać Sama Robba z nazwiska ze zdarzeniami dotyczącymi śmierci Marcie?

Seed z wolna pokiwał głową.

- Nie, proszę pana. Nie znaleźliśmy nikogo takiego.

- Nikt nawet nie zeznał, że widział Sama Robba tamtej nocy w parku Taylorów, zgadza się?

- Tak jest.

- A więc nawet teraz nie ma pan żadnego świadka, który mógłby powiązać osobę Sama Robba ze zdarzeniami dotyczącymi śmierci Marcie?

- Nie mam.

To w zupełności wystarczało, pomyślał Tony, by pokazać przysięgłym, jak szczerzy był Sam w stosunku do policji, a brnięcie w to stwarzało problem: jeśli Sam Robb był jedynym świadkiem, ławnicy mogli zacząć się zastanawiać, czy nie powinien aby zeznawać w swoim imieniu. Tony przeszedł szybko do następnej sprawy.

- Czy na podstawie pana znajomości prawa uważał pan, że przychodząc do pana, Sam Robb może zniszczyć swoją karierę? Ze może nawet stracić pracę? - zapytał.

- Sprzeciw! - krzyknęła Stella. - Nie ma żadnych podstaw, by zakładać, że świadek w i e, jakie mogły być tego konsekwencje. To też skłania świadka do snucia spekulacji.

Tony zauważył, że Karoly wyglądał na zaintrygowanego. Ale sprzeciw był uzasadniony.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział i dodał: - Może pan inaczej sformułuje pytanie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Tony zwrócił się z powrotem w stronę Seeda. - Sam Robb zgłosił się do pana dobrowolnie, żeby opowiedzieć, gdzie i kiedy był z Marcie Calder?

- Tak.

Tony odczekał chwilę.

- Czy nie wydaje się panu zrozumiałe, że oskarżony nie chciałby się przyznawać do takiego związku, który mógł mu zniszczyć karierę? - zapytał.

- Sprzeciw! - zawołała ostrym tonem Stella. - Co się wydaje zrozumiałe dla tego świadka, nie musi być zrozumiałe dla pana Robba.

- Podtrzymany - postanowił Karoly.

Ale Tony się tego spodziewał. Znowu udało mu się przedstawić swój pogląd ławnikom.

Raz jeszcze obrócił się do Jacka Seeda.

- Po tym, jak Sam Robb dobrowolnie złożył zeznanie, poprosił go pan o oddanie próbki krwi, czy tak?

- Tak.

- I pan Robb dał ją również dobrowolnie?

- Tak.

- I, jak już pan wspomniał, pozwolił panu wejść do swojego domu?

- Dzień czy dwa później, tak.

- Wtedy też pan Robb dał panu ubranie i buty, które miał na sobie tamtej nocy.

Seed milczał kilka sekund.

- Te, które według niego miał wtedy na sobie. Tak.

- Dopóki nie zjawiłem się w Lake City, Sam Robb nie miał obrońcy, zgadza się?

- My żadnego nie widzieliśmy

- Nawet jeszcze po tym, jak skonfiskowaliście samochód jego żony?

- Zgadza się.

- Trwało to w przybliżeniu tydzień?

- Tak.

- Czy w tym czasie pan Robb odmówił jakiegokolwiek prośbie udzielenia informacji?

Seed zacisnął usta.

- Nie, proszę pana. Nie odmówił.

- Po tym, jak skonfiskował pan samochód, Sam Robb poinformował pana, że wezwał adwokata, tak? Kogoś, kto był też jego starym przyjacielem.

- Tak.

- I, dla formalności, tym adwokatem byłem ja?

- Tak właśnie powiedział.

- Czy Sam Robb powiedział też panu, że doradziłem mu, iż lepiej będzie, jeśli w przyszłości to ja będę odpowiadał w jego imieniu?

- Powiedział.

Tony przechylił głowę na bok.

- Czy od tamtej pory, detektywie Seed, policja z Lake City prowadziła dochodzenie w sprawie innych podejrzanych?

Seed założył ręce na piersiach.

- Wzięliśmy pod uwagę każdą możliwość, na jaką wskazywały fakty.

- Włączając w to również samobójstwo? Albo wypadek?

- Tak.

- Ale czy gdyby miano postawić zarzuty, uznalibyście za podejrzaną jeszcze jakąś osobę?

Policjant zastanawiał się nad tym.

- Mogę tylko powiedzieć, panie Lord, że nikt inny nie został uznany za podejrzanego.

To była sprytna odpowiedź. Przez chwilę Tony wahał się, aż wreszcie przyszło mu do głowy następne pytanie.

- Czyż nie jest prawdą, że odkąd znaleźliście krew na kierownicy volvo pani Robb i od momentu, kiedy okazało się, że rozmiar buta pana Robba odpowiada temu, który znaleziono na skraju skarpy, skupiliście się na Samie Robbie jako jedynym podejrzanym w potencjalnym procesie o zabójstwo?

Seed milczał przez chwilę, a potem Tony zobaczył, że detektyw zdecydował się na szczerość.

- Niewątpliwie był najważniejszym podejrzanym. Ale mieliśmy też jego zeznanie, w którym przyznał, że był na miejscu zbrodni.



- No właśnie. Czy na podstawie pańskiego doświadczenia oraz akt zgromadzonych w pana wydziale może pan powiedzieć, że nocą przez park Taylorów przechodzi wiele osób?

- Tak.

- Mieliście tam problemy z dealerami narkotyków, prawda? Jak również z włóczęgami i bezdomnymi, którzy nocują w parku?

- To prawda.

- Czy w trakcie dochodzenia w sprawie śmierci Marcie Calder dowiadywał się pan o podobne przypadki przestępstw w innych, leżących niedaleko miejscowościach?

- Nieszczęśliwie.

- Albo czy przejrzał pan dane na temat przestępstw na tle seksualnym, które na przestrzeni ostatnich kilku lat popełniono w Lake City lub w okolicach?

- Nie zrobiliśmy tego. - Pierwszy raz Seed przeszedł do defensywy. - Dowody, które zdobywaliśmy, wskazywały, i to nam wystarczyło, że nie było to zdarzenie przypadkowe i że Sam Robb miał motyw, środki oraz sposobność.

Tony nie odzywał się przez chwilę.

- Czy zna pan sprawę ostatniego zabójstwa, do którego doszło w Lake City? Zabójstwa Alison Taylor?

Adwokat usłyszał poruszenie wśród publiczności na galerii. Siedzący z boku dziennikarz „Vanity Fair” podniósł gwałtownie wzrok znad notatek. Seed przyjrzał się Tony’emu z nie skrywanym zainteresowaniem.

- Osobiście nie - odpowiedział po chwili. - Sprawę Taylor prowadzono, zanim rozpocząłem tu pracę, a obecnie nie służy już nikt, kto nad nią pracował.

- Ale wie pan, że nie wniesiono oskarżenia?

- Tak, proszę pana. - Ton detektywa był teraz ironiczny. - Ostatnie wydarzenia zwróciły na to moją uwagę.

- Więc musi pan też wiedzieć, że podejrzanym był wówczas włóczęga, Donald White, notowany wcześniej za przestępstwa na tle seksualnym i poprzednio nie powiązany w ogóle z ofiarą, Alison Taylor?

- Wiem o tym, tak.

- Wie pan również, że zwrócono uwagę na Donalda White’a dopiero w wyniku poszukiwań w kartotekach policyjnych z innych rejonów?

- Sprzeciw - powiedziała Stella. - Nie ma podstaw, by twierdzić, że świadek miał na ten temat

wiedzę z pierwszej ręki. - Urwała i spojrzała na Tony'ego. - Co więcej, fakty dotyczące zabójstwa Taylor, jakiegokolwiek są, nie mają znaczenia dla tej sprawy. Co najwyżej w myślach obrońcy.

- Fakty rzeczywiście są bez znaczenia - powiedział Tony do Karoly'ego. - Natomiast metodologia ma znaczenie, i to bardzo duże. Moje pytanie, Wysoki Sądzie, dotyczy tego, czy policja z Lake City wzięła pod uwagę metodologię wykorzystaną w sprawie zabójstwa Alison Taylor, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci Marcie Calder. Bo uważamy, że powinna.

Patrząc na Tony'ego, sędzia Karoly zmarszczył brwi, najwyraźniej zbity z tropu tym, że Tony igra z faktami z własnego życiorysu.

- W takim razie - odparł po chwili - może pan otrzymać odpowiedź. - Zwrócił się do Seeda i zapytał: - Czy skontaktował się pan z innymi rejonami w sprawie informacji na temat podobnych przestępstw?

Nie mogło być lepiej, pomyślał Tony: w oczach przysięgłych pytanie to miało teraz aprobatę sędziego.

- Nie - odpowiedział Seed. - Na podstawie faktów w tej sprawie absolutnie wystarczało nam to, co zgromadziliśmy. Wiedzieliśmy, kto za to odpowiada.

- A więc nie sprawdzaliście nikogo oprócz Sama Robba, niezależnie od tego, czy Marcie kogoś jeszcze znała? - wtrącił szybko Tony.

- Oczywiście, że sprawdzaliśmy inne osoby, które znała Marcie, w tym jej przyjaciółki i chłopców, z którymi mogła się umawiać. Ale nie wynikło z tego nic, co dałoby nam powód, by kogoś podejrzewać.

- Także Erniego Nixona?

Policjant oparł się wygodniej i założył ręce na piersiach.

- Nie uważaliśmy Erniego Nixona za podejrzanego.

Tony stwierdził, że czegoś brakowało w tej odpowiedzi. Wydawała mu się zbyt ostrożna.

- A teraz? - zapytał.

Wiedział, że odpowiedź „tak” w ułamku sekundy zakończyłaby proces. Seed z wolna pokręcił przecząco głową.

- Nie uważamy.

- Kiedy poznał pan pana Nixona?

- Cztery, może pięć lat temu. Od momentu, gdy pan Nixon zaczął prowadzić centrum rekreacyjne. - Przerwał na chwilę. - Moje dzieci często tam chodzą.

- Czy zdziwił się pan, kiedy zgłosił się, by powiedzieć, że widział Marcie tej nocy, kiedy umarła?

Seed wzruszył ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć, czy byłem zdziwiony, czy też nie.

- Czy można w takim razie powiedzieć, że skupił się pan na tym, na ile zeznanie pana Nixona pasuje do wyników śledztwa przeciwko Samowi Robbowi?

- I mógłbym powiedzieć, panie Lord, że interesowało nas, czy to, co powiedział pan Nixon: że Marcie była w ciąży i że pojechała zobaczyć się z ojcem dziecka, może rzucić światło na jej śmierć.

- Jasne. - Na ułamek sekundy Tony umilkł. - Czy wiedział pan wtedy, że Marcie Calder była częstym gościem w domu pana Nixona?

Seed spojrział na Stellę Marz.

- Nie wiedziałem.

- Czy przeszukał pan jego dom?

- Nie.

- A samochód?

- Nie.

- Czy wziął pan jakąkolwiek część jego ubioru?

- Nie.

- A może pobrał pan próbkę jego krwi?

- Nie.

Tony urwał. Następne pytanie było ryzykowne, zdawał sobie z tego sprawę, bo nie znając na nie odpowiedzi, mógł wejść w pułapkę, którą zastawiła Stella. Ale żeby to zrobić, pomyślał, ona też musiałaby podjąć ryzyko. Zapytał spokojnym tonem:

- A czy sprawdził pan rozmiar jego buta?

Seed założył ręce na piersiach.

- Kiedy?

Tony wiedział, że się nie pomylił: Stella przewidziała to, zanim spróbował wmieszać w sprawę Erniego Nixona.

- Kiedykolwiek - powiedział.

- Tak - odparł Seed ponuro. - Sprawdziliśmy.

- Kiedy?

- Jakieś trzy dni temu.

Tony czuł, że jego napięcie wzrasta. Ale nie miał już wyboru: przesłuchanie zabrnęło zbyt daleko.

- A więc jaki jest rozmiar buta pana Nixona?

Spojrzenie Seeda niczego nie wyrażało.

- Numer jedenaście.

Tony poczuł, jak ogarnia go poczucie ulgi i wypiera niepokój. Usłyszał, jak przysięgli poruszyli się ze zdziwieniem. Nabrawszy znowu pewności siebie, zapytał:

- A zatem biorąc pod uwagę rozmiar, odciski butów na skraju klifu mogły należeć do Sama Robba, Erniego Nixona albo jeszcze do kogoś innego?

- Tak.

- Wie pan na pewno tylko tyle, że ślady nie pasowały do żadnej pary obuwia sportowego, jaką znalazł pan w domu Sama Robba.

Seed zawahał się.

- Tak. To prawda.

- Nie znalazł pan także śladów krwi, ani na ubraniu pana Robba, ani w jego domu.

- Nie.

Tony przerwał i wsunął ręce do kieszeni.

- A czy nie można by się spodziewać na nich krwi, sądząc po naturze obrażeń ciała Marcie Calder?

Seed nie odpowiadał przez moment; zhardział.

- Nie można, jeśli Sam Robb, jak uważamy, pozbył się ubrania, które miał wtedy na sobie.

Ale to zauważyłaby Sue Robb, pomyślał Tony. Nie mógł jednak o tym powiedzieć, nie wzywając jej na świadka, a to - oprócz wezwania Sama - było ostatnią rzeczą, której by pragnął.

- Ale nie ma pan pojęcia, kiedy i w jaki sposób pan Robb mógł się pozbyć tych rzeczy, prawda?

- W tym momencie nie mam. Nie.

- I nigdy nie znalazł pan żadnego zaplamionego krwią ubrania, ani w domu Sama Robba, ani w szkole, dokąd, jak sam panu powiedział, oskarżony udał się, gdy Marcie wysiadła z jego samochodu.

- Zgadza się.

- Nie znalazł pan też żadnych śladów krwi w jego biurze?

- Żadnych.

Tony wyprostował się.

- A według słów Sama, co miał wtedy na sobie?

- Spodnie i bluzę od dresu. Te, które nam dał.

- Czy ma pan jakiś dowód, że nie miał ich wtedy na sobie?

Seed spojrział na niego z namysłem jak ktoś, kto stara się zachować spokój.

- Przecież na kierownicy była krew, panie Lord.

Na taką właśnie odpowiedź Tony liczył.

- Czy uważa pan to za ważny dowód?

Policjant wzruszył ramionami.

- Ważny? Nie oskarżyliśmy go tak od razu.

Gdy Tony tylko patrzył na niego bez słowa, dodał niechętnie:

- Wtedy myśleliśmy, że to może być ważne.

Adwokat odczekał chwilę i ostrożnie sformułował ostatnie pytanie:

- Czy wtedy ów ślad krwi przekonał pana, że to Sam Robb, a nie ktokolwiek inny jest potencjalnym mordercą?

Seed spojrział pytająco na prawnika i odrzekł po chwili:

- Tak. Tak wtedy myślałem.

- Czy domyśla się pan, jak mogła się dostać do samochodu pani Robb? To znaczy, wnioskując na podstawie pana wiedzy.

Detektyw znowu się zawahał.

- Nie, panie Lord. W tym względzie nie mam osobistych doświadczeń. Ale jest niemożliwe, by pan Nixon umieścił tam ten ślad, my zaś z całą pewnością tego nie zrobiliśmy.

Tony patrzył na niego przez moment w milczeniu.

- Dziękuję - powiedział uprzejmie. - Nie mam więcej pytań.

## DWANAŚCIE

Walter Gregg, specjalista z laboratorium kryminalistycznego w Lake City, miał okulary w drucianej oprawce, schludne wąsy, poważne, niebieskie oczy i chudą, ascetyczną twarz. Dla Tony'ego wyglądał albo na naukowca, albo na terrorystę. Ale jego głos i maniery były typowe dla naukowca - ironiczne i precyzyjne - nawet kiedy Stella Marz przypięła do tablicy kolorowe zdjęcie bladej Marcie Calder.

Marcie patrzyła na przysięgłych swoimi martwymi oczami, a na jej policzku czerwieniła się strużka krwi. Tony dopiero po dłuższej chwili pozbył się instynktownego wspomnienia Alison Taylor. A potem spojrzął na rodziców Marcie.

Siedzieli nieruchomo, bladzi, ze wzrokiem utkwionym w fotografa, na której ich córka wyglądała tak dziwnie. Zajmujący miejsce obok Tony'ego Sam nie patrzył na zdjęcie; na prośbę adwokata Sue i jej dzieci poszli do domu. Niektórzy z przysięgłych spoglądali na Waltera Gregga, jakby i oni, podobnie jak Sam, nie mogli znieść tego widoku. Ale teraz już nikt nie zapomni ofiary.

Tak, potwierdził Gregg, on zrobił to zdjęcie. Jak również zdjęcie odcisków butów nad krawędzią klifu oraz szczególnych bruzd wyżłobionych obok nich w błocie. Była to druga z sześciu fotografii wykonanych przez Waltera Gregga i umieszczonych na okręgu, którego środek wyznaczało zdjęcie Marcie Calder. Przyglądając się każdemu kolejnemu zdjęciu, ławnicy będą musieli znowu na nią spojrzeć.

Stella wskazała na trzecią fotografię.

- A co to jest, detektywie Gregg?

- To zdjęcie tenisówek Marcie Calder. - Gregg zszedł z miejsca dla świadków, stanął obok Stelli i wskazał palcem na zdjęcie. - Proszę zwrócić uwagę na błoto, które zaschło tylko na czubkach obu butów i nigdzie indziej. Wyniki naszej analizy wskazują, że skład chemiczny błota na butach odpowiada temu ze śladów bruzd biegnących równolegle do odcisków butów. Podsumowując, ślady te sugerują, że ofiarę wleczono na skraj klifu i że bruzdy te wryły czubki jej butów.

- Jakie jest położenie tych śladów i bruzd w stosunku do ciała Marcie Calder, detektywie Gregg?

- Znajdowały się dokładnie nad nią.

Stella szybko przeszła do następnego zdjęcia. W tle leżało ciało Marcie, widać tu było zbocze urwiska.

- A co przedstawia dowód D-4? - zapytała.

- Obrazuje perspektywę z ciała ofiary, które leżało u podnóża klifu.

- Czy mógłby pan opisać budowę geologiczną klifu?

- Tak. Składa się on niemal prawie wyłącznie z gliny z nieznaczną domieszką łupku. Zarówno glina, jak i łupek są dość miękkie.

- Czy uznałby pan wzgórze za skaliste?

- Nieszczerólnie. Przez łupki rozumiem skrawki, które kruszą się w palcach.

- Czy przeszukaliście zbocze klifu?

- Tak. Ćwiartkami, po pół metra kwadratowego naraz.

- Co pan znalazł?

- Znaleźliśmy smugę skruszonego łupku i gliny, która prowadziła do ciała Marcie. To, że błoto znalezione na dżinsach i bluzie Marcie Calder miało taki sam skład chemiczny, potwierdziło, że smuga ta powstała w wyniku upadku jej ciała.

- Czy w tym łupku i glinie znalazł pan ślady krwi?

- Nie, żadnych. To pomogło nam ustalić, że obrażeń Marcie nie spowodował upadek.

Stella przechyliła na bok głowę.

- Czy znalazł pan coś jeszcze na plaży?

- Tak. - Gregg urwał i wskazał piąte zdjęcie. - Kamień, który widać na dowodzie D-5.

- Mógłby go pan opisać?

Kryminolog skinął głową.

- Jak widać na fotografii, jest podłużny, mniej więcej wielkości piłki futbolowej. Była na nim krew i kilka pasemek ciemnych włosów.

- Czy zważyliście następnie ten kamień?

- Tak. Był całkiem ciężki, ważył ponad cztery kilogramy.

Stella przytknęła palec do ust.

- Gdzie leżał? - zapytała. - Mam na myśli położenie w stosunku do ciała.

Gregg wskazał ostatnie zdjęcie.

- Kamień leżał w piasku, dalej od podstawy klifu. To zdjęcie, dowód D-6, pokazuje odległość między kamieniem a ciałem. Zmierzyliśmy ją. Wynosiła ponad dwa metry.

- Czy potem zabezpieczyliście kamień w torbie na dowody?

- Tak.

Stella podeszła powoli do swojego biurka, sięgnęła do szuflady i wyjęła lśniąca, przezroczystą torebkę z podłużnym kamieniem. Gdy niosła ją do Gregga, trzymając w obu dłoniach, by podkreślić ciężar, przysięgli patrzyli na kamień. Nawet z daleka Tony - którego biegły również obejrzał kamień - widział czerwono-pomarańczową plamę.

- Jezu... -jęknął Sam. Kątem oka adwokat dostrzegł, że Nancy Calder płacze, a jej mąż patrzy przed siebie.

- Czy to jest dowód oznaczony symbolem D-6, ten sam kamień, który znalazł pan na plaży? - zapytała cicho Stella.

Detektyw nie ruszył się, by go dotknąć. Popatrzył tylko na kamień, który prokurator wciąż trzymała w dłoniach, i odpowiedział:

- Tak. To ten.

- Wysoki Sądzie, chciałabym pokazać ten dowód członkom ławy przysięgłych - powiedziała Stella Marz.

Przysięgli po kolei przekazywali sobie kamień, czasem szybko, zawsze jednak ostrożnie. Kosmetyczka trzymała kamień w dłoni i patrzyła to na niego, to na zdjęcie Marcie.

Stella spokojnie pytała dalej.

- Czy przekazał pan następnie ów kamień, dowód D-6, do biura koronera w celu wykonania analiz?

- Tak.

- Co stwierdził raport koronera na jego temat?

- Otrzymaliśmy wyniki testów DNA, których chyba zażądała obrona. - Jego głos wciąż brzmiał rzeczowo. - Biuro koronera stwierdziło, że krew na kamieniu należała do Marcie Calder, że kosmyki włosów należały do Marcie Calder i że na powierzchni kamienia znajdowały się fragmenty jej tkanki skórnej. Była to skóra z głowy Marcie Calder, konkretniej z miejsca, gdzie zaobserwowałem okaleczenia, które wyjaśniały, skąd wzięła się strużka krwi na jej twarzy.

- Czy znalazł pan jakiś inny przedmiot, który, pańskim zdaniem, mógłby wyjaśnić pochodzenie ran na głowie ofiary?

- Nie. Nie znaleźliśmy żadnych ciężkich przedmiotów czy też kamieni tej wielkości. Ani na klifie, ani w pobliżu ciała.

Tony wiedział, że Gregg systematycznie niszczy linię obrony sugerującą wypadek albo samobójstwo, a teraz Stella zamierza zadać ostateczny cios.



- Czy doszedł pan do wniosku, w jaki sposób kamień z krwią, włosami i skórą Marcie Calder znalazł się o ponad dwa metry od jej ciała?

- Sprzeciw. - Tony wstał. - Rozumiemy, że pani Marz przedstawiła detektywa Gregga jako eksperta w zabezpieczaniu śladów na miejscach zbrodni, ale nic w dokumentach ani osiągnięciach świadka nie wskazuje, że jego „wniosek”, o który prosi pani Marz, jest lepszy od wniosku jakiegś innej osoby.

Stella popatrzyła na Tony’ego ostentacyjnie beznamiętnym wzrokiem.

- Wysoki Sądzie, świadek może podać stan faktyczny, kiedy sformułuje opinię. Jeśli sąd uzna ów stan za niewiarygodny, proszę o poinstruowanie na ten temat ławy przysięgłych. - W jej głosie pojawiło się znużenie i sarkazm. - Co do fachowości, to uważam, że ogromna wiedza tego świadka i doświadczenie zawodowe dają mu prawo do sformułowania opinii, która odpowie na pytanie, w jaki sposób czterokilogramowy kamień mógł polecieć tak daleko.

Gdy Karoly zwrócił się do Tony’ego z uniesionymi brwiami, ten wiedział już, że sprzeciw był błędem: sędzia milcząco komentował tupet obrońcy.

- Sprzeciw oddalony - powiedział swoim najspokojniejszym głosem. - Czy pamięta pan pytanie, detektywie Gregg?

- Tak, Wysoki Sądzie - odparł zapytany. - Moje zdanie jest takie, że ktoś podniósł kamień na skraju klifu, uderzył nim Marcie Calder w głowę i zrzucił zarówno jej ciało, jak i kamień. - Przerwał i obdarzył Tony’ego przelotnym, sardonicznym uśmiechem. - Jeśli zaś chodzi o opinię, to na jej sformułowanie wpłynął szereg czynników. Po pierwsze, niedaleko śladów stóp przy krawędzi klifu jest wiele kamieni o podobnej budowie. Nie znaleźliśmy takich kamieni w pobliżu śladu upadku ciała Marcie. Po drugie, ani w pobliżu kamienia, ani w pobliżu ciała nie było śladów stóp. Marcie Calder nie przyszła tam i nikt nie odniósł kamienia te dwa metry dalej. Po trzecie, Marcie Calder nie zatłukła siebie na śmierć czterokilogramowym kamieniem. Nie była na to wystarczająco silna, a jeśli nawet, to kto zrzucił kamień z krawędzi klifu? Po czwarte, ten kamień waży cztery kilogramy. Jeśli Marcie uderzyła w niego głową przypadkiem albo trafiła weń w chwili upadku, jak mógł odskoczyć tak daleko od jej ciała i tak daleko od podnóża klifu, gdzie upadło ciało? To nieprawdopodobne. Po piąte, rzecz jasna, ślady niedaleko krawędzi klifu. Mają sporo ponad metr. Nawet jeśli upadła, czubki jej butów, które według mnie wyłobiły te bruzdy, nie narysowałyby tak długiej linii. Moje zdanie jest takie, że Marcie zaciągnięto na skraj klifu. Po szóste, ciało ofiary było cięższe od kamienia. Nawet ktoś bardzo silny nie mógłby zrzucić ciała ważącego czterdzieści osiem kilogramów bardzo daleko od urwiska. Znowu, co innego czterokilogramowy kamień... - Gregg urwał nagle, jakby pogubił się w licznych przyczynach, które pozwoliły mu zbudować tak niepodważalną opinię.

Gdy Tony spojrzał w bok, dostrzegł, że przysięgli cały czas patrzyli na świadka.

- Ach, tak - dodał policjant. - Kamień leżał w sporym zagłębieniu, co widać na - obejrzał się przez ramię - dowodzie D-5. Zupełnie jakby mocno wbił się w ziemię. - Przerwał, jakby zdał sobie sprawę, że nie był to jego najpoważniejszy argument. Niepewność mężczyzny sprawiła, że jego zachowanie - jak dotąd dość automatyczne - stało się nagle bardzo ludzkie.

Tony zdał sobie sprawę, że dawno już nie widział tak dobrego kryminologa.

- To już chyba wszystko - podsumował nagle Gregg.

Stella milczała, by wzmóc dramatyczny efekt.

- Czy gdy ją pan znalazł, detektywie Gregg, Marcie miała na ręku zegarek?

- Tak, miała. To był niebieski swatch, z plastiku i gumy.

Stella wyciągnęła lśniąca torebkę z zegarkiem.

- Czy to ten zegarek, oznaczony jako dowód numer siedem?

Gregg obrócił torebkę w dłoniach.

- Chyba tak.

- Czy udało się panu zdjąć z niego jakieś odciski palców?

- Były tam trzy różne odciski. Jeden z nich, jak można oczekiwać, należał do Marcie Calder. Drugi był nieznany.

- A trzeci odcisk?

- Należał do oskarżonego, pana Robba.

Prokurator podeszła bliżej.

- Co do smugi krwi znalezionej na kierownicy, czy wysłał pan do biura koronera także próbkę tej krwi?

Kryminolog skinął głową.

- Tak, na testy DNA.

- I co mówił raport z laboratorium?

Tony znowu milczał. Sprzeciw pogorszyłby tylko to, co i tak było nieuniknione. Gregg popatrzył na Tony'ego i Sama, potem na przysięgłych i zobaczył, że czekają w napięciu i z uwagą.

- Że krew znaleziona na kierownicy należała do ofiary, do Marcie Calder.

Milcząc, Nancy Calder spojrzała oskarżycielsko na Sama Robba.

- To nic - mruknął Tony do Sama. - To nic.

- Nie mam więcej pytań - powiedziała Stella.

## TRZYNAŚCIE

W czasie przerwy Tony poprosił woźnego, żeby usunął dowody przedstawione przez Stellę. Gdy przysięgli wrócili i Tony rozpoczął przesłuchanie, zdjęcie Marcie Calder zniknęło już z sali.

Tylko krótko, mówił do siebie adwokat. Wyciągnij, co się da, i jazda stąd. Cieszył się, że Sue tego nie widzi.

Wstał i spojrzał ze zdziwieniem na Gregga.

- Szukał pan odcisków palców na kamieniu?

- Tak, proszę pana. Żadnych nie znaleźliśmy.

- A co z trzecim odciskiem na zegarku? Z tym, którego nie mógł pan zidentyfikować? Czy sprawdził pan w swoich aktach i w innych rejonach?

Gregg skinął głową.

- Tak. Nic nie pasowało.

- Dobrze. Zeznał pan już, że krew na kamieniu należała do Marcie Calder, tak?

- Zgadza się.

- Na kamieniu było dość dużo krwi, prawda?

- Tak, proszę pana. Dużo.

- A pan sądzi, że cała ta krew znalazła się na nim, gdy ktoś, i nie wie pan kto, uderzył kamieniem ofiarę.

Detektyw wygładził fałdkę na garniturze.

- Tak sądzę.

- Ale nie jest pan biegłym w zakresie medycyny sądowej.

- Nie, nie jestem.

- A więc pana opinia nie zasadza się na samej ranie, ale na czymś innym. Na przykład na tym, że kamień znalazł się dwa metry od ciała.

- Tak.

Tony oparł ręce na biodrach.

- Piasek na plaży był ubity, prawda?

- Był.

- Czy zatem kamień nie mógł się po nim przetoczyć do tego miejsca?

- Taki ciężki kamień? Nie sędzę. A poza tym na piasku nie było żadnych śladów, które by na to wskazywały.

- Czy to nie mogła być wina deszczu?

Gregg zawahał się.

- Mogła.

- A gdyby kamień obluzował się podczas upadku Marcie, to spadając na plażę, nabrałby pewnej prędkości, zgadza się? Zwłaszcza tak ciężki kamień.

-Mógłby. Ale aż takiej, by przetoczyć się dwa metry? Bardzo wątpię.

Tony pomyślał, że więcej tu nie osiągnie.

- Gdyby, jak pan podejrzewa, Marcie Calder uderzył ktoś na krawędzi klifu, to trysnęłaby tam krew, prawda?

- Mogłaby trysnąć.

- A czy w tym wypadku trysnęła?

- Na to wygląda, panie Lord. Znaleźliśmy krew zarówno na bluzie, jak i na dzinsach Marcie.

- A czy znalazł pan krew na samym urwisku?

Gregg znowu nie odpowiadał przez chwilę.

- Nie, proszę pana. Nie znaleźliśmy.

- A nie powinniście?

- Zazwyczaj ją znajdujemy. - Gregg odchylił się na oparcie. - Ale nim znaleźliśmy Marcie Calder, deszcz, a przynajmniej mżawka, padał od minimum siedmiu godzin. Jak pan sam zauważył.

- Lecz szukaliście krwi, prawda? W błocie, na trawie, właściwie wszędzie na obszarze pięciu metrów kwadratowych wokół śladów stóp i tego, co uznał pan za „ślady wleczenia”.

Policjant skinął głową - jak każdy dobry ekspert wiedział, kiedy nie należy sprzeczać się o

szczegóły.

- Nic nie znaleźliśmy, panie Lord.

- Nie znaleźliście też krwi w domu pana Robba ani na ubraniu oraz butach, które wam dał.

- Nie, proszę pana. Nie znaleźliśmy.

- Czy morderca, w scenariuszu zdarzeń, który pan przedstawił, nie byłby cały zachlapany krwią?

Tak samo jak Marcie?

- Sądzę, że tak.

- Ale nie znalazł pan jeszcze żadnego dowodu na to, że pan Robb wyrzucił jakąkolwiek część ubrania.

Detektyw poprawił okulary.

- W tej chwili o niczym takim nie wiemy.

- Gdzie szukaliście wyrzuconych ubrań?

- W parku, w pobliskich zaroślach, a kilka dni później w liceum w Lake City.

Tony umilkł i zastanawiał się nad następnym pytaniem. Zapytał cicho:

- Czy przeszukiwał pan jakąkolwiek prywatną posiadłość, odkąd pan Robb został oskarżony?

Gregg spojrział na niego zimno.

- Nie.

- A co do pana Robba, jedyną próbką krwi Marcie Calder, która posłużyła za dowód, była ta znaleziona na kierownicy prowadzonego przez niego samochodu?

- Tak, proszę pana.

Adwokat odczekał moment.

- Oprócz pańskiej teorii nie ma pan żadnych dowodów, które pozwalałyby stwierdzić, w jaki sposób krew Marcie Calder mogła się znaleźć na tej kierownicy?

Kątem oka Tony dostrzegł, że Stella drgnęła, lecz zmieniła zdanie, ufając swemu biegłemu.

- Moja teoria jest poparta dowodami, panie Lord. - Policjant urwał i zastanawiał się, co powiedzieć dalej. - Ale nie... mnie tam nie było. Więc nie mogę wiedzieć, jak ta smuga krwi się tam znalazła.

Nagle Tony się odprężył, stał się skłonny do dyskusji.

- Proszę mi pozwolić poprosić pana jako biegłego świadka, by uznał pan na chwilę, że to, co mówię, jest zgodne z prawdą. Dobrze?

Gregg się zawahał.

- Dobrze.

- Przyjmijmy zatem, że to morderstwo, a nie coś innego. Tak naprawdę założymy praktycznie wszystko to, co pan: że Marcie Calder została uderzona tym kamieniem; że morderca zrzucił jej ciało oraz kamień z krawędzi klifu w miejscu, gdzie znaleźliście odciski stóp; że on lub ona pozbył się splamionego krwią ubrania; i że padająca później w nocy mżawka zmyła krew z ziemi. Nadąża pan?

- Oczywiście.

- Zróbmy jedno proste założenie. Przyjmijmy tylko, dla mojego celu oczywiście, że podałem panu niewinne wytłumaczenie tego, jak krew Marcie Calder znalazła się na kierownicy. To mógł być skałeczony palec, to naprawdę bez znaczenia.

Gregg wyglądał na bardziej skupionego, policzki bardziej mu się zapadły. Odpowiedział cicho:

- Dobrze. Przyjmijmy takie założenie.

Tony podniósł głowę.

- I jak to się ma do dowodów rzeczowych, które wskazują, że to Sam Robb, a nie ktoś inny, popełnił to hipotetyczne morderstwo?

Gregg skrzywił się.

- No, to osłabia te dowody. Zakładając to, co pan...

- Osłabia. - Tony podniósł głos z niedowierzania. - Ich już nie ma, prawda? Zupełnie.

- Nieprawda. - Policjant umilkł, a Tony patrzył, jak się zastanawia. - Jest jeszcze odcisk palca oskarżonego.

- A, tak. Odcisk palca. Oczywiście nie ma pan pojęcia, w jaki sposób znalazł się on na zegarku Marcie Calder, prawda?

- Nie, proszę pana.

Tony umilkł na chwilę, po czym stwierdził cicho:

- Albo do kogo należy ten trzeci odcisk.

- Nie, proszę pana - przyznał detektyw. - Już to powiedziałem.

Tony podszedł bliżej.

- Dobrze. Wróćmy więc do owej smugi krwi. Czy kiedy wysłał pan próbkę do analizy, prosił pan o sprawdzenie obecności ciał obcych?

- Co ma pan na myśli? Alkohol albo wirus HIV?

- Nie. - Tony jeszcze raz postąpił do przodu. - Chodzi mi o każde ciało we krwi, które jest dla niej obce.

Gregg wyglądał na zmartwionego. Tym razem widać było wyraźnie, że nie wie, dokąd zmierza obrońca.

- Nie - odpowiedział, przechodząc do defensywy. - Nie prosiłem o nic takiego w szczególności, a laboratorium nie doniosło w raporcie o żadnych „obcych ciałach”, jak pan to ujął.

Tony skinął głową.

- Dziękuję - powiedział i usiadł, czując, że przysięgli są zdziwieni, i wiedząc, że w ciągu ostatnich dwóch godzin Gregg zmusił go do obrony opartej na atakowaniu Erniego Nixona.

- Wersja o samobójstwie marnie wygląda - stwierdził tego wieczoru Saul.

Tony patrzył przez okno w pokoju Saula na panoramę Steelton, z migoczącymi, nieregularnymi światłami, które wyglądały tak, jakby wyłączano prąd. Nie wolno mu się zastanawiać nad tym, co się naprawdę wydarzyło, powtarzał sobie, ale nad tym, co takiego mogło się wydarzyć, co uwolniłoby jego przyjaciela i klienta od zarzutu popełnienia morderstwa.

- Masz rację - odparł w końcu. - Zrozpaczona dziewczyna w ciąży to teraz ciężka sprawa, a przysięgli będą pamiętać, że tego próbowałem.

Saul nie sprzeczał się z nim. Spojrzenie starego adwokata mówiło, że w rozmowie między zawodowcami nie ma sensu unikać prawdy.

- Przynajmniej pod koniec coś się działo.

Tony uśmiechnął się nieznacznie.

- A więc na jaką ocenę zasłużyłem, profesorze? Może na trójkę?

Saul też się uśmiechnął.

- Cztery z plusem za pytania i dwója za głupie sprzeciwy. - Oparł się wygodniej i spoważniał. - Dobrze się spisałeś. Ale wyglądasz na zmęczonego. Bardziej niż adwokat może sobie na to pozwolić.

Tony wiedział, że Saul ma rację. Podczas procesu adrenalina utrzymywała go na chodzie, ale męki, które przechodził co noc, były coraz trudniejsze, dłuższe i wyczerpujące, a nie dawały poczucia ulgi.

- Źle sypiam - przyznał.

Saul zmarszczył brwi.

- Chodzi o ten proces? Czy tak jest zwykle?

- Nie. Zwykle tak nie jest. - To bez sensu, pomyślał Tony, rozmawiać o koszmarach. Kiedy zasypiał wreszcie nad ranem, nie spał długo. Wziął duży łyk mocnej szkockiej Saula.

Zauważył, że ten nie pije.

- Może będę mógł ci pomóc - powiedział po chwili Saul. - Powołaj świadka albo dwóch.

Tony pomyślał, że w oczach starego adwokata było współczucie, a - co więcej - chęć, by udowodnić sobie i być może również Tony'emu, że się jeszcze nie wypalił.

- Oczywiście - dokończył - szczerze mówiąc, ni cholery nie obchodzi mnie nasz klient. Ale może tak będzie lepiej.

Jego uwaga była tak cięta i tak prawdziwa, że Tony znowu się uśmiechnął. Popatrzył na Ravina ze szczerym uczuciem.

- Będę o tym pamiętał - odrzekł.



## CZTERNAŚCIE

Tony wrócił do swojego pokoju hotelowego już po dziewiątej. Był zmęczony i głodny. Zamierzał zamówić kanapkę u obsługi i przygotować przesłuchanie następnego świadka Stelli - pani koroner. A potem otworzył drzwi i zobaczył Sue Cash Robb siedzącą w nogach swojego łóżka.

Miała na sobie granatowy kostium, jakby szła do sądu, i popatrzyła na niego spokojnie, zanim powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Tony zamknął drzwi i stanął przy nich, czując dreszcz zaskoczenia i niepokoju, ale i zadowolenie, że widzi ją samą i to z dala od procesu.

- Oczywiście, że nie - odparł. - A ty dobrze się czujesz?

Niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.

- Wróciłam dziś do sądu. Bez Sama i Jennifer... odsyłam ich do domu.

Tony wsunął ręce do kieszeni.

- Nie widziałem cię.

- Wiem. Usiadłam z tyłu, żeby nikt mnie nie dostrzegł.

- Ile zobaczyłaś?

- Większość pytań prokurator. I wszystkie twoje.

- Jezu, Sue. - Tony przemierzył pokój, usiadł obok niej i wziął ją za rękę. - Dość już zrobiłaś. Nie chcę, żebyś musiała na to wszystko patrzeć.

- Sądzisz, że ja o niej nie myślałam?

- Wiem. Ale oglądanie tego, to co innego. - Tony zamilkł na chwilę. - Widziałem setki takich zdjęć, jak to z twarzą Marcie Calder. Wiele z nich było jeszcze okropniejszych. Ale to bardzo mną wstrząsnęło.

Przez jakiś czas się nie odzywała. Choć wciąż mu się przyglądała, coś w jej spojrzeniu mówiło, że jest bardziej zapatrzona w siebie, skoncentrowana na własnych myślach. Tony znowu poczuł, że przysłała, by powiedzieć mu coś, czego wolałby nie słyszeć. Jednak w końcu spytała tylko:

- Marcie Calder się nie zabiła, prawda?

Tony wziął oddech.

- Nie. Myślę, że nie.

- W takim razie pozostaje Ernie Nixon. - Sue umilkła na chwilę, po czym dokończyła cicho: - Albo jakiś obcy.

Tony nie odpowiedział jej bezpośrednio.

- Myślę, że mogę wygrać tę sprawę, Sue.

Odwróciła się od niego, wyjrzała przez okno i zobaczyła mniej więcej to samo, co Tony widział z biura Saula: porozrzucane tu i ówdzie światła.

- O tak wiele cię prosiliśmy, Tony. To ja o tak wiele cię poprosiłam. Poprosiłam cię o wiele więcej, niż przypuszczałam.

Tony się uśmiechnął.

- *De nada* - odparł.

- Nie. Wcale nie nic. To zbyt wiele.

Stwierdził, że zachowywała się niepewnie.

- Czy Sam wie, że tu jesteś?

- Tak. Powiedziałam, że jeśli będę mogła, postawię ci kolację. Wciąż jeszcze po części nie minęłam się z prawdą.

W ostatniej uwadze Tony odczytał pewną aluzję. Zastanawiał się ze zdziwieniem, czy dotyczyła ona Sama, czy Sue.

- Jak to znosisz? - zapytał. - Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Wstała i podeszła do okna. Wydawała się mu szczupła i drobna; pierwszy raz pomyślał, że jest krucha.

- W pewnym sensie to jest podobne do niemal całego mojego życia, jak to jest w przypadku ludzi, którzy mają dzieci i je kochają i których małżeństwo nie jest na tyle dobre, by dawało im prawdziwe szczęście, ale też na tyle złe, by je zerwali... Robisz, co trzeba, dla ludzi wokół ciebie i starasz się nie pytać siebie zbyt często, co o tym myślisz - odpowiedziała. Umilkła i nie ruszała się, jakby patrzyła na miasto i go nie widziała. - Dla Sama i Jenny - powiedziała w końcu - wciąż jestem matką. Pytam o i c h życie, to normalne, które wiodą daleko stąd, i mówię z nadzieją o procesie. I, jak w każdej rodzinie, są tematy, których unikamy: oni nigdy nie pytają, a ja nigdy sama nie mówię, czy uważam, że ich ojciec jest niewinny. Po prostu przyjmują, że tam jestem, bo tego właśnie potrzebują: gdyby nie było mnie w sądzie, byłoby im o wiele trudniej. Jedyne różnica to ta, że się o mnie bardzo troszczą. - Przez chwilę w jej głosie słychać było odrobinę zaprawionego ironią humoru. - To trochę jak nieprzyjemny podgląd tego, co czeka mnie w przyszłości, gdy się zestarzeję, a oni uznają, że już nie bardzo kontaktuję.

Tony zrozumiał, że Sue chciała mówić, on sam zaś słuchać, i to nie tylko ze względu na nią, ale i ze względu na siebie. Zrozumiał bowiem, że to, co w wieku siedemnastu lat uznał u Sue za głęboką

emпатиę, było czymś więcej: pewną szczególną ostrością, wtedy ukrytą pod maską jej pogodnego usposobienia, ale teraz widoczną w całej pełni.

- A Sam? Jak ty to odbierasz? - zapytał.

Nie odwróciła się do niego.

- Chodzi ci o to, jak się czuję w sądzie? Albo jak wracam do domu, jakby nic się nie stało, a potem śpię obok kogoś, kto być może zamordował nastolatkę, z którą miał romans?

Ostatnie zdanie, bardziej stwierdzenie niż pytanie, uderzyło Tony'ego swoją otwartością.

- Gdy wracasz z nim do domu - powiedział.

Sue nieznacznie wzruszyła ramionami. W dalszym ciągu nie patrzyła na adwokata.

- Czy kiedy się pierwszy raz ożeniłeś, często się kłóciliście? Czy też była między wami ta okropna uprzejmość, gdy udajesz, że nie zauważasz, iż nie chcecie się dotykać, że najbezpieczniej jest rozmawiać o synu albo o pracy? Taki rodzaj cichej śmierci?

Tony zdał sobie sprawę, że nie rozmawiał o tym z nikim z wyjątkiem Stacey.

- Marcia i ja robiliśmy i jedno, i drugie, Sue. Najpierw uprzejmość, potem złość. Choć nienawidzę się złościć, to niemal przynosiło ulgę.

Przez chwilę Sue nie odpowiadała.

- Na razie zatrzymuję jeszcze całą złość w sobie. Jest tak jak piętnaście lat temu: nie kłóć się zbyt głośno, bo dzieci usłyszą. Nie ma miejsca na złość, kiedy mąż jest oskarżony o morderstwo. To przesłania wszystko inne. - Jej głos nagle się zmienił: gdy się odwróciła, zdziwiły go łzy na jej twarzy. - Jestem tak cholernie samotna, Tony. Leżę tam w nocy i słucham jego oddechu. Oboje udajemy, że śpimy. Boję się poruszyć, bo może on coś powie albo ja będę się musiała odezwać. Więc leżę i się zastanawiam.

Tony zawahał się, potem jednak wstał, objął ją i przycisnął mocno do siebie. Przytuliła się do niego z całych sił, nie pragnąc nic więcej - Tony to rozumiał - niż tylko nie czuć się samotną.

- No to jak? - wymruczała po jakimś czasie. - Jadłeś już kolację? Obiecuję, że nie będę płakać.

W jej głosie znowu zabrzmiał humor, który miał dodać mu otuchy.

- Umieram z głodu, ale nie możemy się razem pokazać publicznie: boję się, co zrobiłaby z tego prasa. Będziemy musieli zostać tutaj. - Wciąż trzymając ją w ramionach, Tony zastanawiał się przez chwilę. - Kiedy ostatnio jadłaś pizzę?

- Chyba wtedy, gdy Jenny wyjeżdżała do college'u. - Podniosła na niego wzrok. - Możemy zamówić butelkę czerwonego wina?

Uśmiechnął się.

- Pewnie.

Tony podszedł do telefonu i zadzwonił po obsługę. Kiedy się odwrócił, Sue siedziała już w fotelu w kącie.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli trochę popracuję? - zapytał. - Pizzę przyniosą za jakieś pół godziny, a muszę zapisać kilka myśli, nim je zapomnę.

Uśmiechnęła się i wzięła do ręki magazyn podróżniczy.

- Proszę. Po prostu sobie tu posiedzę. I pomarzę o dalekich krainach.

Tony wziął z nocnego stolika swój notatnik, poluzował krawat i oparł się o blat.

Nie zwracając uwagi na Sue, zaczął zapisywać pytania. Stwierdził, że przyjemnie jest mieć ją tutaj: bez Stacey i Christophera czuł się trochę samotnie, a jedynym pocieszeniem była dla niego przyjaźń Saula. I tak jak ze Stacey, okazało się, że mógł pracować, siedząc w jednym pokoju z Sue.

W pewnej chwili poczuł, że Sue go obserwuje. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył czuły uśmiech na jej twarzy.

- Pracuj, Tony. Nie ma co zwracać na mnie uwagi - powiedziała.

On też się uśmiechnął i wrócił do notatek. Siedziała cicho, dopóki nie przyniesiono pizzy.

Usiedli na podłodze, pizzę postawili między sobą, a butelkę wina i dwa kieliszki na klapie pudełka.

- Jak wygląda Christopher? - spytała.

- Jako osoba jest zupełnie inny niż ja. Ale tak bardzo przypomina mnie ze szkolnego zdjęcia, że to aż głupie. Na szczęście chyba się tym nie przejmuję.

Sue uśmiechnęła się.

- Nie powinien. Ja uważałam, że jesteś boski.

- Trochę się z tym ukrywałam.

- Byłam zajęta. - Jej uśmiech zniknął, jakby terażniejszość powróciła do niej w ekspresowym tempie. Dopiero po chwili zapytała: - Czy Christopher przypomina ciebie jeszcze pod jakimś innym względem?

- Nie jestem pewny. Łatwiej można powiedzieć, jaki o n jest. - Tony wypił łyk chianti i poczuł przyjemny smak. - Jest bystry i ma wspaniałe poczucie humoru, więc często przekomarza się ze mną, czego ja tak naprawdę nie mogłem robić z moimi starymi. Jest, myślę, dobrym dzieckiem i przyjacielem, a przy tym nie jest tak ambitny, jak ja chyba byłem. To pewnie dlatego, że nie musi. - Urwał i zamyślił się. - Stacey zauważyła, że Christopher jest bardzo nieufny: zawsze obserwuje i

przygląda się wszystkiemu tak niepostrzeżenie, że nawet trudno to zauważyć. Sądzę, że winny jest temu rozwód. Choć nigdy o tym nie mówi, to jestem pewien, że doskonale pamięta nasze konflikty. Dlatego wyczuwa kłopoty, wie, kiedy coś ma się stać. - Urwał, żeby zadać sobie pytanie, i spojrzał na Sue. - Może ma to po mnie. Przez całe życie martwiłem się o niego, martwiłem się, że przytrafi mu się coś złego. Ale starałem się, żeby nie było tego widać.

Sue przyglądała mu się.

- Ale oni to widzą. U mnie zwłaszcza Sam junior. Ojciec go zastraszał, a, moim zdaniem, on obserwował nasze małżeństwo i identyfikował się ze mną. Jest taki ostrożny: boi się związać z dziewczyną, a nawet posłuchać swoich uczuć. Bóg jeden wie, co on sobie teraz myśli. - Zamilkła i spojrzała na Tony'ego z delikatnym zainteresowaniem. - Ty chyba starasz się bardzo nie oglądać na dawne życie, prawda? Czasem myślę, że to ten proces to sprawił.

Tony chciał instynktownie odpowiedzieć, że u niego wszystko w porządku - wolał nie przyznawać się przed sobą, w środku tego procesu, jak się męczył, usiłując nic nie czuć. Mówił sobie, że jeśli przyzna się do tego, postąpi nieuczciwie wobec Sue. Wtedy spojrzał na nią i zobaczył te same brązowe oczy, które widział, gdy miał siedemnaście lat.

- Nienawidzę tej sprawy - powiedział.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Z powodu Sama czy Alison? - zapytała cicho.

- Przez to wszystko i przeze mnie. - Urwał, a potem słowa popłynęły same. Opowiadał o rzeczach, o których jeszcze nigdy nie mówił, nawet samemu sobie. - Kiedy zamordowano Alison, oprócz ciebie i Saula tak naprawdę nikt nie pomógł mi przebrnąć przez to, co się stało. Moi starzy nie wiedzieli, co robić, a poza tym, chociaż mogli sobie pozwolić na lekarza dla mnie, myśleli, że psychiatry są dla wariatów. Dlatego starałem się zostawić to wszystko za sobą: szok, kiedy znalazłem Alison, to, jak na mnie potem patrzono w miasteczku. Nawet to, kim byłem: chłopcem z liceum, który wierzył, że w życiu będzie mu już tylko coraz lepiej, a potem chłopcem, który był tak zrozpaczony i tak wystraszony. Kiedy pomyślę o nim, czuję się tak, jakbym włożył rękę do ognia. Nawet wtedy nie chciałem przyznać się przed sobą, że ten chłopiec to ja. Gdy tylko wyrwałem się na Harvard, zacząłem udawać, że to nie byłem ja. I wciąż to robię. Bywało, że siedziałem ze Stacey w tym pięknym domu i prawie o nim zapominałem. Zupełnie jakby Tony Lord w wieku siedemnastu lat był inną osobą, której prawie nie znałem. Tylko że miałem zawsze te wszystkie koszmary, w których znajdowałem Alison, a teraz, odkąd zaczął się proces, mam jeszcze inny. Oskarża mnie w nim, że ją zabiłem. - Umilkł i potrząsnął głową. - Wszystko to jest takie popieprzone, Sue. Kiedy siedzę w sądzie, nie mogę sobie pozwolić przypomnieć, kim byłem. Nie tylko dlatego, że jestem prawnikiem. To dlatego, że gdy staram się wierzyć, iż Sam jest niewinny, nie chcę wiedzieć, jak bardzo musi się czuć wystraszony i jak bardzo jestem odpowiedzialny za to, by uratować go przed czymś, na co nie zasługuje. A kiedy zastanawiam się, czy nie jest przypadkiem winny, myślę o siedemnastolatku, którego dziewczynę zamordowano, i jestem cholernie pewny, że tamten chłopiec mnie nienawidzi. Nawet niezależnie od tego, co robię teraz Erniemu Nixonowi. - Potarł skronie. - To naprawdę pochranione. Nawet nie wiem, co teraz mówię, i boję się tego.

Sue się nie poruszyła.

- Znałam tamtego chłopca i wiem, że był bardzo dobrym człowiekiem. Wciąż nim jest. -  
Potrząsnęła jego ręką. - Och, Tony, tak bardzo cię skrzywdzono. Całe to miasto tak strasznie cię  
skrzywdziło.

Poczuł uścisk w gardle.

- Ty nigdy mnie nie skrzywdziłaś, Sue. Może to ja ciebie skrzywdziłem, nie wiedząc, co robić.  
Patrzę teraz na ciebie i chciałbym móc się cofnąć chociaż na chwilę i to naprawić.

W oczach kobiety stanęły łzy. Bez słowa pokręciła głową, przysunęła się do niego po dywanie i  
oparła twarz na jego piersi. Tony'emu wydało się to tak naturalne jak oddychanie.

Delikatnie ujął jej twarz w swoje ręce.

Podniosła na niego wzrok. Nie był pewien, czyja głowa poruszyła się najpierw. Wiedział tylko, że  
ich usta się do siebie zbliżyły. Dzielili je tylko dwa centymetry, a po chwili już nic.

Złączywszy się ustami, wstali, a Tony położył ręce na jej talii. Na chwilę ich wargi oddaliły się od  
siebie, a potem pocałowali się głęboko, namiętnie.

Kiedy przywarła do niego biodrami, Tony pocałował ją łapczywie. To nic złego, powtarzał sobie,  
to przecież Sue. Ona była tu pierwsza, ona miała do niego prawa, których nigdy nie uznał, ona - w  
przeszłości, którą chciał przed sobą ukryć - kochała go bardziej niż Alison Taylor. To kobieta, którą  
ta sama część jego - chłopiec, a zarazem mężczyzna - wciąż kocha.

Potem przestali się całować, a Stacey Tarrant ponownie została jego żoną.

Tylko to go powstrzymało. Ale serce nie przestało mu bić mocno, nie przestał jej pragnąć, nie  
przestał czuć, że ją stracił i że jest mu smutno. Ale Sue była tu z nim i czuła to samo.

Dotknęli się czołami.

- Wiem - powiedziała cicho. - Nie możesz tego zrobić. Nie powinienes. - Jej ciałem wstrząsnął  
dreszcz. - Ale, Boże, tak bardzo pragnęłam cię przez te wszystkie lata i wciąż cię pragnę. Od tamtej  
naszej wspólnej nocy.

Nasza noc, pomyślał Tony. Ich podarunek dla siebie i ich smutek.

- Właśnie znowu spotkałem tego chłopca. A on kocha cię z całych sił. Tak jak przedtem -  
wymruczał.

Choć miała wilgotne oczy, uśmiechnęła się delikatnie.

- To mi pomaga, Tony. Bardzo pomaga.

Znowu zaczął oddychać miarowo, pozwalając odpływać namiętności.

- Więc zostań ze mną jeszcze przez chwilę. Potem nie będziemy już mogli tak ze sobą być. Nie  
chodzi nawet o Stacey: jestem adwokatem Sama...

Nie musiał kończyć. Nie potrzebowali rozmowy. Sue usiadła między rozsuniętymi nogami Tony'ego i oparła się plecami o jego pierś. Znalazła się w jego ramionach. Po chwili sięgnęła po chianti i kieliszek. Napełniła go i pili zeń na przemian. Cały czas siedziała przed nim.

- Naprawdę ją kochasz - powiedziała w końcu. - Stacey.

- Bardzo. - Tony urwał i zamyślił się. - Jest inteligentna, uczciwa i ma takie poczucie taktu: zawsze wie, kiedy wyjść i zostawić rzeczy swojemu tokowi. Ma cudowny stosunek do Christophera i zna mnie tak, jak tylko można. Czasami się dziwię, że nie bardzo jej w tym pomagam. - Jego głos stał się delikatniejszy. - Dziś wieczorem tobie powiedziałem więcej, niż jej pozwoliłem sobie powiedzieć przez lata.

Sue odezwała się równie delikatnym głosem.

- Dziękuję ci za to, Tony. Nie ze względu na Stacey, ale ze względu na mnie. Nawet jeśli to stało się tylko dlatego, że to ja tu byłam.

Czułość, która w nim wezbrała, sprawiła mu ból.

- To coś więcej, Sue. Tak jak wtedy.

Znowu umilkła. Wydawało się, że pogrążyła się w myślach.

- Pewnie rozpoznałeś ten kawałek plaży. Ten, gdzie znaleźli Marcie.

- Mhm. To tam rozpaliliśmy we czwórkę ognisko. Tej nocy, kiedy pokłóciłem się z Alison.

Oparła się o niego mocniej.

- Myślę o Marcie Calder, Tony, a potem o nas w jej wieku... Czy wiesz, że Sam trzyma teraz rewolwer przy łóżku?

- Dlaczego?

- Boi się, że ludzie chcą, by zginął. Może chodzi mu o Franka Caldera. - Przerwała na chwilę. - Boże, nienawidzę tego, co się nam przydarzyło. I tego, co zrobiliśmy tobie, przypominając ci o Alison.

Tony pocałował ją w czubek głowy.

- Prawnicy cały czas zadają ból temu, co w nich najbardziej ludzkie... Tego wymaga ten zawód. Więc to może najlepsze rozwiązanie, że muszę stawić temu czoło. A także i temu, co zacząłem robić dla siebie znacznie wcześniej. - Jego głos brzmiał delikatnie. - Nic z tego, co kiedykolwiek od ciebie otrzymałem, nie sprawiło mi bólu. Ból sprawiło mi to, co z tym zrobiłem.

Sue napiła się wina, zamyślona.

- Czytałeś kiedyś *Słońce też wschodzi*?

- Pewnie. Biedny Jake Barnes, impotent, a lady Brett Ashley była w nim tak beznadziejnie zakochana. Myślenie o tym sprawia mi ból, i to z wielu powodów.

Sue uśmiechnęła się lekko.

- Pamiętasz, co powiedziała mu na końcu? Zawsze dużo czytałeś.

Tony zastanawiał się przez chwilę.

- Coś takiego: „Och, Jake, mogło nam być tak wspaniale”. A on odpowiada: „Czyż to nie byłoby piękne?”

Milcząc, Sue przytuliła się do niego mocniej.

Po jakimś czasie skończyło im się wino, a wtedy pocałowała go delikatnie w usta i wyszła.

Tej nocy Tony nie był w stanie zasnąć - tym razem nie z powodu koszmarów, ale z powodu myśli tak ważnych, że nie mógł ich unikać. Nie czuł się jak prawnik.

Wreszcie zadzwonił do Saula do domu.

- Chyba masz rację - powiedział. - Jestem zmęczony. Czy mówiłeś poważnie o tej pomocy?

Saul nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- No pewnie...

Odwiesiwszy słuchawkę, Tony mimowolnie spojrział na pudło po pizzy, pustą butelkę po winie i puste kieliszki.



## PIĘTNAŚCIE

Następnego ranka w sądzie Tony czuł dreszcze poprzedniej, nocy. Saul, skupiony, notował coś na marginesie raportu pani koroner; siedzący obok Tony'ego mężczyzna, jego klient i przyjaciel, na którego żonie mu zależało, milczał ponuro; on sam miał też niepokojące poczucie, że zbliża się do jakiegoś rozrachunku ze sobą. Kiedy odwrócił się i spojrzął na Sue, ta odpowiedziała mu śmiało wzrokiem pełnym czułości i smutku. Potem Tony skupił się już tylko na doktor Katherine Micelli.

Kate Micelli miała około pięćdziesięciu pięciu lat, głęboko osadzone oczy, orli nos i matowe, kruczoczarne włosy, za co, zdaniem Tony'ego, musiała odpowiadać butelka. Na pokrytej zmarszczkami twarzy kobiety malowała się ogromna powaga, a jej uśmiech był przelotny, zamyślony i bardzo oficjalny. Nie ulegało wątpliwości, że jej praca nie bardzo ją bawiła.

Nie było się czemu dziwić. Beznamiętnym, cichym głosem Micelli opowiedziała Stelli Marz, jak pojechała na miejsce zbrodni, a potem zrelacjonowała badanie ciała Marcie Calder: to, jak przejrzała jej ubranie w poszukiwaniu krwi, włosów i włókien; jak obejrzała ręce i paznokcie, by sprawdzić, czy nie ma pod nimi śladów skóry; jak pobrała próbkę jej krwi; jak rozebrała dziewczynę i wzięła wymazy z ust, odbytu i pochwy, by ustalić, czy znajdowało się w nich nasienie; jak uważnie oceniła stan ciała; jak wykonała zdjęcia rentgenowskie jej głowy; i wreszcie, jak przeprowadziła sekcję zwłok, żeby ustalić przyczynę zgonu. Tony'emu, który widział w swojej karierze wiele sekcji zwłok, zrobiło się żal rodziców Marcie, że musieli się tego dowiedzieć. Wiedział, że sam nigdy nie zapomni odgłosów, jakie towarzyszą temu, gdy jeden człowiek odcina czubek czaszki innego człowieka, ani widoku szaro-białej tkanki mózgowej, którą umieszczono w pojemniku, a następnie zważono. Sądząc z przymrużonych oczu Franka Caldera i tego, jak Nancy Calder przełykała ślinę, myśli o tym, że ich córkę rozkładano metodycznie na kawałki, musiała być dla nich szokiem, czymś porażającym, a w końcu otepiałym. Na chwilę przed oczami Tony'ego pojawiła się naga Alison, leżąca na stole operacyjnym, i te same upokorzenia zapisane tą samą prozą, którą odczytywał teraz Saul.

- Czy ustaliliście przyczynę zgonu? - spytała Stella.

- Ustaliliśmy. - Wyraz twarzy Micelli był tak ponury, że zdawał się zły, niemal wściekły. - Marcie Calder zmarła z powodu krwotoku mózgowego, w mojej opinii wywołanego wielokrotnymi uderzeniami w głowę, które zadano ciężkim przedmiotem.

- Wielokrotnymi? - powtórzyła z naciskiem prokurator.

- Tak. Przynajmniej trzema.

- Doktor Micelli, czy mogłaby pani opisać obrażenia, które doprowadziły do zgonu, i wyjaśnić, jak wyciągnęła pani taki wniosek.

- Oczywiście. - Micelli zwróciła się do przysięgłych jak profesor wygłaszająca ponury, ale ważny

wykład, którego nie wolno im zlekceważyć. - U panny Calder widać było wiele uszkodzeń powłoki czaszki, rozcięć skóry. Sama czaszka była pęknięta, można było na niej dostrzec trzy koncentryczne kręgi ucisku, wgniecenia kości. Kręgi owe powstały wskutek trzech ciosów zadanych ofierze. Wszystkie padły w niewielkiej odległości. Potrafimy to stwierdzić, ponieważ wzór złamania, do którego doszło w wyniku późniejszego ciosu: kilka nieregularnych okręgów wyglądających niemal jak słoje w pniu drzewa, krzyżuje się z wzorem powstałym na skutek ciosu zadanego wcześniej, nie dopuszczając jednocześnie, by ten się rozszerzał. W ten sposób wspomniane trzy koncentryczne kręgi nachodzą na siebie.

Saul zmrużył oczy i coś zapisał. Ławnicy słuchali w napięciu.

- Czy sformułowała pani opinię co do tego, w jaki sposób Marcie Calder otrzymała te uderzenia?  
- zapytała solennym tonem Stella.

- Oczywiście. - Koroner raz jeszcze przesunęła wzrokiem po wszystkich przysięgłych, domagając się swymi sokolimi oczami ich uwagi.

- Marcie Calder zginęła z ręki innej osoby.

Tony stwierdził, że tego dnia Stella postępowała metodycznie i bez dramatyzmu. Pozwalała, by do przysięgłych przemawiała sama waga dowodów, ubrana w naukowy żargon.

- Rozważyła pani możliwość, doktor Micelli, że obrażenia te Marcie Calder mogła odnieść w wyniku upadku z klifu?

- Tak, rozważałam to bardzo skrupulatnie, pani Marz. Odrzuciłam tę możliwość.

- Dlaczego?

Micelli założyła ręce na piersiach.

- Przede wszystkim dlatego, że te trzy ciosy zadano tak blisko siebie. Byłby to niezwykły zbieg okoliczności, gdyby upadające ciało trafiło w coś trzykrotnie i to niemal tym samym miejscem. A poza tym trudno zrozumieć, w jaki sposób mogło uderzyć trzykrotnie w jeden kamień. Co więcej, uważam, że śmiertelne rany zadał ktoś stosunkowo silny, kto stał na ziemi nad plażą, i że Marcie Calder nie żyła już, kiedy zrzucono ją z klifu.

- Na czym opiera pani ten wniosek, doktor Micelli?

- Na kilku czynnikach. - Patrząc na ławników, koroner zaczęła wyliczać argumenty jak metronom. - Przede wszystkim, w wyniku upadku powstają inne wewnętrzne obrażenia mózgu niż wtedy, gdy zadaje inna osoba. Tu chodzi o proste zasady fizyki. Rana z prawej strony głowy, gdyby była skutkiem upadku, spowodowałaby obrażenia po przeciwnej stronie. Na przykład z e wewnętrzne obrażenie na czole spowodowałoby wewnętrzne obrażenia z tyłu głowy. Dzieje się tak dlatego, że siła upadku przesuwa mózg w przeciwnym kierunku. Nazywamy to „przeciwuderzeniem”. Kiedy natomiast cios w głowę zadaje jakaś osoba, należy się spodziewać po prostu „uderzenia”: wewnętrznego stłuczenia mózgu po tej samej stronie, co zewnętrzne obrażenie głowy...

- A w wypadku Marcie Calder...? - wtrąciła się Stella.

Micelli zmarszczyła brwi, kiedy jej przerwano, po czym grzecznie skinęła głową.

- Zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne obrażenia znajdowały się po prawej stronie czaszki. Dlatego dowód z opinii lekarskiej wyklucza obrażenia powstałe w wyniku upadku, a w konsekwencji wskazuje na zabójstwo.

Obserwując przysięgłych, Tony zauważył, jak nauczyciel pochyla się do przodu i słucha w napięciu. Wydawało się oczywiste, że ławnicy zrozumieli Micelli i byli pod wrażeniem jej autorytarnego sposobu bycia. Zadaniem Saula będzie zniszczyć tę fasadę i w ten sposób rzucić cień wątpliwości na wszystko, co powiedziała. Ravin przestał robić notatki; teraz po prostu się jej przyglądał.

- Czy są jeszcze jakieś powody, dla których uważa pani, że śmierci Marcie nie spowodował upadek? - zapytała prokurator.

- Tak - odpowiedziała Micelli, zwracając się do przysięgłych. - Na twarzy ofiary znaleźliśmy kilka otarć i zadraśnień. Te obrażenia miały barwę pomarańczową, były dosyć twarde i nie krwawiły. Tak się dzieje, kiedy obrażenia na skórze powstają już po tym, jak serce przestaje pracować.

Tony zauważył, że Sam patrzy z namysłem na biurko.

- Spójrz na nią - szepnął Tony. - Przysięgli to widzą...

- Ile czasu musi upłynąć po ustaniu pracy serca, aby pojawiły się obrażenia, jakie pani opisała: pomarańczowej barwy, dosyć twarde w dotyku i nie krwawiące? - zapytała Stella.

- Tylko dwie minuty.

Dwie minuty, pomyślał Tony, miał morderca, aby odciągnąć ciało Marcie z miejsca, gdzie zginęła. Jej bezwładne nogi zostawiały ślady. Potem została zrzucona z klifu.

- Czy określiła pani przybliżony czas zgonu? - zapytała prokurator.

- Tak. - Koroner obróciła się i powiedziała do ławników: - Według mojej opinii, Marcie Calder zmarła około dziesiątej wieczorem tej nocy, kiedy zniknęła.

Na chwilę zapadła cisza, a Stella tylko skinęła głową: jeśli koroner się nie myliła, śmierć dziewczyny nastąpiła mniej więcej w tym samym czasie, gdy Sam - zgodnie z ustaleniami policji - miał opuścić park. Tony wiedział, że przysięgli zaczynają budować sobie obraz: Sam Robb uderza kamieniem Marcie Calder, ciągnie jej ciało na skraj klifu i zrzuca je... Ten ciąg zdarzeń już dawno przyszedł mu do głowy jak niemy film, którego nie mógł zatrzymać. Spojrzał na Sue i zobaczył, że spuściła oczy.

- Dziesiąta - powtórzyła prokurator. - Na czym opiera pani ten wniosek?

- Kiedy przyjechaliśmy na miejsce zbrodni, pojawiło się już stężenie pośmiertne, a temperatura ciała była niska: była to mniej więcej temperatura otoczenia, około osiemnastu stopni. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyła od wielu godzin. - Doktor Micelli popatrzyła na kilkoro z ławników,

upewniając się, że jej słuchają. - W czasie sekcji zwłok zbadaliśmy zawartość żołądka Marcie Calder. Znaleźliśmy pozostałości kanapki z tuńczykiem. Według zeznań innego świadka, pana Nixona, dał on Marcie tę kanapkę około godziny ósmej. To jest zbieżne z naszymi ustaleniami.

- Dlaczego?

- Chodzi o czas opróżniania żołądka. - Koroner mówiła z nauczycielską pewnością siebie. - Solidne danie opuszcza żołądek po czterech, pięciu godzinach... tyle czasu potrzebują zgromadzone w nim kwasy, żeby przetrawić pożywienie. Dla porównania, mniejszy posiłek zostanie rozpuszczony w mniej więcej trzy godziny. A mały, taki jak kanapka z tuńczykiem, w mniej więcej dwie godziny. - Kobieta urwała na chwilę, po czym dodała łagodniejszym tonem: - Chyba że proces trawienia przerwie śmierć. W przypadku Marcie Calder ślady tej kanapki z tuńczykiem pozostały w jej żołądku. To oznacza, że zmarła dwie godziny po posiłku. Albo wcześniej. - Spojrzała na przysięgłych i znowu zaczęła mówić ostrym tonem. - Skoro pan Robb był z nią do dziesiątej, pozostało jej niewiele czasu.

Siedzący obok Tony'ego Saul drgnął, ale nie zgłosił sprzeciwu. Szkody zostały wyrządzone, fakty nawarstwiały się nieubłaganie.

Natomiast Micelli wyglądała jeszcze surowiej - zupełnie jak na obrazie El Greco.

- Czy udało się pani ustalić, co działo się z Marcie Calder w ciągu kilku ostatnich godzin przed śmiercią? - zapytała Stella.

- Tak - odpowiedziała beznamiętnie biegła. - Ustaliliśmy, że odbyła stosunek analny.

Stella milczała chwilę.

- Jak doszliście do takiego wniosku?

- Na odbycie były otarcia, rozerwana była też błona śluzowa, co wskazywało na penetrację analną. Tak samo jak krew na zwieraczu zewnętrznym.

- Czy wymaz pokazał ślady nasienia w odbycie?

- Nie. - Micelli raz jeszcze spojrzała na ławników. - Na wacikach pozostały ślady środka nawilżającego z popularnej prezerwatywy, takiej z karbowaniem. Nazywa się Adam's Rib.

Sam popatrzył na panią koroner pustym wzrokiem i zaczął się rumienić. Sue spoglądała na swoje założone na piersiach ręce. Calderowie wyglądali na zbolałych, pełnych niesmaku. Karoly powiódł oczami za Stellą.

- Doszła pani do wniosku, czy ten seks analny odbył się za obopólną zgodą, czy też był wymuszony? - spytała prokurator.

Zapytana zmarszczyła brwi.

- To trudno określić. Ale doszłam do ostatecznego wniosku, tak.

- Jak on brzmi?

- Z naszych badań wynika, że Marcie Calder miała niewielkie albo żadne doświadczenie w takich kontaktach seksualnych. Dlatego każda penetracja, nawet przeprowadzona za obopólną zgodą, musiała być bolesna. Nawet nierówna powierzchnia prezerwatywy mogła zwiększać ból. - Micelli urwała i popatrzyła na Stellę spod przymrużonych powiek. - Gdyby to był gwałt, pani Marz, spodziewałabym się większych obrażeń. Mój wniosek jest taki, że był to seks analny za obopólną zgodą, ale doszło do stosunku z dziewczyną, dla której była to nowość.

Stella założyła ręce na piersiach i zapytała cicho:

- Czy podczas sekcji zwłok, doktor Micelli, ustaliła pani coś jeszcze?
- Jeszcze jedno. Ofiara była w ciąży.

Kosmetyczka natychmiast spojrzała na Sama.

- W jaki sposób to pani odkryła?

Koroner obróciła się i spojrzała na przysięgłych.

- Nosiła płód - odparła cicho. - W chwili śmierci znajdował się między pierwszym a drugim miesiącem rozwoju. Umarł razem z matką.

Zdawało się, że kosmetyczka skuliła się w sobie. Tony wiedział, że dla niej, tak samo jak dla Stelli i dla niego samego, smutna wymowa tej sytuacji miała charakter i osobisty, i moralny.

- Czy stan płodu pozwolił ustalić prawdopodobnego ojca? -zapytała pani prokurator.

- Tak. Za pomocą testu DNA.

- Czy poleciła pani wykonać taki test?

- Tak. Przez nasze biuro. Poprosiłam też laboratorium o wykonanie testu DNA próbki krwi pobranej od pana Robba przez policję.

- Jaki był wynik, doktor Micelli?

Kobieta spojrzała posepnie.

- Materiał genetyczny płodu odpowiadał temu z krwi pana Robba. - Umilkła na chwilę i spojrzała na przysięgłych. - Z prawdopodobieństwem dziesięciu milionów do jednego ojcem tego dziecka był Sam Robb.

Tony zauważył, że Sam chyba wstrzymał oddech. Stella podchodziła do pani koroner bardzo ostrożnie, jakby nie chciała przerwać ciszy.

- Czy sprawdziła pani także, na prośbę naszego biura, prawdopodobieństwo, że ojcem tego dziecka był Afroamerykanin?

- Sprawdziłam. - Głos Micelli znowu był beznamiętny. - Na podstawie przebadanego materiału

genetycznego stwierdzam, że to niemożliwe.

Stella milczała jakiś czas, stojąc ze spuszczoneym wzrokiem i rękami założonymi na piersiach. Potem spojrzała na Karoly'ego i powiedziała cicho:

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Karoly skinął głową, a potem jakby przypomniał sobie o zegarku.

- Ogłaszam południową przerwę, do trzynastej trzydzieści -zwrócił się do przysięgłych.

Nastąpiła ponura, rzadko przerywana cisza, ławnicy podnosili się z przejętymi minami, a od strony publiczności docierał niewielki szum.

Sam spojrzał przelotnie na Saula i zwrócił się do Tony'ego:

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - Na osobności.

## SZESNAŚCIE

Tony i Sam usiedli w pomieszczeniu dla świadków - małej, ciasnej i pozbawionej okien sali, w której stały tylko drewniany stół i twarde, drewniane krzesła. Nawet gdyby nie przypominało mu to pokoju przesłuchań komendy policji w Lake City, to żądanie Sama i tak wprawiłoby go w irytację.

- O co chodzi? - zapytał.

Sam popatrzył na niego swoimi niebieskimi oczami.

- Chcesz pozwolić, żeby ten starzec ją przesłuchiwał?

A więc o to chodziło: nie o Sue ani o wyznanie w ostatniej chwili.

- Jestem zmęczony - odparł Tony. - A zmęczony adwokat popełnia błędy...

- Lepsze twoje błędy niż jego.- Sam podniósł głos. - Ta parszywa suka to kurwa, jasne? Nie wiem, kiedy ani jak umarła Marcie, ale to było po tym, jak stamtąd poszedłem. Micelli mnie tam przyszpiliła.

Tony starał się nie tracić panowania nad sobą.

- Nie mam wątpliwości, że ci nie pomogła, ale nikt nie zamierza jej pobić, nawet ja. - Głos mu złagodniał. - Pomijając wszystko inne, ma przecież rację co do płodu, seksu analnego, nawet co do marki twojej prezerwatywy. Jeśli chodzi o resztę, Saul zajmuje się tym od lat...

- Ale kiedy ostatnio, Tony? Dla ciebie to może podróż sentymentalna, ale tu chodzi o moje życie: moją przyszłość, małżeństwo, wszystko. - Nagle Sam zerwał się z miejsca. - Siedzę tu i aż, kurwa, chcę krzyczeć, że jestem niewinny. A ty siedzisz sobie, opanowany jak zawsze, i oddajesz mnie w drżące ręce jakiegoś prehistorycznego pijusa. - Położył dłonie na stole i pochylił się do Tony'ego z czerwoną twarzą i spoconym czołem. - Chodzi o to, że myślisz, iż jestem winny, prawda? Że zasługuję co najwyżej na wymuszony wysiłek adwokata, który będzie rznął moją żonę pierwszej nocy po tym, jak wyślą mnie na seks do końca życia pod więziennym prysznicem. Jeżeli już jej nie rzniesz.

Tony spojrział na Sama i poczuł, że drży mu szczeka.

- Jesteś przerażony - powiedział spokojnie. - Rozumiem to. Ale postaraj się, by porażka nie wydawała mi się tak przyjemna... - Powstrzymał się raptownie. - Nie miałem tego na myśli. A i ty lepiej nie myśl o Sue tak, jak powiedziałeś. Bo bardzo, ale to bardzo zmęczyło mnie liczenie wszystkiego tego, na co ona nie zasługuje...

- Posłuchaj...

- Nie. To ty posłuchaj! - Podniósł głos. - Daję ci cholernie dobrą obronę, mój drogi: może są gdzieś lepsi adwokaci, ale nie ma takich wielu. Więc jeśli postanowię odpocząć chwilę przed moim triumfem, to ty mógłbyś skorzystać z okazji, żeby mi podziękować. Podziękować, zamiast rzucać oszczerstwa na swoją żonę i przypominać, jak piękne było moje życie, nim ta biedna dziewczyna spadła z klifu. Jakkolwiek, do diabła, to się stało. - Tony umilkł, żeby zapanować nad emocjami. - Co do Saula, nie poświęciłbym jednego przyjaciela, żeby znaleźć zajęcie drugiemu. Ale zanim raz jeszcze otworzysz usta, będę ci wdzięczny, jeśli zapamiętasz, że Saul jest moim przyjacielem. Tak jak i Sue.

Sam patrzył na Tony'ego z góry.

- Obaj jesteśmy zmęczeni - powiedział po chwili. Nagle oparł na krzesło naprzeciw adwokata, ukrył twarz w dłoniach i westchnął głęboko. - Ja już w ogóle nie śpię. Wcale już, kurwa, nie śpię. Leżę, patrzę, jak zmieniają się cyfry na naszym budziku, i nic nie mogę jej powiedzieć. Mijają minuty, potem godziny, ona cały czas udaje, że śpi, a ja mogę się oprzeć tylko na tym, czego nie mogę już z nią dzielić. Bo jestem jedyną osobą na świecie, która wie, że jestem niewinny. - Znowu podniósł głowę, jego twarz była teraz wymizerowana. - Dla mnie, Tony, niewinność to nie założenie czy zadanie. Nie chodzi o to, jak dobrym jesteś obrońcą. Spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy wiem, że jestem niewinny, a siedzę tu, podczas gdy wszystkie moje błędy: wszystko, czego się wstydzę, sprawia, że wydaję się nie tylko obrzydliwy, ale winny...- Spuścił wzrok. - Pewnie to rozumiesz. Przynajmniej częściowo.

- Częściowo - odrzekł po chwili Tony. - Niezależnie od tego, kto zamordował Alison, tylko ja wiedziałem, że jestem niewinny. Prawie wszyscy inni myśleli, że to byłem ja. Więc rozumiem, dlaczego to dla ciebie ważne. Tak jak było ważne dla mnie.

-Ty jesteś dla mnie ważny. - Sam położył rękę na dłoni Tony'ego. - Ja nie jestem taki, Tony. Błagam, uwierz mi.

Adwokat spojrział w niebieskie oczy Sama, które błagały go w milczeniu, i poczuł ciężar ich przyjaźni, nieprzewidywalność tego, jak związek dwóch ludzi może zmienić życie ich obu.

- W takim razie zaufaj mi - odparł. - Wydostaniemy cię z tego. Bez względu na to, jak to wygląda.

Tony z bólem patrzył, jak Saul wstaje, a potem idzie ociężale w stronę Kate Micelli. Ravin miał około siedemdziesiątki i Tony z nagłym smutkiem zrozumiał, że nie dożyje osiemdziesiątki: lata zaniedbania i picia oraz zmęczenie nawałą procesów były dla niego wyraźnym ciężarem. Choć miał w sobie pewną godność, jego głos był szorstki i drżący.

- Dzień dobry, doktor Micelli. - Umilkł na chwilę, a Tony poczuł, jak Sam tężeje, jakby widział, jak wielki niegdyś aktor zapominał tekstu. Nagle Saul zapytał: - Trzy ciosy w głowę, tak?

- Taka jest moja opinia, tak.

- Czy dokoła nie powinno być krwi?

Micelli założyła ręce na piersiach.



- Moim zdaniem, nie od pierwszego uderzenia. Ono tylko przecięło skórę. Ale zapewne od drugiego i trzeciego tak.

Saul czekał z pochyloną na bok głową, jakby miał kłopoty ze słuchem.

- Dobrze. A teraz proszę pozwolić mi założyć, że owe ciosy zadał pani hipotetyczny zabójca. Gdzie pojawiłaby się krew?

Koroner obrzuciła go wzrokiem pełnym przesadzonego wyrazu cierpliwości.

- Czy w swoim pytaniu, panie Ravin, zakłada pan, że zabójca stoi i trzyma ofiarę w pozycji pionowej czy przytrzymuje ją na ziemi?

Saul uśmiechnął się niemal nieśmiało.

- Słuszna uwaga. Może zacznijmy od tego, że zabójca i ofiara leżą na ziemi.

Micelli zmarszczyła brwi.

- W takim razie krew poplamiałaby ziemię, a także twarz i włosy ofiary.

Ravin włożył ręce do kieszeni, jakby szukał zmian w swoich wyobrażeniach.

- A co z pani hipotetycznym zabójcą?

- Pewnie on też miałby krew na twarzy i na włosach.

- A czy ta krew na ziemi miałaby duże znaczenie?

- Myślę, że tak.

Saul z wolna skinął głową.

- Ale nie uważa pani, że tak to się odbyło, prawda?

- Jak? - zapytała z lekką irytacją Micelli.

Przysięgli spojrzeli na Saula, zaskoczeni wyraźnym brakiem szacunku w słowach kobiety.

- Och, przepraszam - rzekł obrońca. - Chodziło mi o to, że nie uważa pani, iż zabójca uderzył ofiarę, kiedy oboje leżeli na ziemi, zgadza się?

Micelli zawahała się.

- Tak. Nie uważam, że to możliwe.

Saul zamilkł na moment i wskazał ławników.

- Czy mogłaby pani zdradzić ławie przysięgłych, jaka jest tego przyczyna?

Zapytana nie chciała na nich spojrzeć.

- Na bluzie i dżinsach Marcie Calder były duże plamy krwi.

Stary adwokat dotknął jedną ręką twarzy w geście tak niewinnego zamyślenia, że Tony po raz pierwszy chciał się uśmiechnąć.

- A zatem pani hipotetyczny zabójca stali trzymał ofiarę w pozycji pionowej?

- Tak sądzę. Tak...

- Co w takim razie, według pani, robiła ofiara?

- Nie wiem.

Saul uśmiechnął się.

- Rozumiem. Oczywiście, że pani nie wie. Ujmę rzecz tak, doktor Micelli. Czy podczas sekcji zwłok odkryła pani jakiś dowód na to, że Marcie Calder z kimś walczyła?

- Nie.

- Nie było skóry pod paznokciami? Ani sińców na szyi czy na ciele mogących być śladem aktu przemocy, którego dopuścił się ktoś silniejszy?

Micelli znowu zmarszczyła brwi.

- Nie.

- Dobrze. A gdzie miałby na sobie krew ów hipotetyczny zabójca, gdyby stał?

- Prawdopodobnie miałby ją na twarzy, ramionach i górnej części tułowia.

- Dużo krwi?

- Możliwe, tak.

- A krew byłaby także na ziemi?

- Trochę.

Saul urwał i wziął głośny oddech, jakby dostał zadyszki od zbyt wielu pytań. Tony zastanawiał się, czy dostał ją rzeczywiście, czy też udawał, żeby zmylić Micelli albo ukryć, że się namyśla. Skorzystał z okazji, by rozejrzeć się po sali: Stella zastygła czujnie nad swoim notatnikiem, a Karoly wreszcie wyglądał na zaintrygowanego. Nagle jego stary przyjaciel rzekł:

- Ale na ziemi nad klifem nie było krwi... Czy leżał, czy stał, krwi tam nie było.

- Padał deszcz, panie Ravin.

Saul znowu się uśmiechnął.

- To może być część pani odpowiedzi, doktor Micelli. Ale nie o to pytałem. A więc raz jeszcze: czy znaleziono w ogóle jakąś krew na ziemi? Albo na trawie?

- Nie. Deszcz mógł ją wymyć.

- Rozumiem. - Saul urwał na chwilę. - Tak samo jak mógł wymyć krew ze stoku klifu, gdyby Marcie spadła przypadkiem?

Koroner zawahała się.

- Przypuszczam, że tak.

- Albo z kamienia?

- Mógł. - Ton kobiety był protekcyjny. - Ale proszę pamiętać, panie Ravin, że policja znalazła kamień z włosami i krwią Marcie Calder. Laboratorium to potwierdziło.

Saul wyglądał na speszonego.

- Przepraszam. Nie wyraziłem się jasno. Mówiłem o drugim kamieniu.

Micelli zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem pana - powiedziała z lekkim rozdrażnieniem.

- Dobrze. Przyjmijmy na chwilę, wbrew pani domysłom, że Marcie Calder spadła z klifu przypadkiem. Czy mogę poprosić, by przyjęła pani takie założenie? Tylko na użytek mojego pytania.

- Dobrze.

- Przy takim założeniu nie sądziłaby pani, że Marcie Calder uderzyła głową trzy razy w ten sam kamień, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Raczej prawdopodobne jest, że jej głowa uderzyłaby w trzy różne kamienie?

- W pana wersji, tak.

- Wtedy na pierwszym kamieniu nie byłoby krwi, nieprawdaż? Bo, jak pani mówi, pierwsze uderzenie rozcięłoby tylko skórę i nie spowodowało krwawienia, tak?

- To prawda.

Saul przyjrzał się jej.

- A co jeśli chodzi o drugi kamień w moim scenariuszu?

- Tak, na nim byłyby krew.

- Mniej niż na trzecim?

- Tak. Ale policja nie znalazła takich kamieni, jak pan zapewne pamięta. Co więcej, żadnych kamieni nie było też na zboczu.

- Lecz były kamienie na dole, prawda? Kilka sporych kamieni.

- Jednak na żadnym nie było krwi.

Saul zignorował tę uwagę.

- Jak te kamienie się tam znalazły? - zapytał.

- Nie wiem.

- Czy jest szansa, że zostały strącone w wyniku upadku Marcie?

- Nie wiem. - Micelli się skrzywiła, a potem starała się przybrać poważny wyraz twarzy. - Zawsze jest szansa, panie Ravin. Ale co do tego, czy spowodowały one obrażenia, to na żadnym nie było krwi.

- Z powodu deszczu? Czy jest prawdą, że na drugim kamieniu w moim scenariuszu byłoby mniej krwi niż na trzecim?

- Tak.

- I mógł ją wymyć deszcz.

Koroner oparła się wygodniej i odpowiadała w tempie staccato.

- Moja odpowiedź na pytanie o przyczynę zgonu to mozaika, panie Ravin, a nie lista rzeczy do prania. Rodzaj obrażeń, brak uszkodzenia mózgu w wyniku przeciwuderzenia, a także pojedynczy zakrwawiony kamień leżący dwa metry od ciała: wszystko to potwierdza moje przekonanie, że Marcie Calder została zamordowana na skraju klifu i zrzucona z niego już po śmierci.

Stary adwokat odwrócił się od niej i podszedł do biurka obrony, by nalać sobie szklankę wody. Sam popatrzył na niego z niepokojem. Wtedy Saul, pijąc wodę, spojrział na Micelli.

- Zaszło mi w gardle - powiedział do niej. - Proszę mi powiedzieć: panna Calder musiała upaść ze sporą siłą, prawda?

- Na to wygląda, tak.

- I ciosy w głowę także zadano ze sporą siłą?

- Tak. Już to mówiłam.

Obrońca odstawił szklanę.

- Czy głowa Marcie nie mogła uderzyć ze sporą siłą w zakrwawiony kamień, który znaleźliście, co tłumaczyłoby obecność krwi na nim i na ubraniu dziewczyny? I czy siła ta nie mogłaby spowodować, że kamień przetoczył się jeszcze dwa metry? W końcu był okrągły i o mniej więcej czterdzieści cztery kilogramy lżejszy od Marcie.

Micelli popatrzyła na niego.

- Właśnie przedstawił mi pan kilka założeń, panie Ravin.

Saul się uśmiechnął.

- Przepraszam. Moje pytanie przypominało chyba mozaikę. Proszę mi pozwolić ją podzielić. -  
Podszedł do niej i zapytał: -

Krew mogła trysnąć, kiedy głowa Marcie uderzyła w kamień, zgadza się?

- Teoretycznie jest to możliwe...

- Zwłaszcza że jej plamy znajdują się głównie na prawym rękawie, a nie na przodzie bluzy.

Micelli milczała przez chwilę.

- To prawda.

- Teoretycznie po upadku krew mogła zostać na drugim albo trzecim kamieniu, w które uderzyła.

- Teoretycznie.

- A siła, z jaką ważąca czterdzieści osiem kilogramów dziewczyna spadła ze stromego urwiska i uderzyła głową w kamień, mogła spowodować, że kamień potoczy się dalej po zboczu z większą prędkością. Wystarczającą, by przebyć jeszcze dwa metry.

- Być może. Ale jest tu dużo zbiegów okoliczności.

Saul założył ręce na piersiach.

- Chcę tylko wykazać, że nie może pani wiedzieć, co rzeczywiście się zdarzyło, prawda? Tak jak to pani wcześniej przyznała - powiedział łagodnie.

- Nie. Nie mogę. Mogę się jedynie zastanawiać, co dowód z opinii lekarskiej, brany jako całość, mówi mi o okolicznościach śmierci Marcie Calder.

Saul skinął głową.

- Rozumiem. O ile sobie przypominam, dowód ten mówi też między innymi o obrażeniach skóry Marcie Calder. Można w nim wyczytać, że skóra była „twarda w dotyku” i nie zakrwawiona.

Koroner popatrzyła na niego ostrożnie.

- Tak.

- Czy deszcz nie dałby takiego samego rezultatu? Nie zmarszczyłby zranionych fragmentów skóry Marcie?

Biegła umilkła i spuściła wzrok. Patrząc na nią, Tony domyślał się, iż kobieta przypomina sobie, że jest naukowcem, a nie stroną.

- To możliwe - przyznała. - Odślonięta część skóry zmarłej była taka jak u kogoś, kto zbyt długo siedział w wannie. Zwłaszcza na dłoniach i na palcach.

- Dobrze. Deszcz wymyłby także zapewne krew i zmienił barwę zarówno ran, jak i normalnej skóry. Zwłaszcza że Marcie upadła na wznak, a więc rany były odślonięte.

Micelli zastanawiała się nad tym.

- Tak - stwierdziła. - Deszcz utrudnił rozpoznanie rodzaju obrażeń. Ale dla mnie one i tak wyglądały na pośmiertne. Zwłaszcza skaleczenia na twarzy.

Tony spojrział na Nancy i Franka Calderów. Siedzieli w milczeniu i bez ruchu. Odrętwienie zdawało się ich już nie opuszczać.

- Ale czy te same skaleczenia - Saul zwrócił się do biegłej - nie sugerują, że zsunęła się ze wzgórza na prawej części twarzy, przez co mogła uderzyć prawą stronę głowy w kamień lub kamienie? Co z kolei mogłoby spowodować, że wgniecenia powstały tak blisko siebie?

Micelli zastanawiała się nad tym. Odparła niechętnie:

- Tak, to możliwe. Ale moim zdaniem, Marcie miałyby uszkodzenia mózgu powstałe w wyniku przeciwuderzenia.

Nagle Saul zaczął wyglądać na bardzo zmęczonego: skóra na jego twarzy nabrała niebezpiecznie różowego odcienia jak u kogoś po nadmiernym wysiłku. Urwał, by zetrzeć pot z czoła białą chusteczką. Daj spokój, osiągnąłeś, co tylko mogłeś, pomyślał Tony. Jakby słysząc to, Saul zapytał:

- Czy możemy porozmawiać o kanapce z tuńczykiem?

- Oczywiście.

- Jak duża była?

Micelli zawahała się.

- Nie wiem. Chyba była to normalna kanapka.

- Czy wie pani, ile tuńczyka położył na nią pan Nixon?

- Nie.

Saul schował chusteczkę.

- Czy to wszystko nie miałoby wpływu na długość trawienia kanapki w żołądku Marcie Calder?

- Miałoby. Ale w niezbyt wielkim stopniu.

- Jednak nie obstaje pani zdecydowanie przy zdaniu, że kanapka z tuńczykiem została rozpuszczona równo w dwie godziny, prawda?

- Oczywiście, że nie. To tylko czas przybliżony.

Saul wziął oddech, jego wielka sylwetka się skurczyła.

- Czy to mogło trwać dłużej?

- Trochę. Choć, jeśli pan pamięta, w jej żołądku pozostała odrobina tuńczyka. To zaś wskazuje, że proces trawienia przerwała śmierć.

- Ale mogła umrzeć o dziesiątej pięć. Albo o dziesiątej dziesięć. Albo o dziesiątej piętnaście.

- Tak.

- Albo o jedenastej?

Tony wiedział, że to złe pytanie.

- Uważam to za mało prawdopodobne. Lecz to, co pan mówi, może również oznaczać, że Marcie umarła o dziewiątej trzydzieści. Albo o dziewiątej czterdzieści. Albo o dziewiątej pięćdziesiąt. A oskarżony mówił policji, że ofiara była wtedy z nim - odparła Katherine Micelli.

To powstrzymało Saula na chwilę.

- Jednak pan Robb powiedział też policji, że gdy odjeżdżał, widział kogoś w innym samochodzie.

- Tak właśnie powiedział, zgadza się.

- I jest możliwe, że właśnie ta osoba zabiła Marcie Calder pomiędzy dziesiątą pięć a dziesiątą piętnaście.

Micelli popatrzyła na Saula.

- Moim zdaniem - powiedziała zimno - Marcie Calder została zamordowana pomiędzy dziewiątą trzydzieści a dziesiątą trzydzieści, nie wcześniej i nie później. Mogę też panu powiedzieć, że pan Robb był ojcem dziecka Marcie Calder i że to krew Marcie Calder znaleziono na kierownicy jego samochodu. Ale nie wiem nic o zdarzeniach, o których pan Robb mówił policji, a ni o tym, o której godzinie opuścił park.

Tony zrozumiał od razu, że była to porażająca odpowiedź. Potwierdzał to wyraz twarzy członków ławy przysięgłych.

- Cholera - mruknął Sam.

Saul milczał przez chwilę.

- Tyle krwi i tylko krew na kierownicy samochodu prowadzonego przez Sama Robba? - zastanawiał się na głos.

- Tylko tam ją znaleźliśmy, tak.

Stary adwokat z wolna potrząsnął głową.

- Więc skąd wiecie, że ta krew pochodziła ze śmiertelnych ran Marcie Calder? Chodzi mi o to, że z dowodu wynika tylko tyle, że to jej krew, prawda?

Micelli spojrzała na niego najpierw z niedowierzaniem, potem z irytacją, a wreszcie wyniośle.

- Jeśli chodzi o dowód z opinii lekarskiej, to wiem tylko o tym.

Tony zdawał sobie sprawę, że Saul chciał to jakoś skończyć.

- Ale ta plama krwi - zapytał powoli - jest według pani wiedzy jedynym dowodem lekarskim, który może wskazywać na związek Sama Robba z obrażeniami Marcie Calder? Niezależnie od tego, jak umarła.

Micelli w milczeniu zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Pana pytanie dotyczy tylko dowodu z opinii lekarskiej? - spytała znacząco.

- Tak. Zgadza się.

- Wobec tego muszę się zgodzić. W takim zakresie, tak. Ta plama krwi jest jedynym dowodem z opinii lekarskiej, który wskazuje na związek Sama Robba z obrażeniami, jakie odniosła Marcie Calder.

Saul milczał zamyślony, opierając na piersi tłusty podbródek.

- Dziękuję - powiedział po chwili i wrócił do biurka obrony.

- Dobra robota - mruknął Tony i naprawdę tak myślał: z Kate Micelli nie dałoby się osiągnąć nic więcej. Ale kiedy przysięgłym dano wolny dzień, a Saul opadł ciężko na swoje krzesło, Sam podszedł do niego i po prostu mu podziękował.

Tym samym przesłuchano już wszystkich świadków oskarżenia.



## SIEDEMNAŚCIE

Tego wieczoru Tony zabrał Saula na kolację. Stary prawnik wydawał się tak zadowolony, że Tony'emu nie przeszkadzała pomarańczowa kula sosu na jego połówce główki sałaty. Nie ruszał jej, tylko przyglądał się zafascynowany.

- Rekord wynosi czterdzieści cztery minuty i siedem sekund -powiedział mu Saul.

- Dość: to moja sałata z poprzedniego razu. Jestem tego pewien. - Tony ze zdziwieniem pokręcił głową. - Można by pomyśleć, że prawo przyciągania ziemskiego w końcu zwycięży. Może powinieneś zatelefonować do Kate Micelli i zapytać, co o n a o tym myśli. „Jak sądzisz, Kate, czy główka sałaty, spadająca ze skarpy...”

Saul zaśmiał się krótko, po czym spoważniał.

- Jak sobie radzisz, Tony?

Ten nalał im obu wina.

- Och, w porządku - zaczął, ale zdał sobie sprawę, że powinien powiedzieć więcej. - Byłeś naprawdę dobry, Saul. Gdyby nie to, że to ja byłbym oskarżonym, żałuję, iż nie odpytywałeś tych dwóch gliniarzy, Dany i McCaina.

Ravin przyjrzał mu się, jakby chciał się upewnić, że to nie czcze pochlebstwa. Musi być ciężko, pomyślał Tony, zastanawiać się, jak nisko upadłeś, skoro nawet tego nie potrafisz ocenić.

- To było dawno temu - odpowiedział po prostu Saul. - Za dużo lat, za dużo alkoholu. Nie jestem tym, kim byłem.

- W takim razie musiałeś być kimś, Saul. Naprawdę musiałeś być kimś.

Kiedy Ravin spojrzał mu z uśmiechem w oczy, Tony wiedział, że jego przyjaciel mu wierzy.

- Byłem tobą- odparł. - Życie jest dziwne, prawda?

- Bardzo.

Przez chwilę stary adwokat nic nie mówił.

- Wciąż kochasz jego żonę? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

Tony utkwiał wzrok w stole i starał się odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Gdyby Sam ożenił się z kimś innym, to i tak bym przyjechał. To jest chyba tak, że pewne doświadczenia są na tyle ważne, iż zawsze stanowią część ciebie, kimkolwiek byś się stał. Przyjaźń Sama była takim właśnie doświadczeniem. Także śmierć Alison. Jest nim też Sue. - Podniósł wzrok. - Tak, Saul, wciąż ją kocham. Nie mogę pozwolić, by to się stało problemem dla Stacey i dla mnie, ale przez to jest jeszcze trudniej. Bo patrzę na życie Sue: na to, czym było i dokąd zmierza, i nie widzę ani jednej cholernej rzeczy, którą mógłbym dla niej zrobić. Mogę pomóc tylko Samowi, więc jeśli nawet go z tego wyciągniemy, Sue i tak będzie musiała określić, kim on jest.

- I ty się nad tym zastanawiasz.

- Bez przerwy.

Saul skinął głową.

- Ten twój przyjaciel to pomieszanie z poplątaniem. Czasami, gdy zachowuje się przyzwoicie, tak jak dziś, sprawia wrażenie szczerego i prawie dobrotliwego, jeśli mogę tak powiedzieć o Samie Robbie. Kiedy indziej wydaje się, że gra przyzwoitego, zupełnie jakby otrzymywał przez słuchawkę polecenia, które nakazują mu zachowywać się tak, a nie inaczej, ale coś w jego głowie sprawiało, że nie do końca mu się to udaje. - Spojrzał uważnie na Tony'ego. - Rozumiesz, o czym mówię?

Wnikliwość Saula sprawiła, że Tony uśmiechnął się, choć sprawa była poważna.

- O, tak. Rozumiem - odpowiedział.

Saul upił duży łyk wina. Pił teraz trochę więcej niż ostatnio, może z poczucia ulgi, kiedy uwolnił się od wątpliwości co do samego siebie, co rozwiązało mu język.

- Na twoim miejscu - rzekł po chwili milczenia - nie zastanawiałbym się nad uczuciami do Sue. Jej życie może być o wiele prostsze, jeśli przegrasz, i dosyć pokręcone, jeśli Sam pozostanie na wolności. Będzie wtedy musiała dokonać wyboru. Podobnie jak ty, zawsze będzie się zastanawiała, czy Sam jest mordercą. Ale ty przynajmniej możesz wrócić do swojej żony i syna, wiedząc, że zrobiłeś swoje. To ona będzie musiała podjąć decyzję, czy odejść, czy zostać, a Sam tego nie ułatwi, zwłaszcza takiej kobiecie, jaką wydaje się Sue. Cokolwiek by się stało, on na zawsze już pozostanie ojcem jej dzieci.

Tony wiedział, że wszystko to prawda.

- Ale przecież poprosiła mnie, żebym bronił Sama. Żebym zwrócił jej niewinnego męża.

Saul opróżnił lampkę.

- To było przed procesem, Tony. Ciekawy jestem, jak się czuje teraz.

Następnego dnia na sali sądowej panował mrok. Po południu Sam zaproponował Tony'emu dokończenie meczu koszykówki.

Sam stał na środku boiska z piłką pod pachą i uśmiechał się.

- Po piętnaście, tak?

- Tak.

Tony zdziwił się, że mimo procesu i wszystkiego, co się z nim wiązało, obaj pamiętali wynik. W powietrzu czuć było pierwsze oznaki jesieni. Minęło dwadzieścia osiem lat, odkąd ta sama rzeźkość obwieszczała ostatni sezon, który przywiódł Sama i Tony'ego, przyjaciół i rywali, do meczu przeciwko Riverwood. Mimo to instynktowny rytm tamtej przyjaźni, tamtej rywalizacji, wciąż pulsował i wydawał się ich drugą naturą. To tylko Tony'ego tu nie było.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował Sam. - Jeden z nas musi wygrać dwoma koszami. - Uśmiechnął się znowu. - Chcę być wobec ciebie w porządku.

Tony przewrócił oczami.

- Zostaniemy tu do końca świata.

- Mi to pasuje. Proces nie jest wcale taką atrakcją. - Sam rzucił piłkę Tony'emu. - Twoja kolej, mój drogi. Ja wyrównałem, stosując na tobie twoją sztuczkę z przełożeniem za plecami.

- Zupełna patologia - powiedział adwokat i wycofał się z piłką. Kiedy ruszył na kosz, kozłując nagle za plecami i zostawiając Sama stojącego jak słup, po czym zdobył swój szesnasty punkt, Sam zawył z radości.

- Za dobrze - stwierdził. Ale kiedy spróbował tej samej sztuczki i Tony odebrał mu piłkę, przestał się śmiać. Wyrównał, zaatakował łokciem i odepchnął rywala. Potem już prawie się do siebie nie odzywali.

Teraz słychać było tylko sapanie i szybkie kroki, rozchodził się zapach potu dwóch przepychających się ciał. Obaj błyskawicznie przechodzili do rzutu z miejsca, nieoczekiwanie atakowali kosz z kozłowaniem lub też tylko patrzyli na siebie. Kiedy był remis po dwadzieścia trzy, Tony chybił. Gdy piłka upadła na puste boisko pod koszem, żaden nie odpuścił. Zderzyli się: Tony potoczył się na bok i uderzył w betonową podstawę kosza, Sam upadł na asfalt.

Tony poczuł dojmujący ból w głowie i łokciu, na chwilę pojaśniało mu przed oczami. Potem zobaczył, jak Sam podnosi się z asfaltu i bierze piłkę.

- Dość - powiedział Tony.

Sam zmarszczył brwi.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Pięć minut - odrzekł prawnik i zdał sobie sprawę, że były to ich pierwsze słowa od długiego czasu.

Siedzieli na środku boiska, metr czy dwa od siebie.

- Nic ci nie jest? - zapytał po jakimś czasie Sam.

- Przeżyję. - Tony stwierdził, że nie ma ochoty na rozmowę. Zgiął łokieć i skulił się, tak zabołało go w skroniach.

Sam patrzył na park Taylorów i leżące za nim jezioro.

- No, to jaka była Sue przedostatniej nocy?

Jego głos był tak beznamiętny, tak celowo wyprany z emocji, że Tony odwrócił się ku niemu.

- Mam nadzieję, że to pytanie nie znaczy tego, co znaczyło przedwczoraj.

- Pytałem tylko, jaka była.

- No to chyba musimy sobie coś wyjaśnić, i to raz na zawsze: nie wiem, jaka była Sue ani co robi. Mój urok w oczach Sue polega na tym, że nie jestem tobą i waszymi dziećmi i że nie mieszkam w waszym domu. Raczej się nie „rżniemy”, jak to ładnie ująłeś.

Sam przyglądał mu się uważnie.

- I nigdy przedtem?

Tony celowo spojrzał mu w oczy. Najlepsze kłamstwa, jak zauważył Sam, mają oparcie w prawdzie. Tony tego nie potrafił, stwierdził za to, że towarzyszy im zawsze niezachwiane spojrzenie.

- Wtedy, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, miałem zbyt wielki mętlik w głowie, by się kimkolwiek interesować. Ale możesz tego nie wiedzieć, bo przecież przestaliśmy wtedy na pewien czas rozmawiać. O ile dobrze pamiętam, poszło o to, czy udusiłem Alison - odparł spokojnie.

Sam spuścił wzrok i zostawił go z gorzkim posmakiem jego manipulacji. Lecz Tony nie chciał, nie mógł zdradzić Sue Robb, tak samo jak nie mógł zdradzić klienta.

- No to grajmy w kosza - zaproponował Tony.

Wstali bez słowa i dokończyli grę.

Znowu grali w napięciu. Jediną różnicą była pewna uprzejmość - napięta i cicha, podkreślana kiwnięciami głowy i spojrzeniami - i to, jak trzymali ramiona i łokcie blisko siebie, zupełnie jakby następna sprzeczka miała rozpocząć coś, czego nie potrafiliby zatrzymać. Tony wyczuł tę różnicę, ponieważ zaczął traktować Sama tak jak każdego przeciwnika: jak pionek, do którego nie czuł ani miłości, ani nienawiści, ani też się go nie bał. Wiedział bowiem zawsze, że jako sportowiec lub adwokat był dobry tylko wtedy, gdy nie czuł zbyt wiele. Stanowił w tym przeciwieństwo Sama, z jego pochodzącą z głębi duszy gwałtownością reakcji, przez którą był jak drut miedziany wystawiony na ciepło. Ale przy przyjacielu również Tony czuł to ciepło.

Kiedy trafił do kosza i zdobył swój trzydziesty punkt, krew pulsowała mu w skroniach.

Prowadzi jednym punktem. Jeszcze tylko jeden.

Sam znowu stanął naprzeciw niego. Ich urywane oddechy zdawały się pochodzić z jednego

organizmu, połączonego potem, pragnieniem i tą żywiołową, nałogową pasją, którą tylko razem mogli stworzyć. Tony patrzył mu w oczy.

- Pieprz się - powiedział cicho Sam i nagle, z zaskakującą furią rzucił się w stronę kosza.

Tony z rozpaczą zaatakował go z boku, starając się zablokować tak, jak gdyby tylko to się dla niego liczyło. Sam zatrzymał się, jego twarz wykrzywiła wściekłość i żądza, po czym ruszył z boku i wysunął biodro, żeby odepchnąć Tony'ego. Ten nie dał się, zderzyli się, a Tony zatoczył się do tyłu, ale najpierw wyrwał piłkę przyjacielowi. Sam rzucił się za nią rozpaczliwie, upadł piersią na asfalt, a piłka wypadła za linię. Gdy znowu spojrzął na Tony'ego, na twarzy miał nic nie mówiącą maskę.

Tony bez słowa wyciągnął rękę.

- Przerwa? - spytał.

Sam spojrzął na niego w zamyśleniu.

- Przerwa - odparł.

Razem zeszli z boiska. Bryza znad jeziora nasiliła się i chłodziła ich ciała. Raz jeszcze spojrzeli w milczeniu na majaczący w oddali park Taylorów z jego zaroślami, dębami, ważnymi i strasznymi wspomnieniami.

- Widziałeś Erniego Nixona?

Sam pokręcił głową.

- W „Weekly” napisali, że poszedł na urlop. Bez wyjaśnienia.

Przez chwilę Tony nie odpowiadał.

- Nie potrzeba wyjaśnień - stwierdził w końcu.

Sam obrócił się do niego. Z wystudiowanym, oskarżycielskim spokojem zapytał:

- Więc kiedy powiem, że jej nie zabiłem?

- Może nie będziesz musiał.

Sam założył ręce na piersiach.

- Może tylko schowam się za tobą, to chcesz powiedzieć?

- Nie. - Ton adwokata był spokojny, rzeczowy. - Może postanowimy, jak racjonalnie myślący dorośli, którymi jesteśmy, że tym razem nie musisz „wygrać”. Że wprowadziłem uzasadnioną wątpliwość, podpuszczając naszego kryminologa. Że nie musisz ryzykować, tłumacząc się z niewierności, seksu analnego i ciąży przed dwunastoma porządnymi obywatelami, którzy mogą zacząć się zastanawiać, gdzie sobie odpuściłeś. - Tony umilkł, po czym dodał łagodniejszym tonem:  
- Jutro zrobimy sobie próbę, dobrze?

Sam odwrócił się od niego i spojrzął na ziemię. Powiedział beznamiętnie:

- Dokończmy to.

- Mecz? Nie, myślę, że powinniśmy go dokończyć, kiedy skończy się proces. Nie mam dziś ochoty na zwycięstwo.

Sam spojrzął na niego z ukosa zmrużonymi oczami. Tony miał nadzieję, że przyjaciel rozumiał, co chciał mu w milczeniu przekazać: że dokończenie meczu tego dnia nie będzie dobre dla żadnego z nich.

Sam powtórzył cicho.

- Chciałbym to skończyć.

Tony uśmiechnął się i zaczął odchodzić.

- No właśnie - rzucił przez ramię. - To tak jak na procesie. Nie możesz grać beze mnie.

## OSIEMNAŚCIE

W poniedziałek rano, dwa tygodnie po rozpoczęciu procesu, Tony wygłosił wreszcie swoje oświadczenie wstępne.

Przysięgli przysłuchiwali mu się bez ruchu. Czuł ciężar ich oczekiwań, obciążenie badawczego spojrzenia Sama i nieodgadniony wzrok Sue.

- Nie czas na sprzeczki. Czas na fakty - zaczął. - „Fakty” przedstawione przez oskarżenie to wyłącznie poszlaki. Nie ma żadnych świadków śmierci Marcie Calder, natomiast jedyną osobą, która zeznała, że Sam Robb był tamtej nocy w parku Taylorów, był właśnie Sam Robb. Nikt nie podał innego powodu tego zachowania niż ten, który przedstawił on sam, gdy okazało się, że Marcie zaginęła: ten mianowicie, że się o nią martwił. - Tony urwał i przyjrzał się dwóm rzędom, w których siedzieli przysięgli. - Pani Marz - powiedział - starała się dać wam powody, byście przestali lubić Sama Robba. Pokazała, że utrzymywał stosunki seksualne z nastolatką, że był ojcem jej nie narodzonego dziecka, że ukrył prawdę o ich związku przed policją. Na tej podstawie poprosiła was później, byście uwierzyli, że Sam Robb na pewno zamordował Marcie Calder, żeby ukryć to przed wszystkimi. Lecz kłamstwo to nie to samo co morderstwo. Choć może to być nieprzyjemne, ośmielię się stwierdzić, że każdy z członków ławy przysięgłych i każdy na tej sali zrobił w życiu rzeczy, których się wstydzi, i opowiadał kłamstwa, których potem żałował. A fakty wskazują, że Sam Robb kłamał nie po to, by ukryć morderstwo przed policjantami, do których zgłosił się dobrowolnie, ale po to, by chronić swoje małżeństwo, swoją pracę oraz reputację w mieście, w którym spędził całe swoje życie. - Głos Tony’ego stał się twardszy. - Tak samo jak Ernie Nixon starał się ukryć swój związek z Marcie Calder przed wami, jakikolwiek on był i z jakiegokolwiek powodu chciał to uczynić. Co do ich obu, wprowadzenie w błąd to nie morderstwo, a spekulacje to nie dowody. Wierzę, że musicie w końcu dojść do wniosku, iż oskarżenie nie udowodniło ponad uzasadnioną wątpliwość, że ktokolwiek zamordował Marcie Calder. Ale założmy na chwilę, czego nie wolno wam uczynić w waszych rozważaniach, że Marcie zginęła z czyjejś ręki. Wasze obowiązki jako przysięgłych nie polegają na tym, by uznać Sama Robba winnym popełnienia morderstwa dlatego, że nie podoba się wam jego zachowanie. Nie możecie też zdecydować, czy powinien uczyć w naszej szkole, ponieważ podając się do dymisji, Sam Robb osobiście o tym zdecydował...

Stella Marz poruszyła się ze złości. Dymisja Sama nie była zaprotokołowanym „faktem” i nie stanie się nim, jeśli nie złoży on zeznania. Ale Tony mówił już dalej.

- Waszym zadaniem, waszym j e d y n y m zadaniem, jest zdecydować, czy w świetle faktów Sam Robb powinien spędzić życie w więzieniu. Jest to być może najpoważniejsza decyzja, jaką dwunastu ludzi może podjąć w stosunku do innej osoby. - Tony urwał, popatrzył na Sama, a potem na Sue. - Decyzja, by odebrać tego mężczyznę jego rodzinie, i to na zawsze. Ale o to właśnie wnosi oskarżyciel. Na jakiej podstawie? Na podstawie odcisku palca i kropli krwi. Odcisk palca. Kropla krwi. Proszę was, żebyście się skupili tylko na tym. Żebyście się skupili tylko na tym, ponieważ

wierzę, że zanim ten dzień dobiegnie końca, dojdzie do przekonania, iż oskarżenie nie potrafi udowodnić, że Sam Robb jest mordercą ani że te dwa „fakty” w ogóle sugerują zabójstwo.

Tony umilkł i spojrzał kolejno na każdego z ławników, przypominając im w milczeniu o umowie, którą zawarli: słuchać i być sprawiedliwym. Potem podziękował im i wezwał swojego jedyne go świadka.

Peter Shapiro był krępy męczyzną o szpakowatych włosach i wąsach. Miał bystre, brązowe oczy i sprawiał wrażenie osoby spokojnej i dobrotliwej. Mówił otwarcie, bez nadęcia i obłudnych frazesów. Miał dyplomy z medycyny, kryminologii oraz medycyny sądowej, wszystkie zdobyte w stanie Ohio, i był jednym z najdroższych biegłych, jakich Tony’emu zdarzyło się zatrudnić.

Tony szybko przedstawił kwalifikacje Shapiro i zakres jego zadania: biegły miał ocenić raport laboratorium kryminalistycznego, raport z sekcji zwłok, a także wszystkie dowody rzeczowe i dowody z opinii lekarskiej, które przedstawiało oskarżenie, lecz nie przeprowadzać żadnych dalszych badań. W ten sposób, zapewniał Shapiro, będzie mógł zapoznać się dokładnie z wszystkimi dowodami, na których opierali się detektyw Gregg i doktor Micelli, i stwierdzić, czy jego wnioski zgadzają się z ich wnioskami.

- Czy pana zdaniem, dowody rzeczowe i dowody z opinii lekarskiej potwierdzają wersję o zabójstwie, jak utrzymuje pani prokurator, czy też mogą sugerować możliwość wypadku lub samobójstwa? - zapytał Tony.

Shapiro energicznie skinął głową, gotowy odpowiedzieć na pytanie.

- Przede wszystkim nie kwestionuję kompetencji policji z Lake City i mam ogromny szacunek dla doświadczenia i fachowości doktor Micelli. Czy mają rację, twierdząc, że było to zabójstwo? Muszę powiedzieć, że prawdopodobnie tak. - Umilkł na chwilę i zwrócił się do przysięgłych. - Ale czy Marcie Calder mogła umrzeć w inny sposób? Tak, mogła.

To doskonały początek, pomyślał Tony: pełen szacunku, wyważony i wiarygodny - Sam Robb potrzebował wątpliwości, nie pewności.

- Dlaczego pan tak twierdzi, doktorze Shapiro?

- Zaczniemy od dowodów z opinii lekarskiej, które przytacza doktor Micelli. Po pierwsze, brak obrażeń mózgu powstałych w wyniku przeciwuderzenia. To wysoce prawdopodobna wskazówka, że Marcie Calder nie zmarła w wyniku upadku. Lecz czy daje pewność? Moim zdaniem nie. Od ponad dwustu lat, mimo usilnych prób, nikomu nie udało się wyjaśnić, dlaczego związek między upadkiem a przeciwuderzeniem jest taki właśnie, jaki jest. Ale tu nie chodzi o „proste zasady fizyki”. Rozważmy jeden przykład: najgroźniejsze upadki, jak na przykład te z budynków, mogą nie spowodować tego typu obrażeń. Chociaż czaszka może być całkowicie roztrzaskana.

- Dlaczego?

- Uważamy, że dzieje się tak, ponieważ ciało spada z taką prędkością, iż mózg oraz czaszka



osiągają takie samo przyspieszenie, i dlatego przed upadkiem w czaszce nie wytwarza się żadne ciśnienie, które wynikałoby ze zmiany przyspieszenia. Z tego względu upadek z krzesła może, teoretycznie, spowodować większe obrażenia przeciwwuderzeniowe niż upadek ze skarpy.

Przyglądając się po kolei członkom ławy przysięgłych, Tony zauważył, że dietetyczka była pod wrażeniem, tak samo jak profesor angielskiego. Dobrze, że nie było ich na sali, kiedy Shapiro rzekł do Tony'ego: „Micelli ma prawdopodobnie rację: jest wielce prawdopodobne, że ktoś zrzucił ofiarę z klifu mniej więcej w tym czasie, kiedy pana klient - jak twierdzi - był tam z nią. Ale jeśli zastanowić się po kolei nad każdym z argumentów Kate, to każdy z nich budzi pewne wątpliwości. Mnie niepokoi rezultat łączny”.

- Jak pan ocenia - pytał teraz Tony - przekonanie doktor Micelli, że natura otarć skóry Marcie Calder wskazuje, iż upadek nastąpił po jej śmierci?

Shapiro raz jeszcze przemówił do przysięgłych:

- Cóż, na pewno było to możliwe. Jednak argument, który pan Ravin przytoczył doktor Micelli, jest słuszny: chciałoby się obejrzeć ciało wcześniej niż po siedmiu chyba godzinach, które przeleżało na deszczu. To pomogłoby określić rodzaj obrażeń, w tym też wygląd skóry, o której mówiła doktor Micelli. W ten sposób można prześledzić całą listę, panie Lord. Czy odciski stóp i znaki na skarpie mogą oznaczać, że ktoś ciągnął ciało Marcie Calder? Tak. Czy te odciski stóp mogły należeć do kogoś innego niż Sam Robb, choćby do biegacza, który zatrzymał się, by popatrzeć na jezioro? Oczywiście, ponieważ nie wiemy, czyja to stopa.

- A co z tak zwanymi śladami wleczenia? - zapytał Tony.

- Rzeczywiście, mogły je wyryć czubki butów Marcie Calder. Ale dziewczyna mogła się też potknąć albo, mówiąc obcesowo, za wcześnie skoczyć. Tak samo błoto mogło się znaleźć na jej tenisówkach w czasie upadku. - Biegły urwał, żeby przetrzeć okulary. - Proszę zrozumieć - zwrócił się do ławników - nie mówię państwu, że doktor Micelli myli się co do zabójstwa. Ale nie mogę też powiedzieć, że ma rację, i jest wiele powodów, dla których sędzi, że o n a też nie może tego stwierdzić. Każdy z czynników, na które się powołuje, może mieć znaczenie, może nic nie znaczyć albo też znaczyć coś zupełnie innego, niż sugeruje prokurator.

Tony stwierdził, że czas przejść dalej. Shapiro mógł co najwyżej postawić kilka dręczących pytań. „Morderstwo?” - zapytał Shapiro Tony'ego kilka tygodni wcześniej. „Stawiam cztery do jednego za. Bo jaka jest dziś szansa na uzasadnione wątpliwości?”

Teraz Tony sięgnął pod biurko obrony i wyciągnął dwie plansze: powiększone odbitki zdjęć odcisków palców. Gdy tylko przypiął je do tablicy i zobaczył, jak Stella Marz patrzy to na jedną planszę, to na drugą, przekonał się, że go zrozumiała. Stał obok tablicy i wskazał na powiększenie po lewej.

- Czy może pan określić, co przedstawia dowód obrony numer jeden?

- To powiększenie trzech odcisków palców zdjętych z zegarka Marcie Calder. Jak zeznał detektyw Gregg, jeden z nich należy do Marcie Calder: to ten po lewej. Drugi jest pana Robba. Tego z prawej strony detektyw Gregg nie potrafił zidentyfikować.

Stella patrzyła na to z wystudiowaną obojętnością, którą Tony dobrze znał. To była twarz prawnika, którego linia za chwilę zostanie zakwestionowana i który nie chce, żeby przysięgli widzieli jego konsternację.

- A co przedstawia dowód numer dwa?

- Są to powiększenia dwóch odcisków palców zdjętych z czarnego zegarka na rękę marki Swatch.

Tony zaczął się niecierpliwić.

- I czyje to odciski?

Shapiro uśmiechnął się lekko.

- No cóż, panie Lord, jeden z nich jest pański.

- A drugi?

- Tego też nie zidentyfikowano.

Tony umilkł na chwilę, nie spieszył się.

- Kiedy ujrzał pan ten zegarek po raz pierwszy?

- Tydzień temu, rano, kiedy pan mi go dał. Wtedy stałem z niego odciski palców, włożyłem do szarej koperty i zwróciłem panu, nim rozpoczęła się rozprawa.

- Czy wie pan, gdzie on się potem znalazł?

- Tak. Pod biurkiem, przy którym pan siedzi.

- Skąd pan to wie?

Shapiro ze spokojem założył ręce na piersi, odgrywając rolę biegłego.

- Ponieważ stałem na końcu sali sądowej.

Ze swego miejsca Karoly patrzył na Shapiro, dochodząc do wszystkiego zbyt późno.

- I co ja zrobiłem z zegarkiem? - pytał dalej Tony.

- W trakcie przesłuchania wyjął pan zegarek z koperty i podał świadkowi, Erniemu Nixonowi.

- Co było później?

- Pan Nixon przez chwilę obracał zegarek w palcach - Shapiro spojrział na Stellę. - Potem pani Marz zgłosiła sprzeciw, a pan schował zegarek z powrotem do koperty. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, oddał mi pan kopertę.

- Jakie były moje polecenia?

- Miałem sprawdzić, czy można zdjąć odciski palców z zegarka, i dopilnować, by nikt inny go nie dotykał.

Tony wskazał na drugą planszę.

- Wynik widać na tej planszy?

- Tak.

- Mój odcisk to ten po lewej stronie?

- Tak.

Adwokat spojrział na przysięgłych.

- W takim razie, drogą eliminacji, ten drugi odcisk musi należeć do Erniego Nixona?

Shapiro zrobił poważną minę.

- Tak. To odcisk jego prawego palca wskazującego.

- Jeśli chodzi o odcisk palca pana Nixona, czy doszedł pan jeszcze do jakichś wniosków?

- Tak. - Shapiro spojrział na ławników i przemówił spokojnym głosem: - Odpowiada nie zidentyfikowanemu odciskowi znalezionemu na zegarku, który Marcie Calder miała na ręce tej nocy, kiedy umarła. Bez wątplenia odcisk ów też należy do pana Nixona.

Tony usłyszał reakcję za sobą: przesuwanie krzesel, nerwowe kasłanie. Kątem oka zauważył, że kosmetyczka wcale się nie poruszyła. Patrząc na Shapiro, zapytał:

- Czy wyrobił pan sobie zdanie na temat tego, jak odciski pana Nixona znalazły się na tym zegarku?

- Oczywiście, że nie. - Shapiro zdziwił się, a jego ton był pełen dezaprobaty. - Tak samo jak ani ja, ani nikt inny nie może panu powiedzieć, jak znalazły się tam odciski pana Robba. Albo co każdy z tych odcisków może oznaczać.

- Dobrze. - Odchodząc od tablicy, Tony dał ławnikom chwilę, by sobie to zapamiętali. - Czy pytałem też, doktorze Shapiro, o pana opinię na temat tego, czy Marcie Calder uprawiała seks analny tej nocy, kiedy umarła?

- Tak, pytał pan. - Shapiro założył ręce na piersiach. - Zdecydowanie zgadzam się z doktor Micelli. Marcie Calder rzeczywiście uprawiała seks analny, a jej partner rzeczywiście używał prezerwatywy. Zgadzam się również z twierdzeniem pani koroner, że była to najprawdopodobniej prezerwatywa Adam's Rib.

- Zgadza się pan czy też nie zgadza z przekonaniem doktor Micelli, że ten seks analny uprawiano za obopólną zgodą?

- Ponownie się zgadzam. Jak zauważyła doktor Micelli, gwałt spowodowałby więcej uszkodzeń tkanki. Sądzę, że obrażenia, które stwierdzono, świadczą o braku wcześniejszych doświadczeń, lecz również o dobrowolnym udziale.

Tony zauważył, że zarówno ławnicy, jak i Sue patrzyli teraz na Sama: z jej twarzy nie można było nic wyczytać tak samo, jak wtedy, gdy Tony zjawił się w mieście. Bardzo różniła się od spojrzenia dziewczyny, którą znał kiedyś. Sam wbił wzrok w swoje założone na piersiach ręce, nie mogąc spojrzeć na nikogo.

Tony stwierdził, że czas już to kończyć.

- Czy zbadał pan także próbkę krwi z plamy na kierownicy szarego volvo pani Robb? - zapytał biegłego.

- Tak. I zgadzam się, że to krew Marcie Calder.

- Czy ustalił pan coś jeszcze?

- Tak. Na pana prośbę sprawdziłem, czy w próbce znajdują się inne substancje poza tymi, które są zawarte we krwi.

- Znalazł pan taką substancję?

- Tak. - Shapiro zwrócił się do ławników pewnym głosem: - Dwa osobne testy potwierdziły, że próbka zawierała ślady żywicy silikonowej nazywanej polietanem lub PDMS.

- Jak wyjaśni pan obecność PDMS w krwi pani Calder?

- PDMS to nawilżacz stosowany często w Adam's Rib. Tylko takie wytłumaczenie przyszło mi do głowy.

Tony skinął głową.

- Czy PDMS odpowiada substancji znalezionej w wymazach z odbytu, które opisała doktor Micelli?

- Tak.

- Czy znalazł pan jeszcze jakieś ciała obce w próbce krwi?

- Tak. - Tym razem Shapiro spojrział na Tony'ego. - Oba testy wykazały obecność kału.

Obrońca zapytał cicho:

- Na podstawie tych wyników, doktorze Shapiro, co może pan powiedzieć o krwi znalezionej na kierownicy?

Biegły założył ręce na piersiach.

- Że pasuje do krwi znalezionej w zewnętrznej części odbytu Marcie Calder i że mogła się znaleźć na kierownicy po tym, jak Sam Robb zdjął prezerwatywę. A przynajmniej jej dotknął.

Tony podszedł bliżej.

- Co, pana zdaniem, smuga krwi mówi na temat tego, czy Marcie Calder została zamordowana albo na temat tożsamości mordercy?

Shapiro spojrzał na niego poważnie.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mówi nic.

Tony milczał. Widział zdziwienie i zamyślenie na twarzach ławników.

- Dziękuję - powiedział do swojego świadka i wrócił do biurka obrony. Całe poczucie ulgi zniknęło, gdy zobaczył wyraz twarzy Sama Robba: malował się na niej wstyd i - przez króciutką chwilę - złość.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

Patrząc na Shapiro lekko rozszerzonymi oczami, Stella Marz wahała się, jakby rozważała, który punkt zaatakować najpierw.

- Zacznijmy - powiedziała bez ogródek - od możliwości wypadku albo samobójstwa. Czy sądzi pan, że to tak naprawdę zdarzyło się w tym wypadku?

Shapiro potrząsnął głową.

- Pilnowałem się, żeby tak nie powiedzieć. Powiedziałem natomiast to i tylko to, że dowody przytaczane przez detektywa Gregga i doktor Micelli nie wykluczają takiej możliwości.

- W takim razie zajmijmy się obrażeniami, które spowodowały zgon. Marcie Calder otrzymała uderzenia w głowę, zgadza się? Są uszkodzenia mózgu po stronie, po której nastąpiło pęknięcie czaszki?

- To prawda.

- To wskazuje na cios zadany przez inną osobę, prawda?

- Tak.

Stella położyła ręce na biodrach.

- Czy widział pan kiedyś tak poważne uszkodzenie czaszki, które powstało w wyniku upadku?

Shapiro zmarszczył brwi.

- Nie.

- Dobrze. O ile rozumiem, mówił pan jedynie, że brak uszkodzeń mózgu powstałych w wyniku przeciwuderzenia nie wyklucza upadku?

- Tak, tylko to chciałem powiedzieć.

- Ale czy w takim razie obecność śladów uderzeń nie sugeruje zdecydowanie, że śmierć została zadana przez inną osobę?

Patrząc na Shapiro, Tony dostrzegł pierwsze oznaki zażenowania: widział biegłego, który obawia się, że jest na granicy swojej wiarygodności.

- Na pewno „sugeruje” to zabójstwo.

- I pan sądzi, że to właśnie się wydarzyło, tak?

- Raczej tak.

Długie milczenie i spojrzenie, jakim Stella obdarzyła Shapiro, podkreślało jej macierzyńską pogardę nauczycielki, która przyłapała rozwiniętego ponad wiek ucznia na kłamstwie.

- W takim razie idźmy dalej - powiedziała. - Sugerował pan także, iż deszcz utrudnił rozpoznanie dowodów na to, że otarcia na twarzy i rękach Marcie Calder miały charakter pośmiertny, to znaczy że powstały w wyniku upadku po śmierci. Czy pamięta pan to zeznanie?

- Tak.

Tony zauważył, że świadek obudził już w sobie ostrożność, przestał być tak gadatliwy.

- W wypadku obrażeń przedśmiertnych należałoby się spodziewać krwawienia podskórnego? - naciskała prokurator.

- Tak.

- Ale nie było go w tym przypadku.

- Nie.

- Czy prawdopodobną przyczyną może być to, że serce Marcie Calder przestało już pracować?

- Tak.

- A więc, by użyć pana słów, jest raczej prawdopodobne, że były to obrażenia pośmiertne.

- Tak.

- A kamień rzeczywiście leżał dwa metry od głowy Marcie.

- Tak.

- Ponadto nie znaleziono krwi na żadnym innym kamieniu?

- Nie.

- Tak więc kilka czynników wskazuje, że Marcie Calder została zamordowana przed upadkiem: obrażenia czaszki, otarcia, do których doszło prawdopodobnie po śmierci, brak krwi na zboczu i na pozostałych kamieniach, jak również to, że jedyny zakrwawiony kamień leżał w znacznej odległości od ciała.

- Te czynniki istnieją, rzeczywiście.

Stella umilkła.

- Może pan mieć do nich zastrzeżenia, doktorze. Ale czy rezultat łączny nie jest przekonującym

dowodem, że mamy do czynienia z zabójstwem?

- Zdecydowanie wskazuje on na zabójstwo, tak.

- A co pan powie o śladach stóp na skarpie? Czy wie pan o wgnieceniach jak przy upadku, które pozostawiły czyjeś kolana?

- Nie.

Prokurator wyprostowała się i kontynuowała nieustępliwym tonem.

- W takim razie zgodziłby się pan, że istnieją znaczące dowody rzeczowe, które wyraźnie wskazują na zabójstwo?

Shapiro przez chwilę zastanawiał się nad słowami, których użyła.

- Tak.

- W takim razie proszę powiedzieć ławie przysięgłych, jakie dowody rzeczowe, jeśli jakieś są, wyraźnie wskazują na wypadek lub samobójstwo.

Shapiro założył ręce na piersiach.

- Wyraźnie wskazują?

- Właśnie.

- Nie znam żadnych.

Tony widział, jak Stella się waha, szukając ostatniego, zwycięskiego pytania. Stwierdziła jednak - a Tony na jej miejscu postąpiłby podobnie - że było ono niepotrzebne.

- Wspomniał pan, doktorze Shapiro, że Marcie Calder uczestniczyła w seksie analnym za obopólną zgodą, zgadza się?

- Tak.

- Zakłada pan także, że pan Robb był kochankiem Marcie Calder?

- Tak.

- Czy w związku z taką bliskością nie można by się spodziewać włosów Marcie Calder na ubraniu oskarżonego?

- Być może.

- Ale nie było nic takiego na ubraniu, w którym, jak utrzymuje pan Robb, był tamtej nocy, zgadza się?

- Według raportu kryminologa, nie było.



- Czy to nie tworzy wrażenia, że pan Robb nie miał na sobie tego ubrania i że okłamał policję?

Nie było sensu zgłaszać sprzeciwu, Tony o tym wiedział.

- Niekoniecznie - odparł spokojnie biegły. - Jest całkiem możliwe, że nie miał włosów Marcie Calder na swoim ubraniu. Podczas zbliżenia seksualnego nie musieli być ubrani.

Sam poruszył się na krześle, schwytny w pułapkę i niespokojny. Tony czuł niepokój z innego powodu: ta odpowiedź mogła przypomnieć przysięgłym, że Sam nie składał zeznań.

Stella podeszła bliżej.

- Jednak policja znalazła włosy Marcie Calder na tylnym siedzeniu samochodu, prawda?

- Tak mówi raport.

- I na zagłówku siedzenia pasażera?

- Tak napisano w raporcie.

- I nie było krwi na ubraniu oskarżonego, tak?

- Według raportu, nie było.

- I mimo to wierzy pan, że on nie miał krwi na rękach?

- Tak.

- Czy to nie sugeruje, że pan Robb zmienił ubranie i okłamał policję?

- Niekoniecznie, pani Marz. Może pan Robb po prostu nie poplamiał sobie ubrania krwią.

Wbrew własnej woli Tony wyobraził sobie Sama w zakrwawionym ubraniu, jak rozpaczliwie stara się go pozbyć. Ale to wyobrażenie zniknęło: nie było żadnych dowodów, że tak było.

Siedzący obok Tony'ego Sam znowu miał na twarzy wyraz wstydu i smutku.

- W raporcie policji jest mowa także o siwoblond włosach, które znaleziono na ubraniu Marcie Calder, tak? - naciskała Stella.

- Tak.

- Te włosy należały do oskarżonego, tak?

- Tak.

- Czy to nie wskazuje, że Marcie i oskarżony znaleźli się już w pewnym stopniu w intymnej sytuacji seksualnej, kiedy ona była jeszcze ubrana?

- Tak.

- A jednak, doktorze Shapiro, nie ma żadnych włosów na ubraniu, które, jak utrzymuje Sam Robb, miał on wtedy na sobie.

- Tak. Tak powiedziałem.

- Czy pan albo laboratorium policyjne znaleźliście na ubraniu Marcie Calder jakieś włosy, które należałyby do Afroamerykanina?

- Nie.

- A czy nie powinny tam być, gdyby Marcie Calder szamotała się z takim napastnikiem?

Shapiro wzruszył ramionami.

- Zakłada pani zbyt wiele faktów, pani Marz. Czy tam była szamotanina? Gdzie napastnik dotykał ofiarę? Na pani pytanie nie można odpowiedzieć.

Tony wiedział, że była to słuszna odpowiedź, i przysięgli też chyba to rozumieli. Patrzyli wyczekująco na oskarżyciela.

Prokurator urwała, a przez jej twarz przemknął wyraz złości, lecz natychmiast powrócił na nią spokój.

- W takim razie zajmijmy się kanapką z tuńczykiem - powiedziała. - Czy jeśli założyć, że Marcie zjadła ją około godziny ósmej, zgadza się pan, że o dziesiątej całkiem by ją już przetrawiła?

- Tylko w przybliżeniu. Trzeba dopuścić pół godziny różnicy w każdą stronę, jak przyznała doktor Micelli. Tak więc do zabójstwa mogło dojść dopiero o dziesiątej trzydzieści.

Stella przechyliła głowę na bok.

- Ale nie do zabójstwa z udziałem pana Nixona, zgadza się? Zakładając, że jego billing jest poprawny i że zadzwonił do swojej żyjącej z nim w separacji żony o dziesiątej osiemnaście?

- Przy takich założeniach, tak. Nic nie wiem na ten temat.

- Ale wie pan o tym, że pan Robb twierdzi, iż opuścił Marcie Calder około godziny dziesiątej?

- Tak.

- A zatem pan Nixon miałby około osiemnastu minut, by odnaleźć w mroku Marcie Calder, poszukać kamień, uderzyć ją trzykrotnie w głowę, zaciągnąć na skraj klifu, nie zostawiając przy tym żadnych włosów na jej ubraniu, zrzucić ją, wrócić do swojego samochodu, dojechać do oddalonego o trzy kilometry domu i zadzwonić do żony do Chicago.

Shapiro wydawał się lekko rozbawiony.

- Zakładając, że pan Robb się nie pomylił, to tak.

- Przyjmując to założenie, sądzi pan, że pan Nixon albo ktokolwiek inny mógłby zrobić to wszystko w osiemnaście minut?

Shapiro zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Przede wszystkim - powiedział po chwili - założenie co do czasu jest bardzo niepewne. Jeśli pan Robb opuścił park o dziewiątej trzydzieści albo o dziewiątej czterdzieści pięć, wszystko się zmienia. A nie mamy nic, co wskazywałoby, że w zeznaniu, które złożył na komendzie, podał precyzyjnie czas, ani w ogóle, że czas był wtedy dla niego najważniejszą sprawą. Ale założę na chwilę, że pan Robb się nie myli. Czy pan Nixon mógł to wszystko zrobić w osiemnaście minut? Potrzebuję tu więcej informacji. Na przykład chciałbym wiedzieć, czy pan Nixon zatrzymał się, by zmienić ubranie, czy też od razu pojechał do domu? A nie mamy żadnych dowodów rzeczowych dotyczących pana Nixona, ponieważ policja z Lake City wcale ich nie szukała. Lecz tak, jest możliwe, że on zrobił to wszystko. Zwłaszcza jeśli zatelefonował do żony zaraz po tym, jak wrócił do domu. - Shapiro urwał na chwilę, zwrócił się twarzą do przysięgłych i dokończył: - Z całą pewnością nie twierdzę, że tak właśnie było. Twierdzę tylko, że, hipotetycznie, mogło tak się stać. Twierdzę również, i podkreślam to, że jeśli było to morderstwo, to nie ma nic, co pozwalałoby powiedzieć, że mordercą był pan Robb.

Kątem oka Tony zauważył, że Saul wbił wzrok w stół, próbując się nie uśmiechnąć. Stella starała się odzyskać pozycję.

- Podsumujmy to, do czego doszliśmy, doktorze Shapiro. Nie istnieją żadne dowody, które wskazywałyby wyraźnie, że Marcie Calder spadła ze skarpy przypadkowo?

- Wskazywały wyraźnie? Nie.

- Ani żadnych dowodów, które wskazywałyby wyraźnie, że Sam Robb miał na sobie to ubranie, które włożył według jego słów?

- Nie.

- Ale istnieją dowody, które wskazują wyraźnie, że uprawiał seks analny z Marcie Calder, a potem okłamał policjantów?

- Na to wygląda, tak.

- Czy istnieją dowody, które wskazują wyraźnie, że był ojcem nie narodzonego dziecka Marcie? I że kłamał na ten temat?

- Tak.

- A na ciele Marcie Calder nie znaleziono śladów żadnego innego napastnika: żadnych włosów, skóry pod jej paznokciami, nic?

- To prawda. Ale, jak sama pani zauważyła, jedyne włosy znalezione na jej ubraniu, włosy Sama Robba, mogły się tam znaleźć w wyniku zbliżenia seksualnego. Tak więc nie ma żadnych dowodów rzeczowych na to, że w ogóle została zaatakowana. Nie mówiąc już o tym, że to pan Robb miałby ją zaatakować. - Shapiro urwał, by efektowniej zakończyć. - To dotyczy też krwi na kierownicy, co już

wyjaśniłem.

Była to odpowiedź sprytnego eksperta - odczekawszy na swoją chwilę, Shapiro trafił w sedno linii obrony Sama.

- Czy nie jest dość prawdopodobne - ripostowała prokurator - że pan Robb zamordował Marcie Calder i że krew z zabójstwa zmieszała się z tą z prezerwatywy, którą miał już na rękach?

Shapiro oparł łokieć na pulpicie, a głowę na dłoni.

- Prawdopodobne? - odrzekł. - Nie mogę tego wykluczyć. Ale nie sądzę, żeby to wyjaśniało ilość żywicy i fekaliów w smudze krwi.

- Ale nie może pan powiedzieć, że ta krew nie pochodziła z obrażeń głowy Marcie Calder, prawda?

- Nie, nie mogę. Mogę tylko powiedzieć, że istnieją przekonujące powody, by n i e z a k ł a d a ć, iż tak było. Albo że wciągają one Sama Robba w morderstwo.

Stella umilkła i przez chwilę nie mogła znaleźć wyjścia. Pochylając głowę do Saula, Tony zapytał szeptem:

- Czy dość już zrobiliśmy?

Saul spojrzał na ławników, a potem na Sama.

- Tak. Chyba dość już zrobiliśmy - mruknął.

## DWADZIEŚCIA

Tony i Sam siedzieli w sali dla świadków.

- Chcę jutro skończyć ze świadkami w naszej sprawie - powiedział Tony.

Sam rzucił mu długie, chłodne spojrzenie.

- W mojej sprawie, Tony. W mojej sprawie.

Tony oparł się wygodniej, był zmęczony. Natychmiast po ogłoszeniu przerwy poszedł dziękować Peterowi Shapiro. Potem musiał unikać noszącego okulary dziennikarza „Vanity Fair”, który chciał zrobić z nim wywiad na temat Alison. Później wreszcie zorganizował roboczą kolację z Saulem. Kiedy spojrział na Sue, dostrzegł w jej oczach głęboką troskę; nie zauważyła go. Wtedy poczuł rękę na ramieniu, obrócił się i zobaczył, że Sam wodzi wzrokiem od Sue do niego.

- Musimy porozmawiać - powiedział tamten i adwokat od razu wiedział, że oznacza to kłopoty.

Siedząc teraz - niczym w pułapce - ze swoim przyjacielem w pomieszczeniu dla świadków, Tony poczuł napięcie i klaustrofobię.

- Czyjakolwiek by to była sprawa, wierzę, że mogę ją wygrać. Wierzę, że mamy uzasadnione wątpliwości - odparł.

Sam patrzył na niego.

- Oni myślą, że to zrobiłem. Obserwowałem ich twarze, oni myślą, że jestem winny.

Tony wziął oddech.

- Mogą to podejrzewać, ale nie mogą tego wiedzieć. Moje zadanie nie polegało na tym, by przedstawiać cię jako niewinnego ani nawet jako godnego współczucia. Miałem tylko sprawić, by orzekli o tobie „niewinny”...

- Wyciągnąć mnie, to masz na myśli. Uniewinnić winnego, bo jego adwokat jest tak kurewsko dobry. - Nagle Sam zerwał się i podniósł głos: - Oni mnie n i e n a w i d z ą, Tony. Ludzie na ławie przysięgłych i ludzie w moim mieście. Pieprzyłem od tyłu nastolatkę i kłamałem na ten temat. Zaszła ze mną w ciążę, a ja kłamałem o tym. Okłamałem moją żonę i rodziców Marcie. Do diabła, okłamywałem wszystkich...

- To prawda. Okłamywałeś. A więc teraz chcesz zeznawać? Czy zapomniałeś naszą przedwczorajszą próbę...?

- Cholera, oni już to wszystko wiedzą. Jak mam ich powstrzymać? Co może spowodować, że przestaną myśleć, iż jestem zdolny do popełnienia morderstwa? Jak mógłbym to jeszcze pogorszyć?

- Potwierdzając „to wszystko” przed ławą przysięgłych, a potem prosząc ławników, by uwierzyli, że wspaniały z ciebie facet. Pogorszyłbyś to przez to, że chcesz więcej niż sprawiedliwości: że chcesz ich współczucia. Przez to wyglądasz jak oszust, który uważa ich za łatwowiernych i głupich. - Tony poczuł pulsowanie w skroniach. - Sam, mówimy o relacji między tobą a dwunastoma obcymi ludźmi, którzy od początku nie byli do ciebie przychylnie nastawieni. A zła relacja, złe nastawienie może zmienić wszystko, co starałem się osiągnąć. Jeśli przysięgli stwierdzą, że cię nienawidzą: że nie chcą ci wierzyć niezależnie od tego, jaka jest prawda, to koniec. Uzasadnione wątpliwości na nic się tu nie zdadzą.

Sam pochylił się do przodu.

- Tony, ja jej nie zabiłem - powiedział cicho. Jeśli nie będę mógł wstać i powiedzieć, że jestem niewinny, to nie będę mógł żyć w Lake City. Nie odzyskam Sue i nie będę mógł spojrzeć dzieciom w oczy. Nie będzie szans, by kiedyś zostawić to za sobą.

Tony zrozumiał, że bał się własnego lęku. Obawiał się, że jego przyjaciel zostanie zdruzgotany, a potem odesłany do więzienia.

- A co będzie, jeśli zostaniesz skazany? - zapytał.

Sam spojrzał na niego poważnie. W gorącym, dusznym pomieszczeniu na jego czole pojawiły się czerwone plamy.

- Wtedy stracę to niby-życie, które miałem według ciebie prowadzić: życie Sama Robba, faceta który skrył się za plecami adwokata. - Nagle jego głos stał się ostry, oskarżycielski, jakby właśnie dotarły do niego prawdziwe motywy kierujące postępowaniem Tony'ego. - Czy tego właśnie chcesz? Chcesz, żebym się krył za tobą, tak by ludzie wątpili, że nie zabiłem Marcie, tak jak wątpili w to, że nie zabiłeś Alison? Jak, kurwa, możesz tego żądać?

- Nie ja postawiłem cię w tej sytuacji, do cholery! - Tony podniósł się i zbliżył twarz do Sama. - Sam się w niej postawiłeś i masz zbyt wiele rzeczy, z których musiałbyś się tłumaczyć.

Widział, jak drgało gardło Sama, jak jego przyjaciel starał się opanować. Po chwili zapytał cicho:

- Myślisz, że to zrobiłem, prawda?

Tony wsunął ręce do kieszeni, walcząc ze swoimi nerwami. Musiał powiedzieć prawdę.

- Nie wiem, Sam. Naprawdę nie wiem. Ale sądząc po dowodach, na pewno mogłeś to zrobić.

Ku zdziwieniu Tony'ego, Sam wydawał się mniej zły niż zadowolony.

- Jak z tym żyjesz? Jak żyjesz, zastanawiając się, czy ją zabiłem? - spytał

- Niełatwo. I nie jest mi z tym dobrze.

- Mnie też nie jest z tym dobrze. A skoro ty tak myślisz, to tym bardziej wszyscy inni. - Sam cofnął się i oparł plecami o ścianę z rękami założonymi na piersiach. - Ty nigdy nie miałeś swojego dnia w sądzie, Tony. Dlatego niektórzy ludzie, na przykład rodzice Alison, wciąż myślą, że to byłeś ty, a nie jakiś czarny gwałcieciel, którego zastrzelili...

- Niektórzy ludzie, Sam, czy ty?

W jego oczach pojawił się błysk.

- Nie. Już nie. I nie wiem, czy ten skurwiel Ernie Nixon zabił Marcie Calder, czy też spadła z tego pieprzonego klifu. Wiem tylko, tak jak ty mówiłeś mi o Alison, że ja tego nie zrobiłem. Ale między tobą a mną jest jedna różnica. Ja zostałem oskarżony o morderstwo. A to daje mi prawo wstać i przed Bogiem i wszystkimi powiedzieć, że tego nie zrobiłem...

- Przed Bogiem i Stellą Marz - prychnął Tony. - Ona, cholera, aż się na to ślini: co kilka dni pyta mnie, czy będziesz zeznawał. Mam ci przypomnieć, co ona ci robi?

- Zrobi mi? Ta pizda już mi to zrobiła. - Niespodziewanie głos Sama się zmienił: był teraz niski, wyważony, jak głos człowieka, który zdradza straszną prawdę. - Wciąż chcesz, żeby mój los zależał od ciebie, prawda? Żebym był quarterbackiem. Wciąż jesteśmy w liceum, a ty wciąż mówisz mi, jak będziemy grać, z tymi samymi spokojnymi, niebieskimi oczami, tym samym spokojnym głosem, tak spokojnym, jakbyś żył gdzie indziej niż my wszyscy, w miejscu, w którym nic cię nie obchodzi. Cóż, ale teraz to jest moja gra, bo to jest moje życie. Mogę ich przekonać, Tony. Potrzebuję ich, potrzebuję...

Nagle Sam urwał, jakby przeraziła go szczerość tego wyznania. Zapadła cisza, a potem Tony rzekł z prostotą:

- Jeśli się potkniesz, Stella może postawić przeciwko tobie drugą dziewczynę, Jenny Travis.

Jego przyjaciel przywarł do ściany, jakby uszło z niego powietrze. Tony pomyślał, że Sam był przygotowany na złość, ale nie na spokój czy rozsądek. Może tego właśnie w Tonym zawsze nienawidził i się bał - jego opanowania.

- Przepraszam. Tych rzeczy nie miałem na myśli - odpowiedział po chwili Sam.

- Nie?

Tamten zamknął oczy.

- Dobrze, może i miałem - odparł cicho. - To ty zawsze byłeś tym wrażliwym, tym, który nigdy nie przegrywa. Dlatego zawsze byłeś ode mnie lepszy: nie z powodu talentu czy przebiegłości, ale tego czegoś, czego nikt nie mógł ci odebrać. - Westchnął. - No więc tak, może i tak myślałem. - Otworzył oczy i spojrzał wprost na Tony'ego. - Ale tu nie chodzi o wrażliwość, mój drogi. Chodzi o, jak wy, katolicy, byście to nazwali, odkupienie. A odkupić się mogę tylko w jeden sposób: przechodząc przez to. Tylko w ten sposób będę mógł spojrzeć ludziom w oczy. I sobie. Jeśli ich przekonam, że nie ja zabiłem Marcie Calder.

„Mor-der-ca, mor-der-ca...”

W ciszy Tony poczuł, że przenosi się do innego czasu i innego miejsca, do szkolnej sali gimnastycznej, gdzie słycać odbijające się echem gwizdy...

„Udawaj, że piłka to szyja Alison...”

Na spotkaniu rady szkoły, oskarżony przez Johna Taylora o morderstwo, Tony siedział i milczał, a Saul mówił za niego...

„Dlaczego tak się wywyższasz?” - zapytała go kiedyś Mary Jane Kulas. - „Jakby nie zależało ci na tym, co myślą ludzie”.

Tony pragnął aż do bólu powiedzieć, że to nie tak.

„Mówi, że nie powinienem z nikim rozmawiać” - powiedział Sue i Samowi. - „Chociaż jestem niewinny...”

Tony potarł grzbiet nosa.

- Saul uratował mi życie - stwierdził. - Ja chcę uratować twoje. Tylko o to tu chodzi, Sam. Nie o moją próżność, nie o moje potrzeby. Nawet nie o mnie i ciebie.

- A jednak o to właśnie chodzi. Ty tego nie zrobiłeś, a ja ci nie pomogłem. A tym razem ja tego nie zrobiłem, a mimo to proszę cię o pomoc. - Sam usiadł naprzeciw adwokata. - Oni na mnie czekają, Tony: przysięgli, wszyscy na sali, ludzie w moim mieście. Czekają i zastanawiają się: Czy Sam Robb nie jest tchórzem i stanie przed nami, by powiedzieć nam, że nie jest mordercą? - Jego głos złagodniał. - Może gdy już to zrobię, uznają mnie winnym. Ale to ja, a nie ty będę siedział w więzieniu stanowym, czekając, być może z nadzieją, na śmierć. Jeśli jednak tak właśnie ma się stać, a ja nie złożę zeznań, to potem będę miał bardzo dużo czasu, żeby się zastanawiać, co mogłoby się stać, gdybym stanął w swojej obronie. A wiem, że wolałbym umrzeć, niż z tym żyć.

Tym razem Tony nie mógł odpowiedzieć. Sam bez słowa wyciągnął rękę i położył ją na dłoni przyjaciela.

- Stań za mną, Tony. Pomóż mi, żebym był tak dobrym quarterbackiem, jak mogę, żebym był tak dobrym człowiekiem, jak mogę. Może wtedy mi uwierzysz. Czasem myślę, że to jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne.

Tony zobaczył łzy w jego oczach. Po chwili odpowiedział:

- W takim razie mamy mnóstwo do zrobienia.



## DWADZIEŚCIA JEDEN

Sam Robb siedział za pulpitem dla świadków w pedantycznie zawiązanym krawacie w prążki i z uczesany siwoblond włosami. Jego szczere, niebieskie oczy omiatały salę sądową; nawet mimo całego tego napięcia Tony wiedział, że niezależnie od konsekwencji jego przyjaciel czuje ulgę, iż wreszcie zabierze głos w swoim imieniu. Ale pamiętając, z jaką spotkał się dezaprobatą, był też spięty, nerwowy i nie wiedział, gdzie patrzeć ani jak się zachowywać. Przypomniało to Tony'emu jedną z nielicznych sytuacji, kiedy widział Sama w garniturze. Było to w dniu pogrzebu Alison, gdy Sue wyratowała Sama z niezręcznej sytuacji. Tony też był zdenerwowany: nie chciał przykładać ręki do porażki swojego przyjaciela, nie chciał nawet na to patrzeć.

Zapytał cicho:

- Jaki był pana związek z Marcie Calder?

Udając, że obraca wzrok na swojego adwokata, tak naprawdę Sam nie patrzył na nic. Jego głos brzmiał głucho.

- Z początku była tylko uczennicą, zawodniczką z mojej drużyny biegaczek, potem zaś kimś, z kogo byłem dumny. Sześć tygodni przed jej śmiercią nawiązaliśmy romans...

Tony zobaczył, że Stella przygląda się Samowi zimno, bez zmrużenia powiek.

- Jak do tego doszło? - zapytał.

Sam wyduł policzki i wypuścił powietrze.

- Była młoda i śliczna... - powiedział, po czym z uporem zaczął od nowa, spokojnym i opanowanym głosem: - Marcie potrzebowała kogoś... uważała, że mnie. Przez lata patrzyłem, jak ci nastoletni chłopcy stają się tym, kim ja byłem: bohaterami. A teraz ja znowu byłem czyimś bohaterem. - Zadrżało mu gardło, pokręcił głową. - To znaczy, była zupełnie inna niż Sue. Ale przypominała mi czasy, kiedy Sue i ja byliśmy młodzi... - Zaskoczył wszystkich i spojrzał na Calderów. - Wykorzystałem ją. Gdybym nie był taki samolubny, dziś nie byłoby nas tutaj. A teraz już dla nikogo nie mogę zrobić nic dobrego.

Tony zdał sobie sprawę, że oddychał z trudem. Nie wiedział, do czego to zmierza, nie wiedział, co powie Sam, jak muszą się czuć rodzice Marcie i kiedy przerwie mu zgrzytliwy głos Stelli. Ale ona tylko się przyglądała.

- Okłamał pan żonę - powiedział Tony. - Zgadza się?

- Tak. Okłamałem Sue. Okłamałem rodziców Marcie. Okłamałem policjantów. - Jego oczy

zaszkliły się łzami. - Byłem przerażony i zawstydzony.

Tony poczuł, jakby jego i Sama spowijał kokon całkowitej, bolesnej ciszy.

- Utrzymywał pan z nią stosunki seksualne - rzekł obojętnym tonem.

- Tak. - Sam dotknął palcami dołu krawata. - Pierwszy raz był w parku Taylorów. W śpiworze. - W jego głosie słychać było wstyd i namysł. - Mogłem to przerwać w każdej chwili...

Karoly patrzył na swoje ręce. Wydawało się, iż - podobnie jak Tony i ławnicy - wolałby, żeby go tu nie było. Są takie chwile w życiu innych ludzi, pomyślał Tony, które budzą w nas obrzydzenie i wstyd oraz obawę, co też moglibyśmy sami zrobić. Jedyna obrona polega na tym, by się od tego odwrócić, a Sam właśnie uniemożliwił to wszystkim zgromadzonym na sali.

- Czy stosowaliście antykoncepcję? - spytał adwokat.

- Prezerwatywę - odpowiedział Sam i urwał. - Za pierwszym razem pękła...

- Ale pan nie przerwał, prawda?

Sam potrząsnął głową.

- Próbowałem, ale... po prostu za bardzo jej pragnąłem: tej nowości, podniecenia. Nawet tego koszmarnego uczucia czułości dla tego, co ta dziewczyna dała mi, mężczyźnie w średnim wieku...

„Dosyć”, chciał powiedzieć Tony. Jemu też zrobiło się ciężko, czuł, że sekundy biegną zbyt wolno. Katharsis Sama, jeśli tego właśnie byli świadkami, pozbawi go godności. Adwokat pomyślał tylko o jednej potworniejszej możliwości: że to, co oglądał, było perwersyjnym aktem skruchy. Aktem skruchy dokonany z jego pomocą przez mordercę, który szuka teraz na sali współczucia, ukrywając prawdziwe oblicze za maską wyrażającą samoupokorzenie.

- Czy w ogóle podjął pan decyzję, by z tym skończyć?

- Tak. - Sam obliznął wargi i szybko, nerwowo łyknął wody. - Z powodu Sue. Kiedy zacznie się okłamywać kogoś, kogo się kocha, nagle staje się samotnie i ogląda innych jak przez szybę, którą się samemu ustawiło. Tej nocy, gdy Marcie umarła, chciałem jej powiedzieć...

W ostatnich słowach wyczuwalna była gorycz poczucia winy. Zdawało się, że wbrew sobie kosmetyczka podniosła wzrok na Sama.

Oskarżony opadł na oparcie i wziął głęboki oddech. Jego głos stał się ostry i gardłowy.

- Była podenerwowana. Sądziłem, że domyśla się, co chcę powiedzieć. Kiedy przyjechaliśmy do parku, powiedziała, że mnie kocha i że chce, abym zrobił coś specjalnego. Tak mi szepnęła do ucha...

- Chodziło jej o stosunek analny.

- Tak. - Sam nie mógł spojrzeć na nikogo. - Dałem jej wcześniej jedną z moich prezerwatyw. Nosila ją dla mnie w torebce...

Ktoś kaszlnął. Oprócz głosu Sama i swojego była to pierwsza rzecz, jaką Tony usłyszał od kilku minut.

- Co wydarzyło się później?

- Boże... - Sam bezładnie pokręcił głową. - Chciałem...

- Więc zrobił to pan. Na tylnym siedzeniu samochodu.

- Tak. - Sam dotknął szklanki z wodą, ale nie napił się. - Kiedy skończyliśmy, poczułem się taki brudny. Wtedy zapytała, jak było, a ja jej podziękowałem...

- Czy potem Marcie się ubrała? - zapytał Tony.

Oskarżony wypił wodę długim łykiem.

- Podałem jej majtki - odpowiedział w końcu. - Żeby ją przykryć.

Tony skrzywił się. Ale to pytanie było konieczne - Sam musiał wyjaśnić, skąd wzięła się krew Marcie i dlaczego nie było jej na tapicerce z tyłu.

- A co zrobił pan z prezerwatywą?

- Zacząłem ją zdejmować. - Przez chwilę słychać było, jak Sam przypomina sobie swój strach. - I wtedy w szybie zobaczyłem światła: przednie reflektory samochodu stojącego w rogu parkingu. Chciałem tylko, żebyśmy się ubrali. Gdy to zrobiliśmy, światła zgasły. Domyślałem się, że pewnie właśnie przyjechali...

- Co zrobiliście po tym, kiedy się już ubraliście?

Sam podniósł głowę. Powiedział cicho, ze zdziwieniem:

- Zapytała, czy się z nią ożenię.

- Był pan zaskoczony?

- Tak. - Sam zbladł. - Powiedziała, że może mi urodzić dzieci.

- Czy powiedziała panu, że jest w ciąży?

- Nie. - Pierwszy raz przyjaciel Tony'ego spojrzął na przysięgłych, ale tylko na chwilę. - Gdybym nie wpadł w panikę, z pewnością by mi to powiedziała. Ale nie dałem jej szansy.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że byłem aż tak zszokowany. Wydawało mi się, że się obudziłem i zobaczyłem, dokąd pozwoliłem jej dojść. Wyrzucałem z siebie wszystko gwałtownie. To, że Sue jest wciąż moją żoną, że byliśmy małżeństwem przez tyle lat, że mieliśmy wspólne życie, że jestem o wiele za stary dla Marcie i że nie chcę, by odrzucała całe swoje życie. Starłem się, żeby to brzmiało

bezinteresownie, ale wyszedłem na fałszywego wujka z programów, które oglądały moje dzieci. Tego, który mówi do pięciolatek. W końcu załamane się i poprosiłem, żeby mnie chroniła ... - Sam opanował się. - Miała szesnaście lat, a ja chciałem, żeby chroniła mnie, wicedyrektora liceum w Lake City. Żeby chroniła mnie przed tym, co jej zrobiłem...

Sam odwrócił się i starał się powstrzymać łzy. Stella patrzyła na niego z tak wielkim obrzydzeniem, że trudno jej było nad tym zapanować. Celowo upuściła ołówkę, przyciągając uwagę ławników, a potem Sama. Patrzyli na siebie z przeciwległych końców sali, a pogarda prokurator znalazła swój wyraz w zaczerwienionej nagle twarzy mężczyzny.

Tony zapytał spokojnie:

- Jak zareagowała Marcie?

Sam odwrócił się od Stelli Marz. Kiedy wziął oddech, jego ciało zadrżało.

- Ciągle pamiętam, jak wyglądała - rzekł po chwili. - Tak pełnej złości miny nigdy u niej nie widziałem. Miała w sobie więcej z determinacji; coś podobnego obserwowałem w Marcie tylko na bieżni. Teraz jednak płakała, a jej twarz wyrażała niemal nienawiść. Widziałem, ile miała dla mnie uczuć. „Chcesz, żebym ci pomogła, to zacznę ci pomagać już teraz”. - powiedziała „Zaczekaj”, zawołałem. „Na co?” - odparła, niemal krzycząc, a ja widziałem, jak krew pulsowała w jej skroniach. „Żebyś dał mi więcej drogich wspomnień? Wolałabym umrzeć..- Sam urwał i dotknął gardła. - „Wolałabym umrzeć” - powtórzył z wolna. - Miałem już trzy miesiące, żeby o tym myśleć. Żeby myśleć o tym, jak się przeze mnie czuła...

„Wolałabym umrzeć”.

W środku dramatu Sama Tony zaczął się zastanawiać, dlaczego jego przyjaciel nigdy mu o tym nie powiedział.

- Co pan zrobił...?

- Marcie wysiadła z samochodu. Niespodziewanie ruszyła biegiem do parku. Po chwili zniknęła mi z oczu... - Sam stracił głos, ale sekundę później mógł już mówić dalej. - Za bardzo się bałem, żeby za nią pobiec. Bałem się, że ktoś mógłby mnie zobaczyć, może owa para, którą, jak mi się zdawało, widziałem w tym drugim samochodzie. Więc pozwoliłem jej uciec. Kiedy zobaczyłem ją następnym razem, nie żyła...

Sam obrócił się, jego spojrzenie napotkało wzrok Tony'ego. Adwokat zastanawiał się, czy jego przyjaciel szukał nieufności, czy niedowierzania.

- I cały czas nie wiedział pan, że była w ciąży? - zapytał.

Sam milczał i kręcił się na krześle. Głos znowu miał spokojny:

- Skoro wiedziała, że nie chciałem się z nią ożenić, to pewnie postanowiła, że mi nie powie. Gdyby tylko mi powiedziała, to, przysięgam, znalazłbym sposób, żeby jej pomóc, nawet gdybym musiał powiedzieć wszystko Sue. A tak to wygląda na to, że ją zabiłem. Ale ja jej n i e zabiłem.- Sam ponownie zwrócił się do przysięgłych i zaczął mówić z pasją. - Nie w sposób, w jaki przedstawiła to

pani Marz. Bo nigdy nie mógłbym odebrać życia dziewczynie, na której tak bardzo mi zależało. Nikomu nie mógłbym odebrać życia. - Głos Sama był teraz pełen bólu i bliski złości. - Ja nie jestem taki. Nie jestem człowiekiem, który zrobiłby coś takiego, żeby chronić siebie. To dlatego właśnie poszedłem na policję. I zobaczcie, gdzie mnie to zaprowadziło? Tutaj... - Nagle odwrócił wzrok. - Boże, zmiłuj się nade mną. To była moja wina, a niewinna osoba zapłaciła za to o wiele wyższą cenę. Ale ja jej nie zabiłem, a kiedy znaleźliśmy jej ciało, ja...

Zapadło głębokie milczenie, kiedy Sam umilkł, jakby zgubił wątek. Na sali nikt nawet nie drgnął, Karoly wyglądał na szczerze skonsternowanego, a Stella miała tak zacięty wyraz twarzy, jakiego Tony jeszcze nigdy u niej nie widział - wpiła się spojrzeniem swych wąskich oczu w oskarżonego. Jednakże przysięgli już nie odwracali wzroku.

- Co zrobił pan później tamtej nocy? - zapytał szorstko Tony.

Twarz Sama wyglądała tak, jakby była z gumy, oczy gdzieś błędziły.

- Odjechałem stamtąd. To wszystko. Bałem się, więc ją tam zostawiłem...

- O której godzinie?

- Nie wiem. - Umilkł na chwilę, żeby się opanować, po czym kontynuował stłumionym głosem. - Powiedziałem policji, że o dziesiątej, ale nie wiedziałem tego na pewno. Mogła być dziewiąta trzydzieści... - Sam zwrócił się do ławników i dokończył potwornie zmęczony: - Wtedy nie wiedziałem, że czas jest taki ważny. Chciałem po prostu ją znaleźć, jeszcze żywą.

Tony pozwolił, by przysięgli przyjrzeni się Samowi - dwanaście osób obserwowało trzynastą, która patrzyła błagalnie.

- Czy kiedy pan odjeżdżał, zobaczył pan kogoś? - spytał obrońca.

- Tak. W samochodzie. Żałuję, że nie przyjrzałem się lepiej. Ale nawet nie widziałem, jaka to marka. Pamiętam tylko czyjaś głowa, która schowała się pod deską rozdzielczą. - Sam miał teraz w oczach wstyd i smutek. - Przez chwilę bałem się jak szalony... nie o Marcie, o siebie. Zupełnie jakby to była głowa Sue, która mnie znalazła...

- Co pan zrobił po opuszczeniu parku?

- Najpierw pojechałem do szkoły. Usiadłem w moim biurze, zastanawiając się, jak się w tym znalazłem i co robić dalej. - Chwycił się teraz za kolana i znowu błędził gdzieś wzrokiem. - Więc próbowałem dodzwonić się do Sue. Po prostu, żeby usłyszeć jej głos. Kiedy nie odebrała, poczułem się zagubiony. Wtedy właśnie postanowiłem poświęcić dla niej życie. Żeby pamiętać, jak byłem szczęśliwy. Więc wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu.

- A tam była Sue.

- Tak. Tam była Sue. - Twarz przesłuchiwanego rozjaśnił na chwilę niestosowny uśmiech, jakby przypomniał sobie ostatnie chwile nadziei. - Oglądała telewizję, leżała w łóżku. Więc położyłem się obok niej jak tysiące razy wcześniej... - Gdy Sam minął Tony'ego wzrokiem, który wyrażał teraz błaganie, adwokat zrozumiał, że jego przyjaciel patrzy teraz na żonę. - Tamtej nocy kochałem ją

bardziej niż kiedykolwiek. Chciałem tylko jeszcze jednej szansy...

Oczy Sama zalśniły, nie odrywał wzroku od Sue. Tony stwierdził, że twarz kosmetyczki wyrażała zaciekawienie, była może łagodniejsza.

Zapytał cicho:

- Czy może pan wyjaśnić, skąd wziął się odcisk pana palca na zegarku Marcie?

Sam milczał przez chwilę. Potem, z widoczną niechęcią, odwrócił się od Sue.

- Kiedy się kochaliśmy, trzymałem Marcie za przeguby - odpowiedział monotonnym głosem.

Tony podszedł bliżej, jakby chciał ukryć Sama przed jego wstydem.

- A krew na kierownicy? Czy może pan to wyjaśnić?

Sam z wolna skinął głową.

- Przepraszam - powiedział Tony. - Proszę głośniej.

Sam założył ręce na piersiach i spuścił głowę.

- W szkole poszedłem do szatni. Chciałem wrzucić prezerwatywę do toalety. Kiedy ją zdjąłem, zobaczyłem krew Marcie. - Zamknął oczy. - Pewnie miałem ją na rękach...

Sam zaczął płakać w milczeniu. Nie ukrywał twarzy.

Tony spojrzał na Karoly'ego:

- Nie mam więcej pytań - powiedział i tym razem cieszył się z tego.

## DWADZIEŚCIA DWA

Stella Marz wstała ze swego krzesła, zanim Tony doszedł do swojego.

Sam miał twarz zalaną łzami, ale opanował się już. „Nie spiesz się”, powiedział mu przedtem Tony. „I nie wolno ci stracić panowania nad sobą. Ona chce, żeby przysięgli to zobaczyli”.

- Okłamał pan żonę - rzuciła Stella.

Zgodnie z poleceniem Tony'ego, Sam milczał chwilę, by narzucić jej swój rytm.

- Tak. Okłamałem Sue - odpowiedział cicho.

- Żeby pana nie złapano.

Sam spojrzał na żonę.

- Żeby jej nie stracić, tak.

- Wprowadził pan w błąd rodziców Marcie.

- Tak.

- Okłamał pan także dyrektora. Powiedział mu pan, że z nią nie spał.

- Nie chciałem stracić pracy...

- Tak lub nie.

- Tak.

- Okłamał pan policję co do pana związku z Marcie.

- Tak.

- Żeby nie mieć kłopotów.

Sam założył ręce na piersiach.

- Tak. Żeby nie mieć kłopotów - odpowiedział nachmurzony.

- I okłamał pan policję, mówiąc o tym, co pan i Marcie robiliście tamtej nocy.

Sam milczał, spuściwszy wzrok.

- Jak mówiłem, byłem zażenowany...

Stella przerwała mu głosem zdradzającym pogardę.

- Czy nie ma pan zwyczaju, panie Robb, kłamać za każdym razem, gdy prawda oznaczałaby dla pana kłopoty?

Sam skrzyżował ręce.

- Nie, nie mam. Inaczej nie poszedłbym nigdy na policję.

To dobra odpowiedź, pomyślał Tony, i ważna. Adwokat obiecał Samowi, że nie będzie interweniował, chyba że Stella sprawi, iż nie będzie mógł tego uniknąć. Samowi to odpowiadało: przysięgli, wyjaśnił, muszą zobaczyć jego samego. Ale Tony'emu już zwilgotniały dłonie z napięcia, tym większego, że musiał być bierny.

- Ale okłamał pan policję, prawda? - naciskała prokurator.

- Co do niektórych spraw...

- Okłamał pan policję, żonę, rodziców Marcie oraz swojego dyrektora. Zawsze, kiedy prawda była dla pana niewygodna, kłamał pan.

Sam milczał, lecz w jego oczach po raz pierwszy błysnęła złość. Zachował jednak spokój.

- To, że zeznałem na policji, iż byłem z Marcie, nie pomogło mi, pani Marz. To, że powiedziałem, gdzie widziałem ją ostatnio, też mi nie pomogło. O ile się orientuję, z tego właśnie powodu siedzę teraz tutaj i odpowiadam na pani pytania...

- Uważaj - mruknął pod nosem Tony.

Nagle Sam urwał, jakby usłyszał głos przyjaciela, i dodał ciszej:

- Z tego oraz z powodu moich błędów. Nigdy nie przestanę ich żałować.

Tony widział, że przysięgli uważnie obserwowali Sama i czekali na jego potknięcia. Sam kroczył po linii, którą wyznaczył mu obrońca. Jego zadanie polegało na neutralizowaniu argumentów Stelli bez popisywania się zbytnią przebiegłością.

Kobieta zapytała rzeczowo:

- Czy nie robi pan teraz tego samego, co zaczął pan robić, odkąd przespał się z Marcie Calder: czy nie okłamuje pan ławy przysięgłych, żeby nie mieć kłopotów?

- Nie. - Sam urwał, zwrócił się do przysięgłych i spojrzał wprost na kosmetyczkę. - Nie. Teraz nie kłamię...

- Ale przyznał się pan do romansu jedynie dlatego, że testy DNA wykazały, iż Marcie Calder była z panem w ciąży.



Sam z wolna spojrział na nią.

- Chyba tak było. Ale bałem się nie bez powodu. A poza tym, jak mówi mój obrońca, kłamstwo to nie to samo co morderstwo. Wszyscy kłamiemy, pani Marz. Ale nie wszyscy zabijamy. J a nie zabiłem.

- Posuwa się za daleko - mruknął Saul.

Tony skinął głową w milczeniu.

Stella położyła ręce na biodrach.

- A więc jest pan po prostu niewinnym człowiekiem, który znalazł się w trudnej sytuacji.

Sam skrzywił się na nią.

- Wygląda na to, że sam się w nią wpakowałem. Przez to, że przyszedłem na policję...

- Przez to, że Marcie Calder zaszła z panem w ciążę, chciał pan powiedzieć.

- Przez to też, pani Marz. Przez to też.

Kiedy Stella urwała, Calderowie spojrzeli na Sama z jawną nienawiścią. Prokurator powiedziała spokojnie:

- Proszę opowiedzieć ławie przysięgłych, jak pan uwiódł Marcie Calder.

Patrząc na Sama, Tony zastygł w napięciu.

- To nie było tak - odparł zapytany.

- Nie? Czy ona uwiodła pana, panie Robb?

Sam spuścił wzrok.

- Przyszła do mnie do biura i powiedziała, że chce ze mną być... tak to było. Nie mówię, że nie jestem za to odpowiedzialny. Mówię tylko, że inicjatywa nie wyszła ode mnie.

Stella uśmiechnęła się do niego drwiąco.

- Rozumiem, że nigdy nie uprawiał pan seksu z innymi uczennicami, zanim...

- Sprzeciw! - zawołał natychmiast Tony. - Czy mogę podejść, Wysoki Sądzie?

Karoly skinął głową.

- Oczywiście.

Z bijącym sercem Tony przeszedł przez salę. Gdy Karoly przechylił się do niego, jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Stelli.

- Niezły strzał - mruknął do niej, a potem powiedział do Karoly'ego: - To, czy mój klient uprawiał seks z inną uczennicą, czy też nie, jest bez znaczenia dla morderstwa...

- Nie zgadzam się - przerwała mu Stella. - Pan Robb opowie nam smutną historię o tym, jak uwiodła go Marcie Calder. Mam świadka, Jenny Travis, którą pan Robb przymusił do uprawiania seksu, gdy miała siedemnaście lat. To dotyczy jego wiarygodności. Oraz skłonności do złego traktowania kobiet.

- Do zabijania ich? - odpalił Tony. - O tym tutaj mówimy i nie ma żadnych dowodów świadczących o skłonności do przemocy, nie mówiąc już o morderstwie. - Patrząc na Karoly'ego, Tony mówił dalej niskim, celowo pełnym złości głosem: - To nie jest akademicka dyskusja, Wysoki Sądzie. Zaproponowany tok przesłuchania oraz opowieść pani Travis nastawią członków ławy bardzo negatywnie do mojego klienta, nie dowodząc przy tym niczego na temat tego domniemanego morderstwa. Jeśli padnie na ten temat jeszcze jedno słowo, zażądam, aby uznać proces za nieważny. Jeśli nie osiągnę tego tutaj, to w sądzie apelacyjnym. - Zwrócił się do Stelli: - Przegrywa pani i dobrze pani o tym wie. Stara się pani nakłonić sędziego do popełnienia błędu...

- Bzdury - przerwała, a jej złość wydawała się bardzo prawdziwa. - Pana klient ma patologiczny stosunek do kobiet i kłamie co do tego.

- Więc się z nim nie umawiaj, Stello. Ale nawet nie próbuj wsadzić go do więzienia za morderstwo, którego nie popełnił.

- Dobrze - wtrącił Karoly chwilę później, niż powinien.

Wodził wzrokiem od Tony'ego do Stelli, niezdecydowany, lecz świadomy, że to obrona, a nie oskarżyciel, może wnieść apelację, jeśli przegra. Unikanie uchylecia wyroku to podstawowy instynkt bojaźliwego sędziego. Patrząc na Stellę, Tony wiedział, że i ona to rozumie.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział sędzia do Stelli. - Jeszcze słowo, a uznam proces za nieważny, do pani zaś będę żywił pogardę. Zrozumiano?

Stella spuściła wzrok, z trudem kryjąc złość.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - powiedział natychmiast Tony.

Gdy wracał na miejsce, zanim sędzia mógłby zmienić zdanie, dostrzegł smutne brązowe oczy Sue.

- Kolejna kula w płot - mruknął Saul.

Serce Tony'ego wciąż waliło jak młotem. Siedzący na miejscu dla świadka Sam Robb oddychał ciężko, oczy miał na poły zamknięte. Kiedy je otworzył, w jego wzroku była wdzięczność dla Tony'ego.

- Proszę nam powiedzieć, jak doszło do tego, że pierwszy raz uprawiał pan seks z Marcie Calder - zapytała Stella już ze spokojem.

Sam znowu na nią spojrział.

- Przyszła do mojego biura i powiedziała, że się we mnie zakochała.

- A potem?

Sam wydał policzki, ale nie spuszczał wzroku z kobiety.

- Powiedziała, że chce mi zrobić dobrze.

Oczy Stelli zabłyśły.

- Tak jak w seksie oralnym, panie Robb? Chcę się upewnić, że przysięgli to rozumieją.

- Tak. To miałem na myśli.

- Co pan odpowiedział na tę propozycję?

- Odpowiedział? - wymamrotał Sam. - Niewiele.

- Nawet „tak”, „nie” albo „dziękuję”? Jeśli dobrze pamiętam, dziękował jej pan za seks analny.

Sam zaczerwienił się ze złości.

- Nie pamiętam, co powiedziałem...

- Po prostu pozwolił jej pan?

- Tak.

- Ponieważ bardzo tego chciała.

Sam spuścił wzrok.

- Ja też tego chciałem.

Stella popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Więc przynajmniej nie było to dla pana nieprzyjemne...

- Nie.

- Wie pan może, czy Marcie robiła coś takiego już przedtem?

- Nie. - Sam mówił teraz spokojnie. - Powiedziała, że nigdy...

- Ale jej pan nie powstrzymał.

- Nie.

- Czy miał pan orgazm, panie Robb?

Tony znowu się podniósł.

- Sprzeciw - powiedział. - Nikt nie chce tego słuchać, Wysoki Sądzie. A najmniej rodzice Marcie Calder. Poza tym to nie ma związku z niczym w tej sprawie...

- Nonsens. - Głos Stelli był szorstki i zdecydowany. - Chodzi o zamordowanie tej dziewczyny, za co pan Robb odpowiada dziś przed sądem. Wiarygodność wersji pana Robba, prawdziwej czy zmyślonej, zasadza się na jego związku z Marcie Calder, która, jak utrzymuje, wolałaby raczej umrzeć, niż żyć bez niego. Pan Robb złożył to zeznanie dobrowolnie, a państwo, bo tylko ono może mówić w imieniu tej zmarłej dziewczyny, zasługuje na pewną swobodę w zadawaniu pytań.

Karoly odął wargi, patrząc na rodziców Marcie.

- Oddalam - powiedział do Stelli. - Proszę ponownie zadać pytanie.

Prokurator zwróciła się do Sama i zapytała niemal beztrąsko:

- Czy za pierwszym razem, kiedy, jak pan mówi, Marcie Calder zaproponowała panu seks oralny w pana gabinecie w liceum w Lake City, miał pan orgazm?

Sam spojrzał na Tony'ego i założył ręce na piersiach.

- Tak.

- W ustach Marcie Calder?

Sam ponownie zamknął oczy.

- Tak.

- Czy nie wie pan przypadkiem, dlaczego ta niedoświadczona dziewczyna tak nie mogła się panu oprzeć?

- Nie. - Wciąż nie otwierając oczu, Sam potrząsnął głową. - Nie...

- Jak pan sądzi, czy miała problemy emocjonalne?

- Nie.

- Nie wie pan nic o leczeniu psychiatrycznym?

- Nie.

- Oceny miała dobre?

- Tak.

- W szkole cieszyła się dobrą opinią?

- Tak.

- Nie było żadnych plotek, że jest rozwiązła?

- Nie.

Stella patrzyła na niego z jawnym niedowierzaniem.

- A mimo to ta szesnastolatka, bez żadnego ostrzeżenia, została nagle tak obezwładniona pana urokiem, że zaproponowała panu seks oralny w gabinecie wicedyrektora?

- Tak było. - Na twarzy Sama znowu pojawiła się złość. - Może pani nie może tego zrozumieć, ale tak właśnie było...

- Nie - Tony mruknął pod nosem.

Na ławie przysięgłych dietetyczka - kobieta z dwójką nastoletnich córek - zdziwiła się, a potem spojrzała na Sama z tym samym obrzydzeniem i przekonaniem, które odczuwał Tony.

Stella poprosiła beznamiętnym tonem:

- Proszę mi to wyjaśnić, panie Robb. Proszę pomóc mi to zrozumieć.

Policzki Sama spurpurowiały.

- Nie potrafię - odpowiedział. - Ona po prostu chciała to ze mną zrobić...

- Mhm. Tak samo, jak chciała, żeby pan jako pierwszy włożył penis w jej odbyt...

- Posłuchaj - zaczął, ale się opamiętał. - To ja byłem odpowiedzialnym dorosłym, nie Marcie. Wiedziałem, że nie powinniśmy robić takich rzeczy, a mimo to ją wykorzystałem, dobrze? Powiedziałem to już.

- A w przypadku seksu analnego też z początku był pan niechętny?

- Tak.

- I p a n także nigdy w życiu tego nie robił, panie Robb? Nawet raz?

- Sprzeciw. - Tony starał się, aby jego głos brzmiał, jakby był zmęczony. - Nie ulega wątpliwości, co pani Marz chce osiągnąć: chce, żeby wszyscy tutaj tak płonęli ze wstydu, aż spadnie on na pana Robba. Ale jeśli już chce go poniżyć, powinna wybrać takie pytania, które mają chociaż teoretyczny, jakkolwiek wąty, związek z Marcie Calder. W tym pytaniu nie ma żadnego z nią związku i jest ono dla mnie, a jestem pewien, że dla innych również, mocno obraźliwe.

- Jeśli tak - odpaliła Stella - to przepraszam, że obraziłam pana Lorda. Ale celem mojego pytania, Wysoki Sądzie, jest sprawdzenie wiarygodności tego świadka. Kiedy pan Robb utrzymuje, że ta szesnastolatka sama zaczęła akt seksualny, w którym nie miała żadnego doświadczenia, to doświadczenie świadka ma duże znaczenie. Pozwoli ono określić, czy temu zeznaniu można dać

wiarę. Zwłaszcza że panna Calder nie może odpowiadać tu w swoim imieniu...

- Istotne dowody dotyczą jej śmierci, nie zaś jej reputacji seksualnej czy doświadczenia - odciął się Tony.

- Wysoki Sądzie... - zaczęła Stella.

- Nieważne, pani Marz. Oddalam sprzeciw, panie Lord. Może pani prosić o odpowiedź.

Stella natychmiast obróciła się do Sama.

- Czy przed tamtą nocą uprawiał pan kiedykolwiek seks analny? Z kobietą lub mężczyzną?

Z purpurową ze złości twarzą Sam patrzył na Stellę.

- Nie.

- Nie? Więc jak ta jedenastoklasistka dała sobie z panem radę, panie Robb?

Sam założył ręce na piersiach.

- Nie wiem.

- Chodzi mi o to, że siedzieliście sobie w samochodzie na parkingu przy parku Taylorów, a tu szesnastoletnia dziewczyna z pana liceum usiłowała pana zmusić do seksu analnego? Czy nie mógł pan przerwać, by się zastanowić, czy to dobry pomysł?

- Nie myślałem...

- Ile razy Marcie musiała pana prosić?

- Nie w i e m...

- Nie kazał jej pan o to błagać? Czy może był pan bardziej łaskawy?

Sam wyprostował się.

- To się po prostu stało - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Straciłem głowę...

- Pan? Trudno w to uwierzyć. - Kiedy Sam zeszywniał urażony, prokurator podkreśliła to ironicznym uśmiechem. - Więc kiedy już stracił pan głowę, jak pan to zrobił? No, wie pan, ten akt.

- Jezu - mruknął Saul, ale Tony się nie poruszył.

- Musi sobie sam radzić. Jeśli będę się włączał za każdym razem, kiedy on wygląda na zdenerwowanego, przysięgli znienawidzą nas obu - szepnął.

Sam zapytał szorstko:

- Co to ma być za pytanie?

- Dobrze, podzielię je dla pana na mniejsze części. Czy Marcie się pochyliła?

Sam kipiał ze złości.

- Tak.

- I wtedy włożył pan prezerwatywę?

- Tak.

- Z zafoliowanej paczki?

- Tak.

- Wtedy właśnie musiał pan zdjąć spodnie?

Sam raz jeszcze założył ręce na piersiach, spoglądając na Stellę z jawną niechęcią.

- Tak, zdjąłem.

- Jak długo to wszystko trwało?

Sam zmrużył oczy.

- Może pięć minut.

- I przez cały ten czas walczył pan z wyrzutami sumienia.

- Nie wiem...

- Czy Marcie w jakiś sposób pana zachęcała? Czy też leżała tam po prostu pupą do góry i cierpliwie czekała?

Sam ponownie wziął głęboki oddech.

- Powiedziała, że chce, żebym to zrobił.

- A pan zawsze robi to, czego chcą od pana szesnastoletnie wampy?

- Oboje tego chcieliśmy, pani Marz. - Nagle głos Sama stał się smutny, jakby Stella trzymała lustro, w którym ujrzał swój wstyd. - I to jest właśnie moja wina...

- Ile czasu minęło od chwili, kiedy pana poprosiła, do chwili, kiedy postanowił pan spróbować seksu analnego?

- Nie wiem. Pięć minut.

- I kolejne pięć minut, żeby włożyć prezerwatywę?

- Tak.

- Więc gdy włożył pan już prezerwatywę, wsunął pan swój penis w stanie erekcji między pośladki Marcie Calder, tak?

Sam nie mógł już na nią patrzeć, a Tony nie mógł odgadnąć, czy ze wstydu, czy też z obawy przed własną złością.

- Tak. Zrobiłem to - odpowiedział.

- Czy powiedziała panu, że ją to bolało?

Sam głośno przełknął ślinę.

- Starąłem się to robić powoli.

Stella podniosła głowę.

- Jak pan ocenia, ile czasu zajęło panu osiągnięcie pełnej penetracji? Co najmniej kilka minut?

- Nie wiem, pani Marz. Chyba tak.

- A czy potem miał pan orgazm?

- Tak.

Urwała. Miała zaciekawioną minę.

- Jak długo potem?

Siedzący obok Tony'ego Saul uśmiechnął się nieznacznie do stołu.

- Sprytne - mruknął Tony i wiedział już, tak samo jak Saul, dokąd zmierzała prokurator.

Mężczyzna spuścił wzrok.

- Cztery czy pięć minut.

- A potem, kiedy było już po wszystkim, Marcie zapytała pana, jak było?

W tym momencie złość w oczach Sama wydawała się bliska nienawiści.

- Tak.

- A pan był na tyle miły, że jej podziękował.

- Tak.

- Czy wciąż był pan w niej?

- Tak.



- Jak długo pan w niej pozostał?

- Nie wiem. Może jeszcze pięć minut.

Stella rzuciła mu chłodny uśmiech.

- A więc leżał pan sobie nagi na szesnastolatce z penisem w jej odbycie. Mam nadzieję, że chociaż na zewnątrz było ciemno.

Sam wziął do ręki szklankę z wodą i pił, patrząc na prokurator zamglonymi wzrokiem.

- Było ciemno - powiedział.

- W rzeczy samej, musiało być. Musiało, ponieważ, zgodnie z pana zeznaniem, zaskoczyło pana światło reflektorów.

- To prawda.

Stella umilkła na chwilę.

- Myślę, że było też ciemno, kiedy zaczęliście się kochać. Inaczej martwiłby się pan, że ktoś pana rozpozna. Albo rozpozna Marcie.

- Tak.

- Było też ciemno, gdy się pan z nią spotkał? Na stacji benzynowej?

Sam zawahał się, a Tony zobaczył, jak zrozumienie maluje się na jego twarzy.

- Nie powiedziałbym, że było ciemno, pani Marz. Powiedziałbym, że zapadał zmierzch.

- Jak długo jechał pan do parku Taylorów? Pięć minut?

- Mniej więcej.

- A czy wtedy było ciemno?

Sam oparł się wygodniej.

- W zasadzie tak.

- Ile czasu minęło od tamtej chwili do momentu, w którym Marcie Calder szepnęła panu do ucha, że chce, by spenetrował pan jej odby?

Sam skrzywił się.

- To było prawie od razu.

- Jedna, dwie minuty?

- Szybko. - Odpowiedź Sama była niechętna; zdaniem Tony'ego, tego oszalałego mężczyzny, którego ławnicy widzieli przedtem, już nie było.

- Powiedzmy dwie minuty.

Stella umilkła i zmrużyła oczy, jakby chciała coś sobie wyobrazić.

- A więc około pięciu minut zajęła droga do parku, jedną lub dwie złożenie propozycji Marcie, pięć minut walka z pana sumieniem, co najmniej kolejne pięć minut ściągnięcie spodni i włożenie prezerwatywy, kilka minut penetracja, cztery do pięciu minut dojście do orgazmu, a potem mniej więcej pięć minut uprzejme podziękowania Marcie, zanim pojawiły się reflektory. - Spojrzała na sufit. - To razem pół godziny, plus minus jedna czy dwie minuty. Zgadza się, panie Robb?

Sam założył ręce na piersiach.

- Nie wiem. Może to nie trwało aż tak długo, pani Marz. Nie patrzyłem na zegarek - odpowiedział spokojnie.

Dla Tony'ego było oczywiste, że Sam zrozumiał pytanie. Sądząc ze sceptycznego spojrzenia, dietetyczka też tak uważała.

Stella Marz wróciła do biurka oskarżyciela i wzięła stamtąd jakiś dokument.

- Wysoki Sądzie, to jest autoryzowana kopia raportu wypożyczonego z Narodowego Centrum Meteorologicznego w Steelton. Sporządzono go na czwartek, dwudziestego trzeciego maja, noc śmierci Marcie Calder. Według pomiaru, zmierzchać zaczęło się około ósmej pięćdziesiąt sześć. Proszę sąd o uznanie raportu za dowód w sprawie.

Karoly spojrzął na Tony'ego. Przed tą ławą przysięgłych kwestionowanie raportu meteorologicznego było skazane na porażkę, więc Tony odpowiedział spokojnie:

- Obrona nie zgłasza sprzeciwu.

Po chwili przysięgli zaczęli podawać sobie raport. Sam założył ręce na piersiach w obronnym geście.

- Czy w takim razie zgodziłby się pan - zwróciła się do niego prokurator - że w chwili, gdy zobaczył pan przednie światła, minęło około pół godziny, jeśli nie więcej, od momentu, gdy spotkał się pan z Marcie Calder o zmierzchu?

Sam spojrzął na Tony'ego.

- Mniej więcej.

- W takim razie mamy godzinę dziewięć dwadzieścia pięć, co najmniej. Czy ma pan powody, żeby temu zaprzeczyć?

Sam rozłożył ręce.

- Nie mam też powodu, by powiedzieć, że to prawda. Ja tego po prostu nie wiem, pani Marz. Tak samo jak pani.

Tony widział, że Sam jest zmęczony: trudno mu było zachować szacunek dla oskarżyciela na więcej niż kilka pytań. Ale jeszcze bardziej niepokojąca była zmiana w jego zachowaniu, którą wywołał wrogość wobec Stelli. Sam nie wydawał się już skruszony. Spojrzawszy na zegarek, Tony podjął decyzję.

- Wysoki Sądzie, zbliża się już południe. Jeśli, jak się wydaje, pani Marz dotarła do miejsca, w którym można zrobić przerwę, to może czas odroczyć rozprawę? - zwrócił się do Karoly'ego.

Stella była na to przygotowana. Rzuciła Samowi spojrzenie pełne pogardy za to, że chował się za plecami swojego adwokata, po czym powiedziała spokojnie:

- Jeśli pan Robb czuje się zmęczony, to jestem gotowa dać mu trochę wolnego...

- Czuję się dobrze - odpalił Sam.

Tony uśmiechnął się do Karoly'ego najmilej, jak umiał.

- Jestem pewien, że pan Robb czuje się dobrze, ale ja jestem już głodny. Więc może powinniśmy zapytać panią Marz, ile czasu ma zamiar jeszcze zająć - powiedział.

Stella milczała przez chwilę.

- Co najmniej dwie godziny.

Tony zwrócił się do Karoly'ego i wzruszył ramionami.

- Praktycznie resztę dnia.

Sędzia patrzył to na Sama, to na Stellę.

- Zróbmy przerwę - zdecydował. - Wznawiamy posiedzenie o pierwszej trzydzieści.

Gdy Sam wyraźnie zły schodził z miejsca dla świadków, Tony przekładał jakieś papiery, udając, że na niego nie patrzy. Dopiero gdy ten się zbliżył, rzucił do niego pod nosem, nie podnosząc głowy:

- Nie rób mi tego, kurwa, nigdy więcej. Na następne półtorej godziny masz się, mój drogi, zamknąć i słuchać.

## DWADZIEŚCIA TRZY

Uciekając przed dziennikarzami, Tony i Saul pospiesznie przemykali się do pomieszczenia dla świadków. Tony niósł torbę kanapek z pieczeniową wołową, które kupił w sądowej stołówce.

- Boże, chyba się zakochałem - mruknął Saul. - Myślisz, że Stella umówiłaby się ze starym, grubym żydowskim obrońcą?

Wbrew sobie Tony uśmiechnął się lekko.

- Była dobra, prawda?

- Zbyt dobra - odparł Saul z zabawnym jękiem. - „Proszę mi to wyjaśnić, panie Robb. Proszę pomóc mi to zrozumieć”. Tylko kobiecie mogło się to upiec. - Zatrzymał się przed drzwiami sali i zamyślił. - Może jeśli obiecuję jej, że rzucę alkohol...

Tym razem Tony się nie uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że przysięgli nie bawią się tak dobrze jak ty.

- Nie bądź taki pewny, Tony. Ona go wykańcza.

Tony dał Saulowi kanapkę.

- Lepiej zrobię to sam - powiedział i wszedł do sali dla świadków.

Sam czekał tam na niego ze splecionymi na stole rękami. Był blady, rozzłoszczony, wyczerpany po ataku Stelli. Patrzył na Tony'ego niewyraźnym wzrokiem.

- Chciałeś porozmawiać - powiedział.

- Chciałem cię stamtąd zabrać, nim zaczniesz nazywać Stellę „cipą”. - Tony pochylił się do przodu i dodał łagodniej: - Ta kobieta jest profesjonalistką, Sam, i robi swoje...

- Profesjonalistką. Ona mnie, kurwa, nienawidzi...,

- Dlaczego nie miałaby? - warknął adwokat. - Nie rób z tego problemu dla siebie, bo wtedy będzie to problem dla przysięgłych. - Urwał dla lepszego wrażenia i spojrzał w czyste, niebieskie oczy przyjaciela. - To nie Stella Marz jest problemem. Problemem jest Marcie Calder. A ty nie dość żałujesz tego, co się jej stało. Tak bardzo pochłania cię złość na panią prokurator, że nawet ja się temu dziwię.

Sam oparł się.

- Ona mnie poniża.

- Poniżenie jest tu opłatą za wstęp. Ty masz za zadanie dopilnować, żeby to była już cała cena. - Tony zamilkł na chwilę i usiadł naprzeciw Sama, stawiając między nimi torbę z kanapkami. - Pozwól mi wyjaśnić, na czym polega gra, mój drogi. Stella nie rozpieprza po prostu twojej linii obrony. Pozwalasz, żeby przysięgli widzieli Jak wkurwiasz się na kobietę, a ona dokładnie tego chce. Za każdym razem, kiedy pokazujesz złość, ktoś z ławników wyobraża sobie, jak walisz Marcie w czaszkę zakrwawionym kamieniem. - Jego głos znów złagodniał. - Może uraziła cię, zachodząc w ciążę, myślą sobie. Może powiedziała, że zdradzi to komuś...

Sam wyprostował się, jego oczy rozszerzyły się. Równie spokojnym tonem powiedział:

- O co ci chodzi, Tony?

Prawnik wziął oddech.

- Chodzi mi o to, żebyś za każdym razem, gdy wściekasz się na Stellę, pomyślał o Marcie Calder i o tym, jak jest ci żal.

Sam patrzył na swego adwokata.

- Ja jej nie zabiłem, Tony.

Przez chwilę Tony nie odpowiadał.

- Ja nie zabiłem Alison, a w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat nie było dnia, żebym nie czuł żalu z powodu jej śmierci - odparł. - Jeśli nie zdołasz wzbudzić w sobie tego uczucia w ciągu następnej godziny, to ty spędzisz w więzieniu następne dwadzieścia osiem lat.

Sam otworzył usta, ale nic nie powiedział. Nagle zabrakło mu tchu, był zniechęcony i skinął tylko głową, zresztą dopiero po chwili. Na jego twarzy został jedynie strach.

Wciąż mamy jeszcze godzinę, pomyślał Tony.

- Dobrze. Wrzucmy w siebie trochę jedzenia. Potem porozmawiamy o tym, dokąd zmierza Stella - powiedział.

Zajmując miejsca dla świadka, Sam był spokojny i opanowany.

- Co było po tym, gdy już się ubraliście? - zapytała Stella.

Sam spojrzał na nią w zamyśleniu, jakby starał się sobie przypomnieć.

- Od razu potem Marcie powiedziała, że chce za mnie wyjść - odparł po chwili.

- Tak po prostu?

Skinął głową.

- Myślę, że i ją przestraszyły te reflektory. Poza tym musiała już o tym myśleć.

- Jak pan zareagował?

Sam w zadumie pokręcił głową.

- Byłem osłupiały, zszokowany. Pamiętam zwłaszcza to, ale wiem, że czułem się też winny.

- Więc powiedział pan Marcie, że nie możecie się już spotykać.

Oskarżony przechylił głowę na bok.

- Jak mówiłem panu Lordowi, powiedziałem coś więcej: powiedziałem o Sue, o tym, że nie jestem odpowiedni dla Marcie. Brzmiało to bez sensu i chyba takie było.

- Jak zareagowała Marcie?

- Zdenerwowała się. Wpadła we wściekłość. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Jestem pewien, że to dlatego, że wiedziała o dziecku - powiedział Sam.

- Jak długo trwała ta rozmowa?

- Niedługo. Powiedziałbym, że kilka minut.

- Kilka minut? - Stella patrzyła z niedowierzaniem. - W ciągu dwóch minut Marcie zdążyła poprosić pana, żeby się z nią ożenił, a pan zdążył powiedzieć jej o swojej żonie, swoim życiu, dwudziestu czterech latach małżeństwa i o tym wszystkim, co sprawiło, że Marcie nie mogła poświęcić dla pana swojego życia?

Sam przyłożył palec do ust.

- Może to trwało trochę dłużej - rzekł po chwili. - Może cztery minuty albo pięć. Ale oboje byliśmy zdenerwowani, z różnych powodów. Chodzi mi o to, że kiedy ludzie się kłócą, wyrzucają z siebie wszystko z prędkością światła. I nie zatrzymują się, żeby pomyśleć.

Siedzący obok Tony'ego Saul przyglądał się świadkowi z wielką uwagą.

- Co ty zrobiłeś? Dałeś mu coś na uspokojenie? - mruknął.

Jakby po to, żeby podkreślić zmianę w zachowaniu Sama, prokurator obdarzyła go długim, uważnym spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się tak słabo i sceptycznie, że prawie nie był to uśmiech. Ale przesłuchiwany zachowywał się tak, jak kazał mu Tony. A Tony marzył o tym, żeby jego przyjaciel nie posunął się za daleko.

- A więc był pan przerażony? Wicedyrektor liceum w Lake City w samochodzie z szesnastolatką, przez którą mógł stracić pracę, karierę, małżeństwo i rodzinę? - Ona też była bardzo zdenerwowana i zła na pana, tak? - kontynuowała Stella.

- Tak.

- A pan nie mógł poświęcić jeszcze kilku minut, żeby ją uspokoić?

Mężczyzna bezradnie wzruszył ramionami.

- Tak szybko wysiadła z samochodu...

- Czy pan za nią nie pobiegł, panie Robb? Czy nie pobiegł pan, żeby zobaczyć, czy nie robi czegoś pochopnie?

Zapytany spuścił wzrok.

- Bałem się, że ktoś mnie zobaczy.

- A nie bał się pan przypadkiem jeszcze bardziej, że ona komuś powie?

- Nie wiem...

- Nie wie pan? Przyznał pan, że zagrażała panu katastrofa i dlatego, jak pan twierdzi, okłamywał pan wszystkich, a jednak nigdy nie przyszło panu do głowy, że odrzucając Marcie Calder, do czego według pana doszło, ściągnie pan na siebie tę katastrofę?

Przez chwilę Sam milczał. Tony widział, jak przysięgli uważnie obserwują oskarżonego.

- Myślałem, że mi tego nie zrobi - mruknął z zażenowaniem. - Naprawdę...

- Chwileczkę, panie Robb. Marcie Calder, którą nam pan opisał, była na tyle impulsywna, by zaproponować seks oralny w pana gabinecie, na tyle agresywna, by zaproponować penetrację analną, a panu nigdy nie przyszło do głowy, że ta impulsywna, agresywna i rozzłoszczona dziewczyna może komuś powiedzieć, że uprawiał pan z nią seks?

- Ufałem jej. - Sam na chwilę zamknął oczy. - I słusznie. Z tego procesu wynika, i dowodzą tego kolejni świadkowie, że Marcie nikomu nie powiedziała... - Sam przerwał. Ku zaskoczeniu Tony'ego, w jego oczach stanęły łzy, jakby nagle wzruszyła go lojalność Marcie.

Stella patrzyła na niego.

- Więc nie pobiegł pan za nią?

- Nie. - Sam zakrył dłonią oczy. - Chciałem. Ale, jak powiedziałem, bałem się, że ktoś mnie zobaczy...

- Skoro pan tak się tego bał, panie Robb, to dlaczego znalazł się pan na parkingu?

Sam mrugnął.

- Chcieliśmy tylko porozmawiać.

- No cóż, ale nie tylko rozmawialiście, prawda?

- Nie.

- Uprawialiście seks analny, który, jeśli pana opowieść jest zgodna z prawdą, w każdej chwili mógł zostać przerwany przez kogoś z drugiego samochodu, tak?

Sam zawahał się.

- Jak mówiłem, straciłem głowę...

- Na tyle, żeby uprawiać seks analny z nastolatką w niemal publicznym miejscu? Mimo że poprzedni stosunek odbyliście w śpiworze, z dala od ludzi?

Sam sięgnął po wodę i odwrócił wzrok.

- Tak.

-Nie- rzuciła Stella. - Bo nie staliście na parkingu, prawda? Zatrzymaliście się w innej części parku Taylorów, pod jakimiś drzewami, gdzie nikt nie mógł was zauważyć.

Sam powoli odstawił szklankę i spojrzał na Stellę Marz.

- Nie. Byliśmy na parkingu... - odparł

- Nonsens. Nikt was tam nie widział tamtej nocy, a pan nie widział żadnych świateł. Nie było nikogo, kto zatrzymałby pana w samochodzie, prawda?

Zdumieni przysięgli patrzyli, jak Sam się czerwieni.

- Był...

Stella w złości podniosła głos.

- Więc wysiadł pan z samochodu i pobiegł za Marcie Calder. A potem, kiedy już pan ją dogonił, zabił ją pan kamieniem, zakrwawił sobie ubranie, następnie zaś zrzucił kamień i jej ciało z klifu.

Sam chwycił oparcia krzesła. Tony czekał w napięciu.

- Nie. - Przesłuchiwany starał się usilnie zachować spokojny głos. - Dlatego poszedłem na policję.

- Czy nie poszedł pan na policję, ponieważ, gdy zabił pan już Marcie i wyjeżdżał stamtąd, rzeczywiście zobaczył pan samochód? Czy to nie wystraszyło pana tak, że zmyślił pan tę historię?

- Nie.

- A kiedy fakty się zmieniały, na przykład co do ciąży Marcie, to i pana historia się zmieniała. Czy nie tak właśnie było, panie Robb?

- Nie. - Sam odpowiedział przez ściśnięte gardło. - Nie tak było.



Stella zamilkła i przyjrzała mu się z ogromnym niedowierzaniem.

- Dobrze - powiedziała. - Wróćmy na chwilę do pana wersji. Kiedy zobaczył pan samochód, tak się pan przestraszył, że chciał pan stamtąd zniknąć, tak?

Sam wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Tak. To prawda.

- Dlaczego nie pojechał pan po prostu do domu?

Sam zagryzł wargę.

- Byłem tak wstrząśnięty...

-Czym? Zastanawiał się pan, jak pozbyć się zakrwawionych butów i ubrania, nim ktoś pana zobaczy?

- Nie.

- Czy nie po to pojechał pan do liceum? Czy nie pojechał pan tam, bo miał zapasowy dres w szafce?

- Sprzeciw! - Tony wstał, a z jego napięcia przebijała złość. - Staraliśmy się dać tu pani Marz pewną swobodę działania. Ale żadne dowody nie dają podstaw do zadawania takich pytań. Pani Marz składa swoje zeznanie, czy też przedstawia swoją historię bez śladu nawet dowodu. Wszystko po to, by nieprzychylnie nastawić ławę przysięgłych do mojego klienta.

Karoly skinął głową i obrócił się do Stelli.

- Podtrzymuję, pani Marz. Powiedziała pani, o co pani chodziło.

Tony usiadł szybko.

- Ale to dobra historia - mruknął Saul.

Prokurator zaczęła raz jeszcze.

- Proszę mi powiedzieć, panie Robb, czy pamięta pan buty sportowe, które dał pan policji?

Sam zawahał się.

- Tak.

- Były zupełnie nowe, prawda? Nigdy pan w nich nie chodził.

- Tylko tamtej nocy, pani Marz. - Głos Sama był spokojny. - Dział sportowy ma umowę z Reebokiem. Przesyłają nam buty za darmo, więc nie trzymamy starych.

Stella zbliżyła się do miejsca dla świadków.

- Możemy się zgodzić co do jednego, prawda? Możemy się zgodzić, że pojechał pan do liceum, by pozbyć się dowodów.

- Nie. To nieprawda.

- Pozbył się pan prezerwatywy, bo była dowodem romansu, prawda?

- Tak.

Stella oparła ręce na biodrach.

- A czy dziecko Marcie Calder nie było dowodem pana romansu?

Sam podniósł na nią wzrok i odpowiedział cicho:

- Nie wiedziałem o dziecku, pani Marz. Gdybym wiedział, to po co miałbym iść na policję?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Czy przed procesem wiedział pan o badaniach DNA?

- Nie wiem... - Sam przerwał, wyglądał na zdezorientowanego. - Trochę słyszałem chyba przy okazji procesu Simpsona. Że można tak zidentyfikować krew.

- Czy wiedział pan, że można też w ten sposób ustalić ojcostwo? Analizując płód?

Dietetyczka zmarszczyła brwi w zamyśleniu, tak samo jak Sam.

- Chyba tak. Ale nie jestem pewny.

- Nie zdziwił się pan, kiedy testy wykazały, że jest pan ojcem dziecka Marcie?

Sam spuścił wzrok.

- To dziecko mnie zaskoczyło. Chyba nie testy. No bo wiedziałem, że musi być moje.

Tony popatrzył na niego.

„I myślą, że było moje?” - zapytał go przedtem Sam.

„Są tego pewni. Dzięki badaniom DNA mogą ustalić i to. Chyba o tym nie wiedziałeś...”

Stella przyglądała się Samowi bez słowa.

- Proszę mi powiedzieć, panie Robb, czy wierzy pan, że płód to życie?

- Tak. Wierzę.

- A Marcie wierzyła?

Oczy Sama się zwięzły.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie wiedział pan, że Marcie była praktykującą katoliczką, według której aborcja jest moralnie zła?

- To znaczy wiedziałem, że jest katoliczką. Po prostu nigdy nie rozmawialiśmy o aborcji.

- Wiedział pan, że Marcie była katoliczką, uprawiał pan z nią seks i nigdy nie rozmawiał pan z nią o tym, co będzie, jeśli zajdzie w ciążę?

- Nie. Nie rozmawialiśmy o tym.

- Nawet po tym, jak pękła prezerwatywa?

Sam poruszył się speszony.

- To znaczy, rozmawialiśmy o tym, co zrobić. Dostała krążek...

- Ponieważ ciąża Marcie byłaby dla pana katastrofą, tak?

- Tak. Byłaby. - Sam podniósł wzrok i dodał cicho: - I się nią stała. Poza wszystkim innym.

Stella patrzyła na niego i pierwszy raz nie wiedziała, co począć dalej. Tony stwierdził, że to, iż pomógł Samowi być lepszym świadkiem, stawało się dla niego coraz większym dyskomfortem. Choć przyjaciel nie powiedział mu tego dosłownie, Tony był pewny, że tamten nie wiedział o testach DNA.

- Dobrze - rzuciła prokurator. - Zeznał pan, że żałuje, iż Marcie nie powiedziała panu o ciąży.

- Tak.

- Co by pan wtedy zrobił, panie Robb? Zasugerował dokonanie aborcji?

- Być może.

- A gdyby odmówiła?

Sam z wolna pokręcił głową.

- Nie wiem - odpowiedział w końcu. - Chyba pomógłbym jej urodzić dziecko.

- Ale to by pana zniszczyło, prawda? Zrujnowałoby pana karierę, reputację, być może małżeństwo.

Sam otarł brew.

- Chyba tak, pani Marz...

- Ale nie taką decyzję pan podjął, prawda? - Głos Stelli był teraz spokojny. - Chciał pan, żeby pana dziecko umarło, więc i Marcie Calder musiała umrzeć. Bo nie dał pan jej wyboru.

W oczach Sama znowu stanęły łzy. Wydawało się, że na oślepie szuka Sue.

- Nie - odpowiedział cicho, jakby mówił do żony. - Nie jestem taki. Mimo wszystkiego, co zrobiłem, nie jestem taki.

Stella spojrzała na niego, a potem powoli pokręciła głową. Powiedziała do Karoly'ego:

- Myślę, że już się napatrzyłam na pana Robba.

Tony wstał i znowu zwrócił się do Sama. Tylko się skup, powiedział sobie. Bądź adwokatem. Ale nic w sobie nie czuł.

- Usłyszeliśmy zeznanie - zaczął - że ludzkie życie było cenne dla Marcie Calder. Czy jest cenne dla pana?

Sam z wolna skinął głową.

- Tak. Jest cenne.

- Także życie Marcie Calder?

- Zwłaszcza życie Marcie Calder.

- A dlaczego?

- Ponieważ byłem z niej dumny jako trener. Ponieważ stała mi się bliska. Ponieważ była piękną młodą kobietą, którą czekało tyle dobrego: małżeństwo, rodzina. Wszystko to, co ja miałem i chyba straciłem. - Umilkł i przełknął ślinę. - Ponieważ, mimo że zdradziłem wszystkie swoje ideały, wszystko, czym byłem, poświęciłem dorosłe życie na pracę z takimi dziećmi jak Marcie.

Uważaj, pomyślał Tony. To już za dużo.

Włożył ręce do kieszeni.

- Czy kiedy poszedł pan na policję, panie Robb, naprawdę sądził pan, że uda mu się uniknąć kłopotów?

- Nie. Sumienie mnie ruszyło: albo byłbym nadal człowiekiem, jakim byłem dotąd, albo to, co złe, wzięłoby górę. Z tego, co zrobiłem, pójście na policję to jedyna rzecz, która daje mi poczucie szacunku dla siebie. - Umilkł na chwilę i mówił dalej jeszcze ciszej: - Zrobiłbym to znowu, gdyby mogli znaleźć ją żywą...

Głos mu się załamał i nagle Sam stracił panowanie nad sobą. Patrzył na salę sądową, a po policzkach płynęły mu łzy.

- Skończyliśmy - powiedział cicho Tony i usiadł.

Gdy spojrział na Sue, miała zaciętą, nieprzeniknioną twarz. Stella siedziała za swoim biurkiem i patrzyła na Sama zmrużonymi oczami.

Wreszcie Sam wstał niepewnie i spojrział ostrożnie na Sue. Potem przeszedł przez salę, do Tony'ego, i objął go ramionami, a w jego oczach znowu pojawiły się łzy, jak tamtego wiosennego dnia dwadzieścia osiem lat wcześniej, kiedy niósł trofeum, a aplauz cieszył ich obu.

- Wciąż jesteśmy razem. Wciąż jesteśmy drużyną - szepnął Sam ochryple.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

Kilka minut później Tony ogłosił, że zakończył wzywianie świadków, a Stella Marz nie chciała wzywać swoich, by replikować.

- Dobrze. Mów końcowych wysłuchamy jutro. O dziewiątej rano - stwierdził Karoly.

Gdy sala zaczęła się opróżniać, Saul rzekł do Tony'ego:

- Nie ma Erniego.

Tony skinął głową.

- Co oznacza, że Stella wciąż nie potrafi wyjaśnić, gdzie był pomiędzy ósmą trzydzieści a dziesiątą osiemnaście. Pewnie wie, że bez tego samo powtarzanie przez niego, iż jej nie zabił, wzmocniłoby tylko naszą linię obrony.

Saul spojrział na Sama.

- Może - powiedział, a Tony zrozumiał w locie jego myśli: według Saula prokurator postanowiła oddać sprawę w ręce przysięgłych, kiedy będą mieli świeżo w pamięci zeznanie Sama. Patrząc, jak wychodzą ze spuszczonej głowami, niczym obcy sobie ludzie w windzie, Tony nie potrafił odgadnąć, czy Sam wygrał, czy przegrał.

Oskarżony siedział natomiast w stanie osłupienia, z szeroko otwartymi oczami, które zdaniem Tony'ego naśladowały ociemnienie kogoś, kto przeżył ogromny szok. Być może chodziło tu o wyczerpanie albo o tę całkowitą utratę godności oddzielającą tego, kto ją utracił, od wszystkich wokoło. Albo też Sam przyjmował w ten sposób to, co zgotowało mu życie. Najbardziej jednak niepokoiła Tony'ego myśl, że to osłupienie może być sprytnym autoportretem, kolejną maską, którą postanowił włożyć Sam. Maską, pod którą ukrywał perwersyjne poczucie triumfu. Cokolwiek to było, adwokat poczuł się zmęczony.

Poklepał lekko Sama po ramieniu.

- Chodźmy.

Sam podniósł głowę i uśmiechnął się do niego niewyraźnie.

- Dziękuję za pomoc - powiedział. - Niezależnie od tego, jak źle to wypadło, potrzebowałem tego.

„W takim razie było to słuszne”, Tony powiedziałaby w innych okolicznościach. Jego milczenie odzwierciedlało, jaki odczuwał niepokój.

Obaj odwrócili się do Sue.

Tony zdał sobie sprawę, że patrzyła nie na Sama, lecz na niego. Zanim pomyślał, co to znaczy, wzdrygnęła się. Kątem oka Tony dojrzał jakieś poruszenie.

Frank Calder podszedł do Sama z drugiego końca sali. Jego nabrzmiałą twarz wykrzywił wyraz obrzydzenia. Sam spojrział na niego z tępym zdziwieniem; w żaden sposób nie próbował się bronić.

- Ty szujo! - rzucił ojciec Marcie.

Gdy podniósł pięść, Sam nawet nie drgnął.

Stając pomiędzy nimi, Tony chwycił rękę Caldera i odepchnął go. Ich twarze dzieliły tylko centymetry. Tony widział ból na obliczu Franka, gdy wykręcał mu rękę, czuł jego oddech. Ponad głową Caldera zobaczył biegnącego ku nim zastępcę szeryfa.

- Ty.... ty jesteś równie zły jak on - wybuchnął Calder.

Tony wyszarpnął rękę. W nienawiści tego mężczyzny było coś zimnego, gadziego, co musiało zawsze w nim tkwić. Ale adwokat czuł przede wszystkim żal z powodu wszystkiego, czego ten człowiek musiał tu wysłuchać, i tego, czego nigdy nie zrozumie.

- Przepraszam - powiedział, a zastępca szeryfa chwycił Caldera za ręce i odciągnął do żony. Nancy Calder stała blada, z wyrazem żalu na twarzy i chłodem wobec męża. Nawet nie chciała na niego patrzeć.

- Jezu - szepnął Sam.

W jego głosie brzmiała nuta przerażenia, zrozumienie, że oto widział wrak człowieka.

- Nie uda im się. Oni też mieli swój proces - mruknął Tony.

Wtedy spostrzegł Sue. Dotknęła przelotnie jego nadgarstka, po czym powiedziała do Sama bezbarwnym głosem:

- Powinniśmy jechać.

Wzięła go pod rękę, a następnie poprowadziła w kierunku wyjścia z sali i dwóch zastępców szeryfa, którzy mieli dopilnować, by bezpiecznie opuścili sąd. Gdy Sam obrócił się i mówił coś do niej cicho, nie spojrzała na niego.

Tej nocy Tony starał się usunąć wszystko ze swoich myśli i przeciwiczyć mowę.

Zaplanował ją jeszcze przed procesem. Niewiele się zmieniło, bo niewiele go zaskoczyło. Była to oznaka profesjonalizmu.

Leżąc na łóżku, odłożył swój notatnik. Był prawnikiem od dwudziestu jeden lat: o pięć lat dłużej,

niż żyje Christopher, czternaście lat dłużej, niż trwa jego małżeństwo ze Stacey. Miał teraz czterdzieści sześć lat i był starszy od Saula, kiedy ten uratował siedemnastoletniego Tony'ego Lorda, zmieniając w ten sposób bieg jego życia.

Podjmując się obrony tych, którzy mogli być winni, nie mógł myśleć o ich domniemyanych zbrodniach, ale o tym, że państwo musi udowodnić, iż oni je popełnili. Musiał koncentrować się na kwestionowaniu jego błędów i założeń i pilnowaniu, żeby oskarżeni nie zostali skazani w oparciu o domysł. Ale oskarżonym był Sam, a ofiarą nastolatka, co sprawiło, że Tony musiał stawić czoło, a potem przyjąć do wiadomości istnienie przepaści między moralnością obrońcy a tą głębszą moralnością, poczuciem dobra i zła laika, które stanowiło część jego osobowości od samego dzieciństwa. Zazdrościł Stelli Marz, że jej publiczne przekonania i prywatność stały tu w zgodzie.

Jako prawnik Tony nie wiedział, czy Sam jest winny. Nie był nawet pewien, czy kłamał jako świadek.

Podniósł notatnik i zaczął robić zapiski na marginesie. Wtedy usłyszał pukanie do drzwi.

Nie zdziwiłby się, gdyby to była Sue. Kiedy otwierał drzwi, rozdarty między trwogą a niecierpliwością, zobaczył za nimi Erniego Nixona.

- Zaprosisz mnie do środka? - zapytał Ernie.

Zaskoczenie Tony'ego przerodziło się w niepokój, ale skinął głową i odsunął się.

Ernie przeszedł przez pokój i usiadł niemal tam, gdzie tydzień wcześniej Sue czytała magazyn podróżniczy. Jego szczupła sylwetka była napięta.

Patrząc na niego, Tony wsunął rękę do kieszeni.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Choć Ernie patrzył na niego spokojnie, Tony widział, że jego gość stara się opanować.

- Teraz już niewiele, Tony. Niewiele, od kiedy połowa rodziców, która przysyłała do mnie dzieci, już z tego zrezygnowała. Możesz co najwyżej zaspokoić moją ciekawość. - Urwał, podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się zaciśniętymi wargami, które tworzyły grymas powstrzymywanej złości. - Ty naprawdę wierzysz, że zabiłem tę dziewczynę, Tony? Czy tylko zagrałeś „kartą rasową”?

Tony zapanował nad sobą.

- Czy moja odpowiedź cokolwiek zmieni?

- Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego przez to wszystko przechodzę. A jedynie ty to wiesz.

- Nie - odpalił Tony. - To ty to wiesz. Ja wiem tylko to, że źle oceniłeś sytuację i że nie potrafisz wytłumaczyć się ze swojego czasu.

Gorzki uśmiech zniknął zupełnie.



- Ale co ty myślisz, Tony? Czy pocą ci się dłonie, bo jesteś zamknięty w hotelowym pokoju z mordercą, który ma powody, żeby cię nienawidzić? Może myślisz tylko, że z nią spałem albo że biłem kobiety? A może to tylko dowcip, którym chcesz się podzielić z twoim przyjacielem Samem?

Przez chwilę Tony zastanawiał się, czy to nie sztuczka - albo z własnej inicjatywy Erniego, albo w zмовie ze Stellą. Wtedy jednak przypomniał sobie Erniego w wieku siedemnastu lat, delikatnego, lecz opanowanego, i znowu poczuł się winny. Mógł jedynie być wobec niego szczerzy.

- Dobrze - rzekł po chwili. - Czy myślę, że zabiłeś Marcie? Nie. Czy myślę, że z nią spałeś? Prawdopodobnie nie spałeś, ale nie jest to pewne. Czy byłeś z nią emocjonalnie związany? Jak cholera. Ale jeśli myślisz, że to dla mnie zabawne, to chyba zwariowałeś. Wiem natomiast, że Sam Robb jest oskarżony o morderstwo, które mogłeś popełnić z zazdrości lub ze złości, i że ukrywałeś prawdę co do tego, kiedy i w jakich okolicznościach spotykałeś się z Marcie Calder. Prawdopodobnie nie jesteś winny niczego poza ludzką słabością, jednak nie wiem, czy to na pewno wszystko, i nie mam prawa zgadywać. Lecz skoro już mnie nienawidzisz, to powiem ci coś na drogę. Tak, jestem w pełni świadomy, i zawsze byłem, że niektórzy z członków ławy przysięgłych mogą być bardziej skłonni podejrzewać ciebie, bo jesteś czarny.

I kiedy powtarzałem, co powiedziała ci twoja żona, na to właśnie liczyłem. To może nawet pomóc uniewinnić Sama Robba. Ale Dee to powiedziała, a tyją uderzyłeś.

Ernie przyglądał mu się.

- Wiesz, co jest w tobie najgorsze? - rzekł po chwili milczenia. - Ty w nic nie wierzysz. Nie wierzysz, że twój klient jest niewinny, i nie wierzysz, że ja jestem winny. Nawet nie jesteś prawdziwym rasistą. Jesteś tylko wynajętą spluwą, a pamiętasz ze sprawy z Alison, że to się sprawdziło.

Jak w każdej półprawdzie, pomyślał Tony, to, co było w tym prawdą, bolało, to zaś, co było kłamstwem, ubodło jeszcze bardziej. Ale miał już dosyć tłumaczenia się.

- Więc teraz, skoro mnie już rozgryzłeś, możesz iść do domu - powiedział.

Ernie nie poruszył się.

- Do domu, Tony? Jakiego domu?

Adwokat nie odpowiedział. Zdawało się, że złość bez przeszkód opuściła Erniego. Tony widział teraz tylko ból i samotność, które poruszyły go do głębi. Ale nie mógł mu nic odpowiedzieć, bo sam był tego przyczyną - skrzywdził Erniego dla dobra Sama, i to być może równie niesprawiedliwie, jak policja z Lake City skrzywdziła niegdyś jego.

Ernie podniósł się powoli z krzesła i stanął pół metra od Tony'ego.

- Wiesz, co jest dla mnie w tym wszystkim najgorsze? - zapytał. - To, że znałem Marcie Calder i że wiem, iż to Sam Robb ją zabił. I świadomość, że zrobiłeś to wszystko dla mordercy. - Umilkł na chwilę, po czym dokończył łagodnym tonem: - Tego ci życzę, Tony. Życzę ci, żebyś też się o tym przekonał. Chociaż może ty będziesz mógł z tym żyć, skoro jesteś takim dupkiem. Dla ciebie liczy

się tylko wygrana, prawda?

Gdy Tony nie odpowiadał, Ernie pokręcił z wolną głową i wyszedł.

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Kiedy Stella Marz stanęła przed przysięgłymi, przyglądając się każdemu z osobna, Tony zrozumiał od razu, że z namysłem dobrała swoje pierwsze słowa.

- Jest to proces - powiedziała z cichą pogardą - wyćwiczonego, jeśli nie wykwalifikowanego kłamcy, który zamordował szesnastoletnią dziewczynę, ponieważ kłamstwa nie mogły go już dłużej chronić, kłamcy, który teraz prosi, żebyście przyjęli jego kłamstwa na ten temat. A jeśli same kłamstwa nie wystarczą, prosi, byście wzięli pod uwagę zbieg okoliczności. Ale jest tu o wiele za dużo kłamstw i o wiele za dużo zbiegów okoliczności.

Stella zamilkła, a ławnicy obserwowali ją z ogromną uwagą. Przez ponad dwa tygodnie zapoznawali się z dowodami, ona zaś powie im teraz, co to wszystko znaczy. Kosmetyczka nie ruszała się, ręce miała złożone jak do modlitwy. Siedzący obok Tony'ego Sam Robb słuchał w milczeniu, z twarzą tak nieprzeniknioną, jak przykazał mu jego adwokat.

- Nie jest to pojedyncze, lecz podwójne morderstwo - kontynuowała prokurator. - Morderstwo nie narodzonego dziecka jako kara za „zbrodnię” poczęcia i jego nastoletniej matki jako kara za odwieczną „zbrodnię” każdej matki: za to, że czuła, jak życie rozwija się w jej łonie, i za to, że kochała. Nie ma wątpliwości, że to było morderstwo. Ślady stóp na skarpie klifu, gdzie leżała Marcie Calder; ślady wleczenia ciała, pozostawione przez jej palce; potrójne pęknięcie jej czaszki; kamień pokryty jej krwią i włosami; pośmiertne obrażenia, których doznała w czasie upadku -każdy z tych dowodów woła: morderstwo, a wzięte razem są przytłaczające. Jakie zaś dowody rzeczowe wskazują wyraźnie na samobójstwo albo wypadek? Nie ma takich. Ani na miejscu zbrodni, ani w życiu Marcie Calder. Bo to właśnie oddanie tej dziewczyny dla życia jej dziecka przywiodło ją tamtej nocy do parku Taylorów na spotkanie z jego ojcem. A kto nim był? - Stella odwróciła się i spojrzała na siedzącego w drugim końcu sali oskarżonego. - Był nim Sam Robb. Jego droga do tego momentu i do tej zbrodni jest naznaczona pasmem kłamstw: oskarżony okłamał żonę, rodziców Marcie, swojego dyrektora, policję. Również jego relacja z tej tragicznej nocy pełna jest zbiegów okoliczności. To tylko zbieg okoliczności, że znaleźli się sami w miejscu, gdzie zginęła Marcie. To tylko zbieg okoliczności, że zaszła z nim w ciążę. To tylko zbieg okoliczności, że jej krew była w samochodzie, a odcisk jego palca na jej zegarku. I podobnie jak jego kłamstwa -które, raz odkryte, rodzą następne zbiegi okoliczności - seks analny Sama Robba z Marcie Calder stał się teraz, co niewiarygodne, jego alibi. - Stella wyprostowała się i mówiła celowo drżącym głosem. - To koroner, a nie Sam Robb, wyjawiał, że uprawiał z nią seks analny. Ale zawsze praktyczny Sam Robb odwrócił kota ogonem. Tak więc teraz odcisk palca i smuga krwi nie są dowodami morderstwa, lecz pozostałościami tego, co pan Robb nazywa największym aktem miłości, którego czterdziestosześcioletni wicedyrektor dopuścił się na powierzonej jego opiece nastolatce. Tak mówi nam Sam Robb teraz, teraz, gdy był zmuszony przyznać się do ich romansu, jej ciąży oraz bezwstydných rzeczy, które robił Marcie Calder. Dziewczynie, która wcześniej była dobrą uczennicą, lojalną siostrą i kochającą córką: pod każdym względem niewinną osobą. „Może jestem kłamcą,

mówi teraz Sam Robb, ale zaufajcie mi, nie jestem mordercą”. Zaufać Samowi Robbowi? Przecież ten człowiek okłamał swoją żonę, kobietę, z którą żył dwadzieścia cztery lata, i którą oszukiwał k a ż d e g o dnia swojego romansu z Marcie Calder. Każdego dnia patrzył w oczy Sue Robb, okłamywał ją i uchodziło mu to na sucho. Skoro mógł wyprowadzić w pole kobietę, która tak dobrze go zna, to jest też z pewnością przekonany, że może to samo zrobić z nami. - Jej głos zadrżał ze złości. - I dlatego właśnie, zalany łzami, pełen słusznego gniewu i nieustannie rozczulając się nad sobą, prosi, żebyśmy i my się nad nim rozczulili.

Tony spojrział szybko na Sue. Jej twarz miała wyraz tak samo stoicki jak twarze ławników. Słuchała przemowy Stelli Marz, a na jej obliczu rysował się nie tyle ból, ile dystans do tego wszystkiego; wydawała się niemal obojętna. Sam przymknął oczy i nie patrzył ani na nią, ani na nikogo innego.

- Nie dajcie się na to nabrać - rzuciła Stella z nagłą pasją. - Ten człowiek to tchórz, oszust, kłamca i - zmuszony teraz, by to przyznać - moralne dno. Uwodząc tę nastoletnią dziewczynę, a potem kłamiąc na ten temat dopóty, dopóki nie dopadła go prawda, złamał prawo i zniszczył zaufanie do siebie. Kłamał, żeby zachować pracę i zawód, uratować małżeństwo i swoją reputację. A kiedy Marcie Calder powiedziała mu, że jest w ciąży i że kłamstwa już nie wystarczą, zabił ją. Zabił ją dla tych samych powodów, dla których kłamał na temat uwiedzenia jej: żeby zachować pracę i zawód, uratować małżeństwo i swoją reputację. A teraz, oczywiście, kłamał i na ten temat. W trakcie tego procesu Sam Robb oświadczył, że dowiedział się wiele o medycynie sądowej. - Stella znowu spojrzała na Sama i kontynuowała ze szczyptą ironii: - Dowiedział się nawet, że dzięki kanapce z tuńczykiem możemy określić, iż Marcie Calder nie żyła najprawdopodobniej już o dziesiątej. Dlatego też Sam Robb nie twierdzi teraz, że opuścił park o dziesiątej, jak z początku zeznał na policji, ale raczej około dziesiątej trzydzieści. Odrzucił propozycję małżeństwa, którą złożyła mu Marcie Calder, i wszystko, co - jak mówi - się z tym wiązało, nie w trzydzieści minut, lecz w pięć, przez co śmierć dziewczyny staje się kolejnym smutnym zbiegiem okoliczności. Dlaczego? Sam Robb zeznaje pod przysięgą, że Marcie Calder nie powiedziała dwóm osobom: doktor Norze Cox i Erniemu Nixonowi, iż musi się zobaczyć z kochankiem tej nocy, by go o tym ostrzec. Jakie to poręczne dla Sama Robba: jeśli uwierzycie w to, wtedy okaże się, że ich rozmowa trwała krócej, a Sam Robb straci swój najpoważniejszy motyw morderstwa. Jakie to poręczne i jaka w tym pogarda dla was. „Zaufajcie mi, mówi, dziecko było tylko wymówką wobec innych. Ode mnie chciała tylko trochę seksu analnego i może pierścionek zaręczynowy”. Jeśli w to uwierzycie... - Prokurator urwała, po czym powtórzyła łagodnie: - Jeśli w to uwierzycie, myśli Sam Robb, to poprosi was, byście uwierzyli, że Marcie Calder zabił ktoś inny. Jeśli nie Sam Robb, to kto? No cóż, Ernie Nixon, oczywiście. Przecież to takie logiczne. Pan Nixon nie ma żadnego wiarygodnego motywu. Nikt nie widział go w parku. Nie ma żadnego dowodu na to, że tam był. On mówi, że go tam nie było i że cały wieczór spędził w domu. A w i e m y, że był w domu o dziesiątej osiemnaście. Ernie Nixon nie opowiadał nam tu żadnych kłamstw. Wiemy, kim jest. - Stella zwróciła się do Tony'ego. - I wiemy, czym jest ta obrona. Bezduśną próbą rzucenia oszczerstw na niewinnego człowieka, aby uratować kłamcę i mordercę. Oczywiście pan Lord sugeruje, że policja powinna przebadać ubranie pana Nixona, ponieważ pan Robb: ten niedościgniony wzór ujawniania wszystkich faktów i pełnej współpracy, dał policji to, co każe uważać za ubranie, które miał na sobie owej nocy, kiedy zginęła Marcie Calder. Rzecz jasna - kontynuowała z nagłą łagodnością - nie było na nim żadnych śladów Marcie Calder. Żadnych perfum, makijażu, włosów, chociaż na bluzie ofiary znaleziono włosy Sama Robba. Nie było żadnej krwi, choć na kierownicy Sama Robba znaleziono krew Marcie. - Prokurator przerwała na chwilę. - Żadnej krwi nie było też na bieliźnie Sama Robba, pod którą miała być podobno zakrwawiona prezerwatywa. Nie było nic, ponieważ to ubranie, którego Sam Robb nie miał

na sobie tamtej nocy. To kolejne kłamstwo oskarżonego. - Stella podeszła bliżej do ławy przysięgłych. - Nie ma wątpliwości, co się stało tamtej nocy. Sam Robb dowiedział się, że Marcie Calder jest w ciąży. Marcie Calder nie zgodziła się odebrać życia dziecku. I dlatego Sam Robb podniósł czterokilogramowy kamień i zakończył życie dziewczyny trzema druzgocącymi ciosami w czaszkę. Odebrał życie dziecku, które uwiódł, i dziecku, które zostawił w tej dziewczynie, a potem - jak to było ze wszystkim, co dotyczy Marcie Calder - kłamał na ten temat. Być może Sam Robb zaczął realizować swój plan, jakikolwiek on był, gdy stwierdził, że stracił panowanie i że tym razem nie skłoni nastolatki do spełnienia wszystkich swoich zachcianek. Ale na tym koniec planowania. Koniec, ponieważ nie można podnieść kamienia i zdruzgotać nim w trzech miejscach czaszki dziewczyny, jeśli się nie chce, żeby umarła. Panie i panowie, oto człowiek, którego zdaniem wszystkie te kłamstwa miały ukryć mordercę. A kiedy samo morderstwo nie wystarczyło, Sam Robb stanął tu przed wami, żeby zszargać jedyną rzecz, którą zostawił rodzicom Marcie: pamięć o niej.

Tony widział, że Calderowie płakali, choć się nie dotykali.

- Proszę was o sprawiedliwość - zakończyła po prostu Stella Marz. - O sprawiedliwość dla Franka i Nancy Calderów i dla ich córki Marcie, która nie może o to sama poprosić. Proszę, żebyście uznali Sama Robba winnym zamordowania Marcie Calder.

Prokurator wróciła za swoje biurko ze spuszczonym wzrokiem, jakby była pogrążona w swoich myślach i uczuciach. Sam milczał, poblądły.

- To nic - mruknął Tony do Sama i do siebie.

Wstając, Tony spoglądał na twarze, które - od lat albo od miesięcy - stanowiły część jego samego: na Sue, którą kiedyś kochał; na Calderów, których być może skrzywdził; i na Saula, swojego przyjaciela, który był niegdyś dla niego tym, kim on jest teraz dla Sama. Sam był bowiem dla Tony'ego nie tylko przyjacielem z czasów młodości, ale i klientem; jakiegokolwiek miałby skrupuły, odpychał je na bok prawniczy instynkt, nakazujący, by ochraniać i bronić - tak jak Saul ochronił kiedyś niewinnego chłopca, który prawie każdemu wydawał się winny. Tak więc Tony oczekiwał, że teraz kolej na Sama, by przetrwać. Obdarzył przyjaciela delikatnie zachęcającym i uspokajającym uśmiechem, a potem zwrócił się do przysięgłych. Mówił powoli i spokojnie.

- Pani Marz poprosiła was o strzelisty akt wiary - powiedział. - A następnie o akt zemsty. Strzelisty akt wiary polega na tym, byście uwierzyli, że dowody wskazują ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość, iż Sam Robb zamordował Marcie Calder, kiedy w rzeczywistości na to nie wskazują. Akt zemsty polega na tym, byście uznali Sama Robba winnym morderstwa nie dlatego, że wiecie, iż popełnił morderstwo, ale dlatego, że miał romans z nastolatką i próbował to ukryć.

Kosmetyczka przyglądała mu się uważnie, co Tony potraktował jako oznakę, że ktoś wciąż jeszcze chce go słuchać.

- Za ten grzech - kontynuował - Sam Robb już zapłacił i będzie płacił do końca życia: poprzez poczucie winy, poniżenie, szkody wyrządzone rodzinie, utratę pracy i reputacji, poprzez utratę wszystkiego, co było jego dotychczasowym życiem. Jego błąd: nadużycie swoich relacji z uczennicą, był potworny. I zapłaci za niego potworną cenę: wyrok dożywocia, w najprawdziwszym tego słowa

znaczeniu. - Tony wiedział, że ten argument był na granicy stosowności. Gdy Stella się poruszyła, dokończył szybko: - Ten wyrok musi zostać odsłużony, gdziekolwiek Sam Robb się znajdzie. Ale władza dodania do tego wyroku dożywotniego więzienia spoczywa w państwa rękach i to państwo musicie postąpić sprawiedliwie. Proszę dobrze rozważyć dowody zgromadzone przez oskarżyciela. - Tony umilkł na chwilę, wyobraził sobie zranionego i wściekłego Erniego Nixona, a potem zmusił się, by kontynuować. - Wielu mężczyzn nosi buty numer jedenaście, na przykład Ernie Nixon. Dwaj mężczyźni, którzy stanęli przed wami, nie potrafią wyjaśnić przekonująco, co robili w chwili śmierci Marcie Calder, a jednym z nich jest Ernie Nixon. Dwaj mężczyźni zostawili odcisk palca na zegarku Marcie Calder, a jednym z nich jest znowu Ernie Nixon. Istnieją dwa wytłumaczenia na to, skąd wzięła się smuga krwi w samochodzie prowadzonym przez Sama Robba: jedno jest złowieszcze, drugie, to znacznie bardziej prawdopodobne, nie. - Popatrzył na przysięgłych i mówił dalej silniejszym, pewniejszym głosem. - Ale ta jedna smuga krwi wystarczyła, żebyśmy się tu zebrali. Wystarczyła, ponieważ policja nie sprawdziła wcale samochodu pana Nixona, jego domu ani też opowieści. Myśleli, że mieli sprawcę, chociaż, jak się później dowiedzieliśmy, to pan Nixon, a nie Sam Robb ma przeszłość, która sugeruje, że może być gwałtowny wobec kobiet. Policja nie miała i nie ma sprawcy. Policjanci nie sprawdzili ani pana Nixona, ani włóczęgów, ani recydywistów. I choć są profesjonalistami, detektyw Gregg i doktor Micelli nie mogą przedstawić nam mordercy, nie mogą nawet, z całą pewnością, przedstawić ławie przysięgłych morderstwa. Każdy dowód dotyczący śmierci Marcie Calder może być interpretowany na wiele sposobów. Mając takie dowody, można spekulować, że Sam Robb jest mordercą albo że jest absolutnie niewinny. Jedyne pewnik to to, że nigdy nie możemy być pewni. Nie możemy być pewni, ponieważ mordercą, jeśli taki w ogóle istniał, może być ktoś inny. - Obróciwszy dłoń grzbietem do dołu, Tony wyciągnął lewą rękę ku Samowi. - Jediną osobą, która to wie, jest Sam Robb - powiedział cicho. - On nie zaprzecza całemu złu, które wyrządził Marcie Calder i jej rodzinie. Wyjaśnienia, które tu złożył, nie były przyjemne i jemu też nie było miło je składać. Tu mamy kolejną porażkę: targana emocjami Marcie Calder ucieka od człowieka, który, jak czuje, wykorzystał ją i odrzucił. Ale Sam Robb powiedział nam wyraźnie, że jeśli chodzi o zbrodnię, o którą jest oskarżony, jest niewinną ofiarą swoich spóźnionych wyrzutów sumienia. Gdyby nie to, bez żadnych uzasadnionych wątpliwości, nie musiałby tu siedzieć na gruzach swojego życia. Proszę spojrzeć na cenę, jaką za to zapłacił. - Tony przerwał na chwilę i dodał z nutą ironii: - I na to wszystko, co zdobył. Aby skazać Sama Robba, musicie nie tylko nie dać wiary żadnemu jego słowu, ale też uznać, że Marcie Calder mogła umrzeć tylko tak, jak to sobie wyobraża pani Marz: musicie więc na przykład stosować zasady rodem z *Alicji w Krainie Czarów*, ponieważ skoro na ubraniu oskarżonego nie ma dowodów jego winy, to musi być ono dowodem jego winy. Tak wygląda sprawa przedstawiona przez oskarżyciela. Przyjmijcie ją, a możecie skazać człowieka, który tyle już zniósł, a mimo to nic nie może się równać z tym, co będzie musiał znieść za zbrodnię, której nie popełnił. - Tony umilkł, po czym podjął błagalnym tonem: - Śmierć Marcie Calder to tragedia. W żaden sposób nie można jej odkupić. W żaden sposób nie można przywrócić Marcie nam: jej społeczności i rodzinie. Ale nigdzie też nie uzyskamy odkupienia, nazywając mordercą niewinnego człowieka. - Przerwał na chwilę, przyciągając wzrok przysięgłych. - To, byłaby zupełnie inna tragedia - dokończył.

CZĘŚĆ CZWARTA

**SUE ROBB**

**Terazniejszość**

## JEDEN

Trzy doby czekał Tony na powrót ławy przysięgłych.

Pod koniec każdego dnia telefonował do Sama, by powiedzieć mu, że nie ma żadnych wiadomości. Coraz bardziej poruszony i zaniepokojony przyjaciel starał się wyciągnąć z niego, co może oznaczać milczenie przysięgłych. Tony mógł mu powiedzieć tylko tyle, że zapewne dla niektórych ławników sprawa jest trudna. Po cichu podejrzewał natomiast, że przysięgli się podzielili, i martwił się, co to mogło oznaczać.

Natomiast Sue, gdy odbierała telefony Tony'ego, była miła i trochę nieobecna, a kiedy Tony oznajmiał, że nie ma nic nowego, okazywała brak zainteresowania. Adwokat walczył z pragnieniem, by zatrzymać ją przy słuchawce.

Tak więc Tony zabijał czas. Rozmawiał ze Stacey i na prośbę Christophera przejrzał przesłane faksem wypracowanie dla komisji rekrutacyjnej na Harvardzie. Wydawało mu się, że San Francisco leży tak daleko - Lake City było teraz potwornie namacalne, a jego przeszłość tak bliska jak teraźniejszość.

Pod koniec drugiego dnia zatelefonował do Stelli Marz.

- Czy mogę postawić ci drinka? - zapytał. - Cierpię na niepokój separacyjny.

Kobieta odpowiedziała umiarkowanym śmiechem i zgodziła się spotkać z nim w hotelowym barze.

Bar był luksusową, obitą pluszem repliką budowli wiktoriańskiej. W połowie zapełniali go goszczący przejazdem ponurzy agenci handlowi. Dawał poczucie nierealnej unikatowości nowych produktów imitujących miniony styl. Kelner przedstawił się z imienia, a kiedy przyniósł martini Tony'ego w szklaneczce pasującej chyba raczej do brandy, ten przewrócił oczami.

- Ty naprawdę jesteś snobem. Przynajmniej drinki nie kosztują tu dziesięć dolarów - powiedziała.

Tony się uśmiechnął.

- W takim razie ja płacę - powiedział i stuknął szklaneczką w lampkę wina Stelli. - Dobra robota. To chciałem ci powiedzieć.

Stella rzuciła mu lekko rozbawione, ale i nieco sceptyczne spojrzenie.

- Ty też dobrze się spisałeś. A teraz, skoro znowu jesteśmy takimi dobrymi przyjaciółmi, masz nadzieję, że nie rozpocznę na nowo procesu twojego drugiego dobrego przyjaciela, Sama Robba, jeśli któryś z przysięgłych postanowi nie podzielić zdania większości. A to znacznie łatwiejsza do przełknięcia decyzja, kiedy jego adwokatem jest ktoś tak wytworny i pokorny jak ty.



Zaskoczony Tony roześmiał się głośno, ale potem uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Włożyłaś w to całe serce, prawda?

- O, tak. - Stella wbiła wzrok w stół, a jej twarz spoważniała. Zamyśliła się. - To zły człowiek, ten twój przyjaciel. Gdy patrzyłam na niego, kiedy zeznawał, jeszcze bardziej się w tym utwierdziłam. - Podniosła wzrok na Tony'ego. - To trudna sprawa dla prokuratora i wiedziałam o tym, kiedy się tego podejmowałam. Ale gdy pozwoliłeś mu zeznawać, wróciłam do gry.

Tony popijał swoje martini.

- To nie był mój pomysł - rzekł po chwili.

Stella z wolną skinęła głową, ciągle mu się przyglądając.

- Wiem. Nie myślałam wcale, że to był twój pomysł.

Adwokat odstawił swoje martini i spojrzał jej w oczy.

- Jeśli to w czymś pomoże, Stello, to nie wiem o niczym, co czyniłoby go winnym. To, co powiedział dwa dni temu w sądzie, może być równie dobrze prawdą.

- Tak - potwierdziła spokojnie. - Ale czy ty w to wierzysz?

Nie oczekiwała odpowiedzi.

- Wielu ludzi mówiło mi, że w nic nie wierzę - odpowiedział po chwili.

Pokręciła głową.

- Nie. W coś wierzysz. Ty i ja wierzymy po części w to samo. Kiedy pracowałam ciężko w szkole prawniczej, powtarzałam sobie, że robię to nie tylko po to, żeby lepiej żyć, ale też, żeby to było lepsze miejsce. Lecz to był mój wybór. Kiedy uznałam, że wyjedziesz, zapomniałam o tym. Zapomniałam również o tym, ile miałeś po temu powodów, zaczynając od tego, czego chcieli dla ciebie rodzice. Moi rodzice zawsze chcieli ode mnie tylko tego, żebym była taka jak oni. Niczego poza tym. Tak więc święta Stella Zadufana to mój wytwór. - Podniosła lampkę i spojrzała na niego ponad jej brzegiem. - Jesteś uczciwy, Tony, a ja rzeczywiście się czegoś nauczyłam. Patrzyłam na ciebie i na to, jak proces rozwijał się po twojej myśli.

Tony uśmiechnął się lekko z wdzięczności.

- Z wyjątkiem zakończenia. Nie wiem, jakie będzie.

Kobieta dopiła wino.

- Być może przegram. Może powinnam. Bóg wie, że nie chcę przegrać - powiedziała.

Następnego dnia, około 4.30, przysięgli powiedzieli sędziemu Karoly'emu, że część ławników nie

podziela zdania większości.

Przewodniczyła kosmetyczka. Dietetyczka, z którą się przedtem trzymała, nawet na nią nie patrzyła.

Towarzyszący Tony'emu Saul szepnął:

- Nasza przewodnicząca głosowała za obroną.

- Też tak sędzę - szepnął Tony. Przeklinał siebie, że odpuścił sobie dietetyczkę. Stojący obok nich Sam zgarbił się.

Stella - podobnie jak Tony - przyglądała się twarzom przysięgłych.

- Pani przewodnicząca, czy bez podawania, która strona uzyskała przewagę, może mi pani powiedzieć, jak rozłożyły się głosy? - powiedział Karoly.

Kosmetyczka spojrzała na dietetyczkę.

- Dziewięć głosów do trzech.

- Ile razy głosowaliście?

- Cztery, Wysoki Sądzie. Rozkład głosów się nie zmieniał.

Karoly zmarszczył brwi.

- Czy sądzi pani, że po następnej naradzie możecie uzgodnić werdykt?

Kosmetyczka pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

- Te trzy osoby nie ustąpią.

Tony spojrzał na Stellę. Decyzję należało podjąć w ułamku sekundy. W zależności od tego, czy uznają, że wygrywają czy też przegrywają, Stella i Tony będą chcieli albo i nie kontynuować naradę, która może skończyć się ogłoszeniem wyroku. Gdy Stella się wahała, Tony podjął decyzję.

- Czy mogę podejść, Wysoki Sądzie?

Gdy Karoly skinął głową, Stella ruszyła za Tonym, żeby stanąć z sędzią poza zasięgiem słuchu przysięgłych.

- Wysoki Sądzie - powiedział cicho Tony - trzy dni narady to nie jest dużo w skomplikowanej sprawie. Zastanawiam się, czy ku zadowoleniu wszystkich stron sąd nie mógłby jakoś pomóc przysięgłym.

Stella pokręciła przecząco głową.

- Myślę, że powinniśmy zaufać ławie przysięgłych. Oni wiedzą, jaka jest ich sytuacja. Takim samym rozczarowaniem jak brak wyroku jest zmuszanie przysięgłych do czegoś, a co za tym idzie

podejmowanie ryzyka, że wyrok będzie niesprawiedliwy. - Urwała i spojrzała na chwilę na Tony'ego. - Jeśli będzie trzeba, państwo jest gotowe rozpocząć przewód od nowa.

Karoly wahał się, po czym zwrócił się do ławników:

- Sąd chciałby podziękować państwu za pracę - zaczął.

Było dziewięć do trzech za uniewinnieniem.

Patrząc, jak milczący i niezadowoleni przysięgli opuszczają salę sądową, Tony poklepał Sama po ramieniu. Potem przeszedł na drugą stronę i uścisnął dłoń Stelli.

- Dobrze trafiłaś - powiedział.

Uśmiechnęła się przelotnie, nie kryjąc goryczy rozczarowania. Spojrzała na Sama, a potem zwróciła się do Tony'ego: - Wpadnij do mojego biura około drugiej w poniedziałek. Jak już się z tym trochę pogodzę.

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła zbierać papiery z biurka.

Kiedy Tony wrócił do swojego, Sam i Sue rozmawiali cicho z Saulem.

- Spróbuję złapać któregoś z przysięgłych - szepnął Saul do Tony'ego. - Zanim Stella to zrobi. Dowiem się, co się tam działo.

Obrońca skinął głową.

- Dzięki.

Zauważył, że prokurator już nie było.

Sam i Sue nie rozmawiali już ze sobą. Sam trzymał ją za rękę; jego żona była blada, ociężała, znużona. Nagle i Tony poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

- Przepraszam. Chciałem wygrać - mruknął.

Sam z wolna skinął głową.

- Prawie się to nam udało, mój drogi. Przynajmniej nie jestem w więzieniu. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś...

- Tak - wtrąciła się cicho Sue. - Wszystko.

Za nimi gromadzili się dziennikarze. Czekali na oświadczenie Tony'ego i może kilka słów od Sama i Sue.

- Porozmawiam ze Stellą - powiedział Tony. - W poniedziałek.

Obrócił się i spojrział na Calderów.

Zastygli bez ruchu na swoich miejscach, niemal nie dotykając się ramionami. W wyczerpanych oczach Franka Caldera była pustka, po twarzy Nancy Calder płynęły zaś łzy. Dziennikarz ze „Steelton Press” kręcił się za nimi, powstrzymywany przez asystenta z biura Stelli.

Sue podążyła za spojrzeniem Tony’ego. Nie mieli nic do powiedzenia.

Tego wieczoru zadzwonił do niego Saul. Porozmawiał z większością przysięgłych.

- Wiesz, co moim zdaniem się stało? - zapytał Tony’ego. - Nasz klient podzielił ławników.

- Jak to?

- Moim zdaniem, zanim jeszcze Sam zaczął zeznawać, już miałeś ich w garści. Byli dwunastką nieszczęśliwych ludzi, którym uzasadnione wątpliwości nie pozwalały zamknąć naszego chłoptasia. Sam ich podzielił: dla dziewięciorga, w tym dla kosmetyczki, jego zeznanie albo nie miało znaczenia, albo nawet utwierdziło jeszcze w wyborze...

- A ta trójka?

- Serdecznie go nienawidziła i uważała za kłamcę. Kierowali się wyłącznie emocjami, szczególnie dietetyczka, mamuśka. Kiedy te trzy kobiety go zobaczyły, po prostu nie chciały, żeby chodził wolny. Kropka.

Tony leżał na łóżku, ból głowy rozsadzał mu skronie i kark.

- A więc mówisz, że Sam pozwolił Stelli spróbować raz jeszcze go usidlić - powiedział zmęczonym głosem.

- Jeśli spróbuje - Saul urwał i ze współczucia uderzył w grobowe tony - nigdy nic nie wiadomo, Tony. Przysięgli są dziwni i nieodgadnieni. Może i tak nie byliby jednogłośni.

Przez chwilę Tony nic nie mówił, zastanawiał się. Ale na próżno.

- W poniedziałek przekonamy się, co ona myśli - stwierdził w końcu.

W poniedziałek o drugiej Tony wszedł do biura Stelli.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył kobietę w stroju do tenisa, z brązowymi włosami związanymi z tyłu elastyczną opaską.

- Jak tylko skończymy, uciekam stąd. Muszę trochę odpocząć - oświadczyła.

Tony skinął głową: rozumiał rozprężenie, zmęczenie i brak celu koncentracji, które następowały

po zakończeniu ciężkiego procesu. Też to odczuwał.

- Ja również. Wracam do San Francisco. Jutro - powiedział.

Przyjrzała mu się, siedząc po drugiej stronie biurka zawalonego stertą papierów, których nie chciało się jej uporządkować.

- No cóż, chyba nie będziesz musiał wracać - rzekła po chwili.

- Jak to?

Jej twarz była spokojna, bez wyrazu.

- Wygrałeś dziewięć do trzech. Rozumiem, że następnym razem zastrzelisz Sama Robba, nim pozwolisz mu zeznawać. - Umilkła na chwilę, jakby nie chciała kończyć, ale jednak to zrobiła. - Powiedziałam szefowi, że odradzam ponowny proces. Chyba że z jakiegoś powodu sprawa zacznie wyglądać lepiej. Że pojawi się więcej dowodów: zakrwawione ubranie albo coś takiego. Chociaż myślę, że tego Sam Robb pozbył się już dawno.

Niewiele zostało do powiedzenia.

- Podejrzewam, że twój szef się zgodzi - zaryzykował Tony.

- Tak. Więc możesz powiedzieć swojemu klientowi.

Szybko sobie z tym poradziła, pomyślał Tony, i z taką gracją, na jaką mogła się zdobyć.

- Dziękuję - powiedział.

Stella uśmiechnęła się do niego prawie niezauważalnie.

- Ależ nie musisz.

Powiedziała, że musi już iść na tenisa. Tony poszedł zadzwonić do Sama. I do Sue.

## DWA

Tego wieczoru, po usilnych namowach Sama, on i Sue zabrali Tony'ego na kolację do klubu.

- Jestem wolny - powiedział z emfazą Sam. - Dlatego muszę zacząć żyć, jak trzeba, albo wcale nie będę tu żyć. Będzie łatwiej, jeśli za pierwszym razem będziemy mieli ciebie do towarzystwa.

Według Tony'ego to „my” było optymistyczne. Gdy siedzieli przy stoliku w kącie, tym samym, przy którym kiedyś Tony jadł kolację z Sue, patrzyła na nich obu, jakby była widzem. Starając się chyba zrekompensować jej milczenie, Sam był bardzo serdeczny. Może to nie świętowanie, zauważył trochę asekurancko, ale raczej wychodzenie ze skorupy. W połowie kolacji dopił czwartego burbona z lodem, podawanego przez młodą, trochę wystraszoną kelnerkę, która starała się udawać, że nie wie, kim jest Sam. Tony pilnował swojego chardonnay i głównie słuchał. Czując, jak Sue obserwuje ich w milczeniu, odgadł, że gdyby nie on, nie byłoby jej tu. Minuty mijały powoli.

Sam zamówił kolejnego drinka i wypiwszy go do połowy, rozsiadł się wygodniej na krześle, po czym rozejrzał po sali z wyrazem zadowolenia, który zdaniem Tony'ego był drażniąco niezgodny z realiami życia jego przyjaciela.

- Pamiętacie nasz bal maturalny? - zapytał Sam. - Dokładnie tu tańczyliśmy.

Jasne, pomyślał Tony. Wtedy też za dużo wypiliśmy. Dlatego skasowałem ci nos, pomogłem Sue dostarczyć cię do domu, a potem kochałem się z nią, budując przez to wspomnienie tak słodkie, że czuję, jak ona teraz myśli o tym samym co ja.

Odpowiadając, adwokat pilnował się, by na nią nie spojrzeć.

- Oczywiście, że pamiętam. Ale czy ty pamiętasz?

Ta beztraska uwaga, w podtekście jednak uszczypliwa, wywołała krzywy uśmiech na twarzy jego przyjaciela. On wie, co robi, pomyślał Tony i zaczął się zastanawiać, czy Sam pozbędzie się kiedykolwiek swoich podejrzeń co do jego i Sue.

- Nie pamiętam aż tyle ile wy. Wy, kochani, nigdy tak naprawdę nie opowiedzieliście mi, jak to się skończyło - odparł Sam.

Tony usłyszał, że Sue bierze oddech.

- Och, mówisz o tym, jak poszliśmy z Tonym do tej kępy klonów i kochaliśmy się, a ja pierwszy raz miałam orgazm. Właściwie nic więcej się nie wydarzyło. Oprócz tego, że się w nim zakochałam, oczywiście - wtrąciła cicho.

Powiedziała to tak rzeczowym tonem, iż mógł to być udający powagę żart lub - co bardziej

prawdopodobne - wyraz głębokiego znużenia. Ale Tony zdziwił się trochę i przestraszył. Sam poczerwieniał i uśmiechał się ze złością jak człowiek, który nie rozumiał dowcipu, lecz wie, że był jego obiektem, Zwrócił się do Tony'ego na wpół żartobliwie, na wpół oskarżycielsko:

- Czy ty też tak to pamiętasz, Tony?

Ten zastygł i spojrzął na Sama, zastanawiając się, co robić. Potem uśmiechnął się do Sue i zupełnie beztrudno odpowiedział:

- Mniej więcej. Chyba muszę dodać, że to dla Sue tutaj wróciłem! - Poklepał przyjaciela po ramieniu. - Wiesz, naprawdę się cieszę, że o tym rozmawiamy. Jestem pewien, że Sue też się cieszy.

Patrzył, jak Sam zastanawia się, co wybrać: uwierzyć im czy też udawać, że to żarty.

- Znowu pijesz - powiedział cicho Tony. - A nie powinienes. Dzieją się potem z tobą różne rzeczy.

Oczy Sama się rozszerzyły. Przez chwilę Tony nie wiedział, co będzie dalej. Potem - jakby kabelki w jego mózgu znów się połączyły - odpowiedział:

- Tak, wiem. Dopiję tego i dam już spokój. Tylko że tak się bałem, że już sam nie wiedziałem, co robić. - Wypił alkohol jednym haustem i wzdrygnął się od takiej ilości whisky. Zwracając się do Sue, mruknął:

- Przepraszam, kochanie.

Sue nie odpowiedziała. Żeby to ukryć, Tony zapytał:

- A więc co będziesz teraz robić?

Sam przejechał palcem po brzegu swojej szklaneczki, jakby chciał spróbować nim whisky. Tony wiedział, że bardzo chciał się jeszcze napić.

- Nie wiem - odparł. - Chyba pierwsza rzecz to pytanie, czy tu zostaniemy...

Głos uwiązł mu w gardle. Tony wiedział, że pierwsza rzecz to jednak pytanie, czy Sue zechce zostać z mężem. Patrzyła na salę błędzącym wzrokiem jak ktoś, kto tłumi w sobie wiele bólu i być może wypił więcej wina niż zwykle. Adwokat postanowił, że znajdzie sposób, by porozmawiać z nią na osobności.

- Mnie korciłoby, żeby wyjechać. Właściwie, to przecież wyjechałem, kiedy chodziło o mnie. To miasteczko jest za małe - powiedział do Sama.

Sam wzruszył ramionami, skonsternowany.

- Dokąd miałbym pojechać, Tony? Znam tylko to miejsce.

Wszędzie tam, dokąd zechce cię zabrać Sue. Jeśli to ma znaczenie, pomyślał Tony. Usiłował się uśmiechnąć.

- Może niedaleko któregoś z dzieci, jeśli was zechcą. W moim przypadku, gdy wyobrażam sobie Christophera po dwudziestce, nie bardzo w to wierzę.

Sam nie odwzajemnił uśmiechu.

- Nie wiem, dlaczego moje dzieci miałyby mnie przyjąć, mój drogi. Naprawdę nie wiem. - Spoglądał niepewnie to na Tony'ego, to na Sue. - Nie będzie wam przeszkadzać, jeśli wezmę jeszcze jedną szklaneczkę? Potem ruszymy w drogę.

W jego głosie była nuta zawstydzenia i błagania. Tony był pewien, że Sam Robb będzie musiał sprostać trudnej rzeczywistości. Sue obojętnie wzruszyła ramionami.

- To ja też zamówię - powiedział Tony.

Wypili whisky we względnie spokojnej atmosferze. Tony opowiadał nieszkodliwe anegdotki o Stacey i Christopherze, o tym, co robili, kiedy jego nie było.

- Niesamowite - stwierdził. - Dzieciak może naprawdę pójdzie na Harvard. Jak mi powiedział, ma staruszka, którego na to stać. Świat Christophera jest zupełnie inny...

Zdał sobie sprawę, że to nie była najważniejsza uwaga, ale Sam stuknął się z nim szklaneczką.

- Za twój sukces, mój drogi. I za wszystkie nasze dzieci. Jeśli im się nie powiedzie, to reszta i tak nie ma większego znaczenia, prawda? - Urwał i spojrzał niepewnie, lecz czule na Sue. - Jeśli jednak im się powiedzie, to może wreszcie ktoś zrobi coś dobrego.

Zdaniem Tony'ego to spojrzenie było niemym błaganiem o tę cenną rzecz, którą było ich wspólne życie. Ale Sue nie spojrzała na męża.

- Lepiej chodźmy - rzekł po chwili Tony. - Rano mam samolot. - Znowu się uśmiechnął. - Poza tym, jak to mówią, jutro jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

W drodze do domu prowadziła Sue. Sam rozsiadł się znużony na swoim siedzeniu. Pokonały go whisky i tygodnie bezsenności. Wyglądał nie tyle na pijanego, ile na wyczerpanego.

Światło w salonie dziennym było włączone. Weszli tam i stanęli - Sam naprzeciw Tony'ego, a Sue z boku.

- Jestem skonany - powiedział Sam do Tony'ego i z trudem przywołał na usta swój dawny uśmiech. - Ale jutro będę w doskonałej formie. Na pewno nie chcesz zostać jeszcze jeden dzień i dokończyć meczu? Jest remis, pamiętasz?

Tony z uśmiechem pokręcił głową.

- Remis jest dla mnie w sam raz, Sam. Zwłaszcza z tobą.

Jego przyjaciel przyglądał się mu przez chwilę. Potem zrobił krok naprzód i objął Tony'ego z gwałtowną wylewnością.



- Dzięki - wymruczał. - Dzięki za wszystko. To znaczy więcej, niż potrafię powiedzieć. I ty też znaczysz więcej.

- Wiem - odpowiedział Tony. - Wiem.

Sam odsunął się od niego, oczy mu lśniły. Potem odwrócił się i zaczął wspinać po schodach, oglądając się przy tym na Tony'ego i Sue, jakby dawał znać, iż ma nadzieję, że żona pójdzie niedługo za nim.

- Żegnaj, mój drogi - powiedział tylko, po czym pomachał mu ręką i zniknął. Sue odwróciła się do Tony'ego.

- Mogę nalać ci lampkę wina? - zapytała. - Bo ja się napiję.

Wydawała się znużona, apatyczna. Ale Tony chciał z nią porozmawiać, więc nie mógł być tylko jej stróżem.

- Pewnie - odparł i usiadł na sofie.

Wróciła z dwoma lampkami.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponowała. - Noc jest ciepła, a ja czuję się przytłoczona.

Bez słowa wyszedł za nią z kuchni na podwórko za domem, gdzie w wieku czternastu lat Sam i Tony rzucali piłką do futbolu i nie zdając sobie z tego sprawy, zostali przyjaciółmi.

Tony usiadł obok Sue na hamaku. Przez chwilę patrzył na gwiazdy, wspominając, jak położyli tu kiedyś Sama, a potem spędzili ze sobą noc.

- Myślałem o tobie - powiedział.

- I ja myślałam o tobie - odparła, ale zdawało się, że myślami była bardzo daleko.

- Prosiłaś, żebym dał ci niewinnego mężczyznę. Chciałbym móc to zrobić.

- To nie twoja wina. - Mówiła trochę niewyraźnie. Umilkła na chwilę, zanim dodała: - Myślę, że zrobiłeś więcej, niż przypuszczasz. Nic więcej już zrobić nie możesz.

Wydawało mu się, że ta niejasna odpowiedź wiąże się z pytaniem, jak Sue będzie sobie teraz radzić. Rzekł do niej cicho:

- Tak bardzo chciałbym móc zrobić coś dla ciebie.

Sue długo milczała, a potem zadrżała.

- Możesz coś zrobić, Tony. Nigdy więcej tu nie wracaj. Nawet jeśli będzie następny proces.

Zaskoczyło go to i odwrócił się do niej.

- Jeśli cię uraziłem...

- Och, Boże, to nie to. - Sue spojrzała mu w oczy. - Nie rozumiesz?

Dotknął jej dłoni.

- Powiedz mi.

Przełknęła głośno ślinę, na jej twarzy malowało się cierpienie.

- On kłamie, Tony. Kłamał w sądzie i myślę, że okłamuje również ciebie.

Tony znieruchomiał. Choć zawsze bał się tej chwili, teraz zaskoczyła go. Zapytał cicho:

- O czym?

- O ubraniu. - Dotknęła palcem rękawa marynarki Tony'ego i mówiła nerwowym, pospiesznym szeptem. - Brakuje szarego dresu. - Sam zawsze ma dodatkowy komplet w szkole. Kiedy złożył zeznanie, zorientowałam się, że go nie ma. Na pewno nie ma go wciąż w szkole. Policja by go znalazła.

Te słowa poraziły Tony'ego niczym prąd. Spokojnie. Kieruj się rozumem, nie uczuciem, powiedział sobie.

- Pamięć to zabawna rzecz, Sue. Czasem „pamiętamy” to, czego się boimy...

- Raczej bałam się o tym pamiętać. - Sue spojrzała na okno sypialni. - Sam rzeczywiście miał stare buty sportowe. Ale gdzieś zginęły.

Tony czuł, jak żyła pulsuje mu na szyi.

- Jeśli Sam kłamał, to czy nie bałby się tego, co wiesz?

Spuściła wzrok.

- Gdyby bał się tego, co wiem - powiedziała cicho - to nie powiedziałaby, że nigdy wcześniej nie uprawiał seksu analnego. Zaufaj mi. Ja wiem, co Sam lubi. Wiem to lepiej niż ktokolwiek. I on wie, że ja wiem...

Tony delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Przez chwilę była napięta, ale potem przywarła do niego rozpaczliwie.

- Nie jestem pewien, czy możemy o tym rozmawiać. Ani o czymkolwiek, co dotyczy Sama - mruknął.

- Musimy. - Odsunęła się od niego, lecz palcami dotykała jego policzka, jak gdyby prosiła go o przebaczenie. Głos jej drżał. Myślę, że jest coś jeszcze...

- Jeszcze wiele - przerwał jej Tony. Nagle zrobiło mu się niedobrze. - Ty jesteś jego żoną, Sue. A ja adwokatem.

- Nie jesteś tylko jego adwokatem. - Odwróciła wzrok, jakby jego widok sprawiał jej ból. - Czy mogę cię o coś zapytać, Tony?

Zawahał się. W głowie miał mętlik. W jego myślach strach mieszał się z czułością i poczuciem obowiązku: kochał Sue, miał obowiązki wobec Sama, bał się dowiedzieć, że jego przyjaciel i klient, mąż kobiety, którą trzymał w ramionach, zamordował Marcie Calder.

- O co chodzi?

Milczała jeszcze przez chwilę, a potem po jej twarzy popłynęły łzy.

- Która była godzina, kiedy znalazłeś ciało Alison? - zapytała.

Nagle Tony zrozumiał wszystko. Gdy wziął oddech, zadrżał tak jak Sue.

- Zawsze mówiłaś, że Sam był z tobą...

- Był. - Zamknęła oczy. - Ale nikt nigdy nie pytał, jak długo, a wtedy ja nie chciałam o tym myśleć.

Tony popatrzył na nią. Nieswoim głosem poprosił:

- Powiedz mi, co się stało, Sue. Powiedz mi wszystko.

To dziwne, pomyślała Sue, jak wygrana zmieniła Sama. Kiedyś napełniała go taką radością, a dziś, po jego wyczynie w ostatnim meczu futbolowym, jaki rozegrał w liceum w Lake City, widziała u niego ten zachwyty, który wiązał się z wybuchami śmiechu i pragnieniem, by się z nią kochać. Kiedy jednak rozdzielili się z Tonym i Alison, jego nastrój zmienił się diametralnie. Gdy zatrzymali się koło kępy klonów, Sam nie chciał nawet jej dotknąć. Zamiast tego siedział i pił, patrząc przed siebie przez szybę.

- To się dla niego nie liczy - rzekł po chwili. - Ja się w ogóle nie liczę.

Obróciła się ku niemu zaskoczona.

- Dla Tony'ego?

Nie odpowiedział.

- Ludzie robią to, czego on chce - stwierdził. - I wszystko dzieje się tak, jak on sobie tego życzył. „Dobra robota, Sam. A teraz czas, żeby zerznął Alison...”

Alison, pomyślała Sue. Przyglądała się Samowi w zaciemnionym samochodzie. Jego profil był cieniem z butelką whisky przechyloną do ust. Zapytała spokojnie:

- Skąd wiesz, że Tony tak chociaż myśli? Czy coś ci powiedział?

- Nie, ale on nigdy tego nie powie.

Zorientowała się, że Sam już się upił - wtedy właśnie wychodziły na wierzch jego konflikty i problemy. Nagle pomyślała, że wszystko rozumie: to była najważniejsza chwila w życiu Sama, na którą czekali wraz z Tonym, a teraz Sam czuł się wykluczony. Ta chwila przysła i minęła, a według Sama Tony prawie jej nie zauważył. Co gorsza, Tony kochał się teraz z Alison i był - w przeciwieństwie do Alison, jak podejrzewała Sue - nieświadomy tego, jakie uczucia może to wywołać u Sama.

- Czy my się czymś różnimy? Rozmawiasz z Tonym o nas? -zapytała Sue.

Sam pociągnął kolejny łyk.

- Nie - odpowiedział beznamiętnym tonem.

Nagle Sue się rozzłościła.

- Czy to dlatego tak się na niego wściekasz?! Bo nigdy nie pyta ciebie, co robisz ze mną?! A może wściekasz się, bo Tony nie chce tego robić ze mną?! Wtedy przecież byłby bardziej podobny do ciebie, prawda?! A może chodzi o Alison...

Sue powstrzymała się, zdumiona tym, co z siebie wyrzuciła i że w ogóle to powiedziała. Sam zamarł. Przez cały czas, który wydawał się długimi minutami, nie odzywał się i nie poruszał.

Przestraszyła się i starała to obrócić w żart.

- Dobra - powiedziała. - Może posiedzimy tu sobie i powyobrażamy, co Alison i Tony robią w parku Taylorów. Serio, mam nadzieję, że im obojgu jest wspaniale. Przynajmniej usuniemy w ten sposób całe to zamieszanie między nami wszystkimi.

Sam nie odwrócił się do niej.

- Nie ma żadnego zamieszania - powiedział.

Mówił złowrogo spokojnym tonem.

Spytała cicho:

- To dlaczego się tak beznadziejnie bawimy? Tak się cieszyłam z twojego powodu, Sam. Chcę tylko, żebyś był ze mną szczęśliwy.

Sam znowu napił się whisky.

- Przepraszam - rzekł w końcu. - Ktoś walnął mnie w głowę łokciem. Wciąż jeszcze dzwoni mi w uszach.

Sue odgadła, że była to tylko wymówka. Sam był przybity i zmieszany, więc szukał

usprawiedliwienia dla swojego stanu.

W zamyśleniu wygładziła plisy spódniczki cheerleaders.

- Może powinieneś jechać do domu - powiedziała.

Sam zsunął się niżej na fotelu. Znowu pociągnął duży łyk i pogрузzył w niezgłębionych myślach. Sue czekała, aż się do niej odezwie.

Pił w milczeniu.

- Sam?

Zdawało się, że drży od nadmiaru wypitej whisky.

- Tak - odpowiedział niewyraźnie. - Jutro będę w porządku, obiecuję.

Sue skuliła się. Czuła się nieważna, samotna. Pojechali do domu, nie rozmawiając ze sobą po drodze. Delikatnie dotknęła jego nadgarstka, ale Sam chyba tego nie zauważył. Kiedy zatrzymali się przed jej domem, otrząsnął się, jakby budził się z transu.

- Będę w porządku - powtórzył. - Jutro.

- Ja też będę w porządku. - Pocałowała go szybko i mocno. - Gratuluję. Wygrałeś, wiesz.

- Tak. Wygrałem - odparł.

Wysiadła i ruszyła w górę podjazdu. Sam już wycofywał samochód, kiedy doszła do drzwi frontowych.

Poszła nago do swego pokoju i położyła się do łóżka. Na zegarku, stojącym na jej toalecie, jarzyły się czerwone cyfry: 11.45. Pomyślała wtedy o reflektorach samochodu Sama - kierowały się w przeciwną stronę, niż leżał jego dom. Miała nadzieję, że nie był zbyt pijany, by prowadzić. Pomyślała nawet, żeby zadzwonić i upewnić się, czy dojechał bezpiecznie. Ale zdała sobie sprawę, że zbudziłaby jego rodziców, postanowiła więc, iż najlepiej będzie odłożyć te obawy na bok.

Leżąc nago, próbowała wyobrazić sobie Alison i Tony'ego. Zdziwiła się jednak, kiedy zobaczyła tylko Tony'ego. Być może był bardziej podobny do Sama, niż chciała to widzieć.

Wierciła się na łóżku, a myśli kłębiły się w jej głowie. W końcu zasnęła.

Zaczynał się już pojawiać pierwszy wilgotny chłód brzasku. Patrząc na Sue, Tony czuł to w kościach.

- Alison? - zapytał. - Czy myślisz, że było coś między nią a S a m e m?

Sue chwyciła jego rękę.

- Nie wiem, czy coś się działo. Ale przez jakiś czas wydawało mi się, że Sam miał obsesję na jej punkcie... jakby to on chciał być jej pierwszym, a nie mógł o tym powiedzieć. - Mówiła cicho, zawstydzona. - Na tydzień przed śmiercią Alison z segregatora Sama wypadła kartka papieru z zapisanym numerem telefonu. Od razu go rozpoznałam: to była jej prywatna linia. Taylorowie zastrzegli ją. Kiedy zapytałam Sama, jak ją zdobył, powiedział, że dostał ją od ciebie. Żeby Alison mogła pomóc mu z hiszpańskim.

- Nie. - Tony powiedział to głucho, jego emocje ujawniły się nie w głosie, a w mrowieniu na skórze. - Nie dostał go ode mnie.

Sue odwróciła wzrok.

- Jesteś pewien...

- O, tak. - Adwokat popatrzył na ciemne już okno, a jego głos aż przycichł ze złości. - Gdybym wiedział, że Sam nie był z tobą, to zastanawiałbym się trochę już wtedy. A jak sądzisz, ile sekund zajęłoby mi to po tym, jak usłyszałem o Marcie Calder? Tylko dlatego nie myślałem o tym, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż mógł być w parku Taylorów tej nocy, gdy zginęła Alison. I tylko dlatego, że ty zawsze mówiłaś, iż był z tobą. - Nagle zwrócił się do niej. - Dlaczego, na miłość boską, chciałaś, żebym go bronił? Bo nie chciałaś być z tym sama? Czy może myślałaś, że w jakiś sposób będę potrafił rozwiązać wszystkie twoje wątpliwości?

Sue nie wzdrygnęła się.

- Niczego nie wiedziałam. Ale kiedy zginęła Marcie Calder, zaczęłam się nad wszystkim zastanawiać...

- Cóż, ja zrobiłbym o wiele więcej. Gdybyś zechciała powiedzieć mi o tym, nim zostałem adwokatem Sama. Tak samo gliniarze z Lake City, jeśli tylko zostało coś jeszcze z roku sześćdziesiątego siódmego. - Mówił wściekłym, pełnym goryczy głosem. - Ale Sam to szczęściarz, Sue. Zawsze tak uważałem. A teraz jasne jest, jak wiele miał szczęścia dzięki tobie.

W jej oczach znowu pojawiły się łzy. Wstała, chwyciła go za ramiona i spojrzała prosto w oczy.

- To dzięki jego zeznaniu zrozumiałam to wszystko. Od tamtej pory nie spałam... martwiłam się, mając nadzieję, że zwariowałam. Nie tylko dlatego, że jestem śmiertelnie przerażona, i nie tylko z powodu dzieci. - Mówiła teraz ciszej. - Byłam rozdarta przez to, że poprosiłam cię, byś bronił człowieka, który zamordował Alison. Człowieka, który zmienił twoje życie...

- Ponieważ tego nie wiedziałem, jestem teraz jego adwokatem. - Znowu mówił spokojnie. - Och, jest o wiele gorzej. Żaden sąd nie pozwoli mi zeznawać w drugim procesie o zabójstwo Marcie Calder. Równie dobrze mógłbym być niemy i sparaliżowany. Więc nawet gdyby Karoly pozwolił żonie Sama, a może jego byłej żonie złożyć zeznanie, a jestem cholernie pewien, że nie pozwoliliby, to jak potraktowałyby to twoje dzieci? Co do Alison, nic z tego, co mi powiedziałaś, niczego nie dowodzi. - Tony urwał i w swoim gniewie znowu dojrzał prawdziwą Sue Cash. - Mam nadzieję, że się mylisz, Sue. Wciąż jeszcze jest to możliwe. W przeciwnym razie Sam zabił dwie osoby.

Sue potrząsnęła głową, jakby chciała opędzić się od niepewności.

- Więc nic nie możesz zrobić - powiedziała tępo. - Wbiłam ci to do głowy i teraz musisz z tym żyć. - Odwróciła się od niego. - Boże, Tony, wiem, że jest za późno, ale tak mi przykro...

Skuliła się, pochylając do przodu i kryjąc twarz w dłoniach. Stłumiony odgłos jej zawodzącego płaczu, poczucie winy, wstyd i cierpienie zmieszały się w chłodzie nocy z cykaniem świerszczy.

## TRZY

Stella siedziała przy stole. Przed nią piętrzyły się teczki z aktami.

- Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę - powiedziała.

Tony nie usiadł. Była druga po południu. Odkąd przed dwoma dniami pożegnał się z Sue, nie zmrużył oka.

- Też się tego nie spodziewałem. Ale nie mogłem przestać o tym myśleć.

Stella przyglądała mu się z chłodną ciekawością i, jak mu się zdawało, odrobiną współczucia.

- Musieli to odkopać w piwnicy. Jednak zanim przyszedłeś, przejrzałam zdjęcia. Nie są przyjemne, a ja jej nie znałam - wyjaśniła.

- Nie pokażą nam raportu, Stello, ale to ja ją znalazłem. Wciąż mogę opisać, co jest na fotografiach.

Prokurator milczała.

- Nie na tych, które zrobili w kostnicy, Tony.

Tony też przez chwilę nie odpowiadał.

- No cóż, nie mam już siedemnastu lat - stwierdził w końcu.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym wstała i wyjęła teczkę.

- W końcu korytarza jest puste biuro. Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Tony poszedł za nią wyłożonym zielonymi płytkami korytarzem do ponurego urzędniczego pomieszczenia, którego nie ożywiał żaden ślad ludzkiej bytności. Stella wskazała metalowe biurko.

- Nie spiesz się. Wróć, kiedy skończysz - powiedziała.

Spojrzał na nią.

- Doceniam twoją pomoc, Stello. Naprawdę.

W oczach wciąż miała zdziwienie. Skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi.

Tony usiadł na twardym drewnianym krześle i położył przed sobą teczkę.



Przez jakiś czas nie dotykał jej. Kiedy wreszcie sięgnął do środka, jego palce były niezgrabne i czuł pustkę w żołądku.

Tony wiedział, że w szarej kopercie są fotografie.

Wziął głęboki oddech i włożył rękę do koperty. Ale nie spojrzął jeszcze na zdjęcia. Czuł, że są śliskie.

Rozłożył je przed sobą.

- Alison - powiedział cicho wbrew woli.

Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej... - pomodlił się w myślach.

Była taka, jaką ją pamiętał. Koszmar nie kłamał.

Miał w oczach łzy siedemnastolatka, który kochał Alison. Ale też łzy mężczyzny, ojca, obrońcy, który rozumiał - czego nie mógł zrozumieć ów chłopiec - jak straszna to była śmierć.

To mężczyzna odepchnął teraz zdjęcia na bok.

Raport z sekcji zwłok miał kilka stron.

„Zmarła - czytał Tony - jest kobietą typu kaukaskiego, wiek około siedemnastu lat, wzrost 165 centymetrów, waga 52 kilogramy...” „«Pragnę cię» - wyszeptała”.

„Sekcja wykazała obecność spermy w pochwie zmarłej...” „Alison zaczęła poruszać się wraz z nim. Była teraz wszędzie: w czystym zapachu skóry, w burzy miękkich włosów, w ciepłe bioder, ud i brzucha”.

„Otarcia ścianki pochwy wskazują na brak wcześniejszych doświadczeń seksualnych...”

„«Kocham cię, Tony. Tak mi z tobą dobrze»”.

„Z pochwy pobrano próbki nasienia...”

„«Czy sprawiłem ci ból?» - zapytał”.

Przełykając z trudem ślinę, Tony odwrócił kartkę.

„Uniosła twarz, żeby go pocałować, i powiedziała cicho: «Cieszę się, że to było z tobą»”.

„Sekcja wykazała ponadto, że zmarła została spenetrowana analnie...”

Tony zamarł.

„Stwierdzono obecność nasienia w odbycie zmarłej i pobrano jego próbki...”

„«Nie jestem taki...»”

„Obrażenia tkanki odbytu zmarłej, w tym spore krwawienie, wskazują, że zmarła była przemocą penetrowana analnie...”

„«Ja wiem, co Sam lubi. Wiem to lepiej niż ktokolwiek...»” Tony opadł na oparcie krzesła.

„Przyczyną śmierci - czytał - było zadzierzgnięcie. Zmarła ma głębokie siniaki na szyi, pozostałość duszenia, jak również nabrzmiałe naczynia krwionośne oczu i twarzy. Dowody z opinii lekarskiej wskazują ponadto, że śmierć nastąpiła w trakcie wymuszonego stosunku analnego, podczas którego ofiara była trzymana za gardło”.

Tony wstał. Z wysiłkiem uspokoił myśli.

Położył ręce na biurku i popatrzył na raport.

„Wymaz nasienia - czytał - zachowano na slajdach...”

Położył teczkę na biurku Stelli.

- Dziękuję - powiedział.

Spojrzała na niego i zapytała cicho:

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

Zmusił się, żeby usiąść.

- Pobrali próbki spermy, Stello. Z ciała Alison. W przypadku nie rozwiązanej sprawy morderstwa powinni je zachować. Czy taka jest tu procedura?

Kobieta założyła ręce na piersiach.

- Tak. Taka jest procedura.

O 4.30 po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat Tony wszedł do zaciemnionego kościoła Świętego Rafała.

Usiadł z tyłu, jak to czasem robił jako chłopiec, na wpół świadomy ogromnej przestrzeni, światła i cienia, witraży. Ksiądz Quinn od dawna już nie żył. Nikt już nie pamiętał tu Tony’ego, a on nie miał dokąd pójść.

Pochylił głowę i modlił się do Boga, którego istnienia nie był już pewny.

Stracił wiarę, a jego świat przewrócił się do góry nogami - Tony Lord, który wyszedł z tego kościoła, zwrócił się najpierw do prawnika, a potem do prawa. A według prawa, jego świeckiej religii, miał obowiązki wyłącznie wobec Sama.

Lecz teraz prawo i jego życie znowu się spotkały i tym razem prawo nie dawało żadnych

odpowiedzi.

Upokorzony przez swoje ograniczenia i zawstydzony przez swoją arogancję Tony pomyślał o Calderach, Marcie, Erniem Nixonie i Jenny Travis, o Sue i, z przeszywającym bólem, o Taylorach i ich córce Alison.

Nie mógł wybaczyć sobie ani - zdruzgotany tym, czego być może się teraz dowiedział - Samowi Robbowi. Jeśli Sam był winny, jego zdrada była zbyt potworna: sprawiedliwości nie stało się zadość w żadnym z obu przypadków, a Tony, który ucierpiał w pierwszym z nich, stał się odpowiedzialny za drugi.

Czuł teraz coś, co przekraczało nienawiść. Co przekraczało nawet przerażającą, pełną goryczy świadomość, że to Sam Robb, a nie on sam, mógł nakreślić bieg swojego życia. Zginęły dwie kobiety, a nie mógł powiedzieć, że jeśli Sam był zabójcą, to nie zginie i trzecia.

Za ten grzech odpowiadałby już on sam, Tony Lord. Za ten grzech w jego sercu nie byłoby rozgrzeszenia od Boga, żadnego balsamu w prawie.

Tony modlił się w milczeniu o siłę, by zdołał zrobić to, co musiało być zrobione. Potem wstał i wyszedł z kościoła, żeby znaleźć Sama Robba.

## CZTERY

Sue otworzyła drzwi.

Otworzyła usta, dłoń wciąż trzymała na klamce.

- Gdzie on jest? - zapytał Tony.

Wskazała głową na schody.

- W sypialni.

Tony zatrzymał się w progu, dotknął jej twarzy.

- Wyjdź - powiedział cicho. - Natychmiast.

- O co chodzi?

- O Alison. - Minął ją i obrócił się do niej, stanąwszy na pierwszym stopniu. - Nie chcę, żebyś tu była, Sue.

Zbladła.

- On ma broń, pamiętasz?

Tony odwrócił się od niej i wszedł powoli na górę.

Za wszelką cenę starał się nie spieszyć i oddychać powoli. Trzy metry do sypialni wydawały się ogromną odległością.

Kiedy dotarł do drzwi, wyciągnął przed siebie rękę, by upewnić się, że nie drży.

Pchnął skrzydło.

Sam stał przy komodzie i przyglądał się swojej twarzy w lustrze Sue. Odbicie Tony'ego w zwierciadle chyba go przestraszyło.

- Tony... - powiedział z zażenowaniem, przyjemnością i znużeniem. Adwokat patrzył, jak te uczucia ustępują przed uśmiechem, który nie rozjaśnił uważnych oczu Sama. - Myślałem, że wyjechałeś.

Tony zamknął cicho za sobą drzwi.

- Postanowiłem zostać. Żeby przeczytać raport z sekcji zwłok Alison.

Sam zamrugał.

- Alison?

- Tak.

Sam postąpił trzy kroki naprzód i oparł ręce na podwójnym łóżku, które ich dzieliło. Pochylił głowę w zamyślanej pozie.

- I przeczytałeś?

- Tak. - Tony urwał. Zastanawiał się, jak udaje mu się mówić tak normalnym głosem. - Przyszedłem ci o tym powiedzieć, Sam. Myślę, że mogę udowodnić, że jej nie zabiłem.

Sam podniósł wzrok i Tony zastanawiał się, ile razy patrzył na tę samą twarz i widział wszystko oprócz tego, co powinien zobaczyć. Być może to, co dostrzegł patrzący na niego Sam, wywołało ognisty rumieniec na jego policzkach. Przyjaciel zapytał cicho:

- Jak to zrobisz?

- Alison została zgwałcona. - Tony mówił równie cicho jak Sam. - Była duszona, żeby siedziała cicho. Żeby mógł penetrować jej odbył.

W milczeniu usta Sama ułożyły się w małe „o”.

- Zrobili slajdy z nasieniem. A morderstwo nie podlega przedawnieniu.

Sam założył ręce na piersiach. Twarz miał spokojną, normalną. Przez chwilę, mimo uczucia mrowienia, Tony zastanawiał się, czy się nie pomylił.

- DNA. Mogą zrobić testy - mruknął Sam.

- Niezła myśl. - Tony urwał na chwilę i przewiercił go wzrokiem. - Sądysz, że Stella zechciałaby mi pomóc?

Tamten spojrzał na niego złowrogo zmrużonymi oczami.

- Stella.

Tony'emu zaschło w ustach. W pokoju zapadła cisza. Żaden z nich się nie poruszył.

W końcu Sam powiedział:

- Możesz to zrobić, Tony. Ale chyba już o tym wiesz.

Adwokat poczuł ucisk w gardle.

- Ty zawsze bardzo ceniłeś lojalność, nieprawdaż? Muszę teraz temu dorównać.

Sam zbladł i nic nie odpowiedział. Tony zastanawiał się, gdzie jest rewolwer.

- Odebrało ci mowę? - zapytał.

W oczach jego przyjaciela stanęły łzy. Podniósł błagalnie rękę.

- Nie możesz tego zrobić, Tony. To nie byłem ja...

- Och, wiem. Ty nie jesteś taki, prawda?

Sam spłynął rumieńcem.

- To ona...

Tony'emu waliło w skroniach jak młotem.

- Sue czy Alison? - zapytał.

Sam podszedł do niego, chwycił go za ramiona i rozpaczliwie spojrzał w oczy.

- Wysłuchaj mnie...

Alison siedziała na dwuosobowym hamaku na werandzie z tyłu domu. Kiedy rodziców nie było, powiedziała mu, chłopcy nie mogli przychodzić do domu.

Sam przyglądał się jej twarzy. W popołudniowym świetle była silna, lecz delikatna, a ciemne oczy - zamyślane i tajemnicze. Tylko kostka jednej ze skrzyżowanych nóg, którą machała lekko, zdradzała napięcie. Napięcie, którego on był powodem, powściągane pożądanie, którego Tony nie mógł dosięgnąć.

Odrzuciła do tyłu długie, ciemne włosy. Miała blade, wiotkie palce.

- Nie powinniśmy tego robić - powiedziała.

- Czego?

- Tak rozmawiać. - Patrzyła spokojnie. - Jesteś przyjacielem Tony'ego. A ja przyjaciółką Sue.

- No to co? - Sam miał wilgotne dłonie. - Przecież tylko rozmawiamy. Jeśli mogę ci pomóc z Tonym, to mi powiedz... No bo to nie jest wcale zabawne, kiedy wy dwoje tacy jesteście.

Alison nie odwróciła wzroku. W pewności siebie tej dziewczyny, którą miał również jego przyjaciel, było coś wyzywającego. Czasami wydawali się Samowi niemal jedną osobą.

- Nie ma o czym mówić - odparła. - On mnie pragnie, a ja nie jestem pewna. Kiedy widzę, jak bardzo go to boli, to i ja czuję ból... - Urwała. Sam widział, że jej stopa wciąż kołysała się nerwowo, co bardzo starała się ukryć. - Wiesz, jesteś ostatnią osobą, z którą spodziewałam się o tym

rozmawiać. Łącznie z moją matką - powiedziała ze zdziwieniem.

Serce podeszło Samowi do gardła. Tygodnie oczekiwania, które było mu tak obce, zaczynały wreszcie przynosić owoce: czekanie w pobliżu szafki Alison, drobne gesty zachęty, uprzejmości, oferty pomocy. Wreszcie uczył się być kimś takim jak Tony, kimś, do kogo ludzie przychodzili.

- Twoja matka nie przepada za Tonym. Ty go kochasz i ja go Kocham. To znaczy tak, jak chłopak może kochać innego chłopaka - powiedział.

Oczy Alison zalśniły nagle. Powiedziała cicho:

- Ja naprawdę go Kocham. Tylko tak się boję...

Niespodziewanie urwała. W tym właśnie momencie, gdy ukazała swoją emocjonalną bezbronność, Samowi zabrakło tchu.

Pochylił się niżej i rzekł:

- Wiem, Alison. Rozumiem...

Zamrugnęła, zdziwiona, że jego twarz znalazła się tak blisko jej twarzy i tym, że jej uczucia tak zawirowały.

- Sam...

Już nic ich nie dzieliło.

Miała wąskie, drżące usta, które ani go nie zachęcały, ani się nie opierały. Sam poczuł, jak twardnieje mu penis, a serce zaczyna żywiej bić. Musnął językiem jej wargi i wsunął go do ust Alison Taylor.

Jakby odruchowo objęła go rękami. Całował ją rozpaczliwie, łapczywie. Sięgnął do jej piersi, które teraz należały już do niego. Kiedy je poczuł, małe pod jego dużą dłoń, wyobraził sobie, jak Alison rozpinając biustonosz i patrzy na niego tak, jak zawsze patrzyła na Tony'ego...

- Nie. - Jej plecy wygięły się i odwróciła się ze złością, patrząc na niego rozszerzonymi oczami. - Nie, niech cię cholera...

- Posłuchaj...

Alison stanęła sztywno.

- Ale byłem głupia - rzuciła w złości. - To moja wina, dobra? Więc idź sobie.

Sam podskoczył ku niej i chwycił ją za nadgarstki.

- Nie chcę. I ty nie chcesz, żebym poszedł. Wiedziałaś, co się dzieje...

- Może i tak. - Mówiła teraz spokojnie i patrzyła na jego ręce na swoich przegubach. - A może po

prostu tylko się z tobą droczę. Może w ogóle nie zasługuję na Tony'ego, ale przynajmniej przypomniałeś mi, jak bardzo go pragnę...

- Pragnęłaś mnie.

Podniosła na niego wzrok. Jej spojrzenie było spokojne i zimne.

- Nie martw się, Sam. Nie powiem mu. Pod warunkiem, że teraz sobie pójdiesz.

Sam rozluźnił uchwyt. Powoli i pewnie Alison Taylor wysunęła rękę.

Odwróciła się bez słowa i otworzyła drzwi z siateczką, żeby uciec do środka. Stała za nimi, wściekła i niezdecydowana.

Nagle znieruchomiała i popatrzyła na niego. Przez siateczkę wyglądała pięknie, wiotko, ulotnie.

- Wiem, że nienawidzisz nas oboje - powiedziała cicho. - Ale które z nas kochasz?

Drzwi zamknęły się za nią ze szmerem, a on został sam ze swoim poniżeniem i rosnącym pożądaniem.

Sam był pijany. Widok Alison i dzielących ich drzwi z siateczką nie opuszczał go przez całą noc.

Czuł, że ma gorące skronie i spocone czoło. Gdy jechał w stronę parku Taylorów, przydrożne drzewa pojawiały się znikąd, a biała linia rozwijała się przed jego oczami na asfalcie.

Zakręcił mocno kierownicą i skręcił do parku. W samochodzie czuć było perfumy Sue.

Zwolnił i wjechał na parking. Zatrzymał się.

Opuścił szybę i wdychał chłodne, nocne powietrze. Miał wyłączony silnik, więc park wydawał się ogromny i cichy. Był domeną ciemności, tajemnicy, niewyraźnych kształtów i dojmujących tęsknot.

Wyobrażał sobie, jak gdzieś w tym wszystkim Tony Lord i Alison Taylor zmagali się ze swoim pożądaniem.

Przez dłuższy czas siedział i nie ruszał się. Prześladował go obraz ukrytych gdzieś blisko dwóch ciał. Pociągnął whisky z butelki.

Kierując się swoimi wyobrażeniami, wysiadł z samochodu. Ścisnął w ręku butelkę.

Park go zagarnął: drzewa, cienie, skrawek zasnutego chmurami księżyca. Czoło, miał zimne i rozgorączkowane zarazem. Trawa tłumiała jego kroki.

Gdzie zaparkował Tony? - zastanawiał się. Sam i Sue mieli swoją kępę klonów. Ale dla Tony'ego i Alison park Taylorów był lepszy. Leżał tak blisko jej domu, że dawał im jeszcze cenne minuty przed północą, ostatni głęboki pocałunek, ostatnie dotknięcie nagiej piersi.



Jeśli dziś chodziło o coś więcej, Tony potrzebował schronienia.

Samotnie, niemal bezdźwięcznie Sam przemierzał z przymrużonymi oczami otwartą przestrzeń. Słyszał tylko daleki plusk wody w jeziorze i szmer wiatru w suchych liściach.

Liście.

Tony - tak samo jak Sam - najbezpieczniej czułby się w altance z liści.

W jego głowie otworzyła się jakaś przestrzeń, znalazł mapę swojej pamięci. Poszedł za obrazami, których nie mógł widzieć.

Na urwisku ponad jeziorem rosła kępa drzew.

Podszedł tam jak niewidomy, kierując się szelestem liści. Potem zobaczył pnie drzew, powyginane gałęzie. Zatrzymał się i wziął oddech.

Między drzewami majaczył ciemniejszy kształt - samochód Tony'ego.

Sam ruszył powoli przed siebie, stawiając ostrożnie stopy. Kulił się z zimna. Zatrzymał się dwa metry przed samochodem.

Szyby były zaparowane. Sam stał tam jak strażnik, poza światem kochanków, i słuchał ich głosów. Niczego nie słyszał.

Whisky, która paliła go w gardle, stępiła jego wrażliwość, nie czuł się tu nie na miejscu.

Podszedł na palcach do samochodu.

Padł promień światła - księżyc, który wyrwał się z zasłony chmur, ukazał na wilgotnych szybach odwrócone, dziecięce literki.

Napis brzmiał: „Kocham cię”.

Sam pochylił się, a jego oddech zamazał pierwsze słowo. Pod spodem odczytał drugie zdanie: „Ja ciebie też”. Potem, w drugim promieniu księżyca, zobaczył ich za odpowiedzią Alison.

Sylwetki splecionej pary lśniły srebrzyście i poruszały się w jednym rytmie. Alison podała usta Tony'emu. Przez ułamek sekundy zobaczył pośladki chłopaka między jej nogami.

Zastygł, potem drgnął; bolało go, że jest tu sam.

Zauważył, że Alison poruszyła ustami, a potem dostrzegł nadgarstek Tony'ego, kiedy ten podniósł rękę do oczu, by zobaczyć, która godzina. Później znowu zniknęli w parze oddechu Sama.

Powoli się wycofał. Na fosforyzującej tarczy swojego zegarka zobaczył, że była 11.42.

Miotając się między zazdrością a kotłowaniną innych myśli, ukrył się za drzewem. Oparł się o pień, czując na policzku szorstką korę i zimne powietrze w płucach. Tylko whisky go rozgrzewała.

Drzwi samochodu się otworzyły.

Zaskoczony Sam zobaczył, jak pośpiesznie wysiadły z niego dwie sylwetki. Gołymi rękami wytarli z tylnej szyby parę skroploną z oddechów ich dwojga i Sama.

- Nie martw się. Z powrotem mogę pójść tą samą drogą - usłyszał jej głos.

- Pójdę z tobą - odpowiedział.

Cienie skręciły z wahaniem. Potem podeszli powoli w stronę Sama. Nie śmiał się nawet poruszyć. Obserwował ich w napięciu.

Dwa metry, półtora.

Nagle zatrzymali się. Sam wstrzymał oddech. Gdyby się odwrócili, zobaczyliby go; gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dotknąć.

- Ciemno tu - szepnął Tony.

Wzięła go za rękę.

- Wiem.

Znowu ruszyli ostrożnie naprzód. Dwa kroki, potem jeszcze jeden.

Sam przemykał się za nimi, ukryty za drzewami.

Zatrzymali się, jakby usłyszeli jego kroki. Spojrzeli na siebie i ruszyli biegiem przez otwartą przestrzeń w stronę domu Alison. Ich kroki odbijały się echem.

Przyciągany widokiem ich miłosnego aktu, Sam poszedł za nimi.

Nie spieszył się. Nie miał planu, wiedział tylko, że jego kroki - w przeciwieństwie do ich - muszą być bezszelestne.

Odgłosy biegu ucichły.

Sam szedł dalej przez czarne jak smoła pole, stawiając ostrożnie stopy. Wtedy księżyc znowu wychynął zza chmur i oświetlił Tony'ego i Alison. Stali naprzeciw siebie, ledwo widoczni przez gęstwinę drzew otaczających dom Alison, którego czarny dach rysował się krzywo na tle ciemnopurpurowego nieba.

Sam zatrzymał się w ciszy.

Choć Alison mówiła szeptem, jej słowa niosły się w noc.

- Powinniśmy się zatrzymać.

Tony pocałował ją w czoło.

- Zaczekam tu na ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Jest zimno. Utrzymuj ciepło w samochodzie.

Mówiła niskim, kobiecym głosem, który popłynął w ciało Sama jak whisky.

Dziewczyna pocałowała go mocno, żarliwie, przywierając doń całym ciałem. Wtedy chmury znowu przesłoniły księżyc i usłyszał tylko jej zduszony głos.

- Właśnie wykorzystaliśmy moją ostatnią minutę. - Sam usłyszał jej głos. - Do zobaczenia za piętnaście minut.

Sprzeciwiała się rodzicom dla Tony'ego Lorda, wymykała się drugi raz z domu, żeby rozłożyć dla niego nogi. Jak jego matka dla trenera Jacksona. Whisky miała teraz dla Sama gorzki smak.

W oddali zobaczył Alison.

Stała w świetle padającym z werandy za domem i machała ręką. Był tak skołowany, że pomyślał, iż macha do niego.

Światło zgasło. Drzwi zamknęły się z cichym szmerem.

Znowu usłyszał kroki, tym razem tylko Tony'ego.

Stał tam w ciemności, z butelką w ręku. Może gdyby Tony go zobaczył, zaproponowałby mu alkohol, którego przedtem nie chciał.

Ale Sam nikogo nie widział. Odgłosy kroków przyjaciela stawały się coraz głośniejsze. Sam poczuł zimny pot na czole.

Kroki ucichły i zapadła cisza. Został sam.

Przytknął butelkę do ust.

Za piętnaście minut Alison wyjdzie z powrotem. Otarł wargi.

Bezszelestnie zbliżał się do domu. Wyobraził sobie, jak siedzi na jej dwuosobowym hamaku i buja się tak cicho, by ów chrzęst zaskoczył Alison, kiedy wyjdzie na ganek.

„Moja kolej”, szepnąłby wtedy.

Zatrzymał się i spojrzał na werandę; dzieliły go od niej trzy metry. Wystarczy ją obserwować - postanowił - żeby wiedzieć, co będzie mógł z nią zrobić. Omamy wywołane przez whisky wypełniły mu myśli: Sam patrzy na dwie postaci poruszające się w jednym rytmie, a potem zajmuje miejsce jednej z nich.

Ostatni łyk whisky rozpałił jego gardło.

Podszedł na skraj urwiska i wyrzucił pustą butelkę do wody. Potknął się, lecz odzyskał równowagę.

„Kiedy poczuł jej piersi, małe pod jego dużą dłoń, wyobraził sobie, jak Alison rozpina biustonosz i patrzy na niego tak, jak zawsze patrzyła na Tony’ego...”

Sam pomyślał, że może powinien stąd odejść.

Obrócił się i zamarł: w drzwiach od strony ogrodu stała Alison Taylor.

„Przez siateczkę wyglądała pięknie, Ciotko, ulotnie”.

„«Wiem, że nienawidzisz nas oboje» - powiedziała cicho. «Ale które z nas kochasz?»”

Podłoga zaskrzypiała pod jej stopami.

Sam nawet nie drgnął. Kiedy zeszła z werandy na trawę, już jej nie widział. Szła bezgłośnie.

Los zadecyduje za nich, postanowił nagle. Jeśli go nie zauważy, on pozwoli jej się minąć i puści do Tony’ego. Ale jeśli ona znajdzie go w nocy, będzie tak dlatego, że tak miało być.

Odgłos jej kroków stawał się coraz głośniejszy.

Gdy się zjawiła, znowu była wiotką sylwetką, a jej twarzy jeszcze nie było widać. Nie zatrzymała się i nie skręciła. Jeszcze kilka kroków i będzie przy nim.

Dwa metry, myślał. Półtora. Poczucił, jak budzi się w nim pożądanie.

Chmury się rozsunęły i księżyc znowu zaświecił.

Sam usłyszał, jak jęknęła z przestachu. Po chwili w świetle księżyca zobaczył jej bladą twarz i rozszerzone oczy.

- Cześć - powiedział.

Krzyk uwiązał jej w gardle.

Teraz widział wszystko wyraźnie. Poczuciła ulgę, a potem znowu strach. Starła się - zupełnie tak samo jak Tony - wyglądać na spokojną i nie poruszoną. Kiedy wzięła głębszy oddech, wyczuła odór whisky. Postanowiła o nic go nie pytać.

- Nie powinno cię tu być - powiedziała.

Mówiła cicho, lecz pewnie. Sam odpowiedział jej spokojnie:

- Widziałem cię z nim w samochodzie.

Te proste słowa przeraziły ją. Czuł, jak mocno bije jej serce. Alison wyprostowała się i podniosła głowę, żeby zachować godność, co obrażało go i podniecało zarazem.

- Więc wiesz, jak bardzo go kocham - odparła z równą prostotą. Mówiła cicho, żeby rodzice jej

nie usłyszeli, ale jej głos drżał.

Sam zrozumiał, że wciąż wybiera się do Tony'ego. Nawet kiedy jego twarz była kilka centymetrów od niej.

- Wyobraź sobie, że Tony to ja - powiedział cicho.

Ich oddechy mieszały się w powietrzu.

„Musnął językiem jej wargi i wsunął go do ust Alison Taylor...”

- Nie - powiedziała i odwróciła twarz. - Nie chcę cię...

„Jej plecy wygięły się i odwróciła się ze złością, patrząc na niego rozszerzonymi oczami...”

Sam nie wiedział, co robić. Paraliżowało go jego tchórzostwo i wściekłość.

Alison otworzyła usta, jakby chciała zacząć krzyczeć.

Zakrył je dłonią, czuł pulsowanie w skroniach. Już za późno, mówił sobie, za późno. Nowy błysk przerażenia w oczach Alison jeszcze bardziej go podniecił. Poczł odrazę, bo został poniżony. Próbowała ugryźć go w rękę...

Sam poczuł nagły ból. Zobaczył światło i wtedy wściekłość przełamała ostatnie bariery.

-Tak- powtarzał dzikim głosem pijaka. - Tak...

Wykręcił Alison rękę do tyłu i pchnął ją na ziemię, jedną dłonią cały czas zakrywając jej usta.

Kłęczała teraz, odwrócona do niego plecami, wijąc się z bólu i braku powietrza. Całą dłoń miał w jej ślinie, wydmuchiwane nosem powietrze łaskotało mu wierzch palców. Gdy spróbował ją obrócić, rzuciła się do przodu i upadła twarzą w trawę. Leżała nieruchomo i nie chciała mu dać tego, czego żądał. Trzymał dłoń na jej ustach.

Między jego palcami Alison wydusiła z siebie:

- Wolałabym umrzeć...

Chwycił mocniej jej usta i szczękę. Drugą ręką z wściekłością zadarł do góry sukienkę dziewczyny, po czym złapał elastyczny pasek majtek.

Nie miała pończoch. Tylko nylon.

Ściągnął jej majtki. Gdy przywarła miednicą do ziemi, opierając mu się, poczuł pod palcami okrągłe miękkie miejsce.

„«Wiem, że nienawidzisz nas oboje» - powiedziała. «Ale które z nas kochasz?»”

Ścisnął gardło Alison.

- Nie ruszaj się. Ani słowa - wyszeptał.

Drżącymi palcami jednej ręki rozpiął spodnie. Czuł puls na jej szyi, słyszał, jak się dławi, jak brakuje jej powietrza i słabnie.

„Zobaczył pośladki chłopaka między jej nogami...”

- Zrobimy to w ten sposób - powiedział.

Gdy poczuła, jak w nią wchodzi, zeszywniała i krzyknęła. Ale jej okrzyk stłumiły jego palce.

Drżała, kiedy ją penetrował, a potem unieruchomił ją oboma rękami, pchając biodrami coraz mocniej i głębiej. Jej gardło drżało, gdy łkała w milczeniu.

Sam zamknął oczy, wszystko przed nim zniknęło.

Ścisnął ją mocno, jakby chciał w ten sposób uratować swoje życie. Razem z nią dygotał konwulsyjnie. Gdy szczytował, pełen pierwotnej ekstazy i potwornego strachu, zazgrzytał zębami, żeby nie krzyknąć. Jej łzy mieszały się z jego łzami.

Znieruchomiła.

Sam patrzył zdumiony, jak ich ciała leżą razem. Słyszczyć było tylko jego urywane sapanie.

Zsunął się z niej i przykrył ją spódnicą.

- Alison - szepnął.

Nie odpowiedziała. Wtedy przetoczył ją na bok i zobaczył, co zrobił.

Dostał mdłości. Klęknął obok niej i wił się z bólu, otępiały ze wstydu.

Wstał osłupiały i zataczał się, zapinając rozporek. Alison leżała u jego stóp.

Potyając się, odsunął się od niej.

- Alison...

Głos Tony'ego dobiegł go, jak we śnie. Odwrócił się, ale nie wiedział, dokąd uciekać. Noc była jak bagno.

Pod jego stopą trzasnęła gałązka.

- Alison...

Sam ruszył biegiem. Przed nim zamajaczył cień. Sam znał jego wielkość i kształt tak dobrze jak swój.

Poczuł, jak dusza w nim pęka.

Skręcił gwałtownie i popędził na oślep przez park z nadzieją, że ten cień go nie złapie. Pot płynął mu po twarzy.

Przed nim, niczym miraż, pojawił się jego samochód.

Zatrzymał się, poszukał w kieszeni kluczyków i wszedł do środka. Uruchomił silnik. Drogę do domu pamiętał tylko we fragmentach: reflektory, cienie, syrena w oddali, zapach perfum Sue.

W jego domu panowała cisza, zalegała ciemność. Wszedł po schodach do pokoju obok pokoju rodziców i wdrapał się w ubraniu do swego łóżka. Noc była surrealistyczna jak sen...

Rankiem Sam obudził się, a głowa pękała mu od whisky. Czuł ciężar w żołądku, a w głowie miał płataninę wątpliwości i przerażenia. Dotoczył się do łazienki i zwymiotował do sedesu. Gdy wstrząsały nim torsje, trzymał się tylko jednej pewnej rzeczy: to nie był on.

## PIĘĆ

Tonym owładnęło zbyt wiele uczuć, by mógł się odezwać.

Patrząc na jego twarz, Sam cofnął się o krok, potem drugi.

- To nie ja...

„Twarz Alison była zarumieniona, usta wykrzywione. Oczy, które miały dla niego tyle miłości, były szeroko otwarte, puste i zaczerwieniono...”

- Nie, Sam. - Tony mówił bardzo spokojnie. - To nie byłem ja.

Sam wzdrygnął się i umilkł.

„Tony uświadomił sobie, że ktoś przystawił mu do głowy zimny metalowy przedmiot, który również drżał”.

„Ty zwierzaku, coś ty jej zrobił? - pomyślał”.

Adwokat zrozumiał, że gdyby miał teraz w ręku rewolwer, zabiłby Sama bez namysłu. Wyczuwał ten ciężar w dłoni, naprężony palec na tak czułym na dotyk spuście.

„Wszystko jest bez znaczenia - powtórzył cicho. - Dla mnie nie miałyby znaczenia, gdybyś ją zabił...”

Sam położył rękę na toalecie. Szuflada była lekko uchylona.

- Ale to wciąż ma znaczenie - powiedział cicho Tony. - Nawet jeszcze większe. Ponieważ zamordowałeś Marcie Calder.

Palce Sama chwyciły brzeg szuflady.

Tylko spokojnie, powiedział do siebie Tony. Patrzył, jak Sam nerwowo porusza palcami.

- Czy było tak jak z Alison? - zapytał.

Na chwilę Sam zamknął oczy.

„Miała jasną cerę i proste czarne włosy, które opadały na policzki... Patrząc z tyłu, jak pochyła się nad popielatą nawierzchnią, podziwiał ścięga jej ud, jędrność pośladków...”

- Nie - odpowiedział Sam i opanował się. Jego niebieskie oczy nachmurzyły się wątpliwościami. - Nie do końca...



Ich ostatniej nocy znowu pojechali do parku. Wypiwszy burbona, Sam czuł się podekscytowany i rozochocony. Siedząca obok niego Marcie milczała.

Dzisiaj spełni swoje najgłębsze pragnienia. Kiedy poprosiła go, żeby się z nią spotkał, miała głos spięty od emocji. Sam wiedział, że pamiętała o swojej obietnicy. Pił tylko po to, żeby godziny szybciej mijały.

Zatrzymali się w kępie drzew, gdzie kiedyś stanęli Tony i Alison. Kiedy odwróciła się do niego i rozchyliła usta, Sam mocno ją pocałował. Zdawało się, że wzdrygnęła się, wyczuwszy smak alkoholu. Wyglądała na niezdecydowaną i zakłopotaną.

- Nic się nie bój - powiedział cicho. - Nic ci się nie stanie.

W jej oczach pojawiło się zrozumienie, potem zwilgotniały.

- Czy to dla ciebie aż tak ważne? - zapytała.

- Tak.

Spuściła wzrok.

- Wszystko się zmienia. Całe moje życie...

Sam otoczył Marcie ramieniem, by uciszyć jej obawy.

- Nic się nie bój - powtórzył.

Opuściła głowę i potaknęła. Kiedy rozebrała się w milczeniu i położyła pod nim na brzuchu, Sam był delikatny...

„Drżała, kiedy ją penetrował, a potem unieruchomił ją oboma rękami, pchając biodrami coraz mocniej i głębiej. Jej gardło drżało, gdy łkała w milczeniu...”

Był tak ostrożny, że Marcie prawie nie jęknęła...

„Razem z nią dygotał konwulsyjnie. Gdy szczytował, pełen pierwotnej ekstazy i potwornego strachu, zazgrzytał zębami, żeby nie krzyknąć. Jej łzy mieszały się z jego łzami...”

Przytuliwszy się do jej pleców, Sam zadrżał z rozkoszy. Marcie nic nie powiedziała, nie poruszyła się.

Powoli zsunął się z niej.

- Marcie? - powiedział.

„Nie odpowiedziała. Wtedy przetoczył ją na bok i zobaczył, co zrobił...”

- Chcę zobaczyć twoją twarz - mruknął.

Kiedy się odwróciła i spojrzała na niego, w oczach Sama Robba stanęły łzy.

- Dziękuję - powiedział. - Dziękuję.

Marcie ubrała się pospiesznie. Była roztargniona.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła zniechęconym tonem. - Po to chciałam się z tobą spotkać.  
Nie po t o.

Sam zamarł, wyczuwszy kąśliwość jej uwagi.

- O co chodzi?

Marcie dotknęła jego ramienia i spuściła wzrok.

- Jestem w ciąży. - Jej głos był smutny, zagubiony. - Urodzę twoje dziecko.

Zaniemówił. Nagle zobaczył konsekwencje swoich postępów: straci Sue, pracę, szacunek, na który tak ciężko pracował.

Zdawało się, że Marcie wyczuwała jego przerażenie.

- Nikt nie wie, że to ty...

Sam poczuł się pusty w środku.

- Jeszcze nie. W końcu twój ojciec wydobędzie to z ciebie biciem.

- Nie powiedziałam Janice. Dlaczego myślisz, że powiem jemu?

Odgłosy własnej złości zdawały się ją wyczerpywać. Przywarła głową do ramienia kochanka.

- Przytul mnie, dobrze? Tak się boję...

Sam ociężale objął ją ramieniem.

- Dokonamy aborcji.

Poczuł, że Marcie pokręciła głową.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę...

- Musisz! - podniósł głos. - Co jest dla ciebie ważniejsze: ja czy dziecko, które zniszczy wszystko między nami?

Marcie cofnęła się i spojrzała na niego.

- Dziecko nie wybierało.

- Ja też nie. Nie jestem dawcą spermy, Marcie.

Marcie założyła ręce na piersiach.

- Jesteś ojcem mojego dziecka - stwierdziła. - Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że będę cię chronić. Będę chronić was oboje.

Sam zlekceważył jej nieugiętość, a potem się na nią wściekł.

- Gdybyś mnie kochała...

- Gdybyś ty mnie kochał - odparowała - dodałbyś mi otuchy. - Jej głos drżał z emocji. - Powiedziałbyś: „Kocham cię, Marcie”, tak jak mówiłeś, gdy wchodziłeś w mój tyłek.

Sam poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

- Chciałaś tego...

- Zrobiłam to dla ciebie. - Nagle każde jej słowo było pełne pogardy. - Bo myślałam, że jestem kimś wyjątkowym i że jesteś mężczyzną. Ale zachowujesz się jak każdy samolubny nastolatek, a teraz martwi cię tylko to, że wszyscy dowiedzą się o tobie...

Uderzył ją w twarz.

Odgłos uderzenia zaszokował go. Głowa Marcie odskoczyła do tyłu. Wstrząśnięty Sam patrzył na nią.

„Sam usłyszał, jak jęknęła z przestachu. Po chwili w świetle księżycy zobaczył jej bladą twarz i rozszerzone oczy...”

Marcie patrzyła tak, jakby przejrzała go na wylot. Potem przysunęła się do drzwi i otworzyła je jednym ruchem. Rzuciła drżącym głosem:

- Nie zbliżaj się do mnie. Nigdy...

Nagle zniknęła i zaczęła uciekać w mrok nocy.

Sam pobiegł za nią.

Noc była chłodna. W słabym blasku księżycy, który przebijał się przez chmury, Sam zobaczył, że Marcie Calder biegnie w stronę domu Alison.

„Los zadecyduje za nich, postanowił nagle...”

Gdyby tego nie zrobiła, może pozwoliliby jej odejść. Ale nie mogli się dowiedzieć, kim jest ojciec.

Sam biegł szybciej, a strach, złość i alkohol przetaczały się przez jego głowę.

Jej kroki stukały cicho w trawie. Widział, jak wyciąga krok i osiąga prędkość, tak jak ją szkolił.

Pierś zaczęła mu falować.

Była już bliżej - jego i Taylorów...

- Marcie - zawołał.

Obróciła się, potknęła i upadła. Przetoczyła się na plecy i spojrzała w górę. Przerazona i blada, patrzyła, jak się zbliżał. Sam zwolnił kroku.

- Marcie - powiedział cicho.

- Pieprz się - odpowiedziała spiętym, przestraszonym i wściekłym głosem. - Nie interesuje mnie, co się teraz z tobą stanie. To dziecko jest ważniejsze...

„Nie - powiedziała i odwróciła twarz. - Nie chcę cię...”

U jej stóp leżał kamień, o który się potknęła.

Sam szarpnął ją i podniósł, a drugą ręką chwycił kamień.

„Nie ruszaj się. Ani słowa - wyszeptał...”

Marcie wiała się pod jego pachą.

- Jesteś szalony... - zaczęła, ale zakrył jej usta dłonią.

„Czuł puls na szyi Alison, słyszał, jak się dławi...”

W spazmie wściekłości i strachu Sam uderzył ją kamieniem w głowę.

Jego przedramię zadrżało. Otworzyła oczy. Leżąc bezwładnie w jego ramionach, drżała i szarpała się.

Następne dwa ciosy miały ją uspokoić. Dopiero po ostatnim poczuł, że ma krew na twarzy. Była delikatna jak mgiełka.

Sam stał na otwartym terenie i patrzył na ciemną przestrzeń parku Taylorów. Wciąż trzymał Marcie w ramionach. Przerazoni i osłupiali, nie mogli się ruszyć.

„Alison...”

„Głos Tony’ego dobiegł go jak we śnie. Odwrócił się, ale nie wiedział, dokąd uciekać. Noc była jak bagno...”

Sam obrócił się w stronę jeziora.

W blasku księżyca czarne jak smoła jezioro stykało się z zachmurzonym niebem. Szumiało cicho.

Ciało Marcie poruszyło się.

Wciąż wstrząśnięty, zawlókł ją w stronę jeziora, nie przestając ścisnąć w garści kamienia.

Park był ogromny i cichy. W każdej chwili wjeżdżający na parking samochód mógł pochwycić go w światła reflektorów. Sam był mokry od potu; zdawało mu się, że jego urywane sapanie dobiega z daleka, jakby wydawał je ktoś inny.

Marcie już się nie poruszyła.

Jej ciało było niewygodne, ciężkie. Sam przerzucił ją sobie przez biodro i niósł, trzymając pod lewym ramieniem. Ręka dziewczyny opadła ku trawie, zdawała się lśnić w świetle księżyca.

Tam, gdzie kończyła się trawa, było splachetko błota, a za nim urwisko. Sam pociągnął Marcie ostatni metr czy dwa. Spoglądając na ścielącą się poniżej mroczną plażę, poczuł, że ma kamień w prawej ręce. Dłoń bolała go, gdy zaciskał na nim palce.

Odrzucił kamień najdalej, jak potrafił. Upadł bezgłośnie.

Włożył ręce pod pachy Marcie i podniósł ją nad urwiskiem. Patrzył na jej twarz, na oblicze, na którym zastygło przerażenie. Zamknął oczy, przysunął powoli policzek do jej ust i nasłuchiwał, czy oddycha. Nic nie usłyszał i nie poczuł ciepła na swojej skórze.

Spojrzał na nią raz jeszcze wilgotnymi oczami, jakby chciał się upewnić. Potem rzucił ją w ciemność. Gdy zniknęła mu z oczu, usłyszał, jak zsuwa się po zboczu - była już ofiarą upadku.

Zupełnie jakby był w transie, podszedł do altanki z drzew.

Klęknął przy samochodzie i wytarł o trawę zakrwawioną rękę. Potem zdjął dres, przewrócił go na lewą stronę i włożył z powrotem. Kiedy wszedł do samochodu, poczuł się dziwnie bez Marcie u swego boku.

Wiedział, że nie może pojechać do domu.

Wyjechał spośród drzew, nie włączając świateł i szukając wzrokiem innych samochodów albo włączonych takich jak Donald White. Gdy samochód sunął przez pole, Sam czuł mrowienie. Dopiero kiedy wyjechał na asfalt, włączył reflektory.

Skręcił i skierował się w stronę wlotu do parku.

Nagle oślepiły go światła reflektorów. Zmrużył oczy i zwolnił. Gdy sedan podjechał, Sam zobaczył koguta na dachu radiowozu patrolującej park policji z Lake City.

Wstrzymał oddech.

Jechał powoli, mocno zaciskając palce na kierownicy. Wóz patrolowy też zwolnił, jakby policjanci chcieli odnotować markę jego samochodu, numer rejestracyjny, a nawet twarz...

Samochód policyjny przejechał pół metra od niego. Sam odetchnął głęboko i aż się wzdrygnął,

obserwując w tylnym lusterku znikające czerwone światła. Potem oprzytomniał.

Nim ktokolwiek go zobaczy, musi na powrót stać się Samem Robbem.

Parking dla nauczycieli był pusty. Sam zatrzymał się tam i spojrział na zegarek. Była 10.26. Rodzice Marcie już na nią czekają, Sue czeka na niego.

Wysiadł pospiesznie i zbliżył się do bocznych drzwi sali gimnastycznej. Włożył klucz, zawahał się, w końcu jednak wszedł do środka.

W wielkiej hali było ciemno. Klepki parkietu skrzypiały pod jego stopami. Obręcze do koszykówki i drewniane trybuny wyglądały jak cienie. Gdzieś na ścianie ponad nim wisiał transparent z nazwiskami wszystkich zdobywców tytułu sportowca roku.

Spod kosza Sam poszedł do szatni. Czuł się dziwnie, bo było tu tak ciemno, tak cicho...

W szatni, tak jak i na sali, panował mrok. Idąc po omacku do umywarek i luster, włączył światło. W lustrze zobaczył mężczyznę z obwisłymi policzkami i przyprószonymi siwizną skroniami. Na twarzy i we włosach miał krew.

„Dotoczył się do łazienki i zwymiotował do sedesu. Gdy wstrząsały nim torsje, trzymał się tylko jednej pewnej rzeczy...”

Jego torsje słychać było w całej szatni. Błady Sam zmył krew i wymiociny z twarzy. Ręce mu drżały: ten mężczyzna, ten obcy, to nie może być on.

Woźni powinni już pracować w szkole, może go usłyszeli. Może któryś tu przyjdzie, żeby się odlać.

Poszedł szybko pod prysznic. Zdjął ubranie i buty i zmył krew z włosów.

Miał w szafce drugi dres i nowe sportowe buty. Usiadł na ławce i ubrał się zgrabiałymi rękami.

„Tony zszedł z ławki, nim zaczęli bić mu brawo, i zaczął obejmować tych, którzy stali najbliżej. Kiedy jednak dotarł do Sama, spytał tylko:

«Gdzie chowają się nasze dziewczyny?»»

Sam wytarł w panice ręcznikiem włosy, włożył zakrwawione buty, przepocony dres i ręcznik do swojej sportowej torby i poszedł na drugi koniec szatni, żeby wyłączyć światło. Trzymając torbę w jednej ręce, otworzył drzwi do sali gimnastycznej. Zaskrzypiały.

Zmrużył oczy, bo paliło się więcej światła.

Szef woźnych, Mike Griggs, zmywał szmatą podłogę. Z bijącym sercem Sam zamknął drzwi. Szczęknęły głośno.

Sam z przerażeniem uciekł w mrok.

„Uśmiechając się lekko, Sam zakręcił piłką na palcu, jakby to był globus, i obserwował ją w ogromnym skupieniu.

«Na parkingu» - powiedział i odrzucił piłkę Tony'emu...”

Sam podbiegł do drugich drzwi. Otworzył je szarpnięciem i poczuł na twarzy nocne powietrze.

Publiczny parking znajdował się za boiskiem futbolowym. Było tam ciemno - z trudem dostrzegał bramki. Pobiegnął na oślep w stronę parkingu.

Gdy już do niego dotarł, zwolnił i zaczął szukać czegoś w pamięci.

Studzienka kanału burzowego znajdowała się w rogu, przypomniał sobie nagle. Gdy Tony zostawił go wtedy na pomoście, przyjechał tu, usiadł przy bramce i pił, a potem wrzucił pustą butelkę do studzienki.

Pochylił się i wepchnął wszystko między metalowe pręty: ubranie, buty, ręcznik, samą torbę. Zaczynało mżyć; słyszał, jak woda płynie pod nim w rurach.

Już wytrzeźwiał.

Pobiegnął przez boisko, dopadł do samochodu i odjechał. Była 10.55.

Opanował się i zatrzymał przy budce telefonicznej, żeby zadzwonić do Sue. Kiedy nie odebrała, poczuł i niepokój, i ulgę. Cztery minuty, które dzieliły go od domu, wydawały się wiecznością.

„W jego domu panowała cisza, zalegała ciemność. Wszedł po schodach do pokoju obok pokoju rodziców i wdrapał się w ubraniu do swego łóżka. Noc była surrealistyczna jak sen...”

Otworzył drzwi do sypialni.

Sue leżała w łóżku, piłując paznokcie i słuchając jednym uchem wiadomości o jedenastej.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić - powiedział.

Spojrzała na niego bez zainteresowania.

- Musiałam być pod prysznicem - odparła, po czym zmarszczyła brwi. - Złamałam następny paznokieć... moje dłonie wyglądają, jakby należały do praczki.

Z jakiegoś powodu Sam chciał ją za to pocałować. Powstrzymał się jednak, nie wiedząc, jakie zachowanie może się wydać dziwne albo zasugerować skruchę. Przebrał się w bokserki i położył do łóżka.

- Jestem zmęczony - oznajmił, zadowolony, że była to prawda.

Sue niczego nie zauważyła.

A teraz spała. Sam leżał obok niej w ciemnościach, rozdarty między przerażeniem a niedowierzaniem. Wciąż widział mężczyznę w samochodzie, mężczyznę pochwyconego w strumień światła reflektorów. Mężczyznę, który nie mógł być nim.

Zamknął oczy i słuchał oddechu Sue, jakby to był jego własny.

Jutro znowu będzie sobą.

W takim razie może powinien pójść na policję: kiedy Sam był sobą, ludzie zawsze mu wierzyli. Nawet Tony.



## SZEŚĆ

Po drugiej stronie sypialni Tony widział człowieka, który zgwałcił i udusił Alison Taylor, który zmienił bieg jego życia, a potem -po tylu latach - wykorzystał go, by uniknąć konsekwencji zamordowania Marcie Calder.

Adwokat mówił cicho.

- Jak stwierdziłeś, to bez znaczenia. Ja powiedziałbym ci, gdybym zabił Alison.

Palce Sama wciąż przeszukiwały szufladę.

- Ty tak, Tony. Ale ja nigdy nie mogłem powiedzieć tobie...

- Czy mógłbym w takim razie zamordować Sue? Czy to według ciebie byłoby w porządku?

Sam się opanował.

- Spałeś z nią, potem mnie okłamałeś, a ja ci wybaczyłem. Myślisz, że nie wiedziałem, co się stało tamtej nocy, i że nie czułem, jak się zmieniała, gdy jej dotykałem? Dostawałem przez to szału, ale dałem spokój. Dla dobra nas obu.

Tony poczuł, jak znowu powoli ogarnia go wściekłość.

- Pewnie w ten sposób wyrównaliśmy rachunki, co? Dlatego mogłem spokojnie cię wyciągać, kiedy zabiłeś drugą dziewczynę. Zwłaszcza gdybym znowu przespał się z Sue. - Głos mu zadrżał. - Co było w tym najlepsze, Sam? Pytanie, czy „rznąłem” Sue? Czy manipulowanie twoim sprytnym przyjacielem Tonym, który był tak zaślepiiony oskarżeniem go o zamordowanie Alison, że wszystkie wątpliwości rozstrzygał na twoją korzyść?

Sam zbladł.

- W twoich ustach to brzmi jak gra...

- Alison, Sue, ten proces. ..to wszystko było grą, w którą graliśmy, prawda? Z tym, że tylko ty znałeś zasady. - Tony zamilkł i podszedł bliżej. - Musiało być zabawnie wezwać mnie tu z powrotem. Na jeszcze jedną rundę.

Sam z wolna pokręcił głową.

- To był pomysł Sue, nie mój. Ja nie chciałem, żeby to wszystko się stało. Czasami wydawało mi się, że tak naprawdę to się w ogóle nie zdarzyło. - Głos uwiązł mu na chwilę w gardle. - Rywalizowałem z tobą, to prawda. Ale ty byłeś częścią mnie. Czasami, nawet teraz, byłeś ważniejszy

niż ktokolwiek inny. - Sam wykrzywił twarz w bólu. - Nie było mi łatwo ci o tym powiedzieć, mój drogi. Kiedy nikt o tym nie wiedział, to nie było rzeczywiste. Teraz patrzę na ciebie i wiem, że to jest rzeczywiste. Jest, bo ty wiesz.

Nastąpiło pełne napięcia milczenie, w którym Tony zapomniał o wszystkim oprócz mężczyzny, który stał teraz przed nim, i tego, co mężczyzna ów zrobił Alison.

- Teraz już nie chodzi tylko o nas dwóch, Sam. Jeśli Stella przeczyta raport, zobaczy to samo co ja. - Głos miał napięty ze złości. - Na jej miejscu, oskarżyłbym cię o oba morderstwa w jednym procesie. To trochę utrudniłoby ci oskarżanie Erniego.

Oczy Sama zaszły mgiełką. Tony patrzył z dziką przyjemnością, jak zaczyna rozumieć, że jest skończony. Powiedział w zamyśleniu:

- Jesteś moim adwokatem, Tony...

- Chodzi ci o to, że istnieją zasady? - przerwał mu prawnik. - Że nie mogę ci tego zrobić? Że to nie jest w porządku? Więc pozwól, że ci wyjaśnię, jakie zasady będą obowiązywały co do Alison.

Znalazłem ją uduszoną. To sprawia, że jestem świadkiem, Sam. Jak również podejrzanym. - Wiedziony wściekłością, Tony raz jeszcze postąpił naprzód. - Ale nawet gdybym nim nie był, nic nie powstrzymałoby mnie, by nie poprosić Stelli o te testy. A wiesz, jaka ona jest bystra.

W oczach Sama także błysnęła złość. Nagle Tony dostrzegł poniżenie i poczucie zdrady, które mogły przywieść Sama Robba do morderstwa.

- Nie pozwolę, żebyś mnie wyjebał, Tony.

Ten starał się zapanować nad sobą.

- Jesteś podwójnym mordercą - powiedział cicho. - I wciąż twierdzisz, że nie jesteś taki. To się musi skończyć.

Sam włożył rękę do szuflady. Adwokat poczuł, że zaschło mu w gardle.

- Już za późno, Sam...

Ten bez słowa wyciągnął czarny rewolwer.

Broń, wymierzona w jego pierś, podziałała na Tony'ego jak zimny prysznic. Pomyślał o Christopherze, o Stacey. Choć Sam spurpurowiał, jego wzrok był zimny i spokojny, jakby równowaga między nimi została odbudowana.

Wtedy Tony zobaczył ich obu w lustrze.

- Popatrz na nas - powiedział drżącym głosem i wskazał skinieniem głowy zwierciadło. - Naprawdę możesz to zrobić, Sam?

Sam spojrział na odbicie: dwóch mężczyzn, z których jeden stoi z rewolwerem w dłoni, a drugi -

być może - zaraz umrze. Ręka lekko mu zadrżała.

- Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie, Tony. Byłeś moim przyjacielem.

Tony patrzył na rewolwer.

- Gdybyś był „przyjacielem”, którym ja byłem dwukrotnie, to czy dałbyś spokój? Czy zaryzykowałbyś, że umrze trzecia dziewczyna, wziąłbyś sobie na sumienie trzecią parę rodziców? - Tony nie mógł ukryć goryczy. - To znaczy, gdybyś był mną?

Sam spojrzał mu w oczy i zapytał cicho:

- A co, gdybyś ty był mną?

Tony wziął oddech.

- Wiedziałbym, że gra jest skończona. Że Sue się dowie, że miasto się dowie, że wszyscy się dowiedzą. Że jeśli zabijesz mnie z zimną krwią, to s a m się dowiesz. I dowiesz się, że moja żona i syn będą cierpieć tak samo jak Taylorowie i Calderowie. - Tony znowu mówił spokojnie. - Czy ty jesteś taki, Sam? Czy chcesz, żebym to wiedział, kiedy będę umierał?

Z wilgotnymi oczami Sam zrobił dwa kroki naprzód.

- Nie mogę pozwolić, żebyś mnie wydał, Tony.

Dzielił ich najwyżej metr. Tony przygotował się w napięciu, by rzucić się na broń Sama.

- A co z Sue? - zapytał. - Czy chcesz, żeby ona o tym wiedziała?

Na twarzy Sama pojawiło się cierpienie.

- Nie mów o Sue - odrzekł. - Nie używaj jej więcej przeciwko mnie.

Tony przełknął ślinę.

- No, to musisz podjąć decyzję.

Kiedy Sam podniósł rewolwer i delikatnie dotknął nim czoła Tony'ego, ten się jednak zdziwił. Nie mógł się poruszyć.

- Jezu, Sam. Jezu...

Sam powoli skinął głową, łzy płynęły mu po policzkach.

- To musi być jeden z nas, Tony.

Czując broń na swoim czole, Tony spojrzał w oczy przyjacielowi; oczy Sama były tak rozpalone, jak wtedy, w ciągu pierwszych kilku sekund na końcu boiska, kiedy odnieśli swój największy wspólny triumf, być może w ogóle największy w życiu Sama. Tony patrzył na niego - zbyt się bał, żeby

przemówić.

- Nie pozwolę ci wygrać - powiedział cicho Sam. - Wiesz, jak to jest.

Sam cofnął się z rewolwerem wymierzonym w Tony'ego i oczami utkwionymi w oczach przyjaciela.

- Żegnaj, mój drogi... - powiedział Sam.

Głos Tony'ego zadrżał:

- Sam...

Uśmiechając się lekko, Sam przyłożył broń do swojej skroni.

- Przegrałeś - powiedział i pociągnął za spust.

Tony skulił się w sobie.

Kawałek mózgu odpadł z boku jego głowy. Potem Sam wygiął się i upadł na kolana, wciąż patrząc na Tony'ego. Trwał tak przez chwilę, oczy mu się zaszklily, nic już nie widział. Ręce miał opuszczone po bokach. Rewolwer upadł na podłogę. Później Sam przewrócił się na bok i znieruchomiał.

Sparaliżowany Tony patrzył na leżącego mężczyznę, prawie bez świadomości. Nie potrafił przyjąć tego, co się stało, tego, na co teraz patrzył.

Za nim otworzyły się drzwi.

Sue krzyknęła. To obudziło Tony'ego. Odwrócił się do niej, a potem, porażeni, spojrzeli na Sama.

Kula nie zmieniła wyrazu jego twarzy. Spoczywał na boku i wciąż się uśmiechał, zupełnie jakby zasnął. Tony'emu przysła do głowy dziwna myśl: patrzyli tak kiedyś na niego, gdy leżał w hamaku w noc ich balu maturalnego.

„Spójrz na niego - rzekł cicho Tony. - Pewnie umrze kiedyś we śnie...”

Gdy Sue znowu na niego spojrzała, po jej twarzy płynęły łzy. Tony zastanawiał się, czy też o tym pomyślała.

Objął ją. Przekonał się, że oboje płaczą: nad Samem, tego był pewien; nad Alison; nad Marcie Calder i nad wszystkimi odmienionymi na zawsze wspomnieniami, które każde z nich będzie musiało zabrać ze sobą.

W końcu Tony pociągnął ją za rękę i wyprowadził delikatnie z sypialni. Sue obejrzała się na mężczyznę, który leżał na podłodze: na swojego męża, przyjaciela Tony'ego i mordercę dwóch nastolatków.

## SIEDEM

Tony został jeszcze, żeby pomóc Sue.

W przeddzień pogrzebu wygłosił oświadczenie w sali pełnej dziennikarzy, fotoreporterów i kamer telewizyjnych.

Mówił najpierw o Sue i jej dzieciach. Opowiedział o ich przerażeniu tym, czego się dowiedzieli, o ich głębokim współczuciu dla rodzin ofiar Sama oraz ich życzeniu opłakiwania go w samotności. Opisał też krótko śmierć Sama. Poinformował wszystkich, że Sam przyznał, iż zabił Alison Taylor i Marcie Calder, że dręczyło go poczucie winy i wstyd oraz że - zżerany przez wyrzuty sumienia - odebrał sobie życie. Nie wspominał natomiast o raporcie z sekcji zwłok ani o swojej roli w konfrontacji ze zmarłym.

W końcu powiedział też kilka słów o sobie. Przysięgli mieli rację, stwierdził. Na podstawie dowodów nie powinni skazać Sama, bo tylko Sam Robb znał prawdę i dopiero on sam w końcu ją zdradził. Tony'emu pozostało tylko przeprosić Erniego Nixona.

- Rzuciłem potwarz na niewinnego człowieka bez autentycznego przekonania, że Ernie Nixon jest zdolny do morderstwa - powiedział. - Pan Nixon nie zrobił niczego złego. To ja zrobiłem coś złego. Marcie Calder była ofiarą Sama Robba, a Ernie Nixon moją. Wszyscy w Lake City powinni o tym wiedzieć.

Tony wyszedł bez rundy pytań, nie poruszył też kwestii natury swojego związku z Alison Taylor. Wszystko, co miał jeszcze do powiedzenia, powie prywatnie.

Sue i jej dzieci pochowali Sama bez rozgłosu. Tony'ego przy tym nie było.

Gdy Sama składano do grobu, Tony kończył spowiedź, którą rozpoczął przed dwudziestoma ośmioma laty. Słuchał go ksiądz o miłym głosie; Tony widział w konfesjonale tylko jego cień.

Kiedy miał siedemnaście lat, mówił, kochał się z Alison Taylor. Nie uważał tego za grzech, ale to zaowocowało innymi grzechami. Być może, stwierdził, źle zrozumiał lekcje, które otrzymał. Porzucił bowiem wiarę, żeby uczynić swoją religią prawo, a następnie, widząc własną arogancję i głupotę, porzucił i to.

Może zgrzeszył wobec Erniego Nixona albo Jenny Travis. Bardziej prawdopodobne, że wobec Sue, którą wciąż kocha. Ale też stawiał czoło Samowi z pychy i - czego był całkiem pewny - z żądzy zemsty.

- Dlaczego pan tak mówi? - zapytał ksiądz.

- Okłamałem go - odpowiedział po prostu Tony, a potem wszystko wytłumaczył.

Gdy skończył, ksiądz milczał przez chwilę, a potem wyznaczył pokutę.

Dla dobra swojej duszy Tony chętnie ją odmówił. Później, wciąż klęcząc w kościele Świętego Rafała, pomodlił się za dusze Alison Taylor, Marcie Calder i na końcu za duszę Sama.

Zastał Erniego Nixona przed jego garażem. Mężczyzna ładował paczki. Schylony nad jedną z nich, Ernie podniósł wzrok na Tony'ego. Patrzył na niego chłodno.

- Tak - powiedział cicho. - Spodziewałem się, że przyjdiesz.

Tony włożył ręce do kieszeni.

- Co robisz?

Ernie popatrzył na niego przez chwilę.

- Wyjeżdżam - odparł. - Tak jak ty...

Adwokata ogarnęło poczucie beznadziei.

- Słuchaj, wiem, że nie ja powinienem to mówić, ale może powinieneś to przetrzymać.

Ernie podniósł się i założył ręce na piersiach.

- Tak, masz rację. Nie ty powinieneś to mówić. - Urwał i spochmurniał. - Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz. Ale ja muszę z tym żyć, to i ty możesz.

Przez chwilę Tony nie odpowiadał.

- Niczego od ciebie nie chcę. Pomyślałem tylko, że powinienem przeprosić cię osobiście. Tak jak robiłem wszystko inne, dotykając cię osobiście.

- A teraz odprawiasz drogę krzyżową - powiedział obojętnym tonem Ernie. - Po prostu nie możesz przestać być bohaterem, co? Mimo wszystko.

Tony poczuł złość.

- Masz rację - rzekł. - Taki już jestem. Ale, do diabła, zastanawiałem się, co ty zamierzasz zrobić. Oprócz ucieczki.

Ernie popatrzył na niego.

- Spróbuję odzyskać Dee - powiedział po chwili. - Ona chce rozmawiać, a ja zacznę od tego, że powiem jej, iż miała rację co do mnie. Ale nic więcej, Tony. Więc może powinienem ci za to podziękować. - Umilkł i dokończył przyjaźniej: - Stella Marz mówi, że jest jeszcze coś, za co

powiniennem ci podziękować. Tyle że trudno to ubrać w słowa.

- To nic - powiedział Tony. - Mnie to nie przeszkadza. Ale tak czy owak, powodzenia.

Gdy Tony odszedł, Ernie bez słowa wrócił do ładowania paczek.

Zbliżała się piąta, kiedy wszedł na cmentarz. Popołudniowe słońce padało łagodnie na nagrobek Alison.

Tony przypuszczał, że przyszedł się z nią pożegnać. I uczynił to ze smutkiem.

Z jakiegoś powodu był pewien, że koszmar już nie powróci. Natomiast nigdy nie opuści go coś głębszego i pewniejszego: smutek i zrozumienie.

Zgodnie z poleceniem Sue, Sama nie pochowano w tym miejscu: Taylorowie znieśli już wystarczająco wiele.

Na mniejszym cmentarzu w pobliżu parku Taylorów Tony odnalazł jego tabliczkę: „Samuel James Robb. Mąż Sue, ojciec Samuela i Jennifer”, informował prosty napis.

Sportowiec roku. Zabójca Alison i Marcie, pomyślał Tony.

Nowy nagrobek został już zbezczeszczonej: ktoś, pewnie nastolatek, wymazał go czerwoną jak krew farbą.

- Obaj przegraliśmy - powiedział Tony do swego przyjaciela.

Tony stał długo na werandzie przed domem Taylorów. Już miał odejść, kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i wychynęła zza nich pobrużdżona, zniszczona przez czas i tragedię twarz Johna Taylora.

Na chwilę w oczach ojca Alison coś zabłysło, jakaś ostatnia iskra witalności.

- Czego chcesz? - spytał.

Tony poczuł ucisk w piersi. Podejrzewał, że przy tym człowieku nigdy nie będzie się czuł inaczej.

- Nie jestem pewien. Może, żebyśmy się trochę zrozumieli, jeśli to możliwe. To, co się stało, dotyczyło nas obu. - Tony umilkł na chwilę. - Teraz przynajmniej wiemy, co to było.

Oczy Johna Taylora zwęziły się.

- Dotyczyło nas obu, powiadasz? - Szczeka mu się poruszyła i dodał szorstko: - Wyciągnąłeś go z tego, Anthony Lordzie. Gdyby nie ten dziwny atak wyrzutów sumienia, jeśli tak właśnie było, Sam Robb mógłby znowu zabić. Co byś wtedy powiedział? I kto chciałby cię słuchać?

John Taylor nie wiedział, co zrobił Tony. Ale Tony zrozumiał nagle, co zrobił John Taylor: nienawiść do niego nadała sens jego życiu i nie chciał tego zmieniać.

- Kiedy umarła Alison - powiedział po chwili adwokat - prosił mnie pan o odpowiedź. Teraz ją pan zna i może mnie pan nienawidzić za wszystko, co naprawdę zrobiłem. Ale, z całym szacunkiem, to straszna strata czasu.

John Taylor milczał, jego twarz była nieprzenikniona. Tony pożegnał się i zostawił go z jego goryczą.

Przy samochodzie zatrzymał się na chwilę i popatrzył na rzędy drzew w parku Taylorów.

Przez prawie trzydzieści lat Sam Robb kierował życiem Taylorów tak, jak w pewnym sensie kierował życiem Tony'ego. Jakakolwiek ona będzie, wiedział o swojej przyszłości jedno: że Sam nie będzie już jej wyznaczał. Tego właśnie nauczył go John Taylor.

Owego wieczoru Sue postanowiła być z dziećmi. Tony zjadł ostatnią kolację z Saulem.

Poszli do restauracji. Ponieważ Saul nalegał, na cześć starych czasów, Tony zamówił pół główki sałaty z żelatynowym francuskim sosem.

Zadowolony, że jest w towarzystwie przyjaciela, siedział w milczeniu. Wreszcie Saul się odezwał:

- Myślisz, żeby odejść z zawodu, prawda?

Patrząc Saulowi w oczy - temu mężczyźnie, który tak dziwnie łączył w sobie osobowości księdza i cynika - Tony zdziwił się, jak stary prawnik dobrze go zna.

- Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, żebym miał to robić znowu - odpowiedział. - Tu potrzebny jest ten bezwzględny obiektywizm, to cholerne skupianie się na jednej stronie. Nie wiem, czy to jeszcze potrafię. I czy chcę.

Saul skinął głową.

- Ciężkie czasy, mój chłopcze. - Umilkł na chwilę i pociągnął łyk czerwonego wina. - Oczywiście, Sam mógł być niewinny, tak jak ty. To, że nie był, niczego nie zmienia.

Tony pokręcił przecząco głową.

- Nie zmienia też tego, co zrobił z Alison i z Marcie, a mógł zrobić znowu. Ani tego, że ja to umożliwiłem. - Przerwał na chwilę. - Pamiętasz tę historię, którą mi opowiedziałeś? O tym facecie, który znęcał się nad dziećmi, a którego ty wyciągnąłeś... o tym, który używał pogrzebaczy? Sam mógł być moim.

Ravin wyprostował się, założył ręce na brzuchu i przyjrzał się Tony'emu, który siedział po drugiej stronie stołu.



- Jak go do tego doprowadziłeś, Tony? Jak doprowadziłeś go do tego, że się zabił?

Tony uśmiechnął się nieznacznie, choć wcale nie było mu lekko na sercu.

- Już się wyspowiadałem. Po co przedłużać i tak długi dzień, kiedy chcę tylko przyjemności spędzania z tobą czasu.

- No cóż, jestem pewien, że Temida też by ci wybaczyła - rzekł Saul. - Cokolwiek to było. - Pochylił się i dotknął ręki Tony'ego. - Jesteś dobrym człowiekiem i dobrym prawnikiem. W końcu sporo w ciebie zainwestowałem.

Tony znowu się uśmiechnął.

- A co ty zamierzasz zrobić, Saul?

- Nie wiem. Może podejmę się następnej sprawy. Zainspirowałeś mnie. - Oczy starego adwokata były teraz poważne, a głos łagodny. - Pamiętaj też, żeby twoje życie nie zeszło na tym. Miej to życie. A kiedy będzie czas rzucić pracę, rzuć ją.

Tony o tym wiedział i był przekonany, iż Saul wie, że on wie. Ale to była ostatnia okazja, kiedy Saul mógł się z nim czymś podzielić.

- Będzie mi ciebie brakować, Saul.

- Mnie ciebie też. - Nagle Ravin spojrział na światła i cienie zarysów Steelton. - Ale jeśli kiedyś tu wrócisz, Tony, to naprawdę będzie twoja wina.

## OSIEM

Ani Sue, ani Tony nie chcieli się żegnać w domu, w którym zginął Sam. Dlatego w rześki jesienny poranek spotkali się na końcu pomostu w Lake City.

Siedzieli blisko siebie i machali nogami nad wodą. Sue oparła mu głowę na ramieniu.

- Tu żegnaliśmy się ostatnim razem, pamiętasz?

- Pewnie. Pamiętam. - Nagle Tony poczuł, że upływ czasu był boleśnie smutny. - Nigdy sobie tego nie wyobrażałem, Sue. Żadnej z tych rzeczy.

Sue milczała przez chwilę.

- A ja powinnam - odparła. - Były rzeczy, których nie chciałam wiedzieć.

Tony wziął ją za rękę.

- Nikt z nas nie chciał. Ale niektórych nie mogliśmy wiedzieć. Tak więc obojgu nam zależało na Samie, mimo że oznaczało to, iż nie znaleźmy go w pełni.

Spuściła wzrok.

- Na swój dziwny sposób, Tony, on kochał cię bardziej niż ktokolwiek inny. Zawsze to wiedziałam. Ale tak to się skończyło...

- Bo tak się musiało skończyć. - Tony umilkł. - W przeciwnym razie spędziłby resztę życia ze świadomością tego, kim jest.

Ani przez chwilę nie myślałem, że mnie zabije, Sue. Z wyjątkiem ostatnich kilku sekund.

Obróciła się ku Tony'emu i przypatrzyła mu się uważnie.

- Myślałeś, że się zabije, prawda?

Przyglądając się jej twarzy, tak mu znowu drogiej, Tony zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu wybrał prawdę.

- Nie zostawiłem mu innego wyjścia, Sue. Mógł albo mnie zastrzelić, albo pozwolić, żebym go wydał. Sam wybrał to, czego się spodziewałem.

Sue dotknęła jego policzka. Zapytała cicho:

- To dlatego nie poszedłeś do Stelli Marz?

Tony wziął oddech.

- Chciałem spokoju dla ciebie i sprawiedliwości dla Alison. Zdobyłem to w jedyny możliwy sposób.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzał jej w oczy.

- Gdyby Stella nie mogła oskarżyć Sama o zamordowanie Alison, nie zostałby skazany za zabicie Marcie Calder. Bo ja nigdy nie mógłbym składać zeznań, a dowodów wciąż nie było.

Koniuszki palców Sue zamarły na jego twarzy.

- Ale Alison...

Tony delikatnie zdjął jej rękę. Nie odwrócił wzroku.

- Stella nie mogłaby oskarżyć Sama o zamordowanie Alison. Gdzieś w ciągu tych dwudziestu ośmiu lat, przekładając stare papiery z miejsca na miejsce, zgubiono próbki z nasieniem. Stella wątpi, by kiedykolwiek je odnaleźli - dokończył cicho Tony. - Co każdy adwokat powiedziałby swojemu klientowi.

Sue patrzyła na niego, a znaczenie jego słów nie bardzo do niej docierało.

- Mój Boże...

- Tak więc mimo wszystko chyba jednak „wygrałem”, Sue. Ale Sama już nie ma, żeby to zanotować.

Odwróciła się od niego i nie ruszała się przez chwilę. Potem wstała i popatrzyła na wodę.

Tony stanął za nią i powiedział cicho:

- Przez ostatnie trzy dni powtarzam sobie, że lepiej ci będzie bez niego. Tylko z tą wymówką mogę żyć.

Sue nawet nie drgnęła.

- Nie ty powinienes o tym decydować.

Tony z bólem poczuł, że to prawda. W milczeniu odszedł na środek pomostu.

Przypomniał sobie, że to właśnie tu Sam powiedział, iż to bez znaczenia, czy Tony jest mordercą. Nie pocieszyło go to wtedy, nie pocieszyło i teraz - gdy był już mordercą.

Usłyszał za sobą kroki Sue.

Uświadomił sobie, że boi się odwrócić. Wtedy poczuł jej rękę na swojej talii, a twarz na plecach.

- Wybaczyłaś mi? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała niskim, drżącym głosem. - A ty mi?

- Boże, tak. - Odwrócił się do niej i długo tulił ją w milczeniu. Wreszcie spojrział na nią.

Odwzajemniła spojrzenie spokojnymi, nie zapłakanymi oczami. - Zostaniesz tutaj? - zapytał.

- Na razie tak. Dzieci mają swoje życie. Sprzedam dom, zacznę pracować i zobaczę, jak będzie. To wciąż jest mój dom i mam tu przyjaciół. Nawet teraz jest w tym jakaś pociecha. - Pierwszy raz uśmiechnęła się nieznacznie. - Jeśli wygram na loterii, to może zacznę podróżować. Pojadę na Capri.

Jej zdecydowanie, to, że nie użalała się nad sobą, wzruszyło go aż do bólu.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

Sue potrząsnęła głową.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł. Dla żadnego z nas. - Zawahała się, jej uśmiech zniknął. - Zawsze będę cię kochać, Tony. Wiem, że to dziwna pora, by to mówić, ale dla nas nigdy nie było dobrej pory, prawda?

Tony dotknął jej twarzy.

- Może po prostu o tym nie wiemy, Sue. Może w jakimś innym życiu, gdzie to wszystko się nie zdarzyło, Alison ma czterdzieści pięć lat, dwoje dzieci i męża, którego uwielbiają jej rodzice. A ty i ja jesteśmy małżeństwem.

Pocałowała go delikatnie. Potem odsunęła się i spojrzała na niego wilgotnymi oczami.

- Czyż to nie byłoby piękne? - powiedziała.

Poleciał do San Francisco pod przybranym nazwiskiem, żeby uniknąć spotkania z dziennikarzami. Kiedy wylądował, było lepiej, niż przypuszczał - czekali na niego Stacey i jego syn.

Christopher ociągał się, więc to Stacey podeszła i ignorując spojrzenia widzów, pocałowała go.

- Pomyślałam, że zjawię się osobiście. Na wypadek gdybyś mnie zapomniał - powiedziała.

Tony uśmiechnął się.

- To niemożliwe.

W drodze do domu milczała, zamyślona. Kiedy dojechali, dała mu trochę czasu dla Christophera.

Tony'emu zdawało się, że jego syn wydorósł. Początkowa radość z powrotu ojca ustąpiła miejsca

ostrożnej ciekawości i trosce o to, przez co musiał przejść. Tony myślał, że podjął tak wielkie ryzyko, iż nie może go sobie teraz wybaczyć.

Siedzieli razem w salonie.

- Co się stało? - zapytał Christopher.

Najdokładniej, jak potrafił, Tony opowiedział swojemu synowi historię o tym, jak miał siedemnaście lat, i po raz pierwszy zauważył, że teraz miała już zakończenie. Christopher prawie nic nie mówił - empatię było widać na jego twarzy.

Gdy Tony skończył, chłopak powiedział:

- To wiele wyjaśnia, tato.

- Tak. Chyba tak.

Rozmawiali o tym kilka godzin. Kiedy wreszcie Christopher poszedł do łóżka, Tony stanął na tylnym balkonie. Patrzył na zatokę, światła i gwiazdy.

Po jakimś czasie obok niego stanęła Stacey.

- Co teraz zrobisz? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

Dotknęła jego nadgarstka.

- No cóż, mamy czas, żeby o tym porozmawiać. Teraz, kiedy jesteś już w domu - powiedziała.

Zdał sobie sprawę, iż rzeczywiście był w domu. W tym mieście. Z tą kobietą. W życiu, które dzielili ze sobą, i z chłopcem, którego oboje kochali. Nigdy nie rozumiał tego tak dobrze. I na razie to wystarczało. Reszta przyjdzie, Bóg wie kiedy.

Tony Lord odwrócił się i spojrzał w oczy swojej żony, swojej ukochanej.

- Tak - odpowiedział. - Jestem w domu.

## PODZIĘKOWANIA

*Milczący świadek* nie mógłby powstać w takiej formie, gdyby nie pomóc wielu osób. W San Francisco pomagali mi eksperci, których zacząłem uznawać za mój zarząd do spraw prawa karnego: specjalista w zakresie medycyny sądowej, doktor Boyd Stephens, inspektor wydziału zabójstw Napoleon Hendrix, detektyw Hal Lipset oraz mecenas Hugh Levine i Jim Collins. Zastępca prokuratora okręgowego Al Giannini służył mi jak zwykle uwagami krytycznymi przed napisaniem powieści, a potem przejrzał maszynopis pod kątem atmosfery i autentyczności.

Ze względu na to, że punktem wyjścia dla Lake City i Steelton były przedmieścia Bay Village oraz miasto Cleveland, w których spędziłem większość czasu między dziesiątym a dwudziestym czwartym rokiem życia, chcę podkreślić to, co - mam nadzieję - jest oczywiste: że utwór ten jest fikcją literacką i że opisane tu miejsca oraz wydarzenia nie mają związku z rzeczywistością. Gwoli sprawiedliwości muszę też dodać, że Bay Village i Cleveland są o wiele przyjemniejsze niż Lake City, które widzę jako miejscowość o charakterze bardziej wiejskim i odosobnionym, a Steelton jako rdzawy amalgamat, którego ponurość wiąże się z wieloma innymi miejscami. Jednakże powrót do obu tych miejscowości pomógł mi stworzyć środowisko, którego potrzebowałem w tej powieści. Przyczyniło się też do tego wiele osób. Carmen Marino, szefowa departamentu kryminalnego prokuratury hrabstwa Cuyahoga, w fascynujący sposób wyłożyła możliwe taktyki prokuratorskie. Mecenas Jerry Gold dostarczył dobrych rad, wyborczego towarzystwa i kilku wspaniałych sugestii co do przesłuchań. Natomiast koroner hrabstwa, doktor Elizabeth Balraj, ekspert w dziedzinie medycyny sądowej Linda Luke, były zastępca prokuratora hrabstwa Jack Hudson oraz mój przyjaciel i kolega ze studiów prawniczych Jerry Weiss pomagali w gromadzeniu danych. (W uzupełnieniu: osoby, które znają zwyczaje panujące w hrabstwie Cuyahoga, wiedzą, że w przeciwieństwie do wielu innych rejonów, tutejsze biuro koronera jest dość liberalne i umożliwia dostęp do swoich raportów. Ograniczenia, o których jest mowa w mojej powieści, dotyczą typowych rozwiązań).

Podobnie też wiele osób przypomniało mi różne aspekty życia w niewielkich społecznościach na Środkowym Zachodzie. Byli to m.in. Fred Drenkhan, Jim Tomkins, Eric Eakin, Mary Slama, Joe Loomis oraz George Serb. Specjalne podziękowania składam mojemu najstarszemu przyjacielowi Dickowi Pentonowi, dzięki któremu ponownie przeżyłem czasy, w których dorastał Tony Lord.

Psychologia takiej postaci jak Sam Robb jest dość złożona. Psychiatrzy, doktor Rodney Shapiro i doktor Ken Gottlieb, zgłębili wraz ze mną możliwe składniki patologii Sama i pomogli umieścić je w kontekście fabularnym. Życie Tony'ego Lorda także nie było łatwe: mój przyjaciel Mike Robe pomógł mi odtworzyć rolę gwiazdy sportowej w małym mieście, natomiast ksiądz Tony Sauer był łaskaw zarysować możliwe różnice w stosunku Tony'ego Lorda do Kościoła katolickiego w latach sześćdziesiątych i obecnie, kiedy to ewolucja w Kościele mogłaby umożliwić Tony'emu ponowne rozważenie swojego rozczarowania.

Kilka ważnych dla mnie osób pomagało mi podczas całego procesu powstawania *Milczącego*

*świadka*. Mój agent literacki i przyjaciel Fred Hill oraz mój agent z dziedziny praw autorskich Richard Green jak zwykle wspomagali mnie wspaniale. Moja żona Laurie, nasza droga przyjaciółka Anna Chavez oraz moja cudowna asystentka Alison Thomas - która z każdą książką jest coraz lepsza - dostarczyły mi mnóstwa uwag na temat każdego fragmentu tej powieści. Moi przyjaciele, Philip Rotner i Thelton Henderson, byli uprzejmi skomentować różne aspekty maszynopisu, natomiast moi wydawcy w Knopfie, m.in. Sonny Mehta i Jane Friedman, zwyczajowo już nieustannie mnie zachęcali.

Muszę wreszcie wspomnieć Lindę Grey i Clare Ferraro. Jako prezes Ballantine Publishing Group Linda przejęła mnie kilka książek temu. Pomagając mi dotrzeć do milionów czytelników, została moją przyjaciółką i pełnym dobrego humoru przewodnikiem po czasami zadziwiającym świecie wydawnictw specjalizujących się w literaturze popularnej. Clare Ferraro, wydawca z Ballantine'a, jest - jakkolwiek określenie to jest nieprecyzyjne - moim najstarszym przyjacielem w świecie wydawnictw, a jej wspaniałe towarzystwo i nieustanne wsparcie należą do prawdziwych błogosławieństw mojej kariery. Przy pomocy George'a Fishera, Kim Hovey, Woody'ego Traceya, Jean Fenton oraz wielu innych osób, m.in. oddanych pracowników działu sprzedaży Ballantine'a, udało mi się zdobyć największą nagrodę dla pisarza: dzięki nim nawet moje dzieci wiedzą, kim jestem.